



Lorentz Iny

Nierządnic

Córka nierządnic

Minęło dwanaście lat od czasu ostatniej przygody Marii, byleż nierządnicy. Obecnie mieszka ona razem z mężem Michałem na zamku Kibitzstein. Jest otoczona szczęściem i miłością. Małżonkowie są szczególnie dumni ze swej pierworodnej córki Trudi, która marzy o wielkiej miłości. Niespodziewanie rodzinę spotyka nieszczęście, a Trudi wyrusza w drogę na spotkanie przygody, która odmieni jej życie.

Kasztelan Michał Adler zostaje zamordowany podczas przyjęcia weselnego Bony, przyjaciółki Trudi. Jego żona Maria oraz córki są wstrząśnięte i załamane. Podejrzenie pada na dowódcę żołnierzy najemnych Petera von Eichenloh, z którym Trudi miała wcześniej ostrą sprzeczkę. Oskarżonemu udaje się oczyścić z podejrzeń. Po śmierci kasztelana sytuacja rodziny jest bardzo ciężka. Wszyscy sądzą, że wdowa nie zdoła utrzymać majątku, a ci, których uważała za przyjaciół, okazują się chciwymi zawistnikami. Protektor Adlerów, poprzedni biskup Würzburga, nie żyje, więc nie mają do kogo zwrócić się o pomoc. Jedyną nadzieją jest król Fryderyk. Trudi potajemnie, bez wiedzy matki, udaje się w daleką drogę, żeby prosić go o wsparcie. Podczas podróży przeżywa wiele niebezpiecznych przygód, nieraz ledwie uchodzi z życiem. Pomoże jej mężczyzna, którego uważała za mordercę ojca...

CZEŚĆ PIERWSZA

Trudi

Frankonia, w roku Pańskim 1444

1.

Trudi odgarnęła włosy z twarzy i z rozmarzeniem spojrzała na Georga von Gressingena. Do tej pory nie spotkała jeszcze żadnego mężczyzny, który by tak doskonale ucieleśniał ideał szlachetnie urodzonego rycerza. Był minimalnie wyższy od niej, a przy tym smukły i sprężysty jak brzoźka. Ciemnoblonde włosy okalały jego szczupłą twarz, a niebieskie, błyszczące oczy patrzyły na nią z takim uwielbieniem, że z wrażenia jej serce topniało jak masło wystawione na słońce. Kochała go i tak samo jak on pragnęła pocałunku, o który ją poprosił.

Nie chciała jednak, by sukces przyszedł mu za łatwo. Gdy próbował ją objąć, prześlizgnęła mu się zwinnie pod rękoma. Kątem oka dostrzegła, że zaskoczony jej unikiem stracił równowagę, i szybko obróciła się na pięcie, żeby wyglądało to tak, jakby zamierzał rzucić się przed nią na kolana.

— Dobrze tak panu! — roześmiała się, po czym odwróciła i wbiegła między drzewa.

Za to jej przyjaciółka, Bona, pozwoliła Hardwinowi von Steinsfeldowi na delikatne muśnięcie warg. Widząc, co Trudi wyczynia ze swym adoratorem, wyrwała się z ramion Hardwina i pobiegła za nią.

— To było na żarty! — zawołała i spojrzała za siebie. Hardwin nie mógł jej już widzieć w gęstwinie drzew i krzewów. Dostrzegła jeszcze, jak Georg von Gressingen podnosi się z kolan i rozeźlony patrzy na miejsce, w którym zniknęła Trudi pośród leśnej roślinności.

— Dlaczego nie pozwoliłaś kawalerowi Georgowi, by cię pocałował, jak o to prosił? — zapytała. Trudi nie odpowiedziała, miast tego pobiegła dalej w głąb lasu.

Bona ociągała się, ponieważ pragnęła jeszcze raz poczuć miękkie

wargi Hardwina na swoich ustach. Chciała, by jej małżonkiem został właśnie ktoś taki. Niestety Moryc von Mertelsbach, narzeczony, którego wybrał dla niej ojciec, mógłby być jej dziadkiem! Jego słowom towarzyszył charkot, jaki wydaje z siebie rozdrażniony pies łańcuchowy, podczas gdy głos Hardwina brzmiał łagodnie i miło. Bonę przerażała myśl, że będzie musiała poślubić nieatrakcyjnego wdowca i na dodatek zastąpić matkę całkiem okazałej gromadce jego dzieci.

Te perspektywy sprawiały, że gorąco zazdrościła Trudi. Jej przyjaciółka nie miała takich zmartwień. W/prawdzie pan Georg jeszcze nie wyjawiał w Kibitzsteinie swoich zamiarów i nie poprosił Michała Adlera o rękę córki, jednak na pewno wkrótce to zrobi. Pozycja społeczna i pochodzenie młodzieńca przemawiały za tym, że rycerz Adler chętnie uczyni go swym upragnionym zięciem, więc pewnie jeszcze w tym roku, a najpóźniej w następnym, młodzi się pobiorą.

Bona próbowała znaleźć pocieszenie w myśli, że Georg von Gressingen zainteresował się Trudi ze względu na jej okazały posąg. Tak przynajmniej słyszała od ojca. Być może więc Georg nie był aż tak zakochany, jak to okazywał. Rodzice Trudi dawali córce w wianie, prócz feudalnej zwierzchności nad posiadłością Windach, skrzynię pełną błyszczących guldenów. Przy takim posagu mężczyzna ubiegający się o rękę panny powinien szczególnie się starać, by pozyskać względy wybranki. Mimo iż Bona ma wnieść w związek małżeński z Morycem dwie wsie, wdowiec wcale nie zabiega o jej przychylność.

Bona uważała się za pokrzywdzoną przez los. Dogoniła Trudi i zirytowana dała jej kuksańca: — Mogłabyś być trochę bardziej przystępna, przecież kawaler Georg i tak wkrótce będzie twoim mężem!

Trudi z uśmiechem potrząsnęła głową.

— Ale jeszcze nie jest. Poza tym uważam, że powinien się bardziej starać, żeby zasłużyć na pocałunek ode mnie.

Bona cicho prychnęła, wypatrując między drzewami sylwetek towarzyszy. Nie mogła niczego dojrzeć, ale słyszała głosy mężczyzn oraz trzaskanie gałązek pod ich nogami. Prawdopodobnie przeszukiwali teraz fragment lasu po prawej stronie i nieprędko je znajdą.

Bona zastanawiała się, czy nie powinna zrobić czegoś, by zwrócić ich uwagę. W tym czasie Trudi oderwała listek dębu, roztarła go w palcach i wdychając ostry, lekko szczypiący zapach, stwierdziła: — Powinnyśmy wracać do zamku. Dwóm pannom nie wypada chodzić samym po lesie, bez służących, a do tego jeszcze w towarzystwie młodych panów.

Następnie chwyciła fałdy długiej zielonej sukni i ruszyła po wilgotnym mchu w kierunku zamku należącego do ojca Bony.

Wtem znowu do uszu dziewcząt dobiegły głosy. Zatrzymały się. Georg von Gressingen wraz ze swym towarzyszem ciągle jeszcze zajęci byli szukaniem dziewcząt. Teraz znajdowali się dokładnie przed nimi.

— Żeby dojść do domu, musimy obejść ich łukiem — szepnęła Trudi do towarzyszek.

Bona zagryzła wargi i zdławiła w sobie irytację. Jej przyjaciółka zepsuła całą przyjemność. Nareszcie Bonie udało się wymknąć spod surowej kurateli ojca, by robić to, na co ma ochotę, a Trudi już chciała wracać do zamku, gdzie w towarzystwie tak ekscytujących mężczyzn jak Georg i Hardwin będą mogły jedynie skromnie spuszczać oczy. Miast Hardwina grubiańsko przyciągnie ją do siebie i pocałuje Moryc von Mertelsbach, któremu śmierdzi z ust i który traktuje ją, swoją narzeczoną, jak nabytą

klacz, a nie jak kogoś, kto ma uczucia i pragnienia.

Stanąła i z uporem w głosie powiedziała: — Chce mi się pić!

Jej głos zabrzmiał głośniejsz, niż życzyłaby sobie tego Trudi.

— Bądź ciszej, bo panowie nas usłyszą!

— No i co by to szkodziło? Przynieśliby nam coś do picia i odprowadzili do domu. — Bona nie chciała rezygnować z przygody. Wzięła Trudi pod ramię i wskazała polanę. — Widzisz to piękne miejsce? Chciałabym tu trochę odpocząć!

Trudi rozejrzała się niepewnie.

— Hardwin i Georg zaraz nas tu odnajdą!

— Jeśli o mnie chodzi, to bardzo dobrze. Powiedziałam, że chce mi się pić. Nie chcę spragniona iść do domu pod górę tą stromą drogą. A do folwarku nie mogę pójść. Co by ludzie w wiosce powiedzieli, gdyby zjawily się tam dwie panny bez towarzystwa i na dodatek bez pieniędzy?

Bona przemilczała fakt, że tamtejsi chłopcy byli poddanymi pańszczyźnianymi jej ojca i w każdej chwili poczęstowaliby ją kubkiem wina.

Trudi wsłuchiwała się w odgłosy, które do nich docierały — wyglądało na to, że młodzi mężczyźni raczej się od nich oddalają. Jednocześnie usłyszała plusk strumyka i miała nadzieję, że Bona zadowolony się łykiem wody.

Chciała podejść do źródła, ale przyjaciółka ją powstrzymała: — Nie mam zamiaru pić wody. Chcę napić się wina!

Bona wypowiedziała te słowa tak głośno, że mężczyźni musieli je usłyszeć.

Trudi spojrzała na nią ze złością, ale w oczach przyjaciółki wyczytała niemą prośbę, usiadła więc na mchu i zaczęła niezdecydowanie skubać listki borówki.

2.

Wydaje mi się, że one są tam, z przodu! — Hardwin von Steinsfeld chciał ruszyć w kierunku, z którego dobiegł go głos Bony. Powstrzymał go cichy śmiech Gressingena: — Mój drogi, nie bądź taki niecierpliwy. Trzeba się delektować polowaniem, nieważne, czy to polowanie na jelenia, dzika czy kobietę!

— Nie chcesz chyba małego flirtu z dwiema ładnymi dziewczętami porównywać z polowaniem? — zaprotestował Hardwin.

Georg przybrał protekcyjny wyraz twarzy.

— Dlaczego nie? Powiedz, co chcesz zrobić, gdy znajdziemy się z powrotem w ich towarzystwie.

— Najpierw przeproszę Bonę i Trudi za nasze niestosowne zachowanie. Obawiam się, żeśmy je przestraszyli.

Georg von Gressingen potrząsnął pobłaźliwie głową.

— Nie, mój drogi. Nie po to wywabiłem je na taką odległość od zamku, żeby teraz odgrywać rolę grzecznego służącego.

— Wywabiłeś? Przecież spotkaliśmy się z nimi przypadkiem! — wykrztusił osłupiały Hardwin.

Gressingen roześmiał się drwiąco.

— To ty tak sądzisz! Sam im poradziłem, żeby się udały na przechadzkę, gdy ich ojcowie z moim strykiem, twoją matką i kilkoma innymi gośćmi będą toczyć dysputy. Obie panny są jak kragłe jabłuszka, które dojrzały do tego, by je zerwać. A my dwaj to uczynimy. Teraz mamy czas i

okazję. Czyżby cię nie kusilo, by zdrzeć suknię Bony i zrobić to, co Adam robił z Ewą?

Hardwin z lękiem patrzył rozmówcy w twarz: — Chcesz gwałtem posiąść córkę rycerza Ludolfa, i to na dodatek tu, na jego ziemi?

Byłaby to podłość...

— Nic z tych rzeczy — przerwał mu w pół zdania Georg. — Gdyby dziewczyny tego nie chciały, toby nie czekały na nas w lesie, lecz już dawno poszłyby do zamku albo przynajmniej wróciły na drogę. One mają nadzieję, że je znajdziemy. Nie bój się, dostaniesz swoje. Odstąpię ci Bonę, bo ja mam większą ochotę na dziewicę Hiltrudę.

I na jej posag, dodał w duchu. Dochody z jego majątku ledwo wystarczały na wyżywienie, a zaciągane w ciągu ostatnich lat długi były tak wysokie, że groziła mu całkowita ruina. Pilnie potrzebował bogatej narzeczonej, jednak łatwiej byłoby znaleźć perłę w muszli niż takie dziewczę wśród córek frankońskich rycerzy. Trudi Adler była jedyną dziedziczką, jaką znał, nadającą się pod tym względem na jego żonę. Dlatego już przy pierwszym spotkaniu stanął w konkury i próbował zyskać jej przychyłność. Poza tym była urodziwsza od większości dziewcząt, które brał pod uwagę jako potencjalne narzeczone. Uroda w parze z odpowiednim pochodzeniem społecznym była w jego mniemaniu miłym dodatkiem do pieniędzy. Dzisiaj zastawił na nią wnyki i tak mocno je zaciśnie, że mu się ta majątna gołąbeczka już nie wymknie! Wiedział jednakże, że matka panny niechętnie go widziała w charakterze konkurenta. Gdy bywał na zamku Kibitzstein, dała mu to odczuć — uprzejmie, choć jednoznacznie. Ale jak Maria Adler się dowie, że już cielesnie obcował z jej córką, nie będzie mogła stanąć na drodze małżeństwu.

Hardwin nadal miał wątpliwości.

— Przecież ty nawet nie jesteś zaręczony z Trudi! A jeśli chodzi o Bonę, to ona ma poślubić tego starego capa Mertelsbacha.

— Małżeństwo Bony z Mertelsbachem powinno być dla ciebie dodatkowym powodem, by podarować jej przynajmniej godzinkę przyjemności...

Gressingen poklepał przyjaciela po ramieniu dla dodania mu odwagi, a potem pociągnął go za sobą. W głębi duszy odczuwał pogardę dla tego durnia, który chciał uszanować prawa zgrzybiałego starca. Rodzina Gressingena już od wielu lat była uwikłana w spory z Mertelsbachem. I chociażby z tego powodu pragnął, by rycerz zamiast cnotliwej dziewicy jako drugą żonę dostał kobietę zhańbioną.

— Sądysz, że Bona pozwoli mi wejść między swe uda, chociaż jest zaręczona z rycerzem Morycem? — W głosie Hardwina było słychać napięcie. Młodzieniec odruchowo oblizał językiem wargi.

Gressingen pojął, że młodzik, który jeszcze nawet nie był pasowany na rycerza, znajduje się w stanie podniecenia, w który chciał go wprowadzić.

— Właśnie dlatego, że jest zaręczona z tym starym capem, otworzy przed tobą uda.

Ale uważaj! Niecierpliwość jest zgubna. Dziewice są szczególne, z jednej strony pragną, by posiadał je mężczyzna, z drugiej strony boją się tego. Przyglądaj mi się, dam ci znak, kiedy będziesz mógł wyciągnąć swój taran i przystąpić do ataku.

Hardwin von Steinsfeld miał dwadzieścia lat, a więc był tylko cztery lata młodszy od swego towarzysza, ale pod względem doświadczenia dzielił ich dystans czterech dziesięcioleci. Matka trzymała go krótko, jego kontakty

z płcią przeciwną ograniczały się do jednego razu w zeszłym roku, kiedy to starsza już służąca podciągnęła dla niego na kopce siana spódnicę, a on prawie w tym samym momencie trysnął w jej wnętrze. Na wspomnienie drwiny, jaka spotkała go ze strony tej kobiety, ciągle jeszcze krew napływała mu do policzków. Postanowił więc twardo, że nie da Bonie najmniejszego powodu do żartów. Ale nie był pewien, czy naprawdę chce się do niej zbliżyć. Była nie tylko narzeczoną innego mężczyzny, lecz również, podobnie jak Trudi, jego bliską przyjaciółką, którą znał od dzieciństwa. Gdyby zrobił z nią to samo co ze służącą, splamiłby ich przyjaźń.

Georg von Gressingen domyślał się, że Hardwina dręczą wyrzuty sumienia, i to go irytowało. Jeśli chce na zawsze związać się z Trudi, musi skorzystać z dzisiejszej okazji. Nie może stracić szansy przez tego wahającego się młodzieniaszka! Dlatego idąc w kierunku polany, na której czekały na nich dziewczęta, podsycił namiętność przyjaciela nieprzyzwoitymi uwagami.

3.

Kiedy młodzieńcy się pojawili, Bona rzekła do nich ze zniecierpliwieniem: — Panowie, czemu tak późno? My tu umieramy z pragnienia! Hardwin natychmiast pospieszył ku źródłu, żeby zaczerpnąć wody dla Bony. Jego towarzysz stwierdził, że nie poradzi sobie z Trudi tak łatwo — panna wyglądała jak sarenka gotowa do ucieczki. Rozeźlony zaczął się zastanawiać, w jaki sposób ją sobie podporządkuje.

Gdy Hardwin wracał z wodą w dłoniach złożonych w czarę, by zwilżyć wargi Bony, Georg nagle go zatrzymał.

— Ależ nie, mój drogi! Nie możesz częstować tych młodych dam zwykłą wodą, jakby to były służące.

Hardwin zdziwił się.

— Ale panna Bona jest przecież spragniona...

— Woda jest odpowiednia dla służących, damy piją wino. Kawalek stąd jest wieś.

Któryś z chłopów na pewno sprzeda ci dzban wina, a jeszcze lepiej dwa. I przynieś kubki dla pań. Nie będą przecież piły z dzbana.

— Na pewno nie będziemy, kawalerze Georgu. — Bona pożałowała w tym momencie, że troskliwość Gressingena nie dotyczyła jej, lecz Trudi. Wprawdzie Georg był niższy od Hardwina, ale miał ładniejszą twarz, a jego oczy potrafiły schlebiać w tak wspaniały sposób. Dla niego chętnie uniosłaby suknię. Z drugiej strony z młodym Steinsfeldem znała się od dziecka i dość często wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby został jej mężem. Teraz jednak była przeznaczona komuś innemu, człowiekowi, do którego nie czuła sympatii, i dlatego pragnęła choć zakosztować pocałunku z przyjacielem młodości — a może czegoś więcej. To jednak będzie możliwe tylko pod warunkiem, że Trudi nie zepsuje całej zabawy ani nie zdradzi się z niczym w domu. Dlatego chciała doprowadzić do tego, by jej przyjaciółka oddała się pieścizotom kawalera Georga.

Hardwin nadal stał z otwartymi ze zdziwienia ustami i wpatrywał się w Bonę, która lekko uniosła materiał sukni, ukazując stopę i kawałek łydki. W końcu Georg dał mu kuksańca.

— No idź i przynieś nam wina! — zawołał.

— Już idę! — Hardwin uwolnił się spod uwodzicielskiego spojrzenia Bony i zniknął między drzewami.

Georg miał nadzieję, że przyjaciel kupi dość wina i po drodze nie

rozleje połowy.

Przysiadł się do dziewcząt spoczywających na trawie i wytarł czoło, na którym nie było ani kropli potu, chcąc zrobić wrażenie, że jest mu gorąco.

— Mógłby się pośpieszyć. Ja również czuję się wykończony.

— Naprawdę? — zapytała kokieteryjnie Bona.

— Powinniśmy wracać do zamku. — Trudi wyglądała, jakby w tej chwili chciała wstać i uciec.

Georg szybko chwycił jej dłoń i przytrzymał: — Powinniśmy przynajmniej zaczekać, aż wróci Hardwin. Byłoby nieuprzejmie wysłać go po wino, a potem zniknąć.

Trudi nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Równie niestosowne było pozostanie tutaj, w lesie, wraz z Boną i dwoma mężczyznami. Matka byłaby zła, gdyby się o tym dowiedziała. Z drugiej strony Trudi nie była już małym dzieckiem, które musi być prowadzone na sznurku, lecz młodą damą, która potrafi o siebie zadbać. Poza tym junkier Georg był prawdziwym szlachcicem, pod jego pieczę czuła się bezpiecznie. Ojciec również byłby tego zdania. Wspomniawszy przecież już raz, że nie miałby nic przeciwko temu, by Gressingen został jego zięciem.

Trudi mimowolnie analizowała uczucia, jakie żywiła wobec Georga, i poczuła, że serce szybciej jej bije. Jego manery były bez zarzutu, a przy tym wyglądał wspaniale. Nagle zapragnęła, by nadeszła już chwila, w której poprosi ojca o jej rękę.

Georg obserwował grę uczuć na twarzy Trudi i uśmiechał się. Panna była młoda i naiwna. Jeśli umiejętnie przystąpi do rzeczy, to jeszcze w tej godzinie pozbawi ją dziewictwa. Jednakże nie może zanadto się spieszyć, dlatego na razie zabawiał panny grzecznymi słówkami. Snując żartobliwe opowieści, porównywał w duchu dziewczęta. Obie zaliczały się do najładniejszych panien w okolicy, ale nie były do siebie podobne. Bona miała kształty bardziej krągłe niż jej przyjaciółka, włosy nieco jaśniejsze, a twarz ozdobioną różanymi rumieńcami. Jednakże biorąc pod uwagę postawę i ruchy, Bona mogłaby uchodzić za szczególnie urodziwą wieśniaczkę.

Trudi Adler była o wiele bardziej powściągliwa, za to miała więcej klasy i wdzięku.

I chociażby z tego powodu musiał ją zdobyć jak najszybciej, bo w każdej chwili na zamku Kibitzstein mógł się zjawić konkurent, który by bardziej niż on przypadł do gustu jej rodzicom. Dlatego był wdzięczny losowi, że stryj Albach został zaproszony do Fuchsheimu i poprosił go o towarzystwo.

Maksymilian von Albach przebywał w tym czasie na zamku z innymi kasztelanami i omawiał sytuację polityczną, która uległa gwałtownej zmianie na skutek poczynań nowego księcia biskupa z Würzburga. Do gości, których przyjmował Ludolf von Fuchsheim, należeli również ojciec Trudi — Michał Adler z Kibitzsteinu, matka Hardwina — Herta von Steinsfeld, oraz nieszczęsny Moryc von Mertelsbach.

W przeciwieństwie do Hardwina, który został przez swą matkę wyproszony z sali, Gressingen powinien brać udział w zgromadzeniu. Odkrył jednak obecność Trudi i stwierdził, że mógłby ten dzień spędzić przyjemniej, niż uczestnicząc w rozmowach starszych zgorzkniałych mężczyzn i Herty von Steinsfeld o ciętym języku.

Udało mu się namówić dziewczęta na spacer, a potem poszedł za nimi wraz z Hardwinem. Dogoniwszy je, młodzieńcy zaczęli z nimi flirtować, ale gdy zażądali całusów, Trudi i Bona uciekły. Bona sprawiała

wrażenie gotowej poczuć smak warg Hardwina lub też Georga, w przeciwieństwie do Trudi, która była wprawdzie tylko o rok młodsza od przyjaciółki, lecz w tych sprawach robiła wrażenie dużo płochliwszej. Dlatego Georg czekał niecierpliwie na powrót Hardwina. Po kilku kubkach wina słodka panna z Kibitzsteinu na pewno będzie bardziej przystępna...

4.

Hardwin musiał biec przez całą drogę, ponieważ już po krótkim czasie pojawił się z dużym koszem, zawierającym trzy dzbany dobrze schłodzonego wina i cztery gliniane kubki. Nim postawił kosz na ziemi, już Gressingen sięgnął po dzbanek i napełnił pierwszy kubek. Z przymilnym wzrokiem wręczył go Trudi: — Twoje zdrowie, panno Hiltrudo. I za twoją urodę!

— A co ze mną? Czy ja nie jestem piękna? — Bona von Fuchsheim poczuła się obrażona, że postawiono ją w cieniu przyjaciółki.

Gressingen rzucił ponaglące spojrzenie Hardwinowi, który chwycił drugi kubek, napełnił go i podał Bonie: — Ten jest dla was. Pokrzepcie się tym trunkiem, wiedząc, że nie ma tu dziewczyny, która by was przewyższała pod względem wdzięku i urody.

— To niewielka pochwała, skoro prócz mnie jest tu tylko Trudi. — Bona chciała jedynie trochę pokokietować, ale teraz skrzywiła się jej przyjaciółka.

Gressingen spostrzegł to i chwycił dłoń Trudi, mówiąc: — Jestem zmuszony zaopnować Hardwinowi. Dla mnie nie istnieje żadna dziewczyna, która byłaby piękniejsza od ciebie.

Błysk radości w oczach Trudi dał mu potwierdzenie tego, że obrał właściwą taktykę.

Nie miała mu nawet za złe, że przestał się do niej zwracać, jak nakazuje obyczaj, lecz mówił do niej jak do siostry — lub do służącej, jak pomyślała złośliwie.

— Wasze zdrowie! — Trudi stuknęła się z Georgiem von Gressingenem kubkiem i wypła wino.

Trunek nie był odpowiedni, by ugasić pragnienie. Hardwin wziął sobie do serca słowa Gressingena i przyniósł ciężkie, słodkie wino. Gdyby przyniósł wino o cierpkim smaku, jakie podawane jest zazwyczaj w tej okolicy, wówczas dziewczęta wypłyby kubek, góra dwa. Miał nadzieję, że Bona po kilku kubkach straci opory i mu się odda, jak to obiecał junkier Georg. Sam też potrzebował wina dla dodania sobie odwagi, chociaż nie chciał się do tego przyznać nawet przed sobą.

Usiadł tuż przy Bonie i dotknął jej delikatnie. Nie odepchnęła go, choć się tego obawiał, i tylko ostrzegawcze spojrzenie Gressingena powstrzymało go przed bardziej śmiałymi poczynaniami. Junkier Gressingen nie interesował się samopoczuciem Bony, która wyglądała, jakby już wkrótce miała lec na plecach, lecz chodziło mu o jego własną ofiarę. Jeżeli Hardwin będzie zbyt nachalny, Trudi gotowa się wypłoszyć i uciec.

Zadbał, by chwilę razem posiedzieli i grzecznie pogawędzili. A przy tym wciąż dolewał Trudi wina i zachęcał do picia. Hardwin brał z niego przykład i wkrótce pierwszy dzban był pusty. Niedługo potem i w drugim niewiele zostało na dnie. U Bony alkohol odniósł już pożądany skutek, bo podciągnęła spódnicę do kolan, by nęcić Hardwina. Trudi natomiast stawała się coraz bardziej milcząca, a w końcu dostała gwałtownego ataku czkawki.

— Napij się zimnej wody albo wyciągnij język najdalej, jak możesz

— poradziła jej Bona.

— Nie, od wody lepsze będzie wino! — Hardwin chwycił ostatni dzbanek i chciał napełnić kubek Trudi, ale wylał połowę. Gressingen szybko wyrwał mu naczynie z ręki, by ocalić resztę cennego trunku.

— Na Boga, jesteś całkiem pijany!

— Pijany? Ja? Wcale nie! — Język Hardwina plątał się, a gdy młodzieniec chciał wstać, by udowodnić, że potrafi pewnie stać na nogach, stracił równowagę i upadł na Bonę.

Myśląc, że zrobił to specjalnie, z chichotem włożyła mu rękę między nogi. Przez cienki materiał spodni poczuła podłużny twardy kształt. Hardwin wydał z siebie sapnięcie i stracił wszelkie panowanie nad sobą. Nim Bona się spostrzegła, rzucił ją na plecy i zadarł jej spódnice. Bez gry wstępnej i bez pieszczenia innych miejsc jej ciała wdarł się między uda panny i wszedł w nią gwałtownym, bolesnym pchnięciem.

Bona wydała z siebie prychnięcie, gdyż inaczej sobie to wszystko wyobrażała.

Potem przypomniało jej się, jak pewna zameżna przyjaciółka opowiadała, że za pierwszym razem boli, ale później sprawia rajska przyjemność. Dlatego nie broniła się przed Hardwinem. Wkrótce pierwszy ból ustąpił i nawet poczuła przyjemny ucisk w brzuchu.

Trudi patrzyła wielkimi ze zdumienia oczami na pozbawioną zahamowań parę i w odruchu obronnym zasłoniła się ręką.

— Co oni czynią? — zapytała przerażona.

— To, co dyktuje im serce.

Teraz Gressingen też nie mógł się pohamować. Przyciągnął Trudi do siebie i pocałował ją z dziką namiętnością. Najpierw mu na to pozwoliła, a nawet odpowiedziała na jego pocałunek. Ale gdy próbował jedną ręką pchnąć ją do tyłu, a drugą podnieść jej spódnice, broniła się.

— Nie, nie! — wołała.

Widok pary, która obok nich bez zahamowań oddawała się namiętności, tak wzburzył krew Gressingena, że najchętniej wziąłby Trudi siłą. Jednak nie mógł sobie na to pozwolić. Z trudem opanował się i spojrzał jej w oczy, mówiąc: — Umieram z tęsknoty za tobą. Jesteś kobietą, o jakiej zawsze marzyłem. Jeśli mnie teraz od siebie odepchniesz, nie pozostanie mi nic innego, jak poszukać śmierci w bitwie, bo nie zniósłbym, gdybym miał cię stracić.

Trudi próbowała w otumanionej przez wino głowie wykrzesać rozsądną myśl.

— Nie musicie ze mnie rezygnować, kawalerze Georgu. Będę waszą, ale musicie przedtem porozmawiać z moimi rodzicami, żeby nam wyprawili wesele.

— Niezwłocznie z nimi rozmawiam, przysięgam. Błagam cię jednak, wysłuchaj mnie tu i teraz! Nie mogę żyć bez ciebie...

Gressingen modlił się w duchu, żeby wreszcie uległa.

— Chcę do was należeć, ale...

Trudi zaczęła mówić, lecz Gressingen natychmiast jej przerwał: — Pozwól, że tu i teraz połączymy nas miłość, której nikt nigdy nie zdoła zniszczyć.

— Nikt nigdy nie zdoła zniszczyć... — szepnęła Trudi. Właśnie tego pragnęła.

Spojrzała na młodego szlachcica i poczuła, że serce jej topnieje. Kochała go i pragnęła dać mu wszystko, czego chciał.

— Poprosicie rodziców o moją rękę? — Pytanie zabrzmiało tak błagalnie, że Gressingen niemal się roześmiał.

— Oczywiście, że to uczynię, najmilsza. Wiesz przecież, jak bardzo pragnę, byś została moją żoną. Nie ma dla mnie większego szczęścia. — Pomyślał przy tym o posiadłości Windach, która miała przypaść jej w spadku, i w duchu sięgał już teraz do skrzyni wypełnionej błyszczącymi guldenami. — Jeśli chcesz, to jeszcze dzisiaj porozmawiam z twoim ojcem — dodał zapalczywie.

Odpowiadało to Trudi, ponieważ w domu, w Kibitzsteinie, czekała matka, a ta z niewyjaśnionych powodów odrzucała junkra. Dziewczyna stanęła prosto i chwyciła dłoń Gressingena, zaklinając: — Przysięgnijcie mi, że jeszcze dziś poprosicie ojca o moją rękę! Gressingen klęknął teatralnie przed Trudi i podniósł prawą dłoń.

— Przysięgam całym sercem.

W tym momencie Trudi uległa. Część jej świadomości prawie sparaliżowanej przez wino szeptała jeszcze, że to, co czyni z junkrem, jest niewłaściwe, ale pociąg do niego przeważał wszelkie skrupuły. Jeszcze tego dnia łączą się w jedno przed Bogiem, a wkrótce przed światem. Dlatego pozwoliła, żeby Gressingen ułożył ją na trawie, podniósł spódnicę i wślizgnął się między jej uda. Wino sprawiło, że reagowała powoli i prawie niczego nie czuła. Nawet ból w chwili, gdy w nią wchodził, był przytłumiony. Gdy Gressingen dawał upust swej namiętności, ona czuła rosnące zmęczenie, a w końcu usnęła.

5.

Tuż powyżej lasu wznosił się zamek Fuchsheim. Od czasu jak posiadłość przeszła w spadku na ojca Bony, Ludolfa, czuł się on w tym zakątku kraju równie wolny, jak każdy inny rycerz Rzeszy. Od pewnego czasu w okolicy panował jednak niepokój, ponieważ nowy książę biskup z Würzburga próbował rozszerzać zakres swych wpływów, a przy tym w niewielkim stopniu respektował istniejące prawa. Nawet ci kasztelanowie, którzy zaliczali się do wolnych rycerzy Rzeszy, czuli na karku oddech chciwego biskupa.

Z tego powodu rycerz Ludolf zaprosił do siebie kilkoro przyjaciół, a także tych kasztelanów, których uważał za sprzymierzeńców. Ku jego rozczarowaniu nie zjawiała się nawet połowa oczekiwanych gości, jednak miał nadzieję, że przynajmniej ci, którzy przybyli, będą trzymać się razem przeciwko poczynaniom würgburskiego metropolity.

Już podczas posiłku padło kilka ostrych słów, ale goście interesowali się przede wszystkim relacjami z ostatniego posiedzenia Reichstagu w Norymberdze, w którym brali udział Michał Adler z Kibitzsteinu i Moryc von Mertelsbach.

Biesiadnicy chcieli dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o Fryderyku Austriackim, który jako następca swego kuzyna Albrechta został wybrany na króla Niemiec. Michał Adler dobrze znał zarówno króla Albrechta, jak jego teścia i poprzednika, cesarza Zygmunta, i wiele razy brał udział w działaniach wojennych pod ich rozkazami. Za pierwszym razem jako zwykły kasztelan walczył nad Renem z husytami, a później trafił nawet na Węgry, żeby tam po stronie cesarza Zygmunta walczyć z Turkami. Podczas marszu do Czech uratował cesarzowi życie i został za to mianowany rycerzem Rzeszy oraz kasztelanem zamku Kibitzstein. Na Węgrzech Zygmunt obiecał mu dalsze zaszczyty i bogactwa. Jednakże zmarł, nim

zdążył dotrzymać słowa, a jego następca Albrecht nie czuł się zobowiązany do spełnienia obietnic.

Dlatego Michał nie przywiózł z tej wojny do domu niczego więcej poza tureckim grotem, który ciągle jeszcze tkwił w jego udzie i powodował ostre bóle, gdy zapowiadało się na zmianę pogody. Tego dnia jednak na niebie świeciło słońce i nic nie wskazywało na to, żeby miały nadciągnąć deszczowe chmury.

Nawet jeśli przyczyna zjazdu nie była zbyt przyjemna, to Michał cieszył się, że może zasiąść przy jednym stole z sąsiadami i przyjaciółmi i z nimi porozmawiać. Do pełnego zadowolenia brakowało mu tylko Marii, która zraniła się w kolano i musiała zostać w domu. Zamiast niej wziął ze sobą najstarszą córkę. Lecz Trudi mało interesowała się sprawami rycerzy Rzeszy i wolała spędzać czas w towarzystwie Bony. Myśli te przypomniały Michałowi, że od dłuższego czasu nie widział córki.

Pochylił się i trącił gospodarza.

— Wybaczcie, rycerzu Ludolfie, ale nie wiem, gdzie podziewa się moja córka.

Fuchsheim był właśnie pochłonięty interesującą rozmową z opatem Pankracjuszem von Schöbach i pytanie Michała przeszkodziło mu.

— O ile wiem, moja Bona i panna Hiltruda opuściły razem zamek, żeby napić się wina we wsi na dole. Znacie przecież dziewczęta. W domu wprawdzie wszystko lepsze, ale mimo to pożądamy rzeczy, które są dostępne gdzie indziej.

Ludolf von Fuchsheim sądził, że tym samym zamknął temat, ale Michał w dalszym ciągu odczuwał wewnętrzny niepokój, który sprawiał, że siedzenie i słuchanie przychodziło mu z trudem. Chociaż miał świadomość, że jego niepokój jest bezpodstawny, to jednak martwił się o Trudi. Maria powiedziałaaby, że jego miłość do dziewczyny jest ślepa i gotów jest zaniedbać wszystkie pozostałe dzieci. Jednak z pewnością tak nie było. W jego oczach to Maria odnosiła się do najstarszej córki zbyt surowo. Nakładała na nią coraz więcej obowiązków, nie biorąc pod uwagę, że Trudi po części wciąż była dzieckiem i miałaby może ochotę poswawolić z rodzeństwem.

Westchnąwszy, skierował uwagę na rozmowę, którą właśnie zagaił rycerz Fuchsheim.

— ...powiadam wam, jeśli z góry mu się nie postawimy, to nowy biskup pokaże nam, gdzie raki zimują — powiedział gospodarz bez ogródek.

— Nie taki diabeł straszny, jak go malują — stwierdził Moryc von Mertelsbach.

Opat Pankracjusz nie zgadzał się z tą opinią ani na jotę.

— Gotfryd Schenk zu Limpurg jest bardziej chciwy niż dziesięciu innych książąt razem wziętych. Już teraz każe się gronu zaufanych tytułować księciem Frankonii, że niby mu ten tytuł przysługuje.

Opat również zaliczał się do kościelnych dostojników Rzeszy, jednak nienawidził biskupa, od kiedy ten w kilku sprawach wsparł klasztor Schwarzach ze szkodą dla podległego mu klasztoru Schöbach. Dlatego bardziej niż inni rzucał gromy na biskupa.

Michał próbował go powstrzymać. Nawet jeśli przy stole nie siedzieli żadni bezpośredni stronnicy biskupa Gotfryda Schenka, to nie można było wykluczyć, że wszystkie wypowiedziane tu słowa zostaną mu prawie dosłownie przekazane.

Maksymilian von Albach był lennikiem kapituły katedralnej w

Würzburgu i zdawał sprawozdania księciu biskupowi. A że skłócony był z Morycem von Mertelsbachem, nie będzie miał z pewnością skrupułów, by donieść na gości rycerza Ludolfa. Michał złościł się, że Fuchsheim zaprosił obu na to spotkanie. Dążąc do zgromadzenia jak największej liczby sprzymierzeńców, gospodarz nie pomyślał o niesnaskach między Albachem i Mertelsbachem.

Na szczęście opat Pankracjusz wkrótce sam dostrzegł, że nie zyska wiele samymi skargami, i z powrotem skierował uwagę na gospodarza: — Mówcie spokojnie, co was dręczy, rycerzu Ludolfie. Wcześniej lub później sprawy te będą dotyczyć wszystkich zgromadzonych przy tym stole.

Fuchsheim pokrzepił się łykiem wina i postawił puchar z hukiem na stole.

— Biskup z Würzburga rości sobie prawa, które mu się nie należą. Mój dziad kupił ten zamek i przynależne do niego tereny za pięćset guldenów od ówczesnego księcia biskupa Manegolda von Neuenburga. Nie wiązało się to z żadnymi zobowiązaniami.

Opieczętowany dokument znajduje się w moim posiadaniu. Jednak nasz nienasycony książę miał czelność wezwać mnie do Würzburga, abym złożył przysięgę wierności lenniczej z tytułu użytkowania tych posiadłości. Pytam was, cóż warta jest umowa z jednym księciem biskupem, skoro jego następcy mogą uznać ją za nieważną?

Michał przybrał zamyślony wyraz twarzy. Klasztor Schöbach i pan Ludolf von Fuchsheim byli pierwszymi obiektami chciwości biskupa Schenka.

Jeśli Gotfryd Schenk zu Limpurg postawi na swoim, pobudzi to jego apetyt i spowoduje, że będzie chciał więcej i więcej.

— Na waszym miejscu bronilibym ważności umów i poszedłbym do sądu — poradził.

Von Fuchsheim spojrział na niego jak na niewiele rozumiejącego chłopca.

— Świetna propozycja, zaprawdę, jakby sąd w Würzburgu nie był kontrolowany przez księcia biskupa!

— Jeśli w naszej Frankonii prawo i sprawiedliwość nie mają racji bytu, zwróćcie się do cesarza. — Michał pochodził wprawdzie z Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim, ale w ciągu kilkunastu lat spędzonych we Frankonii tak się zadomowił, jakby mieszkał tu od dziecka.

W przeciwieństwie do Fuchsheima opat Pankracjusz potwierdził gorliwie: — Będziemy musieli zastosować się do tej rady, nawet jeśli pan Fryderyk nie jest zwolennikiem szybkich decyzji.

— Dopóki król nie podejmie decyzji, sprawa będzie w toku, a książę biskup nie może niczego przedsięwziąć, jeśli nie chce ściągnąć na siebie niełaski pana Fryderyka.

Jak większość zgromadzonych przy stole Michał nie potrafił sobie wyobrazić, że Gotfryd Schenk zu Limpurg nie poczeka na cesarski wyrok rozjemczy i postawi wszystkich przed faktem dokonanym.

— Szkoda, że król Albrecht już nie rządzi, albo jeszcze lepiej cesarz Zygmunt. Wy, Adler, znaliście dobrze ich obu i moglibyście wiele dla nas zdziałać.

Opat martwił się, ponieważ stosunki w Rzeszy kilka lat temu zmieniły się na niekorzyść małych majątków. Nie krył przed pozostałymi panami oraz panią von Steinsfeld swojego rozdrażnienia, że oferują mu oraz rycerzowi Ludolfowi tak mało wsparcia.

Ludolf von Fuchsheim myślał podobnie. Kazał służącemu dolać wina i opróżnił puchar do dna. Gdy odstawiane naczynie ponownie huknęło o stół, wszyscy obecni się wzdrygnęli.

— Na naszego Pana Jezusa Chrystusa, Zbawcę Jedynego! Miałem nadzieję, że zawrzemy tu koalicję przeciwko biskupowi z Würzburga. Lecz wy zachowujecie się, jakby was wcale nie obchodziło bezprawie wobec mnie i czcigodnego opata!

Powiadam wam jednak, że księżę biskup wcześniej czy później wystąpi przeciwko każdemu z was. Jeśli wasze prawa wówczas zostaną naruszone, możecie mieć sami do siebie pretensje o waszą bezczynność!

— Szkoda, że nie przybyło więcej naszych sąsiadów — powiedział Michał. — Przede wszystkim żałuję, że nie ma tu rycerza Hansa von Dettelbacha. On byłby odpowiednim człowiekiem, by nami pokierować.

Moryc von Mertelsbach zaśmiał się krótko: — Nie miałbym nic przeciwko temu, by pan Hans znalazł się po naszej stronie, jednak nie widzę go jako przywódcy. W tej roli wyobrażam sobie człowieka bardziej energicznego.

Wyniosły wyraz twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że miał na myśli siebie.

Wszystko wskazywało na to, że również von Fuchsheim uważał się za najlepszego kandydata do pełnienia przywódczej funkcji. Za to spojrzenia, które opat Pankracjusz i pani zamku Steinsfeld kierowali na Michała Adlera, zdradzały, że ci dwoje właśnie jego uważali za najbardziej odpowiedniego spośród obecnych.

Ostatecznie dowiódł już swej odwagi i talentów w walce, a przy tym nie zyskał opinii zwykłego zabijaki, lecz kogoś, kto roztropnie podchodził do sprawy, a broń wyciągał dopiero wtedy, gdy nie było możliwości innego rozwiązania konfliktów.

Wyglądało na to, że łatwiej byłoby uspokoić stado rozjuszonych byków, niż doprowadzić do ugody rycerzy i kasztelanów tej okolicy. Z tego powodu opat Pankracjusz postanowił w drodze do domu zajrzeć na krótko do Kibitzsteinu, żeby porozmawiać z Michałem Adlerem w cztery oczy.

W dalszym ciągu rozmowy przytaczano różne argumenty i kontrargumenty, nie zanosilo się jednak na osiągnięcie jakiegokolwiek porozumienia. Dlatego Michał Adler coraz bardziej pograżał się we własnych myślach. Sposób postępowania nowego księcia biskupa z Würzburga napawał go troską, w mniejszym stopniu ze względu na Kibitzstein, nadany mu przez cesarza Zygmunta jako lenno, lecz bardziej w związku z kilkoma innymi posiadłościami, które wraz z żoną Marią nabył lub dostał w zastaw od wcześniejszego biskupa Würzburga Johanna von Brunna.

Prawdopodobnie nie uda im się uniknąć złożenia nowemu biskupowi przysięgi lenniczej w zamian za prawo do tych ziem. Michał potrząsnął głową, by odgonić nieprzyjemną myśl, i pociągnął łyczek z pucharu. Jednak wino, które von Fuchsheim kazał podać do stołu, straciło dla niego smak. Odstawił prawie pełen puchar z powrotem na stół i rozejrzał się, czy nie usłyszy lub nie zobaczy córki.

Żeby dotrzeć do swojej lub Bony komnaty, musiała pójść po schodach na górę, a te przechodziły przez salę rycerską. Zobaczyłby ją więc, gdyby wróciła do zamku. A że jej nie widział, zaczął się poważnie martwić.

Podczas zbliżenia z Boną Hardwin znajdował się w namiętnym odurzeniu, które nie pozwalało mu trzeźwo myśleć. Po osiągnięciu niemal bolesnego szczytowania poleżał jeszcze chwilę na dziewczynie i spojrzał na Georga von Gressingena, który wytrwale i bez pośpiechu kopulował właśnie z Trudi. Hardwin poczuł zazdrość, tym bardziej że Bona pod wpływem wina zrobiła się senna, nadal ponaglała go, by kontynuował. Jednak Hardwin nie był w stanie powtórzyć stosunku. Podniecenie, które dopiero co miało nad nim takie władanie, przerodziło się nagle w strach.

Pomyślał o matce, która mu często powtarzała, żeby się trzymał z dala od służących i swawolnych kobiet, i zapowiedziała, że uprawiać miłość ma dopiero z żoną, którą ona sama dla niego wybierze. Zanim sobie wyobraził, co od niej by usłyszał, gdyby się dowiedziała o tym zdarzeniu, z jeszcze większym lękiem pomyślał, że Bona jest zaręczona z Morycem von Mertelsbachem. Gdyby stary rycerz dowiedział się, co tu zaszło, wszcząłby wojnę z jego rodziną lub znalazł inny sposób, by się zemścić.

Hardwin miał wrażenie, że znajduje się między dwoma kamieniami młyńskimi, które go niechybnie zmiążdżą. W tym czasie Georg von Gressingen doszedł do punktu kulminacyjnego, stęknawszy po raz ostatni. Wstał z zadowolonym wyrazem twarzy. Poprawiając sobie spodnie, mrugnął do towarzysza: — Miłość z taką dziewczyną jak Bona to coś innego niż przygoda ze służącą, o której mi opowiadałeś.

Hardwin zerwał się z ziemi i wlepił wzrok w przyjaciela, mówiąc: — Boże, co my zrobiliśmy? Bona jest córką naszego gospodarza i narzeczoną rycerza Moryca. Obaj zaprzysięgną Steinsfeldowi odwet!

Georg von Gressingen potrzebował chwili, by do niego dotarło, że jego towarzysz ze strachu prawie robi w spodnie. Chwycił Hardwina i potrząsnął nim z wściekłością.

— Uspokój się, ty idioto! Nie możesz cofnąć tego, co się stało. Ale na Boga, zamknij się i nie puszczaj pary z ust. Panna nic nie uczyni z obawy o własną reputację.

— Nie chciałem tego. To ty mnie do tego namówiłeś! Musiałem specjalnie przynieść wina, żebyś mógł je upić. Gdyby nie ty...

Georg wymierzył przyjacielowi siarczasty policzek: — Czy to ja pozbawiłem Bonę dziewictwa, czy ty? Rzuciłeś się na nią jak zdziczały buhaj. Wziąłbyś ją przemocą, gdyby nie uległa dobrowolnie!

Hardwin zagryzł dolną wargę i walczył ze łzami cisnącymi mu się do oczu.

— Niczego bym nie zrobił, gdybyś ty mnie do tego nie nakłonił. To przez ciebie potraktowałem dziewczicę Bonę, jakby była sprzedajną dziewczką. Ja...

Gressingen, który zaczął się już obawiać, czy jego towarzysz nie postradał rozumu, uświadomił sobie, że Hardwin ma wprawdzie wygląd dojrzałego mężczyzny, ale w głębi duszy nadal jest dzieckiem. Przy matce takiej jak Herta von Steinsfeld młodzian nie miał możliwości wyrobienia sobie charakteru. Nie potrafił wziąć odpowiedzialności za własne czyny, lecz próbował obarczać winą innych. A przecież podczas spaceru aż płonął z pożądania. Przypominał pieska, będącego ulubieńcem świętej pamięci przeorowsy klasztoru w Hilgertshausen, który gwałcił nogi każdej przybyłej do niej z wizytą osoby.

Rozgniewany Georg chwycił mocno Hardwina, pociągnął go nieco głębiej w las i przycisnął do drzewa. Hardwin nie uczynił najmniejszego gestu w swojej obronie.

— Słuchaj mnie dobrze! Jeśli nas wydasz, pożałujesz. Wtedy nie tylko Fuchsheim i Mertelsbach będą twoimi wrogami, ale ja też. Pamiętaj, że mam świadka. Trudi Adler poświadczy, że widziała, jak napastowałeś pannę Bonę, a ta dla ratowania swojej czci przysięgnie, że wzięłaś ją gwałtem.

— Ale wtedy ty też będziesz spalony! Przecież specjalnie upiłeś córkę Michała Adlera, żeby nie stawiała oporu, gdy się do niej dobieierałeś! — Hardwin wypowiedział te słowa z takim zacięciem, jakby wymawiała je jego matka.

Na Gressingenie pogrożka nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Jeszcze raz mocno przycisnął Hardwina do drzewa i wycodził przez zęby: — Moja wina zostanie zmazana w chwili, gdy stanę z panną Hiltrudą przed ołtarzem. Ty jednak będziesz miał na karku rozgniewanego ojca Bony i jej zdradzonego narzeczonego, nie mówiąc o tej jędzy, twojej matce.

— A teraz na dodatek obrażasz moją matkę! — Hardwin był prawie gotowy, by walczyć do ostatniej krwi z młodzieńcem, którego kilka kwadransów temu nazywał swoim najlepszym przyjacielem. Matka wbiła mu do głowy, gdy był jeszcze dzieckiem, że powinien stawać w obronie jej czci. W jego umyśle chęć zdobycia broni toczyła zmagania z wpojona mu powściągliwością i strachem przed ponoszeniem odpowiedzialności. Strach zwyciężył, dlatego spuścił głowę i jęknął z bólu spowodowanego mocnym chwytem Gressingena. — Puść mnie! Niczego nie powiem. To byłoby nierozsądne z mojej strony, nie uważasz?

Georg von Gressingen śmiał się w duchu, że Hardwin ma taki słaby charakter, poklepał go jednak po ramieniu z udaną życzliwością i powiedział: — Przynajmniej dzisiaj pokazałeś, że jesteś prawdziwym mężczyzną. Panna Bona jeszcze nie raz zatęskni za twoimi uściskami, zwłaszcza wtedy, gdy będzie musiała wpuścić między swe uda starego Mertelsbacha.

Wspomnienie upojnych chwil wyczarowało dziecięcą niemal radość na twarzy Hardwina, a chwilę później młodzian próbował przybrać pozę doświadczonego mężczyzny.

— Nie było źle — potwierdził i poczuł się pojedywany z Gressingenem. — Co teraz zrobimy? Poczekamy, aż obie panny się obudzą?

Gressingen odsunął gałąź, spojrzął na polankę i spostrzegł, że Bona również śpi.

Dzięki temu łatwiej im przyjdzie wślizgnąć się do zamku, nie zwracając niczyjej uwagi. Gdyby wrócili w towarzystwie panien, ten i ów mógłby zacząć coś podejrzewać. Nawet jeśli dogada się z Michałem Adlerem, to obecność Bony mogłaby przynieść mu kłopoty, albowiem panowie Fuchsheim i Mertelsbach nie dadzą się tak łatwo wyprowadzić w pole. Potrząsnął więc przecząco głową i powiedział: — Zanieś koszyk i dzbanki po winie z powrotem do wsi. Potem wróc na zamek i połóż się. Wypiłeś sporo wina, a twoja matka, o ile wiem, tego nie pochwała.

— Racja! Gdyby to od niej zależało, piłbym tylko wodę jak wół. Hardwin miał ochotę dalej się użalać, lecz Gressingen ponaglił go: — Później pogadamy. Jak będziesz dłużej zwlekał, to matka cię przyła pie.

Hardwin przeraził się i szybko zebrał dzbanki i kubki do koszyka. Choć było mu spieszno, zerkał od czasu do czasu na Bonę, która leżała z odsłoniętym sromem.

Sprawiała wrażenie, że we śnie jeszcze raz przeżywa spółkowanie. Dopiero gdy Gressingen po raz kolejny go ponaglił, Hardwin odwrócił wzrok od ponętnego widoku i pobiegł w kierunku wsi.

Widok Bony nie był obojętnym także dla Gressingena, który przez moment walczył z pokusą, by skorzystać z okazji i posiąść pannę. Jednak miał ważny powód, by tego nie robić, a tym powodem była Hiltruda Adler. Gdyby się obudziła i zobaczyła, jak jej narzeczony zabawia się z jej przyjaciółką, mogłaby w porywie zazdrości zrobić coś, co by mu zaszkodziło.

Dlatego Gressingen podszedł do Bony i obciągnął jej sukienkę, przysłaniając nogi.

To samo zrobił z Trudi. Gdyby ktoś przypadkiem przechodził, miałby wrażenie, że obie panny dopadło podczas spaceru zmęczenie i położyły się w trawie, by uciąć sobie drzemkę.

7.

Trudi otworzyła oczy i zdziwiona rozejrzała się dookoła. W jaki sposób znalazła się w lesie? I dlaczego dzwoni jej w głowie, jakby ktoś uderzył ją młotkiem? Potem poczuła mdłości. Ledwie zdążyła usiąść gdy żołądek pozbył się swej zawartości w bolesnych skurczach. Wymioty jeszcze nasiliły ból głowy i uniemożliwiły zebranie myśli. Dopiero gdy wszystko zwróciła i chwiejnie stanęła na nogach, przypomniała sobie, co zaszło.

Kilka godzin wcześniej postanowiła się przespacerować z Boną do wsi, bo tam podobno można skosztować lepszych ciastek na słoninie, niż te, które są serwowane na zamku Fuchsheim. Po drodze spotkały rycerzy Georga i Hardwina. Wszyscy razem kontynuowali spacer. Gdy osłonił ich las, panowie stali się bardziej śmiały i zażądali pocałunków w zamian za ochronę, jaką zapewniali im obu.

Co się potem stało? Ledwie mogła sobie przypomnieć. Jej przyjaciółka Bona oraz Hardwin zaczęli nagle tu na polanie kopulować jak zwierzęta. Potem junkier Georg błagał ją, by go do siebie dopuściła. Czy mu uległa? Nie wiedziała.

— Mam nadzieję, że to wszystko mi się tylko przyśniło — powiedziała do siebie i zrobiła znak krzyża.

Lekki ból między nogami potwierdził, że wydarzenia, które pamiętała jak przez mgłę, faktycznie miały miejsce. Rozejrzała się za junkrem Georgiem, ale znalazła tylko swoją przyjaciółkę śpiącą pod drzewem. Bona miała zadowolony i błogi wyraz twarzy.

Po obu mężczyznach nie zostało ani śladu. A przy tym, jak mogła sądzić po pozycji słońca na niebie, minęły co najmniej dwie godziny od chwili, jak junkier Georg prosił ją, żeby mu się oddała. Trudi była trochę rozczarowana, ponieważ wolałaby, żeby Georg został przy niej i czuwał nad jej snem.

Może była wobec niego niesprawiedliwa, może tylko oddalił się z Hardwinem na kilka kroków w las, żeby rozmową nie zakłócać snu jej i Bony. Jednak gdy najpierw cicho, a potem głośniejszo go nawoływała, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Jedyłą rzeczą, jaką udało się jej osiągnąć, było obudzenie przyjaciółki.

Bona usiadła, przeciągając się rozkosznie, i błyszczącymi oczami spojrzała na Trudi.

— A więc tak to wygląda! Sądzę, że będę lubiła robić to nawet z rycerzem Morycem.

Mam nadzieję, że będzie nieco wolniejszy niż nasz przyjaciel Hardwin. W momencie gdy zaczęło mi być naprawdę dobrze, jego basałyk opadł.

Trudi utkwiała zdumiony wzrok w przyjaciółce.

— Nie mów, że ci się to podobało! Skonfundowana Bona przytaknęła.

— A tobie nie?

— Nie! Ja tego wcale nie chciałam, ale... — Trudi przerwała, bo w pewnym sensie nie było to zgodne z prawdą. W ciągu ostatnich tygodni wyobrażała sobie nieraz, jakby to było mieszkać razem z Georgiem von Gressingenem jako małżeństwo i robić z nim te rzeczy. A teraz to się stało. A ona niewiele z tego pamiętała, a na dodatek zasnęła w trakcie. — To przez to wino! Gdybym się nie upiła, nie doszłoby do tego — Trudi pocieszała samą siebie. Żałowała trochę, że junkier Georg nie poczekał do nocy poślubnej, ale wielką namiętność, jaką do niej pałał, poczytywała na jego korzyść. Poza tym jeszcze tego samego dnia poprosi ojca o jej rękę. Trudi będzie wprawdzie nadal miała grzech na sumieniu, ale nie będzie to grzech śmiertelny. Nie miała też zamiaru spowiadać się z tego. Ale zmówi kilka razy *Ojczy nasz* i *Zdrowaś Mario* i poprosi Zbawiciela o wybaczenie.

Jej pokutny nastrój nie utrzymał się długo. Teraz, gdy przeszły jej mdłości i głowa przestała tak bardzo boleć, pomyślała o przyszłości i wyobraziła sobie, jak pięknie będzie zostać kasztelanką zamku w Gressingen. Gwałtownie zachciało jej się jednak pić, więc porzuciła marzenia i podeszła do źródła, którym pogardziła Bona.

Na myśl o Bonie skrzywiła się. To była jej wina, że doszło do tych nieprzyzwoitych rzeczy. Gdyby nie nalegała, że chce się napić wina, to nikt by się nie upił i nie zapomniał o przyzwoitości. Trudi przynajmniej oddała swe dziewictwo człowiekowi, z którym łączy ją miłość i który się z nią ożeni, natomiast Bona zdradziła narzeczonego i zachowywała się jak suka w rui.

Ta ostatnia myśl sprawiła, że Trudi zadarła nosa, ale zaraz potem sama siebie zganiła za pychę. Nie powinna zwałać na przyjaciółkę całej winy za to, co «ię stało, bo sama też się nie zachowała jak na cnotliwą dziewicę przystało.

Gdy ugasiała pragnienie, uniosła spódnice, żeby się podmyć, bo uda jej się kleiły, i ogarnęło ją przerażenie. Na nogach miała zaschniętą krew, a na sukni też były krwawe plamy. Przed ojcem bez problemu ukryje, co się stało, ale gdy matka zobaczy zabrudzoną suknię, domyśli się wszystkiego i zrobi awanturę, która przyćmi wszystkie dotychczasowe. Zastanawiała się, czy nie powinna powiedzieć, że dostała miesiączki i za późno się spostrzegła. Ale ostatnią menstruację miała dwa tygodnie temu, więc matka na pewno jej nie uwierzy. Trudi zacisnęła zęby i zaczęła się myć oraz spierać krew z materiału.

Bona podeszła i warknęła: — Musisz zanieczyszczać źródło? Ja też chciałam się napić!

Zarzut był bezpodstawny. Zdrój tryskał na wysokości ich oczu. Jeśli nawet nabierała wody rękoma, żeby się umyć, to z góry cały czas napływała świeża woda. Mimo to Trudi odeszła kilka kroków i kontynuowała czyszczenie odzieży nad strumykiem zasilanym przez źródelko.

Gdy podniosła oczy, zobaczyła, że Bona robi dokładnie to, za co jej właśnie czyniła wyrzuty. Myła się bezpośrednio przy źródle, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Takie zachowanie nappełniło Trudi goryczą. Pożałowała, że prosiła ojca o zabranie do Fuchsheimu. Chciała odwiedzić Bonę, a po cichu żywiła też nadzieję, że ponownie zobaczy junkra Georga. Nie przejmowała się, że

swoim wyjazdem ściągnie sobie na głowę niezadowolenie matki, która wolałaby, żeby córka została w domu i nadzorowała pracę dziewczek służebnych.

Trudi jednak się uparła, co zakończyło się stosunkiem z mężczyzną, do którego od kilku tygodni żywiła głębsze uczucia. Inaczej wyobrażała sobie to wydarzenie, w piękniejszych okolicznościach. Martwiła się też, że akt miłosny nie dał jej zbyt wiele przyjemności. Miała nawet wyrzuty sumienia, bo w trakcie usnęła. Bała się, że mogło to rozczarować junkra Georga, dlatego przysięgła sobie, że będzie dla niego oddaną żoną i zrobi wszystko, by był z nią szczęśliwy.

8.

Gdy Georg von Gressingen wkroczył na dziedziniec zamkowy, natknął się na swego stryja Albacha. Na wychudzonej twarzy starca malowała się gburowatość, a podłużna blizna na lewym policzku drgała pod wpływem hamowanej irytacji.

— No, jesteś wreszcie! — zbeształ bratanka. Junkra zdziwił lodowaty ton głosu stryja.

— Co się stało?

— Ruszamy w drogę! Jest jeszcze dość wcześnie. Przed zmierzchem uda nam się dotrzeć do domu.

Gressingen był zaskoczony, bo jeszcze w południe zanosilo się na to, że Albach zamierza nocować w Fuchsheimie.

— Cóż was rozzłościło, stryju? — Gressingen w porę sobie przypomniał, że stryj, choć sam zwracał się do niego per ty, wymagał jednak w stosunku do siebie uprzejmiejszej formy, która mu przysługiwała jako starszemu krewnemu.

Albach wydał z siebie dźwięk, który zabrzmiał po części jak śmiech, po części jak złowieszcze parsknięcie: — Jeszcze nigdy nie usłyszałem tylu bzdur naraz, co dzisiaj. Ten głupiec Fuchsheim chce zawiązać koalicję przeciwko Jego Ekscelencji księciu biskupowi. Gdybym wiedział o tym wcześniej, w ogóle bym tu nie przyjechał. Nasza rodzina jest przecież skoligacona z Limpurgami. Ponadto mamy kilka zamków i wsi, które podlegają Würzburgowi. Rozzłościć biskupa Gotfryda to jak własnoręcznie ściąć gałąź, na której siedzi cała nasza rodzina.

— Zdaje się, że pan Gotfryd Schenk zu Limpurg dość ostro traktuje ludzi i żąda przysięgi wierności poddańczej również od szlachetnie urodzonych, którzy od pokoleń zasiadają na swoich zamkach jako wolni panowie wtrącił Georg.

Albach wzruszył ramionami.

— Kto jest mądry, to i w takich czasach potrafi odkroić dla siebie kawałek tortu.

Gotfryd, jako książę biskup, ma możliwość rozdania wielu urzędów, wójtostw i zamków, a liczyć na nie mogą ci panowie, których wierności może być pewny.

Ostatnio byłem na zamku Marienberg i rozmawiałem z biskupem. Gotfryd zrobił aluzję, że mógłbym otrzymać wójtostwo w Schwappach. Ilobie też by się opłacało wstąpić do niego na służbę. Jest opiekunem wielu młodych dziedziczek, dla których szuka odpowiednich mężów.

Gressingen machnął ręką: — Z pewnością nie tak bogatych, jak taka jedna, którą sobie upatrzyłem. Właściwie chciałem dzisiaj udać się do Michała Adlera i poprosić go o rękę córki.

Stryj gwałtownie potrząsnął głową.

— Nic z tego nie będzie! Kibitzstein był serdecznym przyjacielem biskupa Johanna von Brunna, mającego opinię utracjusza, a następca Brunna, Gotfryd, nie darzy go zbyt dużym poważaniem. Pan Gotfryd podejrzewa, że jego poprzednik przekazał Michałowi Adlerowi majątek kapituły katedralnej w Würzburgu za psie pieniądze, a tym samym spowodował straty biskupstwa. A na dodatek Kibitzstein jest wrogo nastawiony do pana Gotfryda, bo zarówno Fuchsheimowi, jak i opatowi Pankracjuszowi doradzał, by odrzucili zasadne żądania biskupa i złożyli skargę do sądu cesarskiego.

— Sąd najwyższy dla Frankonii znajduje się w Würzburgu, więc wyrok z pewnością będzie zgodny z wolą biskupa — zauważył Georg.

— Powiedziałem: sąd cesarski, nie sąd frankoński! — krzyknął Albach. Gdy próbował wyjaśnić bratankowi, co wydarzyło się na zamku Fuchsheim, olśniła go myśl, jak może wykorzystać zasłyszane tu rzeczy dla własnej korzyści. — Wracamy teraz do domu, a jutro pojedziemy do Würzburga, by porozmawiać z Jego Ekszelencją i ostrzec go przed knowaniami Fuchsheima i Kibitzsteina. A przy okazji napomknę, że chciałbyś ożenić się z jakąś bogatą dziedziczką.

Gressingen był zaskoczony werwą stryja i jego planami. Oczekiwał, że Albach będzie zajadle bronić wolności, którą jego ród wywalczył sobie w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Ale jeśli służąc księciu biskupowi może osiągnąć jeszcze większe zaszczyty, to trudno się dziwić, że go popiera. Jeden z zamków stryja należał niegdyś do kapituły katedralnej, ale od dziesiątek lat jest wolnym majątkiem Rzeszy. Gdyby księżę biskup konsekwentnie realizował swoją zaborczą politykę, również stryj musiałby stanąć po którejś stronie: za Würzburgiem lub przeciw.

Najwidoczniej już teraz dokonał wyboru i był zadowolony z własnej decyzji.

Świadomość tego przeważała. Georg nie chciał stawać przeciwko swej rodzinie, żeniąc się z panną, której ojciec był wrogiem biskupa i na dodatek nie należał do żadnego potężnego rodu. W takim razie lepiej będzie zdać się na pomoc stryja.

Gressingenowi przemknęła przez głowę myśl, że Maksymilian von Albach do tej pory palcem dla niego nie ruszył. Ale teraz nie będzie mógł się zachowywać biernie, jeśli nie chce, by księżę biskup wystąpił przeciwko niemu i jego rodzinie. Tym samym Georg może spodziewać się narzeczonej, która w małżeństwo wniesie nie tylko pieniądze, ale i odpowiednie pochodzenie.

Dał wprawdzie Trudi słowo honoru, że poprosi Michała Adlera o jej rękę, ale nikt o tym nie wiedział poza nią i nim samym. Ona na pewno ni komu nie powie o tym, co się stało, żeby nie stracić reputacji. Mimo to wciąż przed oczami miał scenę, jak przed nią klęczy i składa honorową przysięgę, że ją poślubi.

Przysięga rycerska to rzecz święta, jeśli ją złamie, może trafić na wiele lat do czyśćca. Poza tym panna była naprawdę śliczna. Gdyby miał w łóżu małżeńskim znaleźć się z inną żoną, to i tak będzie myślał o Trudi. Nagle poczuł wątpliwości.

Zastanawiał się, czy uraza Gotfryda Schenka do ojca panny była naprawdę tak duża, jak stryj chciał mu to wmówić. Jednak zaraz potem potrząsnął głową, parszkając za złości. Jego stryj z pewnością nie ostrzegałby go, gdyby nie miał ku temu powodu.

Poza tym Trudi wywodziła się z plebsu, czego nie mógł zmazać nawet tytuł szlachecki nadany jej ojcu. Przede wszystkim plotkowano na temat jej matki, a to co mówiono, nie stawiało niewiasty w dobrym świetle. Natomiast ojciec panny był pochodzenia mieszczańskiego, przez wiele lat służył jako żołnierz najemny i tylko za sprawą szczęśliwego przypadku uzyskał przychylność cesarza Zygmunta.

Nie, lepiej będzie pójść za radą stryja. A boskiego potępienia nie ma co się zbytnio obawiać. Wcześniej czy później znajdzie kapłana, który uwolni go od grzechu, nakładając jakąś pokutę, tłumaczył sobie w duchu, próbując wyprzeć Trudi ze swych myśli.

W tym czasie Albach wspiął się na konia, którego podprowadził stajenny.

Gressingen odebrał z rąk stajennego drugiego konia i wskoczył na siodło z uczuciem, że właśnie uratowano go przed popełnieniem poważnego błędu. Gdy ze stryjem opuścił lekkim kłusem zamek, był zadowolony, że nie natknęli się na Trudi.

Żeby oderwać od niej myśli, zrównał swego ogiera z koniem Albacha i powiedział: — Ciekaw jestem, nad jakimi dziedziczkami pieczę sprawuje pan Gotfryd. Im będą bogatsze, tym bardziej będą mi odpowiadać.

Albach przytaknął z zadowoleniem, bo bratanek tymi słowy udowodnił, iż ma na tyle rozumu, żeby dostrzec, gdzie może odnieść korzyści: — Już ja się postaram, żeby najlepsza przypadła tobie.

9.

Trudi i Bona ruszyły w drogę powrotną do zamku, ale nie rozmawiały ze sobą. Obie pogrążone były w myślach. Rozważania Trudi pełne były radosnego oczekiwania, natomiast Bona czuła jeszcze większą odrazę do małżeństwa z trzy razy starszym mężczyzną. Do przyszłego męża nie potrafiła wzbudzić w sobie ani przyjaźni, ani sympatii, nie wspominając o miłości.

Zazdrościła więc Trudi, o którą miał się starać taki wspaniały młody rycerz. Żadna z nich nie zwróciła uwagi na dwóch jeźdźców na horyzoncie.

W końcu Bona została troszkę z tyłu, bo nie mogła znieść zadowolonej twarzy Trudi. Gdyby miała tak duży posag co przyjaciółka, to z pewnością Georg von Gressingen byłby teraz jej narzeczonym. Junkier zdecydował się przecież na Trudi, bo jej ojciec był znacznie zamożniejszy niż większość rycerzy i kasztelanów we Frankonii. A Bonie pozostawał wybór między narzeczonym w typie Mertelsbacha a wstąpieniem do klasztoru.

Nie potrafiła ukryć swych uczuć przed Trudi, która tym bardziej cieszyła się na ponowne spotkanie z junkrem Georgiem i nie zaprzętała sobie już głowy Boną.

Ostatnie zakręty stromej dróżki Adlerówna pokonała lekką nogą, przeszła przez bramę i rozejrzała się. Ale tu również nie widać było junkra Georga. Miała nadzieję, że spotka go po drodze do zamku i razem z nim stanie przed ojcem. Teraz poczuła w piersi ukłucie zawodu. Dziedziniec zamkowy był pusty. Jedyne parobek miotł z chrustu i drewnianą szufelką sprzątał świeże odchody końskie i zrzucał je na kupę gnoju. Po holu budynku mieszkalnego krążyli tylko służący. Gdy przeszła próg sali rycerskiej i skierowała się do schodów, stwierdziła, że panowie skończyli już swoją naradę. Tylko Fuchsheim i jego przyszły zięć Mertelsbach siedzieli

jeszcze przy stole, trzymali w ręku puchary i nie wyglądali na zbyt trzeźwych.

Ten widok nappełnił Trudi dumą z ojca, który najczęściej pijał wino umiarkowanie, żeby zachować trzeźwy umysł. Jeden jedyny raz był naprawdę pijany, ale nawet wtedy w jej oczach miał więcej godności niż ci dwaj starcy.

Odwróciła się do Fuchsheima i Mertelsbacha plecami i poszła dalej. Dwie kondygnacje wyżej znajdowały się pomieszczenia, gdzie uszykowano sypialnie dla niej i ojca. Niestety w starym zamku było dość mało miejsca, dlatego musiała dzielić łóżko z Hertą von Steinsfeld, a ojciec spał razem z jej synem oraz opatem Pankracjuszem.

W nadziei, że Gressingen już poprosił o jej rękę, otworzyła drzwi komnaty ojca i zajrzała do środka. Dostrzegła jedynie Hardwina von Steinsfelda, który leżał na łóżku, chrapiąc, i odsypiał rausz.

— Na pewno ojciec i junkier Georg znaleźli odpowiednie miejsce, żeby ze sobą porozmawiać — powiedziała sama do siebie, zastanawiając się, gdzie ma ich obu szukać. Byłoby jednak niegrzecznie przeszkadzać im w rozmowie, dlatego postanowiła wrócić do przydzielonej komnaty i poczekać, aż ojciec wezwie ją do siebie. Gdy weszła do środka, zastała tam Hertę von Steinsfeld, która zmęczona długą naradą, leżała w łóżku i chrapała równie głośno jak jej syn. To będzie kolejna źle przespana noc, pomyślała Trudi, wzdychając. Zaprzagnęła znaleźć się z powrotem w domu.

Nie chciała przebywać w tym pomieszczeniu, więc ponownie ruszyła na poszukiwanie ojca. Znalazła go wreszcie w tylnej części zamku.

Michał chciał właściwie sprawdzić, gdzie podziewała się Trudi, ale natknął się w trakcie poszukiwań na opata Pankracjusza von Schöbacha, który wciągnął go w rozmowę. Ponieważ Schöbach należał do jego najbliższych przyjaciół, nie mógł go tak po prostu odesłać. Odłożył zatem poszukiwania Trudi na później.

Trudi rozczarowana, że rozmówcą ojca nie jest Georg von Gressingen, wycofała się i ruszyła na poszukiwanie ukochanego. Junkra jednakże nigdzie nie było, jakby rozpułynał się w powietrzu. Nagle natknęła się na Bonę.

— Nie wiesz, gdzie jest junkier Georg? — zapytała. — Chciał jeszcze dzisiaj porozmawiać z moim ojcem.

Bona już wiedziała, że Maksymilian von Albach po kłótni z jej ojcem opuścił zamek i zabrał ze sobą bratanka. Uśmiechnęła się zadowolona, bo wyglądało na to, że Trudi nie stanie przed ołtarzem z tym, który pozbawił ją dziewictwa. Jednakże i tak będzie miała wpływ na to, kto zostanie jej mężem. Przez chwilę ogarnęła Bonę zawiść gorzka jak żółć. Mam nadzieję, że jesteś w ciąży, pomyślała. To byłaby dla ciebie odpowiednia kara za zadzieranie nosa i za zarzucanie mi w drodze do zamku, że zachowałam się jak ladacznica.

— Na darmo szukasz junkra Georga. Udał się już do domu — rzekła na głos.

— Och nie, nie wierzę! — Trudi spojrzała z lękiem na Bonę. Przestraszyła się, że ojciec dał Gressingenowi odmowną odpowiedź. Trudno jej było w to uwierzyć, bo dzień wcześniej chwalił junkra Georga, ale mógł też wstrzymać się z odpowiedzią, by najpierw porozmawiać z żoną. A ta nie lubiła Gressingena. Po jego ostatniej wizycie w Kibitzsteinie powiedziała nawet, że jest mężczyzną bez charakteru i nikim więcej jak łowcą posagu. Trudi uważała, że ten zarzut jest niesprawiedliwy.

Sama nie dostrzegając w junkrze niczego nagannego i kochała go.

Nie, nie i jeszcze raz nie, powiedziała sama do siebie w myślach, gdy nie mogła pozbyć się wspomnienia matczynego głosu, wyrażającego się z dez aprobatą o junkrze. Georg kocha mnie i ożeni się ze mną. Przecież dzisiaj złączyliśmy się ze sobą na zawsze. Na pewno coś się stało, dlatego musiał opuścić Fuchsheim.

Bona widziała udrękę przyjaciółki i czerpała z tego satysfakcję. Trudi ją krytykowała, a teraz ma za swoje.

Wiara Adlerówny w Georga von Gressingena pozostała jednak niezłomna. Gdy później dowiedziała się od Herty von Steinsfeld, że Albach pokłócił się z gospodarzem zamku, usprawiedliwiała młodego rycerza jego obowiązkiem wobec starszego krewnego. Z pewnością w ciągu kilku następnych dni junkier przybędzie do Kibitzsteinu i się oświadczy. Z takim uczuciem położyła się do łóżka. Zasnęła szybko, choć czuła ból głowy, który pod wieczór jeszcze się nasilił, a ponadto Herta podczas snu poświstywała.

Michał Adler zauważył, że córka nie przyszła na kolację. Bona, której alkohol już całkiem wywietrzał z głowy, oświadczyła z przyjaznym uśmiechem, że Trudi wypłała we wsi o jeden kubek słodkiego wina za dużo. Zdziwiło go to, bo takie zachowanie nie pasowało do Trudi, ale Bona wyglądała kwitnąco, widać było po niej, że się przednio bawiła, więc doszedł do wniosku, że wycieczka spodobała się też jego córce.

10.

W ciągu następnych dni Georg von Gressingen często myślał o Trudi i dręczyły go wyrzuty sumienia. Jakaś częśćka jego duszy miała nadzieję, że stryj się myli i że Michał Adler zdoła zawrzeć porozumienie z nowym biskupem. Wtedy Georg mógłby swobodnie bywać w Kibitzsteinie i ubiegać się o rękę panny. Z pewnością biskup Gotfryd nie będzie mógł mu zaproponować równie zamożnej a jednocześnie urodziwej młodej dziedziczki. Dlatego był bardzo ciekaw, cóż przyniesie mu wizyta na zamku Marienberg. Miał być oficjalnie przedstawiony nowemu księciu biskupowi i gorączkowo oczekiwał audiencji. Zetknął się wprawdzie z Gotfrydem Schenkiem raz czy dwa razy, ale nie miał okazji zaprezentować się wielkiemu panu ze swej najlepszej strony.

Pan Albach bez chwili zwłoki stanął po stronie księcia biskupa, ale do Fuchsheima w tym czasie wielokrotnie przybywali również ludzie, którzy dostrzegali, jakie niebezpieczeństwa im grożą w związku z roszczeniami biskupa.

Nie czuli się jednakże na siłach, by uprzedzić poczynania agresora i zadeklarować się jako jego wrogowie. Rycerz Ludolf otrzymał wiele słów poparcia oraz niejedną ofertę pomocy, czego właśnie oczekiwał po zjeździe na zamku.

Jednak znamienici panowie tej części Frankonii, hrabiowie Castell, Hohenlohe i von Wertheim, których wspólnego stanowiska nawet würzburski biskup nie mógłby zignorować, nie przybyli i nie przysłali też żadnych posłańców. Mimo to ojciec Bony był dość zadowolony z tego, co udało mu się osiągnąć, i wziął się za szykowanie ślubu córki z Morycem von Mertelsbachem. Miał nadzieję, że podczas wesela jeszcze mocniej przeciągnie gości na swoją stronę.

Podczas gdy Bona nie mogła pogodzić się z losem, który wiązał ją z człowiekiem stojącym na progu zgrzybiałej starości, Hardwin von Steinsfeld w ciągu kolejnych dni przemykał po korytarzach rodzinnego zamku jak

struchlały króliczek, tak jakby miał nieuchronnie zostać postawiony przed sądem. Dotychczas jego matka odkrywała każdą tajemnicę, więc spodziewał się, że w każdej chwili spaść może na niego grad wyrzutów i oskarżeń.

Choć Herta von Steinsfeld złorzeczyła na wszystko i na każdego, również na prawdziwe i rzekome wady syna, to naganego czynu, którego faktycznie się dopuścił, nie wspomniała. Gdy wiadomo już było, że von Fuchsheim zaprosi ich na ślub córki, który miał się odbyć za kilka tygodni, rozgoryczenie Hardwina było jeszcze większe. Nie chciał jechać na ślub, by nie widzieć, jak Bona zostaje żoną innego. Cierpiał też z powodu następstw swego czynu. Gra miłosna z Boną rozpałała drzemiące w nim namiętności, ale gdy porównywał domowe służące z panną z Fuchsheimu, wydawały mu się brzydkie i odpychające. Z każdym dniem coraz bardziej zazdrościł Morycowi von Mertelsbachowi.

Herta von Steinsfeld plany pana Fuchsheima omawiała praktycznie sama z sobą, bo syn był najczęściej niezabierającym głosu słuchaczem. Na zamku Kibitzstein zaś toczyły się na ten temat liczne dyskusje. Michał był bardziej niż kiedykolwiek zdania, że tylko ścisła koalicja kasztelanów jest w stanie stawić i czoła pożądanym zakusom biskupa z Würzburga. Koalicję należało zawrzeć jawnie i zgodnie z prawem Rzeszy. Wiedział jednak, że w landach położonych nad Menem prawie niemożliwe było zjednoczenie tak wielu rycerzy Rzeszy.

Opat Pankracjusz towarzyszył Michałowi w drodze do Kibitzsteinu, gdzie zamierzali się wspólnie naradzić. Ponieważ kasztelan z żoną zaferowali mu dom wolny od gości, pozostał tam przez kilka dni i rozkoszował się rozmową z panem domu jak również kuchnią, która nie ustępowała kuchni jego klasztoru. Na Kibitzsteinie jadano nawet z większym urozmaiceniem, ponieważ kasztelanka podróżowała w dalekie strony i mogła dzięki temu zapoznać się z potrawami wielu krajów.

W przeciwieństwie do Marii, Michał nie zauważył, że Trudi zaczęła swe obowiązki wykonywać niedbale. Ani nie przykładała się do pilnowania służby, ani sama nie wykonywała żadnych prac, tylko biegała wciąż na balkon i spoglądała w dół, na drogę prowadzącą od Habichten do zamku. Gdy wracała, nie miała już na twarzy radosnego wyrazu oczekiwania. Zagryzione wargi zdradzały rozczarowanie. Maria, która z zatroskaniem obserwowała córkę, miała wrażenie, że Trudi za każdym razem gdy zostawała sama, popłakiwała. Gdy panna po raz kolejny wyszła na balkon, zamiast czuć, czy piec się właściwie rozgrzewa, matka pokuśtykała o lasce za nią.

— Kogo tak wyglądasz? — spytała.

Trudi spłoszyła się, chwyciła rękoma poły spódnicy i chciała się prześlizgnąć, żeby móc wrócić na dziedziniec. Jednak Maria ją mocno przytrzymała.

— Masz może jakieś tajemnice przed ojcem i mną?

Trudi potrząsnęła głową, wysunęła dolną wargę jak zawsze, gdy okazywała krnąbrność.

Maria westchnęła i spróbowała obdarzyć córkę pełnym zrozumieniem spojrzeniem, choć złościło ją, że latorośl zaniedbywała obowiązki.

— Co się z tobą dzieje? Nie chcesz mi powiedzieć?

Tym razem Trudi mniej gwałtownie potrząsnęła głową, lecz Maria zrozumiała, że nie ma sensu stawiać dalszych pytań. Jeśli będzie naciskać, to skończy się na gwałtownej sprzeczce. Dlatego odpuściła i w milczeniu patrzyła za córką, która tak szybko zbiegła po schodach, jakby rada była, że

może się oddalić od matki.

Maria była rozczarowana, że córka jej nie ufa. Westchnęła głęboko. Zrobiła na pewno jakiś błąd w jej wychowaniu. A przecież zawsze chciała dla niej wszystkiego co najlepsze. Ale Trudi nie potrafiła zrozumieć, że jako najstarsza ma więcej obowiązków niż młodsze siostry. Kasztelanka oczekiwała zdecydowanie więcej wsparcia ze strony dorosłej córki, szczególnie teraz, gdy z powodu zranionego kolana mogła się poruszać tylko za pomocą laski mimo wielu maści, które sporządziła jej przyjaciółka, koźlarka Hiltrud.

Ze zmęczenia Maria opuściła ramiona. Postanowiła, że porozmawia z mężem na temat Trudi. Michał był bardzo przywiązany do córki. Pod każdym względem przedkładał ją nad resztę rodzeństwa. Było to wielce niesprawiedliwe, zwłaszcza w stosunku do ich jedyne go syna, który kiedyś odziedziczy Kibitzstein i dlatego najbardziej potrzebował rad i uwagi ojca.

W tym czasie Falko przebywał u hrabiego Henryka na zamku Hettenheim, gdzie będąc giermkim, uczył się, jak zostać dzielnym rycerzem. Również ich wychowanek Egon opuścił Kibitzstein i służył jako giermek panu Konradowi von Weilburgowi. Maria kochała obu chłopców równie mocno co Lisę i Hildegardę.

Całej czwórce próbowała zrekompensować miłość, której Michał im skąpił.

— Pani, czemu jesteście taka zamyślona? — Anni, szafarka, dostrzegła Marię na balkonie i wspięła się do niej na górę.

Maria uczyniła ręką ruch, jakby chciała złapać szybujące myśli, i ciężko westchnęła.

— Nie wiem, co począć z Trudi. Jako dziecko była niesforna, ale kochana. Od dwóch lat jest jednak bardziej uparta niż muł. Trudno w ogóle z nią wytrzymać.

— Nie jest wcale tak źle.

Na ustach Anni pojawił się pełen zakłopotania uśmiech. Nie miała śmiałości powiedzieć swej pani, że Trudi często do niej przychodziła i skarżyła się, że matka ją niesprawiedliwie traktuje. Anni w wyniku wielu rozmów prowadzonych z Marią i jej córką doszła do wniosku, że obie kochają się nawzajem z całego serca, ale są jednakowo uparte, dlatego dochodzi między nimi do scysji.

Kasztelanka machnęła ręką.

— To ty tak mówisz. Ale ja nie wiem, co mam zrobić. Jeśli uczynię cokolwiek, co nie jest po jej myśli, pobiegnie od razu na skargę do Michała, a ten przecież spełnia jej wszystkie zachcianki.

W oczach Marii rozbłysła irytacja. Anni zabrakło odwagi, by powiedzieć coś na obronę Trudi. W jednym pani miała rację: od kiedy dziewczę wróciło z Fuchsheimu, zachowywało się dziwnie.

Anni postanowiła zagadnąć Trudi w tej sprawie, jednak przedtem należało załagodzić gniew pani.

— Na waszym miejscu, pani, nie martwiłabym się tak o Trudi. Ona jest w trudnym wieku. Z pewnością to wkrótce minie.

— Co? Ile córek wychowałeś, że możesz tak mówić? — W głosie Marii zabrzmiała ironia, bo Anni ciągle jeszcze była niezamężna i zanosilo się na to, że zostanie starą panną. Zbliżała się do trzydziestki i pomimo chudości była niczego sobie.

Anni, słysząc ironię w głosie pani, schowała głowę, ale nie ustępowała.

— Oczywiście, że sama nie wydałam na świat córki, ale miałam do czynienia z Marielą i Mechtyldą, gdy były właśnie w tym wieku. Trudi zaprawdę nie zachowuje się o wiele gorzej niż te dwie.

Powołanie się na córki koźlarki Hiltrud pomogło. Po pierwsze, Hiltrud była najlepszą przyjaciółką Marii, a zarazem chrzestną Trudi, Maria natomiast podawała do chrztu Marielę, a później wydała ją za zamożnego kupca ze Schweinfurtu. A po drugie, już sama myśl o wieloletniej towarzysze podróży i osobie, której zawdzięczała życie, wywoływała u Marii kojące działanie. Kasztelanka również tym razem uśmiechnęła się i spojrzała w stronę, gdzie u stóp wzgórza znajdował się folwark i gospodarstwo Hiltrud. Koźlarka i jej mąż kilka lat temu wzniesli solidne budynki i otoczyli teren mocnym murem, tak że ich posiadłość przypominała mały zamek.

— Hiltrud z pewnością czeka na moją wizytę i jest zasmucona, że z powodu chorej nogi nie mogę do niej przyjść.

Maria delikatnie pogładziła ręką kolano i jęknęła, gdy odezwał się ból, który promieniował aż do palców stóp. Anni wskazała ręką stajnię i zapytała: — Czy mam kazać dla was zaprzęgać, pani? Droga jest krótka. Jeśli usiądziecie na miękkim siedzeniu, dotrzecie na miejsce bez problemów.

— Każ zaprzęgać! — rozkazała Maria. Zapragnęła odwiedzić przyjaciółkę. Może Hiltrud, która kierowała się zdrowym rozsądkiem, poradzi jej, jak postępować z Trudi. Przecież sama wychowała dwie córki, a obie w wieku Trudi były trudne do okiełznania. Dobrze pamiętała, jak często Mariela i Mechtyldą przychodziły do zamku, żeby poskarżyć się na matkę.

Wspomnienie tych chwil wywołało uśmiech na ustach Marii. Anni dostrzegła to i odetchnęła. Jej pani miała złote serce, choć gdy coś nie było po jej myśli, potrafiła wpaść w furję. Ale zdaje się, że tym razem została udobruchana.

11.

Maria nie odwiedziła jednak Hiltrud tak szybko, jak tego pragnęła. Opat Pankracjusz usłyszał o jej podróży do kraju Moskali i chciał się dowiedzieć, jak w tej odległej krainie wygląda życie. Dlatego szafarka musiała polecić stajennym, by z powrotem wyprzęgli konie.

W tym czasie Trudi nie mogła wysiedzieć na zamku i wybrała się do koźlarki.

Koźlarka, wysoka, masywnie zbudowana niewiasta o białych włosach i jeszcze dość gładkiej jak na jej lata cerze, karmiła właśnie kozy resztkami posiłku. Od razu dostrzegła, że chrześniaczka ma jakiś problem.

Szybko rzuciła kozom ostatnie okruchy chleba i ruszyła do domu. Dała znak Trudi, by poszła razem z nią.

— Na pewno jesteś głodna. Chodź ze mną, dam ci chleba z kiełbasą — zaproponowała.

Trudi nie była w ogóle głodna, znała jednak koźlarke i wiedziała, że nie może odrzucić jej oferty.

— Dziękuję, ciociu Hiltrud — powiedziała grzecznie i poszła za leciwą niewiastą do domu.

W kuchni Hiltrud wskazała brodą krzesło, a następnie przyniosła z chłodnej piwnicy, służącej jej za spiżarnię, chleb, masło i kiełbasę.

— Cóż ci leży na sercu? — zapytała, krojąc chleb i smarując go grubo masłem.

— Skąd ci przyszło do głowy, że coś mi może leżeć na sercu?

Trudi próbowała się roześmiać, ale z gardła wydobył jej się jedynie żalony jęk.

— Oczywiście, że coś ci leży na sercu. Poznaję to po twoim nosie. Chcesz się napić wina?

To pytanie przypomniało Trudi, jak w lesie pod Fuchsheimem wypła za dużo, więc z obrzydzeniem potrząsnęła głową.

— Nie, dziękuję. Wystarczy mi kubek herbaty ziołowej.

— Dobrze. — Hiltrud podeszła do kuchni, wzięła szmatkę i chwyciła przez nią garnek, w którym miała gorący napar z melisy, mięty i rumianku.

Wprawdzie przygotowałam te zioła dla chorej kozy, ale są dobre i na chore serce— powiedziała, napełniając kubek ciemnym płynem.

— Przed tobą nie da się niczego ukryć — Trudi westchnęła ciężko i spust ła wzrok na podłogę.

— Tak źle?

— Jest nie tylko źle, ale jest... bardzo źle. — Dziewczę spojrzało na chrzestna wzrokiem wystraszonego kotka. — Chodzi o to, że... no wiesz... Jest pewien młody rycerz. I on... ach... on mi się bardzo podoba.

Hiltrud pokiwała w zadziwieniu głową. To co usłyszała, nie pasowało do Trudi.

Koźlarka miała dotychczas wrażenie, że Trudi jest silna psychicznie i potrafi pokazać charakter. A teraz widziała przed sobą bezradne dziecko, na którego widok krajało się serce. Wzięła chrześniaczkę łagodnie w ramiona i przycisnęła do piersi.

— Nie powiesz mi, co cię dręczy? W ciągu mego życia nieraz doświadczyłam, że lepiej jest czasem zwierzyć się drugiemu człowiekowi. Ja z pewnością zachowam to dla siebie.

— Wiem o tym, ciociu Hiltrud. Dlatego przyszedłam do ciebie. Potrzebuję kogoś, z kim mogłabym porozmawiać, w przeciwnym razie zwariuję.

— Chyba nie jest aż tak źle?

Koźlarka przejęła się. Znała Trudi, od kiedy ta przyszła na świat w jej domostwie.

Nieraz słyszała, jak panienka śmieje się z rzeczy, z powodu których inne dziewczęta wybuchały płaczem. Skoro teraz jest taka przybita, musiało stać się coś naprawdę strasznego.

Hiltrud naciskała, żeby Trudi napiła się herbaty ziołowej, której przypisywała uspokajające działanie. Przysiadła się do panny i czekała na dalszy ciąg zwierzeń.

Po tym jak jej własne dzieci, z wyjątkiem jednego syna, opuściły dom, żyła sobie cicho i spokojnie. Jej pierworodna córka wyszła za mąż, najstarszy syn Michał, nazwany tak na cześć kasztelana, służył Kibitzsteinom na zamku Kessnach w Odenwaldzie, Mechtylda pracowała na zamku Kibitzstein jako kucharka, a Giso, najmłodszy, uczył się w seminarium duchownym. Tylko Dietmar pozostał na gospodarstwie. Pracował zazwyczaj w ciszy i skupieniu. Często Hiltrud żałowała, że teraz w domu panuje taki spokój. Ale tego dnia była zadowolona, że nikt nie wpada ciągle do kuchni, bo inaczej nie udałooby jej się skłonić Trudi do mówienia.

Ponieważ widziała, że panienka dusi coś w sobie, objęła ją i zręcznymi pytaniami sprawiła, że Trudi opowiedziała o Georgu Gressingenie. W opowieści junkier był szykownym młodym mężczyzną, z którym nie równa się żaden inny. Można było wyczuć, jak mocno Trudi pokochała tego człowieka. Nie powinien to być wszelako powód do płaczu,

bo Michał z pewnością przyjąłby młodziana z najwyższym ukontentowaniem jako zięcia. Ale Hiltrud wiedziała również, że Maria w przeciwieństwie do Michała i Trudi nie darzyła junkra zbyt dużą sympatią. Gressingen za bardzo przypominał jej niegdysiejszego śmiertelnego wroga Michała — Falka von Hettenheima, a zarazem miał pewne cechy magistra Ruppertusa Splendidusa, który zabił jej ojca, a ją samą pozbawił domu i czci. Ponieważ Hiltrud zakładała, że obraz Gressingena w oczach Marii był zmałowany jej uprzedzeniami wobec młodych szlachciców, miała gorącą nadzieję, że ukochany Trudi ma szlachetny charakter i zasługuje na taką miłość.

Jednak poznawszy szczegóły, Hiltrud straciła złudzenia. Trudi, choć przyszło jej to niełatwo, wyznała bowiem, co wydarzyło się w lesie w Fuchsheimie, i na koniec zapłakana dodała, że od tego dnia czeka, aż Georg pojawi się w Kibitzsteinie i dotrzyma swej przysięgi.

Wyznanie to tak bardzo przeraziło matkę chrzestną, że potrzebowała dłuższej chwili, by zapanować nad emocjami. Objęła chrześniaczkę, aby ją pocieszyć, ale przecież Trudi nie była już małym dzieckiem, które uderzyło się w nogę. Tego co się stało, czas nie uleczy. Trudi straciła cnotę z mężczyzną, który nie zasługiwał na jej miłość. Będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli junkier w kręgu znajomych nie pochwali się swą zdobyczą.

Może jednak oceniała go zbyt pochopnie. Może przeszkodziły mu obowiązki lub choroba, dlatego nie przybył do Kibitzsteinu i się nie oświadczył. Nim Hiltrud dokończyła tę myśl, Trudi to samo powiedziała na głos: — Musiało stać się coś nieoczekiwanego, inaczej junkier Georg już by tu przybył. Na pewno przyjedzie w najbliższych dniach i będzie prosił mnie o wybaczenie za zwłokę. Ale jeśli do końca tygodnia nie dostanę od niego żadnej wiadomości, sama konno pojedę do Gressingen i sprawdzę, co się stało.

Hiltrud puściła dziewczynę i załamała ręce: — Dziecko, nie możesz tego zrobić! — krzyknęła. — Twoi rodzice nigdy w życiu nie pozwolą ci na samotną podróż.

Błysk w oczach Trudi był znakiem, że dziewczę w razie potrzeby potajemnie opuściłoby ojcowski zamek, żeby spotkać się ze swym lubym. Ale jeśli to uczyni i wszystko wyjdzie na jaw, to ściągnie na siebie taką niesławę, że zaden mężczyzna nie będzie już się starał o jej rękę.

— Powinnaś poczekać na jakąś wiadomość od junkra Georga. Prawdopodobnie musiał w wielkim pośpiechu udać się w podróż, inaczej wysłałby do ciebie jakąś wiadomość.

— O tym nie pomyślałam.

Trudi tak silnie uchwyciła się tej możliwości, że Hiltrud w duchu błagała Przenajświętszą Panienkę, żeby Georg von Gressingen jak najszybciej przybył.

— On musi przyjechać i ożenić się ze mną! Przecież oddałam mu cnotę. Tym razem głos Trudi zabrzmiał tak wojowniczo, że Hiltrud przeraziła się, do czego panna jest zdolna, jeśli jej pragnienie nie zostanie spełnione.

— Może powinnaś powiedzieć o wszystkim matce, a ona porozmawia z twoim ojcem.

Michał ma taką zdolność perswazji, że na pewno zmusi Gressingena do dotrzymania słowa.

Trudi aż skoczyła ze strachu i zamachała rękoma.

— Nie! Mama nie może się o tym dowiedzieć. Nie pytaj, ile razy

prawiła mi kazania, że muszę strzec swej niewinności, jakby to był największy skarb na ziemi. A przy tym sama nie była przecież dziewicą, gdy wychodziła za ojca.

W ostatnim zdaniu zabrzmiała taka pogarda, że Hiltrud wyrwała się ręką. Gdy uderzenie piasnęło w policzek, przestraszyła się co najmniej równie mocno jak Trudi. Złapała jednak chrześnicę za ramiona i przyciągnęła do siebie tak blisko, że ich nosy się prawie zetknęły.

— Nigdy nie mów źle o swojej matce! Ona jest najlepszym człowiekiem na świecie!

Radzę ci porozmawiać z nią, bo jeśli dowie się o wszystkim od obcych, to będzie miała prawo być na ciebie zła.

Trudi uwolniła się gwałtownym ruchem.

— Mama mi nigdy nie uwierzy, jeśli jej powiem, że byłam pijana i właściwie wszystko zdarzyło się wbrew mojej woli. Będzie mnie uważała za taką samą ladacznicę jak Bonę von Fuchsheim.

Hiltrud westchnęła.

— Dziecko, ja naprawdę nie przykładam nadmiernej wagi do nienaruszonej błony dziewiczej. Wiele kobiet jest wbrew swej woli wykorzystywanych. Jednak w kręgach, w które weszli twoi rodzice, rano po nocy poślubnej sprawdza się prześcieradło, czy jest na nim krew. Na Boga, jeśli tylko będę mogła, pomogę ci, żeby twój narzeczony i jego rodzina byli zadowoleni. Ale niebezpieczeństwo jest większe, niż sądzisz. Gdyby Georg von Gressingen sam twierdził, że cię wziął, można by to było potraktować jako zniesławienie i zagrozić mu wojną. Ale jeśli Bona i Hardwin będą to samo rozpowiadać, wtedy twoja reputacja jest zrujnowana.

W takim wypadku nawet twój posag nie zmaże hańby, a twoi rodzice prawdopodobnie nie będą mieli innego wyjścia, jak oddać cię do klasztoru.

Stara koźlarka przemawiała do Trudi jak do chorej kozy. Powtarzała, że panna powinna wyznać wszystko matce. Wprawdzie Maria na nią nakrzyczy, ale gdy ochłonie, pomoże znaleźć najwłaściwsze wyjście z sytuacji. Trudi mocno jednak wierzyła, że junkier Georg dotrzyma swej obietnicy i oficjalnie poprosi o jej rękę, a ona uniknie wymówek i kar ze strony matki. Podzielała bowiem zdanie Marii, że cnotliwa dziewica nie oddaje się przed ślubem mężczyźnie, lecz czeka, aż ją matka doprowadzi do łoża małżeńskiego.

12.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Trudi składała wizytę Hiltrud, Georg von Gressingen stał na blankach zamku Marienberg i wpatrywał się w rzekę, która oddzielała wzgórze zamkowe od miasta. Potem jego wzrok powędrował na dachy kamienic i kościołów, które ściśnięte były na płaskiej przestrzeni północnego nabrzeża. Tam, po drugiej stronie rzeki, było wiele bogactw, które nawet jego jako szlachcica oszałamiały. Miejscy kupcy zaopatrywali członków kapituły katedralnej i dwór biskupa w towary z całego świata i dobrze na tym zarabiali.

Gressingen znał niejednego kupca, który takiemu szlachcicowi jak on i liętnie by wcisnął do łoża małżeńskiego swą ukochaną córkę okrytą złotem i klejnotami. On jednak nie przykładął wagi do takiego małżeństwa, bo pieniądze takich narzeczonych nosiły zapach pospolitej pracy, a synowie z takiego związku nie mogliby brać udziału w ważniejszych turniejach Kzeszy, ani mierzyć się ze szlachetnie urodzonymi rycerzami. To niebezpieczeństwo groziło, jak uświadomił mu wuj Albach, również w

wypadku małżeństwa z córką Michała Adlera. Drzewo genealogiczne państwa von Kibitzsteinów z pewnością nie było szlachećne i niejeden herold kręciłby nosem, gdyby od niego zażądano, by je ogłosił.

Z drugiej strony Michał Adler został mianowany szlachcicem osobiście przez cesarza Zygmunta. Dlatego nie mógł uczestniczyć tylko i wyłącznie w dużych turniejach, w których również Gressingen mimo swego nienagannego pochodzenia nie mógłby brać udziału bez specjalnego zaproszenia. Dlatego niebezpieczeństwo, że potomkowie jego i Trudi Adler będą traktowani przez szlachtę jak obywatele drugiej kategorii, nie było zbyt duże.

Maksymilian von Albach czuł, że bratanka dręczą jakieś wątpliwości. Położył mu dłoń na ramieniu i zapytał: — Czemu się tak badawczo przyglądasz? Warowni czy statkom, które płyną po Menie?

Georg von Gressingen potrząsnął głową. — Ani temu, ani temu. Po prostu się zamyśliłem.

— Dałbym guldena, żeby dowiedzieć się, o czym właśnie myślałeś. Ale nie mamy czasu na rozmowy, bo zaraz staniemy przed czcigodnym panem. Uważaj na to, co mówisz, a najlepiej niczego nie mów. Nie chcę, byś palnął coś, co rozgniewałoby Jego Ekscelencję.

Gressingen wszedł za stryjem do zamku i zaraz potem znalazł się w przedsionku sali, w której Gotfryd Schenk zu Limpurg przyjmował petentów i gości. Przybyło wiele osób, a ponieważ ochmistrz wpuszczał najpierw co znamienitszych, Albach i Gressingen musieli nieco poczekać.

Albach wykorzystał ten czas, żeby porozmawiać ze znajomymi. Jego bratanek zaś z zawiścią przyglądał się odzieniu obecnych. Nawet zwykli mieszczanie, którym udzielony został przywilej audiencji, mieli na sobie świetnie skrojone kaftany.

Wprawdzie wybór materiałów na ubrania był ograniczony przez przepisy, które ustanowili już poprzednicy obecnego biskupa, ale to co noszono, było najlepszej jakości, a w wypchanych sakiewkach przytroczonych do pasów pobrzękiwało złoto.

— Przekłeta hołota zachowuje się tak, jakby Pan Bóg uczynił ją równą z nami— złorzeczył rozeźlony Albach, gdy ochmistrz wezwał grupkę kupców i wprowadził do sali.

— Chętnie spotkałbym się z nimi na otwartym polu i pozbawił ich tych trzosów — wymamrotał Gressingen.

Wprawdzie uwagę tę skierował tylko do siebie, jednak stryj przesłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Nie próbuj! Ta swołocz zaraz by przybiegła do biskupa, żeby się poskarżyć.

Jeślibyś miał szczęście, to Jego Miłościwość przysłałby jednego ze swych kapitanów wraz z setką najemników pod twój zamek i zażądał od ciebie, byś przeprosił i wynagrodził krzywdy tym kupczykom. Ale jeślibyś miał pecha, to od razu wezmą szturmem twój zamek i powieszają cię. Nie, mój chłopcze, są lepsze sposoby, żeby osiągnąć bogactwo.

Ponieważ mieszczanie właśnie opuścili salę audiencyjną, a herold podszedł do Albacha i Gressingena, rycerz nie mógł dalej mówić. Dał bratankowi tylko znak ręką, żeby poszedł wraz z nim, i ruszyli w kierunku drzwi. Dwóch służących otworzyło skrzydła drzwi, a chwilę później Georg von Gressingen stał przed księciem biskupem, panem Würzburga, który rościł sobie prawo do używania tytułu księcia Frankonii.

Gotfryd Schenk zu Limpurg siedział w biskupim ornatcie na krześle

przy

pominającym tron, jedynym meblu w całej sali. Był roslym mężczyzną, z twa rzy biła mu energia. Widać było, że na wskroś przeszedł władzą, jaką dawał mu sprawowany urząd. Jego alba sporządzona była z najdelikatniejszego sukna, na niej nosił dalmatykę obrębioną złotym haftem oraz bogato zdobiony ornat z czerwonego sukna. Rękawiczki i buty miał czerwone, na prawej dłoni tkwił duży złoty pierścień jako symbol wysokiej godności. W prawej ręce trzymał też laskę biskupią, która kończyła się złotym elementem, spiralnie zawiniętym. Na głowie miał mitrę ozdobioną wyhaftowanymi aniołami i symbolami w kształcie krzyża. Mitra sprawiała, że wydawał się jeszcze wyższy.

Obok Gotfryda Schenka stał mężczyzna w szatach papieskiego prałata, podobnych do odzienia biskupa. Tylko ornat połyskiwał nie czerwono, lecz złoto, a na głowie nie miał mitry, lecz płaski kapelusz z rondem w kształcie koła od wozu. Kilku kanoników uzupełniało świętę księcia metropolity, a za ironem stali zbrojni, którzy gotowi byli w każdej chwili interweniować. Milcząca i nieruchoma służba czekała pod ścianą na rozkazy księcia biskupa, gdyby nagle zażądał krzesła lub pucharu wina dla szczególnie ważnego gościa.

Albach i Gressingen nie zostali w taki sposób wyróżnieni. Pan Gotfryd spojrział najpierw nad ich głowy, potem raczył wykonać ręką gest pozdrowienia.

Jednocześnie prałat schylił się do jego ucha i coś szepnął. Biskup pokiwał głową i rzekł do gości: — Witajcie, rycerzu Maksymilianie, i wy, junkrze Georgu. Ponieważ dzisiaj mam wielu petentów, zajmie się wami prałat Cyprian Pratzendorfer.

Nie zabrzmiało to szczególnie serdecznie i Gressingen zaczął mieć wątpliwości, czy nadzieje, jakie wuj żywił wobec biskupa, nie są płonne. Potem dostrzegł, że prałat obserwował go z uśmiechem, który można by było nazwać przychylnym, ale jednocześnie badawczym.

Pratzendorfer schylił głowę przed biskupem, poprosił potem Albacha i Gressingena, żeby poszli za nim, i razem opuścili salę. Wkrótce znaleźli się w małej komnacie, gdzie stało kilka stołków. Służący wniósł lampę, w której ku zdziwieniu Gressingena paliła się droga świeca woskowa, wydająca przyjemny zapach. Z braku stołu postawił ją na parapecie.

— Życzą sobie panowie wina? — zapytał.

Gressingen chciał już poprosić o trunek, ale prałat go uprzedził: — Nie, możesz już iść.

Służący uklonił się w milczeniu, odwrócił i zamknął za sobą drzwi. Pratzendorfer zdawał się wsłuchiwać w kroki mężczyzny, których stukot dobiegał z zewnątrz, a jednocześnie wpatrywał się w Albacha z widoczną irytacją.

— Mój drogi rycerzu Maksymilianie, braliście udział w spotkaniu na zamku Fuchsheim i pokłóciliście się przy tym z gospodarzem i jego przyjaciółmi. Miałem nadzieję, że się zachowacie mądrzej.

— Ale ja... — Albach próbował się bronić, jednak prałat mu przerwał.

— Na Pana w niebiesiech! Dlaczego od razu zdradziliście tym ludziom swoje stanowisko? Powinniście byli udawać, że się z tymi awanturnikami zgadzacie, ażeby pozyskać ich zaufanie! Miałem nadzieję, że będziecie naszym uchem przy ich stołach. To dla nas sprawa najwyższej wagi.

Wreszcie Albach zaczął pojmować.

— Chcieliście, panie, żebym szpiegował wrogów biskupa. To zachowanie niegodne rycerza.

— W ten sposób moglibyście wykazać się lojalnością wobec pana Gotfryda. Jednak lekkomyślnie zmarnowaliście okazję ku temu. Módlcie się do Boga, żeby wasz bratanek był sprytniejszy niż wy. — Spojrzenie prałata spoczęło na Georgu von Gressingenie, który słuchał w osłupieniu i próbował nie pokazywać po sobie ekscytacji. — Wy, Gressingen, postaracie się zaprzyjaźnić z wrogami Jego Ekscelencji i sprawicie, że ich przestępcze plany spalą na panewce. Jeśli się dobrze sprawicie, polecę was innemu ważnemu panu w Rzeszy, na służbie u którego możecie zdobyć bogactwo i sławę.

Albacha rozgniewało, że nagle znalazł się w cieniu bratanka.

— Czcigodny panie, mogę przecież wrócić do Fuchsheimu i udawać, że jestem po stronie rycerza Ludolfa — zaproponował.

Spodziewał się aprobaty prałata, lecz ten tylko potrząsnął głową i stwierdził: — Na to już za późno. Ani rycerz Ludolf, ani ten uszlachcony piwowar z Kibitzsteinu nie uwierzą, że zmieniliście zapatrywania.

Co do tego prałat miał zupełną rację, pomyślał Georg i z trudem powstrzymał się od ironicznego uśmiechu. Jego stryj był zanadto prostolinijnym człowiekiem, niezdolnym do jakiegokolwiek udawania. Ale on gotów był wyświadczyć każdą przysługę, jakiej od niego zażąda Pratzendorfer w imieniu biskupa Gotfryda. Potem jednak przyszło mu do głowy, że w wypadku takiego zlecenia nie uda mu się uniknąć kontaktu z Michałem Adlerem i jego córką. Panna będzie dążyła do ślubu, a przynajmniej do oficjalnego złożenia obietnicy małżeństwa. Jeśli będzie chciał wykonać zlecenie Pratzendorfera, nie będzie mógł wymigać się od zaręczyn, inaczej on, podobnie jak stryj, straci zaufanie Adlera i jego przyjaciół. A przecież nie chciał być związany z białogłową, której rodzina ściągnęła na siebie gniew księcia biskupa.

Nie zastanawiając się długo, wystąpił do przodu i rzekł do prałata: — Jestem gotów służyć wam i naszemu czcigodnemu biskupowi. Jednak proszę, na wypadek gdybym był zmuszony do kłamstw, które splamią moją cześć, o to, byście już teraz udzielili mi abszolucji.

Pratzendorfer uniósł brwi i spojrzał pytająco na junkra. Gressingen z pewnością wypowiedział tę prośbę nie bez powodu. Najprawdopodobniej nie chodziło mu tylko o przyszłe grzechy, ale też minione. Musiało to mieć coś wspólnego z córką Michała Adlera. Prałat przypomniał sobie informacje, że Georg von Gressingen wielokrotnie w ostatnim czasie był gościem na zamku Kibitzstein. Ponieważ junkier żył raczej w skromnych warunkach, to pewnie przyciągnął go ogromny posag, w który Michał Adler chciał wyposażyć córkę.

Zaniepokojony milczeniem prałata Gressingen przestępował niespokojnie z nogi na nogę. Pratzendorfer trzymał go przez chwilę w niepewności, i gdy z wyrazu twarzy junkra można było już wyczytać, że jest gotowy całkowicie poświęcić się służbie biskupowi, prałat kiwnął głową i rzekł: — Pójdziecie dziś wieczorem wraz ze mną do kaplicy. Tam uwolnię was ml wszystkich grzechów, które będziecie musieli popełnić w imieniu Jego Wysokości, księcia biskupa.

Gorliwe przytaknięcie Gressingena wywołało pełen zadowolenia uśmiech n.t ustach prałata. Ten młody mężczyzna będzie dobrym narzędziem, ponieważ najwidoczniej był gotów za złoto i przywileje

sprzedać sumienie. Dlatego z czasem wykorzysta go do ważniejszych zadań, aniżeli tylko wyszpiewowania, co knują w gruncie rzeczy mało znaczący kasztelanowie. Ale najpierw należy przygotować go do tego pierwszego zadania.

— Krótka audiencja u Jego Eminencji była specjalnie tak zaaranżowana, by wyglądało na to, że popadliście u niego w niełaskę. Z tego powodu wasza posiadłość zostanie w ciągu następnych dni zajęta przez żołnierzy z Würzburga. Zamek i ziemie, które do was należą, były wcześniej własnością kapituły katedralnej. Ma wyglądać na to, że biskup Gotfryd zażądał od was, żebyście mu złożyli przysięgę wierności poddańczej, a wy się wzbranieliście, więc zaraz e k wirował wasz majątek.

Pratzendorfer dojrzał zakłopotanie na twarzy Gressingena i uspokoił go: — Nie martwcie się, nie straciecie majątku na zawsze, lecz dostaniecie go z powrotem, a do tego jeszcze zostaniecie dodatkowo wynagrodzeni. Musicie jednak być postrzegani jako wróg biskupa, żebyście mogli bywać na zamkach Fuchsheim, Steinsfeld, Mertelsbach i Kibitzstein oraz w klasztorze Schöbach.

Junkier Georg rozumiał to, jednak trudno było mu zaakceptować, że będzie w przyszłości postrzegany jako rycerz bez ziemi, ponieważ to bardzo obniży jego wartość w oczach szlachty. Ta myśl przyniosła mu olśnienie. Prawdopodobnie to pozorne nieszczęście może być dla niego korzystne, bo Michał Adler nie będzie postrzegał go już jako wymarzonego zięcia. Ale mimo to każe sobie udzielić absencji, bo uwolnienie go od grzechów da mu wolną rękę.

13.

Na zamku Kibitzstein Trudi błagała w myślach ukochanego, by wreszcie przybył.

Nie mogła zdobyć się na to, by wyjawić swe zgryzoty matce i próbowała sobie sama poradzić.

Hiltrud kilka razy była bliska powiedzenia Marii o tym, co spotkało Trudi. Ale za każdym razem, gdy Maria ją odwiedzała lub posyłała po nią powóz, dusiła w sobie to, co miała na końcu języka, i paplała o błahych, codziennych sprawach. Chociaż trudno jej było ukryć problemy Trudi przed Marią, nie chciała zawieść zaufania chrześnicy.

Gdy tak siedziała z kasztelaną w przytulnie urządzonym pokoiku na wieży, gdzie piły rozcieńczone wino, zakąsały pieczywem i rozmawiały o dawnych czasach, przyglądała się przyjaciółce. Maria miała teraz pięćdziesiąt dwa lata. Z wiekiem jej sylwetka stała się nieco bardziej krzepka. Złociste włosy nie były już takie gęste, a zmartwienia i wyrzeczenia minionych lat wyrzeźbiły na jej twarzy kilka zauważalnych bruzd. Mimo swego wieku ciągle jeszcze była piękną niewiastą, z którą wiele młodszych nie mogło się równać.

Również Michała nie oszczędził zęb czasu. Rany, których doznał, gdy był na wojnie i o których właściwie już zapomniał, ostatnio dały o sobie znać. Tego dnia przysiadł się do obu niewiast i także kazał sobie nalać wina. Wyraz twarzy miał poważny, a gdy Maria się do niego zwróciła, wzdrygnął się.

— Co z tobą, Michale? Jesteś dzisiaj taki zatroskany. Czy masz jakieś kłopoty?

Michał spróbował się uśmiechnąć.

— Zależy, jak na to spojrzeć. Jeszcze nas to bezpośrednio nie

dotknęło, ale jestem pewien, że biskup z Würzburga da się nam w najbliższych miesiącach we znaki.

Opat Pankracjusz i pan Fuchsheim posłali już skargę do cesarza i wnieśli o dotrzymanie starych umów przez Gotfryda von Schenka. W ten sposób na pewien czas będą mieli biskupa z głowy. Zamiast nich p.ullo na Georga von Gressingena.

Biskup wezwał go do Würzburga i zażądał od niego przysięgi wierności poddańczej. Gdy Gressingen nie chciał jej złożyć, odebrano mu jego dobra, a zanim zdołał cokolwiek zrobić, żołnierze biskupa zajęli jego zamek.

Maria się zatroskała, że książę biskup używa siły dla narzucenia swej woli. Hiltrud natomiast głęboko wciągnęła powietrze. To rzeczywiście nie była dobra wiadomość. Teraz zrozumiała, dlaczego junkier Georg nie pojawił się jako konkurent w Kibitzsteinie. Uznał zapewne, że jako szlachcic bez majątku nie będzie tu już mile widziany. Biedna Trudi, pomyślała. Zastanawiała się, czy Michał mimo to zezwoli swej ukochanej córce na małżeństwo z młodym rycerzem. Jeśli chodzi o Marię, to Trudi nie może zanadto liczyć z jej strony na pomoc i zrozumienie, bo kasztelanka zaklasyfikowała Georga do tej kategorii szlachciców, którą głęboko gardziła.

— Dziwi mnie, że Gotfryd Schenk zu Limpurg tak ostro postąpił wolin Gressingena.

Ludolf von Fuchsheim i opat Pankracjusz też nie chcieli mu się podporządkować, a wobec nich nie użył siły — powiedziała zamyślona Maria.

Michał ścisnął puchar, jakby chciał go zgnieść.

— Gressingen nie jest rycerzem Rzeszy, więc nie może się powołać na IH bronę cesarza. Ale wydaje mi się, że biskup nie chce tak całkiem zniszczyć indu Gressingena, bo jego stryjowi Albachowi przyznał prawo do zarządzania Schwappachem.

— Jedno nie pasuje do drugiego — wyraziła powątpiewanie Maria.

— A ja uważam, że owszem. Z jednej strony biskup pokazuje, jak poważnie i t aktuje sprawę egzekwowania rzekomych praw Würzburga. A z drugiej strony, że nagradza ludzi, którzy otwarcie go popierają. Maksymilian von Albach tu udowodnił, gdy na zamku Fuchsheim stanął w obronie księcia biskupa, wdał się z nami w spór i w związku z tym rozstał się z nami w niezgodzie.

Maria prychnęła: — Dziwna nagroda dla rodu Albacha, zabrać jego krewnemu majątek. Wydaje mi się, że to niezbyt mądre posunięcie ze strony biskupa Gotfryda.

— Uważam, że uderzenie w Gressingena było ostrzeżeniem dla samodzielnych rycerzy Rzeszy, żeby nie opierali się roszczeniom biskupa. Może jego postępowanie jest w pierwszej kolejności skierowane przeciwko nam, włodarzom Kibitzsteinu.

Przecież nieraz pomagaliśmy jego poprzednikowi Johannowi von Brunnowi większymi sumami, a za to otrzymywaliśmy tę i ową posiadłość albo na własność, albo pod zastaw. A teraz Gotfryd chce te umowy unieważnić, bo jego poprzednik rzekomo nie miał prawa uszczuplić majątku kapituły katedralnej.

W głosie Michała słyhać było troskę, bo nie chodziło o kilka fenigów czy halerzy, ale o wiele guldenów. Dostali również od innych sąsiadów ziemię pod zastaw, która teraz wzbudziła pożądanie księcia biskupa. Machnąwszy z rezygnacją ręką, kontynuował: — To żenujące, że

pan Gotfryd postrzega mnie jako dobrego przyjaciela swego poprzednika i z tego powodu okazuje mi nieprzychylność. Gdybym miał okazję porozmawiać z nim w cztery oczy, mógłbym wiele wyjaśnić.

Maria z ironią wykrzywiła usta.

— Taki szlachetny pan jak Gotfryd Schenk zu Limpurg nigdy nie będzie rozmawiał z tobą jak równy z równym, lecz jak księżę Rzeszy z małym rycerzem, który miał czelność go rozgniewać. Z biskupem z Würzburga nie zaznamy spokoju, chyba że znajdziemy przyjaciół, którzy będą potrafili powstrzymać jego żądze.

— Ale któż to mógłby być? Hrabia zu Castell nie odważy się sprzeciwić Würzburgowi, podobnie jak pan von Hohenlohe. Obie rodziny we wcześniejszych niesnaskach z Würzburgiem odniosły takie straty, że nie zaryzykują kolejnego zatargu.

— Jeśli nie da się inaczej, będziemy szukać pomocy w Bambergu.

— Żeby się podporządkować tamtejszemu księciu biskupowi? — Michał roześmiał się gorzko. Potem jednak coś przyszło mu do głowy, bo w końcu uśmiechnął się do Marii: — Jest ktoś taki, kto by się nadawał na sprzymierzeńca. To Albrecht Achilles von Brandenburg-Ansbach. Niedawno biskup z Würzburga musiał na nowo uznać prawo margrabiego do miasta Kitzingen. A nawet wypłacił mu większą sumę pieniędzy, żeby odkupić pewne prawa biskupstwa oddane niegdyś pod zastaw.

— W takim razie powinien nam też zapłacić, a nie żądać zwrotu — Maria wyglądała tak wojowniczo, że Michał znów się roześmiał.

Hiltrud przysłuchiwała się rozmowie, nie zabierając głosu. Była tylko prostą chłopką, która wiedziała, jak zrobić dobry ser z koziego mleka, ale polityką się nie zajmowała. W tej chwili była z tego zadowolona, stwierdziła bowiem, że zajęcie to przynosi tylko zbędne zmartwienia. Jej myśli uleciały ku Trudi i jej miłości do Georga von Gressingena. Chciała jak najszybciej powiedzieć chrześnicy, w jakiej sytuacji znalazł się junkier. Wprawdzie wiadomość nie będzie pomyślna, ale Trudi na pewno zazna ulgi, wiedząc, dlaczego Gressingen nie zjawił się w Kibitzsteinie.

Ponieważ Hiltrud chciała natychmiast porozmawiać z chrześniaczką, wypila do końca zawartość pucharu i pożegnała się z Marią i Michałem. Oboje nie zwrócili uwagi na jej pośpiech. Tak byli pochłonięci dyskusją, że tylko kiwnęli jej głową.

— Przyjdę do ciebie jutro — zawołała jeszcze za Hiltrud Maria. Potem jednak zmartwienia spowodowane działaniami biskupa z Würzburga przysłoniły myśli o przyjaciółce.

14.

Hiltrud znalazła Trudi rwącą jabłko w ogrodzie razem z siostrami Lisą i Hildegardą.

Panienkom pomagała młoda służąca, na którą wołano I ha. Cała czwórka używała długiej drabiny, która niebezpiecznie się zachybotwała, gdy Trudi na nią weszła.

Hildegardą — szczupłą dwunastoletnia osóbką u i warzy usianej piegami i z ciemnoblonde warkoczami — krzyknęła, gdy drabina lekko się obsunęła. Hiltrud podbiegła szybko i przytrzymała drabinę.

— Zejdź! Wtedy lepiej oprzemy ją o drzewo — zawołała do chrześniaczki.

Najbezpieczniej by było, gdyby jakiś parobek ją przytrzymał.

— Żeby chłopak mógł nam zaglądać pod spódnice! — zawołała

kąśliwie I ha.

Oficjalnie nie była zatrudniona jako osobista służąca Marii, ale prócz Innych obowiązków pełniła też taką funkcję.

Hiltrud żałowała, że Maria nie wysłała służebnej razem z córką do luchsheimu.

Gdyby to Zrobiła, nie doszłoby do tego nieszczęsnego zdarzenia. I ha uważałyby na pannę i tym samym Gressingen nie miałby możliwości zbliżyć się do Trudi z niecnymi zamiarami. To co zrobił, nie było godne szlachcica i z tego powodu Hiltrud trudno było myśleć o nim pozytywnie. Jednak zaakceptowała wybór chrześniaczki i pragnęła, żeby panna była szczęśliwa.

Trudi zeszła z drzewa i pomagała matce chrzestnej oprzeć drabinę stabilnie o jabłoń, a następnie Hiltrud potrząsnęła drabiną, by przekonać się, że teraz już można bezpiecznie wejść na górę. Rozejrzała się i spytała: — Kto teraz wejdzie i będzie zrywał jabłka?

W jej głosie zabrzmiał dziwny ton, więc Trudi nadstawiła uszu.

— Byłaś u mamy i taty. Czy się czegoś ciekawego dowiedziałaś?

— Owszem. — Hiltrud nie wiedziała, czy ma wziąć dziewczę na stronę i tam porozmawiać z nią w cztery oczy, czy powiedzieć o losie Gressingena przy wszystkich. Ponieważ nie chciała budzić niezdrowej ciekawości pozostałych, zdecydowała się mówić przy wszystkich. — Znacie przecież rycerza Gressingena — zaczęła i zobaczyła, jak oczy Trudi rozbłyskują.

Lisa roześmiała się, zadzierając nosa.

— Oczywiście, że znamy junkra Georga. Był kilka razy u taty. Jednak ostatnio go nie widziałyśmy Tata go poważa, ale mi się on nie podoba, mama też go nie lubi.

— Też coś! Mało kogo interesuje, kogo ty lubisz albo nie lubisz — Trudi obrzuciła młodszą siostrę gniewnym spojrzeniem i poprosiła Hiltrud, by ta mówiła dalej.

Wieśniaczka nie była pewna, czy będzie potrafiła wyjaśnić pannom wszystko, jak należy.

— Posiadłość Gressingena należała kiedyś do kapituły katedralnej, a teraz zajął ją nowy biskup.

— Ależ nie miał prawa tego robić — zawołała oburzona Trudi. Hiltrud podniosła ręce w geście bezradności.

— Wielcy panowie robią często rzeczy, których właściwie nie powinni robić. Tak to już jest na tym świecie.

Gdy Trudi bolała nad losem Gressingena, Lisa wydedukowała: — Skoro księżę biskup zabrał majątek Gressingenowi, to może i nam wszystko zabrać.

Trudi machnęła ręką, jakby nie obchodził jej los własnej rodziny.

— Biedny junkier Georg! To musiało być dla niego straszne — szepnęła i wybuchnęła płaczem.

— Ależ Trudi! Co się z tobą dzieje? — zawoła z troską w głosie Hiltrud. W odpowiedzi usłyszała: — Zostaw mnie w spokoju!

Lisa dała kuksańca młodszej siostrze, oznajmiając: — Ona się kocha w Gressingenie i chce zostać jego żoną. Uważam, że to jest dziwne, bo ja takiego męża nie chciałabym mieć za nic na świecie.

Trudi podbiegła do niej i wymierzyła jej siarczysty policzek.

— Ty mała jędzo! Jesteś tak samo złośliwa jak twoja matka!

Lisa zrobiła się biała jak świeżo spadły śnieg i uciekła z płaczem.

— Zachowałeś się podle — wykrzyknęła Hildegarda i splunęła Trudi

pod nogi. Potem szybko uciekła, żeby również nie zostać spoliczkowaną.

Hiltrud osłupiała z powodu waśni między siostrami. Spojrzała na chrześnicę z naganą: — Nie powinnaś była! Lisa przecież nic ci nie zrobiła, a wypominanie jej w taki sposób, że nie jest waszą rodzoną siostrą, było bardzo niegrzeczne.

Obrażona Trudi wycodziła przez zęby: — Lisa jest córką tej okropnej Huldy von Hettenheim i ma straszny charakter.

— Mówisz tak tylko dlatego, bo nie podoba jej się Gressingen. Na Boga! Ludzie mają różne gusta. Czy muszę ci przypominać, że twoja matka też nie jest nim zachwycona?

Trudi tupnęła nogą.

— Ale tylko dlatego, że Lisa go obmówiła.

Hiltrud uważała, że to raczej Maria urobiła opinię Lisy. Gdyby kasztelanka określiła Georga von Gressingena jako miłego młodego mężczyznę, Lisa pierwsza by się z nią zgodziła.

Koźlarka westchnęła i na odchodnym powiedziała jeszcze: — Bóg z tobą, dziecko. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Ale musisz zachować rozsądek.

Trudi nie odpowiedziała. Stała ze skrzyżowanymi ramionami i zaciśniętymi ustami obok drabiny. Patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie. W myślach była przy Georgu von Gressingenie i przeklinała księcia biskupa, który odebrał jej ukochanemu majątek, a jej samej widoki na szybkie zamążpójście.

15.

Spoliczkowanie Lisy nie pozostało bez następstw. Trudi nie rozmawiała z siostrami, a te schodziły jej z drogi. Marię i Michała dziwiło zachowanie dzieci, gdy jednak pytali o przyczyny, natrafiali na mur milczenia, który zdawał się przewyższać mury obronne okalające Kibitzstein.

Maria jednak nie odpuszczała. Czekala, aż Lisa pójdzie do wsi, a Trudi pojedzie z Michałem na konną przejażdżkę. Wtedy pokuśtykała do Hilde gardy, która w pokoiku na wieży sortowała wełnę. Położyła dłoń na chudym barku dziewczęcia.

— Nie mam zamiaru cię przekonywać, żebyś wydała siostry. Ale sama na pewno zdajesz sobie sprawę, że na dłuższą metę tak nie może być.

Hildegarda spojrzała lekliwie na panią, która zawsze traktowała ją jak własne dziecko, chociaż jak się dowiedziała z gadaniny dziewczek służebnych, była tak naprawdę córką Michała Adlera i jego konkubiny. Maria nie dała jej jednak tego nigdy odczuć, darzyła ją taką samą miłością, co Lisę i Trudi. Dlatego Hildegarda bała się rozczarować przybraną matkę. Jednocześnie nie chciała utracić zaufania sióstr, więc czuła się rozdarta wewnątrz.

Maria przyciągnęła Hildegardę do siebie i głaskała ją, nie ponagając. Po chwili dziewczę się rozszlochało: — Mamo, nie jestem skarżypytą. Chciałabym, żebyśmy wszystkie żyły w zgodzie.

Ale Trudi zrobiła wymówkę Lisie, że ta nie jest naszą siostrą i że jest równie zła, jak jej prawdziwa matka.

Ze względu na wspólną krew ze strony ojca Hildegarda powinna właściwie stanąć po stronie Trudi. Jednak ojciec traktował ją raczej chłodno. Ona i Lisa często zazdrościły najstarszej, że jest przez niego faworyzowana. Teraz nadarzyła się okazja, by odplacić Trudi za takie nierówne traktowanie. Dlatego opowiedziała przybranej matce wszystko na temat kłótni, która

wybuchła między Trudi a Lisą.

Maria przytuliła do siebie córkę. Zaciśnęła zęby i próbowała zapanować nad emocjami. Ona i Michał często się zastanawiali, czy nie powinni trzymać przed Lisą jej pochodzenia w tajemnicy, potem jednak zdecydowali się wyjawić prawdę, by nie poznała jej od obcych. Nie powiedzieli jednak dziecku o niecnym czynach, jakich Hulda von Hettenheim się dopuściła. Oznajmili tylko, że pani Hulda była ich wrogiem i do ostatnich swych dni walczyła z nimi. Nie zdradzili Lisie dokładnych okoliczności śmierci matki, jak również tego, że pozostawiła ją jako dziecko straszemu losowi. Wiadomość, że jej własna córka wymówiła siostrze pochodzenie, była dla Marii bolesna. Przecież Lisa była dokładnym przeciwieństwem Huldy, nie miała także nic z Falka von Hettenheima. Gdyby Maria nie znała dobrze matki Lisy, mogłaby podejrzewać, że po urodzeniu sześciu córek, które spłodził z nią mąż, oddała się innemu mężczyźnie, by począc upragnionego syna.

Maria odegnała wspomnienia o Huldzie i zastanawiała się, jak ma zakończyć kłótnię między córkami. Nie było to łatwe, bo wyjątkowo uparta Trudi nie będzie gotowa tak szybko ustąpić.

W końcu kasztelanka przymusiła się do uśmiechu, by uspokoić Hildegardę.

— Dziękuję ci, dziecko. Przynajmniej teraz wiem, dlaczego moje córki zachowują się, jakby były śmiertelnymi wrogami.

— To przez tego Gressingena. Lisa powiedziała, że go tak samo nie lubi jak ty, mamó, i wtedy Trudi ją uderzyła.

— A więc poszło o Gressingena...

Maria zasmuciła się jeszcze bardziej. Junkier Georg nie był w jej oczach odpowiednim narzeczoną dla najstarszej córki, bo jego pycha z powodu szlacheckiego pochodzenia nie była dobrym fundamentem małżeństwa. Spodziewała się, że Trudi zazna wielu upokorzeń i chciała ją przed tym uchronić.

— Mamó, proszę, nie mów im, że ci o tym powiedziałam. Hildegarda spojrzała z obawą na matkę. Kochała siostry i każdego dnia w wieczornej modlitwie prosiła Pana Jezusa, żeby między nimi zapanowała zgoda.

W tej chwili obawiała się, że obie zwrócą się przeciw niej, jeśli matka je zbyt surowo potraktuje.

Matka pogładziła ją na pocieszenie po włosach i rzekła: — Nie martw się, moja droga. Nikt niczego się nie dowie.

Gdy wymawiała te ostatnie słowa, zdawało jej się, że kątem oka dostrzeże cię, gdy się jednak odwróciła, nikogo nie było widać.

— Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze — powiedziała do Hildegardy i postanowiła, że zrobi wszystko, żeby na Kibitzsteinie znowu zapanował spokój.

Jeśli jedynym sposobem miałby być ślub Trudi z Gressingenem, to jest nawet gotowa poprzeć ten związek.

16.

Uta szła właśnie do sypialni Trudi, gdy spostrzegła Marię i Hildegardę rozmawiające w komnacie na wieży. Wiedziona ciekawością stanęła za ścianą obok otwartych drzwi i przysłuchiwała się rozmowie matki i córki. Oburzona, że ta mała bękartica, jak w myślach nazywała Hildegardę, ważyła się obwiniać jej ukochaną Trudi, zawróciła i zaczęła szukać swojej pani. Gdy wyszła na dziedziniec, dowiedziała się od jednego z parobków, że

panienka Trudi pojechała na konną przejażdżkę z ojcem. Miała to być sąsiedzka wizyta. Michał ostatnio dużo częściej niż niegdyś odwiedzał okolicznych kasztelanów, aby naradzić się z nimi i dowiedzieć czegoś nowego.

Rozczarowana Uta wróciła do zamku i wzięła się z powrotem do pracy. W tym czasie Michał siedział naprzeciwko swego sąsiada Ingoberta von Dieboldsheima i próbował stłumić rosnący gniew. Ojciec gospodarza był zawiadziakiem, którego niejednokrotnie musiał hamować, a obecny kasztelan unikał problemów jak ognia.

Pan Ingobert kiwał w zadziwieniu krągłą głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co Michał mu właśnie powiedział.

— Jeśli chodzi o Gressingena, to opowieści są zapewne przesadzone. Czcigodny biskup z pewnością nie chce młodemu rycerzowi zabrać zamku, lecz tylko zmusić go do złożenia przysięgi poddańczej. Ma do tego prawo, bo posiadłość Gressingena należała kiedyś do Würzburga, a kapituła nigdy nie zrezygnowała ze swoich praw.

Jak tylko junkier to uczyni, majątek wróci w jego posiadanie.

— Ale tylko jako lenno, a nie jako własność — napomknął Michał.

— Nie każdy rycerz może się szczycić tym, że jest bezpośrednim poddanym cesarza.

W głosie Dieboldsheima zabrzmiała zazdrość. Jego ród już od kilku pokoleń władał tym zamkiem i ziemią dookoła, lecz ten mały majątek był kiedyś darem ówczesnego biskupa z Würzburga dla bratanka. Dlatego Ingobert musiał się liczyć z tym, że Gotfryd Schenk zu Limpurg któregoś dnia zażąda, by pocałował jego pierścień i przysiągł mu wierność. Ojciec Dieboldsheima mógł sobie pozwolić na to, by wasalowi biskupa Johanna von Brunna wypowiedzieć wojnę, i nawet ją wygrać. Pod surowym wzrokiem nowego biskupa coś takiego nie byłoby możliwe.

Ingobert von Dieboldsheim odczuwał zawiść, że jego gość nie będzie musiał skłaniać głowy przed biskupem z Würzburga. Michał Adler z Kibitzsteinu był wolnym rycerzem Rzeszy, który w każdej chwili mógł sobie zapewnić pomoc króla.

Jednocześnie był tylko nędznym parweniuszem z nizin społecznych, którego zrządzenie losu przywiodło na obecne miejsce.

Michał, widząc grę emocji na twarzy rozmówcy, snuł własne myśli. Żałował bardzo, że stary Ingomar von Dieboldsheim dwa lata temu zmarł i starszy syn przejął dziedzictwo. Młodszy syn Ingomara był o wiele bardziej odważny, energiczny i słowny od Ingoberta.

— Musicie wiedzieć, Dieboldsheim, co robicie. Ale gdy cień Gotfryda padnie na nas wszystkich, wspomnicie jeszcze tę rozmowę.

Michał stracił nadzieję, że sąsiad mógłby się przyłączyć do niego i innych kasztelanów tworzących koalicję przeciw Würzburgowi. Najchętniej by do sadnie powiedział Dieboldsheimowi swoje zdanie, jednak przez to pchnąłby go może prosto w ramiona księcia biskupa.

Ponieważ gospodarz nie odpowiadał, Michał wstał i wypił resztkę wina z pucharu.

— W każdym razie dziękuję za wino. Powinniście przemyśleć jeszcze moje słowa.

— Możecie zostać na noc — zaproponował Dieboldsheim.

Powiedział to z uprzejmości, bo ton głosu zdradzał, że pragnie, ażeby sąsiad jak najszybciej ruszył w drogę. Gdyby Michał Adler faktycznie przenocował w Dieboldsheimie, można byłoby to odczytać jako przymierze

między nimi, a tego rycerz Ingobert chciał za wszelką cenę uniknąć.

Michał domyślał się, co czuje von Dieboldsheim i przez chwilę zastanawiał się, czyby nie zostać, żeby go skompromitować w oczach biskupa. Ale zrezygnował z tego, bo nie warto było — nic by mu to nie dało.

— Dziękuję bardzo za zaproszenie. Innym razem chętnie bym skorzystał, ale oczekuję wizyty przyjaciół, której nie chcę przegapić.

Michał podał sąsiadowi rękę. Rycerz Ingobert uścisnął ją z uczuciem ulgi.

— Życzę wam szczęśliwego powrotu do domu, rycerzu Michale.

— Musicie jeszcze posłać po moją córkę. Wiecie, gdzie się teraz znajduje?

— Siedzi na pewno z moją żoną w komnacie. Idźcie spokojnie i każcie siodłać konie. Przekażę panie Hiltrudzie, że chcecie ruszać w drogę.

Von Dieboldsheim uśmiechnął się sztucznie i wyszedł z pokoju, nie oglądając się.

Michał spojrzął za nim i również odwrócił się, by odejść. W drodze do drzwi jego wzrok przykuło wyposażenie sali, składające się z długiego stołu z dębowego drewna, który nie był przymocowany na stałe, lecz można go było w dowolnej chwili przesunąć, oraz z długich rzędów krzeseł, które na ogół używane były w niewielkiej liczbie, bo kasztelan nie miał dość pieniędzy, by organizować duże przyjęcia.

Ściany sali zostały pokryte wapnem jeszcze za czasów starego Ingomara. Teraz były prawie czarne od dymu i tylko kilka jaśniejszych miejsc zdradzało, że wisiały tam niegdyś tarcze, broń lub chorągwie. Michał poczuł, że coś odpycha go od tego miejsca. Ale może spowodowane to było osobą obecnego właściciela, bo za czasów rycerza Ingomara czuł się tu dobrze.

— Szkoda, stary przyjacielu, że musiałeś od nas odejść — powiedział do miejsca, gdzie wcześniej wisiała tarcza, którą świętej pamięci Ingomar rozłupał w trakcie turnieju, gdy był jeszcze młody, i powiesił tu jako trofeum. — Wolałbym z tobą, niż z twoim synem, pokonywać trudności, które czekają nas w nadchodzących latach.

Michał próbował pozbyć się uczucia przygnębienia. Wyszedł na korytarz i poszedł w kierunku stajni, gdzie kazał pacholkom osiodłać swojego ogiera i klacz Trudi.

Oparty o framugę drzwi przyglądał się parobkom, którzy tak szybko się uwijali, wykonując jego polecenie, jakby stał nad nimi koniuszy z uniesionym batem.

Ingobert von Dieboldsheim był może opieszawy, jeśli chodziło o istotne sprawy, ale na swojej ziemi rządził jak prawdziwy tyran.

17.

Trudi już od dłuższego czasu żałowała, że poprosiła ojca, by wziął ją ze sobą do Dieboldsheimu. Miała nadzieję, że na chwilę ucieknie od złej atmosfery w domu i dowie się czegoś od pani Wiburgi na temat obecnego miejsca pobytu junkra Georga.

Zona rycerza Ingoberta nie interesowała się jednak niczym, co nie dotyczyło jej rodu. Opowiadała więc o swoich dzieciach, a zwłaszcza o dwóch synach, których Trudi uważała za niewychowane małe potwory. Gdy słuchała pani domu i tylko od czasu do czasu rzucała jakieś słówko, obaj chłopcy targali jej suknię, brudząc ją. A przy tym wydzierali się i puszczeli tak, że najchętniej osobiście porządnie złołaby im skórę.

O najmłodszym dziecku pani Wiburgi, córeczce, nie dało się wiele powiedzieć.

Leżała jeszcze w pieluchach i opiekowała się nią starsza niania w odległej części zamku, żeby płacz niemowlęcia nie dochodził do matczynych Uszu. Bardzo szybko Trudi uświadomiła sobie, że gospodyni uważała córkę za niepotrzebny balast, podczas gdy synów wprost ubóstwiała.

Mimowolnie Trudi pomyślała o matce i o tym, z jaką miłością Maria wychowywała ją oraz jej dwie siostry. W efekcie poczuła pogardę dla gadatliwej pani Wiburgi, która dopiero co przekroczyła trzydziesty rok życia, a już się strasznie roztyła.

— Jesteś taka milcząca, moja droga. — Wiburga von Dieboldsheim lubiła dominować w rozmowie, ale od czasu do czasu wymagała potwierdzenia swych słów.

Trudi przymusiła się do uśmiechu.

— Wybaczcie, pani Wiburgo, ale cnotliwej pannie nie uchodzi w obecności starszej i doświadczonej damy zabierać głosu bez pytania.

— To prawda! Córkę należy wychowywać tak, by była posłuszna, wierna i troskliwa dla swego przyszłego małżonka.

Zdanie to posłużyło Wiburdze jako wstęp do dłuższego wykładu na temat obowiązków i zadań córki rycerskiego domu. Była zadowolona, że Trudi jej słucha, ale tak naprawdę panna była pogrążona w rozmyślaniach. Z upływem czasu coraz bardziej pragnęła, żeby ktoś wreszcie wybawił ją od tej jałowej gadaniny.

Zbawienie przyszło w osobie gospodarza, który wszedł zamasyście do komnaty i jednym spojrzeniem zamknął usta żonie. Również obaj brykający braciszczkowie natychmiast ucichli i patrzyli lękliwie na ojca. Trudi przeszły dreszcze, gdy pojęła, jakie relacje muszą panować w tej rodzinie. W porównaniu z tymi ludźmi jej rodzice byli czystym złotem.

— Hiltrudo, ojciec jest gotów do odjazdu! — Trudi zacisnęła wargi, bo Ingobert von Dieboldsheim zwrócił się do niej, jakby była małym dzieckiem. Zony i dzieci nie zaszczycił nawet jednym słowem. Zamiast tego chwycił Trudi pod ramię i pociągnął ją w kierunku wyjścia. — Nie chcesz chyba, żeby na ciebie czekał?

Tego Trudi rzeczywiście nie chciała. Nie lubiła jednak, gdy ktoś ją prowadzi wbrew jej woli. Rycerz trzymał ją tak mocno, że nie mogła się uwolnić. Ztłółała tylko rzucić przez ramię słowo pożegnania pani Wiburdze. Potem gospodarz ciągnął ją przez korytarze, jakby była nieposłuszną służącą.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że rycerz Ingobert nie idzie w kierunku schodów prowadzących do sali rycerskiej, lecz schodzi wąskimi kręconymi schodami wieży.

Było tam tylko kilka otworów strzelniczych, przez które przedostawało się niewiele światła, przez co panowała ciemność jak w kaplicy w zimowy wieczór. Nie paliła się nawet żadna pochodnia, żeby oświetlić stopnie. Jedyne dźwiękami, jakie słyszała Trudi, były ich własne kroki i sapanie rycerza, które stawało się coraz głośniejsze.

Gdy zeszli na sam dół, znaleźli się w małym pomieszczeniu, w ścianach którego były otwory pozwalające obserwować okolicę. Rycerz zatrzymał się i przyciągnął Trudi do siebie. Poczuła na policzku jego oddech cuchnący winem. Mimo mroku widziała tuż obok siebie jego wykrzywioną pożądaniami twarz.

— Całusa, panno, jako myto, że tak powiem — szepnął jej do ucha

ochrypłym głosem.

Podobnie zaczęło się w Fuchsheimie. Trudi ciągle jeszcze wstydziła się, gdy sobie przypominała, jak to się skończyło. Ale przecież junkra Georga kochała, a do Dieboldsheima czuła wstręt. Ze złością odepchnęła go od siebie i wyrwała się z jego uścisku.

— Pocałujcie swoją żonę, jeśli tak wam się chce całusów, albo poszukajcie sobie chętnej służącej. A mnie zostawcie w spokoju!

Rycerz Ingobert chciał ją znowu chwycić, jednak czmychnęła pod jego wyciągniętą ręką i wybiegła na korytarz. Mężczyzna nie poszedł za nią, lecz pozostał na miejscu.

Odetchnęła więc z ulgą. Uspokoila się i przypomniała sobie, co kilka miesięcy temu opowiedziała jej ze śmiechem Bona von Fuchsheim. Przyjaciółka również gościła z ojcem w Dieboldsheimie, a tam w mało uczęszczanym korytarzu zamkowym molestował ją pan domu. Zamiast się bronić, pozwoliła rycerzowi na pocałunek, a także by ją obmacywał po pupie i biuście.

Miał być oburzona, Bona śmiała się ze zdarzenia i powiedziała, że mężczyźni po prostu tacy są. Trzeba tylko uważać, żeby nie stali się zbyt natarczywi. Była nawet dumna, że wzbudziła zainteresowanie dorosłego, szanowanego mężczyzny. Ale Trudi ta myśl mierzila i czuła podwójną złość do Dieboldsheima, bo jego twarz zdominowała jej wspomnienia o junkrze Georgu. Teraz miała wrażenie, że to co Gressingen z nią zrobił, było o wiele gorsze, niż jej się do tej pory wydawało.

Zastanowiła się, czy Bona nie miała racji. Czy wszyscy mężczyźni postrzegali młode niewiasty jako zwierzynę? Natychmiast sama sobie odpowiedziała przecząco. Jej ojciec przecież nie nastawał na córki innych rycerzy ani na służące.

Modliła się więc do Dziewicy Maryi, żeby Georg von Gressingen był jak najbardziej podobny do jej ojca.

Gdy Trudi wyszła na dziedziniec, próbowała stwarzać pozory spokojnej. Ojciec czekał już przy osiodłanych koniach i spojrzał w jej kierunku, jakby oczekiwał, że gospodarz również wyjdzie, żeby się z nimi pożegnać.

Ingobert von Dieboldsheim nie pokazał się jednak. Z tego powodu Michał w drodze powrotnej gryzł się myślą, że wkrótce ujrzy go we wrogim obozie. Wynik wizyty tak go rozczarował, że nie zwracał uwagi na córkę.

Trudi przy pomocy parobka wspięła się na swą energiczną gniadą klacz i puściła luźno cugle, aby podczas ostrej jazdy wyładować złość na Dieboldsheima.

Również Ingobert von Dieboldsheim był zły, aczkolwiek mniej na siebie, a więcej na nieprzystępną pannę, która tak zimno go spławiła. A przecież nie chciał od niej niczego więcej prócz całusa i serdecznego sięgnięcia pod sukienkę. Więcej nie było możliwe, sam to wiedział, bo Kibitzstein, tak jak i inni ojcowie, wypowiedziałby mu wojnę, gdyby rozłożył jego córkę na plecach, a może nawet zapłodnił. Na coś takiego mógł sobie pozwolić hrabia Castell lub ten okropny Hohenzollern von Brandenburg-Ansbach, który podobnie jak biskup dążył do tego, by niezależne majątki Frankonii zjednoczyć pod swym władaniem. Dieboldsheim osobiście wolał już biskupa z Würzburga, gdyż ten jako duchowny nie mógł założyć dynastii.

Biskup Gotfryd nie był również tak skłonny do działań zbrojnych jak Albrecht von Hohenzollern, któremu kardynał Piccolomini nadał przydomek

Achilles.

18.

Gdy tylko Trudi dotarła do domu, z zamku jak z procy wybiegła Uta. — Muszę z wami porozmawiać, panienko. To pilne. Ponieważ plotkowanie należało do ulubionych zajęć Uty, Trudi westchnęła. Najchętniej by się gdzieś zaszyla, żeby móc w spokoju rozmyślać. Ale wiedziała, że nie da rady spławić utrapionej dziewczki, pozwoliła więc stajennemu wysadzić się z siodła, uniosła nieco przód sukni, żeby móc wygodnie iść, i kiwnęła na Utę, żeby szła za nią.

— O co chodzi? — zapytała, gdy doszły do sypialni. Przechodząc przez próg komnaty, rzuciła pejcz w jeden kąt, a rękawiczki w drugi.

Służebna zauważyła, że w Trudi wrą emocje, ale sądziła, że to z powodu kłótni z Lisą. Rozwiązując tasiemki sukni swej pani, przeszła do meritum: — Przypadkiem usłyszałam, że Hildegarda, ta nędzna mała bękarcica, oczerniała was przed waszą matką. Tak to wszystko przedstawiła, jakby to była wasza wina, że Lisa się wobec was źle zachowuje. A przecież te obie przybłędy powinny być wdzięczne, że pani Maria się nimi zajęła.

Był to tylko początek dłuższego monologu dziewczki, której słowa spływały jednak po pannie jak po kacze. Trudi już od dawna żalowała swych ostrych słów. Jako najstarsza była jednak zbyt dumna, by prosić przybraną siostrę o wybaczenie. Miała nadzieję, że przykre zdarzenie w ten czy inny sposób samo się załagodzi. Teraz jednak miała obawy. Jej matka kochała Lisę jak własne dziecko i nie pozwoli, by rodzona córka obrażała albo nawet biła przybraną siostrę.

Trudi przeczuła, że czeka ją kłótnia z matką i prawdopodobnie sroga kara. Serce jej się ścisnęło, gdy sobie wyobraziła, że ojciec stanie po jej stronie i przeciwstawi się matce. Rozdźwięk między rodzicami był ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Gdy Uta po obmówieniu Lisy i Hildegardy zaczęła nagadywać na Marię, Trudi wpadła w furję: — Czy wiesz w ogóle, co mówisz? Pani Maria jest nie tylko moją matką, lecz twoją panią. Jeśli jeszcze raz powiesz choć słówko przeciw niej, to każę cię wychłostać!

Przestraszona dziewczka uniosła ręce, a następnie przeprosiła. Gdyby Trudi, która właśnie ściągała suknię przez głowę, mogła spojrzeć jej w twarz, dostrzegłaby, że Uta nie ma najmniejszych wyrzutów sumienia, lecz czuje się obrażona, bo oczekiwała podziękowania za przekazane informacje. Przecież w swoim mniemaniu była jedyną osobą całkowicie oddaną rodzonej córce Marii. Wszyscy inni chcieli się przypodobać kasztelance i traktowali jej przybrane córki, jakby były równe Trudi.

Uta zamilkła. Trudi, myśląc, że to ze strachu, próbowała ją uspokoić: — Oczywiście nie chcę, by cię wychłostano. Ale powinnaś uważać, co mówisz.

Nie chciała zbyt surowo postępować z Utą, bo lubiła sprytną dziewczkę. Wolalaby jednak, by służebna była nieco mniej rozgadana i najpierw się zastanowiła, nim otworzy usta.

— Czy mam też posprzątać w tej skrzyni? — zapytała Uta nieco zjadliwym tonem.

Czuła się źle traktowana i chciała, by jej pani też zdała sobie z tego sprawę.

— Tak, proszę. Zrób to.

Trudi kiwnęła głową zadowolona, ale natychmiast pożałowała swojej zgody, bo Uta sięgnęła do skrzyni i wyciągnęła z niej zieloną suknię, którą

Trudi miała na sobie w Fuchsheimie, a po powrocie ściągnęła ją z siebie i brudną wrzuciła do skrzyni.

— Ależ ta suknia jest całkiem brudna! Powinna zostać oddana do prania. Patrzcie, panienko, na plecach jest brązowa, jakbyście leżeli na ziemi. A tu pośrodku jest ciemna plama, która całkiem przesiąkła przez materiał. — Służebna podniosła suknię, podtykając ją pani niemal pod nos.

Trudi zacisnęła wargi, by nie wydać z siebie krzyku. Ciemna plama była niczym innym jak pozostałością krwi dziewiczej, której nie udało jej się całkiem sprać.

Chociaż tęskniła za junkrem Georgiem i miała nadzieję zostać wkrótce jego żoną, nie chciała, by cokolwiek jej przypominało wydarzenia w lesie pod Fuchsheimem.

Wyrwała Ucie suknię z rąk i rzuciła na ziemię.

— Zabierz to i spal. Nie chcę tego więcej widzieć!

— Ale to przecież wasza najlepsza suknia — zaprotestowała służebna. — Jeśli chcesz być moją osobistą służącą, powinnaś nauczyć się wykonywać moje polecenia!

Uta nie rozumiała, czemu jej pani się tak uniosła, ale pojęła, że lepiej będzie z nią nie dyskutować. Przez głowę przemknęła jej myśl, czyby nie ukryć sukni, a potem wykorzystać do innych celów. Ale gdyby Trudi to odkryła, byłaby jeszcze bardziej rozgniewana.

— Skoro tak chcecie, spalę suknię w kuchni, gdy kucharka i jej pomocnice będą siedzieć w pokoju dla służby. Jeśli zobaczą, co robię, na pewno doniosłyby pani Marii.

— Zrób to po kryjomu i nikomu ani słowa!

Trudi odwróciła się, żeby służebna nie dostrzegła, iż do oczu napływają jej łzy.

Zachowanie Dieboldsheima wstrząsnęło nią i bardzo zraniło. Nie sądziła, że mężczyźni mogą być aż tak okropni. Tym bardziej tęskniła za junkrem Georgiem i miała nadzieję, że rycerz przybędzie do Kibitzsteinu. Dla niej nie miało znaczenia, że został pozbawiony rodzinnego majątku, do którego mógłby ją wprowadzić.

Przecież to nie on ponosił za to winę, lecz ten okropny książę biskup, który niepokoił również jej ojca. Tak wielką czuła złość do tego człowieka, że najchętniej udałaby się do Würzburga i własnoręcznie udusiła Gotfryda za jego nieczne postęпки.

W którymś momencie poczuła, że ściany komnaty odbierają jej oddech, więc odwróciła się do Uty plecami i wyszła na korytarz. Idąc na dziedziniec, spotkała po drodze matkę, która ją zatrzymała.

— Trudi, mam wrażenie, że powinnyśmy ze sobą porozmawiać — rzekła pani Maria.

— Tak, mam.

Trudi poczuła w gardle kluskę i walczyła z pragnieniem ukrycia się w miejscu, gdzie jej nikt nie znajdzie i gdzie by mogła się swobodnie wypłakać. Z zamglonymi oczami próbowała dostrzec, czy matka bardzo się gniewa. Jednak Maria była poważna i emanowała niemal chłodem. To bardziej dezorientowało Trudi niż gwałtowny wybuch gniewu, więc zaczęła się lękać. W ciągu ostatnich miesięcy często kłóciła się z matką, ale w swej zgrzyocie była świadoma, że jest przez nią bardzo kochana. A teraz wyglądało na to, że może się przeliczyła, jeśli chodzi o uczucia matki.

Maria poprowadziła córkę na swoje pokoje. Kazała jej usiąść na krześle. Następnie nalała trochę wina do dwóch pucharów i wręczyła jedno

naczynie Trudi. Sama oparła się o stół, żeby odciążyć kolano. Spojrzała z góry na córkę, która robiła wrażenie tak skrzywdzonej i bezradnej, że serce jej pękało na ten widok.

— Jeśli naprawdę tak tego pragniesz, zgadzam się na twój ślub z Gressingenem.

Niech przyjedzie i poprosi o twoją rękę.

Nie były to słowa, które Maria chciała wypowiedzieć, jednak nędzny stan córki napawał ją strachem.

Trudi spojrzała na nią zdumiona: — Naprawdę? Zgadzasz się?

— Jesteś moją córką i chcę, żebyś była szczęśliwa. Jeśli uważasz, że junkier Georg jest odpowiedni dla ciebie, nie będę stawiała ci na drodze.

Maria oczekiwała, że Trudi za zgodę będzie jej radośnie dziękować, ale dziewczę siedziało tylko zaskoczone, zupełnie nie jak ktoś, kogo najgorętsze pragnienia właśnie miały się spełnić.

— Sądziłam, że tego chcesz — dodała Maria, zawieszając głos.

— Oczywiście, że chcę!

Wreszcie do Trudi dotarło, że nie znalazła się tu po to, by się nad nią odbył sąd karny. Wbrew swym obawom dostała zgodę matki, na którą nie liczyła. Skoczyła na równe nogi i objęła radośnie rodzicielkę.

— Dziękuję, mammo! Jesteś taka kochana dla mnie. A ja wcale nie zasłużyłam sobie na to. Ale kocham Georga von Gressingena i chcę zostać jego żoną. Oczywiście nie można go porównywać z ojcem, ale drugiego takiego jak tata nie ma na całym świecie.

— Gdy już będziesz zameżna, nie powinnaś mierzyć swego męża miarą ojca, drogie dziecko, lecz miarą własnej miłości. — Maria pogładziła Trudi po włosach i przycisnęła do siebie. — Bardzo cię kocham! — szepnęła jej do ucha.

Jednocześnie pomyślała o kazaniu, które chciała wygłosić temu niesfornemu dziecku i zganiała się w duchu za miękkie serce i uległość. Trudi w objęciach matki rozplakała się.

— Ja naprawdę nie zasłużyłam na taką dobroć. Zachowałam się brzydko w stosunku do Lisy, a nawet ją uderzyłam. Tak mi przykro!

— Powiem Lisie, że żałujesz. Ona ci wybaczy. Przecież jesteście siostrami.

Maria pocałowała Trudi w czoło. Porozmawia z Lisą, a ponieważ dziewczę nie było pamiętliwe, waśń wkrótce się skończy. A jeśli chodzi o Gressingena, dla świętego spokoju była gotowa przyjąć go serdecznie.

CZEŚĆ DRUGA

Cienie na horyzoncie

1

Magnus von Henneberg rzucił pogardliwe spojrzenie na człowieka, w towarzystwie którego przyjechał jego brat. Przybysz myślał chyba, że znajduje się w obozie wojskowym, a nie w niewieściej komnacie. Nosił wprawdzie nazwisko Peter von Eichenloh, ale był tak niechlujnie ubrany i siedział na krześle tak niedbale, że mało kto domyśliłby się, że ma przed sobą szlachcica. Gdy pił, wino spływało mu po brodzie. Jako jeden jedyny śmiał się z własnych rubasznych dowcipów.

Hrabia Magnus dowiedział się od Ottona, że Eichenloh zarobił dużo pieniędzy, służąc różnym panom jako żołnierz najemny. Przy tym rycerz nie wyglądał szczególnie imponująco. Był średniego wzrostu, dość masywnie zbudowany, ale nie otyły, miał kanciastą, mało pociągającą twarz z krótko

przyciętą, ale niestarannie utrzymaną brodą.

Elżbieta, żona hrabiego, patrzyła na gościa z jeszcze większą niechęcią niż mąż. Nie odpowiadało jej, że Otto, jej szwagier, tak bardzo poważał człowieka, za którym nic nie przemawiało poza jego zręcznością na polu bitwy.

Dwaj pozostali goście bardziej przypadli hrabiostwu do gustu. Georg von Gressingen stracił wprawdzie niedawno swój rodzinny zamek, odebrany mu przez księcia biskupa z Würzburga, zwracał jednak należyłą uwagę na własny wygląd. Do tego był przyjemnym rozmówcą, który nie wybuchał w niestosownych momentach śmiechem. Obok Gressingena siedział Hardwin von Steinsfeld. Był w tym samym wieku co Otto, ale — w przeciwieństwie do młodego hrabiego — brał przykład z Gressingena, a nie z tego żołdaka.

Hrabia Magnus zganił swego brata już w momencie przybycia, bo Otto nie był tak starannie przyodziany, jak przystało na arystokratę. Dowódca najemników, zapewne mieszczanin, może chodzić w oberwanym odzieniu, ale nie członek hrabiowskiego rodu Hennebergów.

Hrabina Elżbieta skłoniła się lekko i rzekła do Steinsfelda: — Mam nadzieję, że wasza pani matka czuje się dobrze.

— Owszem — zapewnił szybko Hardwin.

Nim zdążyła powiedzieć kolejne zdanie, Peter von Eichenloh ponownie się wtrącił: — Nie dziwota! Twoja matka po śmierci ojca rządzi na zamku jak herszt i nie przestanie aż do śmierci. Jeśli chcesz stać się mężczyzną i mieć coś do powiedzenia, powinieneś jakiś czas spędzić ze mną i z moimi ludźmi. Zrobimy z ciebie prawdziwego mężczyznę!

Gospodarze zmierzili rycerza Eichenloh pełnym niesmaku spojrzeniem, a Otto von Henneberg z trudem powstrzymał się od śmiechu. Steinsfeld miał w całej okolicy opinię maminsynka, który bez pozwolenia pani Herty nie waży się pójść nawet do wychodka. Również Gressingen uśmiechał się rozbawiony, gdy tymczasem obrażony Hardwin wydał dolną wargę. Nie był zainteresowany wojną ani orężem, bo jego myśli krążyły wokół Bony von Fuchsheim, której brak od owego popołudnia w lesie odczuwał bardziej, niż mógłby się tego spodziewać.

— Na pewno nie przyłączę się do waszej zgrai zabijaków, panie Eichenloh.

— Nie mam zamiaru cię do tego namawiać — odpowiedział junkier Peter z ironicznym uśmiechem.

— Możecie się do mnie zwracać, jak należy? — przygryzł mu Hardwin. Peter von Eichenloch wzruszył ramionami.

— Może wtedy, kiedy pokażesz swojej matce, kto jest panem zamku. Póki tego nie zrobisz, pozostaniesz dla mnie chłoptasiem, dla którego nie będę nadwyreżał ust.

— Ktoś inny musiałby to za ciebie zrobić — rzekł Gressingen do Hardwina.

— Co zrobić? — zapytał zdezorientowany Hardwin.

— Rycerzowi Eichenloh nadwyreżyć usta albo jeszcze lepiej szczękę. Gdybyś ty to zrobił, Steinsfeld, nikt już by się nie odważył nazywać cię chłoptasiem.

Gressingen powiedział te słowa poważnym tonem, chociaż wewnątrz skręcał się ze śmiechu. Nie znał nikogo, kto dobrowolnie spróbowałby mierzyć siły z rycerzem Eichenloh, więc czekał cierpliwie, ciekaw, jak Hardwin wyjdzie z potrzasku.

Zanim waśń przybrała bardziej brutalną formę, hrabia Magnus

podniósł władczo rękę i rzekł: — Stop! Tu, na moim zamku, nie zdzierzę bójek ani walk na miecze. Hardwin odetchnął z ulgą, a Eichenloh tylko machnął ręką i wycedził przez zęby: — Naprawdę sądzicie, że mógłbym temu dziecku zrobić krzywdę?

Pogardliwy ton jego głosu tak zirytował Hardwina, że najchętniej wyzwiałby rycerza na pojedynek. Ale wiedział, że nie ma najmniejszych szans z doświadczonym wojakiem. Eichenloh nie liczył sobie więcej niż dwadzieścia sześć lat, ale walczył już w większej liczbie bitew, niż wszyscy rycerze w tej sali razem wzięci. W gruncie rzeczy, pomyślał Hardwin, ten człowiek nie jest niczym więcej jak nieokrzesanym zabijaką, któremu tylko z łaski i miłosierdzia pozwala się przebywać w gronie szlachty.

— Przeciwko komu teraz wyruszacie, Eichenloh? Będziecie stać po stronie Würzburga czy przeciw niemu? Po stronie pana Hohenlohe czy przeciw? Po stronie Brandenbura-Ansbacha czy przeciw? — pytał Gressingen, któremu sprawiało przyjemność robienie małych przytyków najemnikowi.

— Ja też jestem ciekaw — powiedział hrabia Magnus, który bacznie obserwował najemnika, chcąc z jego mimiki wyciągnąć wnioski.

Junkier Peter zaśmiał się dźwięcznie i uderzył po udach.

— Dowiedcie się wystarczająco wcześnie. Jednego możecie być pewni: mój miecz długo nie będzie spoczywał w pochwie.

— Powiniście pojechać do Würzburga i złożyć uszanowanie czcigodnemu biskupowi. On potrafi docenić doświadczonych w boju mężów i dlatego na pewno wybaczy wam pewną rzecz.

Niechęć hrabiego Magnusa do tego mężczyzny nie była aż tak wielka, by pragnął go zobaczyć na polu walki po wrogiej stronie. Jako głowa bocznej gałęzi rodu von Henneberg, mającego na północy wiele rozsianych dóbr, musiał lawirować między roszczeniami Fuldy, Würzburga i Moguncji i nie mógł przy tym ignorować potrzeb najbliższej rodziny. Obecnie znajdował się na usługach księcia biskupa Gotfryda Schenka i dlatego próbował oszacować, jak wielki był gniew biskupa na Petera von Eichenloh.

Otto von Henneberg spojrział z ciekawością na przyjaciela.

— Mnie też by interesowało, gdzie w najbliższej kolejności się udamy.

— Ty nie będziesz już towarzyszył panu von Eichenloh. Sam potrzebuję twojej pomocy — oświadczył brat z wyraźną stanowczością.

Eichenloh uniósł tylko brwi, ale niczego nie powiedział. Natomiast oburzony Otto wykrzyknął do brata: — Obiecałem junkrowi Peterowi, że zostanę przy nim.

— Ale chyba nie na wieki. Czcigodne siostry żeńskiego klasztoru Hilgertshausen oddały mi w zarząd swoją posiadłość koło Volkachu. Chcę, byś w moim imieniu pełnił tam funkcję wójta.

Hrabia Magnus nie pozostawił wątpliwości, że ma być tak, jak postanowił. Był przecież głową tej gałęzi Hennebergów, a brat powinien być mu posłuszny.

Otto zacisnął dłonie w pięści, jakby chciał się rzucić na brata. Eichenloh położył rękę na jego ramieniu.

— Skoro twój brat ma taką wolę, nie będziesz mógł chyba wymigać się od tego zadania, chyba że chcesz się z nim poróżnić.

— Nie, nie chcę tego, ale... — wyjąkał młodszy brat i zaklął grubiańsko. Jego szwagierka najpierw zbladła, a potem poczerwieniła. Obrzuciła go miażdżącym spojrzeniem i rzekła: — A fe, Ottonie! Nie chcę

słyszeć w moim domu takich słów!

Winę za takie nieobyczajne zachowanie Ottona przypisała rycerzowi Eichenloh.

Hrabia Magnus postanowił, że przy bardziej odpowiedniej okazji porozmawia z bratem o swoich planach względem niego i z powrotem zwrócił się do Petera von Eichenloh: — Ciągłe nie odpowiedzieliście, dla którego z panów wyciągniecie swój miecz.

Na kanciastej twarzy najemnika igrał dwuznaczny uśmiezek.

— Jeszcze nie podjąłem decyzji, a na razie przyjmę zaproszenie od opata Pankracjusza, który zaproponował, abym z moimi ludźmi spędził kilka tygodni w jego klasztornych włościach. Wiecie przecież, jak to jest. Jak żołnierz nie dostaje żołdu, to z głodu staje się nieobliczalny.

Nawet jeśli te słowa wypowiedziane zostały żartem, w sali powstało napięcie. Pani Elżbieta poprawiła się niespokojnie na krześle. Nie lubiła męskich rozmów w swej obecności, ale jako żona Magnusa musiała pełnić obowiązki gospodyni.

Pan domu pokiwał głową w zamyśleniu.

— Chcecie więc udać się do opata Pankracjusza? To nie spodoba się znanym mnichom ze Schwarzach. Są skłóceny z klasztorem Schöbach, bo ten obstaje przy swoich starych przywilejach. Jeśli teraz udacie się do Schöbachu, będą przekonani, że opat Pankracjusz planuje wytoczyć przeciw nim wojnę.

Wysiłki Magnusa, by przeciągnąć junkra Petera na stronę Würzburga, nie przyniosły rezultatów. Dowódca najemników dokładnie wiedział, że za opactwem Schwarzach stoi książę biskup Würzburga, pragnący z powrotem uzyskać kontrolę nad klasztorem Schöbach. Dlatego tylko roześmiał się i machnął ręką.

— Naprawdę sądzicie, że pan Gotfryd przyjmie mnie z radością, jak to próbujecie mi przedstawić? On wciąż jeszcze obarcza mnie winą za ten incydent ze swą bratanicą.

A przecież wina nie leżała po mojej stronie. Przyznaję, nie byłem całkiem trzeźwy, gdy ta mała wślizgnęła mi się pod koldrę. Cóż miałem począć? Wyświadczyłem jej przysługę, której sama się domagała.

Wypowiedział te słowa tak zabawnym tonem, że Otto gromko się roześmiał.

Hardwin zachichotał tylko nerwowo, bo przypomniał sobie scenę w lesie pod Fuchsheimem i ciągle jeszcze miał obawy, że ojciec Bony i jej narzeczony o wszystkim się dowiedzą i będą chcieli zemsty. Gressingen tylko wyduł wargi.

Słyszał, że Eichenloh jedynie dzięki szybkiej ucieczce zdołał uniknąć gniewu ojca panny. Książę biskup zaraz po objęciu swego urzędu zarekwirował wszystkie ziemie rycerza, jakie ten posiadał na terenach podlegających Würzburgowi. Pannę ojciec wydał za jednego z podległych mu szlachciców, któremu zaszczyt bycia spowinowaconym z tak znamienitym rodem zamknął oczy na utraconą cnotę narzeczonej. Gressingen pomyślał o Trudi. Jej ojciec nie należał do tak potężnego rodu jak Schenkowie, ale na swój sposób był nie mniej niebezpieczny. Jeśli dowie się, co spotkało jego ukochaną córkę, nie pozostanie bierny.

Pani Elżbieta znużyła się tymczasem rozmową i spojrzała na małżonka karcącym wzrokiem.

— Jeśli chcecie dalej prawić o wojnie i polityce, to idźcie, proszę, do innej komnaty.

Czuję się zmęczona i chciałabym się trochę położyć.

— Czy życzyście sobie, pani, by wasz małżonek został przy was? — zapytał l'ichenloh dwuznacznie. W jego odczuciu hrabina była zbyt wielką moralizatorką i osobą małoduszną. Był zadowolony, że za chwilę znajdzie się w gronie swych towarzyszy i nie będzie musiał trzymać języka na wodzy.

Hrabia Magnus zawahał się przez moment, jakby przemyślał propozycję junkra, ale w końcu dał znak ręką, by goście udali się za nim.

— Usiądziemy w komnacie na wieży i wypijemy jeszcze po łyżku wina.

— Łyczek to nieco za mało. Mężczyzna taki jak ja potrzebuje całego dzbana zaśmiał się Eichenloh i mrugnął do Ottona.

Młody Henneberg odwrócił twarz, bo czuł, że ma zobowiązania wobec przyjaciela, ale zdążył już podjąć decyzję, że usłucha nakazu brata i obejmie urząd wójta klasztoru w Hilgertshausen. Stanowisko to zapewni mu samodzielność i nie będzie musiał wykonywać rozkazów junkra Petera. Myśląc o tym, zdał sobie sprawę, jak bardzo ucieszyło go zaufanie, którym obdarzył go brat.

Znalazłszy się w komnacie na wieży, Eichenloh nie zwracał uwagi na hrabiego Ottona, który zatopił się we własnych myślach. Najemnik zastanawiał się, co dalej począć, czy ma przyjąć pośrednictwo hrabiego Magnusa i szukać pojednania z biskupem z Würzburga. Dotychczasowe poczynania Gotfryda Schenka świadczyły, że wkrótce dojdzie do użycia siły, inaczej nie będzie on mógł zrealizować swych zaborczych planów. W wypadku działań zbrojnych potrzebowałby najemników, a Eichenloh mógłby być dla niego na tyle cenny, że na pewne rzeczy przymknąłby oko. A niewykluczone, że nawet zwróciłby zarekwirowane dobra. Gdy Eichenloh wyobraził sobie, jak przejeżdża konno przez swoje włości, poczuł, że taka perspektywa wcale go nie pociąga. Od ponad pięciu lat był wolnym człowiekiem, który nie musiał schylać karku przed żadnymi wielkimi panami, i nie chciał tego tak szybko zmieniać. Posiadanie ziemi i zamków byłoby dla niego kulą u nogi, zatrzymałoby go w tej okolicy i żelaznymi klamrami związało z feudałem.

Za piętnaście, może dwadzieścia lat, gdy powoli będzie stawać się zbyt stary, by kontynuować ten tryb życia, za zaoszczędzony żołd kupi sobie kawałek ziemi.

Potem ożeni się ze szpetną córką któregoś z sąsiadów i zrobi jej kilkoro dzieci.

Prawdopodobnie będzie wtedy znajdował przyjemność w spotykaniu się z przyjaciółmi przy kielichu wina i we wspomnianiu starych pięknych czasów, kiedy to staczał bitwę za bitwą.

Słuchał jednak uważnie wywodów gospodarza, który nie ustawał w namawianiu go do opowiedzenia się po stronie Würzburga i wychwalał zalety tej decyzji. Eichenloh nie zabierał głosu, ale w końcu odstawił puchar i wstał, mówiąc: — Zrobiło się późno, chcę się już położyć. Jutro wczesnym rankiem muszę ruszać w drogę.

— Już jutro? — zapytał wielce rozczarowany Otto von Henneberg.

Miał nadzieję, że przyjaciel zostanie jeszcze kilka dni. Zrozumiał jednak, że obecność kogoś takiego nie będzie sprzyjała pokojowej atmosferze na zamku. Brat z żoną uważali najemnika za godnego pogardy karierowicza, chociaż przynajmniej Magnus powinien zdawać sobie sprawę, że junkier Peter nie traktował opinii ich obojga poważnie.

Otto widział rozdarcie wewnętrzne brata. Z jednej strony hrabia

Magnus był kontent, że szybko pozbędzie się gościa, z drugiej strony zaś nie krył niezadowolenia, że dowódca najemników odrzucił jego propozycję proszenia biskupa o wybaczenie. Jeśli miałyby dojść do działań zbrojnych, istniało duże prawdopodobieństwo, że Eichenloh ze swoim oddziałem opowie się za przeciwną stroną. Po raz ostatni Magnus zaapelował więc do rycerza: — Pozwolę sobie was prosić, żebyście przemyśleli moje słowa.

Eichenloh zbył jednak ofertę niedbałym słowem i opuścił pomieszczenie. Hrabia Magnus patrzył za nim z zacięciem, a następnie zwrócił się do Gressingena: — Junkrze Georgu, czy uczynicie mi przysługę i będziecie towarzyszyć mojemu bratu do Hilgertshausen, by go tam przedstawić w moim imieniu wielebnej przeorowszy Klarze von Monheim? Ja zamierzam udać się do Würzburga i odwiedzić Jego Ekscelencję. Tam wstawię się również za wami.

— Dziękuję wam za to.

Gressingen wyglądał na zadowolonego z tych słów, ale w gruncie rzeczy był tylko rozbawiony. Nie potrzebował zaprawdę, by ktokolwiek się za nim wstawiał u biskupa Gotfryda. Spojrzał na młodszego z braci Hennebergów. Otto zmagął się ze zbyt dużą ilością wypitego wina.

— Odprowadzę hrabiego Ottona do Hilgertshausen. Może siostry zakonne użyczą mi na pewien czas dachu nad głową — rzekł Gressingen z uśmiechem, jakby ta perspektywa wielce go radowała. Potem jednak zacisnął wargi, bo sobie przypomniał, że Hilgertshausen leży w sąsiedztwie Kibitzsteinu. Chętnie cofnąłby więc dane hrabiemu słowo.

Gospodarz jednakże pochwalił go już za daną obietnicę, a Otto mrugnął do niego i powiedział konspiracyjnie: — Sądzę, że będzie nam się u zakonnic bardziej podobało, niż Peterowi u tych sztywnych mnichów w Schöbachu. Kto wie, może cnota tej czy innej siostrzyczki nie będzie taka nieskalana, jak się wydaje.

Hrabia Magnus spojrział na brata osłupiały i najchętniej odwołałby swoje polecenie.

Nie mógł pojąć, jak to możliwe, że Ottonowi w ogóle przyszła do głowy myśl, żeby uwodzić czcigodne damy, które swoje życie poświęciły Jezusowi Chrystusowi. Z drugiej strony niestosowna wypowiedź brata potwierdziła, że należało Ottona wyciągnąć z towarzystwa junkra Eichenloh. Dowódca najemników miał zdecydowanie zły wpływ na młodzieńca.

Rozgniewany hrabia Magnus wstał z krzesła i położył rękę na ramieniu Ottona.

— Mam nadzieję, że pamiętasz, iż nosisz nazwisko Henneberg, które cię do czegoś zobowiązuje. Jeśli ci zależy, żeby oddać się uciechom cielesnym, to pojedź do najbliższego miasta i pójdz tam do burdelu, ale zakonnice i ich służki zostaw w spokoju.

— Ależ oczywiście, mój srogi bracie.

Z oczu Ottona można było wyczytać, że uważa brata za małodusznego nudziarza, który nie pozwala na czerpanie radości z życia. Na szczęście nie będzie się znajdował pod jego osobistym nadzorem. Jako wójt będzie gospodarzyć w Hilgertshausen według własnego uznania.

Magnus wzniósł toast: — Wypijmy za twój nowy urząd! Jeśli nabożne damy będą z ciebie zadowolone, przekażą to Jego Eminencji w Würzburgu i będziesz mógł jako zasłużony rycerz wstąpić do niego na służbę.

Otto skrzywił się na słowa Magnusa.

— Właściwie po jakimś czasie chciałbym z powrotem przyłączyć się

do oddziału junkra Petera. Jako jego towarzysz broni mógłbym zyskać większą sławę niż jako pacholek biskupa.

Hrabia Magnus zmierzył go tylko gniewnym spojrzeniem, ale nic już nie powiedział. Jego brat był tak krnąbrny, że jedno słowo więcej nieuchronnie doprowadziłoby do kłótni.

Dlatego wznosił puchar i rzekł do brata: — Wypijmy za twój sukces jako wójta w Hilgertshausen. Nie będziesz miał tam łatwo, bo słyszałem, że nabożne damy mają napięte stosunki z sąsiadem, rycerzem Rzeszy Michałem Adlerem z Kibitzsteinu. Będziesz musiał sprawować swój urząd mądrze i rozważnie. Junkier Georg zna okolicę i panujące tam stosunki. Pomoże ci się zorientować.

Spojrzał wymownie na Gressingena, który natychmiast lekko się skłonił.

— Nie martwcie się, hrabio Magnusie. Będę wspierał waszego brata.

W duchu Georg zacierał ręce, bo teraz będzie mógł wiarygodnie oczernić Michała Adlera. A może nawet uda mu się napuścić na niego Ottona. Jeśli doszłoby do wojny między klasztorem a Adlerem, ojciec Trudi będzie wówczas zajęty czym innym niż Gressingenem.

2.

Chociaż Peter von Eichenloh wypił kilka pucharów wina, następnego ranka wstał jeszcze przed świtem i wyszedł na świeże powietrze, żeby się umyć przy studni.

Zimna woda odświeżyła go i odegnała lekkiego kaca. Gdy chciał wrócić do budynku mieszkalnego, z mroku wyłoniła się jakaś postać.

Ręka rycerza powędrowała na rękojęść miecza, ale zaraz opadła. W nadchodzącym mężczyźnie rozpoznał Quirina.

— Witaj. Właśnie chciałem cię budzić — powiedział do niego. Quirin, niższy od swego dowódcy o pół głowy i o niemal kwadratowej posturze, skrzywił twarz w uśmiechu.

— Słyszałem, że dziś rano wyruszamy. Nie mogę powiedzieć, by mi było z tego powodu smutno. Nie byliśmy tu szczególnie mile widziani. Hrabia Magnus moim zdaniem nie jest zbyt gościnnie.

— On ma o sobie wysokie mniemanie, chociaż w przeciwieństwie do swych krewnych, podniesionych do godności książęcej, jest tylko lennikiem biskupa z Würzburga. Wyobraź sobie, że chciał koniecznie, żebym pojechał do Gotfryda Schenka i prosił o przebaczenie! Ha! Czy wyglądam na takiego, co chce zostać lizusem Jego Eminencji?

Eichenloh ze śmiechem poklepał Quirina po ramieniu. Chociaż jego najwierniejszy towarzysz nie mógł rościć sobie praw, by być chociażby bękartem szlachcica, uczciwie zasłużył na rangę zbrojmistrza i jego zastępcy w małym oddziale najemników.

Quirin prychnął i spojrzał ze smutkiem na Petera.

— Słyszałem, że młodzieniaszek nie pojedzie z nami, bo musi zostać u swego braciszka.

Zbrojmistrz, który nie miał dobrego zdania o zarozumiałych młodych arystokratkach, nie wiedzieć czemu polubił hrabiego Ottona. Młodzieniec spędził w oddziale półtora roku. W tym czasie Quirin nauczył go więcej na temat posługiwania się lancą i mieczem, niż młodzik przyswoił sobie w ciągu całego okresu bycia giermkim.

Eichenloh wzruszył ramionami.

— Hrabia Magnus zdobył dla Ottona stanowisko wójta u zakonnic w

hilgertshausen, a nasz młodzik nie mógł odmówić, bo inaczej brat by się rozgniewał.

— A ty nie przejmowałaś się rodziną. Najpierw pokłóciłeś się z ojcem, potem z wujem. Mógłbyś siedzieć sobie spokojnie w puchu, ale ruszyłeś w świat, żeby żyć po swojemu.

— Mój ojciec nie ma tu nic do rzeczy, a wuj chciał mnie wszelkimi sposobami upodobnić do siebie. Ale Otto jest inny niż ja. On jest bardzo przywiązany do brata.

— To możliwe. Ja mimo to odetchnę, gdy zostawimy zamek za sobą. Mam nadzieję, że nie będziesz czekał na mszę poranną.

— Nie, chciałbym się tylko pożegnać z Ottonem — odpowiedział Eichenloh i rozejrzał się w poszukiwaniu młodego Henneberga.

— Nie ma sensu na niego czekać. Wczoraj wieczorem był tak pijany, że parobcy musieli zanieść go do komnaty. Na pewno nie wstanie do południa.

— Tak długo nie będę czekał. Przygotuj wszystko do odjazdu. Poszukam jeszcze tylko hrabiego Magnusa i pożegnam się. Nie chcę, by mnie pomawiał, że nie okazałem mu należnego szacunku.

Chciał odejść, lecz Quirin go powstrzymał.

— Martwisz się wciąż jeszcze tym, co zarzucił ci wuj podczas waszego ostatniego spotkania? Sądzisz, że wprowadzi w czyn swą groźbę i weźmie sobie za żonę młodą białogłową, która urodzi mu spadkobiercę?

— Skąd ci to przyszło do głowy? A jeśli nawet by to zrobił, nic mnie to nie obchodzi.

Ja mam swoje życie, a wuj swoje.

— Sądzę, że tego nie robi. Jest doświadczonym mężczyzną. Na pewno nie będzie chciał mieć syna, o którym nie będzie wiedział czy jest jego, czy może przystojnego giermka lub dziarskiego stajennego. Powinieneś się więc przygotować, że kiedyś zostaniesz jego spadkobiercą.

Eichenloh skwitował rozważania Quirin tylko machnięciem ręką.

— Śnisz na jawie. Chciałbyś koniecznie zostać kasztelanem na moim zamku? Szybko by ci się sprzykrzyło! Teraz zadbaj o to, żeby konie były osiodłane. Chcę o świcie ruszyć w drogę.

— Przed śniadaniem?

Quirin wydawał się tak przerażony, że Eichenloh się roześmiał.

— Zjemy po drodze w gospodzie. Tam chleb i piwo lepiej nam będą smakować niż w tych murach.

Mówiąc te słowa, Eichenloh odwrócił się i odszedł. Quirin patrzył za nim, kiwając głową. Jego dowódca był wielce doświadczony w walce, ale wykazywał zadziwiająco mało rozsądku, jeżeli chodziło o relacje rodzinne i egzekwowanie swoich praw wobec krewnych. Za każdym razem kiedy rozmowa schodziła na jego ród, zamieniał się w krnąbrnego chłopca, który wolał przymierać głodem, aniżeli zasiąść do suto nakrytego stołu.

3.

Michał Adler ujrzał zamek pana von Dettelbacha wznoszący się w oddali i mimowolnie pozwolił koniowi pójść szybszym klusem. Gdy uderzenia podków dźwięcznie rozbrzmiały na kamiennym bruku, ciekawscy stanęli na progach domów i w oknach. Mieszkańcy Dettelbachu znali pana z Kibitzsteinu, ponieważ Michał większości zakupów dokonywał w ich miejscowości, a nie na bliżej jego zamku położonym rynku w Volkach, który coraz bardziej ulegał wpływom biskupa z Würzburga.

Tym razem Michał nie jechał jednak na rynek, lecz z wizytą do rycerza Hansa von Dettelbacha, właściciela grodu. Wziął ze sobą Trudi, która rzuciła pożądliwe spojrzenia na stoiska. Kilku uzbrojonych parobków ochraniało Michała, jego córkę oraz Anni, która im towarzyszyła, bo jako szafarka najlepiej wiedziała, co należy kupić. Najchętniej przy swoim boku widziałby żonę, jednak ostatnio jej bóle kolana nasiliły się tak, że nie mogła ani jeździć konno, ani podróżować w trzęsącym się powozie.

Tym razem będzie się musiało obejść bez rady Marii, pomyślał wzdychając Michał.

Zostawił Trudi i Anni na rynku w asyście dwóch zbrojnych, którzy mieli im pomagać w zakupach. Sam natomiast pognął swojego ogiera i z resztą ludzi pojechał na górę, do zamku.

Gdy wjechał na dziedziniec zamkowy, podbiegło do niego dwóch parobków, którzy chwycili za cugle. Michał zsiadł i spróbował wyprostować zeszywniałe członki.

Długa podróż dała mu się we znaki. Powoli zaczął mu doskwierać wiek. Jednak właśnie w tych ciężkich czasach nie powinien dawać za wygraną. Falko, syn jego i Marii, był jeszcze za młody, żeby móc przejąć obowiązki kasztelana. Ponadto przebywał u rycerza Henryka von Hettenheima, który wychowywał go i kształcił razem ze swoim najmłodszym synem. Do domu wróci dopiero za dwa, trzy lata.

Michał wyprostował się i na wciąż sztywnych nogach ruszył do drzwi wejściowych.

Ku jego uldze rycerz Hans von Dettelbach przyjął go u stóp schodów. Był to gest, który dał Michałowi nadzieję, że wizyta zostanie uwieńczona sukcesem.

— Szczęść Boże, panie Hansie. Cieszę się, widząc was w zdrowiu — rzekł Michał na powitanie gospodarza, chociaż uważał, że ten od ich ostatniego spotkania znacznie się postarzał i wyglądał chorowicie. A przecież rycerz Hans nie był dużo starszy od Michała.

— Witajcie, panie Michale — odpowiedział pan Hans słabym głosem. Gdy się odwrócił, by wejść na schody, potknął się. Michał podtrzymał go i uchronił od upadku. Gospodarz podziękował, wzdychając: — Ostatnio chorowałem i od tego czasu nie mogę dojść do siebie.

— Z czasem siły powrócą — Michał próbował go pocieszyć.

— Daj Boże i święty Kilianie! Wydaje mi się jednak, że moje dni są policzone. Wino mi już nie smakuje, a gdy je mimo to piję, boli mnie w boku, jakby ktoś wwierał się tam sztyletem.

Hans von Dettelbach wyglądał na tak przygnębionego, jakby naprawdę wierzył, że wkrótce będzie się musiał pożegnać z żywotem. Michał pożałował jeszcze bardziej, że nie mógł zabrać żony ze sobą. Maria знаła wiele ziół i potrafiła robić z nich lecznicze mieszanki. Może potrafiłaby nawarzyć jakiegoś zdrowotnego płynu dla rycerza Hansa lub przynajmniej podać nazwy ziół, które mogłyby ulżyć mu w cierpieniach.

Michał podtrzymał pana Hansa, gdy szli do części mieszkalnej zamku, ale gospodarz nie wskazał mu drogi do wielkiej sali, lecz poprowadził do małego pokoiku. W środku było ciemno, bo nie dość, że komnata miała okienka podobne do otworów strzelniczych, to na dodatek okiennice były zamknięte. Zwisająca z sufitu lampa łojowa dawała przyćmione światło, które zdawało się odzwierciedlać ponury nastrój kasztelana.

Do środka weszła służebna w średnim wieku i zarzuciła koc na

wychudzone ramiona rycerza Hansa. Wraz z nią przyszło dziewczę, liczące pewnie nie więcej niż dziesięć wiosen, i przyniosło dzbanuszek z parującym naparem oraz duży puchar napełniony winem. Mała postawiła naczynia na stole, dygnęła i śpiesznie wybiegła.

Starsza służebna pomogła swemu panu usiąść na ławie i opatuliła go ciepło, żeby przeciąg wdzierający się przez szczeliny w okiennicach nie mógł mu zaszkodzić.

Upomniała Michała, żeby nie zmęczył jej pana, a następnie opuściła pomieszczenie.

Michał poczekał, aż zostanie sam na sam z Dettelbachem i wziął puchar z jego ręki.

— Wasze zdrowie, panie Hansie!

— Bardzo bym chciał wypić wraz z wami, ale wywar, który mi dano do picia, jest odpowiedni dla konia, a nie dla człowieka. Fuj, smakuje okropnie!

Mimo wstrętu Hans von Dettelbach podniósł dzbanuszek do warg i wypił ostrożnie gorący napar.

Para, która dostała się Michałowi do nosa, pachniała rumiankiem, szałwią, koprem i miętą. Wprawdzie nie interesował się szczególnie ziołami leczniczymi, ale to i owo na ich temat sobie przyswoił, gdy Maria lub koźlarka szukały składników do różnych napojów. Mieszanka, którą pił gospodarz, wydała mu się znajoma. Jeśli to lekarstwo nie pomoże choremu, niewiele też zdziała uczony lekarz. Michał postanowił więc zaniechać grzecznościowych słówek, jakie zwyczaj nakazywał wygłaszać, lecz od razu skierował rozmowę na sprawy, które sprowadziły go do Dettelbachu.

— Rycerzu Hansie, życzę wam jeszcze wielu lat w dobrym zdrowiu i żeby wam wino znowu smakowało jak wcześniej, gdy siedzieliśmy sobie nieraz tutaj lub w Kibitzsteinie i wesoło biesiadowaliśmy. Może jeszcze zechcecie wziąć sobie za żonę jakąś młodą kobietę, żeby przedłużyć ród.

— Jeszcze raz się żenić? Nie, mój przyjacielu, te czasy już minęły — odpowiedział Dettelbach słabym głosem.

Michał położył mu dłoń na ramieniu.

— Jesteście ostatnim przedstawicielem rodu i jeśli się znowu nie ożenicie, zabraknie spadkobiercy, który będzie mógł przejąć gród wraz z targowiskiem oraz resztą waszego majątku. Ale nie mając spadkobiercy, możecie sprzedać lub zapisać Dettelbach komuś obcemu. Powiem otwarcie, jeśli nie macie krewnych, to ja byłbym zainteresowany wejściem w posiadanie tej miejscowości, gdy was kiedyś zabraknie.

Dettelbach wpadł w irytację.

— Chcecie się przyłączyć do moich rzekomych przyjaciół i dalekich krewnych, którzy się przepychają, bym im zostawił w spadku mój majątek?

Michał podniósł pojednawczo rękę.

— Nie chcę żadnych prezentów. Wszystko na tym świecie ma swoją cenę. podajcie sumę, którą mam wam zapłacić lub oddajcie mi Dettelbach pod zastaw z zapisem, że po waszej śmierci własność przejdzie na mnie. Dzięki pieniądзом, które otrzymacie ode mnie, będziecie mogli wieść przyjemny i beztrudny żywot.

— Przyjemny i beztrudny żywot? Teraz, gdy się postarzałem i podupałem na zdrowiu, a wszystkie wnętrzości przypominają mi boleśnie o sobie? Nie, panie Michale, nie opłaca mi się wydawać pieniędzy na me nędzne ciało, które mnie trzyma jeszcze na tym świecie, chociaż już nie mogę się doczekać, by ujrzeć cuda rajy. — Hans von Dettelbach spojrzał

ponuro na dzbanuszek, który postawił przed sobą. — Na to coś pieniędzy nie są mi potrzebne. Zioła rosną na poboczu drogi i moje służące same je zbierają. Wasza oferta może wypływać z dobrego serca, ale bezzębny pies nie schrupie kości.

— W takim razie weźcie pieniądze i dajcie na kościół, aby modlono się za waszą duszę i dobro waszych bliskich — Michał próbował przekonać rycerza.

Chory uniósł głowę.

— Złote słowa powiedzieliście, panie Michale. O duszy nie powinno się zapominać.

Mógłbym klasztorom w okolicy dać pieniądze na wiele mszy za moją duszę, a może nawet ufundować jakiś kościół. To mogłoby mi pomóc szybko opuścić czyściec i oddać się radościom pobytu w raju.

— W tym jesteśmy zgodni. — Michał chciał już odetchnąć z ulgą, jednak gospodarz potrząsnął głową.

— Nie tak szybko. Zanim podejmę decyzję, chcę porozmawiać z moim kaznodzieją.

Przyjedźcie za tydzień znowu. Wtedy powiem wam, co zdecydowałem.

Michał widział po chorym, że nie uzyska niczego więcej. Opróżnił puchar.

— Przyjadę więc za tydzień, rycerzu Hansie. Mam nadzieję, że wtedy dobijemy targu.

A teraz z Bogiem!

— Z Bogiem!

Dettelbach wypił do końca zawartość dzbanuszka i wstał. Chwilę zdawał się zastanawiać, czy powinien odprowadzić gościa na dziedziniec, ale potem opuścił ramiona i bez słowa odszedł, powłócząc nogami.

Michał patrzył za nim i wzdrygnął się na myśl, co stało się z tym kiedyś tak skorym do zabaw, zawsze pogodnym rycerzem Hansem. Jednocześnie pożałował, że nie udało mu się na miejscu sfinalizować kupna grodu. Posiadanie Dettelbachu umocniłoby jego pozycję w tej okolicy i mógłby bardziej zdecydowanie bronić swoich praw przed roszczeniami księcia biskupa.

4.

W rozgardiaszu panującym na targu Trudi po raz pierwszy zapomniała o swej nieszczęśliwej miłości do Georga von Gressingena. Z błyszczącymi oczami oglądała rozłożone towary. Ojciec zostawił jej ładną sumkę, żeby mogła sobie coś kupić. Ustąpiła jednak pierwszeństwa szafarce. Dopiero gdy An ni skończyła swoje zakupy i kazała je zanieść do gospody Pod Strumieniem, gdzie pozostawili konie, Trudi pociągnęła ją za rękaw.

— Czy nie mogłybyśmy obejrzeć jeszcze raz tkaniny?

Anni zmarszczyła brwi. Trudi z pewnością nie brakowało sukien. Maria nieraz ganiła córkę za jej zamiłowanie do strojów, ale Michał śmiał się tylko i mówił, że powinno się jej pozwolić na odrobinę radości. Doprowadziło to do konfliktu między małżonkami. Anni obawiała się, że dojdzie do kłótni, jeśli Trudi kupi sobie materiał na nowe stroje. Nie po raz pierwszy szafarka zaczęła się zastanawiać, dlaczego Michał i Maria mieli tak różne poglądy na sprawy dotyczące wspólnej córki, chociaż oboje kochali Trudi z całego serca. W kwestiach, w których matka była zbyt surowa, ojciec był zbyt pobłażliwy.

Milczenie Anni zniecierpliwiło Trudi, dlatego pociągnęła szafarkę w kierunku kramów, gdzie sprzedawane były tkaniny. Panna miała dobre oko i potrafiła ocenić ich jakość. Natychmiast sięgnęła po jasnozielony materiał z flandryjskiej wełny.

— Czyż nie jest piękny? — zapytała z błyskiem w oku.

— Tak, ale drogi! Chciałabym ci przypomnieć, że dwa lata temu otrzymałaś suknię w bardzo podobnym kolorze.

Anni westchnęła ciężko. W jej oczach panienska była zbyt lekkomyślna. Chociaż szafarka starała się godzić matkę i córkę, w tym momencie była gotowa stanąć po stronie Marii.

— To nie ma być dla mnie, lecz dla Lisy — wyjaśniła podekscytowana Trudi. — Poza tym kupię jeszcze kilka łokci tego niebieskiego materiału dla Hildegardy.

Anni odetchnęła z ulgą. Wyglądało na to, że Trudi zrozumiała swoją winę i chciała się pogodzić z siostrami. Szafarka postanowiła porozmawiać z Lisą, żeby panienska nie chowała urazy. Hildegarda na pewno nie będzie się długo boczyć. Mała nie była pamiętliwa. Bardzo się ucieszy, gdy dostanie taki piękny materiał. Dlatego Anni poparła wybór Trudi.

— Obie bardzo się ucieszą — rzekła. — Ale skoro kupujesz materiał dla sióstr, powinnaś kilka łokci kupić także dla siebie. Alike na pewno uszyje ci z tego sukienkę, którą będziesz mogła włożyć na ślub Bony w Fuchsheimie. A może nie chcesz pokazać się na jej ślubie w nowej sukni?

— Nie mam tyle pieniędzy — odpowiedziała z żalem Trudi.

— W takim razie zapłacę za materiał dla Hildegardy z pieniędzy, które dała mi twoja matka. Popatrz na ten. Czyż nie jest odpowiedni na wesele?

— Anni wskazała na belę niebieskiego sukna usianego srebrnymi gwiazdkami.

— W sukni z takiego materiału będziesz się wspaniale prezentować — dodała z dumą, jakby sama była matką dziewczęcia.

— Jest naprawdę piękny! — Trudi pogładziła tkaninę i wyobraziła sobie, jak będzie w niej wyglądać. Ponieważ pan Fuchsheim był spokrewniony z Maksymilianem von Albachem, stryjem Georga, miała nadzieję, że jej ukochany zjawi się na ślubie.

Junkier Georg na pewno nie śmiał starać się o jej rękę, nie posiadając majątku. Ale jej posag był wystarczająco duży, żeby mogli nabyć nowe włości. Rodzice powiedzieli jej, że otrzyma majątek Windach. Był to wprawdzie mały zamek, ale miał dosyć ziemi i dwie wsie, mogliby więc z tego żyć na dość wysokim poziomie.

Anni tymczasem przywołała kupca, który rozmawiał z inną klientką. Wskazała na niebiesko — srebrzysty materiał i zaczęła się targować. Nawet jeśli zdecydowana była kupić kilka łokci tego materiału, to nie miała zamiaru płacić za niego każdej ceny.

Kupiec narzekał, jak ciężkie są czasy, a w końcu podał sumę, na którą Anni zareagowała śmiechem.

— Za te pieniądze dostanę na targu w Volkach trzy razy tyle materiału, i to lepszej jakości.

— Tak wam się tylko wydaje. Czy widzicie, szanowna damo, jak ten materiał błyszczy? To sukno wprost domaga się, żeby was ozdobić.

Chociaż kupiec oszacował, ile jest warte odzienie Anni, i wywnioskował, że musi być wyższej rangi służącą na jakimś zamku, to zwracał się do niej jak do szlachcianki, żeby się jej przypodobać.

Szafarka roześmiała się po raz kolejny.

— Możesz innym tak kadzić. Ja zapłacę ci tylko tyle. Położyła kilka monet na lewej dłoni.

— Chcesz mnie obrabować? Za te pieniądze możesz dostać wełnę z tej okolicy, a nie flandryjskie sukno — zawołał kupiec, udając oburzenie.

Anni nie odezwała się, tylko dołożyła dwie monety.

— To moja ostatnia oferta. Mężczyzna patrzył na pieniądze i sapał.

— Dodaj jeszcze dwa grosze i możesz wziąć materiał.

— Dodam jeden grosz.

Anni dołożyła monetę. Kupiec zaklął i wziął miarę, by odmierzyć materiał. Gdy chciał go odciąć nożycami, Trudi chwyciła go za ramię.

— Czy nie będzie za mało?

Widziała, że mężczyzna za każdym razem trochę cofał miarkę.

— Byłaś uważna, to dobrze. — Anni pochwaliła pannę, po czym wszystkie monety jedna po drugiej wrzuciła z powrotem do mieszka i spojrzała wyniośle na kupca. — Nie pozwolimy ci się oszukać. Na targu jest niejeden handlarz sukniem.

Odwróciła się plecami do stoiska, jakby chciała odejść. Mężczyzna ją zatrzymał.

— Dodaj jeszcze grosz, a dostaniesz materiał.

— Mam wynagradzać oszustwo? Zawołam nadzorcę targu. On będzie mógł od razu sprawdzić, czy twoja miara jest równa mierze Dettelbachu. Bo mnie się wydaje, że jest ciut krótsza.

Nim Anni zdążyła przystąpić do realizacji groźby, kupiec, burcząc, odmierzył materiał. Nim sięgnął po nożyce, nadał nawet miary na szerokość dłoni.

— Jesteś teraz zadowolona, niewiasto? — zapytał z wyrzutem w głosie. Anni skinęła głową i patrzyła, jak nożyce prześlizgują się po materiale.

Trudi sądziła, że podobne przejścia będą przy kupnie następnych materiałów, ale teraz Anni i sprzedawca wiedzieli już, czego się mogą po sobie spodziewać, i szybko doszli do porozumienia. Po krótkiej chwili mogły opuścić targowisko i poszły w kierunku gospody Pod Strumieniem, Anni z materiałem pod pachą i z zadowoloną miną, a Trudi uśmiechając się ze zdumieniem.

— Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś się tak twardo targował. Myślałam już, że kupiec nie zechce nam niczego sprzedać.

Anni zachichotała.

— To był szczególnie uparty osobnik. Ale nie ufaj żadnemu kramarzowi, który próbuje ci się przypochlebić, a jeszcze mniej takiemu, który udaje, że mu się źle wiedzie. Każdy z nich próbuje swoich klientów wymanewrować, żeby się jeszcze bardziej wzbogacić. Oznacza to, że trzeba być czujnym, a czasem nawet zrezygnować z zakupu. Tym bardziej cieszę się, że wszystko poszło tak dobrze. Lisa będzie zachwycona tym zielonym sukniem, a ty dostaniesz suknię, w której na zamku Fuchsheim oszołomisz młodych rycerzy. Kto wie, może wśród nich znajdzie się ktoś, kto ci się spodoba.

— Poślubię Gressingena! Obiecał mi, że poprosi ojca o moją rękę.

Trudi powiedziała te słowa z takim naciskiem, że jej towarzyszka niczego więcej nie dodała. Wyglądało na to, że panienska wbiła sobie do głowy tego przystojnego, szarmanckiego i uprzejmego rycerza. Zazna spokoju dopiero wtedy, gdy Gressingen się oświadczy. Ale nie daj Boże,

gdyby rycerz w brutalny sposób został wyrwany z jej marzeń.

Anni miała wątpliwości, czy Gressingen kiedykolwiek poprosi o rękę panienki. Bała się dnia, kiedy Trudi to pojmie. Żeby zmienić temat, wskazała głową na szyld gospody, na którym przedstawiony był potok, a nad nim puchar z winem, chociaż w środku podawano gościom wino tylko w kubkach ze skóry i drewna.

— Mam ochotę na łyk wina i kawałek pieczeni — powiedziała.

— Ja też. Każ zanieść nasze zakupy do pokoju i odświeżmy się trochę. Potem zobaczymy, czym nas tu mogą uraczyć — odrzekła Trudi głosem tak rześkim, jakby była w całkowitej zgodzie ze sobą i światem.

Gdy weszły do środka, Anni wybrała wolny stół w rogu, a Trudi poszła za nią.

Cały czas zatopione były w rozmowie na temat odpowiedniego kroju nowych sukien. Dopiero gdy usiadły, zobaczyły, kto znajduje się przy sąsiednim stole.

Byli to żołnierze najemni zgromadzeni wokół dowódcy. Wyglądali tak groźnie, że lepiej by było trzymać się od nich z daleka. Ale nie hałasowali, ani się nie awanturowali, więc Trudi nie chciała zwracać na siebie uwagi, przesiadając się w inne miejsce.

Niski mężczyzna o krępej budowie i włosach w kolorze lnu spojrzał szybko w kierunku Trudi i Anni, potem odwrócił się do swych towarzyszy i walnął pięścią w blat stołu.

— Jeśli będziemy jeszcze długo czekać na jedzenie, to obję szynkarzowi głowę.

Jego dowódca w odzieniu świadczącym o tym, że jest szlachcicem, roześmiał się i przywołał usługującą dziewczkę.

— Jeszcze jeden dzban wina, ale najlepszego, jakie macie.

— Wszystkie nasze wina są dobre — powiedziała szynkarka, mająca co najwyżej dwanaście lat.

Szóstka mężczyzn roześmiała się donośnie, a szlachcic rzekł do niej: — W takim razie przynieś nam wina, które tobie najbardziej smakuje.

Dziewka pobiegła szybko, jakby lękała się tych gości. Po drodze do piwnicy otworzyła na wezwanie innego gościa okna, żeby więcej światła wniknęło do gospody. Teraz Trudi mogła stwierdzić, że kaftan dowódcy był w kilku miejscach rozerwany i z dziur wystawała podszewka. Również spodnie miały tłuste plamy, jakby ich właściciel miał zwyczaj wycierać o nie brudny nóż.

Trudi, która go w duchu porównała ze swym ukochanym, pogardliwie zmarszczyła nos. Mężczyzna mógł być szlachcicem, o czym świadczyły niektóre jego gesty, ale robił wrażenie kogoś, kto zszedł na manowce. Na dodatek jego twarz była zbyt kanciasta, by robić przyjemne wrażenie, i wyrażał się grubiańsko jak furman.

Odwróciła się od rycerza w brudnych spodniach, prychając pogardliwie, i wzięła w dłoń kubek z winem, który podała jej młoda szynkareczka.

— Hej! Co to ma znaczyć? Mój pan zamawiał wino. Nas powinnaś najpierw obsłużyć — rozgniewał się jeden z najemników, ten, którego włosy miały kolor lnu.

Szynkarka przebiegła obok niego i chwilę potem wróciła z drewnianą tacą pełną kawałków pieczeni, miseczką soli i połówką chleba.

— Nareszcie jedzenie! — wykrzyknął lnianowłosy i chciał je chwycić. Młódka jednak się wywinęła i postawiła tacę przed Trudi i Anni.

— Smacznego!

— Bóg zapłać.

Gdy Trudi sięgała po chleb, Inianowłosa zerwał się na równe nogi i uderzył obydwoma pięściami w stół.

— Przekłeta szynkarska hołota! Byliśmy tu pierwsi i chcemy zostać pierwsi obsłużeni!

Szynkarka zbladła i zadrżała. Jej spojrzenie powędrowało ku gospodarzowi, który był właśnie odwrócony plecami i słuchał, co do niego mówi inny gość.

Najwidoczniej bardziej się bała swego chlebodawcy niż żołnierza, bo wprawdzie cofnęła się, potrzęsła jednak głową.

— Ta panna zamówiła jedzenie dzisiaj rano. Dlatego było już gotowe, ^dy przyszła.

Waszą pieczeń podam za chwilę.

Twarz mężczyzny zrobiła się purpurowa.

— Nie będziemy tego tolerować! Albo dostaniemy żarcie natychmiast, albo...

Nim Trudi się spostrzegła, sięgnął po tacę z jej stołu i postawił ją przed swym dowódcą.

Zbrojni pacholki z Kibitzsteinu, którzy towarzyszyli Trudi i Anni, poczuli się wobec tej samowoli nieswojo, musieli jednak bronić córki swojego pana.

— Postaw jedzenie tam, gdzie powinno stać! — rozkazał starszy z nich, mężczyzna dobrze umięśniony, o twarzy poranej głębokimi zmarszczkami. Jego ręka spoczęła na rękojeści miecza.

Krępy blondyn wyciągnął natychmiast swoją broń. Wtedy ręka dowódcy spoczęła na jego ramieniu.

— Zostaw, Quirinie. Chcesz, byśmy w szóstkę pobili dwóch poczciwych parobków, i to z powodu kawałka pieczeni?

Skłonił się drwiąco przed Trudi i postawił przed nią z powrotem pełną tacę. Ona lekko skłoniła głowę i z apetytem wzięła się za jedzenie, jakby przed chwilą nie zaszedł żaden incydent. Na żołnierzy nie zwracała przy tym najmniejszej uwagi.

Peterowi von Eichenloh spodobał się jej spokój. Chętnie by ją poznał bliżej. Kusiło go, by zacząć z nią rozmowę. Była wyjątkowo śliczną panną o dumnej postawie i długich, sięgających niemal talii włosach w kolorze bursztynu.

Potem jednak wzruszył prawie niezauważalnie ramionami. Takich szlacheckich damulek, zwłaszcza w wieku tej blondynki, miał powyżej uszu. Zadzierają najpierw nosa, jakby mężczyzna był tylko prochem u ich stóp, a potem chcą koniecznie, by się z nimi żenić.

— Nie, dziękuję. Baba u szyi to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję w ciągu najbliższych lat — wymamrotał pod nosem, przysiadając się z powrotem do swoich ludzi. Kątem oka widział, że towarzysze panienki również zajęli miejsce i mimowolnie wpatrywał się w ich herb. Nie znał w tej okolicy żadnego rodu mającego w herbie ptaka stojącego na skale. Ptak nie przedstawiał ani orła, ani sokoła, lecz przypominał bardziej szczygła lub czajkę. Skojarzył fakty.

Pewien rycerz otrzymał od cesarza Zygmunta we władanie majątek Kibitzstein — Kamień Czajki. Eichenloh, będąc chłopcem, nieraz sobie żartował, że orzeł — po niemiecku Adler — został przemianowany na czajkę, chociaż zamek podobno otrzymał swą nazwę pierwotnie wcale nie od

tego ptaka. Eichenloh podejrzewał jednak, że jakiś pisarz, wystawiając dokument, zapomniał wstawić literę E i ze słowa Kiebitz — czajka — uczynił Kibitz. Myśli te sprawiły, że przypomniał sobie wuja, który celowo zniekształcał jego nazwisko na Eichenloch, po tym jak rycerz zrezygnował z nazwiska rodowego i nazwał się od lasu leżącego w obrębie swych włości.

Gorzkie myśli musiały się naznaczyć na jego twarzy, bo Quirin, który dopiero co wyglądał, jakby miał pęknąć ze złości, nalał mu wina z dzbana przyniesionego właśnie przez szynkarkę i rzekł: — Splucz winem to, o czym myślisz.

— Masz rację, Quirinie. — Eichenloh przegnał krewnych ze swych myśli, opróżniając duszkiem kubek, i mlasnął językiem. — Wino jest rzeczywiście dobre.

Nie chcielibyście również skosztować, panienko?

Wyciągnął dzbanek w kierunku Trudi, jednak ta spojrzała niewidzącym wzrokiem w jego kierunku, jakby był powietrzem.

— Jak nie, to nie — powiedział gniewnie, bo jej niechętna postawa ubodliła go, odwrócił się i nalał jednemu ze swych towarzyszy tak energicznie, że wino prawie wylało się na stół.

— Wypijmy za nas, towarzysze, żebyśmy w dalszym ciągu odnosili sukcesy!

— Należałoby wam tego życzyć, bo wtedy moglibyście sobie kupić kaftan bez dziur. — Trudi nie wiedziała, co ją skłoniło do tego ironicznego stwierdzenia.

Chciała nieokrzesanemu żołdakowi pokazać, że Adlerówna z Kibitzsteinu nie da się tak łatwo zastraszyć.

Towarzysze rycerza von Eichenloh roześmiali się, chociaż mieli na sobie jeszcze bardziej znoszone łachy niż ich dowódca. Chciał jej odplacić tą samą monetą, nim jednak przyszła mu do głowy cięta riposta, szynkarka postawiła wielką tacę z pieczenią i chlebem na jego stole.

— Smacznego — powiedziała drżącym głosem.

Młódka najwidoczniej bała się rozdrażnić mężczyzn, bo żołdacy mieli w zwyczaju demolować gospodę, gdy im coś nie pasowało. Jednocześnie była zła, że dowódca oddziału stał się z panną Trudi z Kibitzsteinu, której rodzina często tu gościła i nie skąpiła napiwków. Gdyby zjawił się tu rycerz Adler ze swymi ludźmi i próbował ukarać tego, kto obraził jego córkę, to gospodę zamieniliby w ruinę.

Żołnierze nie byli zainteresowani wrazeniem, jakie wywarli na szynkarce oraz innych gościach w gospodzie, lecz energicznie sięgnęli po jadło. Quirin, którego tak zdenerwowało, że Trudi została potraktowana w sposób uprzywilejowany, ciągle jeszcze był zły i podczas jedzenia zerkał na sąsiedni stolik. Jej uzbrojona ochrona nie napawała go strachem. Bez problemu sam by się z nimi rozprawił. Dlatego wznosił swój kubek i wyciągnął go z drwiącym wyrazem twarzy w kierunku Trudi.

— Chodźcie, wypijcie za pana von Eichenloh i jego odważną drużynę. Jesteście nam to winni.

Rycerzowi w porwanym kaftanie w towarzystwie kilku nędznych typów nie jestem nic winna — rozgniewała się Trudi.

— Nie pozwolę, by ktoś taki jak wy nazywał nas nędznymi typami — odszczeknęła Quirin. Również inni żołdacy się zirytowali. Poprzestali jednak na szelmowskich komentarzach, których ofiarą była Trudi.

Eichenloh mógł uciszyć podwładnych, ale oparł się wygodnie o ścianę i gryzł na przemian kromkę chleba i porcję pieczeni oraz śmiał się z

dość sprośnych dowcipów swoich ludzi.

Parobcy wiercili się niespokojnie na ławce, mimo obraźliwych uwag obawiali się pierwsi sięgnąć po broń. Trudi zacisnęła zęby, żeby nie powiedzieć słów, których nie wypadało wypowiadać zameżnej kobiecie, a cóż mówić o cnotliwej pannie, i zmusiła się do dalszego jedzenia. Ponieważ jednak nie mogła zapanować nad gniewem, zaczęła parodiować swobodne zachowanie rycerza Eichenloh.

Anni ją skarciła: — Zachowujcie się, jak należy, panienko!

— Czemu? Ja się po prostu dostosowuję do tych prosiąt, co tu kwiczą. Te słowa przeważyły szalę. Quirin skoczył do góry jak rozdrażniony byk, żeby czynnie odpowiedzieć na zniewagę, jednak dowódca przytrzymał go na ławce.

— Zostaw! Gdyby to była twoja córka, mógłbyś przełożyć ją przez kolano i złoic jej tyłek. Ale nie do ciebie należy uczyć niewychowaną obcą osobę dobrych manier.

— Jeżeli już, to nauczanie powinien zacząć od ciebie i tobie podobnych — drwiła Trudi i mlasnęła tak, jak podpatrzyła właśnie u towarzyszy rycerza Eichenloh.

Anni również czuła niechęć do tych ludzi, ale większy był wstyd za zachowanie Trudi. Dobrze wychowana panna powinna ludzi tego pokroju traktować z pogardą, a nie zachowywać się jak wstawiona kramarka.

— Ciesz się, że matka cię nie widzi — szepnęła do Trudi. Nadzieja, że słowa te spowodują, iż Trudi się opanuje, spełzła na niczym.

Maria była daleko, a Trudi czerpała satysfakcję, że może dokuczyć temu niechlujnemu szlachcicowi i jego ludziom. Przypuszczała, że dowódca był synem rycerza podupadłego rodu, który po ojcu odziedziczył tylko konia, miecz i przy odrobinie szczęścia jeszcze zbroję. Wielu takich szlachetków bez majątku zbierało wokół siebie opryszków, by w zamian za parę monet najmować się razem z nimi u kasztelanów toczących wojny z sąsiadami. Sądząc po wyglądzie tego mężczyzny, nie odnosił on prawdopodobnie zbyt dużych sukcesów. Była ciekawa, czy miał przy sobie dość pieniędzy, by zapłacić rachunek za posiłek.

5.

Po rozmowie z Hansem von Dettelbachem Michał również zrobił zakupy na targu i zamierzał udać się do gospody Pod Strumieniem. Czterej zbrojni towarzyszący mu parobcy trzymali się tuż za nim i wodzili wzrokiem na boki, by wykazać się czujnością. Zakupy pana niesione były przez dwóch miejscowych pachołków, którzy utrzymywali się z noszenia węzełków i koszyków osób przybywających na targ. W przedsiönku gospody złożyli bagaże i skłonili się przed Michałem z pełnym oczekiwania uśmiechem. Zнали pana z Kibitzsteinu i wiedzieli, że nie był skąpy.

Michał rzucił im w dłonie upragnione monety, a ponadto zaprosił na kubek wina i kawałek pieczeni.

Kapitan najemników natychmiast spostrzegł, że wiatr zaczął zmieniać kierunek, bo kilku z nowo przybyłych miało na odzieniu herb Kibitzsteinu. Musieli więc należeć do panny o ostrym języku, a szlachcie w ich towarzystwie to z pewnością rycerz Rzeszy Michał Adler, człowiek, który za sprawą swojej odwagi podczas wojny z Czechami zdobył szczególne względy cesarza Zygmunta.

Peter von Eichenloh rzucił w kierunku ojca Trudi badawcze spojrzenie. Rycerz nie był już pierwszej młodości, ale ciągle jeszcze robił

wrażenie krzepkiego mężczyzny, który niejedno w życiu przeszedł. Czułe spojrzenie, jakim obdarzył córkę spowodowało, że Eichenloh zaczął żałować, iż wszczął kłótnię z panną. Jeśli szlachcianka o ciętym języku podpuści ojca, może się polać krew.

— Spokój! — rozkazał towarzyszom.

Quirin zlustrował wzrokiem mężczyzn, którzy znaleźli się wokół panny, i wykrzywił złośliwie twarz.

— Tacy jak ci mnie nie przestraszą, niech ich nawet będzie więcej.

— Bać to i ja się nie boję. Ale nie skończyłoby się na tych przeciwnikach. Dzisiaj jest dzień targowy. Ludzie tutejszego wójta pilnują, żeby w związku z tym panował spokój.

Jeden z najemników rzucił krzywe spojrzenie na dwóch siepaczy, którzy pili na stojąco wino i wodzili wzrokiem po gospodarze, spoglądając raz za razem za okno.

— Junkier Peter ma rację! Jeśli tego szlachcica zranimy lub może nawet ubijemy, to nas powieszają.

Żołnierze przytaknęli i zaczęli uspokajać Quirina. Żaden z nich nie był tchórzem, mieli na swym koncie niejedną karczemną awanturę, z której wyszli jako zwycięzcy. Ale tym razem stali na straconej pozycji.

Eichenloh udawał, że interesuje się tylko mięsem przed sobą i rozmową toczoną przy swoim stole, skrycie obserwował jednak, z jaką miłością Michał przywitał się z córką i przysiadł się do niej oraz do towarzyszącej jej niewiasty, która mogła być szafarką na zamku. Natychmiast wbiegła szynkarka z dzbanem wina i napełniła kubek szlachcica. Krótką chwilę potem przed rycerzem znalazła się duża porcja pieczeni wieprzowej. Najwidoczniej Adler był tu częstym i cenionym gościem.

Nawet siepacze wójta pozdrowili go z szacunkiem, gdy wchodził.

Eichenloh poczuł ukłucie zazdrości, że człowiek ten cieszy się taką estymą. Był jednocześnie niezadowolony, bo wyglądało, jakby jego ludzie się przestraszyli i podkulili ogony pod siebie. To wystawiało na szwank szacunek oddziału wobec niego jako dowódcy. Spodziewał się, że będzie zmuszony nauczyć ich respektu za pomocą pięści.

Oprócz problemów z utrzymaniem dyscypliny wśród kompanów miał jeszcze inne troski. Wprawdzie można się było spodziewać, że dojdzie do niejednego zbrojnego zatargu w okolicy, jednak aby wykorzystać tę sytuację, musiałyby mieć rozeznanie w relacjach łączących poszczególnych włodarzy. Podczas gościny na zamku hrabiego Magnusa dowiedział się, że pan Kibitzstein musi bronić swego zamku przed zakusami nowego biskupa. Dlatego zaczęło go korcić, by wstąpić na służbę do biskupa. Pokazałby wtedy tej złośliwej pannie, że nie może kogoś takiego jak on bezkarnie obrażać. Ale musiałyby przedtem pokłonić się Gotfrydowi Schenkowi zu Limpurg, a ten nie był wobec niego przychylnie nastawiony.

Obecność Michała sprawiła, że najemnicy zachowywali się bardziej powściągliwie i nie mlaskali jak stado świń. Każdy z nich miał świadomość, że jako żołnierze najemni mieli jakąś wartość tylko wtedy, gdy byli cali, bez pogruchotanych kości, dlatego uodpornili się na dalszą prowokację. Quirin również stłumił w sobie gniew, ale ciągle jeszcze spoglądał na pannę, która była równie ładna, co uszczypliwa.

Właśnie szlachcianka opowiadała ojcu z dumą o zakupach oraz o sprycie, jaki służąca wykazała podczas targowania.

— Niczego sobie panna, ale język to należałoby jej obciąć —

mruknął Quirin do swego dowódcy.

— Należałoby wychłostać jej też tyłek — powiedział junkier Peter tonem, jakby chciał z miejsca podjąć się tego zadania. Potem polecił szynkarce, by przyniosła kolejny dzban wina i resztką chleba wytarł tłuszcz z palców.

— Wypijmy jeszcze po kubku, a potem wskakujmy na konie. Mamy przed sobą daleką drogę.

Trudi, która wyraźnie usłyszała jego słowa, spojrzała mu w twarz, zachrumkała jak świnka i roześmiała się głośno. Michał spojrzał na nią zaskoczony.

— Co to ma znaczyć?

— To było tylko pożegnanie z tym szlachetnym rycerzem. Dla niego odpowiednim herbem byłaby świnka.

Eichenloh wstał i, zgrzytając zębami, skłonił się z przesadną galanterią przed Michałem.

— Szlachetny panie, podziwiałem uroki waszej córki, a przede wszystkim miód płynący z jej ust. Jak się zdaje, zna się ona na świniach. Z pewnością wychowywaliście ją jako dziecko w chlewiku.

Dłoń Michała uderzyła mocno w blat stołu.

— Nie pozwolę, by ktoś taki jak wy obrażał moją córkę!

— A kim wy jesteście? W przeciwieństwie do niektórych mogę pochwalić się sześciora pokoleniami szlachetnych przodków. — Eichenloh spostrzegł, że twarz Michała nabiegła krwią. Zrozumiał, że najwyższy czas, by ruszać w drogę. — Chodźcie! — wezwał swoich ludzi i ruszył w kierunku wyjścia. Po drodze rzucił szynkarce monetę. — Zatrzymajcie resztę jako napiwek.

Szynkarka była wprawdzie młodziutka, ale potrafiła liczyć.

— Hej! Zapłaciliście za mało! — zawołała, dogoniła rycerza i stanęła mu odważniej niż wcześniej na drodze, uniosła dłoń z monetą, domagając się dopłaty.

Quirin chciał odepchnąć młodkę, jednak dowódca zrozumiał, że się pomylił i poszukał w sakiewce odpowiedniej sumy.

— Żegnajcie, mam nadzieję, że się już nie spotkamy, rycerzu z sześciora pokoleniami przodków, ale z pustą sakiewką — zawołała za nim Trudi, i chichocząc.

Eichenloh zatrzymał się i zaklął: — Na krew Chrystusa, najchętniej bym tej dziewczce ukręcił szyję.

Nim zdążył swą groźbę wdrożyć w czyn, Quirin wypchnął go na zewnątrz.

— To by się źle skończyło, panie. Ojciec panny wygląda na takiego, co nie poprzestanie, póki przeciwnika nie pozbawi życia.

— Ty jesteś wszystkiemu winien, bo to ty zacząłeś kłótnię z panną. Peter obrzucił swego zastępcę wściekłym spojrzeniem i jednocześnie sam do siebie miał pretensje, że nie skończył w porę tej dziecinnej przekomarzanki.

Quirin spojrzał na niego skruszony.

— Ja się tylko uniosłem, bo tę zarozumiałą dziewczkę obsłużono przed nami. Gdybym wiedział, jak to się skończy, tobym się opanował.

— W każdym razie zyskaliśmy wrogów, którzy ten incydent będą długo pamiętać. W przyszłości będziemy musieli omijać szerokim łukiem ziemie należące do rycerza Kibitzsteina. Gdy nas dostanie w swoje ręce, będzie chciał, żebyśmy mu zapłacili za znieważenie córki.

— Też się tego obawiam. — Quirin podrapał się po szyi. — Do

diaska! Ale któż mógł wiedzieć, że ta uszczypliwa panna jest jego córką. Rycerz Kibitzstein jest twardym przeciwnikiem. Z pewnością zapamięta sobie sześć pokoleń przodków, które mu wypomniałeś. To pech, bo wysłannik opata z Schöbachu wyrażał się o nim w samych superlatywach. Spodziewałem się, że będziemy stać po jednej stronie. W końcu jest on zapewne najbliższym sprzymierzeńcem klasztoru Schöbach.

— Gdy opat Pankracjusz się dowie, że mieliśmy zatarg z Kibitzsteinem, nie będzie chciał nas gościć. A miałem nadzieję, że całym oddziałem spędzimy u mnichów kilka tygodni i nieco się u nich pożywimy.

— Eichenloh splunął i zacisnął pięści. — Może nie powinniśmy się zaciągać jako żołnierze najemni. Zaczajmy się lepiej na kupców, zabierzmy im towary i pozbawmy ich życia — wymknęło mu się.

Quirin patrzył na dowódcę z niedowierzaniem.

— Bez stałego punktu oparcia lub dobrej kryjówki szybko byśmy zawiśli na szubienicy. Kupcy są bardzo wrażliwi, jeśli chodzi o towary. Często werbują najemników, by ci napadali na zamki rycerzy — rabusiów.

— Od kiedy boisz się śmierci? — zapytał go ironicznie dowódca.

Podczas tej rozmowy toczony w drodze do stajni nie zwrócili uwagi, że w pobliżu kręciło się kilku parobków. Ci, podekscytowani zasłyszanymi słowami, powtórzyli je dalej. Eichenloh wraz ze swymi ludźmi nie zdążył jeszcze opuścić bram Dettelbachu, gdy rozniosła się wieść, że jego oddział chce w przyszłości zająć się rabunkiem. Ponieważ jego sposób bycia i niechlujny wygląd podległych mu ludzi uczyniły pogłoski bardziej wiarygodnymi, to wraz z podróżnymi opuszczającymi Dettelbach plotka rozniosła się we wszystkie strony.

Gdy hrabia Magnus o tym usłyszał, zrobił znak krzyża i podziękował Bogu w niebiesiech, że w porę wyrwał brata z oddziału rycerza Eichenloh. W Würzburgu doradcy księcia biskupa marszczyli brwi, bo jeśli Eichenloh stałby się rabusiem, to z pewnością zechciałby wznowić zadawniony spór z Gtfridem Schenkiem, aby się na nim zemścić, a jego miastom wyrządzić szkody. Również pewien starzec, który żywił jeszcze nadzieję, że jego siostrzeniec się usatkuje, usłyszał o tym i zdecydował się na pewne ryzykowne przedsięwzięcie — a mianowicie na ożenek z młodą niewiastą, aby spłodzić godnego spadkobiercę.

6.

Gdy Peter von Eichenloh ze swoimi ludźmi opuścił gród Dettelbach, Michał i Trudi kontynuowali obiad. Kasztelan ciągle jeszcze czuł się urażony przytykiem najemnika, natomiast panna nie pozostawiała na rycerzu Eichenloh suchej nitki.

Anni była zdegustowana, bo Trudi nie zachowywała się, jak przystało na dobrze wychowaną panienkę. Próbowwała ją pohamować. Jeśli Trudi będzie mieć pecha, to jej obraźliwe słowa obiegną okolicę i zaszkodzą jej reputacji, to nawet takiego golca jak Gressingen powstrzyma od starania się o jej rękę. W oczach szafarki najlepszym rozwiązaniem byłoby jak najszybsze wydanie panny za męża. Gdy wreszcie pasek małżonka spadnie na jej pośladki, Trudi szybko pojmie, jak się ma zachowywać.

Anni przez chwilę wyobrażała sobie tę scenę i zrozumiała, że nie byłoby to jednak dobrym rozwiązaniem. Znała upór szlachcianki i wiedziała, że ta nie pozwoliłaby nikomu na takie traktowanie. Trudi chwyciłaby pierwszy lepszy przedmiot i rzuciła, celując w głowę męża, bądź nawet zaatakowałaby go jakąś bronią.

Dlatego Anni postanowiła szukać pomocy u Michała i poprosiła go, by wpłynął na córkę. Ten potrzęsnał tylko głową i wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „nędzny prostak”. Ale gdy córka nie przestawała krytykować zaniedbanej aparycji najemnika, zastukał w końcu palcami o stół.

— Uważam, Trudi, że starczy. Tak obgadujesz tego mężczyznę, że mu chyba płoną uszy.

— Powinny mu odpaść albo jeszcze lepiej zgnić — zawołała gniewnie Trudi.

Michał był wprawdzie zły na rycerza Eichenloh, ale zrozumiał, że to ona swoimi ostrymi uwagami go sprowokowała.

— Jeśli natychmiast nie zamkniesz ust, to tak ci przyłożę, że się nie pozbierasz. Matka i ja uczyliśmy cię dobrych manier i grzeczności, a nie takiego zachowania godnego prostej szynkarki z przydrożnej gospody.

— Po kimś musiałam odziedziczyć taki temperament — powiedziała zadziornie. W tym momencie pojęła, co właśnie rzekła, i położyła dłoń na jego dłoni. — Wybacz, ojcze, nie chciałam. Ja...

Łzy przeszkodziły jej dokończyć zdanie.

Michał przygarnął ją do siebie i pogładził po włosach.

— Już dobrze, maleńka. Ale naprawdę musisz się nauczyć trzymać język za zębami.

W przeciwnym razie ludzie będą mnie i matkę wytykać palcami z powodu niewychowanej córki i doszukiwać się winy w naszym pochodzeniu.

— Nie jestem źle wychowana — odpowiedziała Trudi, pociągając nosem. — Nie chcę być podła, ale jeden z tych żołdaków najpierw zabrał mi jedzenie, a potem zachowywali się tak, jakby chcieli odebrać mi apetyt.

Opowiedziała ojcu, jak doszło do waśni, i chociaż Michał stwierdził, że nie była tak całkiem niewinna, jak próbowała to przedstawić, to jednak główna wina leżała po stronie żołnierzy. Napięcie, które powstało między ojcem i córką, szybko się ulotniło i opuszczając gospodę, byli już pogodzeni.

W drodze powrotnej Trudi napomknęła o przyczynie podróży.

— Czy udało ci się pozyskać rycerza Hansa dla twego planu? Michał pokręcił niezdecydowanie głową.

— Mam taką nadzieję. Ale z pewnością nie odda nam Dettelbachu za parę groszy.

Najpierw zapyta innych, ile by mu zapłacili za jego włości. Z Albrechtem Achillesem von Brandenburgiem— Ansbachem lub jakimś innym wielkim panem nie jesteśmy w stanie konkurować.

— Dopóki biskup z Würzburga nie kupi Dettelbachu, nie musimy się przejmować.

Trudi wypowiedziała to, co dręczyło Michała. Rycerz Hans przez swoją chorobę stał się nadmiernie pobożny i nietrudno było sobie wyobrazić, że z obawy o duszę zwróci się do księcia biskupa. Nad tym, jakie będą tego skutki, Michał nie musiał długo się zastanawiać. Teraz na dodatek sam sobie robił wyrzuty, bo zaproponował Dettelbachowi, żeby ten wydał pieniądze na cele kościelne. Ale potem przyszło mu do głowy, że emisariusze biskupa Gotfryda mogliby złożyć rycerzowi Hansowi taką samą propozycję. Dlatego dobrze zrobił, że był wobec niego szczery, bo w ten sposób pozostawała nadzieja, iż rycerz z przyjaźni zdecyduje się przyjąć jego ofertę. Maria będzie się musiała zadowolić na razie taką informacją.

Jemu samemu nie zależało tak bardzo na poszerzeniu ich włości. Zadowoliliby się Kibitzsteinem i należącymi do niego trzema wioskami.

Maria jednak za złoto, które przywiozła z podróży do Rosji, i za dochody z winnic kupiła posiadłość Windach od hrabiostwa von Castell, a od klasztoru Ebrach dwór Bergreuth. Ponadto należał do nich jeszcze zamek Kessnach w Odenwaldzie, który miał być posagiem Lisy, a także w jednej czwartej ziemi żeńskiego klasztoru Hilgertshausen, oddane im pod zastaw, i na koniec szóstą część małej targowej miejscowości Ingersdorf. Ta szóstą część stawała im teraz ością w gardle. Otrzymali ją pod zastaw od Johanna von Brunna, wcześniejszego biskupa Würzburga, a nowy biskup nie chciał zaakceptować zawartej umowy. Udział w klasztornych ziemiach Hilgertshausenu mniej niepokoił Michała, ponieważ majątek ten przylegał do Kibitzsteinu. Kasztelan był przekonany, że wcześniej czy później będzie mógł przejąć ten kawałek ziemi.

— Zrobiłeś się taki milczący, ojczy — powiedziała Trudi, która niespodziewanie znalazła się tuż przy nim i wyrwała go z zamyślenia.

Zaskoczony Michał drgnął i uśmiechnął się na jej widok.

— Myślałem o twojej matce, która gromadzi posiadłości, jak inni gromadzą beczki z winem, a przy tym zliczałem nasze wsie i dwory. Gdybyśmy zakupili jeszcze Dettelbach, to po Würzburgu, Bambergu, Ansbachu, Wertheimie, Hennebergu i Castellu należelibyśmy do najbogatszych rodów w tym kraju.

Trudi zrozumiała, że ojcu nie zależało na zwiększeniu stanu posiadania, lecz raczej był rozbawiony taką perspektywą. Nie pragnął być wcale potężny ani wpływowy.

Trudi nie sądziła też, że matka chciałaby się mierzyć z rodzinami hrabiowskimi i książęcymi. Marii wystarczyło, że przewyższa Dieboldsherima i kilku innych poślednich rycerzy Rzeszy, którzy się wynosili ponad Adlerów, bo ich przodkowie niegdyś towarzyszyli w wyprawach Fryderykowi Barbarossie lub nawet cesarzowi Ottonowi. Przodkowie Trudi wywodzili się ze stanu mieszczańskiego. Dziadek ze strony matki był nawet wolnym sługą, któremu prócz wolności udało się zdobyć jeszcze mały majątek. Dziadek ze strony ojca był właścicielem małej piwiarni. Również temu człowiekowi nikt nie przepowiedział, że jeden z jego synów zostanie wielkim panem.

— Teraz ty się zamyśliłaś — powiedział żartobliwie Michał. Trudi zamglonymi oczami spojrzała na niego.

— Właśnie myślałam o tym, jakie mam szczęście, że ty jesteś moim ojcem. Ojciec Bony von Fuchsheim nawet w ułamku nie jest tak wspaniały jak ty.

Chociaż Michał poczuł się błogo, słysząc takie słowa, próbował pohamować zapędy Trudi.

— Nie zapominaj o matce. Nie ma takiej drugiej jak ona.

Panna wyprostowała się i popatrzyła przed siebie. Przypomniały jej się ostre słowa, które ostatnio nieraz słyszała od matki. A jednocześnie pragnęła podzielić się z nią swoimi problemami i otrzymać pocieszenie. Oczywiście matka miała rację, że nakładała na nią obowiązki. Trudi była już dorosła, a jako żona rycerza będzie odpowiedzialna za duży dom i włości. Natomiast nie znośiła być traktowaną jak dziecko, a ponieważ matka w wielu kwestiach nie darzyła jej specjalnymi względami jako najstarszej spośród rodzeństwa, więc dochodziło do konfliktów.

Ponadto Maria gwałtownie odrzucała Georga von Gressingena i źle o nim mówiła, a tego Trudi nie mogła jej tak łatwo przebaczyć.

Cierpliwość Michała do córki nie była nieograniczona, jej milczenie

wydało mu się zbyt długie.

— Mam nadzieję, że zapiszesz sobie to, co ci właśnie powiedziałem, na czole. Nie lubię, gdy się sprzeciwiasz matce. Ona wie, co dla ciebie dobre, a co nie.

Trudi przytaknęła, żeby nie zranić ojca. Nagle przypomniała sobie, że matka ostatnio oświadczyła, że zaakceptuje Georga von Gressingena jako narzeczonego, i odetchnęła z ulgą. Ale nie wierzyła do końca, że między nią a matką zapanuje trwała zgoda, więc próbowała odzyskać ojca jako sprzymierzeńca.

— Ojczy, powiedz, co matka właściwie ma do zarzucenia Georgowi von Gressingenowi.

To pytanie Michał stawiał sam sobie i nie potrafił na nie odpowiedzieć. Założył, że z powodu złych doświadczeń z młodości Maria traktowała jednakowo wszystkich młodych szlachciców. Dlatego mógł Trudi tylko pocieszyć.

— Gdy matka lepiej pozna junkra Georga, na pewno go doceni. Ja uważam, że jest on miłym młodym człowiekiem.

Michał się zorientował, że Gressingen w trakcie wizyt w Kibitzsteinie i spotkań w sąsiednich zamkach flirtował z Trudi. Podobnie jak córka zakładał, że młodzieniec jest nią poważnie zainteresowany. Z pewnością konflikt z biskupem z Würzburga przeszkodził mu w staraniach o rękę Trudi. W oczach Michała właśnie ta okoliczność czyniła Gressingena cennym sprzymierzeńcem. Kasztelan już teraz postanowił, że gdy następnym razem spotka junkra, porozmawia z nim o kwestiach dotyczących przyszłości obojga młodych.

Trudi czuła, że ojciec pragnął jej pomóc. Pokierowała swoją klacz tak, żeby zbliżyć się do niego. Podała mu rękę i powiedziała: — Junkra Georga darzę dużą sympatią. Gdy ostatnio byliśmy w Fuchsheimie, obiecał mi, że niezwłocznie z tobą porozmawia. Ale wkrótce po tym biskup odebrał mu majątek i teraz nie ma śmiałości prosić o mą rękę.

— Jeśli Gressingen jest człowiekiem honoru, to przybędzie, nawet jeśli nic posiada nic prócz miecza, zbroi na sobie i konia. Ja go mimo to chętnie przywitam.

Michał ścisnął rękę córki. Miał nadzieję, że Gressingen szybko się zjawi, żeby w Kibitzsteinie znów nastąpił spokój.

7.

Michał i Trudi nie przypuszczali, że Georg von Gressingen znajduje się w tej chwili zaledwie godzinę jazdy konnej od Kibitzsteinu, mianowicie w klasztorze Hilgertshausen, dokąd udał się wraz z hrabią Ottonem, dla którego stał się tymczasowo jednym z najbliższych przyjaciół.

Po przybyciu do Hilgertshausen stanęli przed obliczem przeorowsy. Otto był niefrasobliwym młodzieńcem, z trudem się wgryzał w trudne sprawy, dlatego był zadowolony, że ma u boku Georga, który brał udział w rozmowie z zakonnicy.

Klara von Monheim z wiekiem przybrała na wadze, a jej twarz wyglądała jak księżyc w pełni, co jeszcze bardziej uwidaczniał czepek, który nosiła na głowie. Ale nie miała w sobie nic z tej serdeczności, jaką zazwyczaj mają otyli ludzie. Jej wargi były wąskie jak dwie kreski, a spojrzenie wyblakłych oczu lustrowało hrabiego Ottona z takim chłodem, że przechodziły go dreszcze. Ta dama nie będzie zapewne przyjemną zwierzchniczką. Otto nagle zatęsknił za beztroskim życiem, jakie wiódł,

będąc członkiem oddziału rycerza Eichenloh.

— Moja poprzedniczka nie miała talentu organizatorskiego. Nie dorosła do zadań jej powierzonych — powiedziała przeorysza ostrym tonem.

Gressingen trącił Ottona pod stołem, żeby ten również włączył się do dyskusji, bo ostatecznie to on miał być nowym wójtem i nieźle się tu obłowi. Myśląc o tym, poczuł zazdrość. Otto, choć młodszy od niego, wywodził się z hrabiowskiej rodziny Hennebergów i urzędy same na niego spadały, podczas gdy Georg musiał używać wybiegów oraz uginać kolana przed możnymi i wpływowymi panami, żeby coś w życiu osiągnąć.

— Oczekuję, że w razie potrzeby będziecie zbrojnie bronili praw klasztoru. — Klara von Monheim spojrzała stanowczo na nowego wójta.

Hrabia Otto skwapliwie przytaknął.

— Oczywiście, szanowna pani przeoryszo.

— Przede wszystkim ten Adler jest mi solą w oku. Moja poprzedniczka oddała mu pod zastaw czwartą część ziem należących do naszego klasztoru, i to za marne pieniądze. A przy tym sumy w ten sposób uzyskanej nie przeznaczyła na potrzeby zgromadzenia, lecz na pokrycie długów własnego bratanka. Nie pozostaje więc nam teraz nic innego, jak posprzątać stajnię Augiasza, którą po sobie zostawiła ta nieodpowiedzialna osoba. Oczekuję, że mi w tym pomożecie, hrabio Ottonie!

Henneberg szybko zapewnił, że uczyni wszystko, co będzie w jego mocy.

— Mam nadzieję — odpowiedziała przeorysza.

Gressingen uśmiechnął się w duchu, bo zorientował się, że Klara von Monheim nie za bardzo była zadowolona z nowego wójta. Z pewnością Otto von Henneberg był w jej oczach zbyt niedojrzały, by przejąć odpowiedzialne stanowisko zarządcy dóbr klasztornych. Miała nadzieję, że sam hrabia Magnus będzie zarządzać, a jako zastępcę przyśle rzetelnego rycerza. Z drugiej strony obecna sytuacja miała też zalety. Ktoś mający więcej doświadczenia mógłby próbować przeforsować swoją wolę, a ten młodzik nie będzie potrafił sprzeciwić się jej poleceniom.

Klara von Monheim wyprostowała plecy, by robić wrażenie wyższej, a w jej głosie zadźwięczał jeszcze bardziej zjadliwy ton.

Musicie przypilnować, żeby Michał Adler z Kibitzsteinu nie zebrał ani jednej kiści winogron z naszych winnic. Niech ściągnie swoje pieniądze od lego, w czyje ręce trafiły.

— Oczywiście, wielbna matko — odpowiedział Otto von Henneberg, zastanawiając się, czemu przeorysza czuła taką niechęć do sąsiada. Ponieważ Hennebergowie większość dóbr posiadali bardziej na północy Frankonii, i sam Otto ostatnie osiemnaście miesięcy spędził w oddziale rycerza Eichenloh, Michała Adlera znał tylko ze słyszenia.

— Czy możecie mi coś opowiedzieć o tym człowieku, wielbna matko?

— Ja też ci mogę to i owo opowiedzieć — wtrącił się Gressingen. Tym samym wybawił przeoryszę z kłopotu, bo ta nie wiedziała wiele więcej o Michale niż to, że był on nieokrzesanym nuworyszem, który wraz z jej poprzedniczką ograbił klasztor.

— Byłabym wam wdzięczna, junkrze Georgu, gdybyście mogli hrabiemu Ottonowi pomóc i opowiedzieć mu o stosunkach panujących w okolicy. Ja nie omieszkam wspomnieć o tym Jego Ekscelencji księciu biskupowi. Może wtedy zmieni zdanie i odda wam wasze dobra.

Gressingen skłonił głowę, udając wdzięczność i jednocześnie

ukrywają uśmiezek na twarzy. Po hrabim Magnusie przeorysza była drugą osobą, która chciała wstawiać się za nim. Ale dla biskupa byłoby to kłopotliwe, gdyby jego zwolennicy wstawiali się za Gressingenem, bo zgodnie z ustaleniami dokonany z prałatem Prazendorferem Georg zobowiązany był nawiązać kontakt z wrogami Würzburga.

Odwiedził już kilku panów, którzy byli wrogo nastawieni do biskupa, ale zamek Kibitzstein musi przynajmniej na razie omijać szerokim łukiem. Z tego powodu chciał w pierwszej chwili odrzucić prośbę przeoryszy. Potem jednak olśniła go myśl, która wydała mu się zabawna.

Chętnie zostanie kilka dni z naszym przyjacielem Hennebergiem, wielebna matko, i wytłumaczę mu sytuację panującą na tych ziemiach.

Potwierdził swoją gotowość lekkim ukłonem. Czas spędzony z Ottonem wykorzysta, żeby pogłębić przepaść między klasztorem a Kibitzsteinami, aby taktycznie doszło do zbrojnego zatargu.

Zadowolona przeorysza kiwnęła głową. Również po Hennebergu widać było ulgę, że przynajmniej na początku będzie miał przyjaciela u boku. Cieszę się, że chcesz mi pomóc, junkrze Georgu.

Gressingen śmiał się w duchu z tego młodego głupca, który oddawał się całkowicie w jego ręce. Postara się, żeby Michał Adler miał tyle zajęcia z hrabią Ottonem, że nie starczy mu czasu na poszukiwanie Georga i zaciągnięcie go przed ołtarz z ostrzem miecza przystawionym do gardła. Pratzendorfer dał mu wprawdzie odpust za minione i przyszłe czyny, ale Georg nie miał pewności, czy prałat będzie mógł bez problemu unieważnić ślub z córką rycerza Rzeszy. Teraz, gdy drzwi do przyszłości stały przed nim otworem, nie chciał się wiązać z Trudi Adler.

Przeorysza ponownie zabrała głos i zaczęła się rozwodzić nad tym, w jaki sposób zamierza działać dla dobra klasztoru i ludzi. Obaj młodzieńcy słuchali jej z pozornym skupieniem, ale tak naprawdę każdy z nich zatopiony był we własnych myślach.

8.

Gdy Gressingen i Henneberg jakiś czas później znaleźli się w budynku gościnnym, młodszy z mężczyzn złapał się za głowę.

— Wielebna przeorysza ma język ostry jak miecz! Czy zrozumiałeś wszystko, czego od nas oczekuje?

Gressingen nalał sobie i swemu towarzyszowi wina z dzbana, który służąca postawiła na stole, i roześmiał się cicho.

— Przecież mówiła jasno i wyraźnie. Czyż nie?

— Tak całkiem to nie wiem. Ona chce unieważnić jakąś umowę, którą zawarła jej poprzedniczka. Ale przecież tak nie można!

— Na jej miejscu też bym nie uznał tej umowy. To przecież oczywiste, że poprzednia przeorysza chciała pozyskać pieniądze dla swego bratanka. Dlatego zmówiła się z tym krętaczem z Kibitzsteinu i oddała mu pod zastaw czwartą część dóbr klasztornych. Gdyby żyła dłużej, sprzedałaby Michałowi Adlerowi urząd wójta i nie tylko. Ale statuty klasztoru nie dopuszczają sprzedaży gruntów do takich celów, więc obecna matka przełożona chce uregulować sprawy związane z tak perfidną grabieżą. Dziwi cię to?

— Jeśli tak rzeczywiście jest, to oczywiście, że nie. — Otto uśmiechnął się dziarsko, pogładził rękojeść miecza i dał kuksańca Georgowi. — My temu Adlerowi pokażemy, gdzie jego miejsce. Jak powiedziała wielebna przeorysza: nie pozwolimy mu, by zebrał choć jedną kiść.

Gressingen zdziwił się, że Otto jest tak naiwny i bez zastrzeżeń przyjął jego argumentację, ale kuł żelazo, póki gorące.

— Słowami nie da się go powstrzymać od odstąpienia od winobrania. Jak wspomniała przeorysza, jego ludzie już rozpoczęli zbiory.

Ponieważ hrabia Otto ponad rok spędził w oddziale rycerza Eichenloh I walczył już w mniejszych potyczkach, uważał się za dzielnego wojownika i zdolnego dowódcę.

Chciał to teraz udowodnić swojej nowej zwierzchniczce, a przede wszystkim bratu.

Wychylił puchar do dna i podsunął go Gressingenowi, aby ten znów go napełnił.

— Jak sądzisz? Ilu ludzi będziemy potrzebować, by móc prowadzić wojnę z Kibitzsteinem? — zapytał Georga.

— Czy od razu musi być wojna? O ile dobrze zrozumiałem, przeoryszy zależy, żebyś trzymał ludzi Adlera z dala od jej ziemi. A to nie będzie trudniejsze od przepędzenia kilku ptaków.

Nowego gorliwego wójta ubodła ta uwaga, bo już oczami wyobraźni zobaczył siebie jako bohatera, który pokonuje wrogów wielebnej przeoryszy. Burknął, wypił duszkiem następny puchar i postawił go energicznie na stole, aż zabrzączało.

— Byłbym złym wójtem, gdybym nie brał pod uwagę możliwości zatargu zbrojnego.

Jak uważasz, ilu zbrojnych może wystawić Kibitzstein?

— W każdym razie nie tylu, by zaszkodzić klasztorowi, zwłaszcza jeśli księżę biskup stanie po stronie przeoryszy, a na pewno to zrobi — odpowiedział Gressingen i wzruszył ramionami. Wtem przypomniał sobie, że przed około dwunastu laty Michał Adler toczył wojnę ze szlachcicem z Palatynatu Rumoldem von Laensteinem i jego córką Huldą. Wygrał tę wojnę, lecz wówczas wspomogło go kilku przyjaciół. Georg opowiedział Ottonowi o tym konflikcie, ale od razu uspokoił go: — Ci ludzie tym razem mu nie pomogą. Wówczas ten krętacz i jego pomocnicy mieli błogosławieństwo hrabiego Palatynatu Ludwika, ojca obecnego Ludwika IV.

Ale teraz sytuacja wygląda inaczej. W osobie pana Gotfryda Schenka masz jako swego sprzymierzeńca najpotężniejszego pana w okolicy.

— Naszego sprzymierzeńca, chciałeś chyba powiedzieć. Gressingen potrząsnął głową.

— Nie, tylko twojego. Ja wprawdzie mogę ci tu po cichu w komnacie opowiedzieć, jak wygląda sytuacja, która dotyczy ciebie jako wójta, ale nie mogę się ujawniać.

Tutejsi kasztelani nie są zazwyczaj w dobrych relacjach z księciem biskupem i mogliby mi mieć za złe, że występuję przeciw Adlerowi. W mojej sytuacji nie mogę sobie na to pozwolić. — Gdy Otto von Henneberg patrzył na niego z rozczarowaniem, objął go ramieniem i przekonywał dalej: — Spójrz na to tak: zostałeś mianowany wójtem, ale gdybym jawnie cię wspierał, wszyscy by mówili, że Gressingen jest starszy, a Henneberg robi tylko to, co mu tamten doradzi. W ten sposób możesz natomiast wszystkim pokazać, kto reprezentuje interesy nabożnych pań z Hilgertshausen.

Otto uśmiechnął się z zakłopotaniem, a jednocześnie poczuł się ukontentowany.

— Nie mam nic przeciwko twoim radom, ale decydować chcę oczywiście sam.

— Też tak sobie pomyślałem. Jak zrozumiałem przeoryszę, wysłała już zbrojnych na folwark. Przy ich pomocy możesz przepędzić z klasztornej ziemi ludzi przybyłych z Kibitzsteinu na winobranie. Zrób to i pokaż jej, że jesteś wójtem, jakiego sobie życzyła.

Gressingowi przychodziło o wiele łatwiej manipulować hrabią Ottonem, niż się spodziewał. Młody Henneberg przyjmował bez zastrzeżeń każdą z jego uwag i snuł plany na przyszłość z entuzjazmem małego chłopca. Mimochodem nadmienił też, że chce udowodnić bratu, iż nie jest już dzieckiem i potrafi działać samodzielnie.

9

Po powrocie Michała i Trudi nie od razu na zamku zapanowała zgoda, ale siostry znowu zaczęły ze sobą rozmawiać. Trudi dokładała starań, by bardziej sumiennie wykonywać polecenia matki, bo dla Gressingena chciała się nauczyć bycia dobrą żoną oraz panią domu. Jeszcze nie dowiedziała się niczego o swym ukochanym, lecz miała nadzieję, że najpóźniej podczas ślubu Bony z Morycem von Mertelsbachem znów go zobaczy.

Ani Fuchsheimowie, ani Mertelsbachowie nie należeli do rodów o wysokiej randze, mimo to prawdopodobnie każdy szlachcic z okolicy przybędzie na ślub. Michał miał nawet nadzieję, że nowy książę biskup zaszczyci uroczystość swą obecnością i wyjaśni wtedy pewne kwestie. Gdyby Gotfryd Schenk zu Limpurg się jednak nie zjawił lub unikał rozmowy, Michał gotów był pogłębić znajomość z kilkoma lennikami margrabiego Albrechta Achillesa z Ansbachu. Koalicja z nimi nie była mu całkiem na rękę, ponieważ Albrecht, młodszy syn wcześniejszego norymberskiego burgrabiego Fryderyka von Hohenzollerna, był przesadnie ambitny i również stanowił zagrożenie dla samodzielności małych kasztelanów. Michał doszedł jednak do wniosku, że tonący brzytwy się chwyta, i w długich dyskusjach toczonych z żoną przygotowywał się do rozmów, jakie miał zamiar przeprowadzić przy okazji uroczystości.

Maria ciągle jeszcze chodziła o lasce, ale jej kolano miało się coraz lepiej dzięki okładom, które robiła jej koźlarka. Kilka dni przed ślubem kasztelanka oświadczyła, że czuje się na tyle dobrze, żeby towarzyszyć Michałowi do Fuchsheimu.

— Będiesz musiał zabrać mnie w lektyce — przygasiła jego nadzieję, że wreszcie całkowicie wróciła do zdrowia.

— W razie potrzeby zaniosę cię do Fuchsheimu nawet na plecach. Nie chciałbym sam jechać, bo czułbym się samotny bez ciebie w tłumie ludzi — powiedział czule Michał. Trudi lekko ubodły te słowa, bo przecież miała jechać razem z ojcem, a ten zachował się tak, jakby ona w ogóle się nie liczyła. Michał musiał chyba dostrzec niezadowolenie córki, bo wziął ją za rękę i popatrzył na nią z czułością. — Nie zrozum mnie źle, moje dziecko. Jestem bardzo dumny z mojej dużej córeczki i cieszę się, że będę ją mógł przedstawić tylu ludziom. Ale jeśli chodzi o negocjacje, to nikt nie potrafi tak dobrać słów, jak twoja matka.

— Wiem o tym, ojcze.

Trudi poczuła się ukontentowana i słuchała, jak rodzice omawiają sytuację w Fuchsheimie, chociaż zazwyczaj mało się tym interesowała.

Pan Fuchsheim będzie musiał głęboko sięgnąć do kieszeni, żeby móc sfinansować wesele córki. Maria zastanawiała się, czy mogą pożyczyć sąsiadowi pod zastaw więcej pieniędzy, albowiem wobec zagrożenia ze

strony księcia biskupa spodziewali się znacznych wydatków. Marię kusilo, żeby powiększyć stan posiadania o jeszcze jedną wieś w pobliżu, ale sama wiedziała, że wówczas mieliby problemy z zebraniem odpowiedniej sumy na zakup Dettelbachu. Michał zdawał się być tego samego zdania, bo podniósł w geście obrony rękę.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Trudi ze śmiechem zaklaskała w dłonie.

— Mnie by się podobało, gdyby ojciec Bony z powodu długów musiał zostać naszym wasalem i ja tym samym zyskałabym wyższą pozycję niż Bona.

Maria uderzyła dłonią w stół.

— Nie waż się z kimkolwiek mówić o naszych rozważaniach na temat Fuchsheimu.

Mogłabyś doprowadzić do tego, że rycerz Ludolf przyłączyłby się do armii naszych wrogów. Prawdopodobnie ojciec Bony nie będzie potrzebował od nas pieniędzy, chyba że Mertelsbach zechce dostać posag Bony w złocie, nie w ziemi, żeby móc kupić coś w swoim sąsiedztwie. Trudi roześmiała się.

— Ach, Mertelsbach! To przecież stary cap! Natychmiast została znowu zrugana.

— Takie rzeczy możesz sobie myśleć, ale nie wolno ci ich wymawiać na głos. Gdyby twoje słowa dotarły do uszu rycerza Moryca.

— Tobie natychmiast przyłączył się do naszych wrogów. Wiem! — Trudi była znudzona ciągłymi połajankami swojej wszystkowiedzącej matki. W myślach ponagliła Gressingena, żeby wreszcie się oświadczył.

Marię świerzbily ręce, by wymierzyć córce policzek.

— Uważaj, moja panno. Jeśli będziesz zbyt przemądrzała, to zostaniesz w domu.

— Papa na to nie pozwoli — odpowiedziała Trudi wyzywająco i tym samym zapędziła Michała w kozi róg.

Jeśli ustąpi córce, dojdzie do gwałtownej kłótni z żoną i Maria może nie pojechać do Fuchsheimu, chociaż on jej tam pilnie potrzebuje. Z drugiej strony nie zniosłby rozczarowania Trudi.

— Jeśli rozgniewasz matkę, zabroni ci pojechać na ślub. Ale ty będziesz się już zachowywać jak należy, prawda? — Michał spojrzał na obie, matkę i córkę, błagalnym wzrokiem, żeby nie zmuszały go do wyboru między nimi dwiema.

Trudi zrozumiała, jak bardzo mu zależy, żeby obie go wspierały, i położyła dłoń na ramieniu matki.

— Przepraszam, mamó. Nie chciałam ci zrobić przykrości.

— Nic nie szkodzi — Maria pocałowała córkę w czoło. Chociaż gest ten byłby odpowiedni raczej w stosunku do dziecka, Trudi poczuła, że kamień spada jej z serca. Cieszyła się na ślub Bony, a jeszcze bardziej na spotkanie z Georgiem von Gressingenem.

10.

Otto von Henneberg zakwaterował się na klasztorным folwarku. Stał teraz przy oknie swojej komnaty i patrzył w kierunku Kibitzsteinu. Zamek był w znakomitym stanie i wyglądało na to, że może się z powodzeniem bronić.

Gdyby miał go oblegać, potrzebowałby kilkudziesięciu dobrze wyszkolonych zbrojnych, a także rzemieślników i wozów ze sprzętem oblężniczym. Z tymi kilkoma chłopami, których mógł wyposażyć w broń,

konfrontacja zbrojna była nie do pomyślenia. Jednak oni wystarczą, by Kibitzsteinowi odebrać apetyt na winogrona, które obrodziły tego roku obficie.

Dostrzegł grupę niewiast w powiewających na wietrze spódnicach, idących od strony Kibitzsteinu na winobranie. Towarzyszył im jeden parobek. Pchały dwukołowy wózek, który postawiły pośrodku winnicy.

Gdy Otto patrzył na niewiasty, żałował, że nie miał u boku Gressingena, bo najchętniej skonsultowałby z nim dalsze postępowanie. Potem jednak machnął ze złością ręką. Jest przecież mężczyzną i może sam podejmować decyzje. Jeśli naprawdę dojdzie do wojny, poprosi swego przyjaciela Eichenloh i jego ludzi o pomoc. Na tę myśl uśmiechnął się do siebie. Peter von Eichenloh siedział teraz beczynn timer w klasztorze Schöbach i czekał na kogoś, kto go najmie. Pocziwiec zdziwi się, jeśli tym kimś będzie Otto. Gdy młody hrabia to sobie wyobrażał, wpadł mu do głowy pomysł, za który sam sobie przyklasnął. Nie wyruszy natychmiast, żeby przy pomocy swoich ludzi przepędzić służbę Kibitzsteina z winnicy. Poczekaj, aż napełnią wózek winogronami i wtedy zarekwiruje im zbiory razem z wózkiem.

Jeszcze po latach ludzie będą wspominać ten numer. Śmiejąc się, zawołał służącą i kazał jej przynieść dzban wina oraz puchar.

Wraz ze służącą przyszedł nieokrzesany parobek, któremu przeorysza zleciła nadzorowanie prac polowych i stanął bezceremonialnie przed nowym wójtem.

— Powinniście, panie, coś zrobić z tą hołotą z Kibitzsteinu, co kradnie nam winogrona!

Otto kazał służącej przynieść jeszcze jeden puchar.

— Usiądź i napijmy się razem.

Parobek wypił duszkiem hojnie napełniony puchar.

— Jeśli jeszcze raz latoś przyjdą do nas na winobranie, będzie to ostatnie wino, jakie piję. Ta hołota już w zeszłym roku zebrała winogrona z najlepszych stoków, a teraz znowu zaczynają. Niech diabli wezmą tego Adlera!

— Sądzę, że modlitwy są niepotrzebne, żeby mu pokazać, gdzie jest jego miejsce.

Mam plan.

Otto napełnił oba puchary. Wzniesli je, stuknęli się nimi i wypili wino. Potem hrabia krótko opowiedział, co zamierza zrobić. Uradował się, widząc zaskoczoną i pełną uznania minę parobka.

11.

Trudi w tych dniach robiła wszystko, żeby nie zdenerwować matki. Spełniała powierzone jej obowiązki niemal wzorowo. Mimo to nie mogła skoncentrować się na pracy, lecz myślała o Georgu von Gressingenie. Od pamiętnego popołudnia w lesie pod Fuchsheimem minęło już kilka tygodni, a ona przez cały ten czas nie widziała swego ukochanego. Wydawało jej się, że na zamku Kibitzstein jest odcięta od całego świata. Ponieważ coraz bardziej traciła cierpliwość, zastanawiała się, czy nie powinna namówić ojca, by pojechali razem do Schweinfurtu.

Mąż jej przyjaciółki Marieli, chrześnicy Marii, był kupcem i sprzedawał swe towary rycerzom z różnych stron kraju. Może udałoby się mu wywiedzieć, gdzie w tej chwili przebywa Georg von Gressingen i co się z nim dzieje. Może nawet mogłaby przesłać lubemu jakiś liścik. W ten

sposób junkier dowie się, że mimo nieszczęścia jest na Kibitzsteinie mile widzianym gościem.

Służebne, które Trudi miała nadzorować, zauważyły jej duchową nieobecność, stuknęły się łokciami i uśmiechnęły ze zrozumieniem. W ich oczach Georg von Gressingen był wytwornym młodym mężczyzną, który bardzo pasowałby do Trudi.

Okoliczność, że wüzburgski biskup tak źle z nim postąpił, wzbudziła dodatkowo ich współczucie i życzyły mu oraz Trudi wszystkiego najlepszego.

Jedna ze służących spojrzała przez okienko w wieży i zawołała podekscytowana do pozostałych: — Jakiś rycerz jedzie na koniu! Może to junkier Georg?

Trudi zerwała się na równe nogi i odepchnęła służące od okna, żeby móc samej spojrzeć. Ale gdy udało jej się rozpoznać rycerza, rumieniec, który oblał jej twarz, zbladł.

— To tylko pan Dieboldsheim. Po diabła tu jedzie?!

Ingobert von Dieboldsheim nie był gościem, którego chciała spotkać, bo ciągle miała mu za złe, jak się ostatnio wobec niej zachował. Zanim ją zawołają do dużej sali, by pocałowała rycerza na powitanie, musi opuścić Kibitzstein. Pomyślała, że może by tak wyjść przez tylną furtkę i pobiec w dół do wsi. Wtedy dojrzała służące, które w dali, na ziemi klasztoru Hilgertshausen, zbierały winogrona. Podjęła więc szybką decyzję i zawołała do Uty: — Chodź, pomożemy trochę przy winobranii.

— Musimy?

Uta się skrzywiła. Dla niej praca w winnicy była czymś odpowiednim dla chłopów.

Ona, jako służąca z zamku, nie chciała sobie brudzić rąk. Z drugiej strony nie mogła się sprzeciwić młodej pani. Pocieszała się tym, że gdy Trudi będzie pilnować służących, ona sama zerwie tylko kilka kiści na spróbowanie dla panienki i siebie.

Pozostałe służebne powróciły do pracy, Trudi i Uta zbiegły po schodach i opuściły zamek tylną furtką dokładnie w tym momencie, w którym Ingobert von Dieboldsheim przekraczał okazałą bramę. Trudi nie spowolniła kroku, lecz pędziła coraz szybciej i pośpieszała Utę.

Służebnej zabrakło tchu.

— Pani, jest bardzo gorąco, a wy na pewno nie chcecie się złać potem jak zmęczona galopem klacz.

Śmiech Trudi odbił się echem od sterczących wysoko w górę skał.

— Ani tobie, ani mnie nie zaszkodzi, jak się trochę spocimy!

Uta wytarła sobie teatralnym gestem czoło, ale Trudi nie zwracała na nią uwagi.

Dziewka musiała więc biec dalej, póki nie dotarły na ziemię klasztoru Hilgertshausen.

— Pomyślałam sobie, że zobaczę, jak wam idzie — zawołała Trudi do kobiet zajętych winobraniami i śpiewających wesoło, podczas gdy ich ręce zwawo się poruszały i zrywały dojrzałe winogrona. Nie przyglądała się, lecz chwyciła koszyk i przyłączyła się do nich. Uta, westchnawszy, poszła w jej ślady, ale zamiast napełniać kosz, najpierw napchała sobie owoców do ust.

— Hej, Uta, nasza praca nie na tym polega! — zażartowała sobie z niej jedna ze starszych służebnych, a inne się roześmiały.

Uta wzruszyła ramionami.

— Koniowi najpierw daje się owies, nim się go zaprzęgnie do pracy.

Z ludźmi jest tak samo.

— Panienska jest innego zdania. Jej koszyk zaraz będzie pełen, a u ciebie jeszcze prześwituje dno.

Trudi chichotała radośnie.

— Pozwólcie Ucie się najeść. Niedługo sama się zorientuje, że jej żołądek nie poradzi sobie z taką ilością słodkich winogron. Wtedy pobiegnie szybko na stronę, bo inaczej stałoby się nieszczęście.

Jedna ze służebnych zmarszczyła brwi.

— Gdy Uta dostanie rozstroju żołądka, niech pobiegnie wtedy w miejsce, gdzie już rwałyśmy, bo nie chciałabym wejść nogą w jej odchody.

Ponieważ mówiąca te słowa niewiasta, podobnie jak i pozostałe, nie nosiła obuwia, jej uwaga była aż nadto zrozumiała.

Trudi odpowiedziała żartobliwie, żeby nie wywołać kłótni, a Uta zaczęła teraz szybciej wkładać grona od koszyka. Ponieważ nie można jej było odmówić pilności, wkrótce nadrobiła opóźnienie i zaraz po Trudi wysypała zawartość pełnego koszyka do wózka. Winobranie zaczęło jej sprawiać przyjemność i całkiem zapomniała, że uważa się za kogoś lepszego od prostych chłopek. Zaintonowała nawet piosenkę, po chwili dołączyły do niej wesoło pozostałe służebne oraz Trudi.

12.

Georg von Gressingen chciał się trzymać z daleka od świeżo upieczonego wójta, żeby nie zostać wciągniętym w zatarg między klasztorem a Kibitzsteinem. Szybko jednak zaczął się nudzić w domu gościnnym i kazał osiodłać konia. Był ciekaw, jak potoczą się sprawy, i chciał przynajmniej z pewnej odległości popatrzeć, jak Otto von Henneberg spisuje się w działaniu. Żeby nikt go nie zauważył, objechał winnicę łukiem i skierował konia w miejsce zasłonięte potężnym dębem. Stamtąd mógł obserwować służebne, które ochoczo ścinały kiście winogron.

Nagle ogarnęło go zdumienie i potrząsnął głową. Dziewczę o ciemno— blond włosach, które pracowało wśród niewiast i miało na sobie czerwono-półyskującą suknię, wydało mu się znajome. Musiał przez dłuższy czas wyteżać wzrok, nim pojawił się przed sobą Trudi, która zamiast zachowywać się, jak przystało córce rycerza Rzeszy, pracowała między służebnymi, jakby była jedną z nich.

Z tej odległości nie mógł wprawdzie widzieć dokładnie jej twarzy, ale śmiech panny docierał do jego uszu. Brzmiał wyniośle i to go uraziło. Przecież ją uwiódł, zawrócił jej w głowie, nie widziała niczego poza nim. A teraz zamiast tęsknić, bo nie pokazał się w Kibitzsteinie, żartowała sobie z tymi chłopkami i śpiewała, jakby była zadowolona z siebie i z całego świata.

— Poczekaj! Jeszcze odechce ci się śmiać! — wykrztusił w nadziei, że ten głupiec Henneberg będzie miał dosyć odwagi, by posłuchać jego rad.

Gressingen pędził na koniu wśród pól otaczających folwark w taki sposób, żeby Trudi i jej pomocnice nie mogły go zobaczyć. Gdy dotarł do zabudowań folwarcznych, zeskoczył z siodła, rzucił cugle stajennemu i wpadł do budynku.

Hrabia Otto siedział w swojej izbie i wznosił toast wraz z jednym z parobków, który był tak samo pijany jak jego pan.

Henneberg powitał przyjaciela z przesadną serdecznością: — Jesteś nareszcie, mój drogi Georgu. Proszę, skosztuj nieco tego wybornego wina.

Gressingen uderzył pięścią w stół.

— A więc tak wypelniasz rozkazy przeorowsy? Jakie wielebna matka

będzie miała o tobie zdanie?

— Ależ nie! Nawet ty, mój przyjacielu, nie domyśliłeś się, jaki mam plan. Pozwolę, by służba z Kibitzsteinu robiła swoje, aż napelni cały wózek. Potem przepędzę tę hołotę do diabła, a wózek z winogronami przyprowadzimy do naszej stodoły.

Gressingen mimowolnie skinął głową. W ten sposób strata jeszcze głębiej dotknie Michała Adlera. Ale jego córka z pewnością nie będzie chciała oddać zbioru dobrowolnie, a winnica była widoczna z Kibitzsteinu. Jeśli dojdzie do sporu, a Henneberg będzie działał zbyt ospale, może się zdarzyć, że Michał Adler zdoła wysłać dosyć ludzi, by zapobiec fortelowi.

— W takim razie powinieneś już teraz przystąpić do działania! Wózek jest prawie pełen, a Michał Adler z pewnością przyśle parobków, żeby go przyciągnęli, bo tych kilka kobiet nie zdoła wciągnąć wózka na wzgórze zamkowe. A poza tym wśród nich znajduje się kilka ślicznych jak obrazki dziewczątek, które tylko czekają, żeby je rozłożyć na trawie.

Hrabia Otto podniósł w geście obronnym dłoń.

— Nie sądzę, żeby Kibitzstein był zadowolony, gdybyśmy jego służebnym zadali gwałt.

— Nie musiał ich wysłać na obcą ziemię. W ten sposób możesz mu pokazać, że nie ma czego szukać w Hilgertshausen, a przy okazji sam się nieźle zabawisz. Kiedy po raz ostatni wchodziłeś między nogi urodziwego dziewczęcia?

Gressingen mówił jak w gorączce. Gdyby mu się udało przekonać hrabiego Ottona do tego czynu, byłby zwolniony z jakiegokolwiek zobowiązania. Nikt nie mógłby od niego zażądać, żeby poślubił pannę, która została zhańbiona.

Jego słowa szybko przyniosły skutek. Gdy Otto służył w oddziale rycerza Eichenloh, nie mógł pociągnąć żadnej dziewczki wbrew jej woli na siano, bo junkier Peter pilnował surowo obyczajności swoich ludzi. Raz nawet dla przykładu powiesił jednego człowieka na najbliższym drzewie. Dlatego Otto tylko sporadycznie znajdował odprężenie w miejskich burdelach lub u służących w gospodach.

Gdyby był trzeźwy, to zdecydowanie odrzuciłby propozycję Gressingena. Ale duża ilość wypitego wina sprawiła, że stracił skrupuły, a nawet sądził, że jego prawem będzie ukaranie w ten sposób dziewczek, które znalazły się na chronionej przez niego ziemi.

Dlatego przytaknął i dał Gressingenowi kuksańca.

— Najładniejsza należy do mnie, zrozumiano? Ty możesz sobie wybrać jedną z pozostałych.

W innych okolicznościach Gressingen chętnie by przystał na propozycję, ale nie mógł zostać zobaczony, jeśli chce zrealizować swój cel.

— Nie, dziękuję. Gdybym pojechał z tobą, nie traktowano by cię poważnie, tylko mówiono, że ja cię wodzę za nos.

Henneberg skrzywił ironicznie twarz.

— Jak nie pojedziesz z nami, to więcej dla nas zostanie, nieprawda, Urbanie? Ponaglił poddanego kuksańcem i skierował się w stronę drzwi.

— Ruszam w drogę. Możesz tu zostać i napić się wina.

To powiedziawszy, opuścił pomieszczenie, a za nim poszedł uśmiechający się pożądliwie parobek.

Gressingen został sam i modlił się, żeby fortel wypalił. Po takim incydencie będzie mógł złożyć wizytę w Kibitzsteinie i tam odegrać oburzenie.

W czasie gdy Gressingen podpuszczał hrabiego Ottona, uwagę Michała zaprzętał jego gość. Ingobert von Dieboldsheim podziwiał dobry stan zamku i dużą salę, która swymi arrasami, herbami i różną bronią przypominała raczej salę zamku hrabiowskiego lub książęcego niż dom zwykłego rycerza Rzeszy. Jak zawsze podczas wizyty w Kibitzsteinie z trudem mógł ukryć zazdrość.

Pochwały z jego ust brzmiały jak wymuszone. Najbardziej chyba podziwiał wypchanego niedźwiedzia, równego wzrostem człowiekowi. Adler przed laty zabił zwierzę w Czechach, nie mając przy sobie nic prócz noża myśliwskiego. Chociaż Dieboldsheim znał już tę historię, poprosił o jej ponowne opowiadanie. Skóra długo leżała na zamku Falkenheim, a gdy w Czechach skończyły się zamieszki, przywiózł ją do Kibitzsteinu Ottokar Sokolny. Dieboldsheim słuchał uważnie, ale sądząc z wyrazu jego twarzy, uważał opowieść Michała za konfabulację myśliwego.

Kasztelan nie zważał na uczucia gościa, które można było wyraźnie odczytać z jego krągłego oblicza, lecz odpowiadał na pytania spokojnie i uprzejmie. Czekał przy tym cierpliwie, aż Dieboldsheim przestanie się rozglądać. Michał był dumny z tej sali, którą urządziła Maria z miłością i dużym wysiłkiem. W pomieszczeniu znajdował się nowy kominek, w którym ułożono długie na sześć kawałki drewna, ale teraz nie było w nim jeszcze napalone. Pod ścianami stały wielkie skrzynie z ciężkimi żelaznymi okuciami, które nie tylko prezentowały dobrobyt właściciela, lecz również bardziej poślednim gościom służyły do siedzenia, gdyby nie starczyło krzesel przy długim stole.

W takich dniach jak ten sala ta była zbyt duża dla Marii, Michała i ich gościa. Jednak Dieboldsheim nie należał do ludzi, z którymi Maria się chętnie spotykała, dlatego zrezygnowała z poprowadzenia go do przytulnie urządzonego pokoiku w wykuszu, gdzie przyjmowała tylko bliskich sobie ludzi. Mimo to kazała służebnym przynieść najlepszego wina i obficie podać do stołu. Niech rycerz Ingobert zobaczy, że dzięki oszczędnemu gospodarowaniu można dojść do dobrobytu.

Już ojciec Ingoberta miał problemy z utrzymaniem majątku, a syn wydawał na siebie i swoją żonę znacznie więcej, niż mógł sobie na to pozwolić. A przy tym stary Dieboldsheim przed śmiercią kolejny raz uszczuplił własność rodziny, aby wyposażyć młodszego syna Ingolda w duży posag. Ostatecznie młodzieniec wziął sobie za żonę damę z rodu Wirtelsbachów i nie wypadało, żeby w związek małżeński nie wniósł niczego więcej prócz siebie oraz konia, zbroi i miecza, to jest darów, które tradycyjnie otrzymywali młodszy synowie, Ingomar von Dieboldsheim w tym celu oddał pod zastaw Marii i Michałowi jedną ze swych wsi i od tego czasu wpływy z tej posiadłości nie napełniały kiesy spadkobiercy wcześniejszego pana, lecz trafiały do Kibitzsteinu.

— Pięknie tu macie — powiedział von Dieboldsheim, gdy się już najadł do syta.

Maria podała mu puchar wina.

— Wasze zdrowie!

— I wasze! — Rycerz Ingobert wypił jednym haustem wino i odstawił puchar. Potem sapnął i powiedział do gospodarza, mrużąc oczy: — Ostatnio byłem w Würzburgu.

W innym czasie byłaby to godna uwagi wiadomość. Zarówno z

Kibitzsteinu, jak i z Dieboldsheimu droga do stolicy biskupstwa trwała dwa dni. Maria i Michał w czasach panowania Johanna von Brunna często tam jeździli.

— Byłem na Marienbergu. — Dieboldsheim przeszedł do konkretów, bo w twierdzy na wzgórzu rezydował książę biskup. — Jego Ekscelencja, pan Gotfryd Schenk zu Limpurg raczył udzielić mi audiencji. Chodziło o odszkodowanie za koszty wojenne, które wcześniejszy biskup Johann von Egloffstein miał zwrócić mojemu dziadkowi. Mój ojciec był skonfliktowany z Würzburgiem, dlatego nie udało mu się odzyskać odszkodowania.

Michał uśmiechnął się nieznacznie. Johann von Brunn nie był człowiekiem, który chętnie zwracał pieniądze. Żeby móc sfinansować kosztowne utrzymanie dworu i różne zatargi zbrojne, biskup zaciągał kolejne długi, a nawet oddał margrabiemu Ansbachowi pod zastaw miasto Kitzingen.

— A teraz? Jak pan Gotfryd ustosunkował się do waszych roszczeń, sąsiedzie?— zapytał zaciekawiony Michał.

Rycerz Ingobert spojrzął na gospodarza zaczepnie.

— Książę biskup stwierdził, że moje roszczenia są uzasadnione, bo mój dziadek poszedł na wojnę w obronie würzburskiego biskupstwa i biskupa Johanna von Egloffsteina. Nie wypłacił mi jednak kwoty odszkodowania w gotówce, lecz przepisał na mnie prawo użytkowania waszej wsi Spatzenhausen, którą zastawił wcześniejszy kasztelan Kibitzsteinu i rycerz Rzeszy.

Twarz Marii spochmurniała, a Michał wyglądał, jakby chciał chwycić gościa za kołnierz i wyrzucić za drzwi. Ale ponieważ mogłoby to w sposób zdecydowany zerwać stosunki z Dieboldsheimem, starał się być uprzejmy.

— Obawiam się, że daliście się würzburskiemu biskupowi wyprowadzić w pole.

Cesarz Zygmunt oddał mi Kibitzstein w lenno bez jakichkolwiek obciążeń.

Wszyscy sąsiedzi, w tym Würzburg, dali swoją zgodę. Zastawienie wsi Spatzenhausen, nawet jeśli miało miejsce, przeszło tego dnia w niebyt.

— Mylicie się, rycerzu Michale. Gdyby tak było, to Jego Ekscelencja książę biskup nie wręczyłby mi tego dokumentu. Popatrzcie! Tu jest wszystko napisane. Nigdzie nie ma wzmianki, że zastawienie wsi kiedykolwiek wygasło.

Ingobert von Dieboldsheim rozchylił kaftan i wyciągnął spod niego poźółkły papier.

Rozwinął go starannie i podsunął do obejrzenia Marii i Michałowi. Gdy Michał chciał wziąć dokument do ręki, Dieboldsheim schował go z powrotem. Na twarzy Michała pojawił się tłumiony gniew.

— Nie macie do mnie zaufania, sąsiedzie. Ale ja podtrzymuję swoje słowa. Książę biskup nie ma najmniejszych praw do Spatzenhausen. Jestem w posiadaniu własnych dokumentów, które to potwierdzają.

Maria przytaknęła gorliwie i pomyślała w duchu, że w przyszłości będzie musiała lepiej pilnować wszelkiej dokumentacji. Gdy była jeszcze młoda, doświadczyła kradzieży dokumentów i ich podmiany na sfalszowane.

Rycerz Ingobert zrozumiał, że nie zdoła przekonać Michała i Marii, więc uderzył pięścią w stół.

— Żądam respektowania moich praw! Tu jest wszystko napisane, a jeżeli nie chcecie tego zaakceptować, będę musiał was do tego przekonać w

inny sposób!

— Również lekkomyślnie wypowiedziane groźby nie przebrzmiewają szybko!— Michał zdołał się opanować i patrzył teraz wyniośle na sąsiada. — Każę sprawdzić, jak to wygląda pod względem prawnym.

— Zajmie się tym sąd w Würzburgu! — aroganckim tonem wykrzyknął Dieboldsheim.

— Tamtejszym sądem dyryguje książę biskup. Mój mąż jako wolny rycerz Rzeszy ma prawo zwrócić się o rozstrzygnięcie sporu do samego cesarza. I zrobi to! — zdecydowanym głosem odrzekła Maria.

Ingobert von Dieboldsheim zaczął sapać ze złości. W jego oczach Michał był człowiekiem z rynsztoka i teraz po raz kolejny tego dowiódł. Prawdziwy szlachcic zaakceptowałby dokument i wypłacił należne pieniądze.

— Pożalujecie tego! Pan Gotfryd Schenk zu Limpurg oświadczył mianowicie, że kapituła katedralna ma również prawa zastawne do waszej wsi Habichten, a on osobiście uważa za wątpliwe wasze prawa do posiadłości Windach, dworu Bergreuth i do waszego udziału w targowisku Ingersdorf.

Michała przeszedł dreszcz, jednak Maria zrozumiała, że Ingobert von Dieboldsheim w chwili uniesienia wygadał się z planów Jego Ekscelencji względem ich ziem, które to plany biskup z pewnością przez jakiś jeszcze czas chciał utrzymać w tajemnicy. Znając zagrożenie, mogli się teraz lepiej do niego przygotować. W tej chwili Maria była gotowa sprzedać raczej duszę diabłu, niż oddać choć piędź ziemi chciwemu biskupowi.

Jej mąż był podobnego zdania, zastanawiał się jednakże, czy nie powinni choć częściowo ustąpić von Dieboldsheimowi, ażeby pozyskać rycerza jako sprzymierzeńca. Ale zachowanie gościa wskazywało raczej, że najprawdopodobniej już się przyłączył do grona popleczników i pochlebców würzburskiego biskupa. Z pewnością Dieboldsheimowi w mniejszym stopniu zależało na zagarnięciu wsi Spatzenhausen, jak na odzyskaniu w tani sposób włości, które kiedyś zastawił u Michała jego ojciec. Michał, zdegustowany takim postępowaniem sąsiada, wstał.

— Zajmę się waszym roszczeniem i poradzę się doświadczonego adwokata. Na razie niech wszystko zostanie, jak jest. A teraz już chyba czas, żebyście się pożegnali, panie Ingobercie. Dam wam znać, jak sprawy stoją.

— Ja też dam wam znać!

Von Dieboldsheim pienieł się ze złości, bo musiał wracać, nie załatwiwszy sprawy do końca.

Michał i Maria nie odprowadzili go na dziedziniec, jak to było w zwyczaju w wypadku szanowanego gościa, lecz pozostali w sali i podeszli do okna. Widzieli z góry, jak Ingobert wskakuje na konia i wymierza kopniaka parobkowi, który podawał mu cugle, a następnie brutalnie uderza swego konia ostrogami.

Gdy przejeżdżał przez bramę, Maria odwróciła się do Michała i powiedziała: — Najchętniej kopnęłabym tego drania w dupę.

— Nie powinnaś się tak wulgarnie wyrażać, kochana. Ale muszę przyznać, że mnie też noga świerbiła. Mam wrażenie, że będziemy mieć przez Ingoberta kłopoty, ale wolałbym nie okazywać mu otwarcie wrogości.

— On włożył w tyłek księciu biskupowi. Zastanawiam się, co sobie myśli pan Gotfryd. Przecież wie, że jego roszczenia są wzięte z powietrza. Michał roześmiał się gorzko.

— Nieważne, jeśli uda mu się je wyegzekwować. Księżę biskup jest potężnym człowiekiem i w przeciwieństwie do Johanna von Brunna ma za sobą kapitułę katedralną. Teraz wykorzystuje wszystkie możliwości, żeby zwiększyć zakres swej władzy, i nagina prawo na swoją korzyść. Właściwie należałoby współczuć Dieboldsheimowi. Został zmuszony do odstąpienia od swych roszczeń w zamian za nic niewart pergamin. Każdy dobry adwokat powie mu, że może sobie tym dokumentem podetrzeć tyłek.

Marię opuściła pierwsza złość i znów była w stanie trzeźwo myśleć.

— Zadaję sobie pytanie, dlaczego księżę biskup tak postępuje. Wie dokładnie, że Kibitzstein wraz z należącymi do niego wioskami podlega Rzeszy i król nigdy nie pozwoli na to, aby to prawo zostało naruszone.

— Fryderyk III nie ma opinii nieustępliwego. W gruncie rzeczy został wybrany na króla tylko dlatego, że jego krewniak Albrecht zmarł przedwcześnie, a syn Albrechta urodził się dopiero po śmierci ojca. Jak tylko Władysław stanie się dorosły, upomni się jako wnuk Zygmunta o swe dziedzictwo.

— Nie możemy czekać, aż Władysław dorośnie i zostanie królem. Fryderyk jest władcą Rzeszy i musi pilnować prawa i porządku. Powinieneś mu jak najszybciej wysłać wiadomość i poprosić o ochronę Kibitzsteinu.

— Udzielasz mi takiej samej rady, jakiej ja udzieliłem opatowi Pankracjuszowi. Opat już się pewnie zwrócił do cesarza o interwencję. Nie wydaje mi się, żeby nasza własność była bezpośrednio zagrożona. Gotfrydowi Schenkowi nie chodzi o to, by wygnać nas z Kibitzsteinu, lecz żeby przymusić nas do rezygnacji z wolności i uznać go panem. Słyszałaś przecież, że przyjął stary tytuł księcia Frankonii i chce podporządkować sobie również kraj.

— Nawet łamiąc prawo? Michał wzruszył ramionami.

— Gdy ci, co powinni strzec prawa, są zbyt słabi, zawsze znajdą się tacy, którzy je złamią.

— Ale my się nie poddamy! — zawołała Maria wojowniczo. Michał objął ją mocnym uściskiem.

— Oczywiście, że się nie poddamy, nawet jeśli księciu biskupowi się wydaje, że nas złamie. Musimy się teraz mieć na baczności, bo sprawa Dieboldsheim z pewnością nie będzie jedynym fortem, jakiego Gotfryd chce użyć względem nas. W razie potrzeby będziemy musieli poświęcić niezłą sumkę pieniędzy i zwerbować żołnierzy najemnych. Ostatnio słyszałem, że Peter von Eichenloh nie ma obecnie zobowiązań. Może powinienem z nim porozmawiać.

Niezdeterminowana Maria pokiwała głową.

— Najemnicy przynoszą same utrapienia i puszczą nas z torbami. Wolalabym jasne orzeczenie cesarza, najlepiej pod rygorem egzekucji spornych dóbr na rzecz Rzeszy.

Margrabia Albrecht von Ansbach byłby na pewno golów podciąć Gotfrydowi skrzydła.

— Z pewnością — powiedział Michał, który nie miał ochoty prosić tego pana o pomoc. Ale jeśli księżę biskup nie poniecha swych roszczeń, nie będzie chyba innego wyjścia.

14.

Tymczasem w przyklasztornej winnicy nadal trwało winobranie w atmosferze wesołości. Trudi od dziecka знаła większość służebnych i podczas radosnych rozmów i śpiewów zapomniała nawet o swej

nieszczęśliwej miłości. Również Uta przyłączyła się do pozostałych. Ponieważ wychowywała się razem z Trudi, przypisywała sobie więcej przywilejów, niż jej faktycznie przysługiwało.

Marzeniem życia Uty było zostać osobistą służącą panienki, a później jej szafarką, gdy Trudi wyjdzie za mąż i będzie prowadzić własne gospodarstwo na zaniku małżonka. Inne służące podśmiewały się trochę z pretensjonalnego zachowania Uty, ale żadna nie chowała do niej urazy.

Choć ręce Uty pracowały pilnie, to jej myśli wędrowały gdzieś daleko.

— W tym roku winogrona obrodziły. Zimą i w przyszłym roku będziemy mieć dużo wina — powiedziała do Trudi.

— Matka chce sprzedać parę beczek w Norymberdze. Za zarobek moglibyśmy dokupić ziemi i na przykład powiększyć posiadłość Windach. — Trudi westchnęła ciężko, bo Windach wydawał jej się ciągle jeszcze za mały, by zadowolić ambicje Georga von Gressingena.

— To byłoby wspaniale! Może wtedy obie byśmy się tam przeprowadziły. Byłoby dobrze, gdyby ktoś z rodziny zarządzał tą posiadłością. Nawet jeśli wasz ojciec jeździ tam raz w miesiącu, to nie da rady tamtejszemu zarządcy patrzeć na ręce.

Ta krytyka nie została jednak przyjęta przychylnie. Trudi podniosła rękę, jakby chciała gadatliwą służkę uderzyć.

— Uważaj, co mówisz! Windachem zarządzają Reimo i Zdenka. Wywiązują się świetnie ze swych zadań i są niezastąpieni.

Przestraszona Uta schowała głowę. Nie przypuszczała, że państwo tak cenią tę parę, która przed wieloma laty podobno uratowała życie panu Michałowi.

— Wybaczcie, panienko. Nie chciałam nic złego na nich powiedzieć. Ale byłabym szczęśliwa, gdybyście mogli zarządzać samodzielnie własnym zamkiem. Kessnach ma przypaść Lisie, chociaż jest większy, a panna nie jest nawet waszą prawdziwą siostrą.

Próba odwrócenia gniewu pani trafiła jednak w próżnię, ponieważ Trudi dobrze wiedziała, iż posiadłość Kessnach należała kiedyś do dziadka Lisy. Dlatego Maria przeznaczyła te włości od razu na wiano dla swej przybranej córki. Trudi tylko raz była w Kessnachu i nie chciałaby zamieszkać na stałe tak daleko od świata, wśród gór i lasów.

Koszyk Uty znów się napełnił, więc poszła do wózka, żeby przesypać owoce.

Ponieważ była dość niska, miała z tym problem, ofuknęła zatem parobka, który asystował przy winobranii: — Możesz mi pomóc, Lampercie? Widzisz przecież, że nie mogę tak wysoko sięgnąć.

Parobek natychmiast pospieszył, żeby wziąć z jej rąk kosz.

— Ale go napełniłaś. Nie dziwota, że nie możesz go podnieść — powiedział z uznaniem. To ułagodziło Utę, która obdarowała go uśmiechem. Choć Lampert nie był bardzo wysoki, przerastał ją o głowę. Jego twarz robiła wrażenie szczerzej i pocziwiej, a przy tym był na tyle przystojny, by przypaść jej do gustu. Miał krótko przycięte ciemnoblonde włosy, a uścisk jego rąk był silny, o czym mogła się przekonać, gdy krótko przytrzymał jej dłoń.

— Przestań! Za kogo mnie uważasz! — wykrzyknęła i wyrwała ręce z uścisku.

— Za śliczną dziewczę — odpowiedział pogodnym tonem.

Uta zadarła nos ku niebu. Była zamkową służebną, która tylko

dlatego pomagała przy winobraniu, że takie było życzenie jej pani. Zasługiwała na kogoś lepszego niż zwykłego parobka z folwarku.

Inna służąca, jędrna dziewczka w wieku około dwudziestu lat, podeszła do niego i stuknęła go łokciem.

— Uta nie ogląda się za takimi jak ty, Lampercie. Musisz wybierać pośród nas.

Parobek zacisnął usta. Wprawdzie dziewczka, co tak wyzywająco na niego patrzyła, nie była brzydka i swoją postawą wskazywała, że nie miałyby nic przeciwko temu, by spędził z nią kilka przyjemnych chwil w stogu siana, ale Uta podobała mu się dużo bardziej. Niestety miała o sobie bardzo wysokie mniemanie i musiałby się mocno starać, by ją zdobyć. W tej chwili jednak coś innego zaprzętało mu myśli.

Podszedł do Trudi.

— Wybaczcie, pani, że was niepokoję! Ale czy nie uważacie, że to dziwne, iż nikt z klasztoru się nie pokazał? W poprzednich latach podchodziły do nas siostry zakonne i ich parobcy, żeby uciąć sobie z nami pogawędkę.

— Mnie też to się wydaje dziwne — wtrąciła jedna ze starszych służących.

— Latoś ludzie z klasztoru zachowują się tak, jakby nie chcieli mieć z nami nic do czynienia.

Trudi wzruszyła ramionami.

— To pewnie z powodu nowej przeoryszy. Podobno nie jest zachwycona, że jej poprzedniczka oddała nam pod zastaw część dóbr klasztornych. Nie raczyła nas nawet odwiedzić w Kibitzsteinie, ani nie zaprosiła rodziców do siebie, żeby się wzajemnie poznać.

Dla Trudi sprawa była załatwiona, jednak Lampert pokiwał wąpiąco głową.

— Nie podoba mi się to wszystko! Gdy się przedtem nieco rozejrzałem, zauważyłem w pobliżu zabudowań folwarcznych kilku ludzi, którzy się na nas gapili. Widziałem tylko mężczyzn. Ani jednej służki bądź zakonnicy.

— Powinieneś mniej się rozglądać po okolicy, a więcej nam pomagać, żebyśmy szybciej skończyły. Powoli robię się głodna — zbeształa go Uta.

— Ja też już zgłodniałam — przyznała się Trudi.

— Wzięłyśmy ze sobą podwieczorek. Jeżeli chcecie, pani, możemy zrobić teraz przerwę i coś zjeść.

Jedna ze służących przyniosła duży koszyk, który stał schowany w cieniu. Trudi popatrzyła na prawie pełen wózek, zmierzyła drogę, którą będą musiały pokonać, pchając go do Kibitzsteinu, i skinęła głową.

— Posilmy się nieco. Do kolacji jeszcze dużo czasu, zdążymy znowu zgłodnieć.

Usiadła na ziemi i przyciągnęła kosz do siebie. Służące wraz z Lampertem przyłączyły się do niej, by wspólnie zjeść posiłek. Bochenek chleba i nóż wędrowały z rąk do rąk, aby każdy mógł sobie odkroić kromkę. Poza tym mieli jeszcze ser i błyszczącą słoninę. Jedna ze służących rozlewała do kubków wino i przeprosiła Trudi, podając jej trunek w zwykłym naczyniu ze skóry.

— Nie wiem, pani, czy będzie wam smakowało. To cienkusz przeznaczony dla służby, nie dla państwa.

Trudi miała pełne usta, musiała najpierw przeżuć kawałek słoniny i

popić ją winem z kubka.

— To wino nie jest wcale aż tak kwaśne. Przynajmniej dodaje rzeškości — powiedziała i poprosiła, by dolano jej więcej.

W tym momencie rozległ się dziki wrzask. Trudi zerwała się na równe nogi.

Zobaczyła około tuzina mężczyzn biegnących w ich stronę i wymachujących drągami.

— Znikajcie z naszej ziemi, hołoto z Kibitzsteinu! Bo inaczej wam nogi poprzetrącamy! — krzyczał pewien młodzieniec, który sądząc po odzieniu, musiał być szlachcicem.

Służebne patrzyły zdezorientowane na Trudi. Lampert wykrzyknął: — Ci dranie chcą nam zabrać wózek razem z winogronami, które zebraliśmy!

Te słowa wyrwały służące z osłupienia. Dziewki zerwały się, kubki upadły na ziemię, dzban z winem przewrócił się, a nienapoczęty ostatni bochenek chleba potoczył po stoku.

Trudi zganiała się, że zwraca uwagę na takie drugorzędne rzeczy. W jej głowie panował mętlik niepozwalający na sformułowanie ani jednej konstruktywnej myśli.

Czuła jak ogarnia ją złość, niczym zarzewie ognia. Nie da się tak łatwo przegonić!

Energicznie wyszła naprzeciw napastnikom.

— Cóż mają znaczyć te krzyki? Przeszkadzacie nam w pracy!

— Chyba w żarcie, nie uważasz? — Młody szlachcic wpatrywał się w nią i uśmiechał pożądliwie. — Podobasz mi się, dziewczko. Chodź ze mną na stronę, a potem pozwolę ci odejść razem z resztą tych szmat. Parobek dostanie jednak lanie, na jakie zasługuje.

— Chyba postradałeś zmysły! — Trudi wrzała z gniewu. — Mamy prawo zbierać tu winogrona. Zabieraj swoją bandę, bo poskarżymy się przeoryszy!

Hrabia Otto zaśmiał się tylko i dał swym ludziom znak, na który rzucili się na dziewczki i próbowali je złapać. Służące zrozumiały, co im grozi ze strony napastników, i rzuciły się z krzykiem do ucieczki. Również Uta i Lampert zaczęły uciekać, ale ludzie Henneberga byli tuż za nimi.

Hrabia Otto chwycił Trudi, zadając jej ból, i przyciągnął do siebie. Poczowała kwaśny zapach z jego ust i zrozumiała, że mężczyzna jest pijany i przez to pozbawiony wszelkich skrupułów. Ogarnął ją strach. Wyrwała się, ale zaraz znowu ją złapał.

Kątem oka dostrzegła, że Uta i Lampert bawili się w kotka i myszkę ze swoimi prześladowcami, podczas gdy pozostałe dziewczki uciekały na łeb na szyję w kierunku Kibitzsteinu i wydzierały się na całe gardło. Ale nim na zamku dostrzegą, co się stało i wyślą pomoc, będzie już za późno.

Trudi zrozumiała, że może liczyć tylko na siebie. Zapanowała nad uczuciem paniki i pozwoliła, by mężczyzna obmacywał ją po biuście. Niech sobie pomyśli, że ze strachu ją sparaliżowało. To będzie jej na rękę.

W tym czasie Ucie udało się uciec prześladowcom i próbowała ratować swą panią.

Chwyciła bryłę ziemi i rzuciła nią w napastnika.

— Zostaw moją panią, ty draniu!

Gdyby Otto nie był pijany, to w tym momencie by się zorientował, że nie ma do czynienia ze zwykłą dziewczką służebną, lecz szlachetną panią. Ale w stanie upojenia próbował tylko zasłonić się ręką przed rzuconą ziemią

i krzyknął do jednego ze swoich parobków, by schwytał atakującą go dziewczkę. Jednocześnie wypuścił z ręki drąg i próbował obalić Trudi na ziemię.

Trudi mu na to przyzwoliła, pociągnęła go ze sobą i wywinęła się spod niego, nim zdążył zareagować. Zrywając się na nogi, wyciągnęła mu zza paska sztylet i wymierzyła ostrze w jego stronę. Mężczyzna zdawał się nie brać na poważnie zagrożenia. Chociaż ostrze sztyletu wymierzone było w krtań, próbował chwycić Trudi za nogi i ją przewrócić.

— Na twoim miejscu bym tego nie próbowała — ostrzegła go Trudi.
— A teraz zawołaj swoją bandę, zanim zmienię zdanie.

Otto von Henneberg był zbyt pijany, by pojąć, że dziewczę stawia mu opór.

Próbował rękę ze sztyletem odsunąć na bok. Wtem rozległ się krzyk Uty. Jednemu z napastników udało się ją złapać. Rzucił ją brutalnie na ziemię, zadarł jej spódnicę i legł na niej. W tym momencie dopadł go Lantpert, złapał za nogi, by ściągnąć go z Uty. Inny parobek wznosił drąg i uderzył Lamperta od tyłu.

Trudi widziała to kątem oka, podczas gdy sama próbowała się wywinąć Hennebergowi.

— Jeśli nie chcesz słuchać, to będziesz miał za swoje! — wykrzyknęła i próbowała wbić mu sztylet w częściowo otwarty rozporek. Nie będzie już drań mógł zgwałcić żadnej niewiasty. Zdziwiony takim obrotem rzeczy Henneberg opuścił ręce i próbował dłońmi zasłonić swą męskość. Wtedy Trudi, która sama się przeraziła perspektywą pozbawienia napastnika jego męskości, cięła go sztyletem po twarzy.

Hrabia Otto krzyknął ze strachu i bólu. Obie dłonie przycisnął tak mocno do rany, że pomiędzy palcami pociekła mu krew.

Trudi odwróciła się do niego plecami i pobiegła na pomoc Ucie, która broniła się jak dzika kotka. Wówczas parobek, który uderzył Lamperta, rozpoznał Trudi i krzyknął z przestachem: — Panna von Kibitzstein!

Jego słowa otrzeźwiły pozostałych napastników, którzy znajdowali się jeszcze w pobliżu. Ponieważ folwark klasztorny i ziemie Kibitzsteinu znajdowały się w bezpośrednim sąsiedztwie, większość z nich znała Trudi i dawniej nieraz uciniała przyjazną pogawędkę z nią i jej ludźmi. Przed wszystkim jednak wiedzieli, że rycerz Michał kocha swą córkę ponad życie. Gdyby ją skrzywdzili, zemściłby się straszliwie. Jeden z parobków pociągnął w górę lego, który właśnie usiłował zgwałcić Utę, i błydy ze strachu wskazał ręką na Trudi.

— To panienka z Kibitzsteinu, córka Michała Adlera! Za to co zrobiliśmy, rycerz Adler wypruje z nas flaki.

Trudi trzymała sztylet gotowy do walki.

— Będę tu stać i patrzeć. A wy, szumowiny, precz stąd! Mój ojciec już się z wami rozliczy!

Ktoś z zewnątrz mógłby się zdziwić, że jednej białogłowie z zakrwawionym sztyletem w ręku udało się nastraszyć tuzin mężczyzn uzbrojonych w drągi i noże.

Pierwsi zniknęli tak szybko, jakby mieli nadzieję, że nie zostaną rozpoznani. Inni stali jak wryci i bezradnie wodzili wzrokiem między swoim dowódcą a Trudi.

Hrabia Otto klęczał i ciągle jeszcze próbował dłońmi zatamować krew, która pobrudziła mu włosy i kaftan. Wyglądał tak fatalnie, że Trudi poczęła się obawiać, iż zraniła go śmiertelnie. Jednak w końcu podniósł się i

zaczął błędzić na ślepo dookoła, bo krew skleiła mu powieki.

Trudi, zaśmiawszy się drwiąco, krzyknęła do jego ludzi: — Zabierajcie tę żalną fujarę, bo inaczej zabiorę go do Kibitzsteinu i zamknę w piwnicy, żeby tam zdechł.

Parobcy przestraszyli się i zamiast pomóc swemu dowódcy, uciekli. Tylko jeden opamiętał się, zawrócił po kilku krokach i obszedł Trudi wielkim lukiem.

Doszedł do Henneberga dokładnie w momencie, gdy ten zbliżył się niebezpiecznie do murów podporowych winnicy. Jeszcze krok i spadłby w dół. Parobek przytrzymał go i odciągnął od krawędzi.

— Chodźcie, panie, zaprowadzę was do domu. Siostry zakonne na pewno szybko wezwą lekarza, który was opatrzy.

Uta tymczasem wstała i zaczęła zbierać w gniewie kamienie i bryły ziemi. Rzuciła nimi w obu mężczyzn z taką zaciekłością, że Trudi poczuła się zde gustowana.

— Zostaw tych drani! Mają już za swoje i nie zapomną chyba do końca życia, że niewiasta zmusiła ich do ucieczki.

Trudi triumfowała, choć wciąż jeszcze czuła dreszcze z przerażenia. Po raz pierwszy w życiu znalazła się w tak groźnej sytuacji. Ledwo udało jej się uniknąć najgorszego.

Tymczasem pozostałe służące spostrzegły, że sytuacja uległa zmianie. Dwie z nich, zbyt powolne, by uciec napastnikom, wycierały sobie krocza kępkami trawy i kłęły jak szewcy.

— Klasztor wam zadośćuczyni, obiecuję wam to! — zwróciła się do nich Trud i, a potem wskazała ręką wózek. — Ruszajmy. Musimy się wynieść, zanim ci niegodziwcy zmienią zdanie. Jutro będziemy zbierać winogrona pod ochroną mieczy.

Służebne przytaknęły i pomogły wstać Lampertowi, który powoli dochodził do siebie. Chociaż kilka razy zwymiotował i kręciło mu się w głowie, pomagał Trudi utrzymać dwukołowy wózek w równowadze, bo i on nie chciał pozostawić ludziom z Hilgertshausen winogron jako łupu. Służące pchały i ciągnęły wózek, przy czym jedna prześcigała drugą w wymyślaniu przekleństw pod adresem napastników i niesłownych sióstr zakonnych.

W Kibitzsteinie już się zorientowano, że doszło do napaści. Kareł, syn Zdenki i Reima, będący prawą ręką Michała, szybko zwołał kilku zbrojnych i wraz z nimi ruszył na pomoc Trudi i jej towarzyszkom. Gdy stwierdził, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, rozkazał swoim ludziom pomóc pchać wózek. Sam szedł obok Trudi, która z ulgą puściła pojazd i patrzyła bezradnie na ciągle jeszcze trzymany w dłoni sztylet.

— Co się stało? Wyglądało to na napad.

— To był napad — wykrztusiła Trudi.

— Ale... — zaczął mówić Kareł, lecz ona mu przerwała.

— Poczekaj, aż znajdziemy się na zamku. Nie chcę opowiadać tego dwa razy!

15.

Gdy Trudi skończyła opowiadanie, Michał płonął ze złości. Zacisnął pięści, spojrzał na Marię, która wyglądała jak chmura burzowa i widać było, że walczy z emocjami.

Kasztelan rzekł z goryczą: — Wiedziałem wprawdzie, że przeorysza zatrudniła nowego wójta, ale oczekiwałem, że człowiek ten będzie zachowywał się, jak przystało na sąsiada, i spróbuje znaleźć z nami wspólny

język. Nigdy bym nie pomyślał, że bezprawnie przegna naszych ludzi i każe swej zgrai gwałcić nasze służące.

Głos Michała był twardy, a mimo to jego złość była tylko małym płomieniem w porównaniu z pożarem szalejącym w sercu Marii.

— Powinnaś była tego łajdaka zabić na miejscu, Trudi. Teraz będzie próbował się zemścić.

Michał objął córkę, która stała obok niego z twarzą białą jak śnieg.

— Trudi dobrze zrobiła. Zabójstwo jeszcze by pogorszyło sprawę. Teraz możemy zwrócić się do przeoryszy jako poszkodowani i zażądać rekompensaty.

— Niczego od niej nie otrzymamy. Jak się dowiedziałam, ta kobieta jest daleką krewną naszego dawnego wroga Rumolda von Lauensteina. To dlatego od samego początku jest do nas tak wrogo nastawiona.

Przez kilka chwil cienie przeszłości zdominowały myśli Marii. Przypomniała sobie zagorzałą wojnę, którą musiała toczyć z Rumoldem von Lauensteinem i jego córką Huldą. Rumold został stracony w Norymberdze z powodu różnych przestępstw, jakie popełnił, a jego majątek przypadł hrabiemu Palatynatu. Gdy Maria się dowiedziała, kto został mianowany przeoryszą klasztoru Hilgertshausen, przeczuwała, że pojawią się problemy, ale nie spodziewała się, że może dojść do otwartej wojny z Klarą von Monheim.

Po chwili Michał otrząsnął się z osłupienia.

— Jeśli biskup sądzi, że mógłby się z nami w ten sposób uporać, to jest w błędzie.

Zdołam obronić swoje prawa, nawet jeśli będę musiał prosić Boga i resztę świata o pomoc.

— Za kilka dni na zamku Fuchsheim odbędzie się ślub Bony — rzekła już nieco spokojniej Maria. — Tam spotkamy wielu naszych przyjaciół i będziemy mogli się z nimi naradzić. Po tym napadzie każdy z nich będzie musiał przyjąć do wiadomości, jakimi środkami Jego Ekscelencja Gotfryd Schenk z Limpurg próbuje rozbudować swą władzę.

Kasztelanka w myślach już teraz układała słowa, którymi mogłaby przeciągnąć na swoją i Michała stronę niezdecydowanych panów z tej części lankonii. A w razie konieczności pojedzie nawet do Ansbachu i poprosi o pomoc margrabiego Albrechta Achillesa von Brandenbura. W tej jednak chwili wzięła w ramiona swoją odważną córkę i szepnęła jej do ucha, jak bardzo jest z niej dumna.

CZĘŚĆ TRZECIA

Ślub na zamku Fuchsheim

I.

Otto von Henneberg siedział na krześle przed domem. Nad nim znajdowała się prowizoryczna konstrukcja, mająca chronić przed słońcem — był to mianowicie daszek z koca rozciągniętego na tyczkach wbitych w ziemię. Mężczyzna czuł zarazem gniew i wstyd. Ta dziewczka mająca jeszcze mleko pod nosem ośmieszyła go przed wszystkimi ludźmi. Wzbierała w nim nienawiść naprzemiennie z litością dla siebie samego. Żałował, że sztylet nie trafił go w oczy, bo wtedy nie mógłby widzieć drwiących spojrzeń parobków i pogardliwej miny przeoryszy.

Wielebna matka Klara von Monheim kazała się ponieść na folwark w lektyce, gdy tylko usłyszała o nieszczęśliwym finale akcji skierowanej przeciwko Kibitzsteinowi. Przyglądała się teraz pracy chirurga wezwanego z

miasta Volkach.

Chociaż nie znała się za bardzo na leczeniu ran, to musiała przyznać, że lekarz miał zręczną rękę i był bardzo cierpliwy. Najpierw oczyścił miejsce zranienia, a potem zaczął zszywać brzegi otwartej rany wygiętą igielką i cienką jedwabną nitką. W trakcie zabiegu musiał co chwila strofować pacjenta, który przy każdym ukłuciu jęczał i się niespokojnie wiercił.

— Jesteście mężczyzną czy babą? — doktor zapytał junkra, gdy ten po raz kolejny chciał odwrócić twarz.

Otto von Henneberg zacisnął zęby, a rękoma chwycił poręcz krzesła, zraniona duma bolała go o wiele bardziej niż rana, choć ból fizyczny w tej chwili wydawał mu się nie do zniesienia. Dlatego naglił chirurga, aby ten szybciej skończył zabieg.

— Czy jestem kawałkiem sukna, z którego chcecie uszyć odzienie? Do diabła! Ile to będzie jeszcze trwało?

— Tyle, ile trzeba — odpowiedział chirurg spokojnie. — A wy, szanowny panie, musicie wytrzymać, jeśli nie chcecie biegać z bruzdą w twarzy, w której zmieściłby się palec dorosłego mężczyzny.

— Będę wyglądać okropnie, czyż nie?

Hrabia Otto nie usiłował nawet powstrzymać łez, które cisnęły mu się do oczu.

Do tej pory uchodził za wyjątkowo urodziwego młodzieńca, a teraz będzie mógł straszyć swym wyglądem kobiety i dzieci. Wszystko przez tę diabelną dziewczkę.

Jakiś głos w głębi duszy podpowiadał mu, że sam jest sobie winien, bo nie był dość ostrożny. Przecież dziewczka się tylko broniła. Ale myśl tę Otto szybko przegonił i podsycił w sobie nienawiść do panny, która go tak strasznie naznaczyła. Cięcie przebiegało przez lewą połowę twarzy i zahaczało o nos oraz część prawego policzka.

— Będę na zawsze oszpecony! — powtarzał raz za razem. Lekarz śmiał się tylko.

— Bądźcie radzi, że się wam nic więcej nie stało. Cięcie jest wprawdzie długie, ale nie bardzo głębokie. Gdyby poszło cał wyżej, stracilibyście lewe oko. A tak, to po zagojeniu rany zostanie wam tylko maleńka blizna na nosie. Będziecie dzięki temu wyglądać jak mężczyzna, który odniósł obrażenia na wojnie. Zobaczycie, jak to działa na niewiasty!

Lekarz miał nadzieję, że tymi słowami pocieszy pacjenta, ale hrabia Otto westchnął ciężko jak chory koń.

— Ta blizna będzie piętnem mojej głupoty.

Ponieważ lekarz nie został wtajemniczony, w jakich okolicznościach doszło do zranienia, przeorysza chrząknęła, by uciszyć Ottona.

— Nie powinniście tak dużo mówić, hrabio Ottonie. To dla was zbyt wyczerpujące, a przy tym przeszkadzacie panu doktorowi wykonywać jego pracę.

Lekarz potwierdził: — Macie rację, wielebna matko. Ale nie martwcie się. To zranienie jest niczym w porównaniu z ranami, które musiałem nieraz opatrywać.

Hrabia Otto miał ochotę dać lekarzowi w gębę. Ten nikiemny konował nie miał pojęcia, jakie katastrofalne skutki może mieć ta rana. Będzie widocznym dowodem, że hrabia zawiódł na zaszczytnym urzędzie wójta już przy pierwszej okazji, kiedy mógł się wykazać. Otto nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak to wszystko skomentuje Magnus. Sądząc po gniewnej minie przeoryszy, ta również nie zapomni szybko tej wpadki.

Oczyrna wyobraźni hrabia widział, jak okryty wstydem i hańbą wraca niczym zbity pies do swego brata.

Nie, nie wróci do Magnusa i Elżbiety. Nie ma zamiaru słuchać ich wyrzutów!

Najchętniej uda się do swego przyjaciela Petera von Eichenloh. Ten wprawdzie go wyśmiej, ale przynajmniej nie będzie traktował jak małe dziecko, które nie ma prawa głosu.

— Zaraz będzie koniec — rzekł lekarz i wykonał ostatnie wkłucie, po czym spojrzął z dumą na równy szew, przebiegający w poprzek twarzy pacjenta. Rana już nie krwawiła. Jeśli opatrunki będą właściwie zmieniane, szybko się zagoi.

— Dobra robota, jeśli wolno mi chwalić samego siebie — skomentował swoją pracę i dodał: — Zasłużyłem sobie na godziwą zapłatę. Pozostawię wam jeszcze esencję, która sprawi, że rana szybciej się zagoi. Wprawdzie będzie szczypało, jakby kto przypiekał ogniem piekielnym, ale jeśli nie chcecie biegać, panie, z poznaczoną twarzą wyglądającą jak kora sosny, musicie ją stosować. Ten specyfik jest jednakże dość drogi.

Lekarz sondował reakcję na słowa o zapłacie, bo nabożne panie z Hilgertshausen chętnie przyjmowały datki od wiernych, ale niechętnie wydawały pieniądze.

— Dostaniesz swoją zapłatę — powiedziała przeorysza, pogrzebała w sakiewce przytroczonej do paska i wypłaciła lekarzowi kilka monet.

— Proszę, tyle powinno chyba wystarczyć.

— Za wykonanie szwu, owszem. I za połowę buteleczki esencji na rany, którą wam zostawiam. Młody pan będzie potrzebował więcej tego lekarstwa. Jeśli mi dacie pieniądze, mogę przysłać jutro więcej przez posłańca.

Przeorysza pomyślała chwilę, po czym potrząsnęła głową.

— Jutro pošlę parobka do Volkachu. Możesz mu dać esencję. Z czego właściwie jest ten specyfik?

Jej głos zabrzmiał podejrzliwie. Mógł to być przecież środek sporządzony wbrew regułom kościelnym.

— Jest to wyciąg z różnych ziół leczniczych, własnoręcznie przeze mnie destylowany. Można go nawet pić — wyjaśnił lekarz.

Zdażył to powiedzieć, a przeorysza od razu kazała parobkowi przynieść puchar, następnie podstawiła go lekarzowi, by wlał do środka esencji. Ten odmierzył tak małą ilość, że zdziwiona uniosła brwi.

— Nie musisz być taki oszczędny. Jutro pošlę parobka po więcej tej nalewki dla junkra.

— Wypijcie, matko, na razie tyle. To bardzo mocny wywar i mówiąć w zaufaniu, nieźle pali w gardle.

Chirurg cofnął się o krok i patrzył zaciekawiony, jak przeorysza smakuje specyfik.

Jej oczy zrobiły się większe, gdy paląca ciecz rozlała się po języku. Przestraszona zakonna zakasłała, a potem przełknęła lekarstwo, przewyciężając lęk, że zapłaci za to życiem.

— To smakuje tak okropnie, jakby do przelyku dostał się ogień. — Skomentowawszy trunek, położyła sobie dłoń na brzuchu. — Ale czuję, jak działa. Ze zdenerwowania rozboleł mnie żołądek, a teraz bóle ustępują jak za sprawą cudu. Jutro dasz posłańcowi dodatkową butelkę dla mnie, zrozumiałeś?

Chirurg skwapliwie przytaknął. Wyprodukowanie nalewki nie

kosztowało go dużo, a mógł za nią wziąć dobre pieniądze. Większość jego klientów używała lekarstwa rzekomo tylko dlatego, by ulżyć swym dolegliwościom. W istocie cenili je też za to, że wchodziło im do głów, wywołując przyjemne odczucia, i po prostu smakowało.

Również przeorysza rozkoszowała się działaniem esencji ziołowej. Błogie ciepło rozchodziło się jej po żołądku, a nieudana akcja wójta przestała być w jej odczuciu tak tragiczna, jak myślała jeszcze kilka chwil temu. Jednak nie miała zamiaru puścić hrabiemu Ottonowi jego wybryku płazem.

Klara von Monheim poczekała, aż chirurg spakuje swoje instrumenty i odejdzie wraz z parobkiem, który miał go zaprowadzić do jadalni na kolację. Potem zwróciła się do Henneberga: — Nieźle mnie urządziliście! Co za diabeł w was wstąpił, żeby próbować zadać gwałt córce Kibitzsteina? Mieliście trzymać ludzi z Kibitzsteina z dala od naszych winnic, a nie wywoływać krwawe zamieszki.

Hrabia Otto stęknął z bólu i irytacji.

— Skąd miałem wiedzieć, że to córka Michała Adlera?

— Nieważne, kim była ta dziewczyna. Mieliście ją przegnać razem z jej towarzyszkami. Zamiast tego chcieliście ją zgwałcić i podjudzaliście parobków, by to samo zrobili z jej służącymi. Jak wasz brat mógł przysłać nam do klasztoru gwałciciela? Znaleźliście się wśród zakonnic i powinniście pamiętać o przyzwoitości.

Otto von Henneberg wił się pod gradem zarzutów jak robak i nie potrafił znaleźć słów na swoją obronę. Przeorysza, która go bacznie obserwowała, czerpała z tego satysfakcję. Nasączyła czystą szmatkę odrobiną esencji i przemyła nią ranę młodzieńca. Szczypało okrutnie, jakby przypalała ogniem. Myślał, że już nie wytrzyma, ale w tym momencie Klara von Monheim odstała od niego i nalała połowę zawartości butelki do pucharu.

— Proszę, pijcie. Poczujecie się od tego lepiej. Rana jest bolesna, a wasza gładka twarz została oszpecona. Ale bądźcie radzi, że tak się skończyło. Gdybyście zhańbili córkę Michała Adlera, musielibyście się z nią ożenić. Temu nie mogłabym zapobiec ani ja, ani nawet Jego Ekszelencja książę biskup.

Nad tym Otto von Henneberg jeszcze się nie zastanawiał. Gressingen opowiedział mu nieco o rodzinie Kibitzsteinów i nie dałoby się znaleźć ani jednego powodu, dla którego panna nadawałaby się na żonę członka rodu Hrabiego Henneberg. Jej matka była podobno nierządnicą, która w czasie soboru w Konstancji uprzyjemniała pobyt niejednemu wielkiemu panu. Również ojciec nie pochodził ze starszylacheckiej rodziny, lecz ze stanu mieszczańskiego.

Był najpierw zwykłym zbrojnym pachołkiem, którego po wielu latach służby pasowano na rycerza, a za sprawą szczęśliwego zrządzenia losu nadano mu wolną posiadłość Rzeszy — Kibitzstein.

Hrabia Otto wzdrygnął się na myśl, że mógłby być skoligacony z takim pospółstwem. Gdyby się ożenił z kimś takim, to Magnus i Elżbieta zamknęliby przed nim drzwi i wyparli się jakiegokolwiek pokrewieństwa z nim i jego dziećmi.

Przerażony taką możliwością Otto spojrzął na przeoryszkę.

— Na wszystkich świętych, macie rację! Blizna, którą pozostawi ta rana, będzie małą zapłatą w porównaniu z hańbą, która mogła mnie spotkać.

— Żałuję, że nie udało się wam wykonać mojego polecenia tak, jak

sobie tego życzyłam. Pozostaje więc nadzieja, że Michał Adler nie wykorzysta tego zdarzenia jako powodu do wypowiedzenia nam wojny, bo to nie byłoby po mojej myśli.

Dlaczego więc kazaliście mi przepędzić ludzi z Kibitzsteinu? — chciał zapytać hrabia Otto, ale ugryzł się w język.

— Przepraszam was za to, co się stało — powiedział zamiast tego, zgrzytając w duchu zębami. Zdawał sobie sprawę, że ściągnął na przeoryszę masę problemów. By poradzić sobie z tymi kłopotami, będzie musiała w najlepszym wypadku pójść na ustępstwa z Kibitzsteinem.

Klara von Monheim wyczuła rozpacz i wstyd młodego hrabiego. Dlatego jej oburzenie nieco zmalało.

— Mam pretensje nie tyle do was, co do waszego brata. On wiedział, jak młodzi i niedoświadczeni jesteście. Zamiast was powinien przysłać mi jako wójta człowieka, który bardziej nad sobą panuje. Idźcie teraz do swego pokoju i połóżcie się. Mam nadzieję, że za tydzień będziecie czuli się na tyle dobrze, że pojedziecie ze mną do Fuchsheimu. Córka rycerza Ludolfa wychodzi za mąż i na jej ślub przyjedzie wielu ludzi, z którymi chciałabym porozmawiać.

— Również państwo z Kibitzsteinu? — zapytał hrabia Otto bojaźliwie.

— Najprawdopodobniej! Jednak nie powinniście się nimi przejmować. Najlepiej trzymajcie się z dala od Michała Adlera i jego rodziny, bo nie będę tolerować waśni.

A teraz zostańcie z Bogiem.

Przeorysza skinęła mu głową na pożegnanie i przywołała pacholków z lektyką, którzy w cieniu drzewa czekali na rozkazy.

2.

Następnego ranka Karel stanął na czele grupy zbrojnych i poprowadził wszystkich parobków i wszystkie służące, kogo tylko mógł zebrać na zamku i w podlegających mu wsiach, do winnic klasztornych, żeby zebrać przyrzeczony w umowie udział Kibitzsteinu w zbiorach.

Michał przykazał mu, żeby użył broni tylko wtedy, kiedy zostaną napadnięci. Ten rozkaz był konieczny, bo Karel najchętniej poprowadziłby zbrojnych na folwark klasztorny i go podpalił. Ale podporządkował się rozkazowi Michała i okrążył powierzonych jego opiece ludzi, strzegąc ich jak pies pasterski owce.

Nie pokazał się jednak żaden mieszkaniec Hilgertshausen, ani parobek, ani zakonnica, a folwark wyglądał, jakby wszyscy się z niego wynieśli. Karel wywnioskował więc, że przeorysza ewakuowała ludzi w obawie przed akcją odwetową.

Istotnie Klara von Monheim kazała wszystkim opuścić folwark, zostawiła tylko jednego parobka, który służył z chylonych nóg. Obserwował on ze stajni winnice.

Wieczorem mógł swojej pani jedynie zameldować, że ludzie Michała Adlera zebrali winogrona w obrębie ustalonej umowy granic, a następnie opuścili ziemie klasztorne, zabierając ze sobą zbiory.

Klara von Monheim odetchnęła, słysząc te słowa. Mimo niechęci do sąsiada, a szczególnie do jego żony, nie chciała otwartej wojny. Adler był dzielnym wojownikiem i zdolnym dowódcą. Bez sprzymierzeńców nie miała z nim żadnych szans. Ale wątpiła, by biskup wüzburgski, na którego wsparcie mogła do tej pory liczyć, tym razem dostarczył jej żołnierzy wraz z

ryszunkiem. Mógłby narazić na szwank swą opinię, gdyby walczył po stronie gwałcicieli kobiet.

Z tego powodu przeorysza postanowiła na razie przeczekać i negocjować. Ale w jej klasztorze jak do tej pory nie pojawił się żaden posłaniec z Kibitzsteinu. Miast tego doniesiono jej, że z zamku wyjechało konno kilku ludzi i udało się w kierunku Dettelbachu, Fuchsheimu i innych miejscowości. To zaniepokoiło Klarę von Monheim bardziej, niż gdyby Kibitzstein zwrócił się bezpośrednio do niej, grożąc odwetem.

Michał nie chciał prawdopodobnie narażać swoich ludzi na niebezpieczeństwo pobicia lub nawet zabicia przez „hołotę z Hilgertshausen”, jak nazywał w kręgu bliskich znajomych Henneberga i jego parobków, bo i on widział w zdarzeniu wstęp do długiej i krwawej wojny sąsiedzkiej.

Po raz pierwszy od wielu lat kowale w Kibitzsteinie, Dohlenheimie, Spatzenhausen i Habichten nie zajmowali się wyłącznie podkuwaniem koni i ostrzeniem kos oraz lemiesz, lecz reperowali stare zbroje i czyścili z rdzy miecze oraz ostrza oszczepów. Michał osobiście wskoczył na konia i w towarzystwie sześciu dobrze zbudowanych parobków pojechał do Dettelbachu, żeby dokupić broni oraz zbroi i jeszcze raz porozmawiać z rycerzem Hansem. Był zdania, że w chwili obecnej bardziej niż kiedykolwiek potrzebował prócz swego zamku dodatkowo grodu otoczonego murami i mającego rangę wójtostwa.

Trudi ku swemu wielkiemu rozczarowaniu nie mogła tym razem towarzyszyć ojcu, bo Michał uznał, że opuszczenie zamku może być dla jego córek niebezpieczne.

Nawet do koziarni Hiltrud panienki mogły iść tylko w towarzystwie uzbrojonych pachółków. Prerażenie wywołane napadem, które najpierw przeniknęło Trudi do szpiku kości, ustąpiło miejsca niezadowoleniu z ograniczenia jej dotychczasowej wolności. Dlatego w ślubie Bony widziała jedyne światelko na horyzoncie swej pochmurnej teraźniejszości. Zobaczyła wreszcie junkra Georga. Marzyła o szybkim małżeństwie, które nie tylko ugruntuje jej szczęście, lecz również dzięki niemu ojciec zyska sprzymierzeńców w osobie Georga i jego krewnych.

Ponieważ chciała wyglądać na ślubie Bony jak najpiękniej, zaniósła materiał zakupiony w Dettelbachu do Alik. Sama wprawdzie miała zręczne palce i już uszyła sobie i swoim siostrom kilka sukienek, jednak nie mogła się mierzyć z talentem Murzynki.

W drodze do Alik towarzyszyła jej Uta, a dla bezpieczeństwa zabrały ze sobą Lamperta, który na wycieczkę do folwarku zabrał w charakterze broni długą lancę.

Gdy panią Trudi stanęła spięta przed domkiem Murzynki, oni zatrzymali się w milczeniu za nią. Domek ten Alik dzieliła z byłą markietanką Teresą. W małej zagrodzie mieszkała wcześniej Czarna Ewa, inna przyjaciółka matki, oraz jej mąż o jednej nodze. Oboje jednak kilka lat temu umarli i do domku wprowadziła się Alik, żeby stara Teresa nie musiała przebywać w nim sama.

Trudi wiedziała, jak bardzo Alik, pochodząca z dalekiej Afryki, była przywiązana do jej siostry Lisy. Bała się, że Murzynka wytknie kłótnię i obraźliwe słowa, które Trudi rzekła do siostry. Dlatego cofnęła rękę z kłamki. Może w takich okolicznościach nie należało prosić czarnoskórej niewiasty o pomoc?

Wtem drzwi otworzyły się od środka i na zewnątrz wyjrzała Alik.

— Widziałam, jak idziesz — powiedziała tonem, po którym Trudi nie mogła odgadnąć, czy Murzynka cieszy się z jej wizyty, czy jest obrażona.

— Szczęść Boże, Alika. Czy mogę wejść? — zapytała Trudi cienkim głosem.

Alika uśmiechnęła się i zaprosiła ją do środka.

— Ależ wchodź! Widzę, że masz ze sobą belę materiału. Czy mam ci uszyć nową suknię na ślub w Fuchsheimie? Już zostało niewiele czasu, ale sobie poradzę.

— To byłoby miło z twojej strony! Wiesz, ja... — Trudi urwała, bo nie wiedziała, co Alika sądzi o junkrze Georgu. Murzynka była przywiązana do Marii i mogła dzielić niechęć kasztelanki do młodego rycerza.

Alika uprzejmie cofnęła się, żeby zrobić przejście. Trudi weszła, zostawiając Utę z Lampertem na zewnątrz.

Był to ładny domek z dwoma pokojami odchodzącymi od dużej kuchni, w której prócz murowanego pieca stał szeroki stół, ława i cztery krzesła, a także kredens na naczynia. Dom Aliko był bez wątpienia lepiej wyposażony niż domy większości chłopów w dość zamożnych wsiach należących do Kibitzsteinu. Wiele jednak przedmiotów miało nietypowy wygląd. Murzynka albo sama wykonała te rzeczy, albo kazała wykonać rzemieślnikom według swoich wskazówek. Maria ją w tym wspierała, aby ulżyć tęsknocie czarnoskórej niewiasty za ojczyzną.

Teresa, która najchętniej zostawiłaby wszystko po staremu, jak to było za czasów Czarnej Ewy, przyzwyczaiła się w końcu do innowacji i korzystała z wszystkich przedmiotów na równi z Aliką. Właśnie napełniła kolorowo pomalowany kubek płynem z dużego garnka i postawiła go przed Trudi.

— Witaj, drogie dziecko. Proszę, napij się, smacznego.

Staruszka traktowała Trudi wciąż jak małą dziewczynkę, która w ciągu długiej zimy zaopatrywała ją w artykuły żywnościowe. Panna kochała Teresę i uścisnęła ją serdecznie. Potem pomyślała, że Alice też się należy do uścisk, więc ją też wylewnie objęła rękoma.

Obie niewiasty pachniały świeżością, a ich ubrania były nieskazitelnie czyste. Alika pilnowała, żeby Teresa była zawsze zadbana. Koźlarka Hiltrud też się troszczyła o staruszkę. Parzyła jej napary z ziół dla złagodzenia dolegliwości wieku starczego. Ponieważ Alika i Teresa dostawały dość artykułów spożywczych od państwa Kibitzstein, Murzynka nie musiała pracować, żeby zarobić na życie.

Szyła jednak pilnie, najczęściej dla Marii i jej rodziny. Kasztelanka musiała jej za te usługi nieraz wpychać na siłę wynagrodzenie. Również Trudi nie chciała, żeby Alika pracowała za darmo, ale jeszcze nie wiedziała, jak się jej odwdzięczy.

— Jesteś dzisiaj taka milcząca — stwierdziła Alika, a Trudi uświadomiła sobie, że przez chwilę myślami była gdzieś daleko.

— Przepraszam, ale tyle spraw zaprzęta mi głowę.

— Nie dziwota, biorąc pod uwagę, co ostatnio przeszłaś. Niech diabli wezmą przeoryszkę z Hilgertshausen razem z jej wójtem — z gniewem w głosie rzekła Teresa.

— Ludzie mówią, że sobie sama poradziłaś z tym niegodziwcem i na dodatek go zraniłaś. — Alika spojrzała z ciekawością na Trudi, bo do tej pory znała historię tylko z plotek. Według nich parobcy z Hilgertshausen zgwałcili wszystkie służące z Kibitzsteinu, jedynie Trudi udało się uwolnić

od jej prześladowcy.

Nim Trudi zdążyła cokolwiek powiedzieć, uchyliły się drzwi. Do środka nieśmiało zajrzała Uta.

— Czy my też możemy wejść?

— Ależ oczywiście.

Teresa napełniła dwa następne kubki.

Uta i Lampert z trunkiem w rękach przycupnęli pod piecem.

— Czy jest wam aż tak zimno? — zapytała żartobliwie Alika.

— Nie chcemy przeszkadzać — odpowiedział Lampert.

Uta zrozumiała tę uwagę jako zaproszenie i zajęła miejsce obok pani.

— Pokazaliście już, panienko, materiał Alice? — zapytała ciekawa.

— Jeszcze nie zdążyłam, bo akurat mi przeszkodziłaś — zaśmiała się

Trudi i rozwinęła pakunek owinięty dla ochrony przed zabrudzeniem zwykłym płótnem.

Gdy Alika zobaczyła błękitne sukno ozdobione srebrzystymi gwiazdkami, zawołała pełna podziwu: — Jakie to piękne!

— Anni wybrała ten materiał — powiedziała Trudi i zorientowała się, że być może palnęła gafę, bo Anni i Alika nie przepadały za sobą, chociaż obie w różnym czasie bardzo pomogły jej matce. Może przyczyną tej wzajemnej niechęci była aparycja Aliki, która z czarną skórą i kręconymi włosami wyglądała bardzo egzotycznie. Prawdopodobnie jednak była to nieświadomiona zawiść. Maria zawsze podkreślała, że Alika uratowała jej życie, a ponieważ Murzynka z tego powodu cieszyła się dużym szacunkiem, Anni mimo funkcji szafarki czuła się stawiana na dalszym miejscu. Alika natomiast traktowała Anni z pobłażliwością i niewiele sobie robiła z jej negatywnego nastawienia.

Łagodny kuksaniec wyrwał Trudi z zamyślenia. Tym razem to Uta zwróciła swej pani uwagę, że Alika ją o coś pyta.

— Jaka ma być ta suknia? — powtórzyła pytanie Alika. — Masz dosyć materiału na szerokie rękawy i krótki tren, który możesz sobie zarzucać na rękę. — Gdy Trudi się zastanawiała, Murzynka odwróciła się do Lamperta i zasugerowała, żeby wyszedł na zewnątrz: — Możesz dokończyć swoje wino na dworze.

Parobek nie rozumiał, o co chodzi, dlatego Uta stanęła przed nim i powiedziała wprost: — Alika chce zdjąć z panienki miarę, więc nam przez jakiś czas nie będziesz potrzebny.

Trudi dodała pojednawczo: — Idź na razie do koźlarki Hiltrud i powiedz jej, że niedługo się u niej zjawimy.

— Nie tak znowu niedługo — sprostowała Alika. — To trochę potrwa, nim zdejmemy miarę i wszystko dokładnie omówimy.

— Powiem jej to i poczekam tam na was, pani.

— I na mnie — dorzuciła Uta.

— Tak, tak — skwapliwie przytaknął Lampert zadowolony, bo resztę przedpołudnia miał spędzić na terenie koźlami, pijąc dobre wino wytłaczane przez Hiltrud. Ale następne słowa spowodowały, że uśmiech zniknął z jego ust.

— Dopóki nie przyjdziemy, pomóż koźlarce w pracy. Hiltrud wczoraj przysłała nam dwie służące, żeby pomogły podczas winobrania w Hilgertshausen.

— Tak jest, pani.

Lampert nie był leniem, tyle że miał nadzieję na wolną godzinę. Ale panienka na pewno zapyta koźlarke, czy pomógł jej w gospodarstwie. Będzie

więc musiał wziąć się solidnie do roboty, żeby nie wyjść na próżniaka.

3 .

Ledwo Lampert zamknął za sobą drzwi, Trudi i Alika niezwłocznie wzięły się za projektowanie sukni. Uta od czasu do czasu wtrącała jakąś swą uwagę. Również Teresa, która gładziła dłonią materiał, sprawdzając jego jakość, podsuwała propozycje, gdyż chciała, aby Trudi wyglądała jak najpiękniej w nowej sukni. Alika powstrzymała w końcu ich pełen fascynacji zapał.

— Nie zapominajcie, moje drogie, że nasza panienka jest jeszcze bardzo młoda.

Trudi zdenerwowały te słowa i pożałowała nawet przez chwilę, że przyniosła materiał do Aliki. Chciała przecież wyglądać w sukni pięknie i dojrzałe, aby spodobać się junkrowi Georgowi.

Ale Murzynka nie chciała dać Trudi do zrozumienia, że wygląda jak dziecko. Sama pragnęła, by panienka na weselu prezentowała się jak najpiękniej. Miała jednak na uwadze, że wiadomość o napaści na Trudi i jej służące rozeszła się po okolicy.

Ludzie powinni widzieć, że tak niewinną panienkę spotkało to nieszczęście.

Patrzyła na Trudi z niemal matczyną dumą. Panna była wyższa niż większość dziewcząt w tym wieku, a na dodatek miała tyle wdzięku jak mało która. Jej twarz z prostym nosem i łagodnie wykrojonymi ustami emanowała dumą, a jednocześnie była pociągająco piękna. Wprawdzie w oczach panny czasem błyskały wojownicze iskierki, ale w tej chwili jej źrenice były jak dwa jeziora przy bezwietrznej pogodzie.

Pokażemy światu — pomyślała Murzynka jakiej istocie przydarzyła się krzywda.

— Chodzi o to, co ludzie pomyślą o waszych rodzicach, panienko. Niektórzy sąsiedzi patrzą na nich z góry, bo państwo Adlerowie nie mogą się poszczycić przodkami, którzy zasiadali do stołu z cesarzem Karolem — wyjaśniła jej gorliwie.

Trudi przyznała rację i dodała: — A przecież tato jest lepszy niż wszyscy sąsiedzi razem wzięci.

— Wasza matka, panienko, też!

W głosie Aliki zabrzmiała nagana. Lubiała pannę, ale nie znosiła przekory, z którą ostatnio Trudi odnosiła się do matki. Murzynka obwiniała za to po dużej części pana Michała, który był wobec swej pierworodnej zbyt pobłażliwy, przez co doprowadził do niesnasek między matką i córką. Powinien bardziej baczyć, żeby panna wypełniała swoje obowiązki.

Alika szybko porzuciła rozważania na temat metod wychowawczych swego pana i z powrotem zajęła się suknią. Stosowała własne metody zdejmowania miary, a uszyte przez nią szaty pasowały do ciała jak druga skóra, nie były przy tym za wąskie i nie krępowały ruchów. Trudi coraz wyraźniej widziała się w nowej sukni i z ekscytacji nie potrafiła usiedzieć spokojnie.

— Nie narzekaj potem, że suknia nie pasuje — ganiła ją Alika. Murzynka wzięła do ręki kawałek węgla i zapisywała miarę na kartce papieru, używając dziwnych symboli. Następnie wyrysowała sukienkę tak, jak ją sobie wyobrażała.

— Zmierz mnie jeszcze raz, teraz na pewno nie będę się ruszać — poprosiła Trudi.

Alika żartobliwie dała jej prztyczka w nos.

— Zawsze dobrze mierzę. Nie możesz tylko w ciągu najbliższego tygodnia zbyt wiele jeść, bo suknia nie będzie pasować w talii. Nie chcesz chyba, żeby było z tobą jak z Boną? Spotkałam jej osobistą służącą na targu w Volkachu i ta mi się poskarżyła.

Pan Fuchsheim kupił materiał dla Bony, ale handlarz skąpo wymierzył i trzeba było kawałek dokupić. Takiego samego materiału jednak już nie było. Musiano więc zakupić inny i z niego wykonano wstawkę w obrębie gorsetu.

Alika często bywała w Volkachu, w przeciwieństwie do Michała i Marii, którzy unikali tej miejscowości, bo zarządzał tam wüzburgski wójt. Trudi nie zamierzała Murzynki za to ganić, lecz słuchała z zainteresowaniem, po czym rzekła: — Cieszę się, że wkrótce zobaczę Bonę.

— Ona też się na pewno ucieszy — odpowiedziała Alika, która nie miała zbyt dobrego mniemania o córce pana Fuchsheima, ale знаła przecież gorzej wychowane dziewczęta. Wprawdzie Bona była dość zazdrosna, ale komuż obce jest to uczucie?

Trudi w tym momencie mimowolnie porównała swą ciemnoskórą przyjaciółkę z Boną i doszła do wniosku, że Alika jest jednak ładniejsza, choć ma już mniej więcej tyle lat co Anni. Za to w przeciwieństwie do chudej jak szczapa Anni, Alika miała pełniejszą figurę i większy biust oraz wystającą pupę. Cerę miała gładką, w kolorze orzechów laskowych, co sprawiało, że wyglądała egzotycznie i zarazem pociągająco.

— Dlaczego właściwie nie wyszłaś za mąż? — wymusnęło się Trudi.

— Musiałby się o mnie starać ten właściwy, a takiego jeszcze nie spotkałam — Alika roześmiała się dźwięcznie i wzduszywszy ramionami, pochyliła się nad szkicem, żeby dogadać z Trudi wszystkie szczegóły. Miała to być suknia, która zachwyci wszystkich gości, dlatego omówienie wszelkich możliwych wariantów zajęło im ponad dwie godziny. W trakcie narady sączyły wino i chrupały wypieki, które Teresa postawiła na stole. Wszyscy byli zadowoleni, Alika odłożyła materiał i rysunki na bok i zwróciła się do Trudi: — Czy zjesz z nami obiad? Trudi westchnęła.

— Chętnie bym zjadła, ale posłałam Lamperta z wiadomością do Hiltrud, że wkrótce przyjdę i Hiltrud będzie na pewno rozczarowana, jeśli nie zjem u niej.

— Masz rację. Pod tym względem kozłarka jest nieprzejednana.

Alika pomyślała, jak często przesiadywała u Hiltrud w jej izbie i opowiadała o przygodach Marii w Rosji. Nigdy się nie zdarzyło, by gospodyni nie podała wielkiego dzbana z winem lub naparem ziołowym oraz tacy z wędliną, masłem, serem i chlebem. Czasem Alika dziwiła się, że z towarzyszką Marii z dawnych lat lepiej się dogadywała niż z Anni, z którą były niemal w tym samym wieku. Hiltrud w przeciwieństwie do Anni nie była zazdrosna, potrafiła cieszyć się życiem, które umożliwiła jej Maria.

— Ja też się cieszę — spontanicznie wyrwało się Alice.

— Z czego? — zapytała Trudi.

— Że spotkałam twoją matkę i dzięki niej znalazłam miejsce w życiu. Bardzo mi pomogła, podobnie jak kozłarka. Hiltrud jest moją dobrą przyjaciółką i często ze sobą rozmawiamy, także o tobie.

Alika próbowała wysondować, co dręczy Trudi, bo czuła, że panna ma jakieś zmartwienia. Gdyby były same, Trudi może by się jej zwierzyła, bo spojrzała na Utę i Teresę z zakłopotaniem. Murzynka zrozumiała, że córce Marii więcej leży na sercu, niż przypuszczała, dlatego rzekła z

uśmiechem do Teresy: — Jeśli Trudi nie ma nic przeciwko temu, Uta mogłaby wziąć sierp i ściąć trochę trawy dla królików i kozy. Pokażesz jej, gdzie powinna ciąć?

Uta parsknęła z niechęcią i rzuciła błagalne spojrzenie swojej pani, bo uważała, że taka praca nie jest odpowiednia dla zamkowej służebnej.

Ku jej rozczarowaniu Trudi rzekła: — To dobry pomysł. Dla Teresy ta praca jest za ciężka, a ty musisz szyć, żeby moja suknia była gotowa na czas. Sądzę, że póki nie skończysz sukni, Ula będzie codziennie przychodzić i oporządzać wasze zwierzęta.

— Ale przecież może to robić Lampert — pisnęła przerażona Uta. Trudi spojrzała na nią z naganą.

— Jeśli faktycznie to zajęcie jest ci tak niemiłe, to istotnie przyślę Lamperia. Wtedy jednak mogę dojść do wniosku, że nie potrzebuję takiej leniwej i nieuczynnej służebnej!

Uta wybuchła na te słowa płaczem.

— Ależ, panienko, przecież wam wiernie służę. Nie uciekłam jak inne dziewczki, gdy ten niegodziwy Henneberg chciał wam uczynić gwałt, lecz próbowałam pomóc. A przy tym sama prawie zostałam zgwałcona.

— Doceniam to. Ale i tak powinnaś spełniać moje polecenia. Na pewno ci nie zaszkodzi, jeśli dla królików Alike i Teresy zetniesz trochę trawy.

Nie po raz pierwszy Uta stwierdziła, że jej młoda pani mimo wszelkiej pobłażliwości ma silną wolę. Jeśli nie wykona jej polecenia, to panienka jest w stanie sama sięgnąć po sierp. Gdy tak się stanie, to cała służba zamkowa pogardzi Utą, a na pewno pani Maria, która może nawet odeśle ją do domu, do ojcowego gospodarstwa, a tam za ciężką pracą będzie otrzymywać podle jedzenie, siennik w kącie i czasem trochę wełny lub lnu, aby mogła je przerobić na odzienie.

Gdy pomyślała o rodzinnym domu, na nowo uświadomiła sobie, jak piękne życie wiedzie na Kibitzsteinie, dlatego gorliwie skinęła głową i rzekła: — Panienko, dlaczego mnie ganicie? Zrobię wszystko, co mi kazecie! Następnie zwróciła się do Teresy i zapytała, gdzie jest sierp.

— Chodź ze mną — odpowiedziała starszka i wyszła z domu, a Uta pospieszyła za nią.

Chwilę potem Trudi i Alike ujrzały przez okno, jak Uta na łące w pewnej odległości od domu sprawnie ścina trawę, rozmawiając z Teresą.

Alike naląła Trudi wino i rzekła z naciskiem: — Hiltrud powiedziała mi, że masz jakieś problemy, ale nie chciała zdradzić, o co chodzi. Jeśli mi zaufasz, może będę mogła ci pomóc albo przynajmniej coś doradzić.

Najpierw Trudi potrząsnęła głową, potem jednak westchnęła głęboko i pomyślała, że Alice może tak samo ufać jak Hiltrud. Jąkając się i rumieniąc ze wstydu, opowiedziała jej o popołudniu spędzonym w fuchsheimskim lesie, kiedy we dwie z Boną straciły dziewictwo.

Alike słuchała uważnie, ale nie zdradziła myśli kłębiących się jej w głowie.

Wyczuwała bowiem, że Trudi przy najmniejszym słowie nagany umilkłaby i uciekła, choć nie ją należałoby winić, lecz junkra. Dziewczę usprawiedliwiałoby czyn Gressingena jego namiętnością wobec niej, ale Murzynka zdążyła już sobie wyrobić zdanie o rycerzu i dalsze słowa tylko ją w tym utwierdzały. Uczciwy mężczyzna w ten sposób nie potraktowałby Trudi i nie upiłby jej, żeby nie stawiała oporu. Jednak tego co zaszło, nie da się cofnąć.

— Mam nadzieję, że twoje marzenia się spełnią i że Gressingen poprosi cię o rękę. W przeciwnym razie lepiej by się stało, gdyby Otto von Henneberg zrobił z tobą to, co chciał zrobić. Nie unoś się tak! Może to zabrzmi brutalnie, ale od Henneberga ojciec mógłby zażądać zadośćuczynienia. Hrabia musiałby się z tobą ożenić. A z Gressingenem stało się to potajemnie. Może zaprzeczyć, że w ogóle do czegoś doszło. Bona cię nie poprze, bo jej przyszły małżonek mógłby ją odrzucić albo nawet zabić. Młody Steinsfeld musi z tego samego powodu milczeć. Tym samym wszyscy troje mogliby ci zarzucić kłamstwo.

— Gressingen przyjedzie! — zawołała namiętnie Trudi.

Alika miała na końcu języka pytanie, czemu więc już dawno tego nie uczynił, ale wiedziała, że na logikę nic tu nie działo. Trudi wbiła sobie do głowy, że rycerz dotrzyma słowa, i nie chciała słyszeć o żadnej innej możliwości. Dlatego Murzynka przeczuwała, że wkrótce marzenia panienci mogą prysnąć jak bańka mydlana.

Żałowała więc, że Trudi nie ma już takiego bliskiego kontaktu z matką jak dawniej.

Alika uważała, że Maria powinna mieć nieco więcej cierpliwości dla córki. Obecnie relacje ich obu były na tyle złe, że reakcja kasztelanki na takie wieści mogłaby tylko zwiększyć dystans między nimi.

Na tę chwilę widziała tylko jedno wyjście. Mianowicie Trudi powinna wyznać prawdę ojcu. Ojcowie nie są zazwyczaj osobami, którym córki powierzają swe najintymniejsze tajemnice. Alika nie wiedziała też, jak Michał, niesamowicie dumny z córki, zniesie taki cios. Ale nie potrafiła wymyślić lepszego rozwiązania.

— Porozmawiaj z ojcem! — powiedziała do Trudi z naciskiem. — On będzie umiał wywrzeć wpływ na Gressingena i przymusić go do dotrzymania słowa. Inaczej znajdziesz się w trudnej sytuacji, jeśli rodzice będą chcieli cię wydać za innego mężczyznę, a ten odkryje, że nie jesteś dziewczicą. Wyzwie cię i odeśle w niesławie do domu albo zostaniesz zmuszona, by wstąpić do klasztoru, żeby twój mąż mógł się po raz kolejny ożenić. Nie chcesz przecież przynieść ojcu takiej hańby.

Trudi potrząsnęła gwałtownie głową.

— Nie, nie chcę, ale...

— Nie zapominaj, że to Gressingen ponosi winę za to, że znalazłaś się w takiej trudnej sytuacji. Podziękuj świętej Paniencie, że nie zaszłaś w ciążę, bo wtedy hańba byłaby jeszcze większa. Gressingen nie jest tak wielkim panem jak margrabia von Brandenburg-Ansbach, który może zrobić dziewczęciu brzuch, a nikt nie śmie uczynić żadnego wyrzutu. Taki pan jak on wydałby cię za jakiegoś szlachcica ze swej świry, który poczytałby sobie za zaszczyt, że w ten sposób może zostać skoligacony ze swym panem. Gressingen jest tylko zwykłym rycerzem i choć może się poszczycić kilkoma pokoleniami szlachetnych przodków, to ma niższą rangę niż twój ojciec. Jeśli wyjdzie na jaw, co z tobą zrobił, to przede wszystkim twoje imię zostanie zszargane. Idź więc do rycerza Michała, pozwól, by ci pomógł.

Trudi wysłuchiwała słów Aliki cierpliwie, ale nie czuła się gotowa, by pójść za jej radą. Wypiła resztę wina z kubka i wstała.

— Muszę już iść, koźlarka na mnie czeka.

zaletach oddania mu ziemi pod zastaw. Po cichu złościł się jednak, że sam będzie musiał poświęcić jedną ze swych posiadłości, żeby zdobyć potrzebną sumę. Ale nie mógł jednocześnie przygotowywać się do wojny sąsiedzkiej i wydawać pieniądze na zakup Dettelbachu.

Gospodarz podniósł w geście obronnym rękę.

— Wasza wizyta mnie zmęczyła. Rozumiem wasze pobudki, ale chciałbym o tym pomyśleć w jakimś innym czasie, gdy poczuję się nieco lepiej. Nie chcę jednak, żebyście przybyli tu nadaremnie. Dlatego gotów jestem zastawić u was połowę wsi Erlbach, aby móc wykupić msze za moją duszę.

Erlbach leżał wprawdzie niedaleko od Dettelbachu, był jednak z każdej strony otoczony ziemiami podlegającymi Würzburgowi. Dlatego Michał najchętniej odrzuciłby tę transakcję. Ale tym samym rozgniewałby rycerza Hansa i ten mógłby w złości oddać pod zastaw lub w spadku Dettelbach komu innemu. Dlatego wyciągnął rękę do chorego.

— Niech tak będzie, rycerzu Hansie! Niech Bóg da wam za te msze wiele lat życia w zdrowiu. Chciałbym jeszcze niejeden kufel z wami wychylić.

Hans von Dettelbach podał wąż rękę Michałowi dla przybicia transakcji. Zaraz jednak znowu opadł na poduszki, które służąca pieczołowicie umieściła mu za plecami.

— Niech mój spowiednik sporządzi umowę i przyniesie mi do podpisania — rzekł, a jego głos zabrzmiał tak słabowicie, jakby podpisanie i opieczetowanie dokumentu było ponad jego siły.

Michał chciał z nim jeszcze pertraktować na temat kwoty, ale otrzymał odpowiedź, że tym też zajmie się duchowny.

— Jestem na to zbyt zmęczony — oświadczył Dettelbach i dał do zrozumienia, że chce zostać sam.

— W takim razie zostańcie z Bogiem.

Michał skłonił przed rycerzem głowę i opuścił komnatę. Znalazłszy się na korytarzu, zatrzymał jednego ze służących i zapytał, gdzie może znaleźć kapłana.

— Poszedł na plac budowy, tam gdzie ma powstać nowy kościół parafialny, żeby zobaczyć, jak idzie praca.

Michał podziękował za informację, dał służącemu monetę i ruszył pospiesznie szukać duchownego.

Gdy wyszedł na dziedziniec, stanął na krótką chwilę, by nasycić płuca świeżym powietrzem. W ponurych murach starego i zaniedbanego zamku miał uczucie, że się dusi. Gdy wąskimi uliczkami miasteczka szedł w kierunku nowego kościoła, stwierdził, że najważniejsze sprawy, jakie chciał omówić z Dettelbachem, nawet nie zostały poruszone. Przyszło mu do głowy, że rycerz swoją chorobę wykorzystuje jako pretekst, by wszystko, co mu nie odpowiadało, trzymać z dala od siebie. Ale Michał nie miał zamiaru ważnych dla siebie interesów uzależniać od kaprysów chorego starca i postanowił umowę w sprawie Erlbachu spisać jeszcze tego samego dnia. Nawet jeśli Erlbach to nie Dettelbach, to dzięki temu zastawowi miał nadzieję, że wcześniej czy później wejdzie w posiadanie również tego grodu.

5.

W tym samym czasie gdy Michał szedł schodami zamkowymi w dół na dziedziniec, do komnaty Dettelbacha wkroczył mężczyzna odziany w ornat papieskiego prałata.

Był wysoki i dobrze zbudowany, w zbroi rycerza robiłby przerażające wrażenie. Uśmiechał się łagodnie i pojednawczo, ale jego wzrok przeszywał na wylot. W oczach duchownego można było dojrzeć niewypowiedzianą groźbę.

Podniósł rękę, upominając Hansa, i rzekł: — Mam nadzieję, że nie popełniłeś żadnego głupstwa, mój synu. Pamiętaj, chodzi o twoją nieśmiertelną duszę!

Dettelbach wstał, drżąc na całym ciele, i klęknął przed prałatem. Gdy chciał ucałować rękę duchownego, ten cofnął ramię tak szybko, że starcowi udało się dotknąć wargami tylko skraju rękawa, — Zadałem ci pytanie!

Cyprian Pratzendorfer nie zwracał uwagi na złe zdrowie rycerza. Hans von Dettelbach podniósł głowę i spojrzał zatrwożony na stojącego przed nim srogiego prałata.

— Zrobiłem wszystko tak, jak mi radziliście, wielbny ojcze. Dałem Kibitzsteinowi nadzieję. On jest dobrym sąsiadem i niechętnie go zwodzę, ale...

— Gdy chodzi o duszę, nie powinienes stawiać przyjaźni nad interesami Kościoła Świętego! — grzmiał prałat.

— Pan Michał na pewno wykupiłby wiele mszy świętych za moją duszę — rzekł Dettelbach płacziwym tonem.

— Jeśli dotrzymasz słowa i przekazesz swój majątek Kościołowi, to Jego Ekscelencja biskup z Würzburga osobiście odprawi za ciebie mszę, a msza odprawiona przez biskupa więcej znaczy niż przez zwykłego księdza. Sam poproszę Jego Świątobliwość w Rzymie, żeby polecił cię niebiosom i aniołom świętym jako prawdziwego chrześcijanina, godnego zasiąść u boku Pana. Ale jeśli się sprzeciwisz i przekazesz majątek Michałowi Adlerowi, który jako wróg biskupa jest też wrogiem naszego Kościoła Świętego, to trafisz prosto do piekła. Tam Lucyfer z tysiącem diabłów będzie cię przypiekał ogniem. A gdy zabrzmia dzwony wzywające na Sąd Ostateczny, Lucyfer skuje cię rozgrzany do czerwoności łańcuchami i uwięzi w najgłębszych i najsmrodliwszych czeluściach piekła.

Będziesz tam cierpiał, jak żaden człowiek nigdy jeszcze nie cierpiał.

— Uczynię wszystko, czego ode mnie żądacie, wielbny ojcze — zapewnił chory, który zmarł od zimnej podłogi i tęsknił za spokojem.

Pratzendorfer, roztaczając przerażliwe wizje, zmusił w końcu Hansa von Dettelbacha, by ten usiadł przy stole i podpisał dokument, na mocy którego prawo do całego majątku przenosi na kapitułę katedralną w Würzburgu, pozostawiając sobie tylko prawo użytkowania do momentu śmierci.

Prałat własnoręcznie nakapał wosk na dokument i pomógł rycerzowi odcisnąć pieczęć.

— Ten dokument otwiera ci bramy niebios. Gdy się kiedyś spotkamy w innym życiu, jeszcze mi podziękujesz.

.. a biskup podziękuje mi — dokończył w myślach. Gdyby gród Dettelbach trafił w rękę przeciwnika biskupstwa, nie wiadomo, jakie by były tego skutki. Sam rycerz Kibitzstein nie jest na tyle ważny, by stworzyć zagrożenie, ale mógłby zechcieć sprzedać Dettelbach Albrechtowi Achillesowi von Brandenburgowi— Ansbachowi, albo oddać mu w zastaw. Teraz niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Rycerz Dettelbach z wyczerpania zsunął się krzesła i klęczał teraz z pobladłą twarzą przed Pratzendorferem, przytrzymując się przy tym dyskretnie poręczy łóżka. Prałat rzekł do niego: — Spełniłeś swój

obowiązek. Połóż się teraz.

Hans von Dettelbach, sapiąc z wysiłku, podciągnął się, by móc spocząć w łóżku, i opadł na prześcieradło. Pratzendorfer nawet nie drgnął, by mu pomóc. Czekał bez ruchu, aż chory zwróci się do niego twarzą, nakreślił w powietrzu znak krzyża i opuścił pomieszczenie, żegnając starca pobożnym słowem.

Chory wpatrywał się jeszcze przez chwilę w drzwi, które zamknęły się za prałatem.

Zastanawiał się, czy dobrze uczynił. Chwilę później zapadł w błogą drzemkę. Śniło mu się, że zmarł, a nabożeństwo pogrzebowe odprawił biskup z Würzburga. Gdy msza się skończyła, święty Kilian i święta Barbara zstąpili z nieba po jego duszę i zabrali ją do raju.

W tym czasie Michał siedział w częściowo urządzonej zakrystii przysłego kościoła pod wezwaniem Świętego Augustyna. Naprzeciwko niego zasiadał spowiednik Dettelbacha. Negocjowali umowę zastawną. Michał nie miał pojęcia, że umowa ta nie jest więcej warta niż papier, na którym miała zostać spisana.

Cyprian Pratzendorfer opuścił Dettelbach jeszcze tego samego dnia i wrócił do Würzburga. W bagażu wiozł kontrakt, który czynił Gotfryda Schenka nowym panem Dettelbachu. Zadowolony prałat stwierdził, że osiągnął coś, czego dotychczas nie udawało się osiągnąć emisariuszom księcia biskupa. Hans Dettelbach był wobec nich stanowczy, ale autorytet papieża, na którego powoływał się Pratzendorfer, sprawił, że rycerz uległ.

Umowa, na mocy której Dettelbach przechodził na własność Würzburga, nie była jedyną, ale chyba najwięcej znaczącą przysługą, jaką prałat wyświadczył Gotfrydowi Schenkowi. Pratzendorfer spodziewał się, że dzięki niej w przyszłości będzie miał u księcia biskupa szczególne względy. A to z kolei pomoże mu zrealizować własne plany, które nie zostały usnute w dalekim Rzymie, lecz na małym austriackim zameczku.

6.

Kara von Monheim serdecznie nie znosiła Kibitzsteina i jego rodziny, ale miała na tyle rozsądku, żeby nie wszczynać niepotrzebnie waśni. Ponieważ nie udało jej się pokazać kasztelanowi, gdzie jego miejsce, postanowiła grać na zwłokę. Nacisk księcia biskupa z Würzburga na drobnych kasztelanów w tej części Frankonii przyniesie jej korzyści. Ponieważ nie mogła na Kibitzsteinie wyładować złości za doznaną porażkę, zemściła się na swojej poprzedniczce.

Nieboszczka nie została poniesiona do grobu tak uroczyście, jak sobie tego zażyczyła w ostatniej woli. Nie dostała też zdobnego sarkofagu z wykutym w kamieniu wizerunkiem, jak to szczegółowo opisała w swoim testamencie. Zamiast tego odbyła się tylko skromna ceremonia, a zwłoki zostały złożone do ziemi w odległym kącie cmentarza. Żadna ważna osoba nie odprowadzała przeoryszy do miejsca wiecznego spoczynku, nie było też żadnej stypy.

Niektóre siostry zakonne były niezadowolone z tego powodu i mruczały pod nosem.

Klara von Monheim nie zwracała jednak na ich protesty najmniejszej uwagi. Miała pretensje do zmarłej, że ta oddała Kibitzsteinowi pod zastaw więcej niż jedną czwartą klasztornej ziemi, a uzyskane pieniądze przekazała rodzinie. Tym samym zaszkodziła klasztorowi i straciła prawo do bycia szanowaną.

Najchętniej Klara von Monheim ukarałaby również młodego Henneberga i odesłała go w niesławie do domu. Rozgniewałoby to jednak Magnusa von Henneberga, który w Würzburgu cieszył się dużym poważaniem. Musiała więc spróbować wyciągnąć dla siebie korzyści ze zranienia wójta. Ponieważ jego rana na pewno wzbudzi litość kasztelanów, należała, by udał się z nią do Fuchsheimu. Otto von Henneberg nie miał na to najmniejszej ochoty, bo przeczuwał, że stanie się obiektem nie tyle współczucia, co raczej drwin. Klara von Monheim w gruncie rzeczy również tak uważała, jednak chciała pokazać ludziom, że to jej wójt odniósł obrażenia podczas incydentu, a nie panna z Kibitzsteinu. Najchętniej w obliczu wszystkich gości kazałaby zbadać Trudi, czy jej niewinność nie została naruszona, żeby pokazać, że nic się nie stało i wszystkie oskarżenia Kibitzsteinów są przesadzone.

Na szczęście Trudi nic nie wiedziała o przemyśleniach przeoryszy, bo nie zrobiłaby w kierunku Fuchsheimu ani kroku. Miała dość zmartwień. Wprawdzie Aliką uszyła jej suknię na czas, a kłótnia z Lisą powoli odchodziła w niepamięć, ale ciężarem na sercu była rada Murzynki, by zwierzyć się ojcu. To samo radziła jej też chrestna, koźlarka Hiltrud. Obie niewiasty znały Marię i Michała i wiedziały, że ojciec Trudi przyjmie wiadomość w łagodniejszy sposób. Uważały, że to on ostrożnie powiadomi o wszystkim Marię i ją uspokoi, by nie zareagowała zbyt gwałtownie.

Trudi długo się wahała, czy ma wyznać ojcu prawdę o utracie dziewictwa. Gdyby Gressingen przybył starać się o jej rękę, utrata wianka nie miałaby znaczenia. Od rozmowy z Aliką panna z każdym dniem traciła małą część zaufania do junkra Georga. Dlatego w końcu uchwyciła się nadziei, że ojciec przekona jej ukochanego, iż nadal jest serdecznie widzianym gościem na zamku Kibitzstein, choć utracił swój majątek.

Ponieważ ojciec szykował się do wojny sąsiedzkiej, nie było łatwo spotkać go samego. Najczęściej towarzyszył mu Karel lub jego zastępca Gereon, a jeśli ci dwaj zajęci byli swoimi obowiązkami, to wtedy matka, Anni lub ktoś inny pytał go o zdanie na taki czy inny temat. Ponieważ Trudi nie chciała zwracać na siebie niczyjej uwagi, nie śmiała prosić go w czyjejś obecności o rozmowę w cztery oczy. Dopiero ostatniego wieczoru przed wyprawą do Fuchsheimu znalazła okazję, na którą tak długo czekała. Matka z Lisą poszły do koźlarki Hiltrud, Karel i Gereon znajdowali się na dziedzińcu i wybierali spośród parobków tych, którzy mieli towarzyszyć Adlerom w drodze do Fuchsheimu, natomiast głos Anni dobiegał z kuchni.

Michał siedział sam w sali, która nagle wydała mu się o wiele za duża i przytłaczająca. W ręce trzymał pusty puchar. Gdy chciał wezwać służącego, pojawiła się przed nim Trudi.

— Czy mogę nalać ci wina, ojcze? — zapytała go cienkim głosem.

— Dzban jest pusty. Chciałem właśnie przywołać Kunca, żeby przyniósł nowy — odpowiedział Michał. W jego głosie słychać było tak wielkie zmęczenie, że Trudi niemal zrezygnowała z rozmowy.

— Ja przyniosę ci wina — powiedziała, żeby zyskać na czasie. Nim ojciec zdążył cokolwiek odpowiedzieć, chwyciła dzban i wybiegła. W piwnicy na pełniła naczynie najlepszym gatunkiem, jaki rodzice kiedykolwiek wyprodukowali.

Była przy tym tak zdenerwowana, że nie uważała należycie i za późno zakręciła kurek. Odrobina wina przelała się przez brzegi naczynia i utworzyła na podłodze kałużę.

Trudi przez chwilę się wahała, czy by nie wziąć szmatki i nie

wytrzeć kałuży.

Jednak była tak podekscytowana czekającą ją rozmową, że szybko opuściła piwnicę. Niech piwniczny się głowi, kto czerpał wino z beczki na specjalne okazje.

Gdy Trudi wróciła do sali, Michał siedział ciągle w tym samym miejscu zatopiony w myślach które, sądząc po wyrazie jego twarzy, nie były przyjemne. Panna zawahała się, ale była to jedyna okazja, aby wyznać ojcu, co się stało, zanim wyruszy w drogę do Fuchsheimu.

— Proszę, ojcze, tu jest wino z twojej specjalnej beczki. Nie wolałbyś napić się go w wykuszu? Tu w sali jest tak nieprzytulnie.

Michał usłyszał dziwny ton w głosie Trudi. W ten sposób mówiła, będąc małą dziewczynką, gdy na przykład w ataku złości zniszczyła siostrzaną zabawkę lub coś innego. W takich wypadkach zawsze do niego przychodziła w nadziei, że obroni ją przed matką. Ostatnimi czasy bardziej potrafiła trzymać swoje emocje na wodzy, ale tym razem zdało mu się, że znowu zrobiła coś nierozsądnego.

Michał wstał, wziął z jej rąk ciężki dzban i zmusił się do uśmiechu.

— Przyniosłaś dość wina, by niejednemu mężczyźnie zakręciło się w głowie. Chyba nie chcesz mnie upić? — Nie udało mu się sprowokować Trudi do uśmiechu. Był to zły znak. To co zrobiła jego córka, musiało jej leżeć na sercu. — Chodźmy. W wykuszu możemy swobodnie porozmawiać.

— Dziękuję, ojcze.

Trudi szła za nim ze zwieszoną głową. Gdy znaleźli się w pokoiku, Michał usiadł i nalał sobie wina, natomiast ona pozostała przy drzwiach. Gdy rycerz spojrzał na nią, przestraszył się, widząc jej bladą twarz i drżące usta. Pokazał jej rękę, by usiadła przy nim na ławie i podał jej puchar.

— Może wypijesz łyczek. Wyglądasz, jakbyś pilnie potrzebowała wzmocnienia.

Trudi wzięła z jego rąk naczynie, natychmiast jednak przypomniała sobie, jak Georg von Gressingen namawiał ją do picia, a potem wykorzystał, więc z cichym westchnieniem odstawiła puchar. Wstała, zdecydowanym ruchem ręki zamknęła drzwi i zasunęła zasuwę.

Zaniepokojenie Michała rosło, a gdy Trudi w zakłopotaniu zaczęła wykręcać palce, by znaleźć właściwe słowa, poprosił, by wreszcie powiedziała, co leży jej na sercu.

— Ojcze, czy pamiętasz naszą ostatnią wizytę w Fuchsheimie? — wykrztusiła z siebie.

Michał skinął głową i rzekł z rozgoryczeniem: — Aż za dobrze! Rycerz Ludolf zaprosił nas, byśmy zajęli wspólne stanowisko wobec polityki Würzburga. Nic z tego nie wyszło. Jedyne zacny opat Pankracjusz von Schöbach stanął po mojej stronie, ale nie dziwota, bo w tym czasie był już otwarcie nękanym przez biskupa Schenka i szukał pomocy. Maksymilian Albach chciał nas jednak wszystkich nakłonić do tego, byśmy się podporządkowali Würzburgowi, a Gressingen, po którym się spodziewałem wsparcia, opuścił naradę jak nieodpowiedzialny gołowąs.

Może to nie był dobry pomysł, przypominać ojcu o jego niepowodzeniu, przeszło Trudi przez myśl. Jednocześnie wszystko w niej krzyczało, żeby bronić Gressingena. Choć w głębi duszy była zalękniona, stanęła na pozór odważnie przed ojcem i spojrzała mu prosto w oczy, mówiąc: — Pan von Gressingen nie brał udziału w naradzie, bo towarzyszył mi wówczas podczas spaceru. Poszliśmy do lasu i... — Zająknęła się, zaczerpnęła powietrza i tak szybko wyartykułowała następne słowa, jakby

się bała, że inaczej nie zdoła ich wymówić. — ...i wtedy doszło między nami do czegoś.

Michał zrazu nie pojął jej słów, dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, jaką wymowę ma to wyznanie. Wpatrywał się w córkę, która stała przed nim jak personifikacja nieczystego sumienia. Wyglądała na gotową przyjąć każdą karę. Jej skruszona postawa spowodowała, że nie wybuchł gwałtownym gniewem, ani jej nie wychłostał. Opanował wzburzenie i spróbował uporządkować myśli.

— Opowiedz dokładnie, co się stało! — poprosił w nadziei, że córka ze względu na brak doświadczenia robi z igły widły.

Trudi bardzo trudno było mówić dalej.

— Zrobiliśmy to, co robią ze sobą mąż i żona.

— A więc straciłaś w lesie pod Fuchsheimem swoją niewinność!

Michał nawet nie próbował kryć rozczarowania.

— Pan Georg obiecał, że mnie poślubi — broniła Trudi siebie a zarazem swego ukochanego.

— Od tego powinien być zacząć! Zachował się wobec ciebie jak szubrawiec.

Z oczu Trudi trysnęły łzy.

— Junkier Georg nie jest szubrawcem. Na pewno by poprosił o moją rękę, gdyby ten okropny biskup nie zabrał mu majątku.

Michał przypomniał sobie, że Maria nie miała dobrego zdania na temat charakteru Gressingena. Niestety okazało się, że miała rację. Najchętniej natychmiast by wskoczył na konia, żeby szukać drania i własnoręcznie dać mu nauczkę za jego podły uczynek. Ale wiedział, że w ten sposób wywołałby skandal, którego jedyną poszkodowaną byłaby jego własna córka.

— Tak łatwo Gressingen mi się nie wywinie. Jutro w Fuchsheimie porozmawiam z nim i zmuszę go, by cię poślubił, nawet jeśli musiałbym zagonić go przed ołtarz kopniakami. Nie wolno mu uwodzić mojej córki, jakby była rozpustną chłopską dziewczką, a potem dawać drapaka.

Chociaż porównanie z rozpustną dziewczką zabolowało Trudi, uradowała się, że ojciec mimo wszystko dawał przyzwolenie na jej ślub z Gressingenem. Chwyciła jego prawą dłoń i przycisnęła do niej wargi.

— Dziękuję ci, ojczu.

Michał gwałtownie wyrwał rękę.

— To nie prezent, lecz konieczność. Nie będę cię wydawał za Gressingena z radością. Ale nie pozostawiłaś mi innego wyboru. A teraz idź! Matka na pewno zadała ci pracę, która musi być zrobiona. Radzę ci, byś w przyszłości lepiej słuchała matki i nie drażniła jej swą krnąbrnością. A może wolałabyś, żeby cię umieściła w klasztorze, zamiast dać przyzwolenie na ślub z Gressingenem? Ja się jej nie będę sprzeciwiał.

Trudi nigdy jeszcze nie została tak surowo i odpychająco potraktowana przez ojca.

Po raz pierwszy w życiu cieszyła się, że go opuszcza.

Gdy szła korytarzami zamku i poganiała służące z zapalem, który ją samą dziwił, Michał siedział w wykuszu, a do oczu cisnęły mu się łzy. Razem z żoną uczynił wszystko, by wychować Trudi na przyzwoitą panienkę, a teraz odczuwa cielesny wprost ból, dowiadując się, że taki niegodziwiec pozbawił ją niewinności.

Zastanawiał się, czy ma opowiedzieć o wszystkim Marii, ale odruchowo potrząsnął tylko głową. Jego żona byłaby gotowa wybatożyć

córkę i zostawić ją w domu. A przecież w tych okolicznościach Trudi koniecznie musiała jechać do Fuchsheimu.

Michał czuł się upokorzony, że będzie musiał wypychać Gressingenowi córkę jak kwaśne wino. Ale potem pomyślał, że Trudi przecież jest wyjątkowo urodziwa, a poza tym wniesie w małżeństwo okazały posag. Gressingen powinien być więc zadowolony.

Ale co będzie, jeśli junkier Georg się nie zgodzi? Na tę myśl Adler chwycił za rękojeść miecza, który od czasu zajścia w winnicy nosił zawsze u lewego boku.

Mimo wieku czuł się jeszcze dość sprawny, by temu szubrawcowi porachować kości. Gressingen ożeni się z Trudi, nieważne, czy zrobi to dobrowolnie czy zmuszony do tego siłą.

Michał doszedł do wniosku, że zawartość dużego dzbana przyniesionego przez Trudi dobrze mu zrobi na skołatane nerwy i szybko wychylił kilka pucharów. Pijąc wino, uświadomił sobie, jak zawsze faworyzował Trudi w stosunku do jej sióstr, a nawet w stosunku do swego jedyne go syna Falka. Gdyby w porę zaczął traktować Trudi tak, jak na to zasługiwała, nie siedziałby tu teraz, gryząc się nią.

Rozczarowanie co do córki znowu wycisnęło mu z oczu łzy. Starł je wierzchem dłoni i spróbował zaplanować w myślach dalsze postępowanie. Chociaż wrzało w nim pragnienie, żeby zabić Gressingena jak wściekłego psa, a córkę umieścić w najbliższym klasztorze, to przede wszystkim musiał mieć na uwadze, jakie niebezpieczeństwo wisi nad Kibitzsteinem. Z tego powodu zastanawiał się, których spośród swoich sąsiadów mógłby pozyskać jako sprzymierzeńców przeciwko klasztorowi Hilgertshausen i księciu biskupowi z Würzburga.

7.

Następnego ranka z Kibitzsteinu wyruszył w drogę orszak. Lisa i Hildegarda cieszyły się na wielką uroczystość i paplały wesoło. Obie miały świadomość, że mimo dwunastu i czternastu lat w oczach wielu ludzi uchodziły za panny na wydaniu i wyobrażały sobie, jakich to szlachetnych panów spotkają, którzy potem będą przyjeżdżać do Kibitzsteinu, by starać się o ich względy.

Maria była zadowolona, że bóle w kolanie na tyle ustąpiły, iż mogła poić różować w lektyce. Nie radowała się tak bardzo perspektywą dobrej zabawy, jak okazją do rozmów, które przy odrobinie szczęścia będą mogły zwiększyć wpływy Kibitzsteinu w tej części Frankonii. Dlatego też rozgniewała się na Michała, który poprzedniego wieczoru wypił za dużo wina i teraz zwisał z konia bezwładnie jak worek. Martwiła się też o Trudi, która w jednej chwili była bliska łez, by za chwilę promieniować nadmierną radością, nie mogąc się prawdopodobnie doczekać chwili, w której ujrzy Fuchsheim.

Adlerowie nie byli jedynymi, którzy chcieli wziąć udział w uroczystości weselnej.

Szybko natknęli się na inne grupy jeźdźców, które zmierzały w tym samym kierunku. Wielu panów stojących na czele swych orszaków było poddany mi biskupa wüzburgskiego, sprawującymi w jego zamkach urzędy kasztelanów i wójtów. Mimo tego, że między ich panem a Adlerem istniały napięcia, pozdrawiali Michała i Marię uprzejmie, jak to było w zwyczaju między dalszymi sąsiadami.

Michał doszedł nieco do siebie i nie wyglądał już, jakby za chwilę

miał zwymiotować. Odpowiadał na pozdrowienia mocnym głosem, ale w duchu cieszył się, że towarzyszy mu Gereon z tuzinem uzbrojonych parobków. Świeżo wykute pancerze i miecze budziły respekt u innych panów i ich orszaków, dlatego ludzie, których spotykali, powstrzymywali się od wszelkich uwag i docinków.

Wiść o nieudanym napadzie Ottona von Henneberga na dziewczki służebne z Kibitzsteinu obiegała już całą okolicę, więc niejedna osoba z ciekawością przyglądała się Trudi jako pannie, która pocięła twarz junkrowi. Ci, którzy byli blisko związani z hrabiowskim domem Hennebergów, okazywali Michałowi i jego ludziom wyraźną antypatię. W końcu przed orszak z Kibitzsteinu wpełchała się grupa, na czele której jechali konno pan i pani w szykownym odzieniu.

— Kim jest ta nieuprzejma para? — zapytała Trudi, którą zmroziło nieprzychylne spojrzenie arystokratki.

Ponieważ Hennebergowie pochodzili z północnej części ziem należących do kapituły katedralnej i Michał rzadko ich spotykał, musiał rzucić okiem na herb, żeby stwierdzić, że mają do czynienia z hrabią Magnusem von Hennebergiem i jego żoną Elżbietą.

— To brat młodzieniaszka, którego naznaczyłaś jego własnym ostrzem, wraz z małżonką — wyjaśnił córce.

Trudi zadarła głowę, wyprostowała plecy i spojrzała śmiało na hrabinę, gdy ta znów zerknęła w jej stronę. Ich wzrok spotkał się na chwilę. W końcu Elżbieta odwróciła głowę i poprosiła małżonka o przyspieszenie. Ale nie było to łatwe do wykonania, bo przed nimi jechała wcześniejsza grupa podróżnych, a ta nie miała zamiaru ustępować miejsca. Padło po kilka ostrych słów z każdej strony i na moment zapomniano o Kibitzsteinach. Hrabiemu Magnusowi i jego towarzyszącom nie pozostało w końcu nic innego, jak ściągnąć cugle i dostosować tempo do tempa kolumny podążającej w kierunku Fuchsheimu.

Maria i Michał stwierdzili ze zdumieniem, że ślubowi Bony nadawano większe znaczenie, niż na to zasługiwał. Każdy, kto w tej części Frankonii coś znaczył, wybrał się w drogę lub wysłał wysokiego rangą zastępcę.

Jak wielu ludzi przybyło do Fuchsheimu, pojęli dopiero, gdy późnym wieczorem dotarli na miejsce. Dziedziniec zamkowy nie mógł zmieścić wszystkich przybyszów, nie mówiąc o ich koniach. Stajnie były przepelnione, a wymęczeni stajenni wyprowadzali dodatkowe konie na teren folwarku pod zamkiem. Na błoni poza murami zamku rycerz Ludolf kazał przygotować prowizoryczne miejsce na turniej, aby zapewnić swoim gościom rozrywkę. Teraz wznoszono tam pospiesznie namioty dla parobków i zbrojnych knechtów towarzyszących swoim panom.

Gospodarz robił wrażenie rozkojarzonego i sądząc po wyrazie jego twarzy, z pewnością chciałby się znaleźć w tej chwili na drugim końcu świata. Na widok Michała jego twarz się rozjaśniła.

— Bogu niech będą dzięki, że wreszcie przyjechaliście. Musicie mi pomóc! Moje spiżarnie nie są wystarczająco zaopatrzone, nie dam rady nakarmić tylu ludzi. A już kupiłem u tych pijawek— handlarzy w Volkachu, Gerolzhofen i Schweinfurcie to i owo na kredyt i teraz już więcej nie chcą mi niczego dostarczyć. Proszę was, dajcie tym szubrawcom za mnie poręczenie, żeby przysłali mi szybko jeszcze kilka furmanek, i każcie przywieźć z waszych piwnic i spichrzów, co tylko się da. Jeśli mi nie pomożecie, to stracę twarz wobec tych wszystkich ludzi.

Michał z Marią wymienili spojrzenia. Obojgu nie było w smak wydawać pieniądze ze względu na koszty, jakie musieli ponieść w ciągu ostatnich tygodni. Ale jeśli chcieli, by Fuchsheim pozostał ich koalicjantem, nie mogli wystawić go do wiatru.

— Zrobię, co tylko mogę, sąsiedzie. Gereonie, ty się o to zatroszczysz. Dam ci moje pełnomocnictwo dla kupców w Schweinfurcie.

— W Gerolzhofen i Prichsenstadt też — dodał błagalnym tonem Fuchsheim.

To zirytowało Michała w dwójnasób, bo będzie musiał teraz wydawać pieniądze w miejscowościach należących do biskupa würzburskiego. Sam jednak zdawał sobie sprawę, że ściągnięcie wystarczającej ilości produktów ze Schweinfurtu zbyt długo by trwało.

— Pełnomocnictwo będzie dotyczyć też innych miejscowości — uspokoił gospodarza.

Ludolf von Fuchsheim objął go pełen wdzięczności i pospieszył dalej, by witać weselników. Również i Michała niebawem wzięto na spytki, bo wielu chciało wiedzieć, co naprawdę się stało w winnicy klasztoru Hilgertshausen.

Hrabia Magnus i jego ludzie, którzy tuż przed Kibitzsteinami dotarli na dziedziniec zamkowy, zostali tak ściśnięci, że nie mogli zejść z koni. Gdy jeden z hrabiowskich parobków dostał polecenie, by pomóc pani Elżbiecie zsiąść z konia, spróbował odsunąć pewnego starszego rycerza.

Szlachcic odwrócił się i wymierzył mu siarczasty policzek.

— Nie waż się mnie dotykać, szubrawcze!

Hrabia Magnus dostrzegł spojrzenie, jakim zmierzył go rycerz i kilku innych gości, którzy obawiali się Würzburga lub nawet znajdowali się z nim w konflikcie. Zdawał sobie sprawę, że nie przez wszystkich był tu mile widziany. Ponieważ jednak przybył na uroczystość, by porozmawiać z obecnymi kasztelanami i pozyskać ich dla księcia biskupa, stłumił w sobie złość na prowokacyjną postawę rycerza.

Z drugiej strony nie chciał wyjść w oczach żony na tchórza. Dlatego chwycił za miecz, żeby bezczelnemu prowokatorowi dać do zrozumienia, że nie może traktować sługi Henneberga jak jakiegoś włóczęgi. W tym momencie na jego ramieniu spoczęła czyjaś ręka, jakby chciała go powstrzymać.

Odwrócił się i zobaczył rosłego, barczystego mężczyznę w ornacie wysokiego dostojnika kościelnego z Rzymu. Opalona na brązowo twarz prałata i zimne spojrzenie pasowałyby raczej do wojownika, ale głos zabrzmiał miękko i pochlebnie — Szczęść Boże, moi drodzy. Bądźcie tak mili i przesuniecie się nieco, żeby ta czcigodna dama mogła zsiąść z konia.

Rycerz, który jeszcze przed chwilą stał na szeroko rozstawionych nogach i blokował miejsce, gdzie mogłaby zsiąść pani Elżbieta, skinął potulnie głową i przestraszony cofnął się między swoich przyjaciół. Cyprian Pratzendorfer podszedł i pomógł Elżbiecie zsiąść z konia. Gdy stanęła na ziemi, skinął na jednego z parobków.

— Hej, chłopcze, zaprowadź dostojną panią do zamku i zadbaj, by mogła się odświeżyć po podróży. Wy... — tu prałat zwrócił się z żalem w głosie do Henneberga — wy będziecie się na razie musieli zadowolić łykiem kwaśnego wina i kawałkiem chleba. Pan Fuchsheim nie spodziewał się tylu gości.

Hrabia Magnus skinął głową, choć wewnątrz czuł rosnącą złość. Chętnie by natychmiast zawrócił, ale chciał spotkać brata i dowiedzieć się,

jak sobie radzi w Hilgertshausen. Chciał też porozmawiać z ludźmi, których zamierzał przeciągnąć na stronę biskupa. Stłumił więc w sobie niechęć i chwycił parobka za ramię, nim ten zdążył wykonać polecenie prałata.

— Wiesz może, czy wielebna matka przeorysza z Hilgertshausen już przybyła?

— Tak, oboje już tu są. Jeśli szukacie jej wójta, to trudno go nie rozpoznać.

Parobek, który nie wiedział, kto przed nim stoi, uczynił prawą ręką gest, który miał wskazywać na cięcie, jakie przebiegało w poprzek twarzy junkra Ottona.

— Prowadź mnie do niej i jej towarzysza — rozkazał hrabia Magnus.

— Ale musicie poczekać, aż zaprowadzę waszą żonę, gdzie trzeba.

Nie rozdwoję się przecież.

Hrabia podniósł rękę, żeby skarcić parobka za tę beczelną odpowiedź, gdy prałat ponownie zainterweniował.

— Poskromcie waszą gorącą krew, mój drogi. Ci ludzie czekają tylko, byście dali im powód do sięgnięcia po broń. Jednak kłótnia lub nawet starcie zbrojne w tym miejscu nie byłyby korzystne dla planów Jego Ekscelencji.

Cyprian Pratzendorfer mówił tak autorytarnie, że Magnus von Henneberg słuchał go jak urzeczony. Dlatego poniechał odwetu za swoją zranioną dumę i poszedł za duchownym, by przywitać się z kilkoma panami, którzy w imieniu księcia biskupa zarządzali w podległych Würzburgowi zamkach i miastach. Würzburgscy lennicy pozdrowili hrabiego Magnusa z radością. Obecność tak wysoko postawionego sprzymierzeńca dawała im poczucie bezpieczeństwa w otoczeniu, które coraz bardziej zdominowane było przez przeciwników biskupa.

8.

Trudi wraz z siostrami nie miała takich problemów jak Elżbieta von Henneberg.

Natychmiast zrobiono im miejsce i podbiegło kilku parobków, by pomóc zsiąść z koni.

Tłum ludzi i hałas tak onieśmieliły Lisę i Hildegardę, że obie panienki bojaźliwie przyłgnęły do matczynej lektyki. Michał musiał je odciągać, żeby Maria mogła wysiąść. Gdy kasztelanka znalazła się u jego boku, wodząc wzrokiem po gościach, którzy różnili się od zabieganych parobków szczególnie szykownym ubiorem, rzekł rozbawiony: — Zebrała się tutaj połowa Frankonii!

— Na mój gust zbyt dużo tu panów będących na usługach biskupa. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Gotfryd zu Limpurg osobiście się tu zjawił, żeby ugruntować swoje roszczenia — odparła Maria ze ściśniętym gardłem.

— Ja nawet bym chciał, żeby tu przybył. W takim otoczeniu znalazłaby się sposobność porozmawiania z nim twarzą w twarz. Kto go odwiedza w jego rezydencji, musi prosić o audiencję i zostaje zdegradowany do roli petenta — rzekł rozgoryczony Michał, zaraz jednak przywołał jednego z parobków i kazał zaprowadzić Marię i panienki do wieży mieszkalnej.

Przywołany sługa znał Kibitzsteinów z ich wcześniejszych wizyt i wiedział, że są miłymi gośćmi, którzy czasem odwdzięczą się jakąś monetą. Dlatego usłuchał polecenia Michała gorliwie, nie tak jak jego kompan, który bez ceregieli pozostawił Magnusa von Henneberga na placu. Maria i jej córki

zostały zaprowadzone do budynku mieszkalnego i dostały coś do picia.

Ponieważ Fuchsheim był wdowcem, powierzył zarządzanie domem jednej ze swych zamężnych siostr. Niewiasta również czuła się przytłoczona liczbą gości i poprosiła Marię o pomoc.

— Na Świętą Panienkę! — lamentowała. — Nie miałam pojęcia, że będzie tyle osób. Tego wesela długo się nie zapomni. Niech Matka Niebieska sprawi, żebyśmy się nie zbłąznili. Wiecie, że nawet margrabia Albrecht Achilles von Brandenburg-Ansbach zapowiedział swoje przybycie? Ja doprawdy nie wiem, jak należy przyjmować tak wielkiego pana.

Maria czuła się zobowiązana pomóc niewieście i udzielić jej kilku rad. Trzy Adlerówny stały w tym czasie w milczeniu, jednak wkrótce dołączyło do nich kilka młodych mężatek i panienek. Szybko rozwinęła się ożywiona dyskusja, jako że rozmawiały głównie o barwnie odzianych młodych panach.

— Jeśli ojciec nie znajdzie tu dla mnie żadnego narzeczonego, to zostanę starą panną — narzekła chuda dwunastolatka, która z błyskiem w oku spoglądała w kierunku pewnego młodzieńca niedawno pasowanego na rycerza.

Jedna z mężatek spojrzała na nią z zatroskaniem.

— Niech ci się lepiej tak nie spieszy. Miałam czternaście lat, gdy znalazłam się w małżeńskim łożu. Jak mąż przychodził, by robić ze mną pewne rzeczy, za każdym razem przeżywałam koszmar i męczarnie. Straciłam troje dzieci jedno po drugim i miałam już zostać odesłana do klasztoru, bo mąż chciał się ponownie ożenić, ale na szczęście udało mi się urodzić syna, którego tak bardzo pragnął mąż. Teraz traktuje mnie trochę lepiej.

Pewna dość urodziwa panna stwierdziła: — Ja nie miałabym nic przeciwko temu, by pójść do klasztoru. Tam na pewno bym się lepiej czuła niż jako żona mężczyzny, który może za mnie decydować, jakbym była jego inwentarzem.

Pozostałe nie zaaprobowwały tych słów, ponieważ większość panien pragnęła prowadzić swój dom i nie chciałyby się podporządkować surowym nakazom starych zakonnicek.

Lisa i Hildegarda słuchały rozmów z otwartymi ustami i czuły się dorosłe. Trudi natomiast szybko znudziła się paplaniną.

— Nie wiecie, kto z młodych panów jeszcze przybył? — przerwała potok słów młodej damy, która chciała opowiedzieć o własnych doświadczeniach w łożu małżeńskim.

— Nie, za dużo ich, by wszystkich spamiętać — odpowiedziała jej białogłowa rozdrażnionym tonem.

Inna wskazała ręką dziedziniec, mówiąc:

— Widziałam Steinsfelda i młodego Rotenhana z Eyrichshofu. Ach, jest tu również junkier Otto von Henneberg, ale jego już znasz, moja droga. Pełne wyrzutów spojrzenie spoczęło na Trudi. Chuda dwunastolatka również się oburzyła i zawołała: — Jak mogłaś tak zranić tego szlachetnego pana? Został naznaczony na całe życie.

Lisa rozgniewała się: — Gdyby moja siostra tego nie uczyniła, to ten niegodziwiec by ją zhańbił!

Pulchna piętnastolatka roześmiała się: — Ach, bzdura! Jako prawdziwy szlachcic pan Otto von Henneberg bez zwłoki poprosiłby o rękę twojej siostry. Zastanów się, jaki to dla niej byłby awans, wyjść za hrabiego!

Kilka dziewcząt zachichotało ironicznie. Trudi usłyszała, jak niektóre

po cichu wymieniały drwiące uwagi na temat pochodzenia Kibitzsteinów.

Wprawdzie nikt już nie odważył się nazwać jej matki nierządnicą, jak to wcześniej bywało, ale jednoznacznie sugerowano, że na herbie rycerza powinien znajdować się właściwie kufel piwa. Co poniektóre z niewiast i panien pochodziły z rodzin ściśle związanych z biskupem z Würzburga. Teraz dogryzały tak niewybrednie, że Trudi poczerwieniała na twarzy. Na końcu języka miała już ostrą ripostę, gdy zobaczyła nadchodzącą Bonę.

Jej przyjaciółka miała na sobie szeroką, niezbyt nową sukienkę. Na tle wystrojonych gości wyglądała jak pospolita kura w wolierze pełnej zdobnych bażantów. Trudi się zdziwiła, bo Bona zawsze przykładła dużą wagę do swego wyglądu. Była teraz też bardzo blada i chyba płakała, bo jej policzki były wilgotne.

— Cieszę się, że przyjechałaś, Trudi. Chodź ze mną, chciałabym z tobą porozmawiać.

Jej głos był tak smutny i wystraszony, że Trudi się przeraziła.

— Oczywiście, pójdę z tobą.

Jednocześnie pomyślała, że w przepelnionym zamku trudno będzie znaleźć miejsce, gdzie można by dyskretnie porozmawiać. Ludzie kręcili się w tę i z powrotem, wiele niewiast usiłowało złożyć Bonie gratulacje, albo chciało ją po prostu poznać.

Właśnie w kierunku Bony toczyła się tłusta matrona, machając zamasyżycie ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— Szybko, uciekajmy! To Elgarda von Rendisheim, krewna Mertelsbacha — wyjaśniła Bona, chwyciła Trudi za rękaw i pociągnęła za sobą przez boczne drzwi.

Niedługo potem znalazły się w zamkowej kuchni, gdzie zrozpaczona kucharka już dawno temu zaniechała starannego przygotowywania potraw. Miast tego wrzucała tylko na wyczucie do garnków i rondli składniki dostarczane jej przez służebne i chłopców kuchennych.

Gdy dojrzała obie panienki, rzekła do Bony, potrząsając głową: — Aleście nas, panienko, tym waszym ślubem urządzili. Tylu ludzi nie damy rady żywić przez trzy dni, żeby nie wiem co. Już po dwóch dniach nasze spiżarnie będą takie puste, że nawet myszy pozdychają w nich z głodu.

— A czy to moja wina? — Bona się rozplakała.

Kucharka chciała coś dodać, ale zawołała ją jedna z pomocnic.

Bona skorzystała z okazji i przeprowadziła Trudi przez przejście o sklepieniu w kształcie łuku, które prowadziło do kolejnych schodów, kręconych i dość wąskich.

Musiały przejść jeszcze obok kilku worków, ominąć parę beczek, aż wreszcie pozostawiły za sobą hałasy i niepokój panujący w zamku.

— Ta wieża była kiedyś częścią murów obronnych. Gdy mój dziadek kazał przebudować zamek, stała się bezużyteczna. Jako dzieci często bawiliśmy się tu w pokoiku na górze. Pamiętasz?

Trudi potaknęła.

— Tak, pamiętam! Ale nie byliśmy tu już chyba od dwóch lat.

— Od ponad trzech. Zakazano nam tu kiedykolwiek przychodzić po tym, jak Hardwin von Steinsfeld chciał nam pokazać swoją męskość i przyłapano nas na tym.

Bona mimo wielkiego napięcia zachichotała. Wówczas po raz pierwszy zrodziło się w niej pragnienie, by zrobić z Hardwinem coś więcej, a nie tylko przyglądać się, jak rozpina spodnie i wystawia na widok to, co w nich było ukryte. Kilka tygodni temu spełniło się jej pragnienie.

Myśl ta przypomniała Bonie skutki tego zdarzenia i panna znów spoważniała.

Poprowadziła Trudi po schodach na górę, wciągnęła do pokoju, w którym kiedyś sprawował wartę strażnik, i zamknęła drzwi. W pokoju od lat nie sprzątano.

Szmaciane lalki, którymi się niegdyś obie bawiły, były pogryzione przez myszy.

Między stołkami o trzech nogach rozciągały się zakurzone pajęczyny. Skrzynka, w której Bona chowała jako dziecko swoje skarby, wyglądała nędznie.

Mimo to Trudi podeszła do niej, podniosła wieko i wyciągnęła kilka skarbów.

Między nimi była srebrna moneta, którą wiele lat temu znalazła nad brzegiem Menu i dała w prezencie swojej przyjaciółce. Dziwnie się czuła, trzymając teraz metalowy krążek w dłoni. Głęboko odetchnęła i sięgnęła po następny przedmiot. Była to malutka szkatułka na biżuterię, która należała kiedyś do matki Bony.

W tym momencie Bona dotknęła dłonią przedramienia Trudi.

— Proszę, uważaj na to. W tym czymś znajdzie się coś, co uratuje mi życie.

— Życie? — Trudi się przestraszyła i spojrzała na Bonę, oczekując wyjaśnień.

Bona przytaknęła, a po policzkach pociekły jej łzy.

— Musisz przysięgnąć, że mnie nie zdradzisz. Zdziwienie Trudi rosło.

— Co się z tobą dzieje?

— Nie wolno ci nikomu powiedzieć, co się wtedy stało w lesie, rozumiesz? Mój narzeczony musi mieć wrażenie, że to on pozbawił mnie dziewictwa.

Od tego zależy moje życie. — Bona obciągnęła suknię na brzuchu. Można było rozpoznać tylko niewielką wypukłość, która wcale nie rzucała się w oczy, ale doświadczone kobiety szybko by rozpoznały, w jakim stanie znajduje się Bona. — Jestem w ciąży i za siedem miesięcy urodzę dziecko. Mam nadzieję, że będzie małe i słabowite, a najlepiej, jakby to była dziewczynka. Bo inaczej pan Moryc może nabrać wątpliwości, czy to jego dziecko. Umieram ze strachu na myśl, że mogłabym urodzić dużego, silnego syna. Rodzina Mertelsbacha mnie nienawidzi. Pani Elgarda już teraz podjudza dzieci z pierwszego małżeństwa przeciwko mnie.

Widać było, z jakim trudem przychodzi Bonie to wyznanie. Trudi uświadomiła sobie, że mógł ją spotkać taki sam los. Wtedy w lesie mogła zająć w ciążę z Georgiem von Gressingenem, a wolałaby chyba umrzeć, niż się przyznać do czegoś takiego matce.

Poczuła gorącą litość dla przyjaciółki.

— Na Boga, to straszne! Co chcesz teraz zrobić? Bona nerwowo załamywała ręce.

— Nikt nie może się dowiedzieć, że ja i junkier Hardwin robiliśmy coś zakazanego, rozumiesz?

Trudi przytaknęła i pożałowała, że powierzyła swą tajemnicę ojcu. Ale przypomniało jej się, że opowiedziała tylko o sobie i Georgu. Junkier będzie milczał dla własnego dobra. Odetchnęła więc z ulgą. Z jej i jego strony Bonie nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

— Co ze Steinsfeldem? Czy on będzie milczał? — zapytała.

— Ostatnio z nim rozmawiałam i na kolanach prosiłam, by miał na względzie moją reputację. Obiecał, że niczego nie powie.

— Ale co z tego? Jak uda ci się przekonać narzeczonego, że to on pozbawił cię dziewictwa?

— Uda mi się, jeśli mi pomożesz. Trudi, moje życie jest w twoich rękach. Jeśli Mertelsbach nabierze podejrzeń, to mnie zabije albo zamknie razem z dzieckiem w klasztorze. Będę miała opinię grzesznicy i prawdopodobnie nawet nie zostanę pochowana jak należy.

Bona rozpląkała się jeszcze bardziej. Łzy ciekły jej strumieniami po policzkach.

Trudi pogładziła ją po plecach.

— Oczywiście, że ci pomogę, ale musisz wyglądać na weselszą. Przecież to twój ślub. Masz prawo bać się nocy poślubnej, ale cieszysz się chyba, że wkrótce poprowadzisz własne gospodarstwo.

— Od śmierci matki i tak to robię. Więc nie potrzebuję z tego powodu przeprowadzać się do Mertelsbachu i kłaść się do łóżka ze starcem. — Na krótką chwilę w duszy Bony zapłonął bunt i sprzeciw, ale szybko się wypalił. — Będziesz musiała bardzo zrećcznie przystąpić do dzieła i nikt nie może cię zobaczyć, bo w przeciwnym razie Mertelsbach zabije mnie na miejscu. — Bona chwyciła dłonie Trudi i zbliżyła je do swoich policzków. — Ciągłe jeszcze jesteś moją najlepszą przyjaciółką i pozostaniesz nią do końca życia. Jeśli ci się uda uratować mnie i mój honor, zrewanżuję ci się tym samym, gdy ty będziesz tego potrzebowała.

9.

W orszaku opata von Schöbacha przybył do Fuchsheimu również dowódca żołnierzy najemnych Peter von Eichenloh, ponieważ przy okazji uroczystości chciał się rozejrzeć za zleceniodawcą, który by potrafił docenić jego usługi. Czcigodny opat wprawdzie użyczył jemu oraz jego ludziom dachu nad głową, ale karmił najprostszym jadłem i poił tylko kwaśnym winem.

Nadzieja rycerza Eichenloh, że opat zdecyduje się go nająć, niebawem zgasła.

Ponieważ Pankracjusz von Schöbach określił Michała Adlera jako swego najbliższego koalicjanta, junkier Peter pomyślał sobie, że być może Adler powiedział opatowi o zdarzeniu w gospodzie i dlatego opat go nie najął. Teraz musiał znaleźć innego kasztelana, który byłby skłócony z Würzburgiem i potrzebowałby najemników. Dla rycerza Eichenloh był to najwyższy czas, by uzupełnić stan kasy. Już teraz musiał wypłacać żołd żołnierzom z własnej kieszeni i długo tak nie pociągnie.

Również jego zdziwiła mnogość gości, ale w duchu zacierał ręce. W takich okolicznościach łatwo mu przyjdzie znaleźć kogoś, kto będzie potrzebował dwóch tuzinów dobrze wyposażonych i doświadczonych wojowników.

Gdy zatrzymał rumaka na dziedzińcu zamkowym, zagadnął jednego ze sług: — Wygląda na to, że na zamku zebrało się pół Frankonii.

— Jak widać, panie — odpowiedział parobek, nie zwolniwszy nawet kroku.

— A druga połowa zdaje się dopiero nadciągać — mruknął Eichenloh sam do siebie, gdy ujrzał kolejne orszaki podążające w kierunku zamku.

Ludolf von Fuchsheim osobiście przyjął opata Pankracjusza jako

swego dobrego przyjaciela i sojusznika. Powitał go z ulgą, ale i trochę zmęczony. Wskazał ręką na wieżę mieszkalną.

— Kazałem przygotować pomieszczenie dla was i innych duchownych. Będziecie musieli je jednak dzielić z kilkoma kanonikami z Würzburga i z prałatem z Rzymu.

— Prałat z Rzymu? Cieszę się, że go poznam.

Opat Pankracjusz sprawiał wrażenie, jakby chciał, by gospodarz od razu zaprowadził go do tego gościa.

Twarz rycerza Ludolfa zdradzała, że nie był zachwycony wizytą prałata.

— Chodzi o jego wielebność Cypriana Pratzendorfera. Zna się on podobno z panem Gotfrydem od czasów studiów i są w dobrej komitywie. Chyba to prawda, bo przybył tu w towarzystwie kilku kanoników z würzburskiej katedry. Nie obwiniajcie mnie proszę za to, bo ja tych ludzi nie zapraszałem.

— To niedobrze. Miałem nadzieję, że korzystając z okazji ślubu, będziemy mogli się nieco naradzić z naszymi przyjaciółmi. Ale teraz przy stole zasiądą würzburskie uszy i będziemy musieli trzymać języki na wodzy.

W głosie opata brzmiało rozczarowanie. Gospodarz ujął go pod ramię i odprowadził na bok.

— Mam nadzieję, że zostaniecie dłużej dzień czy dwa. Wtedy znajdziemy okazję, żeby w spokoju porozmawiać. Teraz spróbujmy się dowiedzieć, czego würzburgczycy tutaj szukają.

Do rozmowy wtrącił się bez pytania stojący nieopodal Eichenloh: — Mogę wam to od razu powiedzieć. Chcą pokazać, jacy są silni. I że bez problemu mogliby was zgnieść jak robaki.

Ludolf von Fuchsheim zmierzył wzrokiem nieznanego mu rycerza i zwrócił się do opata: — Jeszcze mi nie przedstawiliście tego szlachcica.

— To jest Peter von Eichenloh, doświadczony wojownik i siostrzeniec pana...

— Mój wuj nie odgrywa tu żadnej roli — Eichenloh przerwał opatowi i wykonawszy głową lekki ukłon, dodał: — Jestem dowódcą oddziału najemników i szukam teraz nowego zlecenia. Gdybyście byli tak dobrzy i powiedzieli mi, kto się tu zjawił, bardzo byście mi pomogli.

— Rozejrzyjcie się sami! Ja dawno straciłem rozeznanie i myślą mi się już nazwiska. — Ludolf von Fuchsheim nie miał ochoty służyć jakiemuś najemnikowi szczegółowymi objaśnieniami. Poprowadził opata do wieży.

Eichenloh pozostał na dziedzińcu i próbował ogarnąć wzrokiem całość. W przeciwieństwie do ojca Bony był przyzwyczajony do tłumów ludzi wokół siebie.

W porównaniu z niejednym polem bitwy nie miał tu większych problemów, by się zorientować, z kim ma do czynienia. Ponieważ wiele bywał w świecie, potrafił przyporządkować herby i chorągwie do poszczególnych rodów szlacheckich i cieszył się, że będzie mógł powitać starych znajomych.

Jego silna sylwetka przyciągała wiele spojrzeń. Zerkano ze zdumieniem na czerwony strój oraz herb z trzema złotymi listkami dębowymi i trzema żółździami.

Podczas gdy inni panowie odziani byli w aksamit, brokat i jedwab, jakby mieli gościć na dworze króla Fryderyka III w Grazu, Eichenloh ubrał się tak niedbale jak zawsze, gdy ruszał w podróż.

Panowie, którym wcześniej pomagał w prowadzeniu różnych wojen,

pozdrawiali go przyjaźnie, ale jednocześnie z estymą. Eichenloh był wprawdzie niedbały, jeśli chodzi o ubranie, ale za to sumiennie przestrzegał umów. Pewien szlachcic wymigiwał mu się od wypłacenia uzgodnionego żołdu w pełnej wysokości.

Eichenloh bez wahania opuścił go i wstąpił na służbę do jego przeciwnika. W najbliższej bitwie niesłowny szlachcic stracił zamek i część swych ziem.

Również kanonicy z Würzburga omijali najemnika szerokim łukiem. Wprawdzie niektórych korciło, by zwerbować doświadczonego dowódcę i jego oddział, jednak dopóki nie został z niego zdjęty grzech cielesnego obcowania z biskupią bratanicą, żaden z nich nie miał odwagi zagadnąć junkra.

Jeden z owych duchownych, który właśnie rozmawiał z Pratzendorferem, wskazał mu z westchnieniem Petera von Eichenloh.

— Gdybyśmy mieli tego człowieka w naszych szeregach, wielu z naszych oponentów poważnie by się zastanowiło, czy nadal chcą być w opozycji do czcigodnego biskupa.

— Dlaczegoż więc nie najmiecie go? — zapytał prałat szorstko, bo wolał swoje rozgrywki toczyć bez brzęku broni.

Kanonik chrząknął.

— Jest pewien problem. Pan Gotfryd nienawidzi tego człowieka.

— Jeśli tak jest, to ten człowiek z pewnością przyłączy się do wrogów Würzburga.

Wobec takiej ewentualności Pratzendorfer przyjrzał się dokładniej rycerzowi. Inni może daliby się zwieść niechlujnemu wyglądowi woja, lecz duchowny od razu pojął, co najemnik zamierzał osiągnąć, decydując się na taki ubiór. Chciał odróżnić się od wszystkich innych szlachciców odzianych w aksamity i jedwabie i wyglądać na twardego człowieka wojny, który nie przejmuje się opinią ludzi.

— Ten człowiek jest jak zmija — powiedział sam do siebie, a do rozmówcy rzekł uspokajająco: — Ja się nim zajmę, przyjacielu. Pan Gotfryd nie ma co się obawiać, że ten Eichenwald...

— Eichenloh — poprawił rozmówca.

— ... że ten Eichenloh stanie po stronie jego wrogów.

Prałat ruszył, przeciskając się przez tłum, w kierunku dowódcy najemników.

W tym czasie Eichenloh dostrzegł właśnie Magnusa von Henneberga i zaczął zmierzać w jego kierunku.

— Szczęść Boże, dostojny panie. Cieszę się, że was widzę. Powiedźcie mi proszę, czy hrabia Otto się tu również zjawi?

— Wielebna przeorysza Klara von Monheim przyjechała oczywiście razem ze swoim wójtem. Znajdziecie mojego brata w przydzielonej mu komnacie.

Głos Magnusa brzmiał odpychająco, a wzrok przewiercał najemnika na wylot, jakby był on tylko powietrzem. Magnusa ciągle gnębił wygląd Ottona. Zeszpecenie brata zszokowało go tak bardzo, że przez usta nie mogły mu przejść żadne ostre słowa, jakie się w nim nagromadziły.

Junkrowi Peterowi wydawało się, że Henneberg jest tego dnia wobec niego jeszcze bardziej niechętnie nastawiony niż podczas wizyty na zamku. Przypisał to jednak temu, że na skutek waśni z biskupem stoją po przeciwnych stronach barykady.

Odszedł więc od hrabiego, nie powiedziawszy ani słowa na

pożegnanie.

Zamaszystym krokiem udał się w kierunku wieży mieszkalnej i bez skrupułów odsuwał ludzi stojących mu na drodze.

— Hej, co to ma znaczyć? — zawołał jakiś mężczyzna, umilkł jednak, gdy Eichenloh zmierzył go wzrokiem.

— Przeklęty zabijaka! — burknął jakiś inny szlachcic, ale tak cicho, że mógł go usłyszeć tylko najbliższy sąsiad.

Junkier Peter nie przejmował się słowami kierowanymi pod jego adresem, lecz wspiął się po schodach i zatrzymał pierwszego parobka, który przeciął mu drogę.

— Gdzie zakwaterowano wielbłąd matkę Klarę z Hilgertshausen? Sługa spojrzął na wojownika, jakby w duchu zadawał sobie pytanie, czego oberwany szlachcic chce od przeoryszy.

— Ona mieszka razem z innymi zakonnicami tam z tyłu, w ostatniej komnacie. Ta komnata jako jedna z nielicznych jest zamykana na rygiel. Zakonnice domagały się takiej właśnie.

Sądząc po tonie jego głosu, nie darzył nabożnych sióstr szczególną sympatią.

Eichenloh poszedł za wskazówką, nie podziękowawszy parobkowi. Wkrótce znalazł właściwe drzwi. Były wykonane z ciężkich belek dębowych, potrzebny byłby taran, żeby je wyważyć. Bojaźliwe zachowanie zakonnicy rozbawiło go, więc kilkakrotnie szczególnie mocno uderzył pięścią w drzwi. Natychmiast rozległ się przestraszony szmer głosów, a chwilę potem ktoś ostrożnie uchylił drzwi.

Eichenloh spojrzął z góry na niezgrabną zakonnicę w średnim wieku o wroście karła, która wlepiła w niego krótkowzroczne oczy. Prawdopodobnie należała do owych nieszczęsnych istot z zamożnych rodzin, które ze względu na kalectwo były oddawane do klasztorów. Czyżby siostry tak bardzo się bały męskich gości, że na wszelki wypadek wysłały kalekę, by otworzyła drzwi? Zdusił ironiczny uśmiech i lekko się skłonił.

Zakonnica uznała, że ma do czynienia z ubogim rycerzem, który przyszedł, by u spokrewnionej zakonnicy zebrać o wsparcie. Ponieważ nowa przeorysza surowo zabroniła siostrom dawania wsparcia finansowego członkom rodziny, chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

Eichenloh szybko przeszedł przez próg, chwycił karlicę pod pachami i odstawił ją na bok jak worek żyta, nie zważając na jej protesty. Potem rozejrzał się po stojących wokoło sióstrach. Przeorysza pojawiła się w towarzystwie sześciu zakonnicy, których posłania składały się z niechlujnie wypchanych słomą worków. Jedynym mężczyzną w pomieszczeniu był Otto von Henneberg. Gdy Eichenloh do niego podszedł, młody hrabia odwrócił od niego głowę i usunął się w cień, uciekając od słabego światła emitowanego przez płomień jednej tylko lampy łożowej.

— Szczęść wam Boże, wielbne siostry — powiedział Eichenloh i skłonił głowę przed postawną kobietą o niesympatycznej szerokiej twarzy. Tego, że jest przeoryszą, domyślił się bardziej po jej pewnej sobie postawie i badawczym spojrzeniu niż po ubraniu przełożonej klasztoru.

— Niech pokój Pański będzie z tobą, mój synu. Kim jesteś i czego od nas chcesz?

Pierwsze zdanie z jej ust zabrzmiało dość przyjaźnie, drugie było zdecydowanie odpychające.

— Nazywam się Peter von Eichenloh. Przyszedłem przywitać się z moim przyjacielem Ottonem von Hennebergiem.

— A więc to wy jesteście tym gwałcicielem i zabijaką, Eichenloh? — Klara von Monheim nie ukrywała, że pogardza mężczyznami o sławie, jaką miał gość, a jej damy odsunęły się od intruza bojaźliwie, jakby był głodnym wilkiem, który właśnie wyszedł na łowy.

Junkier Peter nie wiedział, jak ma zareagować na pogardliwe słowa przeoryszy.

Mężczyznę za taką obelgę zbiłby lub wyzwiał na pojedynek, a dla białogłowy właściwą odpowiedzią byłoby spoliczkowanie. Jednak Klara von Monheim nie stała przed nim jako istota żeńska, lecz jako dostojna reprezentantka dużego klasztoru.

Przymusił się do uprzejmej odpowiedzi: — Myślę, że mnie z kimś pomyliliście, wielbna matko. Nigdy nie wziąłem kobiety siłą, a jeśli kogo zabiłem, to tylko w uczciwej walce.

Klara von Monheim zmierzyła go wzrokiem. Choć manieri junkra były zbyt swobodne, to jednak nie wydał jej się tak zły, jak wcześniej myślała.

— Jeśli mówicie prawdę, rycerzu, to cieszyce się gorszą reputacją, niż na to zasługujecie.

tym momencie odezwał się Otto von Henneberg: — To wina zawistników i takich, którzy mają powody bać się miecza junkra Petera.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział w obecności przyjaciela. A przy tym w jego głosie słyhać było taką gorycz, z jaką Eichenloh jeszcze nigdy się u niego nie spotkał.

— Nie masz może ochoty przejść się ze mną i sprawdzić, czy w tym mrowisku nie znajdzie się gdzie tyk wina? — zapytał go junkier Peter.

Henneberg potrząsnął głową.

— Nie mam ochoty pokazywać się na zewnątrz.

— Nie możesz jednak zostać tu, z nabożnymi damami. Pomyśl o ich reputacji.

— Hrabia Otto będzie nocował oczywiście w sypialni dla mężczyzn. Jest w tej chwili u nas, żebyśmy mogły opatrzyć jego ranę — wyjaśniła urażona przeorysza.

— Ranę? Ottonie, co się stało?

Eichenloh zbliżył się do przyjaciela i położył mu dłoń na ramieniu. Henneberg zwrócił ku niemu twarz i w tym samym momencie przeorysza uniosła lampę, a światło padło na oblicze pacjenta.

Eichenloh głośno wypuścił powietrze ustami, gdy ujrzał świeżą bliznę, spuchniętą, sinoczerwoną, która przechodziła w poprzek twarzy.

— Na Boga, jak do tego doszło? Mam nadzieję, że mężczyzna, który ci to zrobił, już nie żyje!

Henneberg ze wstydu zrobił się czerwony, aż rana jeszcze bardziej podbiegła krwią i stała się widoczniejsza. Nim zdążył wymyślić cokolwiek, by przedstawić się w korzystnym świetle, przeorysza go ubiegła i udzieliła rycerzowi Eichenloh wyjaśnień: — To nie był mężczyzna. To dzieło niewieścich rąk. Na dodatek była to młoda dziewczka. Poleciłam panu Ottonowi, żeby przegnał kilka służących, które wbrew prawu znalazły się na naszej ziemi i krały nasze winogrona. A on trafił właśnie na tę furiaatkę.

— Czemu do tego dopuściłeś, mój drogi? Przecież cię uczyłem, że zawsze musisz być ostrożny, a podczas walki masz trzeźwo myśleć. — Eichenloh przyjrzał się ranie i dodał: — Przynajmniej trafiłeś w dobre ręce. Cięcie goi się dobrze. Nawet zostało zszyte. Obecnie to rzadka sztuka. Mam nadzieję, że dziewczka zapłaciła za to!

Henneberg tylko potrząsnął głową. Zirytowany Peter łajał go dalej:
— Do diaska, Ottonie! Powinienem być ci towarzyszyć, ale myślałem, że masz dość oleju w głowie i że potrafisz już stać na własnych nogach. Ty jednak pozwalasz, by jakaś dziewczka rozplatała ci twarz.

— Ona gdzie indziej celowała i mogę mówić o szczęściu, że cięła mnie w twarz. Krew tak mnie osłepiła, że byłem bezradny. Poza tym moi ludzie po prostu uciekli, a ja... — Henneberg urwał i wytarł łzy z oczu.

— Na twoim miejscu bym tę służebną złapał i kazał publicznie wychłostać. Jeśli chcesz, pomogę ci w tym — zaproponował Peter.

— To nie była służebna, lecz córka Michała Adlera z Kibitzsteinu. Ona towarzyszyła swoim ludziom i stanęła mi na drodze — przyznał się Otto von Henneberg stłumionym głosem.

— Panna Trudi? To do niej podobne. Pospólstwo pozostanie pospólstwem. Eichenloh splunął, ujrzał jednak zde gustowane miny zakonnic i próbował roztrzeć plwocinę podeszwą prawego buta.

Otto von Henneberg powinien był wyznać, dlaczego panna z Kibitzsteinu go zraniła, jednak za bardzo się wstydził. Jego przyjaciel zawsze przykładął wielką wagę do dyscypliny moralnej i gdyby dowiedział się prawdy, pogardzałby Ottonem.

Hrabia objął bez słów swego byłego dowódcę. Przywarł do niego jak małe dziecko.

— Cieszę się, że przyjechałeś! Z tobą mogę przynajmniej normalnie porozmawiać.

Magnus bąknął coś pod nosem i zaraz sobie poszedł. Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym usiąść i się napić.

— Przecież cały czas to proponuję. Rusz się wreszcie! W gardle całkiem mi zaschło.

Z pewnością czcigodne damy pozwolą, byśmy się pożegnali!

Eichenloh lekko się skłonił i pociągnął przyjaciela bez skrępowań ze sobą.

Gdy tylko karlica zamknęła za nimi drzwi, Klara von Monheim pokiwała głową i rzekła: — Zamiast zwracać się do Magnusa von Henneberga, powinnyśmy były zwerbować rycerza Eichenloh. Ten mężczyzna na pewno pomógłby nam rozwiązać problem z Kibitzsteinem.

10.

Gdy Trudi i Bona snuły swoje plany na starej wieży, a Eichenloh wraz z przyjacielem jak lunatycy szukali drogi do piwnicy z winem, Maria pomagała przeciążonej pracą siostrze rycerza Ludolfa zaprowadzić choć odrobinę porządku w panującym rozgardiaszu. Michał w tym czasie skorzystał z okazji, by odnowić znajomości z kilkoma panami, z których pomocą pragnął wzmocnić swoją pozycję w stosunku do biskupa. Przy tym bacznie obserwował, kto wchodzi do sali rycerskiej i kto z niej wychodzi, bo nie chciał przeoczyć Gressingena. Gdy spotkał Maksymiliana von Albacha, zagadnął go na temat młodziana i dowiedział się, że junkier Georg ma przybyć, ale na razie jeszcze nie dotarł.

— Mój bratanek przenocuje prawdopodobnie gdzieś po drodze i zjawi się jutro, tuż przed mszą. Dobrze mu, nie musi nocować tu, na zamku. Widzieliście już sypialnię?

Będziemy wchodzić na siebie, jak nam się w nocy zachce iść do wychodka. To nawet dobrze, że panu Ludolfowi zabrakło dla wszystkich wina.

Ten zarzut nie był sprawiedliwy, bo Albach, mówiąc te słowa, trzymał w ręce pełny puchar.

Michał przytaknął pobłaźliwie swemu rozmówcy. Widziałby chętnie Albacha jako koalicjanta, jednak stryj Gressingena był zdeklarowanym zwolennikiem biskupa.

Adler miał jednak nadzieję, że zdoła przynajmniej pozyskać tego rycerza jako pośrednika między obiema stronami, podniósł więc swój kielich i stuknął nim o puchar rozmówcy.

Ludolf von Fuchsheim przygotował kilka wielkich beczek ma wesele córki, ale już teraz było wiadomo, że zapasy zostaną zużyte jeszcze tego wieczoru. Dlatego dał swoim ludziom polecenie, by splądrowali piwnice chłopów pańszczyźnianych, a gdy patrzył, jak beczułki zwożone są do zamku, przeklinał w duchu swoich gości, którzy najechali go jak chmara szerszeni. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. W chwili gdy jego zarządca stwierdził, że zamek jest tak pełny, że już się nawet mysz nie wciśnie, rycerz Ludolf zobaczył następny orszak zmierzający w kierunku Fuchsheimu.

Orszak ten składał się z ponad stu rycerzy, na czele których jechał pan w barwnym kaftanie, okryty krótką niebieską peleryną. Na głowie miał kapelusz o szerokim rondzie. Szczupłą twarz zdobiły okazałe wąsy, a reszta twarzy była gładko wygolona. Nad orszakiem powiewała chorągiew z czerwonym orłem Brandenburgii i zapowiadała, że pan von Ansbach, margrabia Albrecht Achilles i domu Hohenzollernów, zamierza zaszczyścić wesele na Fuchsheimie swą obecnością.

Ojciec Bony nie wiedział, czy ma się cieszyć tym wyróżnieniem czy też martwić, bo wyżywienie takiego wielkiego pana wraz z jego świtą doprowadzi go do ruiny. Z mieszanymi uczuciami pospieszył ku bramie zamkowej na spotkanie margrabiego.

Tam chwycił uzdę konia, jakby był zwykłym parobkiem, aby wprowadzić pana Albrechta Achillesa na dziedziniec z należnym mu szacunkiem.

Brandenburczyk powiódł wzrokiem po namiotach na błoni i ludziach, którzy na wieść o jego przybyciu zgromadzili się na dziedzińcu i patrzyli z mieszaniną niedowierzania i zakłopotania.

Chociaż Albrecht Achilles był młodym człowiekiem, pozwolił Fuchsheimowi, by ten pomógł mu zsiąść z konia i okazał w ten sposób swe uniżenie. Następnie margrabia uśmiechnął się butnie, widząc nadchodzącego Pratzendorfera.

— Niech Bóg będzie z tobą, mój synu! — prałat pozdrowił Brandenburczyka tonem, którym już na wstępie dał do zrozumienia, że władza i wysoka pozycja margrabiego w Rzeszy nie robią na nim wrażenia.

— I z wami, bogobojny panie! — Albrecht Achilles roześmiał się i błysnął zębami osadzonymi w mocnej szczęcie.

Na prałata zadziało to jak ostrzegawcze pokazanie kłów. Ansbach pojawił się, żeby zasygnalizować panom, którzy są w opozycji do biskupa z Würzburga, że jest ich przyjacielem. Ale ponieważ osobiste plany Brandenburczyka niewiele się różniły od planów Gotfryda Schenka, to jego przybycie nie wywołało niezmaconej radości również w grupie nieprzyjaciół biskupa.

Michał nie był pewien, jak ma się zachowywać wobec najmłodszego syna zmarłego burgrabiego z Norymbergi. Jako wolny rycerz Rzeszy nie chciał być ani jego poddanym, ani lennikiem biskupa würzburskiego. Obserwował, jak Albrecht Achilles zamienił kilka słów z prałatem, a potem

pozdroził kanoników z Würzburga. Po ich minach można było rozpoznać, że chętnie wysłaliby nowo przybyłego gościa tam, gdzie pieprz rośnie. Mieli świadomość, że Hohenzollern nie przyjechał tu po to, by poprowadzić do ołtarza córkę pośledniego rycerza, lecz żeby wyrazić swoje roszczenia do tej części Frankonii.

— Będzie wojna — szepnął Ingobert von Dieboldsheim do ucha Magnusa von Henneberga. Jego głos zdradzał, że nie był bohaterem i że zgiełk pola bitewnego napawał go odrazą.

Hrabia Magnus ostentacyjnie położył dłoń na rękojeści miecza.

— Niech sobie Brandenburczyk próbuje szkodzić Würzburgowi. My mu pokażemy, gdzie raki zimują. Zaraz mu przejdzie apetyt na władzę.

Ingobert von Dieboldsheim nie podzielał tej nadziei. Albrecht Achilles uważał wielkie połacie ziemi w południowej Frankonii za swoją własność, a jego najstarszy brat Fryderyk był margrabią Brandenburgii i tym samym księciem elektorem Świętej Rzymskiej Rzeszy. Prócz niego był jeszcze inny brat, pan Johann von Brandenburg-Külbach, który w wypadku wojny stanąłby po stronie Ansbacha przeciwko Würzburgowi.

Gdy Dieboldsheim w myślach do potencjalnych wrogów księcia biskupa dodał króla Fryderyka III, będącego równocześnie księciem Środkowej Austrii i dobrym przyjacielem Albrechta Achillesa, zobaczył Michała Adlera podchodzącego do Hohenzollerna i pociągnął hrabiego Magnusa za rękaw.

— Popatrzcie! Kibitzstein przepycha się do margrabiego. Z pewnością obaj trzymają ze sobą.

— Margrabia z domu Hohenzollernów i pośledni rycerz Rzeszy wątpliwego pochodzenia? Śnicie, Dieboldsheim. Pan Albrecht Achilles postrzega takiego człowieka jak Michał Adler co najwyżej jako kogoś, kto musi mu służyć.

Właściwie hrabia Magnus chciał Dieboldsheima uspokoić, jednak osiągnął skutek przeciwny. Rycerz Ingobert wywnioskował, że jemu samemu przez takiego pana jak księżę biskup przyznana zostanie jedynie ranga poddanego. Dlatego z zawiścią patrzył, jak Albrecht Achilles von Brandenburg-Ansbach wita Michała Adlera i serdecznie go obejmuje.

— Cieszę się, że was widzę, Adler. Po raz ostatni widzieliśmy się przed niemal czterema laty. Było to w Norymberdze, nieprawdaż? Podczas ostatniego parlamentu Rzeszy za czasów panowania Jego Królewskiej Mości. Wtedy żył jeszcze mój ojciec. On was bardzo poważał. Czy pan Zygmunt podniósł was do rangi wolnego pana Rzeszy, jak zapowiedział? Nie? W takim razie mój imiennik z Austrii, wybrany na niemieckiego króla, też z pewnością tego nie zrobił. Krótki czas był mu dany.

W głosie Albrechta Achillesa nie było słycać żalu z powodu śmierci Albrechta von Habsburga, księcia Dolnej Austrii i wybranego w drodze elekcji króla Rzeszy.

Uważał bowiem, podobnie jak wielu innych wielkich panów Rzeszy, że zięciowi Zygmunta przypadło zbyt wiele władzy wraz z luksemburskim spadkiem jego małżonki Elżbiety. Następcą Albrechta, Fryderyk III, nie mógł poszczycić się tak wielkim zakresem władzy, dlatego dla ambitnego księcia był idealnym władcą. W związku z tym margrabia von Brandenburg-Ansbach od początku stał otwarcie po stronie króla i był uważany za jego sojusznika.

— Wkrótce znowu się spotkam z panem Fryderykiem. Mógłbym mu wtedy o was wspomnieć. Dzielnie służyliście jego poprzednikom. Z

pewnością i w stosunku do niego chcecie pozostać lojalnym poddanym.

— Oczywiście, że tak — zapewnił Michał, który z radością przyjął wiadomość, że Brandenburczyk nie chce kwestionować jego suwerenności.

Nie wiedział wprawdzie, jakie plany ma dostojny gość, ale zrozumiał, że w razie potrzeby może liczyć na pomoc potężnego sojusznika. Zbyt pochopnie nie chciał się jednak rzucać w ramiona Ansbacha, bo apetyt rośnie w miarę jedzenia, a margrabia kiedyś mógłby zacząć dążyć do tego, by podporządkować sobie jego oraz innych rycerzy Rzeszy i zapanować nad miastami i opactwami leżącymi na terenie Frankonii. Przyjaźń z takim wielkim panem była obosiecznym mieczem. Miał nadzieję, że księżę biskup odbierze obecność Albrechta Achillesa na ślubie jako ostrzeżenie, by nie przesadzał ze swymi roszczeniami.

11.

Tak wielkiemu panu jak margrabiemu von Brandenburgowi— Ansbachowi wypadało podać tylko najlepsze wino. Michał skorzystał na tym, bo Albrecht Achilles zaprosił go do swego stołu. Fuchsheimowi jako gospodarzowi przypadł ten sam zaszczyt, choć rycerz Ludolf wolałby pić najkwaśniejszy ocet niż się przyglądać, jak szybko jego najlepsze wino znika w gardłach gości. Jeszcze bardziej martwiły go krzywe spojrzenia zwolenników Würzburga, którzy najwidoczniej sądzili, że zaprosił Ansbacha, by im pokazać, gdzie jest ich miejsce.

Ludolf von Fuchsheim pragnął wyprawić huczne wesele w ramach swoich możliwości finansowych, jednak sytuacja go przerosła. Żeby móc nakarmić wszystkich gości, będzie się musiał zadłużyć po uszy i zastawić jeszcze więcej ziemi, a przy tym przyszły zięć już mu oświadczył, że nie zrezygnuje ani z guldena z uzgodnionego posagu.

Bardziej z zawiścią niż z wdzięcznością Fuchsheim patrzył na Michała, który w przeciągu około piętnastu lat, odkąd zasiadł na Kibitzsteinie, coraz bardziej się bogacił. Adler już wydał rozkaz, żeby artykuły spożywcze i wino z podlegających mu wsi zwieźć do Fuchsheimu. Za to rycerz Ludolf dał mu w zastaw swoją największą wieś, ale po uszy tkwi w długach i nie zdoła nigdy wykupić tej części swej własności.

Ponieważ nie chciał, by jego najlepsze wino przypadło w udziale tylko znamienitym gościom, sam się nim też hojnie raczył i wpadł w stan między załamaniem nerwowym a całkowitą obojętnością. W końcu zwrócił się do Michała bełkotliwym głosem: — W porównaniu z wami i tak nie mam źle, bo wy macie aż trzy córki na wydaniu, a każda z nich ma inną matkę.

Zachichotał jak panienka i mrugnął obleśnie do Ansbacha.

Albrecht Ansbach roześmiał się głośno, choć słyszał o zaginięciu Marii i o staraniach cesarza Zygmunta, by uchodzącego za wdowca Adlera ożenić po raz kolejny. W końcu cesarz wydał za Michała pewną pannę z Wittelsbachu, a małżeństwo to po powrocie Marii z głębi Rosji zostało oczywiście anulowane. Z tego krótkiego związku pochodziła najmłodsza córka Adlera Hildegarda. Lisa, średnia córka, była przybranym dzieckiem i nie łączyły jej więzy krwi ani z Michałem, ani z jego żoną.

— A jak się ma wasza pani małżonka? — zapytał margrabia Michała.

— Dziękuję, dobrze. Siedzi przy stole z innymi damami.

Michał wskazał ręką na tę część sali, gdzie najdostojniejsze panie zebrały się wokół siostry Fuchsheima. Nawet z tej odległości widać było, że nie siostra Fuchsheima, lecz właśnie Maria przejęła rolę gospodyni. Siostra, podobnie jak Fuchsheim, zapijała trudną sytuację winem i słabo już

kontaktowała.

— Czy ta urodziwa panna obok waszej żony to wasza najstarsza córka? — Ansbach wskazał ręką na Trudi, która siedziała cicho obok matki, pogrążona w myślach.

— Tak, to jest Trudi.

W pierwszej chwili Michałowi nie spodobało się zainteresowanie Albrechta Achillesa jego córką. W ogólnym mniemaniu poczytywano jednak za zaszczyt, jeśli panna z niższej szlachty była darzona szczególnymi względami przez takiego pana jak margrabia. Dlatego kasztelan przeczuł, co teraz nastąpi. Wielki pan kazał jednemu ze swych towarzyszy przyprowadzić Marię i Trudi do swego stołu i zrobić dla nich dwa wolne miejsca.

Towarzysz margrabiego był przyzwyczajony do takich spontanicznych rozkazów swego pana. Dlatego ten młody jeszcze rycerz szybko wstał i poszedł do stołu Marii.

Skłonił się przed nią nisko i poprosił ją, by raczyła przesiąść się wraz z córką do stołu jego pana.

Gdy Maria po raz ostatni widziała Albrechta Achillesa von Brandenburga-Ansbacha, był on jeszcze podrostkiem. Nadal miał w sobie coś z tej chłopięcej świeżości, jednak jego postawa wskazywała, że był teraz świadomy swej pozycji jako najpotężniejszego księcia Rzeszy.

Mimo swej rangi Ansbach skłonił się uprzejmie, żeby pokazać obecnym, że ktoś taki jak on okazuje szacunek małżonce zwykłego rycerza Rzeszy należny jej płci i stanowi, a następnie pogłaskał Trudi po policzku.

— Śliczne dziecko — powiedział. — Takie jest do was podobne, pani Mario.

Był to komplement pod adresem Marii, bo w oczach margrabiego matka i córka nieco się różniły. Podczas gdy Maria wcześniej ucieleśniała biblijną uwodzicielkę Ewę, to Trudi o dumnie wyprostowanych plecach i uniesionej głowie przypominała grecką Dianę. Włosy córki były nieco ciemniejsze niż matki, bez skrępowania patrzyła na niego, a gdy przed nim dygnęła, uczyniła to z takim wdziękiem, że poczuł się urzeczony. A do tego miała na sobie suknię godną bogini. Niebieski materiał zdobiły srebrne gwiazdki, a krój był niespotykany. Całość nadawała dziewczęciu dystynkcji, którą rzadko miały nawet córki z najdostojniejszych domów. Albrecht Achilles westchnął na myśl, że mężczyźni jego pochodzenia poślubiają wprawdzie damy ze swego stanu, ale szczęścia w miłości najczęściej szukają u niewiast z rodzin o niższej randze.

Trudi nie wiedziała zrazu, co ma oznaczać zainteresowanie, jakie okazał jej margrabia, jednak gdy jego zachowanie i rozgrzana winem mowa stały się bardziej swobodne, pojęła, że miał zamiar zabrać ją ze sobą na noc do swej komnaty, którą kilku innych panów ku ich ubolewaniu musiałoby opuścić. Bona von Fuchsheim byłaby może zachwycona zalotami margrabiego, jednak Trudi miała poczucie przyzwoitości, które wzbraniało jej zostać kochanką mężczyzny, choć ten zachowywał się, jakby był bogiem. Poza tym musi dochować wierności Georgowi von Gressingowi, chociaż ten ku jej ubolewaniu jeszcze nie przybył.

Początkowo Trudi usztywniła się i odpowiadała na pytania krótko, najczęściej jednym słowem. Ale potem spostrzegła, że jej powściągliwość jeszcze bardziej go podnieca. Zastanawiała się rozpaczliwie, jak ma się wy dostać z potrzasku. Jej spojrzenie padło na wino, które wielki pan konsumował z lubością, i zatroszczyła się o to, by pił w jeszcze szybszym tempie. Przy tym sama musiała raz za razem wznosić puchar do ust, więc

wkrótce poczuła, że jej też zaczęło szumieć w głowie.

Usłyszała, jak się śmieje z dowcipu Hohenzollerna zakończonego pointą równie obleśną co wydumaną i wpadła nagle w panikę.

Jeszcze trochę, a będzie równie bezbronna, jak wtedy w lesie i margrabia zrobi z nią, na co tylko będzie miał ochotę. Ale nie było odwrotu. Napelniła więc swój puchar do połowy, a dużo większy puchar Albrechta Achillesa po brzegi i wzniosła toast: — Za sławę domu Hohenzollernów!

— Za dowcipną i śmiałą młodą damę!

— Do dna!

Trudi przystawiła puchar do ust i udawała podczas picia, że był początkowo pełny.

Albrecht Achilles nie chciał być gorszy od białogłowy, opróżnił więc też swoje naczynie do ostatniej kropli, po czym czknał, uśmiechnął się i tym razem sam nalał sobie wina, przy czym część rozlał. Zaśmiał się z własnej niezdarności i klepnął Fuchsheima przyjaźnie w ramię.

— Za to dostaniecie beczkę najlepszego wina z mojej piwnicy.

Ludolf von Fuchsheim przytaknął nieszczęśliwy. Nawet jeśli dostojny gość nie zapomni o obietnicy danej w stanie upojenia, to i tak jedna beczka byłaby kroplą w morzu.

Gdy gospodarz odsyłał w duchu wszystkich obecnych do Moskali lub jeszcze dalej, Trudi patrzyła na swój puchar, który był tym razem tak pełen, że wino uwypuklało się nad jego krawędzią. Usłyszała toast wznoszony przez pana Albrechta: — Za pomyślność twoją i twojej rodziny. Niech Kibitzstein trwa przez tysiąc lat!

— Za Kibitzstein.

Trudi wzięła puchar do ręki i wypila niechętnie zawartość.

Przez dłuższy czas wznoszono toast za toastem. Goście o głowach słabszych od Ansbacha upili się i pozsuwali z ławek. Pijani szybko byli wyciągani spod stołów przez ich własnych służących lub przez parobków Fuchsheima i zanoszeni do pomieszczenia, którego podłoga wysłana była kilkucentymetrową warstwą słomy.

Gdy pochodnie umieszczone na ścianach zaczęły kopcić i wypełniły skromną salę rycerską migającym czerwonym światłem, szeregi biesiadników były przeredzone.

W końcu Albrecht Achilles von Brandenburg-Ansbach podniósł się i pociągnął Trudi za sobą.

— Sądzę, że powinniśmy już iść do łóżka.

Maria nie chciała puścić córki, ale Michał chwycił żonę za rękę i przytrzymał.

— Tak będzie lepiej — szepnął jej do ucha, a po krótkiej chwili dodał głośniejszym głosem: — Nie powinniśmy dostojnego pana wstrzymywać.

Maria była przerażona, ale Michał dał jej znak, że później porozmawiają. Było mu żal Trudi, lecz ta noc była najlepszą rzeczą, jaka mogła się jej przydarzyć, bo potem żaden narzeczony nie będzie od Trudi żądał dowodu dziewictwa. Również zaszczyt służenia margrabiemu von Ansbachowi sprawi, że ludzie będą darzyć ją większym szacunkiem, a późniejszy małżonek będzie ponadto mógł się spodziewać w przyszłości poparcia ze strony pana Albrechta Achillesa. Dla szlachcica bez majątku, jakim był Georg von Gressingen, mogłaby to być dodatkowa zachęta, by poślubić pannę.

Maria przypomniała sobie, jak często w przeszłości nie była panią własnego ciała.

Żeby oszczędzić córce tego doświadczenia, chciała pobiec za margrabią i odebrać mu Trudi.

Michał chwycił ją i wyprowadził siłą z sali.

— Uspokój się, niewiasto! Mając poparcie margrabiego von Ansbacha, damy radę oprzeć się biskupowi Gotfrydowi. Ale jeśli uczynimy go naszym wrogiem, będziemy bezradni wobec roszczeń biskupa.

Maria patrzyła na niego ze zdumieniem. Jak jej mąż, który przecież kochał Trudi ponad wszystko, mógł dopuścić do tego, że jego córka miała stać się obiektem przyjemności na jedną noc dla mężczyzny, którego nigdy przedtem nawet nie widziała? Najchętniej wykrzyczałaby Michałowi, co na ten temat myśli, ale wiedziała, jak zagrożona była ich pozycja. Nie mogli sobie pozwolić na kolejnego wroga.

— Mam nadzieję, że się mylisz, Michale. Biedne dziecko płaci teraz wysoką cenę za nasze bezpieczeństwo.

Michał też nie był całkiem trzeźwy, ale poczuł jej rozpacz i wziął ją w ramiona.

— Świat nie jest sprawiedliwy, mój skarbie. Silny chce zdławić słabego a to znaczy, że należy szukać przyjaciół. Przykro mi, że dzieje się to w ten sposób. Tak będzie lepiej, uwierz mi.

Będę musiał wyjaśnić Marii, co zaszło między Trudi a Gressingenem żeby zrozumiała, czemu tak uczyniłem — pomyślał. Ale w tej chwili przechodziło obok nich wielu ludzi, więc postanowił przełożyć wyznanie na następny dzień, kiedy z powrotem znajdą się w swoim pokoiku na wieży lub będą leżeć we własnym łóżku.

— Szkoda, że musimy spać w oddzielnych pomieszczeniach. Chętnie bym z tobą jeszcze porozmawiał! — powiedział, żeby pocieszyć ją i siebie — Tylko porozmawiał? — Maria poczuła gorące pragnienie jego bliskości i żałowała tak samo jak on, że w Fuchsheimie nie mieli możliwości pobycia na osobności.

Gdy Albrecht Achilles von Hohenzollern wyprowadzał Trudi pod ramię z sali, panna zobaczyła prawie pełen dzban wina na stole i zabrała go ze sobą. Nie wiedziała, czy uda jej się uniknąć żądy margrabiego, a jesh jej się nie uda, chciałaby jak najmniej z tego pamiętać. Będzie prawie jak wtedy w lesie, pomyślała.

Tylko junkier Georg nie był kimś obcym, lecz człowiekiem, którego kochała. Na myśl o junkrze ścisnął jej się żołądek. Okazuje się, że wszyscy mężczyźni są zwierzętami, nawet Gressingen. Zależy im najwidoczniej tylko na tym, żeby zaspokoić cielesne żądze, a kobiety, które nie chcą lub nie mogą iść do klasztoru, muszą to znosić.

Trudi westchnęła cicho, ale margrabiemu, który patrzył na nią z góry, pokazała śmiałą minę i pozwoliła się zaprowadzić do komnaty, która została pospiesznie przygotowana dla pana Albrechta. Umeblowanie składało się z wąskiego łóżka i pomalowanej skrzyni, na której ku uldze Trudi stały dwa puchary. Ten, kto postawił tu naczynia, musiał wiedzieć, że wielki pan nie będzie spał sam.

Ludzie są tacy bezwstydni, pomyślała Trudi, napełniając puchary.

— Wasze zdrowie, mój panie!

Albrecht Achilles von Hohenzollern wziął puchar z jej rąk, opróżnił duszkiem i wyciągnął go w kierunku Trudi.

— Twoje zdrowie, moja piękna. Gdy kilka lat temu w Norymberdze zobaczyłem twoją matkę, to pomimo różnicy wieku chętnie bym ją wtedy widział w mej pościeli. Ale ty dasz mi teraz tyle samo przyjemności.

Mówi, jakby miał prawo do każdej kobiety, która wpadnie mu w oko pomyślała oburzona Trudi. Nie pokazała jednak po sobie niechęci, jaką odczuwała do niego, lecz ponownie napełniła jego puchar. Margrabia wypił, nie zauważywszy, że Trudi nie piła. Odbiło mu się, a następnie wyjęczał boleśnie, złapawszy się za brzuch: — To wino coś mi za bardzo nie służy. Tamto, które piliśmy przy stole, było lepsze. A to jest jakimś kwaśnym świństwem. Muszę do wychodka!

W swoim upojeniu nie zauważył wiadra, które zostało postawione do jego dyspozycji w rogu, żeby nie musiał jak jakiś parobek chodzić po ciemnych korytarzach nocą w poszukiwaniu wygodki.

Trudi dojrzała naczynie i wskazała je margrabiemu: — Nie musicie, panie, szukać po nocy wychodka, możecie skorzystać / tego wiadra.

W jej głosie zabrzmiała ironia i zadowolenie, bo w takim stanie pan Albrecht Achilles nie stanowił dla niej już żadnego zagrożenia.

Margrabia pochylił się nad wiadrem i zaczął do niego wymiotować.

Chwilkę później Trudi pożałowała, że go zatrzymała w pomieszczeniu, ho w momencie gdy zaczął wymiotować, jej żołądek też podszedł do gardła i musiała przepychać się z nim, żeby samej móc skorzystać z naczynia.

12.

Następnego ranka wszyscy goście weselni udali się na mszę, chociaż nie każdy był w stanie w niej uczestniczyć z należnym skupieniem. Ludolf von Fuchsheim postanowił, że przy tej szczególnej okazji, jaką był ślub córki, kapłan zamkowy nie będzie celebrować mszy. Ściągnął specjalnie swego dalekiego krewnego, który dostawał całkiem sową prebendę. Chociaż kapłan był wielce uradowany, że może celebrować mszę przed tak wielkimi panami, to z uprzejmości zwrócił się do Cypriana Pratzendorfera, prałata z Rzymu, i zapytał go, czy ten nie zechciałby osobiście odprawić nabożeństwa.

Pratzendorfer przez całe życie więcej miał do czynienia z polityką niż z mszałem.

Władał wprawdzie wyśmienicie łaciną, ale dawno temu wyleciały mu z głowy słowa, które kapłan wypowiada przed ołtarzem. Z tego względu uprzejmie odrzucił propozycję.

— Odprawcie sami mszę, przyjacielu. W końcu pan Ludolf was o to poprosił.

Na twarzy kapłana widać było, jak dumny jest, że taki wysoki dostojnik kościelny rozmawia z nim jak równy z równym. Z tego powodu dawał z siebie wszystko, by zyskać uznanie w krytycznych oczach prałata. Jego zaangażowanie zasługiwało na bardziej uważną grupę wiernych, większość gości klęczała bowiem na swoich miejscach z wymęczonym wyrazem twarzy i ziewała na potęgę. Z niejednego wymaltretowanego poprzedniego dnia żołądka wymknęło się potężne czknięcie.

Maria i Michał nie cierpieli zanadto z powodu wina, ale również nie mogli skupić uwagi na rozbrzmiewającym kazaniu kapłana. Ich spojrzenia szukały Trudi, która siedziała z przodu obok margrabięgo Ansbacha na jednym z miejsc honorowych.

Choć widać było, że jest zmęczona, to na jej twarzy malowało się zadowolenie.

Maria odebrała to tak, jakby ktoś uderzył ją w policzek. Martwiła się o swą najstarszą córkę, w nocy prawie nie zmrużyła oka z jej powodu,

spodziewała się, że będzie musiała pocieszać Trudi, bo margrabia w apodyktyczny sposób rozporządził jej ciałem. A teraz sama sobie zadawała pytanie, czy Trudi nie należy do płochych dziewczek, które znajdują szczególne upodobanie w igraszkach z mężczyzną. Jeśli tak jest w istocie, to czekają ich jeszcze większe problemy z córką. Panna, która zakosztowała z kielicha namiętności, będzie chciała powtórzyć to doświadczenie.

— Powinniśmy jak najszybciej wydać ją za mąż — szepnęła do Michała.

Przytaknął, lecz zaraz potem potrząsnął głową.

— To najlepsze rozwiązanie, ale musimy poczekać, czy ta noc nie będzie miała następstw.

— Byłbyś może dumny z tego, gdyby Trudi urodziła temu panu bękarta? zapytała Maria tak głośno, że kilka dam z oburzeniem odwróciło na moment w jej kierunku głowę.

— Bądź cicho, bo przeszkadzasz innym w modlitwie — poprosił Michał i sam się w duchu skarcił, że jeszcze nie wtajemniczył żony w problemy córki. Serce mu się ścisnęło, że jego mała córeczka po raz drugi wbrew swej woli musiała oddać się mężczyźnie. Jednak teraz odczuwał pewną ulgę. Delikatna aluzja na temat wesela w Fuchsheimie i obecności margrabiego von Brandenburga-Ansbacha rozbroi nawet najsurowszą teściową.

Trudi nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo rodzice się o nią martwią, nie była zresztą w stanie wczuć się w ich sytuację. Zapach kadzidła spowodował, że dostała potwornych mdłości i zazdrościła Albrechtowi von Hohenzollernowi, który obudził się tuż przed mszą, a teraz był świeży i dziarski jak czyżyk. Nim rano zdążył się odziać, już dał jej do zrozumienia, że również następnej nocy oczekuje jej obecności, by nadrobić to, czego nie zdołał zrobić za pierwszym i azem. Ale Trudi nie chciała oddawać się wielkiemu panu chociażby z tego powodu, że musiała zachować wierność junkrowi Georgowi.

Podczas gdy margrabia, Michał i inni dostojni panowie otrzymali miejsce w kaplicy, Peter von Eichenloh został potraktowany jak prosty dowódca najemników i uczestniczył w mszy, stojąc na zewnątrz, na dziedzińcu zamkowym. Takie miejsce mu odpowiadało, bo też za głęboko zajrzał do kielicha i ledwo mógł teraz ustać na nogach. Jego przyjaciel Otto von Henneberg pozostał przy nim i słuchał w pozornym skupieniu natchnionych słów kapłana, które przez otwory w ścianach przenikały na dziedziniec.

Junkier Peter nie mógł oderwać wzroku od przyjaciela, którego rana w świetle dziennym wyglądała jeszcze gorzej.

— Na Boga, jak mogłeś dopuścić do tego, by ta dziewczka tak cię oszpeciła? Wyglądasz po prostu okropnie.

— Chirurg z Volkachu twierdzi, że z czasem będzie lepiej — odpowiedział Otto, a w jego głosie słychać było brak wiary we własne słowa.

Eichenloh pokręcił głową.

— Najchętniej bym cię porządnie obił, żebyś wreszcie nabrał rozumu, i dziewczkę z Kibitzsteinu razem z tobą.

Jeden z gości, usłyszawszy te słowa, ostrzegł go: — Trzymajcie język na wodzy, rycerzu! Jego Wysokość margrabia von Brandenburg-Ansbach upodobał sobie pannę Hiltrudę z Kibitzsteinu i spędził z nią noc. Jeśli ją obrazicie, to następnym wielki pan stanie się waszym wrogiem.

Na te słowa junkier Peter odwrócił się i odrzekł gniewnie: — Jeśli nie zamkniecie swojej gęby i natychmiast stąd nie znikniecie, pożałujecie!

Szlachcic odwrócił się obrażony i dołączył do kilku przyjaciół, którzy właśnie nadeszli. Gdy któryś z nich spojrział na nich z ciekawością, szlachcic wskazał ręką na Petera von Eichenloh i rzekł: — Ten człowiek jest nieokrzesany, jakby był chłopem. Nic dziwnego, że jego wuj nie chce nic słyszeć o tym zabijacie.

Na jego szczęście uwaga ta nie dotarła do uszu junkra Petera, bo w tym samym momencie podszedł do niego i Ottona Hardwin von Steinsfeld. Wprawdzie matka wykształciła Hardwina we wszystkich sztukach walki, ale nigdy jeszcze nie brał udziału w prawdziwej potyczce, podziwiał więc obu mężczyzn, którzy zyskali sobie sławę jako wojownicy. Ujrawszy szramę biegnącą przez twarz Ottona, założył, że to skutek ciężkiej bitwy. Sam nie chciałby mieć takiej rzucającej się w oczy blizny, ale za jej sprawą Henneberg wydał mu się otoczony szczególną aurą.

— Kapłan odprawia dziś mszę szczególnie dobrze — powiedział, żeby zainicjować rozmowę.

— Może i tak — odpowiedział lakonicznie Eichenloh. Otto dostrzegł jednak podziw junkra i potwierdził: — Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak odprawiał mszę. Hardwin zyskał na śmiałości.

— Czy was bardzo bolało, szanowny panie, gdy wam zadano tę ranę?

— Duma zabolęła go najbardziej — odrzekł z przekąsem junkier Peter.

— Ach, to nic takiego. — Otto von Henneberg spiorunował go wzrokiem. Oto przyszedł młody człowiek, który uważał go za wielkiego wojownika, a Peter nie miał nic innego do roboty, jak w oczach młodzieńca ośmieszać przyjaciela.

— Zadano mu tę ranę podczas walki z ludźmi z Kibitzsteinu — wyjaśnił Eichenloh, myśląc, że to zaspokoi ciekawość junkra, ale osiągnął przeciwny skutek.

Hardwin słyszał już o napaści na Trudi, nie znał jednak nazwiska złoczyńcy.

Krzyknął teraz gniewnie na Ottona: — Ach, więc to byliście wy! — Człowiek, który chciał skrzywdzić jego przyjaciółkę, był dla niego łajdakiem. Najchętniej rzuciłby się z gołymi pięściami na Ottona von Henneberga, ale nie uczynił tego, żeby mu nie zarzucono, że próbował pobić rannego. Zamiast tego ukarał hrabiego Ottona pogardą i rzekł do rycerza Eichenloh: — Wiele mógłbym wam opowiedzieć o Trudi Adler. Ona jest wyjątkowa. Na przykład nie powinno się z nią ścigać konno, bo jej klacz pobije każdego ogiera o kilka długości zarówno na krótkich, jak i na długich dystansach. Poza tym Trudi jest odważna jak mało kto. Jako dzieci często się razem bawiliśmy. Kiedyś wpadłem do starej studni, gdzie była taka stęchlizna, że straciłem przytomność. Bona chciała biec do zamku po pomoc, ale Trudi uwiązała linę, którą się bawiliśmy na górze, i zeszła do mnie.

Eichenloh wzruszył ramionami: — To było nierozsądne. Mogliście oboje zginąć.

— Później mi powiedziała, że wstrzymała powietrze, póki nie obwiązała mi liny wokół piersi i nie wyszła ze studni. Następnie obie panienki wyciągnęły mnie na górę.

Hardwin przelknął ślinę, bo dopiero teraz zrozumiał, że Bona zachowała się niemal tak samo dzielnie. Gdyby w panice uciekła, Trudi w pojedynkę nie mogłaby go uratować. Junkier Peter wykrzywił tylko

ironicznie wargi, słysząc takie rewelacje, a Otto von Henneberg chwycił Steinsfelda za koszulę na piersi.

— Możecie sobie zaoszczędzić waszych peanów na cześć tej dziewczki! Ona mi jeszcze zapłaci za tę bliznę, przysięgam wam!

— Powinniście zaniechać zemsty. Trudi ma wielu przyjaciół, którzy staną w jej obronie.

— Was może? Żeby nie pękł ze śmiechu!

Hrabia Otto pchnął go i odszedł z dumnie zadartą głową. Eichenloh podtrzymał Hardwina, żeby młodzieniec nie upadł.

— Nie bierzcie mu tego za złe. Każdy z taką blizną myślałby o zemście. Nie chodzi tu o życie panny lub jej twarz. Ale ta osóbką o ostrym jak brzytwa języku zasłużyła sobie na lanie, po którym nie mogłaby przez kilka tygodni usiąść na tyłku.

Mówiąc to, zorientował się, że chętnie osobiście sprząłby pannę. Ciągłe jeszcze nie zapomniał jej złośliwości w gospodzie w Dettelbachu, dlatego ranę, jaką zadała jego przyjacielowi, brał jej podwójnie za złe.

— Przyznaję, że Trudi ma czasem ostry język, ale za to serce ze złota — rzekł Hardwin i sam się zdziwił, że się tak nad nią roztkliwił. Nie darzył jej nawet w połowie tak wielkim uczuciem, jak Bonę, ale jeśli miałby poślubić jakąś pannę, to właśnie ją, mimo tego, że Gressingen pozbawił ją dziewictwa. Ucieszył się, gdy któregoś dnia matka wspomniała o Trudi jako o jego potencjalnej narzeczonej.

Ponieważ Hardwin się zamyślił, junkier Peter patrzył na niego bez żenady. Steinsfeld był bardzo wysokim mężczyzną, który przewyższał go o pół głowy, ale robił wrażenie niezgrabnego i niedojrzałego. To odczucie potęgowała jego wydłużona twarz, przypominająca trochę koński łeb. Ogólnie rzecz biorąc, młody mężczyzna nie był ani brzydki, ani szczególnie ładny, a jego ubranie było czyste, ale pasowało bardziej do wiejskich uroczystości. Prócz Petera von Eichenloh był więc jedyną tu osobą, która nie próbowała manifestować przepychu i nie przykładała nadmiernej wagi do wyglądu zewnętrznego.

Hardwin przypomniał sobie pierwsze spotkanie z rycerzem Peterem na zamku Henneberg i rzekł w tonie pytania: — Słyszałem, że jesteście wielkim wojownikiem.

— Taki wielki wcale nie jestem. Z wami na przykład nie mogę się równać. Młodzian uśmiechnął się i rzekł: — Matka nazywa mnie czasem swym nieszczęsnym dryblasem. Nie miałem jednak na myśli wzrostu, lecz waszą sławę. Wiecie, nauczono mnie, jak władać mieczem i lancą, strzelałem też z broni palnej. Ale jeszcze nigdy nie brałem udziału w prawdziwej walce.

— A macie na to ochotę? — zapytał Eichenloh.

— O, tak! Kiedyś będę musiał bronić mojej ziemi, dlatego chętnie dowiedziałbym się, czy nadaję się na wojownika.

— A czy ten, komu zostaliście oddani na naukę, nie powiedział wam tego?

Hardwin wzruszył ramionami.

— Mój ojciec nie żyje od wielu lat, matka trzymała mnie w domu i tam właśnie pobierałem nauki. A teraz czuję pragnienie, by zobaczyć co nieco świata.

— Wsiądźcie na konia, odwiedzajcie ludzi. To mniej niebezpieczne, niż udział w walkach.

Petera znudziła ta rozmowa. Odwrócił się od młodziana, żeby odejść,

ale Hardwin go powstrzymał.

— Weźcie mnie, panie, ze sobą jako najemnika. Zaproponowaliście mi to w Hennebergu. Nie będę dla was ciężarem.

Sam się zdziwił, że prosił o to właśnie rycerza Eichenloh, którego maniery pozostawiały faktycznie wiele do życzenia. Junkier był jednak człowiekiem, który mógłby nauczyć go, jak ma sobie radzić w okrutnym świecie. Poza tym gdyby ruszył z nim w drogę, miałby myśli zajęte czym innym, a nie tylko Boną.

Eichenloh jeszcze raz bacznie go obejrzał i stwierdził, że młodzian mówi poważnie.

— Moi ludzie obozują teraz pod klasztorem Schöbach. Jeśli chcecie mnie tam odwiedzić, pospieszcie się. Nie pozostanę tam długo.

Miał nadzieję, że zniechęci młodzieńca tymi słowami, bo w tej chwili nie miał ochoty prostować charakteru jakiegoś maminsynka. Powiedziawszy to, odszedł, by poszukać Ottona i opróżnić z nim kielich wina.

Hardwin odprowadził go wzrokiem i postanowił pojechać do Schöbachu. Chociaż matka bardzo go kochała i sprawi jej wielką przykrość, jeśli ją opuści, żeby przyłączyć się do najemników, uważał, że będzie lepiej, jeśli na jakiś czas wyjedzie z domu rodzinnego. Będąc na miejscu, ciągle myślał o Bonie, która podarowała mu swe dziewictwo, a tęsknota za nią wywoływała w jego głowie ból. Jeszcze tego dnia Bona zostanie własnością innego mężczyzny. Z czasem młodzieniec na pewno upora się z tą stratą, ale postanowił, że zachowa głęboko w sercu pamięć o niej.

Z tego powodu chciał na jakiś czas wyjechać z najemnikami i udowodnić samemu sobie, że jest mężczyzną, a nie chłopcem trzymającym się matczynej spódnicy. Gdy wróci, poprosi Trudi o rękę. Nie wierzył, że Gressingen go ubiegnie. Gdyby ten mężczyzna naprawdę był nią zainteresowany, to dawno temu by się oświadczył, aby uprzedzić innych, którzy mogliby ubiegać się o względy bogatej dziedziczki. Z pewnością Gressingen przybyłby również ni, na wesele w Fuchsheim, jako jeden z pierwszych, żeby pokazać, do kogo należy Trudi. Ale jak do tej pory Gressingen się nie zjawił.

13.

Ludolf von Fuchsheim nakazał kilku swoim chłopom pańszczyźnianym wyprowadzić bydło z obór i zaszlachtować, aby mógł ugościć weselników. Gdy patrzył, jak nieuchronnie zbliża się do ruiny, przeklinał ludzi, którzy zmusili go do poniesienia tak olbrzymich kosztów i wyprawienia książęcego wesela, nie wspierając go w najmniejszym stopniu. Tego dnia zostałyby wasalem księcia biskupa z Würzburga, pana Albrechta Achillesa von Brandenbura-Ansbacha, a nawet osmańskiego sultana, byleby dostać w zamian mieszek pełen złota.

Jego córka martwiła się z innego powodu. Ponieważ Trudi siedziała teraz przy stole Ansbacha, Bona przed ślubem nie miała okazji z nią porozmawiać. Dopiero gdy ksiądz błogosławił jej małżeństwu z Mertelsbachem i poprowadzono ich do dużej sali, udało się jej chwycić Trudi za rękaw.

— Nie zapomnij, co mi obiecałaś.

Trudi uśmiechnęła się i uspokoiła przyjaciółkę: — Nie martw się.

Choć udawała przed Boną, że panuje nad sytuacją, nie była pewna, czy wszystko pójdzie gładko. Będzie musiała zabrać ten przedmiot ze skrytki w starej wieży i niepostrzeżenie przemycić go do komnaty Bony, w której

panna młoda miała spędzić noc poślubną. Poza tym Trudi ciągle jeszcze czuła nieprzyjemne skutki wypicia nadmiernej ilości wina. Ale nic jej nie może przeszkodzić w tym, by pomóc Bonie.

Maria nie czuła się lepiej niż jej córka, chociaż piła wino w umiarkowanych ilościach. Właściwie chciała posiedzieć z gośćmi i nawiązać rozmowy z potencjalnymi koalicjantami. Zamiast tego nawet podczas uczyty musiała przebywać w kuchni lub w piwnicy, by dopilnować wszystkiego i pełnić obowiązki gospodyni, bo siostra Fuchsheima już bladym świtem była tak pijana, że siedziała tylko w kącie w kuchni i wydawała bezsensowne i sprzeczne ze sobą polecenia. Ponieważ Ansbach wciąż trzymał przy sobie Trudi, Maria poprosiła Lisę i Hildegardę, by jej pomogły. Obie panienki nadzorowały służbę i sortowały potrawy według ich wyglądu oraz smaku, w zależności od tego na który stół miały one trafić. Starannie pilnowały, żeby pan Albrecht von Brandenburg-Ansbach, prałat rzymski, para nowożeńców, ojciec panny młodej i jeszcze kilku innych dostojniejszych gości dostawali najlepsze jedzenie. Gościom o niższej randze mogła się trafić częściowo spalona na węgiel pieczeń lub zupa, do której oszczędnie dodano przypraw i soli.

Do takich pechowców należał też junkier Peter, który wpatrywał się z odrazą w porcję mięsa na swoim talerzu. Przymierzył się do odkrojenia kawałka, ale gdy ostrze noża nie dawało sobie rady z żyłastą masą, wyburczał z niezadowoleniem: — To mięso pochodzi chyba z muła Matuzalema.

Bez żenady wyrwał sąsiadowi nóż z ręki i zaczął ostrzyć nim swój własny. Zgrzyt dotarł do uszu osób siedzących przy stole przeznaczonym dla honorowych gości.

Trudi podniosła głowę i rozpoznała mężczyznę, z którym starlii się w Dettelbachu.

Wydeła pogardliwie usta i zwróciła się do siedzącego przy niej Ansbacha: — Nie uważacie, wasza wysokość, że zachowanie niektórych ludzi pozostawia wiele do życzenia?

Najemnik podniósł wzrok i uśmiechnął się drwiąco: — Ach, panna z Kibitzsteinu. Gdybyście byli tak dobrzy i raczyli mi podać swój język, byłbym wdzięczny. Wasz język na tym zamku będzie jedyną rzeczą wystarczająco ostrą, by pokroić to mięso.

Ta cięta riposta w pierwszym momencie zdumiała ją, lecz po chwili w jej i tezach zapłonął gniew.

— Jeśli wasze mięso jest zbyt łykowate, weźcie tę porcję!

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, sięgnęła do tacy z kawałkami pieczeni, chwyciła świńską głowę i rzuciła ją w rycerza Eichenloh, który spokojnie patrzył na jej poczynania. Chciał uchwycić pocisk, jednak w tym momencie potracił go parobek niosący tacę pełną ryb, w związku z tym świńska głowa trafiła go najpierw w twarz, a potem spadła do dużej miski z sosem, który obryzgał ubranie najemnika i ludzi, którzy siedzieli blisko niego.

Podczas gdy Eichenloh i popryskani goście z zaskoczenia stracili mowę, pozostali biesiadnicy wybuchli gromkim śmiechem. Trudi wstała i skłoniła się na wszystkie cztery strony świata, żeby podziękować za aplauz, a następnie położyła sobie kawałek mięsa na talerzu i zaczęła z apetytem jeść.

— Jak widzicie, mój nóż tnie lepiej niż wasz — powiedziała z pełnymi ustami.

— Posłuzcie się swoim językiem. On przeciąłby nawet stal. Wściekły Eichenloh chwycił świńską głowę, z której kapał sos. Chciał ja z powrotem odrzucić, lecz pewien stary rycerz, który od góry do dołu popraskany był sosem, powstrzymał go.

— Chcecie sami sobie zaszkodzić, człowieku? Jeśli traficie Brandenburczyka albo rzymskiego prałata, nie dacie rady na tyle szybko uciekać, by nie dogoniła was ich zemsta.

Junkier z zalem musiał przyznać staremu rację. Wystarczyło, że biskup z Würzburga prześladował go swoją nienawiścią, a już szanse najemnika na znalezienie majątnego zleceniodawcy znacznie się skurczyły. Nie mógł pozwolić sobie na kolejnych wrogów. Jednak winien był tej złośliwej dziewczce odpowiedź.

Wytarł sobie sos z twarzy i spojrzał na nią.

— Panno Hiltrudo von Kibitzstein, przysięgam na mój honor, że będziecie tego rzutu żalowali tak jak i waszych złośliwych słów.

Tego było Michałowi za dużo. Wstał i uderzył gniewnie pięścią w stół.

— Nie waż się grozić mojej córce!

— Nie wtrącajcie się, panie rycerzu herbu kufel piwa.

Eichenloh był tak wściekły, że przed wszystkimi ludźmi zrobił aluzję do pochodzenia Michała. Tu i ówdzie rozległ się stłumiony chichot, a niektórzy dumni ze swego pochodzenia szlachcice, którzy od dawna zazdrościli Kibitzsteinowi zamożności i pozycji, zaczęli bić brawo. Junkier Peter pożałował swych słów, ledwo zdążył je wypowiedzieć. Michał Adler był przecież człowiekiem, który zdobył wszystko dzięki swym zdolnościom i poświęceniu, a takich ludzi najemnik darzył szacunkiem.

— Macie rzadko spotykany talent przysparzania sobie wrogów, Eichenloh. Michał Adler nie zapomni wam tak szybko, że obraziliście jego córkę i jego samego.

Stary rycerz, mówiąc te słowa, zachichotał, bo rozrywka, jaka stała się właśnie jego udziałem, warta była plam na odświętnym odzieniu.

Michał przez chwilę się zastanawiał, czy ma podejść do najemnika i pociągnąć go do odpowiedzialności za te słowa, ale nie chciał wywoływać animozji podczas tak radosnej uroczystości. Honor jednak wymagał, żeby przynajmniej na przyszłość zagroził najemnikowi odwetem. Począł, aż w sali nieco ucichnie hałas, skrzyżował ręce na piersi i spojrzał gniewnie na rycerza Eichenloh.

— Zapamiętam sobie te bezczelne słowa i we właściwym momencie wam na nie odpowiem. Ale teraz świętujmy dalej. Pan Moryc już się nie może doczekać, by znaleźć się w łożu dla nowożeńców.

Mertelsbach rzucił swej młodej żonie pożądlive spojrzenie.

— Ach, miałbym ochotę już teraz przystąpić do szturm, żeby zdobyć twą twierdzę.

— Nie upijcie się za bardzo, bo się wam nie uda — zawołał jeden z jego przyjaciół ponad stołami, a margrabia Ansbach stwierdził: — Rycerza, któremu tak spieszo do żony, nie należy powstrzymywać, podobnie jak takiego, który chce z wrogiem skrzyżować lance. Jutro ma się odbyć turniej. Panie Michale, przy tej okazji na pewno znajdziecie możliwość udowodnienia panu von Eichenloh, że jeszcze nie zardzewieliście.

Brandenburczyk uśmiechnął się, mówiąc te słowa, bo zapowiadało się jeszcze wiele rozrywek. A przecież zjawiał się tu tylko po to, żeby popsuć humor zwolennikom Würzburga.

Michał przytaknął z ulgą. O turnieju nie pomyślał. Teraz dojrzał możliwość obrony swego honoru i pokazania rycerzowi Eichenloh, gdzie raki zimują. Nie zwrócił uwagi na to, że jego przeciwnik jest młodszy i prawdopodobnie bardziej wyćwiczony.

14.

Propozycja Albrechta Achillesa, by zaraz po obiedzie odprowadzić nowożeńców do ich komnaty, spotkała się z ogólnym uznaniem, największym tu z wyjątkiem ze strony Moryca von Mertelsbacha, który chciał jak najszybciej zapomnieć o swym wdowieństwie w ramionach nowej żony. To jednak spowodowało, że obie panny wpadły w popłoch. Bona próbowała zyskać na czasie. Goście sądzili, że czyni to z dziewiczego wstydu i lęku. Podjudzali jeszcze bardziej pana młodego sprośnymi odzywkami. Przerażona panna młoda rozejrzała się za przyjaciółką, ale tej nie było już w sali. Trudi pobiegła spieszenie do kuchni, żeby stamtąd dostać się do starej wieży.

— Do wychodka idzie się w innym kierunku — zawołała za nią jedna ze służących, która źle odczytała jej zamysły. Trudi nie zwróciła uwagi na te słowa, lecz przemknęła za plecami matki, rugającej właśnie kucharkę. Chwilę potem była już w pokoiku na wieży i drżącymi rękoma otworzyła skrzynię. Musiała trochę pogrzebać, nim znalazła szkatułkę, którą jej poprzedniego tlua pokazała Bona. W środku znajdował się przedmiot, którego jej przyjaciółka pilnie potrzebowała.

Chodziło o pęcherz jednej z wielu kur, które zostały zabite na przyjęcie weselne.

Ponieważ Bona pomagała przy tej pracy, udało jej się niepostrzeżenie zabić go i napełnić świeżą kurzą krwią. Wczesnym rankiem ukryła tu pęcherz, żeby potem przyjaciółka mogła go zabrać i potajemnie podać jej w komnacie nowożeńców.

Trudi ukryła miękki przedmiot w kieszeni i zbiegła z wieży, przeskakując i o drugi stopień. Gdy wbiegła do sali, okazało się, że niewiasty już odpro wadziły pannę młodą na górę, a panowie czekali u schodów i zmuszali pana młodego do wypicia jeszcze jednego kielicha.

Trudi stwierdziła, że nie uda jej się przemknąć obok mężczyzn, ale znała zamek doskonale i wiedziała, że jest jeszcze jedna droga na górę. Pobiegła więc ku innym schodom. Udało jej się w porę dogonić damy i dyskretnie do nich dołączyć.

Na czele pań szła krewna Mertelsbacha, pani Elgarda von Rendisheim, bo siostra Fuchsheima upojona winem spała mocno w kącie dużej sali i nie udało się jej dobudzić. Zamiast upitej gospodyni Maria przez cały czas doglądała wszystkiego i troszczyła się, żeby żarty i docinki nie były zbyt wulgarne. Jako jedyna dostrzegła nieobecność Trudi i zmarszczyła czoło, gdy ta z ziajaną ale z widoczną ulgą wmieszała się między inne niewiasty. Ponieważ Maria nie miała najlepszej opinii o Bonie, domyśliła się, co uknuły panna młoda i jej córka. Kasztelanka uważała, że pan młody jest szczególnie niesympatyczny, więc również się przejęła, że Bona może gorzko pożałować utraconego dziewictwa. Dlatego postanowiła nie przeciwdziałać akcji, lecz wręcz przeciwnie, mieć oczy otwarte i przypilnować, żeby wszystko się udało. Upomniała Trudi spojrzeniem i dostrzegła, że córka stara się spokojniej oddychać.

Tymczasem potężnie zbudowana Elgarda von Rendisheim otworzyła drzwi komnaty, zatrzymała się na progu i zlustrowała krytycznym wzrokiem

wnętrze.

Dzięki temu odwróciła uwagę od Trudi, której udało się zasygnalizować uśmiechem Bonie, że wykonała jej zlecenie.

Maria powoli traciła cierpliwość dla pani Elgardy, która nie chciała ustąpić z progu i zrobić przejścia. Sądząc po szeptach, inne niewiasty też były niezadowolone.

— Bądźcie tak dobrzy i pozwólcie nam wejść. Panowie zaraz przyprowadzą pana młodego. Nie chcecie chyba, żeby zastali nas tu wszystkie na korytarzu?

W końcu Herta von Steinsfeld wepchnęła panią Elgardę do środka, mówiąc: — Zróbcie przejście, inne też chcą wejść. Następnie weszła do komnaty, ciągnąc za sobą Bonę.

Panna młoda, ubrana w zieloną suknię i różową halkę, z włosami po raz ostatni splecionymi w warkocz i nieosłoniętymi czepkiem, wyglądała, jakby miała ochotę uciec. Robiła wrażenie kruchej, przerażonej i bardzo młodej.

Matka Hardwina pchnęła ją na łóżko.

— Nie wstydz się tak. Nawet jeśli nie wiesz, jak to się robi, to pan Moryc wie na pewno.

— On ma już tyle dzieci, że na pewno wie! — wtrąciła inna niewiasta, chichocząc.

— Nie mam pojęcia, co on sobie myśli, żeniąc się z taką młodą panną. Dziarska wdowa by mu na pewno wystarczyła — rzekła zgryźliwie pani Elgarda.

Kilka kobiet roześmiało się, bo zrozumiały, kogo miała na myśli, mówiąc o wdowie.

— Może dla pana Moryca jest ona trochę zbyt dziarska — szepnęła Trudi do ucha matce.

Usta Marii drgnęły. Nie wiedziała dokładnie, jak blisko Mertelsbach spokrewniony był z tą niewiastą, jednak za wystarczająco dużą ofiarę przedstawiciele Kościoła Świętego przymykali zazwyczaj oko na takie sprawy. Moryc von Mertelsbach prawdopodobnie nie poszedł tą drogą, bo miał apetyt na Fuchsheim, który kiedyś przypadnie w spadku Bonie. Ostatecznie była ona jedynym dzieckiem rycerza Ludolfa, który jednakże zapowiedział, że też się jeszcze raz ożeni.

Tymczasem inne niewiasty drażniły się z Boną i opowiadały, jak głęboko mąż w nią wejdzie. Długość, jaką pokazywały rękami, mogłaby zawstydzić niejednego ogiera.

Bona dzięki swemu doświadczeniu z Hardwinem wiedziała, jak mężczyzna w tym miejscu jest zbudowany, ale udawała przerażenie: — Na Boga! On mnie zabije! Czegoś takiego nie może przeżyć żadna kobieta!

— Nie straszcie jej, jest już dosyć zdenerwowana — skarciła je Maria i zwróciła się bezpośrednio do Bony: — Bóg w swym miłosierdziu zrobił tak, że jedno do drugiego pasuje. Na początku będzie trochę boleć, jednak to szybko przejdzie i w przyszłości będziesz się cieszyć, gdy twój mąż do ciebie przyjdzie.

— Gdyby wyszła za młodego, przystojnego rycerza, to na pewno bardziej by się cieszyła, niż na tego trzęsącego się starca, który mógłby być jej dziadkiem.

Mówiąca te słowa kobieta miała w domu całe stado córek, które były już starymi pannami, i wszyscy wiedzieli, że je bezskutecznie próbowała zeswatać z Mertelsbachem.

Inne niewiasty nie zwracały uwagi na jej złośliwe słowa, lecz wpatrywały się w Bonę, która leżała już rozebrana na łóżku. Panna młoda miała ładną fi gurę. Nie była ani zbyt drobna, ani zbyt masywna i na pewno jej mąż będzie zachwycony w łóżku. Tylko na brzuchu była być może troszkę zbyt pełna.

Maria, która również przypatrywała się Bonie, przestraszyła się, gdy zobaczyła jej brzuch, ale nie dawała tego po sobie poznać. Najwidoczniej Bona nie tylko straciła swój wianek, ale też zaszła w ciążę. Była to rzecz, której nie można traktować lekko.

Nawet jeśli sam Mertelsbach się nie zorientuje, kiedy Bona mu urodzi pierwsze dziecko, inni na pewno sobie wszystko obliczą. Maria zdenerwowała się na córkę, że ta dała się Bonie namówić na udzielenie pomocy. Jeśli wszystko wyjdzie na jaw, to i reputacja Trudi na tym ucierpi.

— Pośpieszcie się, słyszę, że panowie już nadchodzą — ponagliła niewiasty.

Kilka z nich pogłaskało jeszcze Bonę po brzuchu, wżgórku łonowym i piersiach i wypowiedziało z cicha prastare błogosławieństwa, których słowa przekazywane były z pokolenia na pokolenie. Następnie Trudi uniosła narzutę. Wszyscy ujrzeli pod spodem śnieżnobiałe prześcieradło, które matka Bony według starej tradycji własnoręcznie utkała i wybieliła specjalnie na noc poślubną córki. Nigdy jeszcze nie było używane i nie będzie już więcej używane, lecz zajmie honorowe miejsce w skrzyni.

Maria stanęła obok Trudi, żeby przypilnować, by córka nie zrobiła jakiegoś głupstwa, a Bonie pokazała, że ma się położyć. Bona zrobiła to z ociąganiem i spojrzała na Marię zmieszana.

Kasztelanka rzekła do zgromadzonych niewiast: — Jak wszystkie widziałyśmy, narzeczony może być zadowolony. Miejmy nadzieję, że Bona też będzie z niego zadowolona.

Słowa te wywołały ogólny chichot, tylko Elgarda von Rindesheim się oburzyła: — Pan Moryc jest człowiekiem w najlepszych latach i wie, jak można niewieście sprawić przyjemność.

— Chyba wam robił taką przyjemność — docięła jej jedna z pań.

Pani Elgarda zrobiła się czerwona na twarzy, co zdradziło, że Mertelsbach w czasie swego wdowieństwa szukał u niej pocieszenia. Maria rzekła w tym momencie do córki: — Pocałuj swoją przyjaciółkę i wychodzimy. Tu taka dziewczica jak ty nie ma nic do roboty.

Słowa te przestraszyły zarówno Trudi, jak i Bonę, bo myślały, że nie znajdą możliwości ukrycia kurzego pęcherza w łóżku.

Trudi podeszła do Bony i pochyliła się nad nią. Poczwała na twarzy przerywany oddech przyjaciółki, a w jej oczach dojrzała panikę. Całując Bonę w policzek, wyciągnęła z rękawa pęcherz i schowała go pod narzutę. Teraz mogła się tylko modlić, żeby komuś nie przyszło do głowy jeszcze raz oglądać prześcieradła, zanim Bona weźmie pęcherz. Trudi nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co by się stało, gdyby panowie z narzeczonym przyszli za wcześniej i któryś z nich odkrył tę rzecz.

— Życzę ci szczęścia! Niech twój małżonek będzie tak silny, że już tej nocy zrobi ci dziecko — powiedziała Trudi, gdy się wyprostowała.

— Słyszycie tę turkawkę? Ona myśli, że brzuch od razu rośnie, jak tylko mężczyzna włoży swój pręcik, gdzie należy — zadrwiła jedna z pań.

Maria klepnęła córkę lekko w pupę.

— No, wychodź już.

Zadowolona Trudi wymknęła się z pokoju. Maria, która wszystko

bacznie obserwowała, ale nie zauważyła, jak córka przekazuje Bonie pęcherz z krwią, wyszła w ślad za nią.

Pierwsi panowie stali już pod drzwiami, jednak w tej chwili nikt nie zwracał uwagi na komnatę nowożeńców, bo wszystkie spojrzenia skierowane były w dół. U podnóża schodów stali mianowicie naprzeciw siebie Michał i Otto von Henneberg.

Młody hrabia był pijany i stracił wszelkie zahamowania. Chwiejąc się na nogach, próbował szarpać się z Michałem, lecz ten z łatwością go odtrącał.

— Twoja córka nie zrobiła mi tego bezkarnie, piwny rycerzu! Ona mi jeszcze za to zapłaci, a wy razem z nią!

Chociaż Hennebergowi płatał się język, każdy zrozumiał treść jego słów.

Michał patrzył z góry na młodego mężczyznę jak na ujadającego psa.

— Jeżeli mojej córce choć włos spadnie z głowy, dorwę was i każę powiesić jak pospolitego złodzieja. A teraz zejście mi z drogi!

Odepchnął mocno hrabiego i odwrócił się od niego z pogardą. Otto został przytrzymany przez kilku panów, którzy mu pomogli stanąć pionowo na nogach.

Jednocześnie młody Henneberg usłyszał kilka niemiłych uwag odnoszących się zarówno do jego uczynku, jak i obecnego stanu. Rozeźlony młodzieniec całkiem stracił panowanie nad sobą, wyciągnął z pochwy sztylet I CHciał się rzucić na Michała.

Eichenloh wybił mu broń z ręki. Sztylet upadł na schody, potoczył się kilka stopni w dół i zatrzymał u stóp spóźnionego gościa. Podczas gdy wszy scy zaabsorbowani byli uspokojeniem wściekłego hrabiego, nowo przybyły człowiek podniósł broń, której rękojeść wysadzana była klejnotami.

Gościem tym był Gressingen, który do końca walczył ze sobą, czy ma przyjechać do Fuchsheimu czy nie. O fiasku akcji Ottona dowiedział się dopiero w Gerolzhofen i umierał ze strachu, że Henneberg oskarży go o podżeganie do tej napaści. Jeżeli tak by się stało, nie mógłby wykonać zlecenia księcia biskupa i straciłby wszystko.

Ponadto gniew hrabiego Ottona mógłby się obrócić przeciwko niemu zamiast przeciw Trudi, a myśl o Michale Adlerze również powodowała, że ciarki przechodziły mu po plecach.

Gdyby rycerz Kibitzstein się dowiedział, kto stoi za napadem na jego córkę i służące, Gressingen mógłby zacząć obawiać się o swoje życie. Ale jeśli Adler jeszcze nic o tym nie wie, to z kolei istnieje niebezpieczeństwo, że podczas wesela w Fuchsheimie będzie próbował zmusić go do małżeństwa z Trudi. Wszystko to sprawiło, że Gressingen ociągał się z przyjazdem. Dręczyła go jednak świadomość, że księżę biskup oczekuje od niego, aby wyszpiegował, jakich tajemnic strzegą wrogowie Würzburga. Dlatego ostatecznie ruszył w drogę.

Teraz wpatrywał się w sztylet Henneberga i próbował odgadnąć, co się stało.

Najwidoczniej ten młody głupiec zaczął awanturę z Michałem Adlerem i źle się to dla niego skończyło. Zakławszy pod nosem, Gressingen ukrył sztylet pod kaftanem i poszedł za panami udającymi się do komnaty nowożeńców. Bona von Fuchsheim była śliczną białogłową i większość panów chciała rzucić okiem na jej nagą postać, nie zważając na tłok i przepychanki.

Gressingen widział już wprawdzie półnagą Bonę, mimo to też

przepychał się do przodu i zdołał na moment ją zobaczyć, sztywną ze strachu, leżącą na prześcieradle i błagającą pewnie wszystkie moce niebieskie, żeby pokładziny wreszcie się skończyły.

Tak w istocie było. Bona wykorzystała czas, jaki minął między zniknięciem kobiet a pojawieniem się panów, i wsunęła sobie pęcherz z krwią do pochwy. Teraz prawie umierała ze strachu, żeby pęcherz nie pękł przedwcześnie i żeby wypływająca krew nie przyniosła jej hańby na oczach wszystkich.

Margrabia Albrecht stał obok pana młodego pośrodku pokoju i opisywał cielesne zalety panny młodej, gestykulując przy tym z uniesieniem. Widać było, że chciał jeszcze podrażnić trochę Mertelsbacha, odwołując się do chwili konsumpcji małżeństwa, bo widział, jak bardzo rycerz się niecierpliwił, by skorzystać ze świeżo nabytego prawa do ciała swej młodej małżonki.

Pratzendorfer też rzucił krótkie spojrzenie na pannę młodą, ale wzruszył tylko ramionami i szybko opuścił komnatę, by zrobić miejsce innym. Na korytarzu prawie się zderzył z Gressingenem. Ponieważ uwaga wszystkich skierowana była na Bonę i nikt nie znajdował się na tyle blisko, że mógłby usłyszeć ich słowa, chwycił junkra i pchnął go w ciemny kąt, gdzie nie można ich było tak łatwo wypatrzeć.

— Późno przyjechaliście.

— Zatrzymano mnie — Gressingen próbował znaleźć wymówkę.

— Powinniście byli wczoraj przyjechać i porozmawiać z ludźmi. Czy może zapomnieliście, komu służycie?

Pratzendorfer mówił cichym głosem, ale jego słowa przenikały Gressingena aż do szpiku kości.

Zrozumiał, że biskup i jego powiernik postrzegają go jak trochę lepszego pacholka, i postanowił udowodnić panu Gotfrydowi, że jest wiernym sługą i należy mi się szacunek. Potrzebował jednak w tym celu zdobyć dla swego zleceniodawcy ciekawe informacje. Nie chciał konfabulować, więc musiał jak najszybciej nawiązać rozmowy z różnymi ludźmi.

Uklonił się prałatowi i chciał podejść do Steinsfelda, który wcześniej i hodził za nim jak pies. Nie sądził, by ten dziecinny chłopiec znał jakieś lajemnice, ale mógłby mu powiedzieć, kto z wrogów biskupa przebywa tu na zamku. Wtem zobaczył kilka kroków od siebie Ottona von Henneberga i się cofnął.

W tym momencie znalazł się w gronie popleczników biskupa z Würzburga, nie mieli oni pojęcia, że gra podwójną rolę i uważali go za rebelianta buntującego się przeciwko swemu feudałowi. Usłyszał kilka obraźliwych uwag, a jakiś mężczyzna wsadził mu nawet łokieć między zębra, żeby go sprowokować.

Gressingen odwrócił się do niego i, wskazawszy ręką na zewnątrz, rzekł: — Jeśli chcecie, możemy jutro się zmierzyć w walce na lance.

— To będzie dla mnie przyjemność, zetrzeć was na proch — odpowiedział szlachcic opryskliwie. Odwrócił się plecami do Gressingena i wraz ze swymi towarzyszami wszedł do komnaty nowożeńców, gdzie Bona i Mertelsbach odsyłała w duchu gapiów do diabła, choć oboje z zupełnie różnych powodów.

Gressingen zazgrzytał zębami i przysięgł sobie, że odpłaci temu nadętemu szlachcicowi za zniewagę. W złości nie zwracał uwagi na otoczenie i nagle znalazł się naprzeciwko mężczyzny, któremu podczas

uroczystości zamierzał schodzić z drogi.

Michał zdegustowany lubieżnością, z jaką mężczyźni wpatrywali się w nagą Bonę, szybko opuścił komnatę. Zastanawiał się, czy ma wrócić do sali, czy poszukać Marii, z którą chciał porozmawiać. Nagle ujrzał przed sobą Gressingena.

Natychmiast podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

— Muszę z wami porozmawiać, junkrze Georgu w miejscu, gdzie nie usłyszą nas obce uszy. — Jego głos zabrzmiał tak złowroźnie, że Georg chciał szukać ratunku w ucieczce. Michał przytrzymał go mocno. — Pójdziecie teraz ze mną.

Pchnął Gressingena w kierunku wąskich kręconych schodów prowadzących do tylnej części dziedzińca. Stamtąd można było przez małą furtkę przedostać się do ogrodu zamkowego. Michał miał nadzieję, że w takim miejscu i o takiej porze nikt nie będzie tam przebywał.

Gressingen poczuł, że wola Michała jest nieugięta i zaklął w duchu, że nie trzymał się z dala od Fuchsheimu. Wymyślił jednak, że może zamydląc oczy Michałowi i powiedzieć, że się z panną ożeni, a potem będzie przesuwiał zaręczyny i ślub aż na święty nigdy.

Myśl ta sprawiła, że udało mu się uśmiechnąć z udawaną uprzejmością. Skłonił się lekko i rzekł: — Jak sobie życzyacie, rycerzu Kibitzstein. I tak chciałem was wkrótce odwiedzić.

Michał widział po nim, że kłamie, i bolało go w sercu, że musi wydać córkę za takiego niegodnego szubrawca, ale uważał za swój obowiązek ratować honor Trudi.

Tak jak sądził, ogród był pusty. Wszędzie była tylko goła ziemia, bo wszystkie główki kapusty, rzodkwie i co tam jeszcze rosło, zostały zebrane, by nakarmić gości.

Ani Michał, ani Gressingen nie zauważyli, że ich śladem kroczy Pratzendorfer.

Prałat stał teraz ukryty w cieniu furtki w murze i podsłuchiwał.

Gressingen postanowił szukać ratunku, maskując się bezczelnością.

— Co to ma znaczyć, panie Kibitzstein? Zachowujecie się tak, jakbyście chcieli mi powierzyć tajemnice, których nikt więcej nie powinien znać.

— Można i tak powiedzieć. Wiecie, Gressingen, nazwałbym was szubrawcem, gdyby nie chodziło o moją córkę.

— Szubrawcem? Cóż za mocne słowo! Odpowiedzcie mi za to!

Ucisk Michała stał się mocniejszy.

— Najpierw ty mi odpowiesz, chłopcze. Trudi wyznała, co zaszło między nią a tobą w lesie pod Fuchsheimem. Nie pozwolę, byś z mojej córki zrobił dziwkę, a potem ją porzucił jak starą rękawiczkę.

Michał zrezygnował z wszelkiej uprzejmości.

Gressingen myślał gorączkowo, w jaki sposób mógłby uwolnić się z potrzasku. Nic mu nie da zaprzeczanie, bo każda położna może sprawdzić, że Trudi nie jest już dziewicą. Ponieważ dopiero po obiedzie przyjechał do Fuchsheimu, nie miał pojęcia, że Trudi spała z margrabią Albrechtem Achillesem I w opinii wszystkich to właśnie z nim utraciła dziewictwo. Gressingen widział tylko rozgniewanego ojca, który uważał, że ma przed sobą kogoś, kto zhańbił jego córkę. Junkier miał wrażenie, że stoi u rozstaju dróg. Jeśli wszystkiemu zaprzeczy, Adler wypowie mu wojnę, która zakończy się śmiercią któregoś z nich. Ale nie mógł też się przyznać i poślubić panny. Nawet jeśli książę biskup i Pratzendorfer uznają to za

element gry i później anulują małżeństwo, to z chwilą kiedy umieści Trudi w klasztorze, uzyska w sąsiedztwie opinię szubrawca, który polował tylko na posag. Był pewien, że przyjaciele Kibitzsieina znienawidzą go i będą pragnęły zemsty za ten czyn. Nie wątpił też, że odwrócą się od niego nawet ci, którzy obecnie stali po stronie Würzburga.

Muszę zyskać na czasie — pomyślał, szukając właściwej odpowiedzi.

Michał mówił dalej: — Margrabia Albrecht Achilles von Brandenburg-Ansbach upodobał sobie moją córkę podczas uroczystości weselnych. Wiesz, co się z tym wiąże, ledziak chyba będziesz mógł się z tym pogodzić. Teraz wrócisz ze mną do sali I oznajmimy publicznie, że jesteś zaręczony z Trudi. Za dwa miesiące wyprawimy ślub. Do tego czasu będziemy wiedzieć, czy wasz pierwszy syn będzie wychowywany na dworze margrabiego, czy może zostać u was.

Gressingenowi zakręciło się w głowie. Trudi spała z Brandenburgiem, i tym samym nie była już dziewicą i nikt nie mógł pociągać go do odpowiedzialności za utratę wianka. Ale spojrzenie w twarz Michała pozbawiło go nadziei, która na krótki moment w nim zaświtała. Kasztelan nie zadowolony niczym innym jak oficjalną deklaracją, że Georg poślubi jego córkę.

Przez moment Gressingen zastanawiał się, czy w związku z tym nie powinien zmienić swoich planów. Poprzez małżeństwo z Trudi mógłby zostać wasalem Albrechta Achillesa i dostać od niego niezłe lenno, a do tego otrzymałby też okazały posag. Ale jeśli poczyni ten krok, księżę biskup z Würzburga będzie chciał bezwzględnie ukarać go za nielojalność.

Myśl o tym spowodowała, że spanikował. Związał się z biskupem i Pratzendorferem na dolę i niedolę i złożył świętą przysięgę. Wprawdzie prałat mógłby unieważnić wymuszone zaręczyny, a nawet małżeństwo, ale gdyby tak się stało i odtrąciłby Trudi, obraziłby margrabiego, który stałby się jego równie zaciekle wrogiem.

— Ja... ja... będę... — wyjąkał i skrzyżował ręce na piersiach, na skutek czego poczuł, jak sztylet Ottona von Henneberga naciska mu na żebra.

W jednej chwili Gressingen poczuł napięcie, które sprawiło, że krew szybciej popłynęła mu w żyłach. Rozejrzał się badawczo, czy nikogo nie ma w pobliżu. W ogrodzie byli tylko oni dwaj.

Odetchnął głęboko i spojrzał na ziemię, jakby się wstydził.

— Przebaczcie mi, że pozbawiłem waszą córkę dziewictwa, dałem się ponieść namiętności. Oczywiście, że się z nią ożenię. Nie miałem tylko śmiałości stawać przed wami jako rycerz bez majątku i prosić o jej rękę. Czynień to teraz i proszę was, żebyście mnie uścisnęli jako swego zięcia.

Michał poczuł ulgę, że Gressingen ustąpił. Nawet jeśli ten mężczyzna nie był zięciem, jakiego sobie życzył, to jednak Trudi będzie miała upragnionego męża. A on przypilnuje, żeby Gressingen dobrze ją traktował. Dlatego kasztelan otworzył ramiona i objął junkra.

Gressingen, nim objął Adlera, wyciągnął niepostrzeżenie sztylet spod kaftana.

Odczekał krótki moment, a potem wbił Adlerowi z całej siły ostrze w bok.

Michał chciał krzyknąć, ale Gressingen zatkał mu lewą dłońią usta.

— Umieraj, piwny rycerzu — wycedził drwiąco przez zęby i przytrzymał go, póki ciało nie stało się bezwładne. Potem puścił martwego

rycerza na ziemię i wpatrywał się w swoją ofiarę, ciężko oddychając. Patrząc w niewidzące oczy trupa, w których ciągle jeszcze było zdziwienie, zaśmiał się ironicznie i odwrócił z ulgą.

Gdy przechodził z powrotem przez furtkę, stanął przed nim nagle Cyprian Pratzendorfer. Gressingen sięgnął odruchowo po swój własny sztylet, który miał przypasany do boku. Prałat podniósł rękę i rzekł: — Synu, sądzę, że jeden mord na razie wystarczy. Wygląda na to, że właśnie uwolniłeś księcia biskupa od niewygodnego sąsiada. On ci z pewnością za to podziękuje. Mimo to powinieneś opuścić natychmiast zamek i na razie mc pokazuj się we Frankonii. Inaczej ludzie mogliby się domyślić i odpłaciliby ci za ten mord taką samą monetą. Ale nie będziesz podróżował bez celu. Znam pewnego pana, który może potrzebować kogoś, komu nie drży ręka, gdy trzeba użyć sztyletu.

— Nie jestem skrytobójcą — uniósł się Gressingen.

Pratzendorfer roześmiał się drwiąco: — A co to właśnie było? Może uczciwa walka?

Gressingen chciał dobyć sztylet, jednak prałat chwycił go za dłoń i ścisnął tak mocno, że junkrowi z bólu w oczach stanęły łzy.

— Zabić sztyletem można szybko, ale trzeba wiedzieć, w jakim momencie można go dobyć. Niejeden wyciągnął broń w niewłaściwej chwili i został za to pocięty na kawałki. Ale ty powinieneś wiedzieć, kiedy opłaca się zaryzykować. A zapewniam, że będzie ci się opłacać.

— Czy mam oczekiwać czegoś więcej niż tego, co mógłby mi zaoferować książę biskup?

Pratzendorfer stwierdził z zadowoleniem, że Gressingen połknął haczyk.

— Masz zapewniony tytuł hrabiego oraz majątek adekwatny do tego tytułu.

Gressingen spojrzał badawczo na prałata.

— Powiedzcie mi, kim są wasi przyjaciele i gdzie mogę ich znaleźć.

Na jego twarzy mieszał się strach przed odkryciem z pragnieniem sowitego wynagrodzenia. Im więcej mil będzie go dzielić od trupa, tym mniej się będzie musiał bać.

Prałat położył mu rękę na ramieniu i szepnął kilka słów do ucha. Gressingen odetchnął. W tej miejscowości będzie bezpieczny, a samo nazwisko nowego zleceniodawcy obiecywało mu świetlaną przyszłość.

— Powinieneś już iść, mój synu. Wsiadaj na konia i jedź najszybciej, jak tylko możesz. Jeżeli przyjaciele będą o ciebie pytać, przeproszę ich w twym imieniu za twoją nieobecność.

Rada ta była Gressingenowi na rękę. Poprosił prałata, by ten jeszcze raz p, o pobłogosławił i zmazał z niego grzechy. Duchowny zrobił w jego kierunku znak krzyża, wymamrotał łacińską formułkę i wskazał ręką ścieżkę, która poprzez tylne międzymurze prowadziła do stajni. Chociaż dostojnik przebywał na zamku dość krótko, to zdążył się już rozejrzeć i wiedział, jak niepostrzeżenie można przedostać się z jednej części do drugiej.

Gressingen pobiegł spiesźnie do wskazanej mu bramy, osiodłał własnoręcznie konia i wyprowadził go ostrożnie z zamku. Widziało go tylko kilku przemęczonych stajennych, którzy się ucieszyli, że ich wyręczył i że mogli dalej odpoczywać.

Szybko też zapomnieli, iż ktoś w pośpiechu opuścił zamek.

Również Pratzendorfer wyszedł z ogrodu. Wspiął się po wąskich,

stromych, staromodnie kręconych schodach. Nie dostrzegł sługi wychodzącego właśnie z kuchni i idącego do ogrodu w celu sprawdzenia, czy się nie znajdzie tam jeszcze nieco warzyw lub ziół, które można by było dodać do warzonych dla gości straw.

CZEŚĆ CZWARTA

Przed daleką podróżą

1

Maria najchętniej wymierzyłaby Trudi kilka siarczystych policzków, bo panna zachowywała się wprost bezwstydnie. Piła za dużo i śmiała się przy tym tak głośno, że jej głos wybijał się ponad wszystkie inne dźwięki w sali. Najwidoczniej straciła głowę, bo margrabia Albrecht Achilles zwrócił na nią uwagę. Maria nie miała pojęcia, że Trudi piła tylko dlatego, żeby nakłonić Albrechta Achillesa, by poszedł w jej ślady. Chciała, by znów nie był w stanie uczynić tego, na co miał ochotę. Poza tym była rozczarowana, bo Georg von Gressingen ciągle jeszcze nie przybył.

Martwiła się o niego.

Zdegustowana Maria odwróciła się do córki plecami i zaczęła szukać wzrokiem Michała, którego nie widziała od chwili, gdy panna młoda została odprowadzona do swojej komnaty.

Kilka kroków od niej siedział przy stole skulony Otto von Henneberg, który publicznie zaprzysiągł zemstę Michałowi. Obok niego siedział najemnik Eichenloh, człowiek wielce niemoralny, jak zewsząd słyszała. Również ten i człowiek groził jej mężowi i córce. Na widok ich obu Maria się wzdrygnęła w niejasnym poczuciu zagrożenia. Ale szybko jej myśli powróciły ku Trudi i jej nieobyczajnemu zachowaniu.

Wcześniej Maria cieszyła się na przyjęcie weselne w Fuchsheimie, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, rada była, że będzie mogła porozmawiać z sąsiadami. Po drugie, była to jej pierwsza dłuższa podróż od wielu tygodni. z powodu swej rany nie mogła opuszczać zamku, jedynie czasem wybierała się do kozłarni. Teraz jednak żałowała, że przyjechała do Fuchsheimu i zabrała Trudi ze sobą. Widząc córkę, zadawała sobie pytanie, jakie błędy wraz z Michałem popełniła w jej wychowaniu.

Trudi robiła wrażenie pustej dzierlatki, która daje się urzec świecidełkom i czułym słówkom. Szkoda, że jako dziecko nie dostała czasem porządnie po tyłku. To by ją nauczyło more-su. Ale Michał zawsze brał w obronę swą pierworodną. Maria postanowiła, że nie pozwoli już mężowi wtrącać się w wychowanie córki. Teraz będzie trzymać Trudi krótko.

Zaprzątnięta ponurymi myślami wykonywała jednocześnie obowiązki pani domu, zastępując siostrę gospodarza. Dlatego nie zauważyła drżącego ze zdenerwowania sługi, który podszedł do Fuchsheimu i coś mu relacjonował. Rycerz Ludolf potrząsnął kilka razy z niedowierzaniem głową, ale wstał i przeprosił margrabię Albrechta Achillesa, mówiąc, że wzywają go obowiązki. Gdy po chwili wrócił, jego twarz była blada, jakby zobaczył ducha.

— Wybaczcie, wasza wysokość, ale stało się coś strasznego — powiedział do Brandenburczyka, który zajęty flirtowaniem z Trudi spojrział na niego niechętnie, zły, że rycerz mu przeszkadza.

— Co się stało? — zapytał margrabia.

— Ktoś został zamordowany.

— Zamordowany? Jak to się mogło stać?

Brandenburczyk rzekł te słowa na tyle głośno, że dotarły nawet do mocno otumanionej winem Trudi. Podniosła głowę i spojrzała na Fuchsheima, którego nerwowe spojrzenie wędrowało między nią a jej matką. Poczowała, że żelazna ręka zaciska się na jej sercu.

— Macie uprawnienia sądownicze, czy trzeba sprowadzić któregoś z okolicznych wójtów? — zapytał margrabia Fuchsheima.

— Mam, ale tylko na podstawie starej tradycji, bo nie ma na to żadnego dokumentu.

Książę z Würzburga kwestionuje teraz moje uprawnienia.

— W takim razie lepiej chyba będzie, jeśli wezwiecie któregoś z wójtów podlegających Würzburgowi.

— Nie trzeba daleko szukać, kilku z nich przybyło na wesele — wtrącił Magnus von Henneberg, który też został uhonorowany miejscem przy stole margrabiego.

— Macie może na myśli swojego brata, który nie sięga rozumem poza czubek swego nosa? — Trudi zwróciła się do niego z ironią. Jej głos, który jeszcze przed chwilą był nieco senny, znów brzmiał ostro i dźwięcznie.

Hrabia Magnus zignorował jej uwagę i rzekł z góry do Fuchsheima: — Jako najwyższy rangą świecki przedstawiciel mojego pana wezmę sprawę w swoje ręce.

Pokażcie mi zabitego i sprawdźcie, czy znajdują się może jacyś świadkowie zabójstwa.

— Pomocnik kuchenny znalazł zwłoki w ogrodzie warzywnym. Ale nikt nie widział zabójstwa, bo miejsce zbrodni można dostrzec jedynie, patrząc na ogród z blanków, a i to tylko wtedy, jeżeli jest się mocno wychylonym. Na Boga w niebiesiech!

Dlaczego musiało się to stać właśnie teraz, kiedy moja córka leży w łożu małżeńskim? To zły omen!

Albrecht Achilles machnął ręką.

— Takie rzeczy zdarzają się najczęściej wtedy, kiedy są najmniej pożądane. Chodźmy więc!

Ansbach nie miał zanadto ochoty iść za würzburskim hrabią. Nawet jeśli Magnus von Henneberg uważał się za przedłużenie ramienia biskupa, to jednak morderstwo miało miejsce w obecności margrabiego i to jemu, jako najwyższemu rangą, przysługiwało prawo do prowadzenia śledztwa.

Margrabia wstał i dał ręką znak Fuchsheimowi i hrabiemu Magnusowi, żeby za nim poszli. Trudi z mozołem stanęła na nogach. Choć chód miała i chwiejny, to niejasne przeczucie kazało jej iść za panami. Inni też chcieli się przyłączyć, ale Brandenburczyk pokazał im ręką, że mają zostać na miejscu.

— Niech wszyscy pozostaną przy stole i dalej ucztuja. Tłumy ludzi na miejscu zbrodni będą tylko przeszkadzać — powiedział kategorycznie. Jego autorytet sprawił, że większość gości zastygła na swoich miejscach. Wójtowie okolicznych grodów i posiadłości, którzy brali udział w weselu, przyłączyli się wszelako do grupy.

Również Maria nie wytrzymała na swoim miejscu, bo zaniepokoiła ją przestraszona twarz córki. Teraz także jej udzielił się strach, więc poszła za margrabią. Prawie jednocześnie z Albrechtem Achillesem znalazła się w ogrodzie warzywnym. Już w pierwszej sekundzie uderzył ją straszny widok. Sama szła granatowe szaty Michała, a Trudi wyhaftowała na nich herb Kibitzsteinu. Teraz cenny materiał przesiąknięty był krwią, a czajka stała nie na skale, lecz na czerwonej plamie. Pod ciałem Michała utworzyła się kałuża

krwi, a wyraz twarzy zdradzał, że śmierć go całkowicie zaskoczyła.

Maria stanęła i skrzyżowała ręce na piersi, Trudi rzuciła się na ciało.

— Tato, nie! — krzyczała, a jej krzyk niósł się po ogrodzie i odbijał od murów.

Albrecht Achilles podniósł ją i przekazał Marii, która stała w osłupieniu i wpatrywała się w ciało oczami, w których zabrakło łez. Bezwiednie objęła córkę.

Przypomniało jej się w wielkim skrócie całe życie, wszystkie etapy, które związane były z Michałem. Oboje wychowali się i dorastali w Konstantynopolu, bawili się razem jako dzieci. Później zaręczona była z innym mężczyzną, którego intrygi sprawiły, że osądzono ją jako nierządnicę i wygnano z miasta. Michał wierzył wtedy w jej niewinność i opuścił rodzinne miasto, żeby jej szukać. Ale wprowadzono go w błąd i znaleźli się dopiero po pięciu latach. Te lata były dla niej tak ciężkie, że do tej pory sniła się jej czasem, a gdy się budzi, z trudem do niej dociera, że jej los już dawno temu się odmienił.

Z pomocą Michała udało jej się udowodnić swą niewinność i postawić dręczycieli przed sądem. Sędziowie od razu też połączyli ich dwoje związkami małżeńskimi, a Michała uczyniono kasztelanem jednego z zamków należących do księcia Palatynatu.

Maria wspomniała lata szczęścia, które spędziła tam z Michałem i które gwałtownie się zakończyły, gdy on musiał iść na wojnę z powstańczymi Czechami. Była w ciąży z Trudi, gdy otrzymała wiadomość, że jej mąż został zabity na wojnie. Nie chciała w to uwierzyć i ruszyła w drogę, by go szukać. Jej modlitwy do Matki Bożej i do Marii Magdaleny, do której wciąż najchętniej się modliła, zostały wysłuchane i znalazła Michała. Ponownie nastąpił okres błogiej szczęśliwości, bo Michał za swoją odwagę został mianowany wolnym rycerzem Rzeszy i otrzymał jako lenno Kibitzstein.

Jednak nie było jej dane zbyt długo żyć w pokoju, bo cienie przeszłości ją dogoniły.

Nieprzyjaciółka żadna zemsty pojmała ją i umieściła na statku niewolników, którego właściciel sprzedał Marię do dalekiego kraju Rosjan. Ponieważ w miejscu, gdzie przepadła Maria, znaleziono zwłoki, została uznana za martwą, a cesarz Zygmunt zmusił Michała do poślubienia młodej damy ze szlacheckiej rodziny. Maria wyruszyła w powrotną drogę do domu. Siły dodawała jej myśl o odebranych przez nieprzyjaciółkę synu, którego tak bardzo pragnęła ponownie ujrzeć. Michał miał teraz dwie żony — ją i tę drugą. Odesłał młodszą i znowu byli razem.

To ostatnie wspomnienie wycisnęło jej z oczu łzy, które jak dwa ciepłe strumyki pociekły po policzkach. Michał był cudowny — jako mąż, jako towarzysz, przyjaciel i jako kochanek. Nie ma drugiego takiego na ziemi. A teraz leżał martwy przed nią, zaszyty. Sztylet wciąż jeszcze tkwił w jego ciele.

Albrecht Achilles von Hohenzollern i hrabia Magnus pochylili się nad zwłokami, by obejrzeć narzędzie zbrodni.

— To był podstępny, nieuczciwy cios! — zawołał oburzony margrabia.

Henneberg poczuł, jak mu się ziemia rozstępowała pod nogami i zaraz go pochłonie.

Znał ten sztylet. Sam dał go w prezencie Ottonowi z okazji jego pasowania na rycerza. Na co dzień brat używał mniej kosztownej broni,

którą jednak stracił podczas napadu na ludzi z Kibitzsteinu. Dlatego na wesele przywiesił sobie do boku ten cenny sztylet. Magnus zobaczywszy, że ta właśnie broń posłużyła do zabicia Adlera, przeraził się tak bardzo, że miał ochotę ją zabrać i ukryć.

Było już jednak za późno, bo Maria wskazała na broń, mówiąc: — Czyż to nie sztylet młodego Henneberga? Tym sztyletem groził wcześniej mojemu mężowi!

Hrabia Magnus próbował bronić brata: — Czy się nie mylicie, pani? Podobne sztylety nosi wielu panów, także ci, którzy zjawili się tu na weselu.

Zrozumiał jednak, że nie ma sensu bronienie Ottona. Wystarczy, że ludzie zobaczą, iż pochwa brata jest pusta, a natychmiast posądzą go, że to on jest zabójcą. A na dodatek takim, który swojego przeciwnika atakuje od tyłu. Magnus osobiście był świadkiem kłótni między Adlerem a Ottonem. Dlatego sam uważał, że to brat jest sprawcą i miał nadzieję, że ten głupiec miał dość rozumu, by postarać się o jakiś inny sztylet, bo inaczej jedynym ratunkiem dla niego będzie szybka ucieczka.

Zabicie człowieka w otwarcie wypowiedzianej wojnie lub w rycerskim pojedynku przynosiło chwałę. Ale ten czyn można było nazwać tylko skrytobójstwem, a za to groził wyrok śmierci. Nawet Gotfryd Schenk z Limpurg mimo swej godności księcia biskupa nie ważyłby się uniewinnić skrytobójcy.

Margrabia Albrecht Achilles widział, że Henneberg toczy wewnętrzną walkę i mimo smutnych okoliczności cieszył się, że hrabia znajduje się w potrzasku.

Brandenburczyk, uśmiechając się złowieszczo, wskazał na zamek i powiedział: — Przekonamy się zaraz, czy podejrzania pani Marii są uzasadnione.

2.

Ottona nie było w sali weselnej. Hrabia Magnus miał nadzieję, że jego brat był na tyle mądry, by opuścić Fuchsheim. Trudi natomiast modliła się do wszystkich świętych, żeby temu człowiekowi jeszcze tego samego dnia została na jej oczach ścięta głowa. Była przekonana, że Otto von Henneberg zemścił się na jej ojcu za to, że go zraniła. Szła, trzymając się mocno matki, jak tonący, który uczepił się rzuconej mu na pomoc gałęzi, i głośno szlochała.

— Wolałabym, żeby hrabia Otto mnie zhańbił, a nie mścił się na ojcu. Maria czuła się tak przybita, że najchętniej schowałaby się w jakimś ciemnym kącie i nigdy z niego nie wychodziła. Musiała jednak wykrzesać z siebie resztki sił, żeby uspokoić Trudi. Teraz podeszły jeszcze Lisa i Hildegarda i zapłakane przytuliły się do niej.

Maria nie wiedziała, jakim cudem nie uległa rozpacz i jeszcze na dodatek poaeszła dzieci. Brandenburczyk obdarzył ją spojrzeniem pełnym współczucia ale jednocześnie też uznania. Jeszcze gdy był młodzieńcem, słyszał co nieco o tej mewieście i teraz rozumiał, jak mogła przetrwać wszystkie niebezpieczeństwa. Nadzieje hrabiego Magnusa rozwiały się, gdy doszli do pomieszczenia służącego za sypialnię. Otto von Henneberg leżał na plecach na sienniku wypchanym słomą i chrapał z otwartymi ustami. Ponieważ nie zadał sobie trudu by się rozebrać, wszyscy mogli zobaczyć pustą pochwę u jego pasa.

— Wygląda na to, że mamy dowód zbrodni — powiedział margrabia z zadowoleniem, że może dokuczyć hrabiemu Magnusowi, którego psia

wierność wobec biskupa już od dawna była mu solą w oku.

Henneberg patrzył na młodszego brata i przeklinał go w myślach. Dał ręką znak, na który wójt Gerolzhofen chwycił śpiącego za ramiona i potrząsnął nim, żeby go obudzić.

— Co się stało? Zostawcie mnie w spokoju! — wybełkotał niewyraźnie hrabia Otto, jako że był pijany w sztok.

— Ottonie, wstawaj! To nie żarty. Popelniono morderstwo.

— Mam to w nosie.

Otto von Henneberg chciał się odwrócić na bok i dalej spać. Wtedy brat brutalnie go kopnął.

— Jesteś podejrzany o to, że to ty zrobiłeś!

— Bzdura — wyburczał hrabia Otto, ale otworzył oczy.

— Padło podejrzenie oto, że zabiłeś rycerza Rzeszy Michała Adlera.

Otto von Henneberg potrząsnął oszołomiony głową i usiadł z trudem.

— Kto tak mówi?

Nim hrabia Magnus zdążył odpowiedzieć, Trudi wymierzyła w Ottona oskarżycielsko rękę i krzyknęła: — Niegodziwcze, to ty zabiłeś mojego ojca!

Wyrwała się szybkim ruchem z objęć matki, wyciągnęła zaskoczonemu margrabiemu sztylet z pochwy i chciała rzucić się na hrabiego.

Wójt Gerolzhofen chwycił ją, nim zdążyła zadać cios, a potem trzymał w uścisku, jak rzucającą się dziką kotkę. Albrecht Achilles musiał mu pomoc przytrzymać pannę. Ale przestała stawiać opór dopiero wtedy, gdy wyciągnięto jej z ręki sztylet.

Szlochając, opadła na podłogę. Maria pochyliła się nad nią i pogładziła delikatnie jej policzek.

— Nie martw się, moja duszko. Morderca odpowie za swój czyn, przysięgam ci.

Hrabia Magnus, czerwony na twarzy, spojrzał na Marię. Widać było, że jest wewnętrznie rozdarty.

— Pani Mario — rzekł — jeśli mój brat faktycznie jest mordercą, to na pewno nie zrobił tego z premedytacją, lecz po pijanemu. Oferuję wam odszkodowanie, jakiego tylko zażądacie. Jeśli chcecie, to ożeni się z jedną z waszych córek i będzie ją raktował z honorami, a wy, jako spowinowacona z rodem hrabiowskim von Hennebergów, będziecie mogli liczyć na naszą ochronę i pomoc.

Składającemu tę ofertę Hennebergowi krwawiło serce. Dotychczas żaden mężczyzna z jego rodziny nie popełnił mezaliansu. Ale żeby ratować brata, sum byłby gotów ożenić się z niewiastą o tak nędznym drzewie genealogicznym jak Trudi lub którąś z jej sióstr przyjąć do rodziny jako szwagierkę.

Brandenburczyk śmiał się w duchu. Wiedział, jak dumny ze swego pochodzenia jest Henneberg, dlatego złośliwie zapragnął przyczynić się do tego małżeństwa. Gdy jednak spojrzał na twarz Marii, zrezygnował. Ta niewiasta zadowoli się tylko głową mordercy.

Otto, chociaż pijany, zrozumiał, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Potrząsnął głową i rzekł: — Ja nie zabiłem Michała Adlera.

— Ach, nie? — zawołała Maria. — Dlaczegoż więc wasz sztylet tkwi w jego Idatce piersiowej? Poza tym każdy słyszał, jak przedtem groziliście mojemu mężowi na schodach, że się krwawo zemścicie!

Głos Marii był tak lodowaty, że mógłby zamrozić wodę. Młody Henneberg spojrział na brata, szukając pomocy.

— Ja naprawdę tego nie zrobiłem. Musisz mi uwierzyć, bracie! — zapewnił. Na to odezwał się margrabia: — Nie tyle chodzi o to, żeby wam wierzył hrabia Magnus, ale o to, co my uważamy za prawdę. Publicznie groziliście rycerzowi Adlerowi, potem poszliście za nim do ogrodu i w gniewie go zasztyletowaliście. Czy możecie zaprzeczyć?

Do Ottona von Henneberga dotarło, że Ansbach już wydał na niego wyrok śmierci.

Młodzieniec w rozpaczyci pocierał czoło i próbował sobie coś przypomnieć. Pamiętał, że po pijanemu znieważał Kibitzsteina i wyciągnął sztylet. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, co wydarzyło się później.

— To me ja! — wykrzyknął bezradnie.

Na twarzy margrabiego ukazała się pogarda. Hrabia Magnus też stracił cierpliwość do brata. Krzyknął: — Ale to był twój sztylet! Ten o rękojeści wysadzanej klejnotami. Dałem ci go w prezencie. Powinieneś być mądrzejszy i nie zostawiać go przy trupie — Był pijany, a pijani najczęściej nie przykładają wagi do tego, co czynią — wtrąciła Maria.

— To naprawdę nie byłem ja — powtórzył hrabia Otto, który miał wrażenie, że czuje już dotyk katowskiego miecza na karku.

3.

Po tym jak Peter von Eichenloh ułożył przyjaciela na słomianym sienniku, pokręcił się jeszcze trochę po dziedzińcu, a następnie na prośbę stajennego poszedł zajrzeć do konia. Gdy chciał wrócić do sali biesiadnej, uderzył go już na schodach hałas, powodowany przez podniecone głosy gości mówiących jeden przez drugiego.

Przytrzymał jedną ze służących, która ze zdenerwowania aż się popłakała, i od niej się dowiedział, że Michał Adler z Kibitzsteina został zamordowany. Chociaż stał się z tym człowiekiem to poczuł żal. Chętnie poznałby go w lepszych okolicznościach. Michał Adler wszystko, co posiadał, osiągnął dzięki sile swego charakteru i był dla rycerza Jüchen oh w pewnym sensie wzorem, ponieważ najemnik również pragnął kroczyć swą własną drogą.

Gdy Peter wszedł do zamku, zwrócił uwagę na głosy, które dobiegały z sypialń.

Zbliżył się bez pośpiechu do drzwi. Tam zatrzymał się i słuchał przebiegu przesłuchania. Gdy zdał sobie sprawę, że wszyscy obecni w sypialni, łącznie ze starszym Hennebergiem, byli przekonani, że to Otto jest mordercą, uznał, że powinien wkroczyć.

— Wybaczcie, pani Mario i szlachetni panowie! Jestem pewien, że hrabia Otto mówi prawdę. Nie jest on człowiekiem, który z niskich pobudek mógłby skrytobójczo zasztyletować człowieka.

— Tak jak i nie jest człowiekiem, który goni po polu za młodymi białogłowami, żeby je zgwałcić — wyrzuciła z siebie Trudi.

Ponieważ Eichenloh nie znał szczegółów zajścia w winnicy Hilgertshausen, zaprzeczył: — Hrabia Otto nigdy by czegoś takiego nie uczynił! On jest szlachciem!

Trudi prychnęła pogardliwie, a Maria z gniewnym błyskiem w oku rzekła: — Nie uważacie chyba, że sztylet hrabiego Ottona sam się wbił w ciało mojego męża?

— Nie, ale na pewno wasz małżonek nie zginął z ręki Ottona.

Owszem, hrabia był pijany i rozdrażniony, ale znam go na tyle dobrze, że dałbym sobie za niego uciąć rękę.

— Szybko byście ją stracili — wykrzyknęła Trudi, która już całkiem wytrzeźwiała, ale ból rozdzierał jej wnętrze.

Eichenloh stanął obok przyjaciela i wskazał pustą pochwę: — To żaden dowód.

Panowie... — skłonił głowę w kierunku margrabiego i wójta z Gerolzhofen — mogą poświadczyć, że hrabiemu Ottonowi wybiłem sztylet z ręki, gdy chciał się rzucić z nim na Michała Adlera koło komnaty nowożeńców. Broń spadła ze schodów i każdy z obecnych mógł ją podnieść. Maria rzekła: — Podnieść ją mógł również hrabia Otto. To cenna broń. Nawet pijany nie zostawia czegoś takiego.

Jej słowa zabrzmiały tak przekonująco, że sam hrabia Magnus przytaknął. Również on nie mógł pojąć, jak brat mógłby nie zatroszczyć się o broń.

Otto von Henneberg przeklinał sam siebie, że tak dużo wypił. Mimowolnie przetarł oczy, niechcący dotknął niezagojonych jeszcze blizn i jęknął / bólu. Zrozpaczony zwrócił się do brata: — Oczywiście, że szukałem sztyletu, ale go nie znalazłem. Ktoś inny musiał wziąć broń.

— Jak długo tego nie udowodnicie, będziecie uważani za mordercę — powiedział Albrecht Achilles poważnym tonem.

Eichenloh nie chciał pozostawiać przyjaciela samemu sobie, stanął więc w jego obronie: — To na pewno nie był Otto. Po odprowadzeniu pana młodego do panny młodej opróżniliśmy jeszcze trzy puchary. Otto nie był w stanie ustać na własnych nogach i przyprowadziłem go tutaj, do sypialni. Gdzie, do diaska, miało miejsce morderstwo?

— W ogrodzie warzywnym — odpowiedział Magnus von Henneberg.

— Tam miałyby się udać Otto? — Eichenloh potrząsnął głową. W jego oczach to wszystko nie miało sensu. Ktoś z obecnych musiał przywłaszczyć sobie sztylet i zabić Michała. Jednak gnębiło go pytanie, co zabójca i ofiara robili w warzywniaku.

— Chętnie bym sobie ten ogród obejrzał.

— Proszę, jak chcecie! — Maria pokazała mu kierunek, a pozostali poszli za nim, również Otto, który ciągle jeszcze porządnie się zataczał i żołądek podchodził mu do gardła, tak że w pierwszym lepszym kąciku musiał zwymiotować.

Gdy doszli do schodów prowadzących na dół, Eichenloh potrząsnął głową.

— W takim stanie, w jakim Otto się znajdował, nie dałby rady zejść po tych schodach — stwierdził. — Już na pierwszych stopniach straciłby równowagę i spadł.

— Może Michał Adler go podtrzymawał — zasugerował wójt z Gerolzhofen.

— Czyżby? Aż tak się chyba nie lubili? — stwierdził ironicznie Eichenloh i szedł kilka stopni w dół, po czym poprosił Ottona, by uczynił to samo. Musiał zaraz przytrzymać przyjaciela, bo ten na drugim stopniu mocno się zachwiał, tracąc równowagę.

— On nie dałby rady zejść po tych schodach — powtórzył najemnik.

— Może tylko udaje pijanego. Poza rym do ogrodu prowadzi niejedna droga — odpowiedziała twardo Maria.

Trudi przytaknęła i dodała: — Można tu przyjść i przez kuchnię.

— Tam ciągle ktoś jest. Ktoś musiałby wtedy widzieć hrabiego Ottona. Tym samym Peter von Eichenloh osiągnął pierwsze małe zwycięstwo, bo gdy hrabia Magnus zapytał kucharkę i jej pomocników, czy widzieli Ottona von Henneberga, wszyscy zaprzeczyli. Chłopiec kuchenny, który odkrył morderstwo, zagryzał wargi, jakby chciał coś powiedzieć, ale ujrzał Pratzendorfera i milczał.

Maria nie ustępowała.

— Można dojść do ogrodu również z frontowej strony zamku. Trzeba przejść między budynkami, przez tylne drzwi stajni i potem należy otworzyć furtkę prowadzącą do międzymurza.

— Nie znam tej drogi — zawołał hrabia Otto.

Maria musiała przyznać, że oba te dojścia były trudne do znalezienia. Ponieważ Otto von Henneberg po raz pierwszy przebywał w Fuchsheimie, nieprawdopodobnym było, żeby odkrył tak zawile przejścia w tej części warowni.

Przez moment rozmowa utknęła w martwym punkcie. Eichenloh i młody Henneberg zawzięcie zaprzeczali, że hrabia Otto jest mordercą, a Maria i Trudi równie gorąco się przy tym upierały. Trudi wyrzucała z siebie całą nienawiść, jaką pałała do młodego Henneberga, aż matka musiała ją kilkakrotnie powstrzymywać, żeby się na niego nie rzuciła. Również margrabia nazywał Ottona mordercą na podstawie wcześniejszych gróźb, jakie hrabia kierował pod adresem Adlera. Magnus von Henneberg sam nie wiedział, jakie ma zająć stanowisko wobec brata.

W tym momencie wkroczył prałat rzymski. Z założonymi rękoma i głową lekko przechyloną w bok stanął obok hrabiego Magnusa i powiedział: — Jak słyszałem, doszło do morderstwa? Magnus von Henneberg potwierdził z goryczą: — Niestety, tak! I mój brat jest podejrzany.

— On jest jedynym podejrzanym! Poza tym publicznie groził, że coś takiego zrobi.

Chciał się zemścić za ranę, którą mu zadałam — wyjaśniła rozjuszona Trudi.

— Ach tak?

Pratzendorfer odetchnął głęboko i poprosił hrabiego Magnusa o podanie poszlak, które przemawiały przeciwko jego bratu. Ten uczynił to i wspomniał przy tym o sztylcie.

— Mój brat zaklina się, że go nie znalazł po tym, jak Eichenloh wybił mu go z ręki.

Jednak bez świadka, który mógłby to potwierdzić, brakuje mu dowodu.

Prałat pokiwał głową, jakby głęboko się zastanawiał, i oznajmił: — Jeśli hrabia Otto jest gotowy złożyć przysięgę oczyszczającą, pozbylibyśmy się wątpliwości.

Niezadowolona Maria rzekła podniesionym głosem: — Nawet Kościół Święty wzdraga się przyjąć przysięgę pijanego, a trzeźwym nazwać tego mężczyzny nie możecie.

Prałat spojrział wyniosłe na Marię, nie potrafił jednak całkowicie ukryć irytacji. Jej zarzut uniemożliwiał mu wyjaśnienie sytuacji zgodnie z własnym interesem. Obaj hrabiowie von Henneberg należeli do najzagorzalszych zwolenników księcia biskupa z Würzburga. Z tego powodu nie mógł się biernie przyglądać, jak Otto zostaje uznanym za winnego, tym bardziej że znał prawdziwego mordercę. Przez moment wahał się, czy nie powinien wyznać, kto jest sprawcą. Junkier Gressingen opuścił już przecież

zamek i był w drodze do odległego celu. Ale do miejsca, gdzie został posłany, nie powinna dotrzeć żadna niepoehlebna dla niego plotka, bo inaczej nie mógłby wykonać czynu, do którego wybrał go Pratzendorfer. Dlatego ktoś inny powinien zostać uznany za winnego, mężczyzna, który nie był zwolennikiem biskupa. Jego spojrzenie zatrzymało się na rycerzu Eichenloh, który bronił Ottona płomiennymi słowami. Na ustach prałata pojawił się dziwny uśmiezek.

— Otto von Henneberg zaprawdę nie może być zabójcą, bo sam widziałem, jak wy, Eichenloh, prowadziliście go do sypialni, a wtedy jego pochwa była już pusta.

Obaj hrabiowie von Henneberg odetchnęli z ulgą, Eichenloh przytaknął, natomiast Maria uniosła się gniewem: — Któż więc inny mógł zabić mego męża, jeśli nie hrabia Otto? Wszyscy przecież słyszeli, jak mu groził.

Tymi słowy dała Pratzendorfowi oczekiwany przez niego pretekst do skierowania podejrzania na rycerza Eichenloh.

— Czy mogę wam przypomnieć — rzekł — że Otto von Henneberg nie był jedynym człowiekiem, który groził waszemu małżonkowi i całej waszej rodzinie?

Odruchowo wszyscy spojrzeli na Petera von Eichenloh, który w pierwszej chwili nie zrozumiał, co prałat miał na myśli. Gdy się zorientował, że wiatr zmienił kierunek, rzekł: — Nie chcecie chyba powiedzieć, że to ja jestem mordercą?

— Cóż — odpowiedział prałat — obrażaliście rycerza Michała i groziliście mu nie mniej niż hrabia Otto, a w przeciwieństwie do niego stoicie pewnie na nogach i mogliście bez problemu pokonać te strome schody.

Pratzendorfer pogratulował sobie w duchu, bo tym posunięciem oczyścił zwolennika biskupa z zarzutów, a podejrzanie skierował na przeciwnika. Jego towarzysze dość mu naopowiadali o przywódcy najemników Eichenloh. Nie chciał widzieć kogoś takiego w szeregach tych, którzy oponują biskupowi Gotfrydowi.

Pomścił tym samym osobiste niesnaski tych obu i zyska z pewnością jeszcze większe względy u pana Schenka.

Chociaż Pratzendorfer mówił cicho, niemal jakby nie miał śmiałości i się przymuszał, to jego słowa raziły jak błyskawice. Oczy Trudi zapłonęły nienawiścią, bo nie zapomniała rycerzowi Eichenloh ani zdarzenia w Detulhachu, ani obraźliwych słów, które skierował w Fuchsheimie przeciwko niej i jej ojcu.

Również Magnus von Henneberg uchwycił się tej sugestii jak głodny pies kości.

— Wielebny prałat ma rację, Eichenloh. Wypowiadaliście jeszcze gorsze groźby przeciwko Kibitzsteinowi niż mój brat. Otto jest może porywczy, ale nie jest człowiekiem, który potrafiłby zabić kogoś z zimną krwią. Z waszej ręki natomiast padło więcej ludzi niż zwierzyny na polowaniu z ręki wielu z nas.

Eichenloh zrozumiał, że Magnus von Henneberg gotów był poświęcić go za brata i sam się zganił, że wkroczył, by bronić Ottona. Potem jednak potrząsnął głową. Otto nie mógł być zabójcą Michała Adlera, ale on też nie był. Najemnik z trudem zmusił się do zachowania spokoju i rzekł do Marii: — Pozwólcie, że zadam wam pytanie. Czy wasz mąż miał innych wrogów prócz tego młodego głupca i mnie?

Maria chciała gwałtownie zaprzeczyć, ale przypomniała sobie zdarzenie w Hilgertshausen, za którym stać musiała przeorysza.

— Przypuszczam, że każdy ma jakichś wrogów — odpowiedziała.

— Czy nie może być tak — kontynuował Eichenloh — że ktoś słyszał nieprzemyślane słowa moje i Ottona i zechciał to wykorzystać? Wasz mąż został przecież zamordowany w ogrodzie warzywnym z dala od innych ludzi. To nie miejsce, które by sobie wyszukał ktoś porywczy, działający w afekcie. Na pewno rycerz Michał miał jakiś powód, że się tu znalazł. Takie ustronne miejsce jest dobre na rozmowy, które nie są przeznaczone dla obcych uszu.

Trudi machnęła z pogardą ręką.

— Bronicie się tak zęcznie, jakbyście sobie te słowa wcześniej ułożyli. Prałat przejął piłeczkę, którą nieświadomie zagrała, i oznajmił: — Muszę tej damie przyznać rację.

Eichenloh najchętniej sprząłby duchownego jak bezczelnego parobka minio jego wysokiej godności kościelnej. Wiedział jednakże, że taki czyn natychmiast obróciłby się przeciwko niemu samemu. Tylko jeśli pozostanie spokojny i nie da się sprowokować, ma szansę wyjść cało z tej nieszczęsnej sytuacji.

— Jestem gotów złożyć każdą przysięgę, że nie przyczyniłem się w żaden sposób do śmierci rycerza Rzeszy Michała Adlera z Kibitzsteinu, a w przeciwieństwie do hrabiego Ottona nikt nie może powiedzieć, że jestem pijany.

Trafił w sedno, bo krzywoprzysięstwo na święte relikwie równoznaczne było z zaprzęciem duszy diabłu. Ale jego sumienie było czyste. Eichenloh dostrzegł, że margrabia skinął z akceptacją głową, natomiast hrabia Magnus zmarszczył brwi.

Jeśli Eichenloh złoży przysięgę, znowu podejrzenie może spaść na brata.

Cyprian Pratzendorfer, który sam zaproponował, żeby hrabia Otto złożył przysięgę oczyszczającą go z zarzutów, miał zastrzeżenia: — Zamordowanie rycerza Rzeszy to ciężka sprawa. Potrzebna jest przysięga prawdziwego szlachcica, żeby można go było uwolnić z tego przestępstwa. Czy wy jesteście takim szlachcicem, Eichenloh? Sądzę, że jesteście najemnikiem mieszczańskiego pochodzenia, który jest tolerowany przez panów przy wspólnym stole jedynie ze względu na talent we władaniu mieczem.

Twarz junkra Petera zachmurzyła się na moment, ale po chwili znów była pogodna.

Zdołał się nawet lekko uśmiechnąć, gdy mówił do prałata: — Przysiągłem, że nigdy więcej nie wymówię nazwy rodu, z którego się wywodzę.

Jednak kilku tu obecnych panów może potwierdzić, że płynie we mnie krew królów, książąt i hrabiów, która od ponad sześciu pokoleń nie zmieszała się z krwią pośledniejszą.

Zaskoczona Trudi wciągnęła mocniej powietrze, natomiast twarz Marii wyrażała pogardę dla całej arystokracji, a w ciągu ponad pięćdziesięciu lat życia sporo się tego nabierało. Na twarzy Pratzendorfera pojawiło się niedowierzanie, a Magnus von Henneberg, choć wiedział, jaka jest prawda, zaczął kwestionować słowa rycerza, żeby mu uniemożliwić złożenie przysięgi.

Jednak dwóch innych gości, którzy znali pochodzenie najemnika

Eichenloh, przytaknęło skwapliwie, a jeden z nich zabrał głos: — Mogę potwierdzić, że pan von Eichenloh mówi prawdę. Mógłby on swobodnie używać tytułu hrabiowskiego, gdyby w waśni go nie odrzucił i nie przyjął obecnego nazwiska.

— Wygląda na to, że pan Eichenloh publicznie przyznaje, iż żyje w niezgodzie ze swoimi krewnymi. Słyszało się o nim to i owo, również że zwaśnił się z wujem, który chciał go uczynić swym spadkobiercą — przygryzał hrabia Magnus w bezsilnym gniewie.

Eichenloh zbył jego złościwości wzruszeniem ramion i spojrzał drwiąco na prałata.

— Czy wystarczy wam ta wypowiedź, czy dla potwierdzenia moich słów mam wezwać królewskiego herolda? On mógłby pokazać wam także herb, do którego używania jestem uprawniony.

Pratzendorfer tracił powoli nadzieję, że uczyni z rycerza Eichenloh kozi, i ofiarnego, ale nie ustępował: — Musicie udowodnić, że dobrowolnie zrezygnowaliście ze swego nazwiska, a nie że zostało ono wam odebrane jako kara za złe uczynki. Wasza icputacja nie jest najlepsza.

— Nie wyklął mnie ani Kościół Święty, ani nie wydał na mnie wyroku z iden sąd w Rzeszy. Kilku panów może żywić do mnie niechęć, ale tylko dlatego, że moje uzbrojone ramię pomagało stronie przeciwnej.

— A jak to było z bratanicą biskupa? — dalej dociekał Pratzendorfer. Kilku kanoników dało mu znak, żeby był cicho. Pan Gotfryd na pewno nie chciałby, żeby tę sprawę rozdmuchiwać. Białogłowa została już wydana za męża, a jej stryj wolałby, żeby żaden cień nie padał na honor małżonków.

Eichenloh uśmiechnął się tylko. Ponieważ ojciec panny uważał go wówczas za zwykłego najemnika, udało mu się uniknąć małżeństwa z przymusu. Oczywiście, że z panną figlował, ale jej ani nie uwiódł, ani się do niej nie umizgiwał, dlatego stosunek z nią nie obciążał jego sumienia. Przymoita dziewczka nie wkrada się śpiącemu mężczyźnie pod koc.

Pratzendorfer zrozumiał, że poruszył temat, który nie powinien być publicznie roztrząsany, i poddał się: — Skoro panowie są przekonani, że jesteście, rycerzu, szlachetnego pochodzenia, uznaję ich zdanie. Dlatego idźcie teraz do kaplicy zamkowej i módlcie się, póki jutro rano nie zadzwonią na mszę poranną. Po modlitwie złożycie przysięgę na święty krzyż. Pamiętajcie jednak, że kto krzywoprzysięga, ten skazany jest na wieczne piekło i niewypowiedziane męczarnie.

— Ponieważ nie zabiłem Michała Adlera, to przynajmniej za to będą mi oszczędzone męki piekielne — oznajmił Eichenloh z drwiną w głosie i skłonił się przed prałatem jeszcze uprzejmiej niż przed samym margrabią von Brandenburgiem— Ansbachem, a następnie odszedł zamaszystym krokiem.

4

Kaplica zamkowa była bogato ozdobiona. Girlandy kwiatów zawieszono u figurek świętych. Na ołtarzu leżał nowy, śnieżnobiały obrus z wyhaftowanym złotymi nićmi krzyżem. Było to własnoręczne dzieło Bony i wszyscy ją za nie chwalili. Teraz młoda małżonka siedziała obok Trudi i nie potrafiła się nawet cieszyć, że fortel z pęcherzem wypełnionym krwią poszedł po jej myśli. Wpatrywała się bezustannie w wystawione na katafalku zwłoki Michała Adlera. Maria kazała ubrać męża w jego najlepsze ubranie, a w zeszywniałe dłonie włożyła srebrny krzyż. Klęczała obok Trudi, która zastygła w bezruchu i wyglądała jak jedna z figur świętych stojących w

kaplicy. Tylko ślady łez na policzkach świadczyły, że jeszcze jest przy życiu.

Maria nie wiedziała, jak udało jej się wraz z córkami przetrzymać noc. Trudi, Lisa i Hildegarda raz za razem dostawały ataków płaczu i musiała je uspokajać. A przy tym sama potrzebowała nie mniej pociechy niż jej dzieci. Wiedziała jednak, że teraz musi być silna, jak już nieraz w swoim życiu. Ale nawet podczas procesu w Konstancji nie była wewnętrznie tak bardzo zraniona jak teraz. Objęła Trudi w talii i przyciągnęła do siebie, a drugą ręką głaskała jednocześnie dwie młodsze córki.

Bliskość dzieci dodawała jej sił potrzebnych do przetrwania tych strasznych godzin.

Michał był w jej życiu najważniejszy. Córki też kochały go z całego serca, Lisa i Hildegarda nie mniej niż Trudi, choć on faworyzował najstarszą. Maria przypominała sobie, jak często z tego powodu się z nim kłóciła, a teraz za każde ostrzejsze słowo, jakie kiedykolwiek do niego powiedziała, prosiła go w duchu o przebaczenie.

Rozległ się dzwon, a przez portal kaplicy przeszedł prałat, sprowadzony na wesele ksiądz oraz zamkowy pleban. Twarz Pratzendorfera była poważna, Marii wydało się, że jest zacięta, jakby wewnątrz dręczyła go jakaś zgryzota. Ciągle jeszcze zdumiewało ją, czemu tak sprytnie bronił młodego Henneberga, bo prałat pochodził przecież z Austrii i z tego co wiedziała, nie miał nic wspólnego z rodzinami szlacheckimi w tej okolicy.

Za trzema duchownymi szli obaj mężczyźni, którzy przy zwłokach mieli złożyć przysięgę oczyszczającą z podejrzania. Pratzendorfer uznał, że Henneberg może przysięgnąć na święty krzyż, bo rzekomo nie był aż tak bardzo pijany. Również Magnus von Henneberg nalegał, żeby jego brat przysięgał i został uwolniony z podejrzania o to, że jest mordercą. Ponieważ żaden z pozostałych gości nie sądził, że hrabia świadomie może skazywać tym samym brata na ogień piekielny, wyrażono na to zgodę.

Początek litanii wyrwał Marię z zamyślenia. Chociaż uważała się za wierzącą, nie słuchała łacińskich słów. Uczestniczyła w nabożeństwach w Czechach i słyszała, jak tam ludzie modlą się do Boga Ojca i do Chrystusa. Wiedziała też, jak wyglądają msze święte w odległej Rosji. Forma była w jej oczach pustym rytuałem. Ważny był duch, który ożywiał modlitwy. Spojrzenie Marii zatrzymało się na figurce Matki Boskiej, którą czciła najbardziej obok świętej Marii Magdaleny. Odmawiała w duchu modlitwę. Żałowała przy tym, że w kaplicy nie ma wizerunku jej ulubionej świętej. Potem jednak przypominała sobie, jak często modliła się do Marii Magdaleny w otwartym polu albo w małym namiocie, w którym musiała mieszkać, ponieważ w tamtych czasach większość duchownych i mnichów zamykała przed nią drzwi kościołów.

Gdy ksiądz i tym razem z wielkim zaangażowaniem odprawiał mszę, myśl i Marii błądziły dalej. Zadawała sobie pytanie, kto w takim razie może być odpowiedzialny za śmierć Michała. Chociaż obaj mężczyźni klęczeli w białych skromnych szatach na prymitywnie zbitym drewnianym klęczniku i trzymali w rękach białe świece, gotowi przy trumnie złożyć świętą przysięgę, że nie popełnili tego morderstwa, to jednak jeden z nich mógł kłamać. Biskup z Würzburga był potężny i z pewnością mógł uzyskać odpust od Jego Świątobliwości papieża Eugeniusza IV za krzywoprzysięstwo. Jednak który z nich mógł to zrobić? Impulsywny Henneberg czy Eichenloh, który był zimny jak lód i do wszystkiego podchodził z cynizmem?

Maria zacisnęła wargi, aż utworzyły wąską kreskę. Nawet jeśli była winna Michałowi odnalezienie mordercy i ukaranie go, nie chciała na chybił

trafił podejrzewać lub nawet prześladować któregoś z tych dwóch rycerzy. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po Ingobercie von Dieboldsheimie. Był on wprawdzie tchórzem, ale uważała, że mógł zdobyć się na cios sztyletem z ukrycia. W rachubę wchodziło także kilku würzburskich wasali, jak na przykład stryj Gressingena Maksymilian von Albach. Nie powinna także pominąć Ludolla von Fuchsheima. Musiał on przepisać na Michała ponad połowę swojego majątku, żeby zdobyć pieniądze na zaległe podatki i artykuły żywnościowe na to wesele.

Weź się w garść, bo niedługo będziesz podejrzewać cały świat, zmitygowała się Maria. Potrzebowała dowodów, a nie przypuszczeń. Ale jedynym dowodem, jaki istniał, był sztylet Ottona von Henneberga. Najchętniej odsunęłaby wszystko od siebie i za mordercę swojego męża uznała młodego Henneberga. Jednak przysięga sprawi, że uniknie on ziemskiej jurysdykcji, a liczyć na karę boską było dla Marii wielce niepewnym przedsięwzięciem.

Ottona von Henneberga dręczyły poważne wątpliwości. Nie był w stanie przypomnieć sobie, czy na pewno nie zamordował Michała Adlera, choć Cyprian von Pratzendorfer zapewniał, że nie. Poprzedniego dnia młody hrabia był jeszcze pewien swej niewinności, ale teraz z mroków niepamięci wyłoniła się i nie dawała mu spokoju scena, jak groził rycerzowi i wyciągnął sztylet. Był nieskończenie wdzięczny swemu przyjacielowi Eichenloh, że ten wybił mu broń z ręki. Otto nie miał pojęcia, co potem się stało ze sztyletem. Nie potrafił też odtworzyć, co działo się w czasie między kłótnią a momentem, kiedy obudził go brat.

W przeciwieństwie do Ottona Peter von Eichenloh miał czyste sumienie. Nie zabił Michała Adlera i w każdej chwili mógł złożyć przysięgę. Również on zastanawiał się, kto mógł być prawdziwym mordercą. Stracił wszelako nieco pewności, że jego przyjaciel jest niewinny, ponieważ jeden ze znajo mych opowiedział mu w nocy o wydarzeniach, jakie miały miejsce w winnicy w Hilgertshausen.

Wyglądało na to, że Otto, ten głupiec, nie tylko próbował przepędzić parobków i dziewczki służebne z winnic Hilgertshausen, ale na dodatek podjudza! swoich ludzi, by gwałcili kobiety, a sam chciał zgwałcić Trudi Adler. Takie zachowanie nie mieściło się Peterowi w głowie. Otto, będąc żołnierzem w jego oddziale, nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Eichenloh odniósł wrażenie, że po rozstaniu z oddziałem w młodego hrabiego wstąpił jakiś zły duch.

Junkier miał ochotę odwrócić się i spojrzeć na pannę, która była tak dzielna, że zadała napastnikowi cios sztyletem i go w ten sposób naznaczyła. Cięcie w udo lub ramię by wystarczyło, żeby uwolnić się od napastnika. Uważał jednak, że Otto zasłużył sobie na taką karę.

Podczas gdy podziw Petera dla Trudi rósł, jej spojrzenia wędrowały między jego plecami a węższymi ramionami von Henneberga, w sercu natomiast gorzało pragnienie zemsty. Była przekonana, że jeden z nich był mordercą jej ojca i przed obliczem ukrzyżowanego Chrystusa dokona krzywoprzysięstwa. Dlatego błagała Boga Ojca i Jezusa Chrystusa, żeby nie tolerowali tego bluźnierstwa i ukarali winnego na miejscu uderzeniem pioruna. Gdy jednak prałat zajął miejsce księdza i wezwał obu rycerzy, by w imię Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego przysięgli, że nie ponoszą odpowiedzialności za śmierć rycerza Michała Adlera z Kibitzsteinu, niebo pozostało spokojne. Pratzendorfer nie ułatwiał rycerzom krzywoprzysięstwa, wręcz przeciwnie, przedstawia! sugestywnie, jakie piekielne męczarnie

czekają krzywoprzysięzców. Na ostrze języka wziął przede wszystkim Petera von Eichenloh. — Czy jesteś świadom, że jeżeli złożysz fałszywą przysięgę, to tysiąc diabłów będzie każdego dnia żelaznymi pazurami rozszarpywać twoje ciało, wrywać z niego wnętrzności i owijać je wokół twojej szyi?

Nie przysięgam fałszywie, więc nie mam się czego bać. Junkier Peter stopniowo tracił cierpliwość, słuchając słów duchownego. Prałat powinien raczej zmówić modlitwę za hrabiego Ottona, który wyglądał, jakby już smażył się w piekle.

— Czy ty, który zwiesz się Peter von Eichenloh, jesteś również świadom, że Lucyfer będzie krajać twoje ciało na tysiąc kawałków i każdego dnia składać na nowo, i po wieczność będziesz cierpiał katusze, które przewyższają będą wszelkie ludzkie cierpienia na tej ziemi?

Junkier Peter miał ochotę odpowiedzieć jakimś ostrym słowem, ale powstrzymała go myśl, że reakcja taka mogłaby zostać poczytana za dowód jego winy. Nie był człowiekiem, który uginał karku i prawił słodkie słówka, byle tylko osiągnąć swój cel. Dlatego ograniczył się do dwóch słów: — Jestem świadom.

— Mimo to gotów jesteś złożyć przysięgę?

W pytaniu zawarta była znikoma drobina nadziei, że Eichenloh w ostatniej chwili się zmytyguje i sumienie każe mu przyznać się do zabójstwa. Najemnik nie oddał jednak tej przysługi prałatowi, lecz położył dłoń na krucyfiksie podsuniełym mu przez asystującego prałatowi kapłana i rzekł głośno i wyraźnie: — Ja, Peter von Eichenloh, rycerz Świętej Rzymskiej Rzeszy, przysięgam przed Bogiem Ojcem, Jezusem Chrystusem, Duchem Świętym oraz wszystkimi świętymi naszego Kościoła apostołskiego, że nie zabiłem Michała Adlera, ani nie nastawiałem na jego życie! Niech Bóg połamie moje kości i odda mnie diabłom na wieczne męczarnie, jeśli złożyłem fałszywą przysięgę!

Rozczarowany Pratzendorfer chrząknął, a następnie zwrócił się ku Ottonowi von Hennebergowi i zażądał od niego złożenia przysięgi, nie przypominając mu jednak, na jakie niebezpieczeństwa narażona jest jego nieśmiertelna dusza, jeśli hrabia dopuści się krzywoprzysięstwa.

Hrabia Otto również wypowiedział słowa przysięgi, chociaż kilka razy się zająknął, a jego głos nie brzmiał tak silnie i pewnie jak głos junkra Petera. Phazendorfer był jednak zadowolony, bo go pobłogosławił, czego nie zrobił w przypadku rycerza Eichenloh. Następnie prałat stanął przed ołtarzem, żeby wszystkim obecnym oznajmić, że obaj panowie przysięgali przed Bogiem, więc tym samym są niewinni.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen — rzekł na koniec, niedbale robiąc znak krzyża.

Maria głęboko odetchnęła i rozpaczliwie próbowała uporządkować myśli, natomiast Trudi zerwała się, pobiegła do przodu, stanęła przed rycerzami, zacisnęła pięści i zawołała: — Nie wierzę w ani jedno wasze słowo! Jeden z was zamordował tchórzliwie mojego ojca, a teraz się tego wypiera w świętym miejscu. Bóg ukarze jesz cze w tym życiu tego, który sobie z niego szydzi i depcze stopami świętości.

Trudi wyglądała, jakby nie zamierzała czekać na karę niebios, lecz chciała zaraz rzucić się na obu rycerzy, dlatego margrabia Albrecht Achilles chwycił ją i przytrzymał.

— Uspokójcie się! Z całą pewnością otrzymacie kiedyś zadośćuczynienie i okazję do zemsty.

Ponieważ Trudi szarpała się w jego ramionach, podbiegła na pomoc Maria i przyciągnęła córkę do siebie.

— Chodź, dziecko! — powiedziała. — Nawet jeśli tu, w tym miejscu nie pisana jest nam zemsta, to na pewno kiedyś prawdziwy morderca zostanie ukarany.

— Chcę go zobaczyć martwym! Niechby go ktoś skrycie zasztyletował, jak on mojego ojca! — zawołała Trudi tak głośno, że stojący obok się wzdrygnęli.

Maria potrzebowała pomocy Lisy i Hildegardy, żeby wyprowadzić Trudi z kaplicy.

Eichenloh patrzył za nimi i potrząsał głową w zdumieniu nad nienawiścią, która gorzała w Trudi Adler. Potem przypomniał sobie pewną scenę ze swojego życia i w myślach skręcił mordercy kark.

5.

Kaplica szybko się wyludniła. Eichenloh też spieszenie ją opuścił, ponieważ się niecierpliwił, kiedy będzie mógł zerwać z siebie biały gałgan, który na niego założono, i przywdziać swój wysłużony kaftan. Jedyne prałat i dwaj panowie von Henneberg nie spieszyli się na zewnątrz, tylko patrzyli, jak słudzy zamykają trumnę z nieboszczykiem i wynoszą ją z kaplicy.

Gdy przebrzmiały ich kroki, hrabia Magnus podszedł do Pratzendorfen i pocałował go w rękę, powiedział: — Czuję się wobec was zobowiązany, bo to wam mój brat zawdzięcza, że pozwolono mu złożyć przysięgę czystości. My obaj jesteśmy waszymi dłużnikami.

Prałat zrozumiał, że mógłby teraz od hrabiego zażądać pieniędzy lub ziemi, ale pieniędzy miał dosyć, a ziemia w tej części Rzeszy niewiele go interesowała, bo i tak prawo własności musiałby przekazać biskupowi z Würzburga. Nie chciał jednak, by jego przysługa nie przyniosła mu żadnych korzyści.

— Jest coś takiego — rzekł do Magnusa — co moglibyście albo właściwie wasz brat mógłby dla mnie zrobić. Wam to nawet byłoby na rękę, bo doświadczyliście nieokiełznanej nienawiści ze strony pań z Kibitzsteinu. Któż wie, do czego zdolna jest wdowa po Adlerze przy jej braku rozwagi. Ma przyjaciół, których mogłaby podjudzić, by zaczęli się na hrabiego Ottona i go zabili. Dlatego będzie lepiej, jeśli wasz brat opuści ten kraj i wstąpi na służbę do większego pana.

— Tak byłoby najlepiej! — potwierdził Magnus, któremu nie spodobała się myśl, że Maria Adler mogłaby nasłać jakiegoś skrytobójcę na jego brata.

— Ale ja mam przecież zobowiązania wobec wielbnych pań z Hilgertshausen— wtrącił Otto von Henneberg.

— Musiałbyś jednak przebywać w bezpośrednim pobliżu Kibitzsteinu, mój synu— powiedział Pratzendorfer tonem nieznośnym sprzeciwu. — Pani Maria ule byłaby zadowolona, gdybyś nieroztropnie tam się pojawił. Nie, synu, nie wrócisz do sióstr, lecz pojedziesz do Austrii i tam zaoferujesz swe usługi księciu Albrechtowi. On jest zarazem moim panem i prawdziwym potomkiem Habsburgów. Pod jego chorągwią zdobędziesz sławę, zaszczyty i bogactwo.

Panowie von Henneberg nie mieli zastrzeżeń. Magnus był zadowolony, że jego brat będzie mógł służyć jednemu z najpotężniejszych książąt, a hrabia Otto czuł się tak źle, że mało go obchodziło, co zostanie postanowione w jego sprawie. Chciał tylko znaleźć się jak najdalej od tej

oszałałej z nienawiści panny Trudi i wdowy, której przenikliwy wzrok napawał go lękiem. Poprosił w związku z tym brata o pozwolenie ruszenia w drogę jeszcze tego samego dnia.

Pratzendorfer poparł z radością jego prośbę.

— Hrabia Otto ma rację. Po tym wszystkim co się stało, nie powinien tu już dłużej przebywać. Ogłoście, że wraca do domu, a potem pojedzie odwiedzić krewnych nad Renem. Miast tego pošlijcie go skrycie za Dunaj do księcia Albrechta Austriackiego. Dam mu list polecający. Pozwólcie, że udam się do swej komnaty, żeby go napisać.

Prałat skłonił lekko głowę i wyszedł z kaplicy ukontentowany, że wysyła swemu panu w odległej Austrii drugiego rycerza odpowiedniego do owej szczególnej służby.

6.

Peter von Eichenloh przebrał się i poszedł do dużej sali weselnej. Panowała tam wciąż biesiadna atmosfera. Panowie krzyczeli głośno, domagając się więcej wina, co poniektóre białogłowy chichotały, a nawet gospodarz, który poprzedniego dnia wyglądał jak z krzyża zdjęty, zdawał się zaczerpnąć świeżej energii życiowej.

Siedział właśnie z Ingobertem von Dieboldsheimem i mówił coś do niego zniżonym głosem. Dieboldsheim potakiwał, a na ustach igrał mu pełen zadowolenia uśmiezek. Eichenloh odebrał to, jakby obaj coś knuli, i życzył im, żeby napotkali twardego i gotowego na wszystko przeciwnika.

W pewnej chwili się wzdrygnął. Czy to możliwe, że rozmawiali teraz o pani Marii z Kibitzsteinu? Zachowywali się tak jednoznacznie, że mógłby postawić swoją broję, że tak było. Chociaż los wdowy nie obchodził go za bardzo, to miał nadzieję, że ma ona sprzymierzeńców i przyjaciół, którzy nie dopuszczą, by zbyt chciwi sąsiedzi wyciągali ręce po nie swoje.

Miał sobie za złe, że przez własną głupotę uczynił rodzinę Kibitzsteinów swoim wrogiem. Michał Adler uchodził za bogatego, a wdowa na pewno mogłaby nająć go i jego ludzi na kilka miesięcy i płacić im żołąd. W obecnej sytuacji ani ona, ani ktokolwiek, kto był zaprzyjaźniony z Kibitzsteinami, nie najmie go. Ze strony przeciwnej też nikt tego nie robi, chyba że stanie przed biskupem w worku pokutnym, sypiąc sobie popiół na głowę, i rzuci mu się do nóg. Ale niewykluczone, że pan Gotfryd nie da mu swego przebaczenia, lecz zamknie go w najgłębszych lochach swego zamku Marienberg. A więc w tym kraju nie było nikogo, do kogo mógłby wstąpić na służbę.

Zastanawiał się, czyżby nie wrócić nad Ren. Tam jednak wcześniej czy później natknie się na owego krewniaka, którego przysiągł unikać. Musiał więc udać się do Szwabii albo Bawarii w nadziei, że uda mu się tam zaciągnąć u jakiegoś pana bogatego na tyle, że będzie mógł opłacić go i jego oddział.

Obok niego stanął parobek, który postawił energicznie puchar na stole i nalewał wino tak niedbale, że wylał połowę na stół i pobrudził kaftan i spodnie rycerza.

— Nie możesz uważać? — krzyknął do niego Eichenloh i wymierzył mu policzek.

Przez moment można było odnieść wrażenie, że parobek zaraz mu wyleje na głowę resztę wina z dzbana, ale w końcu odszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Junkier Peter usłyszał, że siedzący w pobliżu panowie się śmieją. Z

fragmentów zdań, które dotarły do jego uszu, zrozumiał, że mają go za osobę pozbawioną sumienia, która nie cofnęła się nawet przed krzywoprzysięstwem na święty krzyż.

— Najemnik i tak trafi do piekła, więc wszystko jedno, czy złoży fałszywą przysięgę czy nie — rzekł Maksymilian von Albach, nie ścisząc znanadto głosu.

Jakiś inny gość natychmiast przyznał mu rację: — W moich oczach Eichenloh jest doprawdy sługą szatana. Wiecie, w ilu bitwach już uczestniczył? A nigdy nie został ranny! Coś takiego jest przecież niemożliwe, jeśli ktoś nie zaprzedał duszy diabłu. A jak on wygląda! Jak jakiś hultaj, Inaczej tego nie można nazwać. Szlachetny pan powinien się lepiej ubierać.

Jakiś inny biesiadnik zaprzagnął dodać swoje trzy grosze: — On już podobno napadł na Kibitzsteina w Dettelbachu. Gdyby w porę nie zjawili się przyjaciele Kibitzsteina, zabiłby go tam.

— Cóż za bezwzględność! A na dodatek chciał zwalić winę na biednego (o) tona von Henneberga. Do czegoś takiego zdolny jest zaprawdę tylko ktoś laki, kto zaprzedał duszę diabłu.

Rozgoryczony junkier wymamrotał sam do siebie pod nosem: — Gdyby nie moja interwencja, chłopak zostałby już osądzony jako morderca. Ale o tym nikt nie wspomni.

Margrabia Albrecht Achilles, który właśnie do niego podszedł, usłyszał słowa i położył mu dłoń na ramieniu.

— Prawdę powiadacie, Eichenloh. Posuńcie się trochę, żebyśmy mogli usiąść obok was.

Chętnie bym z wami zamienił kilka słów.

— To miejsce jest jeszcze mokre od wina, które ten głupi parobek dopiero co rozlał.

Eichenloh nie miał za bardzo ochoty z kimkolwiek rozmawiać, jednak Ansbach przywołał ręką służącą i kazał jej wytrzeć ławę. Niewiasta wytarła miejsce do sucha.

Krótką chwilę później pan Albrecht siedział już obok Petera von Eichenloh i wznosił toast: — Wasze zdrowie!

— I wasze! — odpowiedział junkier Peter niezbyt uprzejmym tonem. Albrecht Achilles ze śmiechem potrząsnął głową.

Rozumiem, że denerwuje was to głupie gadanie ludzi. Jednak w przeciwieństwie do nich ja wam wierzę, żeście niewinni. Nie jesteście człowiekiem, który morduje od tyłu. Jeśli kogoś mielibyście zabić, tobyście się tego nie wyparli.

— Mówicie prawdę. Gdybym chciał zabić rycerza Michała, wyzwabiłbym go na pojedynek. Nie sądzicie chyba, że boję się jakiegoś innego mężczyzny?

Ansbach potrząsnął głową.

— Nie, wy na pewno nie. Przypominacie pod tym względem Michała Adlera. Był to dobry człowiek. Chciałem, by był moim sojusznikiem.

— Możecie przecież zawrzeć sojusz z wdową — zasugerował Eichenloh.

— Michał Adler znał się na wojnie i polityce. Pani Maria jest może i dzielna, ale to tylko niewiasta. Ich syn jest jeszcze chłopcem i nie da rady obronić majątku.

— Mnie bardziej interesuje, kto zabił Michała Adlera. Ten drań ma jeszcze do zapłacenia dług wobec mnie. On musiał wiedzieć, że ja i hrabia

Otto pokłóciliśmy się z Kibitzsteinem i że nas w pierwszej kolejności będzie się podejrzewać.

Spojrzenie, którym omiółł salę, nie obiecywało sprawcy nic dobrego.

— Zakładam, że to był skrytobójca ze zlecenia biskupa z Würzburga. Pan Gotfryd wolał zlecić morderstwo niż dopuścić, żeby Michał Adler stanął na czele wolnych rycerzy Rzeszy przeciwko niemu — powiedział Albrecht Achilles z goryczą.

Chociaż junkier Peter znał księcia biskupa tylko jako człowieka dumnego i chciwego splendoru, nie wdawał się mimo pewnych wątpliwości w dyskusję. Bo czemu księżę biskup miałby powodować, że podejrzenie pada na jednego z jego zwolenników, Ottona von Henneberga? Eichenloh nie wiedział, co ma o tym myśleć, i rzekł z irytacją w głosie: — Przez to morderstwo nie będę się już mógł pokazać w tej okolicy.

— Niektórzy ludzie chcieliby widzieć was po swojej stronie, ale nie mają dość odwagi, by was najać, bo nie chcą rozgniewać księcia biskupa. Z tego samego powodu ja też nie mogę was najać. Biskup natychmiast obróciłby to przeciwko mnie i stwierdził, że to ja byłem zleceniodawcą zabójstwa.

Albrecht Achilles przyznał, że planował najać Petera von Eichenloh, dlatego teraz był niezadowolony z takiego obrotu spraw.

— Ech, mam pecha — westchnął junkier. — Planuję ruszyć do Szwabii lub Bawarii.

Któremuś z tamtejszych panów na pewno przyda się taki zabijaka jak ja.

Powiedziawszy te słowa, wypił resztę wina z pucharu i chciał wstać. Ansbach przytrzymał go.

— Siedźcie! Nie zostało powiedziane jeszcze ostatnie słowo. Znam pewnego pana, któremu moglibyście służyć. Ale będziecie musieli pokonać nieco więcej mil niż do Bawarii. Pan ten rezyduje bowiem w Grazu, w środkowej Austrii.

— Nie mówicie chyba o królu Fryderyku?

— Fryderyka wybrano wprawdzie po śmierci króla Albrechta na króla Niemiec, ale liczba jego wrogów się raczej zwiększyła niż zmniejszyła. Potrzebuje więc z pewnością dzielnego człowieka, który by zapewnił mu ochronę — rzekł Ansbach sugestywnym tonem, któremu Eichenloh nie mógł się uprzeć. Znalazł jednak pewien problem.

— Do Grazu jest daleka droga — rzekł. — Moim ludziom i mnie od dawna nie wpadła do sakiewki żadna moneta. Jak tam dotrę bez pieniędzy?

— Będziecie jechali w pobliżu Ansbachu. Mój podkomorzy da wam ilość pieniędzy na pokrycie wydatków, a jeszcze wam zostanie. Bywajcie z Bogiem!

Albrecht Achilles uderzył dłonią w stół i wstał.

Junkier Peter patrzył za nim do momentu, aż Ansbach dosiadł się do swoich ludzi.

Jednocześnie w jego głowie panowało zamieszanie. Propozycja zaskoczyła go, jednak im dłużej o niej myślał, tym bardziej wydawała mu się zachęcająca. Tu we Frankonii nie miał żadnych perspektyw. A zresztą czemu miałby służyć mniej ważnemu panu, jak może najać się u samego króla? Ale jeśli opuści tę okolicę, straci jakąkolwiek możliwość odnalezienia prawdziwego mordercy Adlera i tym samym oczyszczenia się z zarzutów. Odpowiedzialność za podległych mu ludzi przeważała jednak nad osobistą chęcią odwetu. Konie jego oddziału od biedy wyżywiłyby się samą trawą

znalezioną przy drodze, ale Quirin i pozostali potrzebują nieco bardziej pożywej stawy i czasem też tego i owego z rycerskiego rynsztunku.

Wstał zdecydowanie, aby wyjść z sali. Nagle dostrzegł, że ktoś idzie za nimi i nim się odwrócił, sięgnął ręką do miecza. Wtedy zobaczył, że to Hardwin von Steinsfeld.

Młodzieńcowi błyszczały oczy, gdy mówił: — Wybaczcie mi, ale przypadkowo usłyszałem, o czym rozmawialiście z margrabią i chciałem was prosić, byście mnie ze sobą wzięli do króla Fryderyka. Wierzę wam, że to nie wy zamordowaliście Adlera.

Junkier Peter chciał już zbyć młodziana, ale przyszło mu do głowy, że będzie potrzebował drugiego szlachcica w razie negocjacji. Jego zbrojmistrz nie dość, że był tylko mieszczańskiego pochodzenia, to na dodatek miał zbyt grubiański sposób bycia, by móc go reprezentować w rozmowach z panami. Dlatego rycerz z niechęcią się zgodził.

— Niech będzie! — powiedział. — Za godzinę ruszam w drogę i nie będę na was czekał ani tu, ani w Schöbach.

7.

W związku ze śmiercią Michała właściwy cel zgromadzenia, czyli wesele, prawie popadł w zapomnienie. Dlatego nikt się nie przejął, że pan młody nie przyszedł do sali biesiadnej. Mertelsbach tak intensywnie czerpał radość ze swojej małżonki, że znużony spał do późnych godzin. Bonę natomiast obudziło świergotanie ptaków i próbowała zebrać myśli. Noc poślubna przebiegła lepiej, niż się spodziewała.

Mertelsbach bez żadnych ceregieli przygniótł ją swym ciałem na słomianym sienniku i od razu w nią wszedł. Wprawdzie jego pieczyoty były raczej szorstkie, ale było jej dość przyjemnie, zwłaszcza gdy przestała się bać, że mąż odkryje, iż nie jest już dziewicą. Pęcherz kurzy pękł we właściwym momencie i zostawił wystarczająco dużą plamę na prześcieradle. W trakcie stosunku puściła wodze fantazji i wyobrażała sobie, że na miejscu jej męża znajduje się Hardwin, który obejmuje ją i całuje.

Bona dziwiła się samej sobie. Dotychczas uważała Hardwina za maminsynka i nawet drwiła z niego z tego powodu. Jednakże na swój sposób lubiła go i pragnęła, by pani Herta przekonała jej ojca do małżeństwa ich obojga. Chociaż w Steinsfeldzie musiałyby słuchać poleceń srogiej pani Herty, to jednak wolałyby to, niż być żoną starca i macochą jego dzieci. Los ułożył się inaczej i musiała się mu podporządkować.

Snując takie rozważania, wstała z łóżka, ubrała się i udała do kaplicy. Tam wysłuchała mszy i przysięgi obu rycerzy. Zastanawiała się, który z nich może być mordercą, a który jest niewinny. Nie potrafiła rozstrzygnąć tego dylematu.

Wydawało jej się, że chyba Henneberg, który po pijanemu szybciej mógł stracić kontrolę nad sobą. Większość gości była zdania, że raczej ten drugi rycerz jest mordercą.

Bona przyjrzała się dobrze Peterowi von Eichenloh i doszła do wniosku, że po takim mężczyźnie można się spodziewać krzywoprzysięstwa. Jego twarda, kanciasta twarz i niezwykle umięśnione ramiona oraz barki napawały ją lękiem. Gdy sobie wyobraziła, że on miałby być jej mężem, to już wolała małżeństwo z Morycem Mertelsbachem.

Kiedy Maria z dwiema młodszymi córkami wyprowadzała krzyczącą i szarpiącą się Trudi, Bona poszła za nimi. Wróciły do komnaty, w której nocowały również inne niewiasty, jednak zdążyły sprzątnąć już swoje

posłania, bo zaraz po mszy zamierzały wyruszyć w drogę. Dlatego w komnacie nie było żadnej obcej białogłowy.

Bona podeszła do Marii i uścisnęła jej ręce, mówiąc: — Tak mi przykro z powodu pana Michała. Był wyjątkowym mężczyzną, takim uprzejmym i dobrym.

Maria przytuliła ją do siebie i powiedziała: — Bądź dobrej myśli, moje dziecko. Zobaczysz, że w życiu ci się wszystko dobrze ułoży. — ...ale ja nie mam już nadziei na przyszłość — dodała w duchu i poczuła, jak łzy znowu jej się cisną do oczu. — Zaraz ruszamy w drogę — oznajmiła. — Twój ojciec był tak uprzejmy, że udostępnił nam wóz, na którym będziemy mogli zawieźć Michała do domu.

Powiedziawszy to, pchnęła Bonę w ramiona Trudi. Szlochająca Adlerówna objęła mocno przyjaciółkę, jakby nie chciała jej już puścić. Bona zwróciła się do niej słowami pociechy: — Biedaczko, tak bardzo kochałaś ojca. Jakie to niesprawiedliwe, że Bóg go w ten sposób zabrał do siebie.

— Nie ma już Boga ani sprawiedliwości, skoro morderca mojego ojca jest na swobodzie i może sobie z nas drwić — zawołała Trudi niezwykle twardo, choć łzy nadal płynęły jej nieprzerwanymi potokami po policzkach. Przysięgła sobie, że nigdy nie zapomni tego dnia i jeśli będzie trzeba, odda życie, byle tylko pomścić śmierć ojca. Spojrzała na matkę i dostrzegła, że twarz Marii jest skamieniała ze smutku.

Wcześniej Maria pewnie sama ruszyłaby w drogę, aby szukać mordercy Michała, jednak teraz odczuwała już swoje lata, a poza tym trzymały ją obowiązki, z którymi będzie musiała sobie sama radzić. Trudi miała świadomość, jak trudno będzie matce zastąpić ojca jako pana Kibitzsteinu, ale nie było nikogo, kto mógłby zdjąć ten ciężar z jej barków. Falko był jeszcze za młody, a Karzeł, którego Michał uczynił zarządcą zamku i tym samym swą prawą ręką, był podobnie jak Michi, najstarszy syn kozłarki, osobą nieszlachetnego pochodzenia. Sąsiedzi, a zwłaszcza grabieżca z Würzburga, jak Trudi nazywała biskupa Gotfryda von Schenka, nie będą chcieli z nimi rozmawiać jak równy z równym.

Trudi otrząsnęła się z przytłaczających myśli dopiero wtedy, gdy Bona przywróciła ją do rzeczywistości pocałunkiem w policzek.

— Twój ojciec był wspaniały — rzekła młoda pani von Mertelsbach. — Gdyby ktoś taki jak on starał się o moją rękę, z radością bym przyjęła jego oświadczenia.

Trudi spojrzała na przyjaciółkę i pomyślała, że Bona też nosi w sobie ciężar, i to podwójny, bo w brzuchu rośnie jej dziecko, którego ojcem jest inny mężczyzna niż jej mąż. To przypomniało wspólne działania mające na celu oszukanie Mertelsbacha.

— I co? — zapytała. — Czy wszystko poszło dobrze? Bona potwierdziła i dodała: — Moja ciotka była dziś rano zbyt pijana, żeby sprawdzić, ale ta wstrętna Elgarda von Rendisheim przyszła z kilkoma paniami i obejrzała prześcieradło. Powinnaś zobaczyć jej twarz, gdy zobaczyła dowód mojego dziewictwa. Wyglądała, jakby wsadziła zęby w kwaśną antonówkę.

— Niech Bóg cię chroni — powiedziała Trudi i pocałowała Bonę, a następnie zwróciła się do matki: — Powinniśmy ruszać w drogę, by godnie pochować ojca.

Kibitzsteinu. Gereon wysłał wcześniej jednego ze swych ludzi ze złą wiadomością, dlatego mieszkańcy wiedzieli już, co się stało. Kobiety czyniły znak krzyża, gdy wóz z trumną Michała przejeżdżał obok nich, natomiast mężczyźni zdejmowali z głów kapelusze i czapki.

Wszyscy zadawali sobie pytanie, czyjaż zbrodnicza ręka zabiła ich pana.

— To na pewno na polecenie przeorowsy z Hilgertshausen! — wysunęła przypuszczenie Uta, która nie mogła pojechać do Fuchsheimu, a stojący koło niej słudzy przytaknęli. Po podstępym napadzie na Trudi i towarzyszące jej dziewczki służebne uważali, że po Klarze von Monheim można się spodziewać najgorszych rzeczy.

Trzy przyjaciółki, z których każda towarzyszyła Marii przez pewien odcinek jej życia, powitały orszak żałobny w niezwyklej zgodzie. Hiltrud upuściła łaskę, którą wystrugał jej Michał w zeszłym roku, wzięła Marię w ramio na i przycisnęła do piersi. Ten gest był dla wdowy cenniejszy niż tysiąc słów.

Wiedziała, że najstarsza z przyjaciółek ją rozumie. Hiltrud też straciła męża zaledwie kilka lat temu. Koźlarz zmarł jednak po długim, pracowitym życiu w gronie rodziny. Mimo to ból Hiltrud nie był mniejszy niż ten, który czuła teraz Maria. Kasztelanka przełknęła łzy, które znowu zaczęły jej się cisnąć do oczu, i pogładziła swą najstarszą przyjaciółkę po siwych włosach.

— Trzeba za wszystko w życiu kiedyś zapłacić, Hiltrud, także za szczęście.

— Ale trzeba też w nieszczęściu pamiętać, jak kiedyś się było szczęśliwym. Michał by tak chciał — odpowiedziała Hiltrud i od razu poczuła, że Maria jeszcze nie jest gotowa na takie słowa. Z westchnieniem puściła ją, żeby Anni i Alika mogły złożyć kondolencje. Szafarka płakała, jakby straciła najukochańszego członka rodziny, a Murzynka wydawała dźwięki, które przeszywały wszystkich do szpiku kości.

Podszedł również Karel, który był do Michała bardzo przywiązany, a za nim pozostali ludzie z zamku i chłopci ze wsi podlegających pod Kibitzstein. Wszyscy składali swej pani i jej córkom wyrazy ubolewania. Była markietanka Teresa mimo bólów, które były wynikiem długich podróży na twardym koźle wozu handlowego, przyszła też na górę zamkową i zalana łzami uściśnęła dłonie Marii.

Gdy ludzie podchodzili i odchodzili, Hiltrud stała z boku za Marią i przyglądała się przyjaciółce. Maria będzie musiała wkrótce pojąć, że powinna przestać myśleć tylko o zmarłym, lecz zająć się tymi, którzy żyli w zamku i na ziemiach do niego należących. Jeśli kasztelanka nie weźmie spraw w swoje ręce, to dziedzictwo Michała popadnie w ruinę i zaistnieje niebezpieczeństwo, że Falko, syn Marii i Michała, oraz jego siostry któregoś dnia nie będą mieli żadnego majątku.

Pomyślawszy o tym Hiltrud spojrzała bacznie na Trudi i próbowała dociec, jakie były aktualnie jej relacje z matką. Chrześnica Hiltrud robiła wrażenie kompletnie załamanej. Uczepiła się mocno matki, ale też Lisy i Hildegardy, jakby wszystkie trzy były dla niej jedynym oparciem chroniącym przed upadkiem w nieskończenie głęboką przepaść. Jeżeli Trudi nie weźmie się w garść, nie będzie mogła być wsparciem dla Marii, potrzebującej pomocy bardziej niż kiedykolwiek. Z drugiej strony wspólna żałoba po mężu i ojcu zbliży je.

Na tę myśl Hiltrud uspokoiła się nieco, bo właśnie i nieporozumienia w kręgu rodzinnym tylko by pogorszyły sytuację Kibitzsteinu. Śmierć

Michała spowodowała powstanie pustki, którą Maria będzie mogła choć częściowo wypełnić tylko z pomocą córek.

Wzrok Alike, która obserwowała grę uczuć zarówno na twarzy koźlarki, jak i kasztelanki oraz jej córek, poszedł za wzrokiem Hiltrud. Murzynka również odetchnęła z ulgą. Podobnie jak koźlarka nie wiedziała, czy Maria została wtajemniczona w problemy córki, jednak miała nadzieję, że więzy między matką i córką okażą się na tyle mocne, że wytrzymają i to.

Alika i Hiltrud pełne współczucia spojrzały na Anni, która zawisała Marii na szyi i nie mogła się oderwać, cały czas ubolewając. Jej zachowanie pozwalało przypuszczać, że była zakochana w mężu Marii. Ale jeśli nawet była to prawda, to dotychczas doskonale ukrywała swoje uczucia i nie uczyniła nic, co mogłoby spowodować jakąkolwiek rysę na małżeństwie Marii i Michała.

Alika postanowiła w przyszłości odnosić się serdeczniej do Anni, która przez lata wypełniała swe obowiązki z największą sumiennością. A teraz Maria potrzebowała dobrej szafarki bardziej niż kiedykolwiek. Murzynka zastanawiała się też, jak sama może pomóc Marii. Postanowiła być zawsze do jej dyspozycji. Jeszcze raz wyrzuciła z siebie tony smutku i bóleści, jakimi w jej dalekiej ojczyźnie ludzie manifestowali żalobę po zmarłych, następnie podeszła do Trudi, by ją objąć. Potem objęła Lisę, a na końcu Hildegardę, która stała jak wąski cień, któremu zabrakło łez.

— Któregoś dnia słońce jeszcze dla was zaświeci — próbowała pocieszyć panienki.

Trudi spojrzała na nią i powiedziała gniewnie: — Nie, dopóki morderca mojego ojca nie zostanie schwytany i będzie mógł drwić sobie z Boga.

Alice zdawało się jeszcze przed chwilą, że dzięki zgodzie między matką i córkami przewyciężone zostaną wszelkie trudności, ale słowa Trudi sprawiły, że dostrzegła coraz ciemniejsze chmury zbierające się na horyzoncie. Znała upór Trudi, a nienawiść, jaką panna czuła do mordercy, była tak silna, że mogła być zgubna.

Dlatego Murzynka miała nadzieję, że sprawca zostanie pojmany i ukarany, nim dojdzie do nowego nieszczęścia.

— Czy wiadomo już, kto to zrobił? — zapytała Alika głosem pełnym obawy.

— To był Eichenloh! — zdecydowanie odpowiedziała Trudi, a Maria niepewnie przytaknęła. — Ten człowiek przysiągł, że nie jest mordercą — mówiła dalej Trudi z mocnym przekonaniem — ale przysięgał fałszywie.

Zrozpaczona Maria rzekła: — I mnie też się tak wydaje. Ale Eichenloh przy otwartej trumnie przysięgał na krzyż i nie stało się nic, co mogłoby wskazywać, że jest winny. Mamy więc związane ręce.

Poza tym trudno byłoby wypowiedzieć wojnę najemnikowi, który raz przebywa tu, innym razem tam. Ale póki Bóg jest w niebie, len człowiek nie uniknie kary.

Teraz Alika uświadomiła sobie, czemu ujrzała przyszłość w ciemnych barwach.

Otóż matka i córka pałały taką samą nienawiścią do mordercy. W Trudi to uczucie było gorące i porywcze, natomiast Maria, która wiele w życiu zniosła, potrafiła bardziej nad sobą panować. Jednak właśnie dlatego robiła wrażenie jeszcze bardziej zawziętej.

— Niech ten najemnik natknie się jak najszybciej na wroga, który go pośle do piekła i tym samym was pomści! — zawołała koźlarka.

Alika miała taką samą nadzieję. Dopiero gdy ten Eichenloh padnie w walce, Maria i jej córki odzyskają spokój.

9.

Pogrzeb Michała był skromny. Proboszcz z Habichten, który był też odpowiedzialny za dusze mieszkańców zamku, odprawił mszę, podczas której wygłosił poruszającą mowę. Potem Karel, Gereon i jeszcze dwaj inni mężczyźni opuścili trumnę do dołu w ziemi. Maria zamierzała później zamówić kamienny nagrobek.

Najchętniej pochowałaby męża w grobowcu, ale na Kibitzsteinie nie było takiej możliwości, bo dotychczas ani ona, ani Michał nie widzieli powodu, żeby się spieszyć z wybudowaniem miejsca ich wiecznego spoczynku. A teraz było już za późno. Maria pocieszała się, że Michał chyba wolałby spoczywać w ziemi. Chociaż cesarz mianował go rycerzem Rzeszy, to jej mąż pozostał w głębi duszy uczciwym, skromnym człowiekiem, którego wiele obyczajów wielkich panów napawało niechęcią.

— Prochem byłeś i w proch się obrócisz — powiedział proboszcz. Maria wystąpiła do przodu i rzuciła garść ziemi na prostą trumnę z drewna świerkowego, którą wykonał dla Michała stolarz w Fuchsheimie. Gdy rzucała ziemię, pomyślała o pierścionku, który położyła Michałowi na piersi. Dostała go od niego zaraz po ślubie, a teraz ten mały złoty przedmiot będzie towarzyszył mu po wieczne czasy i przypominał, że jej miłość przetrwa nawet śmierć.

Córki także włożyły ojcu pamiątki do trumny. Trudi odpięła ze swej sukni broszkę, którą ostatnio dostała od ojca. Lisa, nie powiedziawszy ani słowa, włożyła do trumny własnoręcznie wyszywany herb Kibitzsteinu, natomiast Hildegarda wcisnęła mu pod pachę swoją ulubioną lalkę i tym samym pokazała, że uważa swe dzieciństwo za skończone i odtąd chce wiernie wspierać przybraną matkę.

Gdy do grobu podeszła Hildegarda i rzucała doń garść ziemi, a wszystkie oczy zwróciły się ku niej, Trudi trąciła matczyne łokieć, spojrzała na matkę lęklwym wzrokiem i powiedziała tylko: — Mamo!

Maria przyciągnęła do siebie pierworodną i pozwoliła, żeby pełna smutku twarz córki zanurzyła się w jej odzieniu, jakby z lęku przed ponownym spojrzeniem do grobu, w którym znajdowała się trumna ojca.

Wtem Trudi pochyliła się, by wziąć w rękę kilka grudek ziemi i rzuciła je na trumnę z przejmującym spojrzeniem. Gdy Lisa czyniła to samo, myśli Marii powędrowały do syna, Falka, który przebywał na zamku Hettenheim i jeszcze nic nie wiedział o nieszczęściu, jakie spotkało rodzinę.

Maria chciałaby mieć syna w tej chwili przy sobie. Do jego planowanego powrotu pozostało jeszcze kilka tygodni. Następnego dnia miała wysłać do Falka zaufanego posłańca z wiadomością o śmierci ojca i prośbą o powrót do domu. Potrzebowała go tutaj, musiał ją teraz wspierać. Był wprawdzie jeszcze trochę zbyt młody, by móc wziąć na siebie odpowiedzialność i przerwać nauki, ale zamek potrzebował pana.

Po członkach rodziny zmarłego do grobu podchodzili kolejno pozostali mieszkańcy Kibitzsteinu. Anni rzuciła na trumnę bukiet jesiennych kwiatów, Alika wielką kiść dojrzałych winogron oraz kilka ziemiołódów, żeby, jak powiedziała, pan Michał w drodze do królestwa niebieskiego nie musiał głodować. Wprawdzie przyjęła wiarę nowej ojczyzny i przyjmowała komunie świętą, ale ciągle jeszcze kultywowała kilka obyczajów z kraju swego pochodzenia.

Maria z córkami pozostała na cmentarzu i poczekała, aż grób zasypano ziemią oraz uformowano niewielkie wzniesienie. Karel przyniósł drewniany krzyż i podał go Marii. Ta pocałowała krzyż i wbiła go nieco krzywo w ziemię. Karel postanowił później go wyprostować.

— Macie dla mnie rozkazy, pani? — spytał Marię. Zmęczona Maria potrząsnęła głową.

— Nie teraz. Anni już wszystko przygotowała na stypę.

Uklękła przed grobem, nie zważając na rozgrzebaną ziemię, splotła dłonie i błagała Boga, by się zajął jej mężem i zaprowadził go do królestwa niebieskiego. Potem poprosiła Marię Magdalенę, by okazała Michałowi miłosierdzie i przekazała mu wiadomość o tym, jak bardzo go kocha i że miłość jej będzie trwać po wieczne czasy. Swoją modlitwę zakończyła prośbą, by niebo pomogło ujawnić i ukarać mordercę.

Gdy wstała, jej suknia pobrudzona była gliniastą ziemią. Anni dostrzegła to i kiwnęła ręką na Utę.

— Biegnij do zamku i przygotuj świeżą suknię dla pani. Musi się przebrać.

Służebna skwapliwie przytaknęła i szybkim krokiem udała się do zamku. Wcześniej czuła się obrażona, że nie wzięto jej ze sobą do Fuchsheimu. Teraz zapomniała o swoim niezadowoleniu i postanowiła, że będzie robić wszystko, co tylko może, by pomagać pani i jej córkom. Pragnęła, by były z niej zadowolone pod każdym względem, a szczególnie zależało jej na Trudi. Młoda pani potrzebowała teraz kogoś, przed kim mogłaby się otworzyć i powierzyć mu swoje troski. Poza tym Utę zżerała ciekawość, czy Trudi w Fuchsheimie spotkała swego ukochanego. W wyobraźni służebnej Georg von Gressingen był bohaterem, który pomści śmierć Michała i wróci w glorii, by prosić Trudi o rękę.

Młoda kasztelanka natomiast nie zwracała teraz uwagi ani na Utę, ani na kogokolwiek innego, tylko całkiem się oddała żałobie po ojcu i pałacemu pragnieniu dokonania zemsty. Czasem jeszcze inny ból przenikał jej ciało. Było to rozczarowanie, że Gressingen nie przybył do Fuchsheimu i nie poprosił o jej rękę.

Jego miłość dałaby jej pocieszenie, a zbrojne ramię mogłoby służyć pomocą matce.

Wprawdzie nie dałby rady w pełni zastąpić ojca, jednak jego obecność mogłaby zapobiec niejednemu starciu z sąsiadami, co na pewno w najbliższym czasie będzie miało miejsce. Trudi zastanawiała się, gdzie może przebywać jej ukochany. Czy on w ogóle o niej myślał? Może przyjedzie, aby ją pocieszyć, gdy się dowie o bolesnej stracie, jakiej doznała. Potem jednak uświadomiła sobie, że nawet on nie da rady uśmierzyć bólu po stracie ojca.

Stypa nie była radosną biesiadą, w trakcie której żywi próbują strząsnąć z siebie poczucie bliskości śmierci, lecz przygnębiającą kontynuacją ceremonii pogrzebowej. Maria nie zaprosiła żadnego sąsiada, bo nie chciała nikogo widzieć.

Nawet obecność służby jej przeszkadzała, a cóż dopiero chłopów i rzemieślników z podległych Kibitzsteinowi wsi. Dlatego poprosiła Anni, żeby zajęła się gośćmi.

— Chcę być sama! — dodała z uśmiechem pełnym bólu.

Anni zapewniła, że godnie zastąpi ją w obowiązkach pani domu, i pospieszyła do swych zajęć. Hiltrud i Alika wymieniły spojrzenia i podażyły za Marią. Jak się spodziewały, Maria poszła do sypialni, gdzie w brudnym

ubraniu rzuciła się na łóżko i zanosila głośnym, niepowstrzymanym płaczem.

Hiltrud zbliżyła się do niej i potrząsnęła nią, mówiąc: — Szanujemy twoją żalobę, ale właśnie teraz nie wolno ci pokazywać słabości.

Musisz być mocna i niewzruszona.

Maria spojrzała na nią zamglonymi oczami.

— Michał był dla mnie wszystkim — zaszlochała. — Dlaczego los musi być taki okrutny?

— Bóg to tylko wie. Ale chyba nie chcesz, by wszystko, co razem zbudowaliście, teraz runęło. Jesteś to winna Michałowi. Musisz utrzymać Kibitzstein i stawić czoła wrogom! Pamiętaj o biskupie z Würzburga i jego zakusach na wasz majątek. I o przeoryszy z Hilgertshausen. Ona może znowu wysłać swego wójta, aby ci zaszkodził. Czy może sądzisz, że ta niewiasta zostawi cię w spokoju? A twoi pozostali sąsiedzi? Większość z nich będzie postrzegać w tobie bezbronną wdowę, którą można okradać, jak tylko się chce. Udowodnij im, że byłaś żoną godną Michała. Jeśli się poddasz, twój majątek może zostać rozgrabiony, twój syn będzie musiał służyć jako rycerz innym panom, a córki będą musiały się cieszyć, jeśli zechce je poślubić jakiś mało znaczący poddany Würzburga lub Ansbachu.

Przez dłuższą chwilę Maria miała wrażenie, że czas się cofnął o trzydzieści lat.

Kiedyś, gdy wędrowała od targu do targu, Hiltrud takim samym tonem głosu robiła jej wymówki. Mimo wielu zastrzeżeń przyjaciółki Maria poszła własną drogą, która przyniosła jej szczęście, przynajmniej do dnia, kiedy utraciła Michała. Jeśli teraz ucieknie przed światem, powtórzy się sytuacja z Rheinsobern. Tam, gdy otrzymała wiadomość o rzekomej śmierci Michała, zamknęła się w sobie, odosobniła w pokoiku pod dachem i prawie umarła. Gdyby nie Hiltrud, nie doczekałaby spotkania z mężem, a Trudi nie przeżyłaby porodu.

Maria usiadła prosto, wytarła energicznie łzy z oczu i rzekła: — Masz rację. Muszę myśleć o dzieciach, zwłaszcza o Falku. Postanowiłam już posłać po chłopca, żeby mi pomógł utrzymać Kibitzstein.

— To jest, za pozwoleniem, niezbyt dobry pomysł — wtrąciła Alik. — Wrogowie, którzy zabili twójego męża, nie cofną się przed zabiciem twego syna. Być może Eichenloh zasztyletował własną ręką Michała, ale ktoś musiał mu to zlecić. Któż inny mógł to być, jak nie książę biskup? Czy chcesz, by twoi wrogowie zabili jeszcze Falka? Oni nie oszczędzą nawet ciebie i twoich córek. Panienki mogłyby mówić o szczęściu, gdyby ograniczono się do zmuszenia ich, aby wzięły ślub z panami, którzy służą biskupowi. W ten sposób cała ziemia Kibitzsteinu trafi pod władanie Würzburga.

Hiltrud poparła słowa Alik, potakując gorliwie, po czym dodała: — Falko jest zbyt młody, by powierzać mu zarządzanie zamkiem. Żaden kasztelan nie będzie go traktował poważnie, jeśli dojdzie do jakichś pertraktacji, a już najmniej ten biskup krwiopijca. Zostaw go u Henryka von Hettenheima. Tam jest bezpieczny i wyuczy się na dzielnego rycerza, który kiedyś będzie potrafił bronić swej ziemi.

Przyjaciółki miały nadzieję, że udało im się przekonać Marię, lecz ta powiedziała: — Potrzebuję Falka, bo sama sobie nie poradzę. Można i tu, na miejscu, kształcić go dalej na rycerza. Herta von Steinsfeld również sama wychowała syna.

— O nie, mam! Nie możesz tego zrobić mojemu bratu! — zawołała

Trudi, która niepostrzeżenie weszła do pomieszczenia i wzięła się pod boki.
— Jeśli ściągniesz teraz Falka do domu, ludzie będą się z niego śmiać tak samo, jak z Hardwina.

Wszyscy nazywają go maminsynkiem i nikt nie traktuje poważnie. A to przecież taki miły chłopiec! Ale pani Herta tak go trzyma w karchach, że on bez jej pozwolenia nawet nie ośmieli się pierdnąć.

— Nie bądź wulgarna — zganiała ją Alika.

— Ale to prawda. Wiem, że mama nigdy w życiu nie traktowałaby Falka tak, jak pani Herta swego syna. Ale ludzie mogliby sobie to tak wyobrazić i nie będą w ogóle go szanować. Naprawdę będzie lepiej, jeśli Hettenheim będzie go kształcił. Od niego Falko może się nauczyć wszystkiego, co rycerz powinien umieć. Jeśli go wezwiesz do domu, sąsiedzi domyślą się, że sama nie potrafiłaś dać sobie rady i z jeszcze większą ochotą będą próbowali uszczknąć coś z naszego majątku.

— Turkaweczka ma rację — rzekła Hiltrud z uznaniem dla swej chrześnicy, a Alika przytaknęła.

Maria ukryła twarz w dłoniach.

— Sama sobie nie poradzę. Karel jest dzielnym młodzieńcem, ale do tej pory wykonywał tylko polecenia Michała. On nie ma takiej smykałki jak Ingold von Dieboldsheim, który wówczas gdy Michał uważał, że nie żyje, prawie sam zarządzał Kibitzsteinem i go rozbudował. Michał i ja zawdzięczamy temu człowiekowi, że Kibitzstein jest teraz taki, jaki jest. — Spojrzała na przyjaciółki oraz Trudi i zapytała: — Macie może lepsze propozycje?

— Wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby Gressingen się pojawił i poprosił o rękę Trudi. On jest w tej okolicy znany i mógłby być dla ciebie oparciem, którego potrzebujesz — powiedziała Alika.

Oczy Trudi zaśniły, ale Maria tylko pokiwała głową. Gressingen nic był dla niej wymarzonym zięciem. Gdyby było inaczej, musiałaby przyznać Alice rację.

Wsparcie ze strony szanowanego rycerza byłoby rozwiązaniem wielu problemów.

Ale Gressingen znajdował się gdzieś daleko i nic nie wskazywało na to, że się szybko pojawi.

— Co sądzicie, mam wezwać Michiego? W ciągu ostatnich lat samodzielnie zarządzał majątkiem Kessnach w Odenwaldzie i dlatego wie, za co się trzeba wziąć.

Wierzę, że on by potrafił właściwie kierować sprawami Kibitzsteinu.

Jeśli go uczynisz zwierzchnikiem mojego syna, Karel poczuje się urażony — zauważyła koźlarka.

— Nie uczynię Michiego zwierzchnikiem Karela, lecz wyślę Karela na miejsce Michiego do Kessnach. Tam nauczy się samodzielności.

— Na pewno.

Trudi odetchnęła. Chociaż lubiła Karela, to bardziej ufała w kompetencje Michiego.

Syn Reima i Zdenki nie miał prawdopodobnie zbyt wielu obowiązków jako kasztelan Kessnach. Kibitzstein był o wiele trudniejszy do zarządzania, ponieważ temu zamkowi podlegało dużo więcej ziemi, w tym wsie i prawa użytkowania, które Michał otrzymał pod zastaw, a które w pierwszej kolejności muszą być chronione przed grabieżczymi zakusami.

— Jak zrobię — powiedziała Maria po chwili zastanowienia. — Tak się cieszę, że was mam! Bardzo mi pomogliście.

Spojrzała z wdzięcznością na córkę i swoje dwie przyjaciółki. Miały rację. Nie wolno jej pograć się w żałobie po Michale, lecz musi wszystko uczynić, aby zadbać o dobra, które pozostawił. Boleść na jej twarzy ustąpiła miejsca melancholii, a po chwili Maria pięścią uderzyła w otwartą dłoń drugiej ręki. Postara się, żeby kiedyś Falko zajął miejsce swego ojca, nawet jeśli będzie musiała stawić czoła całemu światu.

Koźlarka dostrzegła zmiany, które wystąpiły na obliczu przyjaciółki, i odetchnęła.

To była Maria, jaką знаła, ta, która potrafiła zadrzeć nawet z diabłem, jeśli była taka konieczność. Jeszcze biskup i ci, którzy ostrzą sobie pazury, by zagarnąć majątek Kibitzsteinów, się zdziwią. Sama kiedyś była świadkiem, co potrafi zdziałać Maria.

Chociaż Trudi weszła do komnaty Marii bez pytania, teraz grzecznie zapytała się, czy może wyjść. Alika wyczuła, że Trudi bardzo cierpi i sama nie może sobie z tym poradzić, poszła więc za nią, by ją pocieszyć i zaproponować pomoc. Zaraz potem Alika ściągnęła na siebie gniew Uty, wyprasząc ją z komnaty, aby móc porozmawiać z panienką w cztery oczy.

Koźlarka natomiast została jeszcze przez chwilę u przyjaciółki, aby ta mogła się wygadać i w ten sposób zrzucić z siebie nieco balastu ciężącego jej na duszy. Maria opowiadała najpierw o szczęśliwych dniach, jakie przeżyła z Michałem, a które teraz należały już bezpowrotnie do przeszłości. Potem wskazała ręką w kierunku gospodarstwa Hiltrud, którego dachy można było zobaczyć z zamku.

— Czasem myślę, że los był dla ciebie łaskawszy. Nie zaszłaś tak wysoko jak ja z Michałem, ale miałaś szczęśliwsze życie.

— Czy moje życie było szczęśliwsze? Wątpię. W każdym razie nie było takie burzliwe. Ale mimo to nie powinnaś mówić w ten sposób. Urodziłaś się jako córka bogatego mieszczanina z Konstancji, a ja jako jedno z wielu dzieci zależnego chłopca, który sprzedał mnie alfonsowi do burdelu, a swojemu panu prawdopodobnie powiedział, że zmarłam na jakąś chorobę. Gdybym cię wtedy nie spotkała, to na pewno dawno temu zdechłabym w jakim rowie przydrożnym i nikt by się nie zatroszczył, by pochować mnie po chrześcijańsku.

Hiltrud zapłakała na tę myśl, po czym prawą dłoń Marii przyciągnęła w geście wdzięczności do swego czoła. Maria lewą ręką pogłaskała ją po policzku i pomyślała sobie, że mało kto może się poszczycić tak wierną przyjaciółką, a potem rzekła głośno: — Wiesz co, Hiltrud? Postanowiłam wydać Trudi za Michiego. To w moich oczach będzie właściwe podziękowanie za wszystko, co ty, twój mąż i twoje dzieci dla mnie zrobiliście.

Chociaż propozycja w pierwszej chwili zdawała się kusząca, koźlarka potrząsnęła energicznie głową.

— Nie, to nie byłoby dobre. Różnica pochodzenia między nimi jest zbyt duża. Poza tym musisz mieć na uwadze Falka. Z takim szwagrem jak Michi Falko traktowany byłby przez szlachetnych panów jako nieco lepszy chłop. Nie, Mario, taki mezalians nie byłby dobry ani dla twojej, ani dla mojej rodziny. I tak uczyniłaś dla nas bardzo dużo. Weź na przykład Marielę, którą wydałaś za bogatego kupca Antona Tesslera ze Schweinfurtu. Teraz Karel robi słodkie oczy do mojej Mechtyldy. Jeśli czują do siebie miłość, nie mam nic przeciwko temu, żeby się pobrali. A co się tyczy moich młodszych synów, to Dietmar przejmie nasze gospodarstwo, a Giso zostanie księdzem. Ty i Michał już zaproponowaliście, że kiedyś zostanie u was

proboszczem w Kibitzsteinie. Na Boga, więcej szczęścia naprawdę nie mogę oczekiwać i nie zdołam się wam nigdy odplacić za to, co dla mnie i mojej rodziny zrobiliście. — Hiltrud objęła Marię i westchnęła: — Czuję straszny żal w sercu, widząc cię taką zrozpaczoną.

— Żałoba jest częścią życia, zupełnie jak radość. Tylko radość jest nam miłsza.

Bardzo mi pomogłaś, gdy zbeształaś mnie teraz tak, jak dawniej. Wtedy też czasem potrzebowałam, żeby ktoś mnie zrugął.

Maria uśmiechnęła się przez łzy i spojrzała w dal, jakby już teraz dostrzegła chmury swoich przeciwników. Jej twarz przybrała twardy wyraz.

Hiltrud była pewna, że przyjaciółka przetrwa ten cios losu i stawi czoła przyszłości napelniona nową siłą.

10.

W następnych dniach można było odnieść wrażenie, że cały świat zapomniał o Kibitzsteinie. Nie pojawił się żaden sąsiad, żeby złożyć Marii i jej córkom kondolencje z powodu śmierci Michała, ani nie było nowych prowokacji ze strony klasztoru Hilgertshausen. Maria była jednak czujna. Przeorysza rzuciła jej rękawicę i wykorzystała każdą możliwość, jaką napotkała, by osiągnąć swe cele kosztem Kibitzsteinu. Również od pana Fuchsheima, za którego Michał poręczył u kupców w Volkachu i Gerolzhofen, nie przybył żaden posłaniec. Wprawdzie Maria miała dokumenty zastawne, które ojciec Bony podpisał, ale wiedziała, że nie będzie łatwo zmusić go do ich wykupienia.

Pracy Maria miała w bród, a że Michał większość decyzji podejmował wspólnie z nią, wiedziała, co należy robić i co on by jej doradził. Córki dawały z siebie wszystko, żeby jej pomóc, a nikt, kto dopiero w tych dniach poznał by Trudi, Lisę i Hildegardę, nie uwierzyłby, że jeszcze kwartał temu biegały i szalały po polach jak jakieś dzikuski. Napad w Hilgertshausen spowodował, że skończyły się wszystkie wycieczki, nawet pozornie bezpieczne. Maria obawiała się, że ktoś może porwać córki i potem ją szantażować. Aby temu zapobiec, rzadko wypuszczała córki z zamku. A gdy odwiedzały kozłarkę lub Alikę, musiały brać ze sobą pół tuzina uzbrojonych parobków.

Wcześniej Trudi buntowałyby się przeciw takim ograniczeniom wolności, ale teraz informowała za każdym razem matkę, kiedy opuszczała Kibitzstein, i sama troszczyła się o bezpieczeństwo swoje i swoich siostr. Większość czasu poświęcała jednakże na wyręczaniu Anni i matki w różnych zajęciach oraz na pilnowaniu służby.

A przy tym przeżywała śmierć ojca jeszcze boleśniej niż w pierwszych dniach.

Jednocześnie marzyła o junkrze Georgu, od którego oczekiwała wybawienia z trudnej sytuacji, a z każdym dniem bez ukochanego rosła jej rozpacz.

Lisa nie drwiła już z niej z powodu miłości do Gressingena, jak to robiła wcześniej, lecz próbowała ją pocieszyć.

— Na pewno jest jakiś ważny powód, że junkier Georg nie przyjeżdża do Kibitzsteinu.

Trudi zmusiła się do uśmiechu i wzięła Lisę w ramiona, a ponieważ Hildegarda stała obok i wzrokiem żebrała o czułość, przyciągnęła ją też do siebie.

— Co bym zrobiła bez was dwóch? — zapytała i ku własnemu

zaskoczeniu stwierdziła, że mówi poważnie. Obie siostry pocieszały ją, a kiedy się naradzały, w jaki sposób mogą pomóc matce, panowała między nimi serdeczność i zgoda.

Gdy tak stały we trzy, obejmując się nawzajem, do komnaty z krzykiem wpadła Uta.

— Panienko Trudi, jakiś rycerz z orszakiem zbliża się do zamku.

— Co? Kto to taki?

Trudi, nie czekając na odpowiedź, podbiegła do okna, z którego widać było drogę do Kibitzsteinu. Lisa i Hildegarda poszły w jej ślady i wszystkie razem jednakowo podekscytowane wpatrywały się w oddział składający się z dziesięciu rycerzy.

Grupka zbliżała się do Kibitzsteinu w szybkim tempie, jednak była za daleko, żeby można było rozpoznać herby. Trudi odsunęła się od okna i rękawem wytarła łzy, które napłynęły jej do oczu, szybko bowiem się zorientowała, że wśród rycerzy nie ma junkra Georga.

Gdy jeźdźcy się zbliżyli, dziewczęta rozpoznały, że na czele oddziału jechał kleryk.

Mężczyzna siedział, jak przystało na pokornego sługę bożego, na mule, jednak sylwetką przypominał hardego wojownika. Gdy przejeżdżał przez bramę, zdawał się zapamiętywać wszystkie szczegóły umocnień.

Gdy jeden z jego towarzyszy pomagał mu zsiąść z siodła, Lisa rozpoznała duchownego: — To przecież ten prałat, który był w Fuchsheimie.

Hildegarda zaczęła z nerwów biegać po pokoju w tę i z powrotem.

— To przecież on chciał koniecznie uwolnić Ottona von Henneberga od podejrzenia zabicia taty.

Na ustach Trudi pojawiła się gorycz. Ona również rozpoznała Cypriana von Pratzendorfera i miała przeczucie, że jego wizyta nie wróży niczego dobrego. Gdy Karel podszedł do prałata i witał go, ona zwróciła się do swoich sióstr: — Powinnyśmy posłuchać, czego on chce.

— Ale mama wyprosi nas z sali — powiedziała Hildegarda.

— Dlatego ukryjemy się pod schodami. Pospieszcie się! Musimy znaleźć się w sali, nim pojawi się tam mama i ten nadęty klecha.

Trudi pognęła w dół po schodach wieży jak szalona, a siostry w ślad za nią. Gdy krótką chwilę potem wpadły do sali, stwierdziły, że zdążyły na czas i skryły się za ozdobną zabudową drewnianych schodów prowadzących do komnat ich i Marii.

Gdy szukały miejsc w kratce zabudowy, przez które mogłyby wszystko najlepiej widzieć, do sali wszedł prałat wprowadzony przez Karela.

Duchowny wyglądał na oburzonego, że w środku nie było jeszcze kasztelanki czekającej, by go przywitać. Zamiast pani do prałata podeszła Uta i poczęstowała go kielichem wina. Jednocześnie podejrzliwie zerknęła na ozdobną kratkę pod schodami. Widziała, jak panienki wpadają do sali, więc domyśliła się, że są tam ukryte.

— Mam nadzieję, że ta papla nas nie wyda — szepnęła przestraszona Lisa.

Trudi prychnęła cicho.

— Niech tylko Uta otworzy usta albo zdradzi nas jakimś gestem, to jej wieczorem żebra porachujemy.

Można byłoby pomyśleć, że Uta usłyszała groźbę, bo tylko lekko opuściła głowę i szybko wyszła z sali. Po chwili z godnością weszła Maria. Miała na sobie skromną suknię z ciemnego materiału i czepek bez ozdób, pod którym jej blada twarz wyglądała jak świeżo pobielona ściana. Prałat

zdawał się nie dostrzegać zdecydowania na jej ustach, bo patrzył na nią wyniośle i czekał, aż ugnie kolano i pocałuje dłoń, którą ku niej wyciągnął.

— Przysłała mnie Jego Ekscelencja księżę biskup — zaczął, nie czekając na formułki, które zazwyczaj wypowiada się na powitanie gości.

Maria zapytała z pozorną obojętnością: — Czegóż życzy sobie wielmożny pan ode mnie?

— Pan Gotfryd Schenk zu Limpurg przekazuje słowa ubolewania z powodu śmierci waszego męża i proponuje wam swoją ochronę.

— Jako lenno Kibitzstein podlega ochronie króla — powiedziała Maria niefrasobliwym tonem głosu, chociaż w głębi duszy czuła się zupełnie inaczej.

— Być może cesarz Zygmunt obiecał ci i twojemu małżonkowi kiedyś ochronę, jednak pan Fryderyk ze Styrii nie potrafi nawet sam siebie obronić.

W głosie Pratzendorfera brzmiała głęboka pogarda dla Fryderyka von Habsburga wybranego kilka lat temu na nowego króla Niemiec.

Trudi zacisnęła wargi. Najchętniej temu zarozumiałemu duchownemu wytknęłaby, że nie wypada z takim brakiem szacunku wypowiadać się o głowie Rzeszy, i miała nadzieję, że matka powie mu coś w tym stylu.

Maria sama wiedziała, że władza nowego króla nie sięga tak daleko jak władza cesarza Zygmunta i jego zięcia Albrechta II von Habsburga. Z tego powodu musiała ważyć słowa, żeby za bardzo nie rozgniewać biskupa i jego wysłannika.

— Dziękuję wielmożnemu panu księciu biskupowi za ochronę, którą chce mi zapewnić. Ale Kibitzstein jest lennem Rzeszy i nie może bez zezwolenia jego Królewskiej Mości zostać podporządkowany innemu panu.

— Kibitzstein nie jest aż tak ważną posiadłością, by uznanie zwierzchności biskupa z Würzburga miało jakieś znaczenie dla króla i Rzeszy. A dla ciebie i twojej rodziny byłoby wskazane postarać się o przychyłność księcia biskupa.

Pratzendorfer nawet nie silił się na dyplomację, tylko wprost wypowiadał roszczenia, wiedząc, że księżę biskup jest w stanie złamać każdego opornego kasztelana.

Inną niewiastę zastraszyłyby takimi słowami, ale Maria zareagowała zaczepnie.

— Czy mi tylko grozicie, czy wypowiedacie wojnę?

Trudi miała ochotę przyklasnąć matce, bo Pratzendorfer nie takiej reakcji się spodziewał.

— Kolegiata katedralna rości sobie prawa nie tylko do terenów będących lennem Rzeszy, lecz także do majątków, które pani kupiłaś z mężem lub dostałaś pod zastaw. Sąd księcia biskupa wyda wyrok w tej sprawie. A wyrok ten będzie dla ciebie korzystny, jeśli dobrowolnie oddasz się pod ochronę księciu biskupowi. W obecnej sytuacji twoi przeciwnicy, będący poddanymi biskupa, mają większe szanse, by im przyznano prawa do tych ziem. Jeśli będziesz się sprzeciwiała, stracisz wszystko. Zostanie ci tylko ten zamek i przylegający do niego folwark. Jeśli się podporządkujesz, pozostawisz synowi duży majątek, a twoje córki wyjdą za szlachetnych rycerzy będących poddanymi biskupa.

Wyszło szydło z worka, pomyślała Trudi i na chwilę opuściła ją odwaga. Natomiast jej matka spojrzała prałatowi prosto w oczy i rzekła: — Zapomnieliście o jednej rzeczy! Przysługuje mi prawo odwołania się do

sądu Rzeszy i jeśli ktoś spróbuje naruszyć mój majątek, zrobię to.

Twarz Pratzendorfera przybrała jeszcze bardziej drwiący wyraz.

— W takim razie zrób to! Nie sądzę, by pan Fryderyk przysłał ci choć jednego rycerza do obrony. Prawdopodobnie będziesz nawet daremnie czekała na jakąkolwiek odpowiedź. Natomiast pan Gotfryd Schenk zu Limpurg próbuje wyciągnąć do ciebie pomocną dłoń.

Przez moment Maria się zawahała. Pamiętała o niewypowiedzianej wojnie z klasztorem Hilgertshausen i nie potrzebowała więcej wrogów. Nie zależało jej też aż tak bardzo na niezależności. Ale Falko z pewnością patrzy na to inaczej. To wielka różnica być wolnym rycerzem Rzeszy a poddanym jakiegoś księcia. Na razie postanowiła więc negocjować.

— Chciałabym się dowiedzieć, jakie plany Jego Ekszelencja ma wobec moich ziem.

Skoro mam przyjąć jego warunki, muszę być pewna, że cały majątek pozostanie w moich rękach, a może nawet zostanie powiększony. Wójtostwo w grodzie Dettelbach dla mojego syna Falka i przekształcenie nadanych nam pod zastaw ziem na własność to z mojej strony minimalne warunki, spełnienia których oczekuję od Jego Ekszelencji.

Taka bezczelność odebrała na moment prałatowi mowę. Książe biskup planował, że majątek Adlerów, prócz kawałka przekazanego przez cesarza Zygmunta jako lenno, przejmie kapituła katedralna i rozdzieli między lojalnych sprzymierzeńców biskupa.

— Nie sądzę, by to było możliwe — warknął i pomyślał sobie, że tej niewieście potrzebna jest nauka pokory.

— W takim razie poczekam, jakie propozycje przedłoży mi Jego Ekszelencja, a potem podejmę decyzję. A wy? Zostajecie na noc czy chcecie dziś jeszcze wyruszyć w dalszą drogę?

Maria grzecznie dała znać prałatowi, że nie życzy sobie przedłużania jego wizyty.

Prałat rzekł ze złością: — Dzisiaj jeszcze jadę do Dieboldsheim, żeby porozmawiać z panem Ingobertem.

Zostań z Bogiem, moja córko.

Odwrócił się i opuścił szybko salę z przeczuciem, że biskupa czeka ciężka przeprawa z panią Kibitzstein. W drodze na dziedziniec zaczął już snuć plany, w jaki sposób można by było ją złamać.

Maria pozostała w sali zamyślona. Grzeczność nakazywała odprowadzić gościa i pożegnać się z nim, ale nie mogła zapanować nad emocjami i bała się, że powie jakieś niewłaściwe słowo.

Po śmierci Michała nie miałyby nic przeciwko temu, by przyłączyć się do jakiegoś potężnego sąsiada. Ziemie Ansbacha leżały dość daleko na południu i wschodzie, a od Kibitzsteinu dzielił je szeroki pas ziemi należącej do Würzburga, dlatego chętnie w jakiś sposób zawarłyby ugodę z księciem biskupem. Ale prałat nie pozostawił jej złudzeń. Jeśli zdecyduje się podporządkować biskupowi, to w zamian ten pozbawi ją dużej części majątku. A przed tym będzie się bronić ze wszystkich sił. Michał zrobiłby to samo, była tego pewna i przysięgła sobie, że będzie postępować tak, jakby sobie tego życzył mąż.

11.

Panienci odważyły się ruszyć dopiero wtedy, gdy matka wyszła z sali. Gdy wygramoliły się spod schodów, Hildegarda pociągnęła Trudi za rękaw.

— Czy książę biskup zabierze nam wszystko? — zapytała cicho. Trudi potrząsnęła energicznie głową.

— Nie, póki Rzesza ma króla.

— Ale sama słyszałaś, że pan Fryderyk nie może nam pomóc — rzekła Lisa.

— Tak twierdzi jedynie ten wstrętny człowiek. Okaże się, czy ma rację. Chodźcie ze mną. Muszę pilnie z wami porozmawiać. Ale nikt nie może się dowiedzieć, co mam wam do powiedzenia, nawet mama!

Hildegarda przycisnęła dłonie do policzków.

— Przecież nie powinnyśmy mieć przed mamą tajemnic.

— Czasem to jest konieczne — rzekła Trudi i pogłaskała siostrzyczkę na pocieszenie.

Gdy Lisa chciała zaproponować, nakazała jej milczeć i wskazała głową na służebną, która właśnie weszła do sali, żeby zabrać kubek, w którym podano Pratzendorferowi wino. Ponieważ kapłan wypił zaledwie łyżeczek, służebna chwyciła kielich i chciwie wypila resztę. Wtedy zobaczyła panienki i się zmieszała, ale po chwili roześmiała się i rzekła żartobliwie: — Szkoda by było wylać takie dobre wino.

Trudi, choć zdenerwowana wizytą prałata, zmusiła się do spokoju i przytaknęła: — Najważniejsze, że ci smakowało.

— I to jak, panienko.

Służebna wyszła, chichocząc, a Trudi pomyślała, jak szybko ludzie wracają do swoich przywar, chociaż ich pan zaledwie od kilku dni leżał pod ziemią. Ale miała ważniejsze rzeczy na głowie od łakomej służebnej. Dlatego wyszła z sali, ciągnąc za sobą siostry.

Podobnie jak Bona na zamku Fuchsheim, tak i one miały w wieży pokoik przeznaczony tylko dla siebie, gdzie mogły swobodnie ze sobą porozmawiać, bez obaw, że ktoś może im przeszkodzić. Gdy do niego wchodziły, zjawiała się Uta.

— Czy mam stać na czatach, żeby nikt was nie zaskoczył? — zapytała w nadziei, że będzie mogła podsłuchiwać pod drzwiami.

Trudi знаła ją zbyt dobrze, by przystać na taką propozycję.

— Zdaje się, że Anni cię szukała — powiedziała z uprzejmym uśmiechem. Radosna ciekawość na twarzy Uty zgasła.

— Naprawdę?

— Słyszałam, jak cię woła — dodała Lisa, a Hildegarda starała się nie patrzeć w kierunku służebnej. Dla niej każde kłamstwo było grzechem, nawet jeśli okłamywaną była służąca, dla której Anni na pewno wynajdzie jakieś zajęcie.

Tego też obawiała się Uta. Ale że nie mogła zignorować polecenia swej młodej pani, urażona opuściła pokój. Trudi zamknęła za nią drzwi, zasunęła zasuwę i powiedziała do sióstr: — Teraz się naradzimy, co mogłybyśmy zrobić, żeby ten krwio pijca z Würzburga nie pozbawił nas majątku. Mama sobie sama nie poradzi.

— Mama potrafi wszystko — zaprzeczyła gorliwie Hildegarda.

— Prawda, ale nie będzie miała do czynienia tylko z księciem biskupem, lecz też z jego poplecznikami i różnymi zawistnikami. Myślicie, że Ingobert von Dieboldsheim nie skorzysta z okazji, żeby odebrać nam zastawioną wieś, nie płacąc ani szeląga? To zły człowiek, który młodym dziewczętom wsadza rękę pod spódnicę. — Trudi otarła łzy, które stanęły jej w oczach na wspomnienie ostatniej wizyty w Dieboldsheimie. Wtedy jeszcze jej ojciec był żywy, zdrowy i dobrej myśli.

— Podobnie jak Dieboldsheim inni ludzie też będą chcieli wykorzystać nasze położenie, a bez pomocy mama będzie na straconej pozycji.

— Cesarz nam pomoże — powiedziała Hildegarda.

— Masz na myśli króla. Ale pan Fryderyk, żeby pomóc, musiałby najpierw wiedzieć, co się tu dzieje. Księżę biskup jest potężny i ma wielu pomocników, którzy mogą pojechać na dwór do Grazu i przedstawić mu sytuację w fałszywym świetle. Król może nawet mieć wokół siebie szpiegów biskupa, którzy przechwycają listy, jakie mama napisze. Same przecież słyszałyście, co powiedział. Że mama nawet nie dostanie od pana Fryderyka odpowiedzi. Ten klecha drwił z niej w żywe oczy.

— Nie mów tak! Mama nie lubi, jak używasz takich słów. — Hildegarda schowała głowę w ramionach, bo nie wypadało, żeby młodsza siostra ganiła starszą.

Trudi przebaczyła jej wspaniałomyślnie i podniosła rękę, żeby nadać wagę następnym słowom.

— Ktoś musi pojechać do króla Fryderyka i powiedzieć mu, w jakiej niebezpiecznej sytuacji się znajdujemy. Wtedy i tylko wtedy będzie mógł nam pomóc.

— Mama mogłaby posłać Karela, albo jeszcze lepiej Michiego — zaproponowała Lisa.

— Michi musi przyjechać do Kibitzsteinu i pomagać mamie, a Karel ma zarządzać Kessnachem. A więc obaj nie mogą pojechać do Grazu. Prosty parobek jak Gereon ma jeszcze mniejsze szanse niż ci dwaj, żeby go dopuszczono do króla. Dlatego jedna z nas musi pojechać! Panna von Kibitzstein ma prawo żądać audiencji u króla.

Zdecydowana postawa Trudi wskazywała, że to siebie miała na myśli.

— Ale to niemożliwe! — zawołała Hildegarda.

— Chcesz opuścić Kibitzstein po to tylko, żeby odnaleźć swojego Gressingena— rzekła podejrzliwie Lisa.

Przez moment zanosilo się na to, że niedawno zakończony spór między siostrami na nowo rozgorzeje. Tym razem Trudi zachowała się jednak wyjątkowo spokojnie.

— Junkier Georg byłby dla mamy dużym wsparciem. Ale on nie ma wystarczającej pozycji, by mógł stawić czoła biskupowi, bo inaczej nie pozwoliłby, żeby mu zabrano zamek. Nie, jest tylko jedna osoba, która naprawdę może nam pomóc, a tą osobą jest król Fryderyk. Przysięgam na Boga, że nie mam innych zamiarów, jak tylko udać się do niego i prosić, by nam pomógł. Poza tym chcę go prosić o sprawiedliwość za śmierć ojca. Morderca swoją przysięgą w Fuchsheimie napluł nam w twarz. Ale ja nie mam zamiaru pozwolić, by uniknął kary.

— Masz na myśli rycerza von Eichenloh? — zapytała Lisa niepewnie, bo jej zdaniem sprawcą był Otto von Henneberg.

— Eichenloh ponosi winę za wszystko! — zawołała cienkim głosem, lecz gniewnie Hildegarda. — Gdyby tata żył, to ten szkaradny klecha z Würzburga nie ważyłby się nam grozić.

— Kto tu mówił, że nie powinno się używać pewnych słów? — odgryzła się Trudi i machnęła ręką, gdy Hildegarda chciała przeproszać.

— Jesteśmy więc zgodne, że pojedę do króla. Ale będziecie musiały mi pomóc.

Muszę dostać od was wszystkie pieniądze, jakie macie, i trochę

bizuterii, którą mogłabym spieniężyć u Żydów. Podróż do Austrii na pewno dużo kosztuje.

Lisa westchnęła: — Mama nigdy ci nie pozwoli na taką daleką podróż.

— Dlatego nie może się dowiedzieć, że coś takiego planujemy. Powiem jej, że chcę spędzić kilka dni u Marieli w Schweinfurcie, żeby zapomnieć o moim bólu. Na pewno mi tego nie odmówi. A tam znajdę jakiś sposób, żeby udać się do Grazu.

Głos Trudi był tak przekonujący, że siostry nie zaproponowały.

12.

Trudi biegła za ojcem najszybciej, jak tylko mogła, ale nie udało jej się go dogonić.

— Tato, stój! — krzyczała, ale jej głos niósł się co najwyżej pięć metrów do przodu.

Miała przecucie, że stanie się coś strasznego. Jeszcze raz zawołała i tym razem ojciec chyba ją usłyszał, bo zatrzymał się i spojrzał w jej kierunku. W tym samym momencie pojawił się obok niego zatrważający cień. Błysnęła w słońcu stal, a Michał osunął się z jękiem na ziemię. Gdy Trudi do niego dobiegła, był już martwy.

Zawładnął nią ból i gniew, chwyciła sztylet, którym zabito Michała, i z tym orężem chciała rzucić się w pogoń za mordercą. Ale nagle znalazła się zupełnie sama w ogrodzie zamku Fuchsheim i usłyszała tylko z oddali drwiący śmiech. Z tym dźwiękiem w uszach Trudi obudziła się. Serce waliło jej jak oszalałe i cała była złana potem. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zorientować się, że nie jest w miejscu, gdzie zamordowany został jej ojciec, lecz w komnacie, którą dała jej do dyspozycji córka Hiltrud, Mariela. Obok niej leżała Uta na sienniku i spała mocnym snem. Maria wysłała ją razem z Trudi jako osobistą służącą. Oprócz tego towarzyszył im Lampert, który został umieszczony w jednym z pokoi dla służby.

Maria nie chciała obciążać Marieli i jej służby obowiązkiem obsługi Trudi przez okres kilku tygodni, a panna zadowolona była, mając koło siebie znajome twarze, bo w przeciwnym razie dużo trudniej byłoby jej zrealizować swoje plany.

W tej chwili zaprzątnięta była koszmarem, który właśnie jej się przyśnił. W ten sposób wielokrotnie przeżywała śmierć ojca, ale nigdy tak intensywnie jak tej nocy.

Wydawało jej się, że ciągle jeszcze trzyma w dłoniach sztylet ociekający krwią i ogarniało ją bezdenne morze nienawiści do nikczemnego drania, który dopuścił się morderstwa.

Każdy kolejny sen sprawiał, że rosło w niej poczucie odpowiedzialności za śmierć ojca. Gdyby w Dettelbachu i Fuchsheimie nie wywołała waśni z rycerzem von Eichenloh i nie pocięła twarzy Ottona von Henneberga, jej ojciec pozostałby przy życiu.

— Morderca powinien był mnie zabić, wtedy kara spotkałaby właściwą osobę— powiedziała sama do siebie po raz nie wiadomo który i opadła na posłanie, zanosząc się płaczem.

— Znowu płaczecie? Czasu i tak nie zdołacie cofnąć, żebyście nie wiem jak płakali— wymamrotała Uta otumaniona snem. Trudi rozgniewała się, słysząc te słowa. Miała ochotę wstać, żeby sprawić Ucie lanie za jej uwagi. W porę jednak przypomniała sobie, że postanowiła trzymać swój temperament na wodzy. W wypadku rycerzy von Eichenloh i Henneberga

dała się ponieść emocjom i została za to ciężko ukarana.

To ona i tylko ona zawiniła, że Kibitzstein nie miał teraz pana, a matka musiała zmagać się z zakusami księcia biskupa i innych sąsiadów. W koszmary Trudi wmieszała się obawa, że gdy wróci z Grazu, na zamku zasiadać może już nowy zarządca lub właściciel, matka i siostry będą martwe lub zamknięte w klasztorze, a brat będzie błąkał się po kraju jako bezdomny rycerz. W takiej sytuacji nawet Georg von Gressingen nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego. Ponieważ również był pozbawiony majątku, nie mógł ożenić się z panną bez środków do życia.

— Czujecie się już lepiej? Może przynieść wam dzbanek piwa z kuchni? Po piwie będziecie spokojniej spać.

Nie czekając na odpowiedź, Uta podniosła się i wyszła z komnaty. Trudi również wstała, ściągnęła koszulę nocną i szukała przy świetle księżycy ręcznika, którym mogłaby wytrzeć pot. Gdy służebna wróciła, Trudi stała ciągle jeszcze nago w komnacie.

Uta ponownie ją zbesztła: — Dlaczego nie powiedzieliście, że chcecie się obmyć z potu. Mogłam wam przecież przynieść wody.

— Nie trzeba.

Trudi wytarła się do sucha i chciała z powrotem przywdziać koszulę, jednak ta była nieprzyjemnie mokra. Rzuciła ją więc razem z ręcznikiem w kąt pokoju i wzięła dzbanuszek z piwem, który właśnie przyniosła Uta. Chciała wypić tylko kilka łyčzków, żeby nie robić przykrości Ucie. W trakcie picia zorientowała się, jak bardzo jest spragniona i oderwała usta od dzbanka, gdy w trzech czwartych był już pusty. Potem głośno jej się odbiło. Oddała naczynie Ucie, mówiąc: — Jeśli chcesz, wypij resztę. Do rana zwietrzeje.

Służebna nie kazała sobie dwa razy powtarzać, bo nie bez powodu napełniła dzbanek aż po brzegi. Wprawdzie zostało w nim mniej, niż się spodziewała, ale i tak była zadowolona. W końcu zawdzięczała swej młodej pani, że znalazła się w tym ciekawym mieście. Schweinfurt był czymś więcej niż osady targowe Volkach, Dettelbach, Gerolzhofen czy Prichsenstadt, w których od czasu do czasu bywała. Tu mogłaby kupić wszystko, czego pragnęło jej serce. Nie miała wprawdzie pieniędzy, ale podniecająca była dla niej sama możliwość podziwiania ryłu wspaniałych rzeczy. Poza tym pani była tak wspaniałomyślna, że pozwoliła jej odgryźć kawałek smażonej kiełbaski, którą kupiła na targu.

Uta z rozkoszą wypiła resztę piwa. Wprawdzie wino bardziej jej smakowało, ale musiałaby iść po nie do piwnicy, a ta przezornie została zamknięta. Mąż Marieli, Anton Tessler, nie chciał, by parobcy potajemnie podpijali z beczek. Piwo natomiast świetnie gasiło pragnienie i było zarazem pożywne, więc zawsze w kuchni ustawiona była beczka.

— Gdy będziesz gotowa, możesz na nowo pościelić moje łóżko, bo tak będzie mi nieprzyjemnie.

Prośba Trudi wyrwała Utę z zamyślenia. Odstawiła dzbanek po piwie i zajęła się sianiem łóżka. Trudi było zimno, więc owinęła się kocem z posłania Uty i przyglądała się, jak służebna szykuje jej łożo.

— Czy mam poszukać świeżej koszuli? — zapytała Uta.

— Nie, dziękuję, będę spać bez niczego — odpowiedziała Trudi. Zdegustowana Uta potrząsnęła głową.

— To nie wypada. Co powiedzą służebne pani Marieli, gdy jutro rano wejdą tu, a wy wstaniecie naga z łóżka?

— Nic nie powiedzą, bo pewnie same nie mają nocnych koszul, a

zimą śpią w ubraniach. Tylko dlatego, że jestem jeszcze panną... Och, dobrze, marudo. Poszukaj mi jakiejś.

Trudi poczekała, aż Uta wygrzebie koszulę, z pomocą służebnej założyła ją i wślizgnęła się do łóżka. Gdy Uta się położyła, Trudi z powrotem naszły ponure myśli. Nigdy, była o tym przekonana, nie daruje sobie, że stała się przyczyną śmierci ojca. Matka i siostry też z czasem mogą dojść do takiego wniosku. Bała się dnia, kiedy zostanie uznana w opinii rodziny winną śmierci ojca. Będzie wtedy traktowana jak trędowata. A jeśli na dodatek książę biskup przywłaszczy sobie Kibitzstein, to na pewno rodzina ją znienawidzi i odrzuci. Co wtedy ją czeka? Z pewnością cierpienia gorsze niż w czyścicu.

Jeśli chce nadal być akceptowana przez najbliższych, ma tylko jedno wyjście. Musi mianowicie pojechać do Grazu, do króla Fryderyka. Tylko on może zapewnić Kibitzsteinowi niezbędną ochronę. Takie myśli dręczyły ją, gdy próbowała z powrotem zasnąć. A gdy się rano obudziła, wiedziała już, co ma robić.

13.

Trudi nie mogła powiedzieć Marieli wprost, że chce pojechać do Austrii, by spotkać się z królem. Przyjaciółka natychmiast wsadziłaby ją w powóz i odesłała pod ścisłym nadzorem z powrotem do Kibitzsteinu. Dlatego Trudi musiała wymyślić coś takiego, co by nie budziło najmniejszych podejrzeń. Nawet Uta i Lampert, których chciała wziąć ze sobą w podróż, mieli dowiedzieć się, jakie są jej prawdziwe plany, gdy już będą w drodze.

Najpierw musiała mieć jasność, w jaki sposób sfinansuje podróż. Matka dała jej małą sumę na zakupy, siostry oddały wszystkie oszczędności co do ostatniego grosza, a także całą biżuterię prócz przedmiotów, które ostatnio dostały od ojca.

Cały ten skarb nie miał jednak dużej wartości. Dlatego serce Trudi waliło ze zdenerwowania, gdy następnego dnia udała się do Żyda, którego sklepik dostrzegła kilka dni temu podczas spaceru po mieście. W drodze do niego wyobrażała sobie, jak stoi przed nim bezradna, a mężczyzna śmieje się z jej mizernych kosztowności i wygania ją ze sklepu, zamiast wręczyć jej pełnowartościowe guldeny, których brzegów nikt nie ponadcinał.

Sklepik był mały i znajdował się przy uliczce o złej sławie, gdzie mieszkali wszyscy miejscowi Żydzi. Izachar ben Szymon był dość majątną osobą. Swój majątek zawdzięczał przyjmowaniu różnych przedmiotów pod zastaw. W przeciwieństwie do bogatych chrześcijan nie afiszował się swym bogactwem. Gdy weszła do środka, miała wrażenie, że znalazła się w ciemnej dziurze, gdzie nagromadzonych było pełno rupieci, za które nie dałaby ani szeląga. Ujrzała handlarza siedzącego przy stole w świetle łojowej lampy i sortującego jakieś rzeczy bez wartości. Żyd wyglądał równie odrażająco jak całe to pomieszczenie. Miał na sobie brudny kaftan, który na dodatek nieprzyjemnie śmierdział, o czym przekonała się, gdy podeszła bliżej. Na głowę naciągniętą miał filcową czapkę.

Izachar ben Szymon robił wrażenie całkiem zaprzątniętego swoimi przedmiotami, ale spod opuszczonych powiek zerkał jednak badawczo na Trudi. Czuł się nieswojo w kontaktach z niewiastami i nie lubił takich sytuacji. Po stroju wywnioskował, że białogłowa jest szlachetną panną. Dostrzegł, że jest przestraszona i zakłopotana, podobnie jak inne niewiasty, które do niego przychodziły, żeby coś zastawić. Ale ona miała taki wyraz

oczu, którego nie potrafił zinterpretować. Według jego oceny nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat, ale wydawała się dość pewna siebie.

Tacy klienci chcieli zazwyczaj zbyt dużo pieniędzy za swoje rzeczy, jakby nie rozumieli, że on też z czegoś musiał żyć. Za przedmiot, który kiedyś kosztował guldena, chcieli dostać guldena. Miał problemy, by coś takiego wybić im z głowy.

Zamiast się zadowolić tym, co proponował, niektórzy z nich szli potem do magistratu, by złożyć tam na niego skargę. Nie dość, że nie dali mu zarobić, to jeszcze na dodatek musiał tłumaczyć się przed urzędnikami sądowymi.

Dama, na którą pozornie ciągle jeszcze nie zwracał uwagi, nie była z pewnością mieszkanką Schweinfurtu, bo inaczej by ją znał. Strój wskazywał na to, że pochodziła z jednego z frankońskich zamków. Rzadko do niego przychodziły białogłowy stamtąd. Izachar nie miałby nic przeciwko temu, by dama sobie poszła, bo czuł w powietrzu, że skończy się na kłótni i mizernym zarobku.

Trudi zniecierpliwiła się, że stary nie zwraca na nią uwagi, i chrząknęła energicznie.

Handlarz poprawił się na swym taborecie, ale nie spojrzał w górę. Nie pomogło nawet kolejne chrząknięcie. Trudi nie miała zamiaru się poddawać. Wyciągnęła pierwszy przedmiot z kieszeni rękawa i podsunęła mu pod nos.

— Ile dostanę za tę klamrę? — zapytała.

Skoro zostało zadane pytanie, Izachar musiał odpowiedzieć. Przyjrzał się przedmiotowi, wziął go w rękę, żeby wycenić. Złoto było prawdziwe, a nie tylko naniesione na inny metal. Mimo to machnął niechętnie ręką, potrząsnął głową i rzekł: — To niewarte więcej niż guldena.

— Tylko jednego guldena? — w głosie Trudi zabrzmiało oburzenie. Nie była taka niedoświadczona, jak sądził. Dobrze wiedziała, że ojciec dał za tę klamrę pięć guldenów. Miał to być prezent dla matki, ale Michał w końcu uznał, że nie pasuje do niewiasty w tym wieku i podarował ją Trudi.

Rozczarowana zabrała klamrę i schowała z powrotem do kieszeni.

— Przepraszam, że przeszkodziłam. Będę chyba musiała pójść do innego Żyda.

Izachar ben Szymon wzdrygnął się na myśl o konkurencji.

Wprawdzie wszyscy Żydzi w mieście byli jego braćmi w wierze i razem z nimi modlił się w jednej synagodze, ale interesy każdy prowadził w swoim imieniu i dążył do osiągnięcia lepszych dochodów niż pozostali.

— Trzy guldeny!

Niechętnie wymówił tę kwotę, bo rzadko proponował więcej niż połowę rzeczywiściej wartości.

— Daj cztery — zażądała Trudi, która zdążyła się już ośmielić.

Izachar ben Szymon potrząsnął głową.

— Nie mogę dać więcej niż trzy guldeny, bo inaczej dołożę do interesu.

— Trzy i pół!

Trudi zaśmiała się i udawała, że chce schować klamrę z powrotem do kieszeni.

Targowała się jak kiedyś Anni. Chciała dorównać sprytniej szafarce, bo teraz liczył się dla niej każdy grosz, jaki tylko zdoła wyciągnąć.

Żyd przytrzymał klamrę i jeszcze raz spróbował ją wycenić. Był przekonany, że bez problemu sprzeda ją za cztery i pół guldena. Mimo to

niechętnie mruknął: — Dam wam za to trzy guldeny i cztery szylingi. Jeśli uważacie, że to za mało, to do widzenia. Wiedźcie jednak, że żaden handlarz nie da wam tyle, co ja.

Trudi zrozumiała, że nie zdoła z niego niczego więcej wyciągnąć, więc się zgodziła.

Gdy Izachar ben Szymon wydawał jej pieniądze, zwróciła mu jednego guldena i dwa szylingi, mówiąc: — Spójrz na brzegi! Zostały ponacinane. Dostanę za nie mniej, niż potrzebuję.

Izachar ben Szymon zamamrotał coś pod nosem. Młódka była bardziej uparta, niż się spodziewał. Ponieważ nie chciał, żeby poszła do magistratu ze skargą, zamienił złe monety na dobre i miał nadzieję, że panna sobie wreszcie pójdzie. Lecz zamiast odejść, wyciągnęła kolejną rzecz na stół i zapytała: — Ile to jest warte?

Z ciężkim westchnieniem handlarz wziął łańcuszek do ręki, obejrzał i powiedział śmiesznie niską cenę. Trudi roześmiała się ze złością.

— Dobrze wiesz, że ten łańcuszek jest nie mniej wart niż klamra, a może nawet więcej.

Handlarz zrozumiał, że panna najpierw posłużyła się klamrą, by się przekonać, ile może od niego wyciągnąć za swoją biżuterię. W głębi ducha poczuł dla niej uznanie.

Mimo to nie miał zamiaru rezygnować ze swego zarobku.

Rozpoczęły się więc twarde negocjacje. Usiłował nakłonić pannę, by od razu wyłożyła na stół wszystkie kosztowności, a on jej wtedy poda cenę za całość. Ona jednak wiedziała, że wyciągając kosztowności pojedynczo, wytarguje więcej pieniędzy, więc pokręciła głową.

— Potrzebna jest mi określona kwota. Jeśli ją uzyskam, resztę zabiorę ze sobą.

Izachar ben Szymon wyczytał w wyrazie jej twarzy, że nie mówi prawdy, walczył więc z nią równie żąrcie o każdy grosz. Zastanawiał się przy tym, z jakich powodów ta szlachcianka chce zastawić całą swą biżuterię. Było wiele możliwości. Może chciała bratu lub ukochanemu pomóc zdobyć fundusze na zbroję lub konia. Może potrzebowała pieniędzy na nowe suknie. Ta ostatnia możliwość była raczej mało prawdopodobna. Gdyby chodziło o ubranie, panna nie przyszłaby sama, lecz z matką lub inną doświadczoną krewną. Mimo to młódka potrafiła lepiej handlować niż większość niewiast, jakie przekroczyły progi jego sklepu. Były one z reguły zadowolone, gdy otrzymywały w dźwięczących monetach choć część wartości zastawionych przedmiotów. Panna natomiast walczyła o cenę każdego przedmiotu, jakby zależało od tego jej życie.

Gdy Trudi zastawiła ostatni przedmiot i zainkasowała za niego pieniądze, Izachar ben Szymon nie potrafił stwierdzić, kto z nich obojga ubił lepszy interes. Musiał jeszcze się upewnić, że panna nie będzie chciała potem dostać swoich rzeczy za tę samą kwotę, którą teraz jej wypłacił. Rzekł więc do niej pouczającym tonem: — Jeśli będziecie chcieli wykupić ode mnie swoje rzeczy, będziecie musieli zapłacić dodatkowo wykupne w wysokości jednej czwartej kwoty, jaką wam zapłaciłem.

Trudi przytaknęła, nie zastanawiając się nad tą kwestią. Co będzie później, nie było dla niej w tej chwili ważne. Liczyło się tylko to, że miała dość pieniędzy, by ruszyć w podróż. Oczywiście będzie musiała po drodze oszczędzać, ale czuła się dobrze uposażona. Teraz tylko musiała oznajmić Marieli, że chce ruszyć w drogę.

Mariela Tessler jako młode dziewczę sama była zakochana w Michale Adlerze.

Dawno jej przeszło to zadurzenie i była bardzo szczęśliwa ze swoim małżonkiem, któremu urodziła dwoje dzieci. Nie zerwała bliskiego kontaktu z rodziną w Habichten i mieszkańcami Kibitzsteinu, chociaż miała wiele pracy w domu, a ponadto pomagała mężowi w interesach, prowadziła mu księgi i zastępowała go, gdy wyjeżdżał. Cieszyła się, że Trudi ją odwiedziła. Starła się wspierać pannę w jej smutku i żałobie.

— Pewnie byłaś w kościele, żeby pomodlić się za duszę ojca — tymi słowy przywitała wchodzącą do domu Trudi, która przytaknęła zawstydzona, przy ciskając do siebie kieszeń rękawa, żeby nie zabręczały monety, które dostała od Izachara ben Szymona. Przykro jej było, że musi okłamywać przyjaciółkę, ale nie miała innego wyjścia.

— To jedyna rzecz, jaką jeszcze mogę zrobić dla ojca — odrzekła, uśmiechając się smutno i spojrzała Marieli w oczy, żeby nie robić wrażenia kłamczuchy.

Najstarsza córka Hiltrud przypominała teraz matkę bardziej niż w przeszłości.

Hiltrud twierdziła jednak, że Mariela jest o wiele od niej ładniejsza, gdy sama była w tym wieku. Niewiasta była dobrze zbudowana, ale nie gruba, wysoka, o pół głowy wyższa od Trudi, która też nie należała do niskich osób. Brzuch Marieli był mocno uwypuklony, wkrótce miała urodzić mężowi trzecie dziecko. Mimo to jej sylwetka i ruchy były harmonijne.

Mariela obserwowała swego gościa i stwierdziła, że Trudi jest tego dnia dziwnie podekscytowana. Spostrzegła też, że panienka bardzo schudła. Nie zdziwiło jej to, bo wiedziała, jak bardzo Trudi była przywiązana do ojca. Nawet teraz nie pozwalała sobie na odpoczynek i spokój, tylko odwiedzała wszystkie kościoły w okolicy, żeby pomodlić się za duszę ojca. A przecież Trudi była młoda i powinna interesować się bardziej wystawami schweinfurckich sukienników niż modlitwami za zmarłych, niezależnie od tego jak bardzo kochała ojca.

— Jak sobie radzisz z igłą? Mogłabyś mi pomóc uzupełnić wyprawkę dla dziecka.

Tą propozycją chciała Trudi zatrzymać na dłużej w domu, żeby mieć partnerkę do pogawędek.

Trudi potrząsnęła gwałtownie głową. Jeśli będzie pomagała Marieli, to straci jeszcze więcej czasu i w końcu na podróż może być za późno. Była już późna jesień i nie miała zbyt wiele czasu przed zimą. Poza tym matka będzie chciała, by wróciła do domu na święta Bożego Narodzenia. Po świętach nie uda jej się znaleźć okazji, by wyruszyć do króla Fryderyka. Trudi nawet nie mogła sobie wyobrazić, jak rozczarowane byłyby jej siostry. Przecież Lisa i Hildegarda dały jej swoje pieniądze i biżuterię tylko w tym celu. W pośpiechu szukała odpowiedniej wymówki, a gdy taką znalazła, musiała się powstrzymać, by z radości nie podskoczyć do góry.

— Chętnie bym u ciebie dłużej została, Marielo, choć to Hildegarda spośród nas trzech sióstr najlepiej potrafi posługiwać się igłą i nitką. Mama zawsze powtarza, że ja nie mam dość cierpliwości. Ślubowałam jednak, że będę modlić się za ojca, bo zszedł on z tego świata bez ostatniego namaszczenia. Z mamą już ustaliłam, że odwiedzę kilka miejsc, żeby tam się pomodlić. Modlitwa w kościele, do którego pielgrzymują ludzie, jest bardziej skuteczna niż w zwykłym kościele. Dlatego za dwa, trzy dni

chciałabym ruszyć w drogę.

— Pielgrzymka, aby pomodlić się za duszę ojca, to niezły pomysł. Chętnie bym z tobą udała się w taką podróż.

Trudi, słysząc te słowa, przestraszyła się. Gdyby przyjaciółka ruszyła razem z nią w drogę, musiałaby faktycznie pielgrzymować i nie mogłaby pojechać do Austrii. Ale Mariela pogłaskała się po swym wypukłym brzuchu i westchnęła: — Niestety, w moim stanie to niemożliwe, nie chciałabym urodzić dziecka gdzieś w drodze, nawet jeśli zdarzyłoby się to w jakimś świętym miejscu. Powiedz, jak chcesz, aby wyglądała twa pielgrzymka. Nie masz przecież towarzystwa.

— Wezmę ze sobą Utę i Lamperta.

— Służebna i parobek to niewystarczająca ochrona dla szlachetnej panienki. Twoja matka mogła przecież pozwolić zostać u nas tym dwóm zbrojnym parobkom, którzy cię tu przywieźli. Przecież by nas nie objedli. Nie sądzę, że potrzebna by ci była ochrona ze względu na zbójców, bo na pewno przyłączysz się do większych grup pielgrzymów. Ale młoda dama bez męskiego towarzystwa jest narażona na nagabywanie.

Słowa Marieli brzmiały rozsądnie i przez moment Trudi nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Matka oczywiście nie miała pojęcia o jakiegokolwiek pielgrzymce, dlatego zbrojni parobcy wrócili zgodnie z poleceniem niezwłocznie do Kibitzsteinu.

Na szczęście Mariela nie wnikała za bardzo w tę kwestię, lecz zastanawiała się, jak rozwiązać ten problem.

— Porozmawiam z mężem. Da ci on do dyspozycji kilku swoich włóczników. Ale przed Bożym Narodzeniem musisz wrócić! Anton zaraz po świętach chce ruszać do Frankfurtu i będzie potrzebował zbrojnej obstawy.

— Tak długo nie zamierzam pielgrzymować. Chcę się tylko pomodlić w klasztorach w Schwarzach, a potem udać się do grobu świętej Kunegundy w Bambergu — Trudi uspokoiła przyjaciółkę. Głos jej drżał, aż bała się, że wzbudzi to podejrzenie. Nie była przyzwyczajona do kłamania, a ciągu ostatniej godziny naopowiadała więcej bajek niż przez całe ostatnie półrocze.

Na jej szczęście Mariela niczego nie dostrzegła.

— W takim razie dobrze. Porozmawiam z mężem. A tymczasem połóż się i odpocznij, wyglądasz na zmęczoną.

Wzrok Marieli nie był na tyle przenikliwy, żeby zająrzeć przyjaciółce w głąb serca.

Koźlarka Hiltrud i Alika nie dałyby się Trudi oszukać. Ale Mariela nie знаła jej aż tak dobrze, bo w ciągu ostatnich lat widywała ją rzadko — tylko wtedy, gdy przyjeżdżała odwiedzić rodzinę lub gdy Maria z córkami przyjeżdżała do Schweinfurtu. Dlatego nie wyczuła niczego podejrzanego w słowach Trudi i postanowiła przygotować wszystko jak najlepiej do pielgrzymki. Poprosiła Trudi o wybaczenie.

— Idę porozmawiać w tej sprawie z Antonem, nim wyjdzie z domu. Zamierzał spotkać się z kilkoma współnikami.

— Dziękuję! Jesteś taka kochana! — Trudi objęła Marielę zalana łzami, które jej pociekły głównie ze wstydu, że musi tak kłamać, i oddaliła się spieszenie do swojej komnaty.

Mariela patrzyła za nią z uśmiechem i pomyślała, że Trudi wciąż jest taką samą trzpiotką jak dawniej. Potem wydała kilka poleceń służebnym i udała się do kantoru męża.

Anton Tessler liczył właśnie zyski z ostatniej transakcji. Gdy jego

żona weszła, nie podniósł nawet wzroku, tylko podliczał słupki cyferek i wpisywał wynik z pedantyczną dokładnością do księgi rachunkowej. Potem przesunął księgę tak, żeby mogła do niej zajrzeć, i pokiwał z zadowoleniem głową.

— To mi się podoba. Będiesz mogła zamówić futrzaną czapkę, która ci się ostatnio tak podobała, moja droga.

— Skąd wiedziałeś, że to ja weszłam? Równie dobrze mogłaby to być któraś ze służebnych albo któryś z kupców, z którymi robisz interesy — zapytała zdziwiona Mariela.

Mąż popatrzył na nią z czułością.

— Poznałem cię po krokach, kochana. Poza tym służebna lub kupiec nie weszliby do środka bez pukania. Tylko ty tak robisz.

Anton Tessler wstał, podszedł do żony i pocałował ją w policzek, jednocześnie pogłaskał ją delikatnie po brzuchu.

Myśl o tym, że żona wkrótce po raz trzeci uczyni go ojcem, napawała go szczęściem, które było o wiele większe niż w wypadku udanej transakcji. Gdy starał się o jej rękę, był już wdowcem i zdecydował się na nią przede wszystkim dlatego, że pochodziła z krzepkiej, zdrowej rodziny, a ponadto była chrześnicą rycerza Rzeszy Kibitzsteina.

Jego pierwszą żonę wybrali dla niego rodzice. Pochodziła z rodziny schweinfurckiego patrycjusza, z którym byli spokrewnieni. Gdy wreszcie zaszła w ciążę, nie udało jej się donosić dziecka, które przyszło na świat martwe, a ona umarła przy porodzie. Pewien przyjaciel słynący z hodowli koni orzekł, że to dlatego, iż byli zbyt blisko spokrewnieni. Poradził, żeby poszukał sobie żony w innym mieście.

Wkrótce potem ujrzał Marielę, która przyjechała do Schweinfurtu w towarzystwie pani Marii Adler z Kibitzsteinu. Od razu był urzeczony tą białogłową. Z czasem stała się dla niego kimś więcej niż matką zdrowych dzieci. Znów pocałował Marielę i przyciągnął ją do siebie w taki sposób, że plecami opierała się o jego piersi. Ręce położył na jej brzuchu, którego nie udało mu się objąć.

— Jesteś całym moim szczęściem!

— Chociaż wpadam tu bez pukania? — zażartowała Mariela.

— A może właśnie dlatego. Ale teraz powiedz, o co chodzi. Masz na twarzy wypisane, że ciąży ci nie tylko to dzieciątko, ale jeszcze jakaś myśl.

— Chodzi o Trudi. Ślubowała, że będzie pielgrzymować, żeby modlić się za ojca. Ale nie mogę puścić jej w drogę samej, jedynie ze służebną i młodym pacholkiem.

— Może powinniśmy wysłać posłańca do Kibitzsteinu, żeby pani Maria przysłała kilku zbrojnych parobków? — zaproponował Anton Tessler.

Mariela pogładziła męża po dłoniach.

— Sama już o tym myślałam. Ale powoli rok się kończy i za długo to będzie trwało, nim posłaniec sprowadzi tu ludzi z Kibitzsteinu. Ponadto pani Maria potrzebuje wszystkich swoich ludzi na miejscu, gdyby doszło do wojny z zakonnicami z Hilgertshausen.

— Chciałabyś pomóc Trudi wywiązać się ze ślubowania jeszcze przed zimą i wiesz już jak.

Mariela odchyliła głowę do tyłu tak, że jej czepek łaskotał go w nos.

— Pomyślałam, że mógłbyś oddać jej do dyspozycji dwóch swoich włóczników. Bez problemu wrócą razem przed Bożym Narodzeniem.

Anton Tessler najpierw coś zamruczał pod nosem, potem jednak się roześmiał.

— No dobrze, skarbie, niech będzie. Ale panna nie może się spóźnić. Za miesiąc muszę mieć swoich ludzi z powrotem.

— Będiesz ich miał na pewno — obiecała Mariela i pomyślała, że ma najlepszego męża, jakiego można by było sobie wymarzyć.

15.

Jeszcze nigdy w życiu Trudi nie była taka zawstydzona, jak tego dnia. Musiała oszukiwać dwoje tak miłych ludzi. Z obawy, że Anton Tessler w ostatniej chwili przejrzy jej kłamstwa, unikała ich wzroku, a gdy obejmowała Marielę, rozszlochała się tak, jakby nie mieli rozstać się na pewien czas, lecz na zawsze.

— Ruszaj w drogę, maleńka! Jesteś taka przejęta. Na pewno twoje modlitwy sprawią, że przed ojcem otworzy się prosta droga do nieba.

Mariela nie miała najmniejszych wątpliwości co do intencji Trudi. Była przekonana, że chce ona faktycznie pielgrzymować do miejsc świętych, a Anton Tessler, który potrafił przejrzeć na wylot swoich kontrahentów, również dał się nabrać.

Pogładził Trudi po policzku i rzekł do niej dobrotliwie: — Czy masz dość pieniędzy na hojne ofiary? Jeśli nie, chętnie ci co nieco dołożę.

Twoja matka może mi to później zwrócić. — Trudi ta propozycja spadła jak z nieba. Z radości na nowo się rozszlochała. Tessler po jej płaczu wywnioskował, że panna nie dostała od matki tyle pieniędzy, ile by chętnie złożyła w ofierze. Wyciągnął z sakiewki kilka błyszczących guldenów i położył jej na dłoni. — Pisemnej umowy nie musimy zawierać — dodał żartobliwie.

Pannie zadrżały kąciki ust. Objęła mężczyznę, mówiąc ze wzruszeniem: — Wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy. Nie zasłużyłam sobie na to! Mariela dała jej prztyczka w nos i powiedziała: — Pozwól, że to my będziemy oceniać, czy sobie zasłużyłaś czy nie. — Następnie, wskazawszy na dziedziniec, dodała: — Twoja obstawa już czeka. Pamiętaj, przed Bożym Narodzeniem musisz być z powrotem!

— Ależ oczywiście! Będę! — Trudi przytaknęła nieco zbyt gorliwie. Zdała sobie sprawę, że jej głos mógł zabrzmieć fałszywie.

Mariela miała przeczucie, że Trudi będzie chciała przeciągnąć pielgrzymkę do ostatniego dnia. Dlatego dała znak mężowi, żeby uczulił swoich ludzi, iż w uzgodnionym terminie muszą być z powrotem w Schweinfurcie. Jeśli Trudi nie odwiedzi wystarczającej liczby miejsc świętych, może kontynuować pielgrzymkę na wiosnę.

— Jedź z Bogiem! — Mariela pocałowała Trudi w czoło i odprowadziła do drzwi. Gdy już znalazły się na dziedzińcu, dodała: — Nie ponaglę cię dlatego, że chcę się ciebie pozbyć, ale dlatego, żebyś jak najszybciej wróciła.

Do Uty i Lamperta dołączyło dwóch rosłych mężczyzn, obaj byli dobrze uzbrojeni, mieli na sobie solidną zbroję, a nawet drogie kapaliny. Włócznicy czekali równie cierpliwie co ich pozbawione temperamentu, ale wytrzymałe konie. Uta, wyglądająca jak półtora nieszczęścia, siedziała tymczasem na swym jucznym koniu.

Do siodła z prawej i lewej strony miała przytroczone duże skrzynki. Jedną ręką przytrzymywała kurczowo drewniany łęk przy siodle, drugą rękę wsunęła pod rzemień podogonia. Mimo to bała się, że spadnie, gdy wielki i robiący wrażenie ospałego koń wykona pierwszy ruch. Wołałaby dwukołowy wózek, którym przyjechała do Schweinfurtu, choć przedtem

narzekała, że ją tak wytrzęsło, iż na pupie ma same siniaki.

Lampert przytrzymał cugle jej konia i musiał kierować jeszcze własnym.

Również on nie był przyzwyczajony do jazdy konnej, ale zebrał się na odwagę, by panować nad obydwoma upartymi i powolnymi ogierami.

Jedynym pełnym temperamentu zwierzęciem spośród tej gromadki była klacz należąca do Trudi, nosząca imię Nawałnica. Trudi dostała tego konia na swoje czternaste urodziny od ojca. Matką Nawałnicy była klacz, którą Maria dostała niegdyś od cesarza Zygmunta. Wprawdzie Nawałnica była indywidualistką i miała trudny charakter, ale była prześliczna, delikatnej budowy i do tego niezwykle szybka. Trudi bardzo ją lubiła. Często ją własnoręcznie czyściła zgrzeblę, bo klacz szczypała stajennych i lubiła przydeptywać im stopy. W obecności swojej pani była natomiast potulna jak baranek. Gdy Trudi wsiadała na siodło, stała nieruchomo jak statua.

Zazwyczaj Trudi jeździła konno jak mężczyzna, podczas gdy większość pańienek z dobrych domów wyruszała na przejażdżki po okolicy swoich zamków w damskich siodłach, uważanych za bardziej stosowne dla białogłów. W podróży do Austrii Trudi nie chciała rzucać się zanadto w oczy, więc przełożyła prawe udo przez przedni łęk, a lewą stopę wsunęła w strzemię. W sukni do jazdy konnej w pastelowych kolorach z zawadiacką czapeczką na głowie wyglądała jak wytworna młoda dama udająca się na przejażdżkę dla przyjemności. Była jednak strasznie spięta, co ujawniła, chwytając cugle gwałtownym ruchem. Napięcie to przeniosło się na klacz, która chciała od razu ruszyć prędko przed siebie.

— Niech Bóg będzie z tobą! Uważaj na siebie! — zawołała Mariela. Trudi podniosła w geście pożegnania szpicrutę i nakierowała klacz, mówiąc: — Dziękuję wam z całego serca. Bądźcie zdrowi. Do zobaczenia!

Kłusem przejechała przez bramę. Koń Uty pozostał w miejscu i nie chciał ruszyć, póki Lampert nie uderzył go prętem. Towarzyszący im zbrojni nie ruszyli się, żeby pomóc. Poczekali, aż oba uparte konie przejdą przez bramę, wtedy również ruszyli.

Dla nich ta podróż była zwykłym zadaniem, jak każde inne. Mieli nadzieję, że panna odwdzięczy im się za ochronę, stawiając od czasu do czasu w gospodach dzban wina.

Mariela patrzyła w ślad za oddalającym się małym orszakiem jeźdźców, póki nie zniknął, skręcając w boczną uliczkę. Odwróciła się do męża i powiedziała: — Mam jakieś dziwne przeczucie. Trudi zachowywała się inaczej niż zwykle.

Chciałabym wiedzieć, co naprawdę siedzi jej w głowie.

— Cierpi z powodu śmierci pana Michała. Nie martw się! Modlitwy w świętych miejscach sprawią, że odzyska spokój wewnętrzny — pocieszył ją mąż i zaczął się zastanawiać nad następną transakcją handlową.

Mariela spróbowała sobie w duchu wytłumaczyć, że tylko ulega tym dziwnym uczuciom, jakie często dopadają brzemienne niewiasty. Miała nadzieję, że Trudi wróci szczęśliwie.

CZEŚĆ PIĄTA

Podróż

I.

Giermek wyglądał tak, jakby wolał stoczyć walkę z rozwścieczonym turem niżli rozmówić się z Trudi. Ale nie miał zamiaru podporządkowywać się dalej jej humorom. Młoda dama nie ograniczyła się do pielgrzymki w

miejsca położone w okolicach Schweinfurtu, lecz z niezwykle determinacją zmierzała coraz dalej w kierunku południowo— wschodnim i przed kilkoma dniami przepłynęła się przez rzekę Dunaj.

Niespokojnie przestępując z nogi na nogę, mężczyzna starał się przybrać jak najbardziej surową minę.

— Musimy zawracać, panienko! Pan oczekuje naszego powrotu przed Bożym Narodzeniem. Jeśli nie dotrzemy na czas, zrużga nas i ani chybi zwolni ze służby. Z pewnością byście tego nie chcieli.

Lecz Trudi pozostała głucha na apel do swego poczucia odpowiedzialności za służbę. Gwałtownym gestem wskazała na południowy wschód, starając się sprawić wrażenie jak najbardziej zdecydowanej.

— Muszę odwiedzić jeszcze miejsce święte, o którym mówił wczoraj ten pobożny mnich.

Giermek pokręcił głową.

— To niemożliwe, panienko. Do Al to tting jeszcze co najmniej dwa dni jazdy konno.

Zawróćcie, proszę! Podczas tej podróży dość się już zaiste modliliście!

— To prawda! — przytaknęła Uta. — Od opuszczenia Schweinfurtu odwiedziliśmy już ponad tuzin świętych miejsc, a wy, pani, uzyskaliście tyle odpustu, iż wasz ojciec z pewnością został już przyjęty do królestwa niebieskiego.

Dziewka nie miała chęci na dalszą podróż. Rok zbliżał się ku końcowi, zaś pogoda pokazywała się ze swej najmniej przyjaznej strony. Do Schweinfurtu droga była daleka, a wracając, musieliby przedzierać się przez śnieg i lód.

Giermek rzucił towarzyszowi ostrzegawcze spojrzenie, by ten znów się nie ugiął, a następnie ponownie zwrócił się do Trudi.

— My też jesteśmy zdania, że dość się już modliliście, panienko. Jeśli wam to nie wystarcza, to odwiedźcie kościoły w Schweinfurcie albo wybierzcie się w przyszłym roku na nową pielgrzymkę. Teraz zawracamy. To nasze ostatnie słowo.

Albo ruszacie z nami, albo...

Groźba pozostała niewypowiedziana, lecz mężczyzna zdecydowany był raczej zostawić Trudi samą, niż dalej za nią podążać. Nawet gdyby następnego ranka wyruszyli w drogę powrotną, musieliby poganiać konie, by zdążyć na czas do Schweinfurtu. Z pewnością mieliby kłopoty, gdyby dojechali tam bez młodej damy.

Lecz jeśli nie wrócą na Boże Narodzenie i nie będą mogli towarzyszyć panu w podróży, niebezpieczeństwo, że zostaną zwolnieni w samym środku zimy, było jeszcze większe. Giermek miał nadzieję, że groźba pozostawienia panienki samej sprawi, iż ta się opamięta.

Jednak próba szantażu odpowiadała zamiarom Trudi.

— Pojadę do Altötting, z wami albo bez was!

Z obniżonego tonu głosu wynikało jasno, że Trudi nie ustąpi.

Giermek pokręcił z westchnieniem głową i odciągnął swego towarzysza na stronę, by się z nim naradzić.

— Co robić?

Ten wzruszył niezdecydowanie ramionami.

— Nie wiem. Młoda dama jest uparta jak osioł i cokolwiek byśmy zrobili, będzie i tak źle. W końcu Tessler może stracić zaufanie do nas.

Giermek zacisnął pięści.

— Ciekaw jestem, co ta panna ma jeszcze w planach. Chciała pomodlić się w kościele biskupim w Bambergu. Toteż pojechaliśmy tam. Następnie koniecznie musiała być w kościele biskupim w Eichstätt, na to też się zgodziliśmy. Już mieliśmy nadzieję na powrót, gdy zaczęła naglić na podróż do Regensburga.

Stamtąd dalej do Freising, teraz zaś koniecznie do Altötting. Jak tam dotrze, usłyszysz o kościele biskupim w Salzburgu i zacznie naciskać, byśmy tam pojechali. W końcu znajdziemy się w Rzymie, a może nawet w Jerozolimie. Uważam, że powinniśmy przytroczyć ją do konia i siłą zawieźć do domu.

— Nie wyszłoby nam to na zdrowie — zaoponował rozmówca. — Panny ze szlacheckiego rodu nie wlecze się spętanej po kraju. A może chcesz, żeby pierwszy napotkany kasztelan kazał wtrącić cię do lochu?

— To co mamy zrobić? Jeśli nie będziemy towarzyszyć panu do Frankfurtu, wówczas zwolni nas za niesolidność, a bez referencji nie znajdziemy już żadnej dobrej posady. Wtedy nie pozostanie nam nic innego, jak zaciągnąć się z najmitami sprzedającymi swą skórę za kiepską strawę i łupy zdobyczne, których i tak zwykle nie ma.

— Tessler nie chciałby z pewnością, byśmy zostawili panienkę na łasce losu, zaś na podróż może nająć kilku giermków. — Słowa te zabrzmiały jednak mało przekonująco.

— Obcych na nasze miejsce? Tego jeszcze brakowało! Wyobraź sobie, że byliby w zмовie z rabusiami, co zdarza się wcale nierzadko. Mówię nie! Bliższa koszula ciału niżli suknia. Albo panna jedzie razem z nami, albo wracamy bez niej.

— Wtedy pan byłby na nas bardzo rozgniewany i miałby rację.

— To przecież nie nasza wina, tylko tego tam upartego babsztyla! — zaoponował rozzłoszczony giermek.

Jego towarzysz podrapał się w podbródek i zerknął w kierunku Trudi, która obserwowała ich z takim zainteresowaniem, jakby nie traktowała protestu poważnie.

— Wiesz co? Udamy, że wyruszamy jutro w drogę powrotną, jednak w najbliższej miejscowości zaczekamy na nią. Z pewnością ogarnie ją strach, jak tylko zostanie sama ze swą dziewczką i pacholkiem, i podąży za nami.

— Zgoda! Jednak nie będę czekał dłużej niż dzień. Podszedł do Trudi i wskazał na przyjaciela.

— Rozmówiłem się ze swym towarzyszem, panienko. Jutro wyruszamy z powrotem.

Byłoby dla was lepiej, gdybyście pojechali z nami.

Trudi musiała się pilnować, by nie wyglądać jak zadowolona kotka nad miską śmietanki.

— Moja decyzja też już zapadła. Pojadę do Altötting, później do Salzburga, by w tamtejszej bazylice wznieść modły do Pana.

Giermek wzruszył ramionami i wyciągnął rękę.

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak prosić o pieniądze na drogę do domu i polecić was bożemu błogosławieństwu!

Żądanie pieniędzy było Trudi nie na rękę, ponieważ sporo guldenów ofiarowała w mijanych kościołach, przez co zdążyła już wydać więcej, niż zamierzała. Jednak żadną miarą nie chciała rezygnować ze swego przedsięwzięcia.

Bez słowa rozsypała sakiewkę i odliczyła monety. Wiedziała już, ile kosztuje nocleg i strawa, dzięki czemu prawie co do grosza potrafiła obliczyć

sumę potrzebną obydwu mężczyznom na powrót. Dołożyła jeszcze kilka monet napiwku.

— Proszę, to powinno wystarczyć!

Giermek sięgnął po pieniądze i schował je z niezadowoloną miną, jednak nie miał odwagi się skarżyć. W zamian przedstawił jeszcze jedno żądanie.

— Chcielibyśmy otrzymać od was list, w którym napiszecie panu, że zwalniamy nas z obowiązku towarzyszenia wam.

W ostatniej chwili przyszło giermkowi do głowy, iż w ten sposób może wybawić się z tarapatów, w które popadł przez tę oto szlachciankę. Wszak Trudi była gościem w domu Tesslera i niezbyt dobrze by wyglądało, gdyby wraz ze swym towarzyszem wrócili bez niej ani żadnej wskazówki co do miejsca jej pobytu.

Trudi skinęła głową i przywołała Utę.

— Spytaj karczmarza, czy posiada papier, atrament i pióro. Jeśli nie, wtedy idź do plebana i przynieś przybory od niego.

— Rzeczywiście chcecie jechać sami? — Uta wlepiła przerażony wzrok w swą panią. Ani ona, ani nikt inny z jej rodziny nigdy jeszcze nie wyjeżdżał tak daleko, więc każdą cząstką swego serca tęskniła do powrotu do Kibitzsteinu. Od tej obcej okolicy wołałaby nawet rodzinną zagrodę. Tutejsi ludzie byli zupełnie inni, ich mowę rozumiała z trudem. Potrawy smakowały inaczej niż te, do których przywykła, a wino było tak kwaśne, że w domu użyłaby go tylko zamiast octu.

Trudi nie odpowiadała, więc zwróciła się do Lamperta.

— No powiedz coś!

Pachołek wzruszył ramionami. Przyzwyczajony był do słuchania rozkazów swych państwa i jeśli Trudi chciała jechać do Altötting, pojedzie z nią bez względu na to, czy mu to odpowiada czy nie.

— Jesteś tchórzem — prychnęła Uta, gdy nie przyszedł jej w sukurs i popędziła w kierunku drzwi.

— Nie zapomnij papieru i atramentu! — zawołała za nią Trudi. Choć Uta dość dobrze jej posługiwała, to jeremiady dziewczki działały jej na nerwy. Lamenty Uty zaczęły się w momencie, gdy oddalili się o trzy dni drogi od Schweinfurtu i od tej pory już nie ustawały. Każdego ranka i każdego wieczora wymyślała niebezpieczeństwa, które miały czyhać na nich na każdym kolejnym etapie podróży. Opowiadała o wszystkich katastrofach, o jakich tylko słyszała.

Trudi zastanowiła się, czy nie powinna wysłać Uty do domu razem z giermkami Tesslera, jednak po pierwsze pilnie potrzebowała dziewczki do posługi zgodnej z obyczajem, po drugie zaś niestosowne byłoby podróżowanie z jednym służącym.

Poza tym nie chciała narażać Uty na to, by ludzie Tesslera po drodze zmusili ją do usług cielesnych.

Przez kilka chwil myśli jej zwrócone były ku matce i rodzeństwu. Straciła już zbyt wiele czasu i należało się pośpieszyć, by móc dla nich jeszcze cokolwiek zrobić.

Wyobrazenie, że jej najbliższym mogło się coś przytrafić tylko dlatego, że zbyt wolno podróżowała, paliło ją jak ogień. Najchętniej natychmiast wskoczyłaby na konia i zsiadła z niego dopiero w Grazu. Jednakże coś takiego wymagałoby cudu, a te zdarzają się rzadko.

Uta rzeczywiście musiała biec aż na plebanię, by stamtąd przynieść potrzebne przybory piśmiennicze. Informacja o tym, że wysoko postawiona

dama potrzebuje papieru listowego i pióra, sprawiła, że pleban tej niewielkiej miejscowości postanowił osobiście zanieść do karczmy żądane przedmioty i zaoferować szlachetnej panie swe pisarskie usługi. Trudi zorientowała się, że człowiek ów, który jako pomocnik zarządzał synekurą jakiegoś wyżej postawionego duchownego, miał nadzieję na dobry napiwek. Prawdopodobnie utrzymywał się głównie z tego rodzaju posług, był bowiem tak chudy, jakby nie dostawał dość pożywienia.

Trudi zrobiło się go żal, lecz chciała sama napisać list. Mariela i jej małżonek wiedzieli, że potrafiła pisać i zdziwiliby się, gdyby nagle otrzymali od niej list napisany obcym piórem. Mimo to wręczyła plebanowi drobną monetę.

— Przyjmijcie podziękowanie za pióro i atrament — powiedziała, ułożyła na stole arkusz papieru, przycięła pióro i zabrała się do pisania. Pleban i obaj giermkowie zaglądali jej przy tym przez ramię.

— Macie, pani, niezwykle przejrzyste pismo! — W głosie plebana zabrzmiała zazdrość, bo jego ręka nie prowadziła pióra z taką wprawą i zawstydził się, że proponował tej młodej damie swoje usługi. By ukryć swą niepewność, pochwalił przedsięwzięcie Trudi, która zamierzała modlić się za duszę swego zamordowanego ojca oraz poradził, w którym z okolicznych kościołów jej modlitwy odniosłyby najlepszy skutek.

Trudi wysłuchiwała z zainteresowaniem słów plebana, ale zdecydowała kontynuować podróż inaczej niż dotychczas. Nie dysponowała już wystarczającą ilością środków na to, by odwiedzać każdą miejscowość uważaną za miejsce cudów i każdy ważniejszy kościół. Jak najszybciej musiała dotrzeć do Styrii, do króla Fryderyka.

Najchętniej zapytałaby plebana o najkrótszą drogę w tamtym kierunku, lecz wówczas ludzie Tesslera poznaliby prawdziwy cel jej podróży.

Podczas gdy pleban nadal opowiadał, Trudi podpisała swój list, poprosiła karczmarza o woskową Świecę i upuściła parę kropli wosku na papier. Następnie w stygnącej masie odcisnęła swój pierścień. Co prawda nie posiadała własnej pieczęci, jednak Mariela знаła pierścionek i bez wątpienia zorientuje się, że list pochodził od niej.

Z ulgą podała papier bardziej upartemu z giermków.

— Masz tu swoje pismo. Przekaż pani Marieli najlepsze życzenia ode mnie i powiedz, że jestem jej zobowiązana.

Giermek zrozumiał, że nie będzie nic więcej do przekazania, i schował list. Mimo to miał nadzieję, że szlachcianka opamięta się przez noc i wróci razem z nimi. Wszak zdążył ją już poznać i domyślał się, iż dopiero za kilka godzin, a może nawet dni, pojmie niedorzeczność dalszej podróży. Postanowił jechać tak wolno, jak tylko to będzie możliwe, by młoda dama i jej wierni słudzy mogli ich dogonić. Gdy tego nie uczynią, wówczas jej los nie będzie już jego sprawą.

2.

Następnego ranka Trudi widząc odjeżdżających giermków, czuła w sobie narastający niepokój i bolesny ucisk w sercu. Tylko obietnica plebana, który zobowiązał się zadbać o to, by mogła przyłączyć się do grupy pielgrzymów wyruszających o poranku do Akotting, powstrzymała ją przed błaganiem obu mężczyzn o pozostanie przy niej.

Pielgrzymi zbierali się właśnie na placu przed kościołem i Trudi musiała popędzić opieszalą Ute, by zdążyć na mszę rozpoczynającą

pielgrzymkę.

Po drodze do kościoła, a także już w domu bożym Trudi znalazła się w centrum skierowanych na nią pytających spojrzeń. Większość ludzi uważała, że jest zbyt młoda, by samotnie podróżować. Niektórzy dziwili się też skromnemu orszakowi.

Do Trudi dotarło kilka uwag na temat jej osoby i pojęła, że jak najszybciej musi znaleźć sobie dwóch pachołków na straż przyboczną.

Po mszy dołączyła do grupy, niepewna, czy podjęła słuszną decyzję. Ludzie podążali bowiem do Akóttung na piechotę i mówili, że droga zajmie im co najmniej cztery dni. W związku z tym Trudi pomyślała, że może powinna była zwrócić się do zarządcy okolicznych dóbr z prośbą o wsparcie w postaci dwóch lub trzech najemnych pachołków. Spojrzała w górę ku zamkowi, nad którym królowała potężna wieża, zastanawiając się, jakiej reakcji mogłaby oczekiwać.

Niewykluczone, że pan kazałby ją pojmać w nadziei na uzyskanie okupu od jej matki. W ten sposób nie tylko nie pomogłaby rodzinie, lecz przysporzyłaby bliskim jeszcze więcej trosk. W tej sytuacji dwa dni, które straci na drogę do Akóttung, będzie musiała po prostu nadrobić podczas dalszej podróży.

Nabrawszy na nowo odwagi, poprosiła Lamperta, by pomógł jej dosiąść konia.

Sługa i Uta w zastępstwie swej pani musieli wyruszyć pieszo, ponieważ taka była wola przewodnika pielgrzymów. Obydwoje z kwaśnymi minami patrzyli z wyrzutem na Trudi. W spojrzeniach, które między sobą wymieniali, można było wyczytać nadzieję, że pani zmieni jednak decyzję, zawróci i podąży za giermkami do Schweinfurtu. Ale Trudi pospieszając cmoknięciami klaczy, myślała tylko o swym trudnym przedsięwzięciu. W takim układzie Ucie i Lampertowi nie pozostało nic innego, jak włączyć się do pochodu pątników.

Na nieszczęście już po niedługim czasie zaczęło padać. Większość pielgrzymów przewidziała niewygody podróży i teraz otuliła się wołokowymi płaszczami. Trudi okryła się nawoskowaną peleryną i nałożyła kaptur. Uta miała jedynie zwykłą wełnianą narzutkę bez kaptura, która szybko nasiąkła wodą i przemoczyła resztę ubrania.

Podczas gdy pielgrzymi śpiewali pobożne psalmy, dziewczka idąc obok klaczy, pomstowała po cichu.

— Z pewnością się z waszej winy rozchoruję.

— Mam nadzieję, że tak się nie stanie, bo wówczas musiałabym cię zostawić po drodze.

Trudi miała już dość wiecznego utyskiwania Uty i pytała samą siebie, jak mogła kiedykolwiek myśleć o tym, by uczynić ją swą osobistą pokojówką. Lampert był w tej materii zgoła inny. W drodze wykonywał swe obowiązki z takim samym entuzjazmem, jak w domu i okazał się cennym wsparciem. Dogadywał się z ludźmi i co trochę uzyskiwał informacje pomocne w realizacji dalszej części planu.

Właśnie dał Ucie kuksańca łokciem.

— Uspokój się wreszcie. Pielgrzymi popatrują już na ciebie złym wzrokiem. Chcesz, żeby wyłączyli nas z pochodu za tve ciągle jęki?

Uta wzdrygnęła się pod wpływem pchnięcia i nagany. W uszach brzmiała jej jeszcze groźba Trudi fukającej, że w razie czego zostawi ją po drodze.

— Ach, Panie w niebiesiech, nie opuszczaj mnie, niewinnej w

potrzebie. Spraw, proszę, by panienska opamiętała się wreszcie! — modliła się głośno.

Na to Lampert wymierzył jej kolejnego kuksańca pod żebra.

— Panienska ma po trzykroć tyle rozumu, co ty. Na jej miejscu odesłałbym cię razem z giermkami Tesslera i poszukał sobie grzecznej, pracowitej dziewczki z okolicy.

Uta wlepiła weń skonsternowany wzrok.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że jestem leniwa!

— Pracowitość nie jest twoją mocną stroną — odparł niewzruszenie Lampert.

— Tego już za wiele! — Uta zamachnęła się, by wymierzyć Lampertowi policzek.

Pachołek złapał ją za rękę, następnie za ramiona i solidnie potrząsnął.

— Zakłócasz tym dobrym ludziom ich pobożne modlitwy! Przeto zostaniemy oboje nieco z tyłu, bym mógł ci wreszcie jasno powiedzieć, co o tym myślę.

Przytrzymał ją mocno, aż pochód pielgrzymów oddalił się nieco.

Wówczas chwycił jej głowę tak, by musiała patrzeć mu w twarz.

— Bardzo źle służysz naszej pani. W domu trzymałaś się jeszcze jako tako w ryzach i pochlebstwem potrafiłaś zatuszować błędy. Lecz w tej podróży zachowujesz się jak pomiotle. Zamiast służyć pani jak należy, krytykujesz każdy jej krok. Do tego obrażasz dziewczki i pacholków w zajazdach. Przypomnij sobie oberżę w Landshut, w której o mały włos by nas nie przyjęli. Na Chrystusa, chciałbym, żeby panienska zezwoliła mi złożyć ci siedzenie solidną leszczynową różgą!

Pod koniec słowa Lamperta stały się tak głośne, że tylna straż pochodu zaczęła się z oburzeniem oglądać. Uta z satysfakcją zauważyła skierowane ku Lampertowi strofujące spojrzenia i rozważała, czy nie przedstawić siebie jako ofiary swej pani i tegoż oto ordynarnego pacholka. Wydało jej się, że znajdzie tu ucho, które wysłucha jej skarg. Jedna z kobiet chyba też rozmawiała i została właśnie przywołana do porządku przez przewodnika pielgrzymów, który wskazał jej miejsce na końcu pochodu, gdzie nie było już nikogo, z kim mogłaby wdać się w konwersację.

Zauważywszy to, Uta prychnęła gniewnie, wyzwoliła się z uścisku Lamperta i przyłączyła się do kobiety.

Jednak ku jej ubolewaniu kobietę ogarnął strach i starała się teraz wraz z innymi równo mówić pacierze. Trudi również zajęta była odmawianiem litanii i nie zważała więcej na służącą. Ta zaś brnęła przez deszcz spływający zimnymi strugami po jej twarzy i karku, użalając się na Boga i świat. Drżała przy tym z chłodu i wspominała z tęsknotą ogrzane komnaty w Kibitzsteinie. Służbę u Trudi wyobrażała sobie zgoła inaczej i zaklinała niebo, by jak najrychlej wybawiło ją od tej niedoli.

Nie zważając na pogodę, pochód pielgrzymów kroczył niewzruszenie naprzód.

Ponieważ jednak przy każdym napotkaniem przy drodze krzyżu intonowali kolejną błagalną modlitwę, posuwali się o wiele wolniej, niż życzyłyby sobie tego Trudi.

Przy całej swej pobożności pielgrzymi nie zapominali także o doczesnych potrzebach i w zajazdach bez miary oddawali się rozkoszom podniebienia, smakując z lubością piwo uwarzone przez miejscowe karczmarki.

Trudi myślami ciągle wracała do matki i szykan, na jakie jej rodzina

narażona była ze strony księcia biskupa i jego sprzymierzeńców. Dlatego niecierpliwiło ją zbyt wolne tempo pochodu i w duchu pomstowała bezgłośnie na opieszalych pątników.

Jednocześnie prosiła matkę Jezusa o wybaczenie gniewnych myśli. Ludzie, w otoczeniu których odbywała podróż, zabiegali o zbawienie duszy i nie wolno jej było ich ganić. Postanowiwszy sobie solennie odgonić wszelkie złe myśli i skupić się na modlitwach za matkę i najbliższych, by niebo litościwie się z nimi obeszło, Trudi przyjęła chleb podany jej przez starszego mnicha i popiła brązowym piwem.

3.

Maria ucieszyła się na widok opata Pankracjusza von Schöbacha wkraczającego do holu i przywitała go błogosławiącym gestem. Wreszcie przyjaciel w domu — pomyślała, zginając kolano dla okazania gościowi szacunku.

— Po tysiącuroc serdecznie was witam, czcigodny ojcze. Szczęście to dla mnie, że was widzę.

Skinieniem ręki poprosiła Anni, by podała opatowi powitalny napitek i wniosła posiłek, który kazała przygotować na wieść o zbliżającej się grupie jeźdźców. Schöbachowi należało podać najlepsze przysmaki, którymi dysponowano w Kibitzsteinie. W tych dniach solidni sprzymierzeńcy należeli do rzadkości, zaś Pankracjusz von Schöbach należał do kręgu najbliższych przyjaciół Michała. Opat często zwracał się do jej męża o radę i otrzymywał odeń pomoc, toteż Maria żywiła przekonanie, że znajdzie w gościu należyte oparcie.

Podczas gdy opat smakował przyniesione potrawy, rozmowa toczyła się wokół ciężkiej straty poniesionej przez Marię. Opat wyraził nadzieję, że niebo pokarze mordercę jej męża.

— W takim razie musiałoby spuścić gromy na Würzburg, bo jestem przekonana, że ten okrutny plan został uknuty na zamku księcia biskupa — odrzekła gorzko Maria.

Pankracjusz von Schöbach uniósł ręce w uspokajającym geście.

— Nie grzesz, córko! Pan Gotfryd Schenk zu Limpurg jest tak samo jak ja i reszta przyjaciół twego małżonka oburzony tym tchórzliwym morderstwem.

— Nie dano mi tego odczuć. Księżę biskup zapewnia wprawdzie, iż ma zamiar mnie chronić, jednak w zamian żąda zrzeczenia się przeze mnie suwerenności Kibitzsteinu, a do tego chce odebrać mi znaczną część posiadłości, których wieleśmy z mężem nabyli.

Maria nie ukrywała, iż nie chce słyszeć ani jednego dobrego słowa na temat würzburskiego biskupa.

Pankracjusz von Schöbach szybko zmienił temat.

— Rycerz Michał był dzielnym człowiekiem, którego bardzo szanowałem. Dlatego uważam, że powinnaś więcej uwagi poświęcić jego nieśmiertelnej duszy.

Dotychczas zamawiałaś za niego msze u waszego kapłana. Lecz to tylko zwykły wiejski kaznodzieja, którego modły nie mają dość mocy, by znaleźć posłuch w niebie. Mnisi w moim klasztorze, a i ja sam, za niewielki datek gotowi jesteśmy modlić się za twój męża i polecić go opiece nie tylko Najświętszej Panny, ale i patronów naszego klasztoru.

Maria nie była przesadnie religijna, lecz doszła do wniosku, że kilka dodatkowych modlitw może ułatwić Michałowi dotarcie do królestwa

niebieskiego.

— Byłabym rada, gdybyście zechcieli pomodlić się za mego męża, wielbny ojciec.

Nie chodzi mi przy tym o te kilka guldenów.

— Datek na klasztor z pewnością przyczyniłby się znacząco do zbawienia duszy twego małżonka. Zważając na swe bogactwo, nie powinnaś być przeto małostkowa.

Wiesz przecie, że „gdy pieniądz w skrzyni zadzwoni, do nieba duszyczka pogoni”. — Przy tych słowach twarz opata przybrała chciwy wyraz, jednocześnie wysunął rękę, jakby już teraz oczekiwał obiecanych dukatów.

Marię ogarnął strach. Jeszcze przed chwilą wierzyła, że gości u siebie przyjaciela.

Ale wysuwając swe żądanie, opat dołączył do kompanii czyhających na jej dobra Dieboldsheimów, Fuchsheimów, a także księcia biskupa.

— Gotowa jestem przekazać pewien datek — powiedziała z wahaniem. Rysy opata wygładziły się.

— Masz słuszność, córko. Ostatnimi czasy wraz z małżonkiem nabyliście i wzięliście od ludzi w zastaw wiele gruntów, jak to czyni wyklęty przez Boga lud żydowski. Tego Pan Bóg w niebie by nie pochwalił. Zrzuć z siebie ciężar, który w ten sposób na siebie nałożyłaś, a zobaczysz, jak dusza twego męża ujdzie płomieniom piekielnym i wstąpi do nieba. W ten sposób przygotujesz tam miejsce również dla siebie.

Maria wlepiła osłupiały wzrok w Pankracjusza von Schöbacha, jakby nagle stanął przed nią z rogami, ogonem i rozszczepionym kopytem w miejscu prawej stopy. Tak wiele nie zażądał od niej nawet Würzburg. Przynajmniej nie oficjalnie. W tej chwili zadała sobie pytanie, czy nie wyszłaby lepiej na porozumieniu z wrogiem niż na wsparciu swych wątpliwych przyjaciół.

— Wiesz, córko — ciągnął Pankracjusz von Schöbach niezrażony milczeniem Marii — gdy dasz mi środki na wzniesienie klasztornej kościoła w Schöbachu, umieszczę w nim kamienną tablicę z imieniem twego męża i twoim, jako fundatorów, obok figur świętego Landelina i świętej Gertrudy, by wstawili się za wami u Matki Niebieskiej i u naszego Pana Jezusa Chrystusa.

— Któż, te figury z kamienia?

Pytanie Marii zdezorientowało opata na moment. Następnie pokręcił z pobłażaniem głową.

— Ależ oczywiście, że nie statuy! Święci we własnej osobie. Maria uniosła rękę, jakby odpierając atak.

— Budowa kościoła nie leży w moich możliwościach. Czeka mnie zatarg z Hilgertshausenem, a pewno i z Dieboldsheimem i Fuchsheimem. Rozumiecie zapewne, że w tej sytuacji nie mam wiele pieniędzy na inne cele. Oczywiście chętnie zamówię kilka mszy za Michała w waszym kościele. Za jakiś czas, gdy sytuacja się unormuje i Kibitzstein odzyska równowagę, porozmawiamy o większym datku.

— Upartaś jak kozioł, niewiasto! Myślisz, że możesz stanąć przeciwko władzy biskupa i odmówić mu wszystkiego, co wraz ze swym mężem zgarnęliście, niczym plugawi kramarze? Twoje posiadłości zostaną ci odebrane kawałek po kawałku, aż w końcu zostaniesz z niczym. Sprawisz, że mąż twój będzie cierpiał w płomieniach piekielnych i przeklinał cię za to, że w swej głupocie bardziej troszczysz się o rzeczy doczesne niż o zbawienie

jego duszy. A i sama nie ujdiesz pazurom szatana!

— Zaprawdę źle mi życzyście jak na tak pobożnego człowieka. Nie zmienię zdania.

Ofiaruję waszemu klasztorowi pieniądze na dziesięć mszy żałobnych. Więcej ode mnie nie otrzymacie i pewna jestem, że Michał przyznałby mi rację. Zawsze uważał was za dobrego przyjaciela i pomagał wam, jak tylko mógł. A teraz w podzięcie chcecie przywłaszczyć sobie połowę jego majątku. Zaiste po chrześcijańsku waść czynisz.

Maria starała się nie okazać Pankracjuszowi von Schöbach swej wzgardy. Jej mąż wielokrotnie wstawiał się za klasztorem, jako że opat, podobnie jak on sam, pochodził z mieszczaństwa, a zdobywaną przez lata pozycję w hierarchii kościelnej uzyskał dzięki swej pracowitości i sprytowi.

Maria również podziwiała opata i uważała, iż z racji pochodzenia należy trzymać wspólny front w stosunku do szlachetnie urodzonych sąsiadów, którzy Michałowi i jej niejednokrotnie okazywali swą wyższość. Teraz jednak zrozumiała, że Pankracjusz von Schöbach, który wyrzekł się swego prostego mieszczańskiego imienia i przybrał nazwisko pochodzące od nazwy klasztoru, nie był wcale lepszy od większości okolicznych kasztelanów. Wszyscy próbowali wykorzystać sytuację, w jakiej się znalazła, by zagarnąć choć część jej majątku. Jediną osobą okazującą zrozumienie dla jej położenia była Herta von Steinsfeld, która na własnej skórze przekonała się, jak sąsiedzi obchodzą się z wdowami.

O mały włos Maria nie dosłyszałaby odpowiedzi opata, ale lodowaty ton jego głosu sprawił, że się wzdrygnęła.

— Wiedz, że nie będziesz mogła zwrócić się do mnie o pomoc, gdy teraz odmawiasz mojej prośbie.

Budową nowego kościoła klasztorowego Pankracjusz von Schöbach zamierzał sam sobie wznieść pomnik i odmowa środków na ten cel niezwykle go rozsierdziła. W jednej chwili dobrze skrywana dotychczas niechęć do dawnej jawnogrzeszniczki zamieniła się w otwartą nienawiść.

— Twój małżonek będzie cię przeklinał i wyprze się wszelkiego związku z tobą za to, że odmawiasz złożenia ofiary za jego duszę!

Groźba ta odniosła tak samo mizerny skutek, jak poprzednie. Maria odeszła na bok i wyjrzała przez okno na dziedziniec. Michi, najstarszy syn koźlarki, nadzorował właśnie prace przy umacnianiu baszty przy bramie. Na jej wezwanie natychmiast opuścił Kessnach i okazał się dla Kibitzsteinu wsparciem, jakiego oczekiwała. W jego odwadze i własnym doświadczeniu pokładała więcej ufności niż we wszystkich pacierzach, które odmówiłby opat i mnisi z klasztoru. Najchętniej nie dałaby klasztorowi ani guldenu na mszę żałobną, jednakowoż nie chciała zupełnie rezygnować z duchowego poparcia dla duszy Michała.

— Milczysz! Czy twój upór jest tak wielki, iż zapomniałaś o swej powinności wobec mego wysokiego urzędu kościelnego?

Twarz opata poczerwieniała ze złości. Przybył w przekonaniu, że Maria podda się jego mądrości i przewyższającemu ją po wielokroć rozumowi, a następnie pozwoli przekonać się do wszystkiego, co mogłoby posłużyć /emu i jego klasztorowi.

Większa część jej posiadłości, a może nawet całość, wcześniej czy później i tak przejdzie we władanie księcia biskupa oraz jego sprzymierzeńców. W tej sytuacji byłoby lepiej, gdyby on sam położył rękę na bogactwie i spożytkował je na chwałę Bożą. Lecz niewiasta była nierozumna i stawiała większy opór niż blok marmuru pod dłutem

kamieniarza.

— Czym uparta, jest kwestią wątpliwą. Wypełnić ostatnią wolę męża, to dla mnie rzecz święta. Życzył sobie, by w przyszłości przekazać synowi naszemu nieuszczuplone dobra — odparła Maria, która tymczasem opanowała emocje i mogła znów spokojnie rozmawiać z opatem.

— Nic nie uda ci się przekazać synowi! Może zamek wraz z folwarkiem, .ile nic poza tym — wysyczał jej adwersarz.

Maria wzruszyła ramionami.

— Wola boska, jeśli tak się stanie. Ja ze wszystkich sił stawię opór takiemu losowi.

— Wobec tego nie mam nic więcej do powiedzenia. Muszę odmówić ci swego błogosławieństwa. Lecz dla twego własnego dobra i dla spokoju duszy twego męża mam nadzieję, że się opamiętasz i uczynisz, co ci pobożność nakazuje. Droga, którą właśnie obrałaś, nieuchronnie prowadzi do czeluści piekielnych, w których zaznasz mąk, jakich nie doświadczyła jeszcze żadna niewiasta.

Gdyby chodziło o inną kobietę, wówczas groźby opata mogłyby odnieść niejaki skutek. Lecz Maria zbyt dobrze pamiętała pewnego kościelnego sędziego, który przed trzydziestoma pięcioma laty potępił ją i skazał na życie w ubóstwie i hańbie.

Nawet piekło nie mogło być dużo gorsze od tego, przez co przeszła przez kolejnych pięć lat. W tamtym czasie, a także później, poznała dość mnichów i kleryków, by móc stwierdzić, iż na jednego prawego przypada co najmniej jeden taki, który daje upust swym żądzom i popędom. Teraz z kolei Pankracjusz von Schöbach stał się ofiarą własnej chciwości.

Podczas gdy opat, złorzecząc i wygrażając, opuszczał komnatę, Maria zastanawiała się, czy w jego słowach mogło tkwić jakieś ziarnko prawdy. Czyż by wraz z Michałem posunęli się zbyt daleko, gromadząc swe dobra? Lecz natychmiast sama sobie zaprzeczyła. Księżę biskup i opat z Schöbachu pod płaszczykiem ewangelii o wiele zuchwalej zagarniali ziemię i pieniądze. O ile ona i Michał w zamian za kupione lub zastawione dobra dawali pieniądze i towary, to zapłata biskupów i mnichów polegała zwykle tylko na dostępnych za pieniądze słowach, zwanych przez nich modlitwą.

4

Trudi była zadowolona, albowiem pielgrzymi dotarli wreszcie do miasteczka Altötting i wśród pieśni oraz niekończących się powtórzeń tych samych pacierzy otoczyli kaplicę, w której według legendy klęczeć miał niegdyś wielki cesarz Karol.

Mimo szacownego wieku kaplica w Altötting nie zaliczała się do słynnych miejsc pielgrzymek, ponieważ dotychczas nie wydarzył się w tym miejscu żaden znaczący cud. Mimo to miejsce uważane było za święte i odwiedzało je wielu pobożnych ludzi z okolicy.

Trudi niezbyt się tu spodobało. Kaplica była niepozorna, zbudowana na planie dziwnego sześciokąta. Postawiono ją pośrodku pustego rynku, wykorzystywanego jako plac targowy. Także tego dnia miejscowi wieśniacy oferowali tu swe plony, wskutek czego pielgrzymi musieli torować sobie drogę między świniami, kłatkami z kurczętami i ostatnimi jesiennymi warzywami. Klacz Nawałnica sięgnęła w kierunku pęków ziół i buraków, lecz Trudi ściągnęła jej cugle, by zwierzę nic nie zabrało.

Niestety Lampert miał mniej szczęścia, bowiem musiał pilnować dwóch koni. Uta dla żartu niepostrzeżenie podkraśla brukiew i wetknęła do

pyska jednemu z nich.

Podczas gdy zadowolony koń przeżuwał przysmak, rozwścieczona sprzedawczyni zaczęła obrzucać Lamperta stekiem wyzwisk, z których ten rozumiał tylko połowę.

Trudi zatrzymała konia i zawróciła w kierunku wozu z warzywami.

— Powinnaś dostać chłostę za to, że tak zwracasz się do mojego pachołka. Chodzi przecież tylko o marne warzywo.

Wieśniaczka nie myślała jednak kapitulować.

— Ta szkapa ukradła brukiew z mojego wozu. Musisz za nią zapłacić! — wrzasnęła, zapominając w złości o obyczaju nakazującym jej zwracać się do Trudi, jak przystało czynić to w stosunku do damy z wyższej sfery.

W związku z tym Lampert chciał zażądać od niej wyjaśnień, ale Trudi gestem nakazała mu milczenie.

— Ona nie jest warta nawet oddechu, który przy tym zmarnujesz. Masz tu swoje pieniądze, wieśniaczko. Są o wiele więcej warte niż ta jedna brukiew.

To mówiąc, Trudi rzuciła kobiecie monetę. Ta złapała ją i zaczęła nieufnie oglądać.

— To obcy pieniądz, tutaj nic niewart — powiedziała.

Teraz i Trudi zaświerzbiała ręką, by poczęstować kramarkę szpicrutą. Na TO podszedł do nich mnich i wmieszał się do rozmowy.

— Czy mogę wam, pani, w czymś pomóc? — spytał. Trudi przytaknęła.

— Ta oto wieśniaczka złości się, bo jeden z moich koni zjadł brukiew z jej wozu.

Chciałam dać jej pieniądze, tymczasem ona upiera się, że nie mają wartości.

Mnich wziął monetę z rąk kramarki, przyjrzał jej się przez chwilę i pogroził kobiecie pięścią.

— To solidny fenig, wart więcej niż wszystkie twoje warzywa. Jeśli chcesz oszukać tę damę, zaraz zaprowadzę cię do nadzorcy, który nałoży na ciebie karę i w najbliższym czasie nie wpuści cię na rynek!

Kobieta ugięła się tak szybko, że Trudi i jej towarzysze zachciało się prawie śmiać. Łzy popłynęły po policzkach wieśniaczki, która uniosła błagalnie ramiona w jej kierunku.

— Łaski, pani! Nie chciałam was oszukać, lecz nie wyznaję się na monetach tak dobrze, jak ten oto pobożny mnich i nie poznałam ich wartości. Proszę, nie pozwólcie, by zgłosił to sędziemu. Jak mam wykarmić dzieci, jeśli nie będę mogła przywozić do miasta swoich warzyw?

Jej lamentsy poruszyły Trudi, która udobruchana skinęła na mnicha.

— Zostawcie tę niewiastę w spokoju, pobożny bracie. Niech da mojemu pachołkowi jeszcze kilka brukwi dla koni, zmówi *Ojcze nasz* i niech dostanie przebaczenie.

— Jesteście bardzo pobłażliwi, pani — odparł mnich, nie ukrywając, że wolałby surowiej ukarać wieśniaczkę, a potem nakazał jej dać Lampertowi jeszcze parę brukwi. Gdy Trudi oddaliła się wraz ze swymi sługami, mnich został na chwilę i ponownie zwrócił się do kobiety.

— Wrzucisz tę monetę do skarbonki na datki. Ale nie waż się jej podmienić. Poznam ją i dowiem się, jeśli na jej miejsce położysz drobniejszą.

Wieśniaczka pomyślała, że obca dama obeszła się z nią łaskawiej niż

miejscowy mnich, jednakowoż nie odważyła się mu sprzeciwić. Z westchnieniem przyklękła przed nim i podała mu pieniądź.

— Proszę, sami wrzucicie ją do skarbonki, bo mogę zapomnieć, a wtedy z pewnością mnie ukarzą, choć nie zatrzymałabym jej celowo.

Mnich przyjął monetę i wsunął ją do sakiewki, którą miał przytroczoną sznurem u pasa. Następnie znakiem krzyża przeżegnał wieśniaczkę, której z pewnością żal było monety, i podążył za Trudi, która jako obca w tych stronach pilnie potrzebowała jego przewodnictwa.

Dogonił ją przy bramie kaplicy i udało mu się jeszcze otworzyć przed nią drzwi.

Wewnątrz nie było już prawie miejsca. Wielu ludzi klęczało przed wystruganą z lipowego drzewa figurą Madonny, która jak wytłumaczył po cichu mnich, stała w tym miejscu już od ponad stu lat.

— Spójrzcie na nią, pani, a dojrzyicie moc, która w niej tkwi. Na razie Panna Niebieska ogranicza się do wysłuchiwania naszych modłów i obdarzania nas spokojem, ale jestem pewien, że pierwszy wielki cud, który uczyni, dokona się jeszcze za mego żywota.

Z tymi słowy mnich uklęknął i ucałował ziemię przed figurą, która według Trudi była wprawdzie precyzyjnie wyrzeźbiona, jednak ze względu na swe niewielkie rozmiary nie wywierała zbyt dużego wrażenia. Mimo to błagała Królową Niebios o ochronę i pomoc dla siebie i swoich najbliższych. Lecz wnet przypomniała sobie, że w osobie księcia biskupa z Würzburga, przeciwko jej matce wystąpił przedstawiciel Kościoła Świętego i zrobiło jej się ciężko na sercu. Czy Bóg stanąłby po stronie swych sług, nawet jeśli wyrządzali innym krzywdy? Czy odsunąłby swą chroniącą dłoń od niej i jej matki? Patrząc na figurkę Madonny z Dzieciątkiem, doszła do wniosku, że tak stać się nie może. Wreszcie znalazła pocieszenie. Poczwała w sobie narastającą siłę, która napełniła ją odwagą do podjęcia dalszej podróży do Grazu.

Lampert początkowo cierpliwie czekał przed kaplicą, ale że sam odczuwał potrzebę modlitwy przed cudownym obrazem, powierzył konie pewnemu uczciwemu wyglądającemu chłopakowi. Wszedłszy do środka, został przy wejściu obok Uty, albowiem żadne z nich nie śmiało przepychać się przez tłum pogrążonych w modłach ludzi. Dlatego też nie widzieli figury tak dobrze, jak ich pani. Mimo to skierowali swe modlitwy do Matki Boskiej i prosili, by wysłuchała ich prośb.

Uta chciała, by podróż wreszcie się skończyła. Na południu widać było wysokie, strzelające w niebo góry, których białe wierzchołki zdradzały, że nadszła już zima. Nie miało dla niej przy tym znaczenia, czy znajdą gościnną kwaterę w jakimś zamku albo klasztorze, czy też najkrótszą drogą powrócą do Schweinfurtu.

Ponieważ jednak nawet przy szybkiej jeździe potrzebowaliby na powrót co najmniej dziesięciu, a w zasadzie nawet trzynastu do piętnastu dni, zaklinała Maryję Pannę o zesłanie im na drogę dobrej pogody. Ponad wszystko pragnęła jednak, by wreszcie ustał ten okropny deszcz, który przenikał przez ubranie i zamieniał jej członki w lodowate bryły.

W przeciwieństwie do Uty, która żyła z dnia na dzień, Lampert domyślał się, co zamierza jego pani. Wiele z pytań, które zadawała po drodze, zdradzało aż nadto jej zamysły. Mimo iż droga była uciążliwa, cieszył się, że będzie mógł zobaczyć rezydencję króla, a może i jego samego. Monarchę otaczało szczególne błogosławieństwo, udzielające się również tym, którzy mogli go zobaczyć, dlatego opłacało się znieść niewygodę

podróży. Chcąc okazać się godnym takiego zaszczytu, modlił się, by Fryderyk Habsburg, który jako trzeci król o tym imieniu nosił koronę potężnego Karola, zechciał wysłuchać Trudi i wesprzeć jej rodzinę w sporze z biskupem würzburgskim i resztą nieprzyjaciół.

Następnie prosił Matkę Niebieską, by zesłała na Utę opamiętanie. W domu dziewczka zachowywała się zupełnie inaczej niż w tej podróży. Teraz ujawniły się odpychające cechy jej charakteru. Zawsze była nieco samolubna, ale zawsze starała się rzetelnie i dobrze służyć swej pani. Tu, na obczyźnie, zachowywała się jednak jak prawdziwa sekutnica i męczydusza.

Gdy Trudi podniosła się i przeżegnała, nie potrafiła powiedzieć, ile czasu spędziła na klęczkach, modląc się przed figurą Madonny z Altötting. Mogło to trwać kilka minut, ale równie dobrze kilka godzin. Chciała sięgnąć po wodę święconą, lecz mnich uprzedził ją, kreśląc wilgotny znak krzyża na jej i zole. Był to tak zażyły gest, że najchętniej otarłaby czoło i zażądała wyjaśnienia. Ale powstrzymała ją przed tym świadomość, że potrzeba jej kogoś, kto mógłby jej udzielić praktycznych rad na dalszą drogę. Wyszła z kaplicy i zauważyła, że handlarze i przekupki właśnie składają swe kramy. Zrozumiała, że zarządca dał sygnał do zakończenia targu.

Trudi zwróciła się do gorliwie podążającego za nią mnicha.

— Czy moglibyście doradzić mi jakiś czysty i bezpieczny zajazd, wielebny bracie?

Mężczyzna wskazał dość okazały budynek na obrzeżu rynku.

— Tam znajdziecie dobrą kwaterę. Gospodarze są uczciwi i schludni, zatrzymują się u nich nawet wielcy państwo.

Wyglądało na to, że gospoda nie była tania. Trudi westchnęła, ponieważ zawartość mieszka kurczyła się szybciej, niżby sobie tego życzyła. Jeśli po drodze nie chciała ujrzeć dna sakiewki, musiała teraz znacznie przyspieszyć. Dlatego potrzebowała eskorty, która ochroniłaby ją i jej towarzyszy przed niebezpiecznymi rabusiami.

Mnich wyczuł, że myśli młodej damy skierowane są gdzie indziej i zamierzał się oddalić. Zatrzymało go wołanie Trudi.

— Wybaczcie, wielebny bracie, mam do was jeszcze jedną prośbę. Straciłam swych dwóch trabantów i muszę podróżować bez zbrojnej ochrony. Znacie może kilku szlachetnych rycerzy, którzy mogliby się mną zaopiekować i odprowadzić mnie do celu mej podróży? Byłabym wam bardzo wdzięczna.

Mnich podrapał się po tonsurze.

— Dokąd zmierzacie, pani?

— Do Grazu, do króla Fryderyka.

Podczas gdy Lampert uśmiechnął się sam do siebie, bo właśnie znalazł potwierdzenie swych przypuszczeń, Uta wydała przerażony okrzyk.

— Chcecie jechać dalej w nieznanne, panienko? Ależ nie wolno wam tego robić!

Lampert dał jej kuksańca.

— Bądź cicho! Chyba zapomniałaś, kim jesteś: dziewczką, posłuszną rozkazom swej pani. A może chcesz oberwać kijem?

Wprawdzie Trudi nigdy jeszcze nie zdarzyło się uderzyć Uty, ale po drodze kilka razy pogroziła jej już szpicrutą. Toteż Uta wystraszyła się groźby batów czekających ją, jeśli nie przestanie gadać i spojrzała na Lamperta wzrokiem zranionej sarny.

Przez ten czas mnich zastanowił się i pokręcił z ubolewaniem głową.

— Bardzo mi przykro, pani, ale niestety nie znam nikogo, kto

mógłby odwieźć was do Grazu. Ten czy ów byłby zapewne gotów towarzyszyć wam przez kawałek drogi, lecz w tę pogodę nikt nie wybierze się w tak daleką podróż.

Informacja była niepokojąca, ale Trudi nie w głowie było się poddać. Odsupłała sakiewkę od pasa i wyciągnąwszy z niej monetę wcisnęła ją w dłoń mnicha.

— Przyjmijcie, proszę, ten niewielki datek. Jeśli usłyszycie o człowieku, który pojechałby ze mną do króla Fryderyka, dajcie mi znać.

Mnich chwycił monetę i lekko się skłonił.

— Dołożę ten pieniądz do datków na kaplicę. Lecz jeśli chodzi o eskortę do Austrii, to ubolewam, że nie dotarliście tu dwa dni wcześniej. Tamtego ranka wyruszyła stąd spora grupa podążająca do Grazu. Ich przywódca z pewnością udzieliłby wam ochrony, jakiej wam trzeba.

— W rzeczy samej, szkoda — westchnęła Trudi i zastanowiła się, czy udałoby jej się dogonić nieznajomych rycerzy. Lecz nawet gdyby poganiała konie do utraty tchu, to i tak przez wiele dni musieliby jechać przez obcy kraj bez eskorty. Lepiej poszukać na miejscu kogoś, do kogo można by się przyłączyć.

5.

Zajazd był dobry, ale i bardzo drogi. Trudi poprzysięgła sobie, że nie zostanie w nim dłużej niż jedną noc. Z kolei Uta miała nadzieję na dłuższy pobyt, bo gospoda wydała jej się wprost przedsięwzięciem rajem. Dziewki wyręczały ją w obowiązkach, rzeczy suszyły się na sznurach, a ona grzała swe zdrętwiałe członki przy kaflowym piecu. Gospodyni własnoręcznie podała jej sukno do okrycia, by nie musiała stać naga, i wdała się z nią w miłą pogawędkę. Rozmowa toczyła się głównie wokół młodej pani Ury. Nawet jeśli obie kobiety z pewną trudnością rozumiały swe dialekty, to dziewczyna była zadowolona, że znalazł się ktoś, kto okazywał jej zrozumienie. Dlatego nie zmiarkowała, gdy została wyciągnięta na zwierzenia.

Gospodyni dowiedziała się wszystkiego o Kibitzsteinie i zorientowała się, że Trudi wyruszyła w długą, uciążliwą podróż bez zgody matki.

Karczmarka nie mogła się nadziwić, że młoda panienka była tak sprytna, i jednocześnie tak nierozważna. W tym samym czasie dwóch mężczyzn, siedzących przy kuflach piwa na ławie po drugiej stronie pieca, podsłuchało, że Trudi poszukuje ludzi, którzy eskortowaliby ją w drodze do króla. Zerknęli po sobie i wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Sądząc po przyodziewku i ekwipunku, należeli do stanu rycerskiego, lecz ich wygląd zdradzał, że kiedyś miewali lepsze chwile, ich ubrania nosiły ślady niewprawnego łatania, zaś przeniecowane sakwy tak smutno zwisały u pasa, że ledwo było ich stać na piwo w zajazdzie. Toteż nie nocowali w nim, lecz przyszli tylko dlatego, że zatrzymywali się tu bogaci goście mający dość złota, by w razie potrzeby przyjąć do służby parę klepiących biedę rycerzy.

Wyższy z nich, duży mężczyzna w długich szarych pończochach, zaplamionej lnianej koszuli i jasnozielonym, z przodu na wpół rozpiętym kaftanie, trącił łokciem swego kompana.

— Czyż nie takiej okazji wypatrywaliśmy?

Drugi, mający na sobie żelazne nagolenniki i powgniatany napierśnik, uśmiechnął się szyderczo.

— Obejrzyjmy sobie tę damulkę.

— Też tak myślę!

Wyższy dopił piwo i po cichu odstawił kufel na ławę. Niezauważeni przez dwie plotkujące niewiasty opuścili izbę i otworzyli drzwi sali, w której podawano posiłki dla lepszych gości. Nie udało im się jednak dojrzeć żadnej młodej damy bez orszaku.

Nie mogli wiedzieć, że Trudi umknęła do swej izby sypialnej, bo na widok wybornych potraw zaczęło jej burczeć w brzuchu. Zważywszy na skromną zawartość jej sakiewki, ceny w zajeździe były zbyt wysokie i żałowała teraz, że tak dużo czasu spędziła w kaplicy. W ten sposób straciła możliwość posilenia się na rynku kilkoma pieczonymi kielbaskami lub czymś w tym rodzaju. Najchętniej poszłaby do rzeźnika i kupiła kielbasę, ale panna z jej pozycją nie mogła pozwolić sobie na samotne chodzenie po ulicy. Powinna raczej posłać Utę, lecz dziewczka gdzieś się zawieruszyła.

Po chwili do drzwi zapukał Lampert, pytając, czy może wejść.

— Wejdz! Nie jestem nago ani nie czynię nic niestosownego — odpowiedziała, a złość na całą tę sytuację znalazła ujście w gorzkiej drwinie, którą skierowała właściwie pod własnym adresem. Jak miała ratować matkę i rodzeństwo, gdy nie potrafiła pomóc samej sobie?

Lampert otworzył drzwi, stanął na progu i zgniótł czapkę w dłoniach.

— Wybaczcie, pani, ja... — Przełknął ślinę i zawahał się. Był zły na siebie, lecz musiał przedstawić swą prośbę.

— Chodzi o wyrostka, który przy kaplicy trzymał konie, gdy byliśmy w środku.

Wiem, że powinienem był sam zostać na zewnątrz i uważać na nie, ale bardzo mnie ciągnęło, by się pomodlić. Teraz chłopak chce monetę, a ja przecież nic nie mam.

Jego słowa przypomniały Trudi, że odkąd opuścili Kibitzstein, ani Ucie, ani jemu nie wypłaciła wynagrodzenia. Zawstydzila się. Szybko wydobyla z sakiewki dwie monety i podała Lampertowi.

— Weź, jedna dla tego uprzejmego chłopca, który ci pomógł, druga dla ciebie. Wypij szklaneczkę piwa za moje zdrowie.

— Nie nazwałbym tego wyrostka uprzejmym. Porządnie mnie ofuknął i bez zapłaty nie chciał mi oddać koni.

Lampert złościł się, że dał się ponieść i powierzył konie obcemu człowiekowi.

— Nie zasłużyłem na nagrodę, powinienem był być mądrzejszy — mruknął, oddając Trudi jedną z monet. Co prawda chętnie uraczyłyby się kilkoma łykami dobrego trunku, lecz piwo, którego cena była o wiele niższa, smakowało według niego tak samo dobrze. Te kilka kufli, które wypił, mógł zapisać na konto swej pani, bez zbytniego obciążania budżetu.

— W takim razie weź pieniądze i poszukaj rzeźnika i piekarni, gdzie mógłbyś kupić trochę kielbasy i chleb. Tylko przynieś to tak, by gospodarze się nie zorientowali. To ma być bowiem nasza kolacja.

W ten sposób nieświadomie wyjawiała, jak kiepsko stoją z finansami. Chłopak do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że jest tak źle. W tej sytuacji koniecznie jak najszybciej musieli dotrzeć do Grazu. Przysiągł sobie, że zrobi wszystko i o w jego mocy, a do tego należało także wystaranie się o tanią żywność.

Lampert rozkulbaczył konie, wprowadził do stajni przy zajeździe i chwilę później wrócił, niosąc za pazuchą na pół ramienia długi kawał kaszanki i boi hen chleba. W drodze do pokoju swej pani rozejrzał się za Utą i kazał jej pójść ze sobą. Rzeczy dziewczyny były już dość suche, by mogła

je na siebie założyć, więc w pośpiechu doprowadziła się do porządku. Myślała, że Trudi potrzebna jest jej pomoc w przygotowaniu się do wieczery.

Gdy ujrzała, że pani i Lampert dzielą suchy chleb i krwistą kaszankę, popijając ten skromny posiłek kwasowym piwem, przybrała nadąsaną minę.

— Co to ma znaczyć?

— Bądź cicho! Nie widzisz, że jemy? Chodź, przysiądź się. — Trudi odkroiwszy kawałek kaszanki i kromkę chleba, podała je Ucie. Ta pokręciła tylko głową nad swą panią. Na dole w jadalni podawano wyszukane pyszności, jakich nie potrafiła wyczarować nawet kucharka w Kibitzsteinie, więc dlaczego miałyby zadowolić się wieśniaczą kaszanką i jęczmiennym chlebem?

— Czy nie lepiej, byśmy zeszli na dół? — spytała.

— Zamknij buzię i siadaj! — Lampert wskazał na taboret, który pozostał jeszcze wolny, bo Trudi usiadła na łóżku. Sam zaś siedział po turecku na podłodze.

— Przecież możemy zamówić potrawy do pokoju, a do tego kilka dodatkowych stołków — nie dawała za wygraną Uta.

— Nie chcę więcej o tym słyszeć. Teraz jedz! — Głos Trudi zabrzmiał dość ostro, by dziewczka stuliła uszy po sobie.

Z westchnieniem Uta pożegnała się w myślach z wybornymi potrawami, na które się tak cieszyła, i wzięła podany przez Trudi kawałek grudkowatej kaszanki.

Jednocześnie zadawała sobie pytanie, jakież występki popełniła, że teraz przyszło jej tak cierpieć.

Na dole w jadalni czekali też na darmo dwaj obdarci rycerze, wypatrujący nadejścia Trudi. Wreszcie zobaczyli, jak pacholek i dwie dziewczki niosą na górę wybornie upieczonego kapłona, wieprzową golonkę i wielki dzban wina, które jakiś gość zamówił do pokoju. Wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, tręcili się łokciami.

— To z pewnością dla panienki z Frankonii. Nie wygląda na ubogą — skonstatował wyższy i obliznął pożądliwie wargi.

— Możemy się cieszyć, mój drogi — dodał drugi z kompanów, o głowę niższy, lecz mocniejszej budowy, a potem zatarł z zadowolenia rękę.

— Jak myślisz, powinniśmy od razu przedstawić się panience? Na pewno zaprosi nas na posiłek — powiedział wyższy i zamierzał się podnieść, kierując się ku drzwiom, jednak przyjaciel złapał go za rękaw i pociągnął z powrotem.

— Żeby uznała, że jesteśmy natrętni? Jutro rano przywitamy ją przygotowanymi wcześniej słowami i wytłumaczymy, że przysłał nas mnich, o którym mówiła dziewczka.

— A co, jeżeli ten człek w habicie naprawdę znajdzie kogoś, kto zechce zawieźć panienkę do Grazu? — zaoponował wyższy.

Jego kompan roześmiał się.

— O tej porze roku? W górach leży już śnieg i każdy tylko patrzy, żeby zostać w domu. Poza tym w tej zapadłej dziurze nie ma poza nami ani jednego rycerza, który byłby w stanie wyruszyć w tak trudną podróż i ochronić młodą panienkę. Jedynymi, którzy mogli się tego podjąć, byli żołnierze, do których chcieliśmy się przyłączyć.

Ale sądząc po tym, jak odprawił nas ich dowódca, nie wyszlibyśmy przy nich raczej na swoje. Poza tym ten Eichenloh nie wyglądał na kogoś, kto miałby więcej niż jeden grosz przy duszy.

— Jak jeszcze raz go spotkam, wsunę mu sześć cali żelaza między żebra za jego obraźliwe słowa! Teraz się cieszę, że nie wziął nas ze sobą. Służba u panienki przyniesie nam z pewnością więcej, niż gdybyśmy dali się posiekać za jakiegoś nadętego księcia — przytaknął wyższy, jakby chcąc potwierdzić własne słowa i zaczął lustrować wzrokiem towarzysza.

— W istocie, myślę, że będzie lepiej, gdy dopiero jutro pokażemy się panience. Dziś wyglądamy tak, że mogłaby mieć o nas niepoehlebne zdanie.

Musimy przed nią stanąć w pełnym rynsztunku. Poza tym trzeba nam znaleźć sposób na zdobycie wystarczającej ilości pieniędzy, byśmy do rana mogli wykupić konie z zastawu. Ten wredny karczmarz nie odda ich dobrowolnie, dopóki nie zapłacimy rachunku.

— W swojej spelunce podaje tylko wiejską papę, a i spać musieliśmy w nędznej norze. Najchętniej puściłbym z dymem budę tego pazernego psa judził niższy.

Mimo to wiedział, że nie może się tak daleko posunąć. Za taki czyn zaczęliby ich ścigać wszyscy nadzorcy okolicznych kaszteli. Istniały bezpieczniejsze sposoby policzenia się z aroganckim karczmarzem. To myśląc, czule pogładził sztylet.

6.

Następnego ranka badawczo spoglądano na niewielką grupkę podróżnych, nocujących w zajęździe bez spożycia najmniejszego nawet posiłku. Ze śniadania Trudi nie mogła zrezygnować, jednak zamówiła dla siebie i swych towarzyszy tylko owsiankę i piwo.

Na widok pieczonych kielbasek, podawanych właśnie jednemu z gości, Ucie o mało oczy nie wyszły na wierzch. Chętnie zwędziłaby choć jedną, ale wspomniała złodziejaska, który dopuścił się kiedyś drobnej kradzieży z głodu i widziała jak w Volkachu wymierzają mu karę, co spowodowało, że odwróciła się tyłem do kielbasek i ich właściciela. Nie miała doprawdy zamiaru chodzić Z uciętymi uszami, a jeszcze straszniejsza wydała jej się myśl o wybatożeniu i popędzeniu na pohybel do miasta. Nie pojmowała, dlaczego panienka nie zachowuje się zgodnie z obyczajem odpowiadającym jej pozycji i każe cierpieć wiernym sługom. Tak myśląc, obrzuciła swą panią oskarżycielskim spojrzeniem.

Trudi prawie nie zauważyła irytacji Uty. Z głową pochyloną nad miską, jadła owsiankę, nie podnosząc wzroku. Wstyd jej było, że poprzedniego wieczora kazała przemycić do zajazdu tani posiłek, a jeszcze bardziej wstydziła się dzisiejszego skromnego śniadania. Posiłek nadawał się najwyżej dla prostej wieśniaczki, a nie dla dumnej szlachcianki z Kibitzsteinu. Poza tym z rozpaczą myślała, co będzie dalej.

Mnich nie pokazał się więcej, więc zakładała, że nie znalazł nikogo, kto mógłby eskortować ją w drodze do króla Fryderyka. Oznaczało to, że wbrew zdrowemu rozsądkowi i niebezpieczeństwom czyhającym na gościńcu będzie zmuszona odbyć dalszą podróż tylko w towarzystwie Uty i Lamperta. Tymczasem wcześniej musiała znieść jeszcze jedno upokorzenie, albowiem nie stać jej było na napiwek dla gospodyni ani służby w gospodzie w wysokości, jakiej się spodziewali.

Dotychczas podróżowała tylko w towarzystwie ojca lub matki i nie zważała na to, ile co kosztuje, czy na sposób, w jaki załatwiano sprawy z karczmarzami i ich personelem. Teraz odbiło się to na niej, gdy jej przedsięwzięciu zagroziła finansowa klapa. Trudi poczuła napływające do

oczu łzy i z trudem wzięła się w garść, by nie rozsłochać się jak małe dziecko. Jak przez mgłę widziała zmierzającą w jej kierunku gospodynię, wskazującą dwóch mężczyzn, którzy właśnie weszli do środka.

— Ci panowie chcieli z wami mówić. — Ton głosu gospodyni zdradzał, co myśli o szlachciancek podróżujących z maleńkim orszakiem i nieprzysparzających jej zarobku.

Trudi poczuła ukłucie w żołądku i najchętniej salwowałaby się ucieczką. Tylko wiadomość o szukających jej dwóch mężczyznach zatrzymała ją na miejscu.

Wierzchem dłoni otarła oczy, co pozwoliło jej wyraźniej przyjrzeć się nowo przybyłym. Byli to dwaj wojacy, choć nie potrafiła od razu ocenić, czy należeli do prostych żołnierzy czy do szlachty. Wyższy miał na sobie przyłbicę, a zamiast zbroi przepasany ciężki napierśnik. Jego nogi przyodziane były w żelazne nagolenniki, przy czym lewą nogę chronił staromodny żelazny trzewik zakończony szpicem, zaś prawa musiała zadowolić się zwykłym, skórzanym butem.

Jego kompan był cokolwiek lepiej uzbrojony, posiadał nawet żelazne rękawice, mimo to jego ekwipunek wyglądał, jakby został złożony z różnych części starych, wysłużonych zbroi. Obaj mężczyźni nosili u boku długie bojowe miecze i wyglądali na takich, którzy potrafią się nimi posłużyć.

— Pochwalony, panienko Hiltrud — odezwał się wyższy.

Trudi potrzebowała chwili, by zorientować się, że pozdrowienie skierowane było do niej. Przez całe życie zwracano się do niej Trudi, by nie mylić jej z jej chrzestną matką, kozłarką. Tylko nieliczni, nieznający zbyt dobrze zwyczajów panujących w Kibitzsteinie, nazywali ją Hiltrud. Ale teraz miała wrażenie, jakby od tamtego czasu dzieliły ją całe wieki.

— Bóg z wami — odpowiedziała w nadziei, że przybywają z polecenia życzliwego mnicha.

Wysoki skłonił się trochę niezdarnie i odsłaniając zęby, przybrał minę przypominającą uśmiech.

— Pozwólcie, wielmożna damo, że się przedstawimy. Mój druh to rycerz Hodewin von Stammberg, zaś mnie słusznie nazywają Melchiorem von Holunwiesenem i tak jak on, należę do rycerskiego stanu.

Trudi pomyślała, że los musiał źle obejść się z tymi szlachciami i nie była pewna, czy powinna im współczuć, czy zachować czujność. Postanowiła, że nie będzie pochopnie oceniać ich po wyglądzie i wysłucha, co mają jej do powiedzenia. W końcu, tak samo jak Georg von Gressingen, mogli niewinnie popaść w tarapaty.

Myśl o ukochanym sprawiła, że odezwała się przyjaźniej, niż powinna byłaby to zrobić.

— Jestem Trudi Adler, córka rycerza Michała Adlera z Kibitzsteinu. Znajduję się w drodze do Grazu, do naszego drogiego króla Fryderyka.

Wyższy z kompanów skinął głową tak gorliwie, że można było mieć wrażenie, iż spadnie mu hełm wraz z przyłbicą.

— Słyszeliśmy, albowiem przysłał nas brat... hmm, brat Martin, tak, brat Martin, byśmy odwieźli was do króla. Wiecie, podążamy w tym samym kierunku. Chcemy jechać do króla, by ofiarować mu swą służbę. Właściwie zamierzaliśmy spotkać tu naszych przyjaciół i wyruszyć razem z nimi w dalszą podróż, lecz skutek niefortunnego przypadku przybyliśmy zbyt późno i rozminęliśmy się z nimi. Zatem sami musimy wyruszyć w dalszą drogę, atoli zawsze milej podróżować w towarzystwie. — Mówiąc to, Melchior von Hohenwiesen przypatrywał się z upodobaniem Trudi i Ucie,

jako że obie były w istocie śliczne i rezolutne, co zwiastowało przyjemną jazdę.

Trudi odczuła taką ulgę na wieść, że nie będzie musiała odbywać dalszej podróży bez eskorty, iż jej uwadze uszła kielkująca w oczach gościa pożądlivość. Z radości miała ochotę uściskać obu rycerzy, poprzestała jednakże na przesłaniu Im przyjaznego uśmiechu. Fakt, że mężczyźni również jechali do króla, uwolnił ją od wielu trosk, albowiem w tej sytuacji nie będzie musiała wypłacać im wysokiego żołdu i pozostałe pieniądze mogła przeznaczyć na dalszą podróż. Rzecz jasna będzie musiała zapłacić za posiłki swych nowych towarzyszy i zafundować im jedną czy dwie szklanice wina. Chcąc dowiedzieć się, jak bardzo musi zacisnąć pasa, zwróciła się do Melchiora von Hohenwiesena.

— Ile czasu potrzeba, by dotrzeć do Grazu?

— Niecałe dziesięć dni — odparł ku uldze Trudi rycerz.

W myśli rozdzieliła posiadaną gotówkę na dziesięć części, uwzględniając przy tym nieprzewidziane postoje i na wszelki wypadek nastawiła się na dwanaście dni podróży.

— Bardzo się cieszę, że mogę się do was przyłączyć. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym wyruszyć jeszcze dziś.

Frodewin von Stammberg gorliwie przytaknął.

— Z wielką radością, zamierzaliśmy właśnie dosiadać koni, gdy brat. Jak też on się zwał?

— Markus — przyszedł mu w sukurs wyższy.

— W rzeczy samej, prawieśmy siedzieli już w siodłach i ruszali, kiedy zagadnął nas mnich i poprosił o opiekę dla was.

Trudi odetchnęła, wyprostowała plecy i zwróciła się do Lamperta.

— Przynieś nasze rzeczy i przypilnuj, by konie zostały osiodłane. Uta ci pomoże. Ja zapłacę za nocleg.

— To mi się podoba — zachichotał Frodewin von Stammberg i mrugnął do swego kamrata.

Trudi podeszła do gospodyni, by wyrównać rachunek, zaś obaj rycerze usilnie starali się zajrzeć do jej sakiewki. Tymczasem dziewczyna nauczona przez rodziców, że nigdy nie należy ujawniać, ile się ma przy sobie pieniędzy, sprytnie osłoniła trzosik dłońmi. Zadowolona ze szczęśliwego obrotu sprawy nie poskąpiła napiwku, zaś gospodyni, która jeszcze przed chwilą czyniła w kuchni kąśliwe uwagi na temat podróźnej, skłoniła się teraz z takim uniżeniem, jakby ujrzała przed sobą co najmniej księżną Dolnej Bawarii.

Gest ten nie umknął uwadze rycerzy, którzy wymienili szydercze uśmiechy.

— W towarzystwie damy o tak szczodrej dłoni będziemy mieli dobrą podróż — szepnął Melchior von Hohenwiesen do przyjaciela.

Ten pogładził rękojeść broni i przytaknął.

— Powiedziałeś dokładnie to, o czym sam przed chwilą pomyślałem, mój bracie.

7.

Mimo że między nią a jej pierworodną zdarzały się czasem nieporozumienia, Maria odczuwała dotkliwą tęsknotę za córką. Nie tylko zresztą dlatego, że po śmierci Michała Trudi okazała się dla niej znacznym wsparciem. Ostatnimi czasy pociemniały chmury, które od dawna zbierały się nad Kibitzsteinem. Przeorysza, Klara von Hilgertshausen, posłała Marii

list, w którym informowała, że nie zamierza dotrzymywać umów zawartych z Kibitzsteinem przez jej poprzedniczkę. Jeżeli jakiś pacholek lub któraś dziewczka z Kibitzsteinu trafiliby przypadkiem na terytorium kapituły żeńskiej w Hilgertshausen, wówczas zostaliby pojmani i ukarani. Mimo iż Maria niczego innego nie oczekiwała, gest ten odebrała jak bolesny policzek.

Przeorysza pierwsza oficjalnie oświadczyła, że nie ma zamiaru spłacać swych długów. Zaraz potem Fuchsheim poinformował ją, że wprawdzie będzie chciał pokryć zobowiązania zaciągnięte u Michała na ślub swojej córki, ale jedynie w postaci kilku wozów wina wątpliwej jakości, które nie były warte nawet jednej szóstej długu. W dodatku odmówił wpuszczenia zarządcy z Kibitzsteinu na przekazane w zastaw części swej posiadłości.

W tym samym czasie Dieboldsheim ostrymi słowami domagał się zwrotu wsi, która znajdowała się pod zarządem Marii. W ramach jedynej rekompensaty oferował nie przyłączać się do planowanego przez jej nieprzyjaciół zajazdu na zamek Kibitzstein.

Maria bezbłędnie zrozumiała tkwiącą w jego słowach groźbę i doszła do wniosku, że nawet bez żądań biskupa z Würzburga jej sytuacja nie jest wesoła.

Pan Gotfryd Schenk zu Limpurg nie odezwał się więcej, aczkolwiek Maria nie dałaby złamanego grosza za to, że w twierdzy Marienberg nie knuto planów, by jak najszybciej rzucić ją na kolana. Leżąc nocą w łożu i mimowolnie sięgając do miejsca, na którym przez tyle lat sypiał Michał, czuła pustkę wokół i zadawała sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie w stanie to wszystko znosić. W takich chwilach położenie Kibitzsteinu wydawało jej się tak beznadziejnie mroczne, jak bezksiężycowa zimowa noc. Zastanawiała się, czy nie powinna jechać do Würzburga, by rzucić się do stóp księcia biskupa. Za każdym razem powstrzymywała ją przed tym jedynie świadomość, że za wątpliwą ochronę tego wielmoży, oprócz wszystkich posiadanych zastawów, niechybnie będzie musiała oddać także część lenna otrzymanego od cesarza Sigismunda.

Gdyby chodziło tylko o pretensje biskupa do władzy, mogłaby to w razie potrzeby jakoś przeżyć. Tymczasem kreatury z jego otoczenia za każdą cenę chciały się wzbogacić kosztem jej majątku. Do uszu Marii doszło, iż hrabia Magnus von Henneberg zażądał co najmniej jednej z jej wsi, jako odszkodowania za ranę swego brata. Ale w rzeczywistości chodziło mu o cały Kibitzstein. Maria miała pewność, że chce zniszczyć, albo przynajmniej wygnać z posiadłości ją samą i całą jej rodzinę.

Przekazywane jej liczne złośliwe wypowiedzi, pochodzące podobno z ust jego i jego małżonki, Elizabeth, nie pozostawiały nadziei na nic innego.

— Powiedział, że z błota nie da się ulepić szlachetnych kamieni. Niech lepiej ma się na baczności!

— Skręcasz w wyobraźni kark Hennebergowi? — Usłyszała pytanie Anni i zorientowała się, że zaczęła na głos wypowiadać swe myśli.

— Tak, właśnie to robię! — We wściekłości na zachłannego wielmożę Maria miała ochotę rzucić o ścianę trzymanym w ręku kubkiem.

— Co on w ogóle sobie myśli?

Widząc wyłącznie własną korzyść, napuszcza na nas księcia biskupa. Cudzymi rękami chce wyciągać kasztany z ognia. Zanim Schenk zu Limpurg i Henneberg zobaczą choć feniga z mojego majątku, poddam Kibitzstein wraz ze wszystkimi przyległymi dobrami margrabiemu z Ansbachu.

— Naprawdę sądzisz, że Albrecht von Brandenburg-Ansbach wda się

z Würzburgiem w wojnę o Kibitzstein? — spytała z powątpiewaniem Anni.

Maria odstawiła kubek i wzruszyła ramionami.

— Niestety nie. Prawdopodobnie magnaci prowadzą targi, z których naukę mogłaby wyciągnąć nawet zręczna kramarka, a my i tak w końcu stajemy się ich ofiarami.

Naraz ogarnęła ją pilna potrzeba zaczerpnięcia świeżego powietrza. Podniosła się z westchnieniem.

— Przypilnuj, żeby dziewczki pracowały, jak im przykazałam. Muszę na chwilę wyjść.

— Znow idziesz do koźlarki? — Gospodyni nie zawsze udawało się ukryć zazdrość o Hiltrud. Mimo iż zdawała sobie sprawę, że nie potrafi wesprzeć Marii tak, jak ta tego obecnie potrzebowała, to i tak złościły ją codzienne wizyty pani w koźlarni.

Wieśniaczka była już stara i nie miała nic innego do roboty, niż siedzieć przy piecu i gawędzić. Natomiast pani musiała walczyć z licznymi problemami i podejmować wiele decyzji. W tej sytuacji nie powinna troszczyć się jeszcze o zgrzybiałą staruszkę.

Maria zauważyła grę uczuć na twarzy Anni i pożałowała, że jej przyjaciółki nie potrafiły się polubić. Na szczęście Alike i Hiltrud całkiem dobrze się rozumiały, natomiast Anni nie lubiła żadnej z nich i nawet nie starała się o ich przyjaźń. Maria kochała wszystkie trzy kobiety, bo z każdą z nich przeszła bardzo trudne chwile swego życia. Lecz wydawało się, że Anni nie może znieść myśli, że pani zarówno Alice, jak i Hiltrud zawdzięcza życie, podczas gdy ona sama została półżywa znaleziona i odratowana przez Marię na bezdrożach Czech. Przeto miała wrażenie, że Maria i inni mniej ją poważają, dlatego nadrabiała wyjątkową pracowitością i zaangażowaniem. Zamiast ją zganić, Maria powiedziała uspokajającym głosem: — Chcę tylko sprawdzić, jak daleko Michi posunął się z przygotowaniami i zapytać, czego jeszcze nam potrzeba, w razie gdyby na polecenie księcia biskupa Henneberg nas osaczył.

— Piwnice i spiżarnie są pełne, a jedzenia wystarczy na wiele dni — zapewniła Anni z naciskiem.

— Nigdy nie będzie za wiele, poza tym miałam teraz na myśli raczej broń. Koniecznie potrzebne jest nam duże działo, ale musielibyśmy je przetransportować przez terytorium würgburskie, co wydaje się właściwie niemożliwe.

Gospodyni zmarszczyła czoło, bo wiedziała, ile takie działo kosztuje.

— Czemuż, nie wystarczą te dwie armaty, które kupił pan Michał?

Maria pokręciła pobłażliwie głową.

— O tym wolę porozmawiać z Michim. Ja jego też przecież nie pytam, jakie zapasy lnu czy żywności są nam potrzebne.

Poprzedniego dnia Maria pytała syna Hiltrud, na ile dni ma zgromadzić zapasy na zamku. Zatem Anni przybrała kwaśną minę i zapewniła Marię, że nie zaniedbuje żadnego ze swych obowiązków.

Jako że Maria znała swą gospodynię, wiedziała, że Czeszka, by jej dogodzić, będzie przynaglała dziewczki do jeszcze intensywniejszej pracy. Anni była głodna pochwał z jej strony i nie oszczędzała ani siebie, ani służby, by usłyszeć choć jedno dobre słowo z jej ust.

Spontanicznie objęła młodą kobietę i przyciągnęła do siebie.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła? Jesteś dla mnie jak czwarta córka.

Twarz Anni pojaśniała, ujęła rękę Marii, by ją ucałować.

— Kocham cię jak siostrę i matkę. Uratowałaś mi życie, zabrałaś ze

sobą i dałaś pracę.

Jak długo żyję, będę ci za to wdzięczna. Nawet jeśli z powodu niełaski biskupa nie zostałyby ci nic więcej poza zwykłą, prostą chatą, to pracą własnych rąk zadbam o to, byś mogła w niej wygodnie żyć.

— Do tego będziemy starali się nie dopuścić. — Maria pogładziła Anni po włosach i nie mogła oprzeć się myśli, że nadmiar uczucia bywa czasem uciążliwy.

Zaraz potem Maria wyszła na dwór i z zewnętrznych schodów obserwowała, jak Michi na dziedzińcu musztruje pachołków. Ze ślicznego, choć nieco jeszcze prostodusznego chłopca wyrósł tymczasem na postawnego, przystojnego mężczyznę. Jako że wzrost odziedziczył po matce, przewyższał każdego z mieszkańców Kibitzsteinu co najmniej o szerokość dłoni. Jego jasne blond włosy potargał wiatr tańczący po zamkowym dziedzińcu, zaś z twarzy młodzieńca promieniowała silna wola.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek Maria żałowała, że nie może tego wspaniałego chłopca ożenić z Trudi. Wszak jego matka miała rację. Ponieważ Magnus von Henneberg, a prawdopodobnie i inni, podburzali przeciwko niej Würzburg, zniesławiając jej i Michała pochodzenie, nie mogła sobie pozwolić na spełnienie tego życzenia. Trudi i pozostałe dwie córki powinny poślubić kawalerów o odpowiednim pochodzeniu, którzy potrafiliby stanąć w obronie Kibitzsteinu.

Niestety w chwili obecnej Maria nie знаła nikogo, kogo można byłoby wziąć pod uwagę jako konkurenta do ręki którejś z jej dziewcząt. O Gressingenie od miesięcy już nie miała żadnej wiadomości i doszła do wniosku, że ze względu na niepewną sytuację, w jakiej znalazł się zamek Kibitzstein, nie jest on już zainteresowany związaniem się z Trudi. To podejrzenie umocniło ją w przekonaniu o jego złym charakterze i była rada, że Trudi nie przeżyje później paskudnej niespodzianki.

Mimo to część jej duszy, która chciała oszczędzić córce rozczarowania, żywiła jeszcze nadzieję, że Gressingen nie pokazuje się w Kibitzsteinie, albowiem nie chce jak żebrak bez środków starać się o jej rękę.

Myśl ta nie stanowiła dla niej jednak wielkiego pocieszenia, bowiem w zamku nie pokazał się również żaden inny kawaler, który chciałby poślubić jedną z jej córek.

W razie potrzeby Maria wydałaby za mąż nawet Lizę, choć piętnastoletnia dopiero panienska wydawała jej się jeszcze trochę za młoda. Wprawdzie wysoko urodzeni mieli inne zdanie na ten temat i nierzadko już dwunastoletnie dziewczynki jako panny młode kładli do małżeńskiego łoża, lecz Maria uważała, że dziewczyna powinna dorosnąć i być w stanie wziąć na siebie odpowiedzialność, zanim zostanie przekazana mężowi.

— Ludzie mają wielki zapał do walki i zatańczą na głowie biskupa, jeśli odważy się pokazać u bram Kibitzsteinu.

Słowa Michiego wyrwały Marię z zamyślenia. Zeszła do niego i skinęła głową w podziękowaniu. Bez niego czułaby się jeszcze bardziej bezbronna, bowiem w tym groźnym położeniu Karl nie dałby sobie rady. Zaś Michi w ostatnim czasie zdobył wiele doświadczenia oraz wiedzy i gotów był do ostatniej kropli krwi bronić jej i jej rodziny.

— Mam nadzieję, że wystarczy im zapału, gdy przyjdzie do ostrej walki. Jak wygląda sytuacja? Czy były jakieś napaści ze strony zakonnic z kapituły?

Młodzieniec potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Klara von Monheim poprzestaje na pilnowaniu granic swego

terytorium. Za to Dieboldsheim zeszłej nocy próbował odebrać swą wieś. Przyszedł z około dwudziestoma ludźmi, lecz gdy zmiarkowali, że jesteśmy na czatach, zaraz się ulotnili.

— Jak to dobrze, że w Dieboldsheimie mamy przyjaciół, którzy nas ostrzegają — wyszeptła Maria do ucha Michiego.

— Większość nie jest zadowolona z panowania Ingoberta, choć nie mogą dać tego po sobie poznać. Tych dwoje, którzy przekazują nam informacje, ryzykuje życie!

Dieboldsheim kazałby skrócić ich o głowę, gdyby się o tym dowiedział. — W głosie Michiego zabrzmiała troska. Nie tylko o parę młodych ludzi, którzy im sprzyjali, lecz również z obawy, że Ingobert von Dieboldsheim mógłby odkryć ich zdradę i spróbować wykorzystać to, karmiąc ich fałszywymi informacjami.

Jednak Maria o tym nie myślała. Zastanawiała się nad losem dziewczki i pachołka z Dieboldsheimu, którzy zaopatrywali ich we wszelkie informacje, podsłuchane u swych państwa.

— Jak to się już skończy, powinniśmy sprowadzić ich do siebie, by uchronić ich przed zemstą Ingoberta.

— Pomoc będzie konieczna, niemniej Kibitzstein nie byłby dla nich najlepszym miejscem. Muszą zejść z oczu Dieboldsheimowi, inaczej spróbuje się na nich zemścić. Proponuję, byś po wszystkim wysłała tę parę do Kessnachu. W Odenwaldzie powinni być bezpieczni przed prześladowaniami obecnego pana. — Michi roześmiał się z ulgą, ponieważ Maria nie była już tak zamknięta w sobie, jak to miało miejsce w ostatnich tygodniach. Znów myślała o przyszłości. Wiedział również, że musi wziąć na siebie dużą część jej obowiązków, wszak ciężar, który musiała udźwignąć, był zbyt duży nawet dla takiej kobiety jak ona.

— Czy podjęliście już decyzję odnośnie do nowego działu? — spytał.

— O ile chcemy mieć jakąś szansę stawienia oporu oblężeniu, to potrzebne nam pilnie. Ale nie przychodzi mi do głowy żaden sposób, w jaki moglibyśmy przewieźć je przez tereny Würzburga.

Michi ujrzał przepełnioną wątpliwościami minę Marii i zaproponował.

— Pozwólcie mnie to zrobić. Już wiem, jak możemy wystawić do wiatru ludzi biskupa. A może sądzicie, że będą grzebać w wozie z obornikiem i sprawdzać, czy pod gnojem nie ukryto przypadkiem przemyconych towarów?

W pierwszej chwili Maria roześmiała się, zaraz jednak ze zwątpieniem rozłożyła ręce.

— Z pewnością nie uczynią tego. Ale chłopski wóz nie wytrzyma ciężaru potężnego działu. Załamie się już w połowie drogi ze Schweinfurta.

— Ale nie wóz, który został zbudowany wspólnie przez naszego kołodzieja i kowala.

Jest prawie gotów. Chodźcie, pokażę wam. — Michi wskazał remizę, z której dochodził odgłos uderzeń młota.

Maria poszła za nim i stanęła przed pojazdem podobnym do tych, którymi wieśniacy z okolicy wywozili na pola obornik. Tylko wprawne oko mogło dostrzec, że zbudowany był o wiele solidniej.

— Tajemnica tkwi w drewnie — wyjaśnił Michi. — Do budowy użyliśmy solidnego, dębowego drzewa i wzmocniliśmy je żelaznymi szynami. Musicie się schylić, żeby je zobaczyć. Wątpię, by urzędnikom biskupa chciało się klękać przed wozem z gnojówką. — Był tak rozbawiony, jakby przygotowywał zabawny dowcip.

Maria mimowolnie przytaknęła i stwierdziła, że decyzja sprowadzenia Michiego do Kibitzsteinu była strzałem w dziesiątkę. On już o to zadba, by Magnus von Henneberg i ludzie księcia biskupa połamali sobie zęby na jej zamku.

— Dobra robota, Michi! Ale kto będzie kierował wozem? Większość naszych ludzi znana jest w okolicy.

— Sam pojadę. W czasie gdy byłem w Kessnachu, trochę się zmieniłem, a po powrocie widzieli mnie właściwie tylko nasi. Udowodniłem już, że potrafię poprowadzić wóz zaprzężony w woły.

Maria świetnie pamiętała swą przygodę w roli podróżującej markietanki, w której Michi jej towarzyszył.

Widząc jej rozpogodzoną nagle twarz, sam nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Wyruszę dziś w nocy. Księżyc świeci jasno. Trzymając się z dala od głównych dróg, będę potrzebował dobrych dwóch dni, by dotrzeć do Schweinfurtu. Przy odrobinie szczęścia uniknę w ten sposób spotkania z ludźmi biskupa i przejadę niezauważony.

— Niech najświętsza panienska cię poprowadzi! Lecz sam nie dasz rady przywieźć do domu tak ciężkiej kolubryny.

— Bez obawy, pani Mario. Wysłałem szwagrowi wiadomość, by przygotował mi kilku silnych pachółków. Jeśli przebiorą się za wędrownych kom panów i będą się trzymali w moim pobliżu, to gdy zajdzie potrzeba, w każdej chwili będą mogli mi pomóc.

Michi wszystko świetnie obmyślił i Maria skinęła z zadowoleniem. Teraz potrzebna mu tylko opieka mocy niebieskich.

— W Schweinfurcie przekaz Trudi uściski ode mnie i spytaj, kiedy wraca do domu.

Bardzo za nią tęsknimy.

— Oczywiście. Choć pewien jestem, że te kilka tygodni u mojej siostry dobrze jej zrobi. Mariela wybiła jej już pewnie z głowy te głupstwa!

— Michi uśmiechnął się i kazał kowalowi się pospieszyć.

— Inaczej nie skończysz przed moim odjazdem — dodał.

— Bez obawy, panie, tak się nie stanie! — odparł na to krępy mężczyzna i uderzył młotem z takim impetem, że aż echo odbiło się od ścian.

Maria i Michi, tracąc słuch, opuścili kuźnię.

— Ten człowiek zawsze musi przesadzić — stęknęła i zaraz zmieniła temat.

— Widziałeś moje córki?

— O ile mi wiadomo, Lisa z Hildegardą poszły do ogrodu i uczą się strzelać z łuku.

W razie oblężenia postanowiły pomóc w obronie zamku.

— W głosie Michiego brzmiała nuta rozbawienia, jako że nie traktował poważnie dziewczynek, które mimo młodego wieku zachowywały się jak dwie dzikie Amazonki.

Maria była zadowolona, że zaczęły przewycięzać ból po stracie ojca i pożegnała się z Michim, by poszukać dziewcząt.

Gdy weszła do ogrodu ujrzała jak Lisa i Hildegardą z zapalem napinały łuki ze zrobionymi dla nich przez kołodzieja strzałami, mierząc do postaci skleconej ze słomy. Maria zacisnęła wargi, ponieważ cel miał kształt człowieka, zaś na jego głowie zobaczyła zrobioną z papieru biskupią mitrę.

Obie dziewczyny były tak zaabsorbowane swym zajęciem, że nie

zauważyły nadejścia matki. Hildegardą napięła łuk, wycelowała i strzeliła. Strzała odbiła się od ciężki i trafiła słomianą figurę w miejsce, gdzie u człowieka znajduje się żołądek.

— Trafiony! — zawołała z triumfującą miną.

— Teraz moja kolej, trafię go dokładnie w jego czarne serce! — Lisa napreżyła łuk i strzeliła. W tej samej chwili usłyszała chrząknięcie za plecami i drgnęła, a poruszona strzała przeleciała obok słomianej figury.

— Miałś odstrzelić biskupowi serce — zganiała ją Hildegarda. Następnie dostrzegła matkę i z dumą pokazała jej łuk.

— Zastrzelimy wszystkich żołnierzy niedobrego biskupa, żeby nam nic nie uczynili.

— Ludzie biskupa to nie słomiane figury, mają żelazne zbroje, przeciw którym nic nie poradzicie tymi dzieciennymi łukami. Lepiej będzie, gdy w razie oblężenia pomożecie dziewczkom przygotować wrzątek, byśmy mogli zgotować wrogowi gorące przywitanie.

Hildegarda zaprotestowała.

— Ależ my bardzo dobrze trafiamy! Nawet jestem lepsza od Lisy. Możemy zabić würrburczyków.

— Nie sądzę, żeby zabicie drugiego człowieka było czymś tak godnym pożądania.

Jednak zanim jeszcze wypowiedziała te słowa, Maria uświadomiła sobie, że sama była gotowa szablą bronić rodziny i ojczyzny. Objęła dziewczęta i pociągnęła je do siebie.

— Bardzo was kocham.

— My ciebie też, mamó.

Lisa wtuliła się w nią, zaś Hildegarda spoglądała nań nieco zawstydzona.

— Nie wypędzą nas z Kibitzsteinu, nieprawdaż?

Maria odgarnęła z jej twarzy rozwiane przez wiatr włosy i potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie mogą tego zrobić.

Wewnętrznie nie była o tym jednak aż tak przekonana, gdyż pogródki, docierające do niej z różnych źródeł, nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co do zamiarów jej nieprzyjaciół. W dodatku nie dostała dotychczas jeszcze żadnej odpowiedzi od Albrechta von Brandenbarga-Ansbacha na przesłaną mu prośbę o wstawiennictwo u króla. Wyglądało na to, że Kibitzstein sam musi stawić czoła licznemu, gotowemu na wszystko wrogowi i w tej sytuacji nie należało jeszcze bardziej rozsierdzać biskupa z Würzburga. Energicznym ruchem ręki wskazała na słomianą kukłę.

— Nie podoba mi się, że strzelacie do figury przypominającej człowieka. Do tego nie godzi się brać na cel przedstawiciela Kościoła Świętego. Zniszczcie to. Jeżeli chcecie strzelać, poproście, by zrobiono wam słomianą tarczę.

Lisa zrobiła rozczarowaną minę.

— Ależ mamó, strzelając do tarczy, nigdy nie nauczymy się, gdzie trzeba trafić wroga, żeby go dopaść — zaprotestowała.

Wzrok Marii zrobił się ostry.

— Słyszałyście, co poleciłam. Proszę to zrobić. Mamy dość antagonistów w Marienbergu. Nie trzeba nam dodatkowo jeszcze rozsierdzać pana Gotfryda Schenka zu Limpurg. Jak myślicie, co powie, jak mu doniosą, że strzelacie tu do słomianej kukły zrobionej na podobieństwo jego osoby?

Obydwie zrozumiały intencję matki. Na policzkach Hildegardy

załśniły łzy, a Lisa złapała Marię za rękę.

— Przepraszamy, mamó, nie chciałyśmy przysparzać ci więcej trosk! Maria jeszcze raz przytuliła do siebie dziewczęta i pomyślała, że podjęłaby walkę nawet z szatanem, gdyby od tego miała zależeć przyszłość jej dzieci.

8.

Mniej więcej w tym samym czasie Magnus von Henneberg, stojąc na murach umocnień Marienbergu, spoglądał w dół na Würzburg, leżący na przeciwległym brzegu Menu. Do miasta prowadził wprawdzie most, jednak jego ciosane kamienie nie wpływały na fakt, iż twierdza biskupa była dobrze od miasta odizolowana.

Mieszkańcy Würzburga od dawna już wielokrotnie powstawali przeciwko panowaniu kościoła, domagając się statusu wolnego miasta. Dotychczas zwycięstwo zawsze leżało po stronie panów z Marienbergu, zaś po obecnym księciu biskupie można było się spodziewać jeszcze mniej ustępstw, niż po jego poprzednikach.

Hrabia Magnus myślał o czasach, w których mężczyźni z jego rodu sprawowali władzę w Würzburgu, należąc jednocześnie do najpotężniejszych panów we Frankonii. Tymczasem walka o władzę i wpływy osłabiła Hennebergów i sprawiła, iż główna gałąź rodu została wyparta aż za Rodan. Jego rodzina, która ze względu na spory spadkowe skłócona była z innymi liniami Hennebergów, połączyła się z biskupami i mogła zarządzać swymi dobrami jako lennicy kapituł biskupich. Nie zdobyła jednak szacunku ani znaczenia swych przodków.

Nadszedł czas, by to zmienić. Hrabia Magnus dłonią zaciśniętą w pięść pogroził w kierunku, gdzie powinien znajdować się Kibitzstein. Oni padną jako pierwsi, zaś po nich jeszcze wielu innych, którzy odmówią poddania się władzy księcia biskupa.

Jedna trzecia posiadłości, które w ten sposób zdobędzie kapituła, przypadnie mu w udziale jako nagroda. Dlatego też miał nadzieję, że jak najwięcej kasztelanów odmówi posłuszeństwa, albowiem każ dy, którego dobra zdobędzie na polecenie pana Gotfryda, przyniesie spore bogactwo jemu i jego rodzinie.

Magnus von Henneberg nie zorientował się, że ktoś go od pewnego czasu obserwuje. Cyprian Pratzendorfer ciągle jeszcze gościł w Würzburgu, choć zlecenie, z którym przysłał go tu papież, Eugeniusz IV, zostało dawno już wykonane. W tej chwili, mając na twarzy przyjacielski uśmiech, podszedł do hrabiego.

— Zatopiony jesteś w myślach, mój synu?

Hrabia Magnus, zirytowany zakłóceniem jego rozmyślań, odwrócił się do mówiącego. Zobaczywszy prałata, ukrył rozdrażnienie. Pratzendorfer był przyjacielem biskupa jeszcze z okresu studiów i miał duży wpływ na pana Gotfryda.

W związku z rym nie chciał zniechęcać go do siebie.

— Myślenie odróżnia człowieka od zwierzęcia, wasza wielbność. Pratzendorfer skinął.

— Masz rację, mój synu. Lecz można mieć dobre lub złe myśli.

— Moje są z pewnością dobre.

Hrabia Magnus nie czuł potrzeby rozmowy z prałatem na temat swych rozważań, czy też planów. Niemniej wyraz jego twarzy powiedział Pratzendorferowi wystarczająco dużo.

— Chcesz wyruszyć na Kibitzstein, by pomścić rany swego brata. To

zrozumiałe, lecz nie wolno ci sprowadzić zagrożenia na plany jego wysokości, księcia biskupa.

Ostrzegawcza nuta w jego głosie rozzłościła Henneberga, który uważał się za prawdziwego sprzymierzeńca biskupa i gotów był dlań zamierzyć się na każdego szlachcica w kraju.

— Uważam, że nieporozumienie, jakim jest Kibitzstein, powinno zostać usunięte.

Przykład tej wdowy podburza jedynie innych kasztelanów i rycerzy do robienia tego samego i stawiania oporu jego ekscelencji, księciu biskupowi.

Prąłat roześmiał się.

— Sidło, w które ma wpaść taki dziki zwierz, musi zostać starannie zastawione, mój synu. Jeśli jak rozwścieczony byk popędzisz na Kibitzstein i rozpoczniesz oblężenie zamku, wówczas nie pomożesz ani sobie, ani księciu biskupowi. Zaczną jedynie mówić, że odbieracie schedę biednej wdowie i jej dzieciom. Najpierw trzeba, by ta kobieta odepchnęła wyciągniętą do niej obronną dłoń jego wysokości i skłóciła się z sąsiadami. Dopiero wówczas wkroczyć może książę biskup, który przywróci pokój w kraju. Sam nie może go jednak burzyć.

Ostrzeżenie było wyraźne, bo Henneberg w rzeczy samej najchętniej zaraz zebrałby wojsko i ruszył na Kibitzstein. Tymczasem atakowanie dobrze umocnionego zamku przy pomocy własnych ludzi i kilku dodatkowych zbrojnych, którymi wsparliby go przyjaciele, nie miało sensu. Do odniesienia sukcesu potrzebował dział z arsenału księcia biskupa. Mimo to hrabia Magnus nie zamierzał dać za wygraną, ani nawet zwlekać.

— A co, jeśli jejmość rzuci się na szyję margrabiemu z Ansbachu?
— spytał zafrasowany.

— Posłała już do niego listy z prośbą o pomoc. Na szczęście moim sprzymierzeńcom w Ansbachu udało się je przejąć, zanim zdążyły dotrzeć do margrabiego. Lecz nie mamy zbyt wiele czasu. Zanim dojdzie do wyprawy na Kibitzstein, musimy zadbać o to, by jego wysokość, książę biskup, mógł wystąpić jako obrońca pokoju w kraju.

— Jak sobie to wyobrażacie? — zapytał hrabia.

— Powinieneś pojeździć po kraju i porozmawiać z kilkoma osobami. Odwiedź na przykład opata Pankracjusza von Schöbacha. Z całą pewnością odniesiesz sukces u Maksymiliana von Albacha, Ludolfa von Fuchsheima i Ingoberta von Dieboldsheima. Rozejrzyj się tam! Na pewno usłyszysz nazwiska kolejnych kasztelanów, którzy również nie mieliby nic przeciwko zebraniu kilku ziaren z płonów Kibitzsteinu. Mają to być panowie mieniący się wolnymi rycerzami. Jeśli wypowiedzą wojnę Kibitzsteinowi, wówczas książę biskup nie będzie władny, by temu zapobiec.

Hrabia roześmiał się nerwowo.

— Wasze słowa brzmią dobrze, aliści panowie, o których mówicie, pójdą za mną na Kibitzstein dopiero wtedy, gdy sam będę mógł stanąć z wystarczającą ilością żołnierzy i dział. W tym celu musiałbym przeprowadzić werbunek, który kosztuje więcej, niż mógłbym sobie na to obecnie pozwolić.

Na ustach prąłata pojawił się pobłażliwy uśmiech.

— Pan Gotfryd von Schenk zu Limpurg nie liczy chyba co dzień swych ludzi i dział.

Weź zatem tylu, ilu ci trzeba, i pod własnymi sztandarami poprowadź ich na Kibitzstein. Masz wszak ważny powód, by uderzyć na ten zamek.

Chcesz przecie pomścić brata.

Pratzendorfer zauważył, że hrabia mu mimowolnie przytakuje. Wiedział, że radę jego zamieni w czyn i w swej zaciekłości sprowadzi na Kibitzstein taki gniew i wzburzenie, który może objąć nawet całą Frankonię. I właśnie wtedy księżę biskup miałby okazję wystąpić w roli krzewiciela pokoju i nie zauważony rozszerzyć zasięg swej władzy. Jednakowoż wbrew planom Henneberga, Gotfryd Schenk zu Limpurg nie przepędzi z okolicy wdowy ani jej bachorów, lecz odda jej w lenno dotychczasowe dobra, okrojone o większość przynależnych posiadłości. Przykład ten zniechęci wszystkich okolicznych panów na włościach do sprzeciwiania się jego woli.

To jednak nie była sprawa hrabiego, albowiem był on tylko narzędziem, torującym drogę do znaczniejszego celu. Prałat poklepał hrabiego przyjacielsko po ramieniu i przysunął się do niego.

— Jak dobrze zrobisz, co do ciebie należy, z pewnością tego nie pożałujesz, mój synu!

Pomyślimy także o Ottonie, twoim bracie, nawet jeżeli obecnie sam zabiega o sławę i bogactwo.

— Chciałbym wiedzieć, co z Ottonem. Ta długa podróż nie sprzyja z pewnością jego ranom. — Głos hrabiego Magnusa stał się na chwilę miękki, zaś Pratzendorfer miał okazję zajrzeć w jego serce.

Reakcja hrabiego wywołała zadowolenie prałata. Duma Magnusa z rodu, z którego pochodził, oraz miłość do młodszego brata stanowiły klucz, którym można się było z łatwością posłużyć. Przed pozostawieniem Henneberga jego własnym zamiarom, prałat chciał załatwić jeszcze jedną sprawę.

Cichutko, jakby obawiał się potajemnie podsłuchujących uszu, napomknął: — Gdy przystąpisz do realizacji planu, nie naprzykrzaj się z jego szczegółami księciu biskupowi. Pan Gotfryd zainteresowany jest jedynie efektami. To twoja sprawa, jak je osiągniesz. Dlatego też wyłącznie mnie i nikomu innemu będziesz zdawał sprawę ze swych poczynań.

Polecenie niezbyt spodobało się Magnusowi von Hennebergowi, lecz miał dość rozumu, by się nie sprzeciwić. O ile zręcznie zadziała, wówczas może zdoła wykorzystać dla siebie wpływy Cypriana Pratzendorfera. W związku z tym pożegnał się z prałatem bardziej przyjaźnie, niż zrobiłby to normalnie i zajął się przygotowaniem do opuszczenia Würzburga. Nawet jeśli w tej sytuacji będzie musiał znacznie nadłożyć drogi, to właściwym celem i tak pozostanie zamek Kibitzstein.

9.

Dwaj rycerze, którzy z polecenia uprzejmego mnicha z Altötting mieli chronić Trudi, z dnia na dzień coraz mniej podobali się Lampertowi. Mężczyźni przeklinali jak furmani, a rozmawiając z Utą, czynili to w tak dwuznaczny sposób, że dziewczka zamiast chichotać, raczej się czerwieniła. Nawet w rozmowie z Trudi nie trzymali języków na wodzy, lecz mówili tak, jak można byłoby rozmawiać z doświadczoną niewiastą, nie zaś panienką w jej wieku.

Trudi zdawała się nie dostrzegać nieufności swego pacholka, ani też złych manier swych obrońców. Wreszcie energicznie ruszyli do przodu, dlatego też nie wzbudzał jej nieufności fakt, że Melchior von Hohenwiesen i Frodewin von Stammberg trzymali się z dala od wszelkich większych osad, nocując jedynie w niewielkich wioskach, w których nierzadko nie było

żadnego zajazdu i musieli nocować przy piecu w wiejskich chałupach. A że za jadło i nocleg gospodarze prosili najczęściej jedynie o boże błogosławieństwo, Trudi nie potrzebowała wiele pieniędzy i z rosnącą nadzieją patrzyła w przyszłość.

Mimo iż droga prowadziła w góry i stawała się z dnia na dzień coraz bardziej uciążliwa, Uta mniej się już dąsała i zносиła grubiańskie uwagi obu rycerzy. Nawet gdy ręka przysadzistego Stammberga z klaśnieciem uderzyła w jej siedzenie, uczyniła tylko nieznaczny obronny gest.

Rycerz roześmiał się ukontentowany.

— Krzepka z ciebie dziewczka, podobasz mi się. Chodź, zajrzymy razem do koni. Na sianie miękko się leży.

Daleka od tego, by z oburzeniem odeprzeć jednoznaczną propozycję, Uta zakotyssała kusząco biodrami.

— Przywykliście raczej do owsa, nie do siana, mój panie. Darmo można tylko umrzeć. Dziewka, jak ja, nie ma nic więcej do zaoferowania poza tym, co pod spódnicą, przeto nie może się tanio przetrwonić.

Stamberg zrozumiał, że za śmiałą jazdę na sianie dziewczka oczekuje równie śmiałej nagrody i zmiął w ustach przekleństwo. Nie miał nawet tyle pieniędzy, by zapłacić jakiejś plugawej przydrożnej nierządnicy, których wiele kręciło się w okolicy jarmarków i pielgrzymek, nie wspominając już o takiej zdrowej i czystej dziewczce jak Uta, która oczekiwałaby o wiele wyższego wynagrodzenia. Przez chwilę zastanowił się, czy nie powinien obiecać jej pieniędzy, by później zostawić ją ze śmiechem na kopce siana. Następnie pomyślał, jak połączyć przyjemne z pożytecznym, i uśmiechnął się pod nosem.

— Niestety, nie mam przy sobie pieniędzy, bo wszystko, com miał, wrzuciłem do skarbonki kaplicy w Altötting, by łaskawie nastroić Najświętszą Panienkę. Jednakowoż za kilka dni będziemy przejeżdżali obok mego zamku. Wtedy mógłbym wypłacić ci należne wynagrodzenie. Uta odparła ze śmiechem: — Mówi się, że darmo dostaniesz tylko śmierć, a i za nią trzeba zapłacić życiem. Nie, rycerzu, z pustego i Salomon nie należy. Wy mielibyście swą uciechę, a mnie przyszłoby później może chodzić z brzuchem. Lepiej dajmy temu spokój. — Po tych słowach wybiegła z wiejskiej chałupy, by wykonać otrzymane od Trudi polecenie.

Stamberg gapiąc się na drzwi, za którymi zniknęła, pojął, że dziewczka co prawda przekomarza się z nim, ale nie ma zamiaru mu się oddać. Przez twarz przemknął mu gniew, którego miejsce zajął zaraz wyraz skrytej satysfakcji. Ta mała suka gorzko odpokutuje swą złośliwość. Przekonanie to pozwoliło mu odzyskać dobry humor.

Wszedł do najlepszej izby, którą gospodarze oddali do dyspozycji podróżnych.

Trudi właśnie się myła i myślała, że wróciła Uta.

— Połóż tam koszulę. — Wskazała brodą stojącą obok łóżka ławkę. Kątem oka dojrzała Stammberga i szybko okręciła się prześcieradłem.

— Nie umiecie pukać przed wejściem, jak to czynią inni ludzie? — spytała gniewnie.

Rycerz zerknął na jej nagie plecy, oraz odznaczającą się pod prześcieradłem krągłą pupę i musiał się opanować, by nie rzucić się na nią. Z ociąganiem spuścił głowę i cofnął się o krok.

— Wybaczcie, lecz nie wiedziałem, że wy... — z tymi słowy odwrócił się i wyszedł z izby.

Trudi zawała za nim drzwi i zasunęła zasuwę. Gdy Uta wróci z

czystą koszulą, będzie musiała zapukać. Następnie przystąpiła do dalszego mycia, nie omijając przy tym miejsc, którym inne kobiety poświęcały mniej uwagi, jako że ksiądz z ambony dotykając ich określał jako grzeszne. W dzieciństwie Trudi również nie chciała się tam myć, lecz matka z wielką stanowczością przemówiła jej do rozsądku i teraz była jej za to wdzięczna.

Skrobanie i pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia.

— Kto tam? — spytała.

— Kto ma być, przecież to ja. — Głos Uty był rozdrażniony.

Trudi wpuściła dziewczkę i zaraz ponownie zaryglowała za nią drzwi.

Uta ściągnęła brwi ze zdziwienia.

— Co to ma znaczyć?

— Nie chcę, by ktoś wchodził, podczas gdy się myję.

— To aluzja do Stammberga, nieprawdaż? Zdażyłam zauważyć, że go energia rozpiera. Ale nie posądzałabym go o takie zuchwalstwo, by ważył się wtargnąć do waszej izby. Będziecie musieli ryglować drzwi. To co prawda irytujące, lecz... — Dziewka pogroziła ręką i prawie upuściła koszulę Trudi. W ostatniej chwili udało jej się ją jeszcze złapać.

Trudi prychnęła jak kotka, której nadepnięto na ogon.

— Nie życzę sobie, by mężczyźni mnie oglądali nago.

— Ja też tego nie lubię, choć jestem tylko prostą dziewczką, a nie damą, jak wy. Trudi roześmiała się mimowolnie.

— Pamiętam policzek, jaki dałaś Lampertowi, gdy ostatnio wszedł do naszego pokoju, a ty odziana byłaś jedynie w koszulę. Mimo że i tak nie mógł nic zobaczyć.

— Powinien był zapukać — odparła Uta.

— Ale jak? Wszak obie ręce miał zajęte.

— Na przykład kolanem albo czymś innym — odpowiedziała Uta i zorientowała się, że druga część jej wypowiedzi mogła zabrzmieć nieco dwuznacznie, więc szybko dodała: — To znaczy nogą!

Następnie szybko zmieniła temat.

— Od Altötting mamy za sobą już cztery dni podróży. To połowa drogi do Grazu.

Chciałabym, żebyśmy byli już na miejscu.

— A jak ja bym chciała! Chciałabym wreszcie móc stanąć przed królem i z nim porozmawiać. Musi natychmiast wysłać posłańca do Kibitzsteinu, żeby mama się o mnie nie martwiła.

Im bardziej oddalali się od domu, tym bardziej martwiła się sytuacją w ojczyźnie.

Straciła już o wiele za dużo czasu i męczyły ją wyrzuty sumienia. Zmylenie czujności bliskich nie przyszło jej łatwo, a teraz zżerały ją obawy i zmartwienia.

Jeśli podróż zakończy się pomyślnie, wówczas będzie mogła pomóc matce utrzymać Kibitzstein. Ale jeśli się nie uda...

Gwałtownym gestem Trudi odepchnęła od siebie strach i wygładziła koszulę przyniesioną przez dziewczkę.

— Ach, Stammberg mówił, że będziemy przejeżdżać koło jego zamku — odezwała się Uta.

Nowina uświadomiła Trudi, jak niewiele wie o obydwu mężczyznach, którym powierzyła swe bezpieczeństwo. W Altötting zadawala więcej pytań. W ciągu ostatnich, spędzonych razem pięciu dni dwaj rycerze sporo wprawdzie mówili, nie ujawniali jednak żadnych

informacji o sobie. Dużo rozmawiali natomiast o królu Fryderyku. Na podstawie wiadomości, jakie doszły do Trudi w Schweinfurcie i podczas dotychczasowej podróży, dziewczyna zdawała się rozumieć zaistniałą sytuację polityczną.

Potęga Fryderyka III była o wiele słabsza, niż wyobrażała to sobie na początku. Jego brat, Albrecht von Habsburg, zwalczał ją wszelkimi dostępnymi środkami. Poza tym miejscowi magnaci z Czech i Węgier zagarniali wpływy i władzę. Jako że król rządził tymi krajami w imieniu swego wychowanka, Ladisiausa, wnuka cesarza Sigismunda, a utracił dużą część wpływów na własnych terenach, zaczęto nazywać go już królem bez ziemi. Te informacje znacznie ostudziły zapał Trudi i umniejszyły jej nadzieje na uzyskanie u monarchy wsparcia dla matki. Niemniej jednak za daleko już zajechała, by teraz zawrócić, i w głębi serca żywiła nadzieję na jakiś cud.

Trudi powróciła w myślach do towarzyszących im rycerzy i zastanawiała się, dlaczego Stammberg nie powiedział jej, iż zamek jego leży po drodze do Grazu.

Dotychczas nie miała nawet pojęcia, z jakich okolic pochodzą Stammberg i Hohenwiesen, a że sakiewki obydwu rycerzy były tak puste, jak skrzynia na mąkę podczas klęski głodu, doszła do wniosku, że obaj nie posiadają ani skrawka ziemi.

Na to wskazywał również fakt, iż jechali na koniach zasługujących najwyżej na miano szkap. Przy tych chabetach nawet konie Uty i Lamperta można było nazwać rumakami.

— Nic dziwnego, że mają nadzieję na służbę u króla — wypowiedziała głośno swą ostatnią myśl. Uta, której głowę zaprzętała siedziba Stammberga, zmieszana się.

Trudi zrozumiała jej pytające spojrzenie i wzruszyła ramionami.

— Rycerz Frodewin będzie chciał zapewne wstąpić do siebie po pieniądze, by nie stanąć przed obliczem króla jak żebrak, a że zamek leży po drodze, nie mam nic przeciwko temu.

— Skąd możecie wiedzieć, że jesteśmy nadal na właściwej drodze? — wypaliła Uta w nagłym przypiływie natchnienia.

— Prosiłam w Altötting, by wymieniono mi nazwy miejscowości, które trzeba minąć po drodze do Grazu, i każdego wieczora pytam naszych gospodarzy, jakie większe miejscowości leżą w pobliżu. Dotychczas wszystko się zgadzało.

Uta obrzuciła ją powątpiewającym spojrzeniem.

— Przecież nie przejeżdżaliśmy przez Salzburg, a miasto to powinno leżeć na trasie do Grazu.

— Gdybyśmy pojechali do Salzburga, utknęlibyśmy teraz w górach, pośród lodu i śniegu i nie moglibyśmy się ruszyć. Zaś na drodze wybranej przez naszych dwóch przewodników mogliśmy dotychczas niezłe popędzić konie. Przy odrobinie szczęścia dotrzemy do Grazu nietknięci ani jednym płatkim śniegu.

— A może Stammberg wybrał tę drogę tylko dlatego, że chciał wstąpić do swego zamku? — Takie wytłumaczenie wydało się Ucie rozsądne, ponieważ sama by zapewne w ten sposób postąpiła. Jako że ani Trudi, ani ona nie wiedziały, gdzie naprawdę leży Graz, musiały zaufać swym towarzyszom.

Jednak Trudi nie spodobał się sam fakt przemilczenia przez Stammberga zamiaru odwiedzenia swej siedziby. W związku z tym

postanowiła, że od tej pory zwróci baczniejszą uwagę na wszystko, co będzie się wokół działo.

10.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy oczom podróżnych ukazały się góry, jak biała ściana rozciągające się z zachodu na wschód. Na sam ich widok Trudi zaczęła marznąć.

Musiała poświęcić część pieniędzy, które im jeszcze zostały, by kupić ciepłe okrycia dla Uty i Lampem, których ubrania nie były tak solidne jak jej.

Tymczasem mieli już za sobą kolejne dwa dni podróży i wbrew zapowiedziom rycerzy wjechali w wysokie góry. Dni były jasne i słoneczne, lecz konie, którym przyszło się przedzierać przez sięgający pęczin śnieg, ślizgały się od czasu do czasu na zamrzniętych kałużach.

Trudi, która po raz kolejny uratowała swą klacz przed upadkiem, zwróciła się zirytowana do Hohenwiesena.

— Źle wybraliście drogę! Nasze konie mogą doznać uszczerbku.

— To dobra droga — odparł rycerz z roztargnieniem. — Prowadzi dokładnie do domu mego przyjaciela. Dziś wieczór będziemy mogli posiedzieć w ciepłej komnacie i poucztować. Jutro każemy na nowo podkuć konie, by mogły pewnie wspinać się po górach.

— Ależ według słów waszego przyjaciela i waszych, mieliśmy całkowicie ominąć góry — zaoponowała zmieszana Trudi.

— Jadąc do Grazu, nie da się minąć gór — wyjaśnił Hohenwiesen w taki sposób, jakby tłumaczył to niesforenemu dziecku, a następnie odwrócił się do Uty i Lamperta, którzy pozostali kawałek za nimi.

— Nie guzdrajcie się tak! Inaczej będziecie musieli nocować na dworze. Wilki się ucieszą. To dotyczy także was, panienko. A może nie macie chęci siedzieć dziś wieczorem przy trzaskającym ogniu?

Kpiący ton głosu Hohenwiesena zadziałał na nerwy Trudi, która wewnętrznie się najeżyła.

— Nie jestem pewna, czy mam ochotę jechać w góry, do zamku waszego przyjaciela.

Odprowadźcie nas do najbliższego miasta!

Hohenwiesen i Stammberg wydali jej się naraz tak niesympatyczni, że zadała sobie pytanie, jak kiedyś mogła im zaufać. Dlatego też podjęła decyzję, że przy najbliższej okazji rozstanie się z nimi i mimo wszelkich obiekcji ostatni odcinek drogi do Grazu pokona sama z Utą i z Lampertem.

Melchior von Hohenwiesen wyczuł wzbierające w niej niezadowolenie.

— Trudno ci będzie odrzucić gościnę mego kompana, bowiem w okolicy nie ma żadnego miasta, ani też żadnej wioski, w której mogłabyś znaleźć schronienie wraz ze swymi sługami. Poza tym rycerz Frodewin nalega, by cię ugościć. Tak więc zgódź się. Tak będzie lepiej dla ciebie i twoich towarzyszy.

Ton głosu mężczyzny podobał się Trudi jeszcze mniej niż wypowiedziane przez niego słowa. Poza tym drażniło ją, że zaczął mówić do niej na ty, jak do zwykłej dziewczki. Ściągnęła klaczy cugle i rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

— Nie pozwolę, byś tak ze mną rozmawiał! Natychmiast zawieźcie nas do najbliższej wioski, zrozumiano?

Zamiast odpowiedzi rycerz przyłożył jej do gardła ostrze miecza. —

Jak chcesz kąsać, ro możemy porozmawiać inaczej. To powinno nauczyć cię rozumu!

Trudi była tak wzburzona, że nie odczuwała strachu.

— Co to ma znaczyć? Schowajcie broń!

— Tylko wtedy, jeśli będziesz grzeczna, mój gołąbeczku. Teraz, jak mamy cię już w garści, nie będziemy ryzykować, że nam odfruniesz. Podaj mi cugle swojej klaczy.

Nie chcę, byś wykorzystała jej szybkość w ucieczce. A swoją drogą, to bardzo dobry koń. Toteż wykorzystam go do hodowli, a dysponuję godnym niej ogierem.

— Co to ma być? Porwanie?

— Można to tak nazwać. A może napad rabunkowy, jeśli wolisz.

Podaj mi swoją sakiewkę! Taka młoda dziewczyna jak ty, nie potrzebuje pieniędzy.

— Cugle, sakiewka, co mam wam jeszcze dać? — warknęła z wściekłością.

— Wszystko, co masz przy sobie. Z pewnością masz jeszcze przyjaciół i znajomych, którzy hojnie mnie wynagrodzą, jeśli oddam im cię całą i zdrową.

Trudi życzyła piekła Hohenwiesenowi, a jednocześnie i sobie samej, za to, że była tak głupia i lekkomyślna, by dać się nabrać temu człowiekowi i jego obdartemu kompanowi. Z ostrzem miecza na gardle nie miała innego wyjścia, niż wypełniać polecenia i oddać mu swą doprawdy chudą sakiewkę i cugle klaczy.

Melchior von Hohenwiesen zważył w rękę sakiewkę i zmarszczył brwi.

— To nie może być wszystko! Zapewne większość pieniędzy trzymasz w torbie przy siodle. Niechaj zostaną tam do dzisiejszego wieczora. Teraz musimy się pospieszyć! — Mówiąc to, tak mocno pociągnął cugle, że klacz zarżała i popędziła klusem przed siebie.

Uta i Lampert śledzili wymianę zdań, do której nie mogli się włączyć. Dziewka nie była uzbrojona, a Lampert posiadał jedynie sztylet. Zanim zdążył po niego sięgnąć Stammberg wyciągnął miecz i odtąd trzymał go w szachu.

Myśli Lamperta zaczęły galopować w szaleńczym tempie, a on sam przeklinał się za to, że od samego początku nie ostrzegł swej pani przed komitywą z rycerzami. Teraz było już raczej za późno. Bez zastanowienia podciął konia do ucieczki. Jeśli uda mu się odzyskać wolność, będzie się starał pomóc pani i Ucie.

Stammberg oczekiwał właśnie takiej reakcji, podniósł miecz i trafił płazem w głowę pacholka.

Nieprzytomny Lampert wypadł z siodła i upadł w śnieg, który płynąca z jego rany krew zabarwiła na czerwono.

Kilka kroków dalej Uta krzyknęła z przerażenia: — Zamordowałeś go!

— A jeśli nawet, to co? Nie będę po nim płakał — odparł Stammberg, wzruszając ramionami. — Choć pewnie tylko stracił przytomność. Mógłbym zostawić go wilkom na żer, ale jako człek miłosierny nie mam serca tego zrobić. Toteż zsiadajcie z koni, ty też, panienko, i wsadźcie go z powrotem na chabetę!

Widząc wymierzone w siebie miecze, Trudi i Uta nie mogły się sprzeciwić.

Nachyliły się nad Lampertem, który, ku ich uldze, cały czas oddychał, zaś Hohenwiesen złapał jego konia, który po kilku krokach stanął w miejscu.

— Musimy go opatrzyć, inaczej może się wykrwawić — wyjaśniła Trudi, spoglądając na swą przytroczoną do siodła torbę, w której oprócz płótna, nadającego się do przewiązania rany, znajdował się również sztylet, odebrany przezeń Ottonowi von Hennebergowi podczas napadu na nią i jej dziewczki. Stammberg machnął ręką.

— Nie zdechnie od tej odrobiny krwi. Dla niego to tak, jakby przystawił mu kilka pijawek. Po wszystkim poczuje się lepiej i jeszcze nam podziękuje.

To była czysta kpina. Trudi, nie mogąc się opanować, rzuciła się z pięściami na rycerza rozbójnika. Stammberg był tak zaskoczony, że nie zdążywszy się osłonić, oberwał kilka bolesnych razów, zanim ją złapał. Później jednak wymierzył jej silny policzek i rzucił ją na ziemię.

— To tylko przedsmak tego, co cię czeka, jeśli dalej będziesz uparta — zagroził.

Trudi otarła dłonią obolałe wargi i zauważyła krew. Jeśli ten człowiek myśli, że biciem ją złamie, to grubo się myli. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby jej posłużyć jako broń, ale wnet zrozumiała, że sama nie da sobie rady z dwoma łotrami. Ogarnięta gniewem poczuła, jak łyzy cisną jej się do oczu.

Stammberg doszedł do wniosku, że się poddała, i roześmiał się triumfująco.

— Płacz, ile chcesz, taką cię wolę. Ruszać się, leniwe baby! Wciągnijcie pachołka na konia, bo znów oberwiecie!

— Jeśli za chwilę zemdleję, to wówczas będziecie się martwić, kto podniesie Lamperta i mnie. — Złośliwa odpowiedź Trudi nie zrobiła jednak większego wrażenia na mężczyźnie.

Jeszcze raz zagroził jej mieczem.

— Nie będę dłużej czekał!

Uta zrozumiała, że jest gotów pobić, a może nawet zabić jej panią. Złapała zatem Trudi za ręce i pociągnęła ją w kierunku Lamperta.

— Opanujcie gniew, pani. Błagam! Inaczej wszystkich nas zabiją. Trudi ściągnęła brwi i westchnęła, gdyż lewe oko okropnie ją zapiekło.

Zaczęło już puchnąć i wiedziała, że w najbliższym czasie będzie miała wokół niego wielki fioletowy siniec. Tylko obawa przed dalszym pobiciem i utratą przytomności powstrzymywała ją przed ponownym atakiem na Stammberga. Z trudem hamując wściekłość, pomogła Ucie przełożyć Lamperta przez siodło i dosiadła swej klaczy. Żałowała, że nie wzięła przykładu z opowieści Hiltrud i nie ukryła pod ubraniem sztyletu, jak czyniła to koźlarka i Maria w czasach wielkiego niebezpieczeństwa. Lecz nigdy nie przeszło jej nawet przez myśl, że mogłaby znaleźć się w sytuacji, w której potrzebowałyby sekretnej broni.

Dwaj rycerze popędzili Utę w stronę konia, kazali jej wsiąść i odebrawszy jej cugle, zaczęli prowadzić konie obok siebie. Jednocześnie chełpili się łatwością, z jaką udało im się splatać podróznym figła, i natrzęsali się ze swych ofiar.

— Mówiłem ci przecież, że nasz los odmieni się w Altötting — przypomniał Hohenwiesen.

— Początkowo nie wyglądało na to. Gdyby nie ratunek ze skarbonki w kaplicy, karczmarz do tej pory trzymałby nasze konie — odparł

Stammberg ze śmiechem.

Jego kompan zachichotał.

— Wierni mogli spokojnie jeszcze coś dorzucić, a tak ledwo starczyło nam na zapłacenie w gospodzie i wykupienie zastawu. Ale od dziś będzie nam się lepiej powodzić! Zapewni nam to nieźle wypchana sakiewka podróżna panienki.

Trudi o mało nie roześmiała się na głos. Hohenwiesen trzymał właśnie w dłoni jej jedyną, niezbyt zasobną podróżną kiesę, którą wcześniej obrzucił wzgardliwymi uwagami. W jej bagażu nie znajdzie więcej niż kilka pojedynczych monet.

11.

Wkrótce droga zrobiła się tak wąska, że konie musiały iść jeden za drugim. Po obu stronach otaczały jeźdźców prawie pionowe skalne ściany, a do tego co jakiś czas spadały na nich duże kawały śniegu. Melchior von Hohenwiesen zlorzeczył Bogu, zaś humor jego kompana zdawał się poprawiać.

— Niedługo dotrzemy na miejsce, mój drogi. Będziemy mogli sobie pofolgować.

— Miejmy nadzieję, bo inaczej nasze konie utoną po brzuchy w śniegu i nie ruszymy ni w przód, ni do tyłu — mruknął Hohenwiesen.

— To prawda, droga do zamku nie jest łatwa. Za to nie trafiają się tam raczej nieproszeni goście. Nie ma strachu, już niedaleko. Musimy pokonać jeszcze tylko to jedno wzniesienie. — Stammberg wskazał na widoczne przed nimi mocno oblodzone zbocze.

Jego towarzysz zamruczał rozdrażniony.

— Będziemy musieli zsiąść i prowadzić konie.

— Nasi goście pójdą przodem. — Stammberg wyciągnął miecz. — Zsiadać z chabet, ale już!

Tymczasem Lampert ocknął się z omdlenia, choć nadal czuł się jeszcze zamroczony. Zobaczywszy ostrze, natychmiast posłuchał rozkazu. Uta jęknęła i zsunęła się z siodła, zaś Trudi odczekała, aż rycerz podniesie miecz, by uderzyć ją płazem i w ostatniej chwili ześlizgnęła się na ziemię. Każdy pochwycił cugle swego konia. Pomimo tego ucieczka była niemożliwa, albowiem rabusie pędzili swych więźniów przed sobą jak stadko owiec.

W pewnej chwili przepełniona gniewem Trudi zatrzymała się i ustawiła swego konia w poprzek drogi, tarasując ją. Stammberg splunął i wskazał mieczem na klacz.

— Podoba mi się ten koń, lecz jeśli dalej będziesz taka uparta, zakłuję go w pierwszej kolejności. Więc naprzód, albo...

Trudi zrozumiała, że jest zdolny zabić jej klacz i dała spokój. Poglaskała zdenerwowane zwierzę i przemówiła doń po cichu.

— Chodź, Nawałnico, musimy ruszać.

Wspinaczka szła ciężko, ponieważ szlak był nieprzetarty i co chwila ktoś się przewracał na śliskim podłożu. Gdy wreszcie osiągnęli najwyższy punkt wzniesienia, zobaczyli przed sobą niewielką, wąską dolinę, w której nie zmieściłby się nawet nieduży folwark. Otaczające dolinę góry strzelały prosto w niebo, a ich szczyty ginęły w gęstych chmurach. Mniej więcej w połowie wysokości ściany przeciwległej skały zauważyła otwór, jakby olbrzymią gardziel pochłaniającą znajdujący się obok mur.

Dopiero po dokładnym przyjrzeniu się Trudi zrozumiała, że oto ma przed sobą wbudowany w skalną pieczarę zamek, do którego dostać się można jedynie wąską ścieżką. Wróg, który zdecydowałby się na oblężenie warowni, powinien żywić nadzieję, że nie prowadzi do niej żadne inne wejście, przez które jej mieszkańcy mogliby uzupełniać zapasy. Zamek można było bowiem wziąć jedynie głodem, zaś bez zgody jego mieszkańców dostać się doń mogły tylko ptaki.

Stammberg rzucił przyjacielowi pytające spojrzenie.

— No i jak? Za dużo obiecałem? Tutaj przesiedzimy na tyłkach zimą, a wiosną zbierzemy gromadkę dzielnych chwatów, z którymi będziemy mogli zdjąć z ramion tych pierników ciężar ich bogactwa.

— Zamek wygląda na opuszczony — zaniepokoił się Hohenwiesen. Stammberg wzruszył ramionami.

— Dwa lata temu musiałem się stąd dość szybko zwinąć i poszukać utrzymania gdzie indziej.

— Co z zapasami? Nie mam zamiaru umrzeć z głodu w tych górach. — Wyglądało na to, że Hohenwiesen najchętniej zawróciłby konie i podążył z powrotem drogą, którą tu przybyli.

Kompan wyśmiał jego wątpliwości.

— Myślisz, że nie poczyniłem przygotowań na wypadek, gdyby przyszło mi tu wrócić? W najniższej piwnicy pod piachem kazałem zakopać beczki z winem, mąką, peklowanym mięsem i innymi rzeczami. Doliczając dziczyznę, którą możemy tu złowić, wraz z naszymi gośćmi możemy żyć jak książęta.

Stammberg z szyderczym uśmiechem wskazał na Utę i Lamperta.

— My dwaj nie ruszymy nawet palcem, a tamci będą nam wybornie posługiwać. Do tego dziewczka przyda się i do innych rzeczy — dodał z dwuznacznym uśmieszkiem, poruszając przy tym miednicą.

Uta zakryła dłońmi twarz.

— Tego nie wolno wam zrobić!

— Pewnie, że to zrobię i to porządnie! — Stammberg spróbował uszczyptać pierś dziewczyny, ale jego palce obsunęły się po płaszczu, którym się szczelnie owinęła.

W tym samym momencie Lampert krzyknął i rzucił się na mężczyznę. Jednakże rycerz zręcznie się uchylił, podstawiając mu nogę, zaś pacholek, straciwszy równowagę, upadł bezwładnie prosto w śnieg. Stammberg ze śmiechem postawił stopę na jego karku i wgniół jego głowę w biały puch.

Lampert zaczął rozpaczliwie machać rękami i nogami, lecz rycerz tak długo wciskał go w zaspę, aż jego ruchy osłabły. Wówczas cofnął się o krok i wymierzył na wpół uduszonemu pacholekowi solidnego kopniaka.

— Następnym razem nie będę tak wyrozumiały — zagroził i rozkazał swym więźniom ruszać w kierunku widniejącego w górze zamku.

Obaj mężczyźni pędzili swe ofiary tak sprytnie przed sobą, że nie było najmniejszej szansy na ucieczkę. Najwidoczniej Trudi i jej towarzysze nie byli pierwszymi uprowadzonymi przez nich podróżnymi i dziewczyna pojęła, że padli ofiarą podłych rabusiów, którzy nie mieli już nic do stracenia. Teraz zaś nabrali nadziei na lepszą przyszłość.

Pograżona w rozmyślaniach Trudi czyniła sobie olbrzymie wyrzuty i nie zauważyła nawet, jak dotarli do zamku. W pamięci utkwiał jej jedynie szczypiący wiatr, omiatający skalną ścianę.

Wejście było zasypane śniegiem na wysokość człowieka i

Stammberg zmusił całą trójkę do odsnieżenia drogi gołymi rękami, co z trudem im się udało. Ręce Trudi były zupełnie zgrabiałe i wraz z Utą rozpląkały się z wyczerpania.

Jak tylko oczyścili wejście, Stammberg wyciągnął z juku stary klucz, przypominający prymitywnie wygięty hak, i spróbował przekreślić go w zamku, który okazał się zamrożony. Mężczyzna przez jakiś czas manipulował kluczem, aż wreszcie udało mu się poluzować i odsunąć rygiel.

— Widzisz, miałem rację — odezwał się do swego towarzysza. — Od mojego wyjazdu nikt tu nie zaglądał!

Zadowolony sięgnął po wiszącą w niszy pochodnię i rozpałił ją przy pomocy leżącego obok krzemienia, kawałka żelaza i hubki.

Kolejna brama prowadziła do stajni, przygotowanej na przyjęcie dwóch tuzinów koni. W kącie leżała złożona słoma i siano. Po uchyleniu wieka skrzyni z obrokiem, Stammberg zauważył, iż owies został w większości pożarty przez myszy, które zostawiły jedynie trochę łupin.

— W piwnicy powinna być jeszcze beczka obroku. Chłopak jutro wyczyści skrzynię i przyniesie z dołu świeży owies. Ale teraz rozpali ogień w kuchni, by dziewczka mogła uwarzyć strawę. Niech weźmie zdobyte po drodze zapasy. — Zarządził, mając na myśli mięso i chleb, które wraz ze swym kompanem ukradł ze spiżarni gospodarzy udzielających im w podróży gościny. Ich ilość była wystarczająca do wyżywienia całej piątki przez kilka dni.

Następnie zarządził, że na razie zamieszkają w kuchni, albowiem obok znajdowało się pomieszczenie, które można było zamknąć od zewnątrz.

Lampertowi, pozostającemu pod ostrym nadzorem, kazano najpierw oporządzić konie, później przynieść trochę siana do izby, w której zamierzali zamknąć Trudi.

Na razie porywacze pozwolili jej usiąść w kuchni, by mogła rozgrzać się przy ogniu.

Jak tylko Lampert wykonał polecenia, mężczyźni kazali mu położyć się na podłodze. Podczas gdy Stammberg przyłożywszy ostrze miecza do jego szyi, trzymał chłopaka w szachu, drugi rabuś założył mu żelazną obejmę wokół prawej kostki, zamykając ją dwoma nitami, i następnie przymocował doń krótki łańcuch zakończony stalową kulą. Następnie pozwolili mu wstać. Chodząc, Lampert musiał teraz podtrzymywać w dłoni kulę lub też ciągnąć ją za sobą.

— Tym się już zaopiekowaliśmy — zakpił Stammberg, zabawiając się poganianiem chłopaka płaską stroną miecza. Chwilę później przeniósł swą uwagę na Utę, która zdążyła właśnie wypolerować wiszący nad paleniskiem kocioł i zabrała się do gotowania zawieszistej zupy z wody, mąki, drobno posiekanego mięsa i pokrojonej w plastry brukwi.

— Tym może zająć się twoja pani, ty masz co innego do roboty!

— Nie! — wykrzyknęła z przerażeniem, lecz ujrawszy wycelowane w swą pierś ostrze miecza, zaczęła wolno zdejmować z siebie ubranie.

Lampert krzyknął i poderwał do góry żelazną kulę, by uderzyć nią Stammberga, lecz Hohenwiesen z sarkastycznym uśmiechem przyłożył miecz do jego brzucha.

— Na twoim miejscu nie robiłbym tego. W przeciwnym razie będziemy musieli się zastanowić, czy zostawić cię przy życiu. Obie kobiety z pewnością poradzą sobie same.

Dygotając z gniewu Lampert odłożył kulę i stanął z zaciśniętymi

pięściami.

Również Trudi musiała bezbronnie patrzeć, jak Stammberg ciągnie jej służącą na stertę słomy, która miała służyć rycerzom za łożo, i brutalnie zmusza ją, by się położyła. Widząc, jak rozpina spodnie i rzuca się na Utę, Trudi odwróciła wzrok i ze łzami w oczach zabrała się do siekania reszty brukwi. Jednocześnie wyobrażała sobie, jak wbija nóż w brzuch dręczyciela. Tymczasem Hohenwiesen z obnażonym mieczem ustawił się pomiędzy nią a swym kompanem, omiatając wzrokiem na przemian więźniów i Stammberga.

W końcu rozkazał Lampertowi przynieść i opróżnić torby podróżne Trudi. Widząc, że nie ma w nich nic poza kilkoma sztukami odzieży na zmianę, przystąpił do Trudi i począł szarpać ją za włosy.

— Gdzie ukryłaś pieniądze?

Dziewczyna uniosła nóż i zamierzyła się nim na Hohenwiesena, lecz trafiła tylko w gruby, skórzany pas, po którym tępe ostrze noża zsunęło się, nie wyrządzając żadnej szkody. Zanim spróbowała ponownie, rycerz lewą ręką wytrącił jej broń, zaś prawą wymierzył siarczysty policzek i rzucił półprzytomną dziewczynę na podłogę.

Z wykrzywioną twarzą spojrzął z góry na swą ofiarę i obnażył zęby w szyderczym uśmiechu.

— Skoro nie masz przy sobie pieniędzy, to twoja matka będzie musiała opróżnić kufarki, jeśli zechce dostać cię z powrotem całą i zdrową. A teraz jazda do kotła!

Zaczynam być głodny.

Z trudem dzwignęła się, by ustać, podniosła nóż i pokroiła jeszcze kilka brukwi.

Przygotowując posiłek, marzyła, by choć na chwilę ogłuchnąć. Nie mogła znieść jęków i przekleństw dręczonej Uty, błagającej rycerza o odrobinę litości.

Nawet odwrócona do nich tyłem miała wrażenie, że wszystko dzieje się tuż przed nią, zaś wyobrażenia nasuwała jej sceny jeszcze koszmarniejsze od tych, które rozgrywały się za jej plecami. Jednocześnie czuła, że kompan Stammberga dosłownie rozbiera ją wzrokiem. Na razie Hohenwiesen zostawił ją w spokoju, lecz zima dopiero się zaczęła i Trudi była pewna, że ci dranie stracą z czasem wszelkie zahamowania. Pomimo to własny los nie wydawał jej się tak straszny, jak to, co czekało jej matkę. Teraz przysporzyła jej właśnie takich trosk, jakich za wszelką cenę chciała uniknąć. Uświadomiwszy to sobie, poczuła, że chce natychmiast umrzeć.

12.

Peter von Eichenloh przyglądał się siedzącemu naprzeciwko niego królowi, otulonemu ciepłym futrzanym płaszczem. Głowę z wyraźnie zarysowanym nosem oparł na prawym ręku, zastanawiając się, jakiej odpowiedzi powinien udzielić Fryderykowi. Zimowa wyprawa była niebezpiecznym przedsięwzięciem, nawet wtedy, gdyby można ją było starannie przygotować. Natarcie na twierdzę przy mocno ograniczonych środkach, bez dział i maszyn oblężniczych wydało mu się wszak czystym szaleństwem. Z drugiej jednak strony pojmował zamiary króla.

Twierdza, o którą toczyła się walka, pozwalała na kontrolę nad ważną górską przełęczą i Fryderyk nie mógł dopuścić do tego, by do wiosny pozostała w rękach jego brata oraz najgorszego rywala, austriackiego księcia Albrechta.

— Zatem myślicie, że dacie radę, Eichenloh? — Głos króla Fryderyka zabrzmiał tak cicho, jakby obawiał się każdego wypowiedzianego słowa. W głębi serca przygotowany był na odmowną odpowiedź. Chcąc zostawić dowódcy żołnierzy czas do namysłu, Fryderyk spoglądał na rozpościerające się za otwartym oknem szczyty, które o tej porze roku okalały Graz niczym śnieżnobiały wieniec.

Niemniej Eichenloh wiedział, iż koronowanej głowie nie wolno pozwalać na czekanie, i lekko się skłonił.

— Gdyby udało nam się przeprowadzić niespodziewany atak jeszcze w tym roku, pozbylibyśmy się wielu problemów, wasza królewska mość. Ludzie, których wasz brat wysłał do Teiflachu mogą do końca zimy rozbudować i umocnić zamek. Wtedy musielibyście pozostawić go księciu Albrechtowi, albo podjąć oblężenie przy pomocy silnych oddziałów.

Wiedział, że Fryderyk von Habsburg nie dysponował ani silną armią, ani wystarczającą ilością maszyn oblężniczych, które pozwoliłyby na zdobycie górskiej twierdzy podobnej do Teinach. Wprawdzie król Fryderyk siedział na tronie jako trzeci potomek rodu o tym imieniu, jednakowoż środki, którymi dysponował na poparcie tytułu władzą, były żałośnie skąpe.

Rzadko zdarzało się, by monarcha wybrany na władcę królestwa wraz z berłem otrzymał tak mizerne wyposażenie. Fryderyk nie miał nawet nieograniczonego panowania we własnej części posiadłości habsburskich, bowiem szlachta i miasta kierowały doń nieustannie nowe, coraz bardziej zuchwałe żądania. Nie ponosił on jednak winy za ten stan rzeczy, albowiem zamieszki podsycane były przez jego młodszego brata, księcia Albrechta IV austriackiego. Ambitny książę czynił wszystko, by rozszerzyć swe wpływy i władzę kosztem Fryderyka. Zajęcie niewielkiej, lecz ważnej górskiej twierdzy Teiflach było tylko jedną z wielu akcji podejmowanych przez Albrechta w celu osłabienia władzy swego brata.

Po wysłuchaniu odpowiedzi junkra Eichenloha Fryderyk von Habsburg milczał przez chwilę, pozostawiając gościa własnym myślom. Następnie uniósł głowę i zmierzył rozmówcę pytającym spojrzeniem.

— Mógłbym powierzyć to zadanie jednemu ze swych styryjskich żołnierzy. Jednak nawet najwierniejsi z nich mają krewniaków, którzy służą memu bratu. Wystarczy jedno omyłkowe słowo, by ostrzeżono Albrechta, zaś ten wyśle do Teiflachu dość ludzi, żeby uniemożliwić odbicie zamku.

Sluchając słów króla, można by go wziąć za przynębionego, starego człowieka pomyślał Eichenloh zdezorientowany i ciekaw zarazem, jak Fryderyk III zamierza poradzić sobie z tą sytuacją.

— Oczywiście mogę po prostu zrezygnować z Teiflachu i innych ziem, a w dolinie mogę kazać wybudować nowy zamek chroniący przełęcz. Nie mniej ludzie Albrechta próbowaliby z góry przeszkadzać w budowie, a może nawet ją uniemożliwić, co nie przysporzyłoby mi w królestwie szacunku.

Przy tych słowach król nagle się odmienił i sprawiał teraz wrażenie tak zdecydowanego i wojowniczego, jakby zamierzał własną ręką powalić każdego, kto ważyłby się podać w wątpliwość jego władzę.

Eichenloh nie przebywał w Styrii dość długo, by móc ocenić Fryderyka. Mimo iż król nie przekroczył jeszcze trzydziestu lat, postępowanie jego było tak rozważne, jakby każdy krok był po trzykroć przemyślany. Był również wyśmienitym taktykiem. Pomysł, by obcemu powierzyć zadanie niespodziewanego, a jakże śmiałego odbicia zamku, odebranego mu przez brata i to w samym środku zimy, każdy już na samym

początku odrzuciłby jako niewykonalny.

Fryderyk zacisnął pięść, jakby chciał zgnieść niewidzialnego wroga.

— Brat mój, posługując się zdradą, zajął Teiflach tuż przed pierwszymi śniegami.

Lecz pogoda nie pozwoliła mu zapewne na dostarczenie do zamku dostatecznej ilości zapasów i obsadzenie w nim mocnego oddziału. Tak więc mógł tam zostawić najwyżej tuzin żołnierzy.

Eichenloh miał wrażenie, że król stara się przekonać go, że nie taki diabeł straszny...

A może Fryderyk próbował sam sobie dodać odwagi?

— Hu ludzi macie, Eichenloh?

— Ponad dwa tuziny, a dokładnie dwudziestu siedmiu.

— Mało. Dam wam jeszcze trzydziestu pieszych knechtów. Z tymi ludźmi powinniście dać radę. Nie możemy sobie pozwolić na fiasko. Niepowodzenie nie tylko ośmieliłoby moich wrogów, ale i mnie samego wystawiłoby na pośmiewisko całego królestwa. — Głos Fryderyka znów zabrzmiał tak, jakby z trudem starał się opanować gniew.

Był seniorem w domu Habsburgów i zgodnie z zasadami rodu miał prawo kierować młodszymi krewniakami. Tymczasem brat zazdrościł mu pozycji, a także kurateli nad nieletnim Ladislausem, spadkobiercą korony królewskiej Czech i Węgier, a także położonych w dolnej Austrii części posiadłości habsburskich.

Eichenloh najchętniej zaproponowałby królowi zebranie całej mocy rycerzy i pieszych knechtów, by raz na zawsze przywołać jego brata do porządku. Wiedział jednak, że do Fryderyka nie przemawiały tego typu propozycje. Tak szeroko zakrojone przedsięwzięcie kryło w sobie możliwość niepowodzenia, a co za tym idzie, również niebezpieczeństwo utraty tronu, królestwa i życia. Takiego ryzyka król nie zechciałby podjąć.

Dowódca spostrzegł, że myślami znów krąży wokół ogólnej sytuacji, zamiast radzić z Fryderykiem o tym, jak można by zdobyć twierdzę. Postanowił przedstawić królowi swój plan, lecz ten uniósł rękę.

— Sposób pozostawiam wam. Nawet tu mogą nas podsłuchać.

Eichenloh odebrał to jako wymówkę, by w razie czego można było potraktować go jako kozła ofiarnego. Król obarczył go pełną odpowiedzialnością za akcję, a w razie porażki umywa ręce na znak niewinności, jak Poncjusz Piłat. Pod pewnymi względami zamiast tego niezdecydowanego człowieka Eichenloh wolałby mieć przed sobą bardziej energicznego władcę, jednak porównując go z margrabią z Ansbachu, zachowującym się, jak drapieżne zwierzę w ataku, z westchnieniem stwierdził, że każdemu z nich przydałoby się odrobinę z charakteru tego drugiego.

Fryderykowi dobrze zrobiłaby dodatkowa dawka odwagi, zaś Hohenzollernowi odrobina Fryderykowej ostrożności.

Prędko jednak odsunął od siebie te myśli, ponieważ nadszedł już czas, by zając się przygotowaniem do zuchwałego najazdu na zamek. Należało tak się do tego zabrać, by nikt nie nabrał podejrzeń i nie ostrzegł przeciwnika. Eichenloh skłonił się królowi i poprosił o pozwolenie oddalenia się. Fryderyk skinął głową i pochylił się nad stołem listów, które tego dnia otrzymał. Z jego kwaśnej miny można było wnioskować, iż ich treść nie była przyjemna.

Na północnym zachodzie, w odległości kilku dni jazdy konnej od Grazu, książę Albrecht Austriacki, stojąc na wzniesieniu, lustrował umocnienia obronne zamku Teiflach. Z zadowoleniem stwierdził, że są w dobrym stanie i wytrzymają każdy atak, gdyby takowy miał nastąpić w zimie lub dopiero wiosną. Usatysfakcjonowany skinął głową i zwrócił się do dwóch towarzyszy, którzy wraz z nim wdrapali się na stromy, pokryty śniegiem stok.

— Ten zamek stanowi co prawda jedynie niewielką zadrę w sercu mojego brata, ale za to mocno go zakłuje.

Georg von Gressingen, który wraz z kilkoma innymi ludźmi został potajemnie wpuszczony do zamku przez zdrajcę i razem z nimi zaskoczył śpiącą obsadę, uśmiechnął się potakująco.

— Mości Fryderyk jest zapewne wściekły, że odbiliście twierdzę. Niebawem będzie miał jeszcze więcej powodów, by płakać nad swym losem.

— Mam nadzieję! — Albrecht wyszczerzył zęby, jakby już teraz miał zamiar skoczyć bratu do gardła. — Nie byłby pierwszym Habsburczykiem, który w sporze o dziedzictwo straci życie.

Książę nawiązał do swego imiennika, Albrechta, który jako drugi Habsburczyk zasiadł na niemieckim tronie i został zamordowany przez zazdrosnego siostrzeńca, Joana Parricida. Natomiast książę Albrecht nie zamierzał brudzić sobie rąk. Mieli to za niego zrobić dwaj ludzie, przysłani przez zaufanego Cypriana Pratzendorfera.

Skinął łaskawie obydwu mężczyznom.

— Wykonanie całego zadania składam w wasze ręce, moi panowie. Później sam udam się na przedgórze, by przywołać do porządku powstańczą hołotę.

Podczas gdy Gressingen zacierał ręce na myśl o czekającej go nagrodzie, Otto von Henneberg zrobił skwaszoną minę. Jego blizna zdążyła się już jako tako zagoić, nadawała mu jednak dziki wygląd, który przerażał niewiasty. Choć Gressingena uważał po części za winnego swego zeszczenia, to ucieszył się, że udało mu się spotkać na obczyźnie znajomego. Mimo to wolałby jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi, byle nie to, w którym się obecnie znalazł. Razem z junkrem Georgiem zdobyli Teiflach i w nagrodę stanęli w samym środku spisku, mającego na celu zamordowanie króla Fryderyka. Planowane przedsięwzięcie nie miało nic wspólnego z uczciwością czy honorem. Poczł się rozczarowany i poniżony. Z radością podążyłby za księciem Albrechtem w kierunku Renu i Jeziora Bodeńskiego, by walczyć ze Szwajcarami. Myśl o skrytobójczym mordzie była dlań odrażająca. W przeciwieństwie do Gressingena nie dał się zaślepić obiecany wynagrodzeniem, lecz zastanawiał się, jak wielką nienawiść Albrecht Austriacki musiał żywić do swego starszego brata, że zdecydował się odebrać mu nie tylko ziemię i tytuł, ale również życie.

Hrabia Otto zawsze dobrze rozumiał się ze swym bratem i nigdy nie dopuściłby się zabójstwa Magnusa, by jego kosztem powiększyć swe dziedzictwo. Najwidoczniej wielcy panowie rozumowali inaczej, niż ich biedni bliźni. Dla nich liczyła się wyłącznie władza, nawet za cenę rodzinnych więzów.

Wydawało się, że książę Albrecht wyczuł wahanie Ottona, bo jeszcze raz nawiązał do powodów swego osobliwego zlecenia, choć na samym początku ich rozmowy już je przedstawił.

— Fryderyk stanowi zagrożenie dla rodu Habsburgów. Odkąd został wybrany królem niemieckim, Władysław Jagiellończyk zdążył mu odebrać

Węgry, którymi zarządzał w imieniu nieletniego Ladislausa. Okazał się też Niezdolny do zabezpieczenia przed Georgiem von Podiebradem władzy w Czechach. To ogromna strata, z którą Habsburgowie się nie pogodzą.

Z którą ty się nie chcesz pogodzić — Otto von Henneberg poprawił księcia w myślach. Habsburgowi nie chodziło o opinię rodu, lecz chciał sam położyć rękę na Czechach, Węgrach, dolnej Austrii i pozostałych terenach, które Ladislaus, wnuk cesarza Sigismunda, otrzymał w dziedzictwie. A jeszcze bardziej chodziło mu o koronę Królestwa Niemieckiego, której księżę Albrecht zazdrościł swemu bratu, a która po śmierci tegoż przeszłaby, jak mniemał, na niego.

Otto przyglądał się uważnie księciu, który w swym ciepłym futrzanym płaszczu sprawiał wrażenie szykującego się do skoku drapieżnika. Jego twarz była wąska i jeszcze młodzieńcza, ale w niebieskich oczach płonął trawiący ogień, zaś jego dłonie niemal przy każdym słowie zaciskały się w pięści. Myśl o tym, że ten człowiek któregoś dnia mógłby zostać królem, była bardziej odpychająca niż pożądana. Hrabia zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście był gotów zabić Fryderyka, by jego brat mógł zasiąść na tronie.

Gressingen wyczuł, że sytuacja nie spodobała się Hennebergowi. Najwidoczniej toczył on walkę z własnym sumieniem. Najchętniej wyśmiałby go, lecz w obecności księcia musiał odmówić sobie tej przyjemności. Albrecht Austriacki nie mógł się dowiedzieć, że hrabia Otto zbiegł z kraju, by uniknąć zemsty za morderstwo, którego nigdy nie popełnił. Co powiedziałoby to hrabiątko, gdyby wiedziało, że morderca Michała Adlera właśnie przed nim stoi?

Henneberg nie mógł przecież odmówić wykonania powierzonej misji, bowiem księżę Albrecht żadnego wtajemniczonego nie zostawiłby przy życiu.

Gressingen odchrząknął.

— Dotarcie do Fryderyka nie będzie łatwe — odezwał się. A w ostatnim momencie ugryzł się w język, by nie powiedzieć „do waszego brata”. Nie miało sensu przypominanie Albrechtowi o bliskim pokrewieństwie łączącym go z jego zaciekłym wrogiem.

Dla niego król był obcą osobą, a więc tak samo dobrą ofiarą, jak każdy. Nie, nie do końca, pomyślał i poczuł, jak krew zaczyna żywiej krążyć w jego żyłach. Wkrótce jego sztylet zdecyduje o dalszych losach królestwa. Zabił Michała Adlera, ponieważ ten chciał przyprzeć go do muru. To była decyzja chwili. Od tamtego momentu Gressingen czuł potęgę, którą dawało mu noszone u boku dziesięciocalowe ostrze.

Wszak teraz śmiał się już na wspomnienie obawy, trzymającej go w karchach po zabójstwie Michała Adlera. W tamtym czasie omal nie zajechał na śmierć swego rumaka przerażony, iż zorientują się, że to on jest mordercą, i wyruszą w pogoń. Dziś czuł się już pewnie i miał dość śmiałości, by odważyć się na wszystko.

Sztylet pomoże mu wspiąć się na szczyty, o jakich w ojczyźnie mógłby tylko marzyć. Hrabiowski tytuł, który Otto von Henneberg, nie dysponując niezbędnymi przy tej pozycji umiejętnościami, nosił od urodzenia, to minimum tego, czego może się spodziewać od Albrechta von Habsburga.

— Zakładam, że nie brak wam odwagi do tego czynu, moi panowie!

Uwaga księcia wyrwała Gressingena z przyjemnego zamyślenia.

— Z całą pewnością nie, wasza księżęca mość. To zadanie wymaga

nie tylko odwagi.

Nie może zabraknąć również sprytu, wyobraźni i rozwagi. Gdy wraz z moim przyjacielem uwolnimy was od króla Fryderyka, będziemy musieli ująć jego osobistej ochronie, która będzie chciała posiekać nas na kawałki.

— Zamiar godny pochwały. — Książę Albrecht wykrzywił twarz w grymasie przypominającym uśmiech. Mimo to w duszy nazwał Gressingena tchórzem. Ten człowiek w rzeczy samej nadawał się tylko na skrytobójcę. Ale jego charakter był księciu zasadniczo obojętny dopóty, dopóki torował mu drogę na szczyty rodu Habsburgów i królestwa. Jeśli Gressingenowi i jego kompanowi rzeczywiście udałoby się ująć z życiem, wówczas musiałby się dobrze zastanowić, co z nimi dalej począć.

— Do końca zimy macie czas na zaplanowanie tego przedsięwzięcia. Ważne, by nikt nie nabrał podejrzeń albo nie powiązał was ze mną. Dlatego do wiosny pozostaniecie w Teiflachu. Zostawię wam pół tuzina pieszych knechtów. Z ich pomocą będziecie mogli utrzymać zamek, nawet jeśli któryś z wasali mego brata okazałby się tak szalony, by ważyć się na atak o tej porze roku.

Książę Albrecht jeszcze raz ogarnął krótkim spojrzeniem obu mężczyzn, których wtajemniczył w swój plan, następnie skierował się na dół. Po kilku krokach poślizgnął się na wydeptanym śniegu i o mało nie runął w przepaść. Uratował go Otto von Henneberg, który w ostatniej chwili zdążył go pochwycić.

— Dziękuję wam! — Książę Albrecht podarował Hennebergowi przychylnie spojrzenie i zastanowił się, czy nie popełnił błędu, oddając Gressingenowi dowodzenie akcją.

Jego zaufany Pratzendorfer przedstawił hrabiego Ottona jako młodego, nierozważnego rycerza, zaś Gressingenowi przypisał zimną krew. Książę z irytacją machnął ręką, odsuwając od siebie te wątpliwości.

Najważniejsze, by odnieśli sukces. On sam musi zadbać tylko o to, by nikt nie powiązał go z tą sprawą. Jego brat miał dość wrogów czyhających na jego życie i każdy z nich mógł nasłać nań tych skrytobójców. Z tego też powodu nie zlecił zamachu żadnemu ze swych ludzi, lecz zdał się na Pratzendorfera, luóry oficjalnie pozostawał wprawdzie w służbie papieża Eugeniusza, potajemnie jednak pracował dla niego.

Bardzo z siebie zadowolony książę wszedł do zamku i zajął miejsce w skromnej sali.

Na ścianach nie było nic oprócz kilku sztuk starej broni, zaś siół, przy którym miejsca wystarczyłoby najwyżej dla dwudziestu osób, nosił ślady korników. W piwnicznej spiżarni znajdowały się tylko resztki zapasów, jako że Fryderyk kilkakrotnie przekładał termin zimowego zaopatrzenia. Był to jeden z powodów, dla których ktoś z członków obsady twierdzy pomógł w jej przejściu. Tymczasem księciu udało się dostarczyć jedynie kilka zaprzężonych w muły wozów żywności.

Musiały one wystarczyć do wyżywienia dwóch rycerzy, sześciu wojowników i trzech parobków.

CZEŚĆ SZÓSTA

Król

1.

Trudi czuła się tak, jakby życie przed porwaniem nie istniało. Nawet matka i siostry wydawały jej się postaciami z odległego snu. Miała wrażenie, jakby pół życia spędziła zamknięta w tym ciemnym, zimnym lochu, do

którego nie przenikał nawet blask kuchennego ognia.

Rabusie nie pozostawili pochodni ani nawet lampy łożowej i w swej celi mogła się poruszać tylko po omacku. Było to doświadczenie upokarzające, szczególnie w chwilach, gdy szukała wiadra, służącego do załatwiania koniecznej potrzeby. Nie dostawała dość wody, by móc się umyć i śmierdziała teraz tak, że sama do siebie czuła odrazę. Gdy dostawała owsiankę, a czasem kawałek starego, zjełczałego, peklowanego mięsa, musiała jeść brudnymi rękami, przed czym zawsze przestrzegała ją matka i koźlarka. W swej długiej podróży często widywały ludzi chorujących z braku higieny i ogarniał ją strach na myśl o tym, że musi leżeć we własnym brudzie na gnijącej słomie. Tymczasem wiodło jej się znacznie lepiej niż jej towarzyszom.

Uta i Lampert mieli wprawdzie nieco więcej swobody ruchu niż ich pani, lecz porywacze bezustannie się nad nimi pastwili. Gdy Stammberg i Hohenwiesen opuszczali twierdzę i wyruszali na polowanie, służących skuwali w kuchni łańcuchami lub boleśnie wiązali, nie pozostawiając cienia nadziei na ucieczkę.

Oprócz własnych obaw Trudi cierpiała dodatkowo, gdy mężczyźni rzucali się na Utę i do lochu docierały jej krzyki. A że w odciętej od świata zewnętrznego warowni łotry nie miały nic innego do roboty, dzbanami wlewali w siebie wino, którego bogate zapasy znajdowały się w piwnicach zamku. Alkohol zwalniał wszelkie hamulce i zmieniał obydwu mężczyzn w zwierzęta.

Nie, nie w zwierzęta — poprawiała się Trudi. Zwierzęta nie były z natury okrutne.

Zaś porywacze wymyślali codziennie nowe nikczemne podłości, którymi upokarzali Utę. A jako że bezwstydnie rozmawiali o tym, co jej robili, Trudi słyszała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami i nie wiedziała, jak spojrzeć kiedyś służącej w oczy.

Wstyd jej było także przed Lampertem, który, sądząc ze strzępków słów docierających do jej więzienia, ciągle próbował stanąć w obronie Uty. Za karę nikczemnicy bili go, chłostali i związywali w bolesny sposób. Oprócz tego co jakiś czas grozili, że go zabiją, nie czynili tego jednak, ponieważ sami musieliby wykonywać prace, do których zmuszali parobka.

Dotychczas dranie oszczędzili Trudi, choć ciągle w obrzydliwych słowach opisywali jej, co z nią uczynią, jeśli nie dostaną okupu. Trudi czuła, że łotry nie utrzymają się raczej w ryzach do końca zimy. Z tego powodu każdy odgłos dochodzący zza drzwi budził w niej trwogę, że oto nadszedł czas, gdy wreszcie wtargną do środka i zgwałcą ją tak samo jak Utę. Zamknięta w całkowitej ciemności zlorzeczyła sama sobie, że zdecydowała się na tę tragiczną w skutkach podróż, i jedynym ratunkiem dla siebie i swych towarzyszy wydała jej się śmierć.

Gdyby miała jakiś ostry przedmiot, dawno już przecięłaby sobie tętnice. Poza tym kilkakrotnie już przeszukała po omacku całe pomieszczenie w poszukiwaniu miejsca, o które mogłaby zaczepić zwinięty z koszuli stryczek. Ale nie było tam żadnej belki, uchwytu na pochodnie ani nic, do czego można by było przymocować pętlę. Próbowwała nawet sama się udusić przy pomocy obróbka oderwanego od halki, lecz tylko zemdląła, a po przebudzeniu strasznie bolała ją szyja.

Później uświadomiła sobie, że śmierć byłaby tylko ucieczką od odpowiedzialności, przynajmniej tak długo, jak Uta i Lampert jeszcze żyli. Dlatego jeszcze intensywniej zaczęła poszukiwać możliwości ucieczki. Ale

nie przychodził jej do głowy nawet cień pomysłu.

Jak to często bywało, teraz też usłyszała przez drzwi głośny, szyderczy śmiech Stammberga, tak wyraźny, jakby szubrawiec stał pośrodku jej celi. Wyrwana z zamyślenia poczuła, jak włosy na karku stają jej dęba. W pijackim zamroczeniu mężczyzna zachowywał się tak obrzydliwie, że w królestwie zwierząt nie dałoby się znaleźć nic, do czego można by go przyrównać. Teraz znów ryczał, aż drżały framugi.

— Posłuchasz wreszcie? Będiesz robić, jak każę, inaczej połamię ci żebra!

— Na Boga, nie! Za to się idzie do piekła! — zawołała Uta i za chwilę dał się słyszeć jej krzyk. Gwałtowne klaśnięcie zdradziło Trudi, że Stammberg okłada służącą kijem.

— Nikczemni dranie! Powinno się was zatłuc jak wściekłe psy! — Głos Lamperta brzmiał matowo, jakby pacholek był u kresu sił. Pomimo tego próbował odwrócić uwagę zbirów od Uty. Po jego słowach dobiegł do niej odgłos mocnego ciosu, a następnie tępego uderzenia.

— Teraz go zabili — wyszeptala Trudi.

Słyszała już tylko Stammberga, bijącego Utę i obrzucającego ją obelgami. Dziewka darła się wniebogłosy, jakby nadzieвано ją na pal, a Trudi zrozumiała, że mężczyźni chodzi nie tylko o to, by posłużyć się jej ciałem. Dręczenie jej sprawiało mu przyjemność.

— Do diabła, pospiesz się! Weź wreszcie tę głupią dziewczkę! Nie mam zamiaru wiecznie czekać.

W przeciwieństwie do swego kompana Hohenwiesen myślał raczej kategoriami buhaja. Chodziło mu o to, żeby położyć się na służebnej i ją popychać, dopóki ze zmęczenia zabraknie mu sił. Perwersje Stammberga raczej go nie pociągały. Z tego powodu wielokrotnie wybuchały między nimi gwałtowne kłótnie.

— Poczekaj, aż skończę z tą dziewczką! — odwarknął Stammberg i wymierzył Ucie wyjątkowo mocny cios.

— Jak ją zatłuczysz, to obaj nie będziemy już mieli z niej pożytku! — Hohenwiesen spróbował odciągnąć swego kompana od Uty, ale ten go odepchnął i zagroził mu kijem.

— Nie przeszkadzaj. Jeśli chodzi ci tylko o parzenie, to możesz wziąć drugą dziewczkę. Jej matka chyba nie oczekuje, że wróci niepokalana? Hohenwiesen oblizwał wargi.

— Ta mała i tak jest nam coś winna. To, co przy sobie miała, nie było warte zachodu.

A przecież za jej pieniądze mieliśmy zgromadzić dzielną drużynę.

— Nie martw się, pieniądze jeszcze dostaniemy. Od matki. Jak tylko drogi znów zrobią się przejezdne, sprowadzę kilku dawnych towarzyszy, którzy ci pomogą pilnować więźniów. Sam wyruszę w drogę do matki tej małej. Wierz mi, zapłaci za swojego skarbeńka, odda nam wszystko, co ma.

— Całkowicie się mylisz.

Trudi wypuściła cichutko powietrze, by nikt z zewnątrz nie mógł jej usłyszeć.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że matka prędzej sprzedałaby ostatnią koszulę, niż zostawiła ją w potrzebie. W tej chwili usłyszała zbliżające się kroki. Serce skoczyło jej do gardła. Oto nadeszła chwila, której się najbardziej obawiała. Podczas gdy Hohenwiesen dobijał się do drzwi, próbując poluzować zardzewiałe rygle, Trudi odsunęła się w najdalszy kąt pomieszczenia, szukając dłońmi bezskutecznie czegoś, co mogłoby posłużyć

jej do obrony. Tymczasem poza zbutwiałą słomą z jej posłania i wiadrem na nieczystości nie było w pomieszczeniu niczego.

Drzwi ustąpiły i w oświetlonym ogniem z paleniska prostokącie Trudi i ujrzała zarys postaci Hohenwiesena. Wpatrując się w ciemność, mężczyzna zamruczał i zawrócił w poszukiwaniu lampy. Trudi mimowolnie skierowała się ku podświetlonemu otworowi z nikłą nadzieją na znalezienie jakiegoś rozwiązania, ale na widok rycerzy rabusiów nagle osłupiała.

— Jest jeszcze wino? — zakrzyknął Stammberg.

— Dzban jest pusty — odpowiedział Hohenwiesen.

— Niech chłopak idzie do piwnicy i napełni go!

— To trzeba było nie okładać go po głowie ręką miecza.

Miejmy nadzieję, że jeszcze żyje, bo inaczej sami będziemy musieli wyrzucać gnój i karmić konie — zawołał, trącając nogą leżące ciało Lamperta.

Wydawało się, że wciąż nieprzytomny pacholek odczuł ból, bo westchnął.

— Jeszcze żyje — oświadczył zadowolony.

— No i co? Wina i tak nie przyniesie. No, idź do piwnicy i dolej trochę — nakazał Stammberg i z powrotem odwrócił się do Uty, która, pokryta nabiegłymi krwią pręgami, kuciała zwinęta u jego nóg.

— Teraz idę zabawić się z panienką. Wino może poczekać — prychnął rozzłoszczony Hohenwiesen.

— Nie dla mnie! — Stammberg wymierzył Ucie kolejny cios, następnie chwiejnie się odwrócił i sięgnął po dzban. Zanim opuścił kuchnię, jeszcze raz zwrócił się do dziewczki.

— Za chwilę wracam i będziemy się dalej bawić!

Trudi usłyszała, jak Stammberg, objijając się o ściany, zatacza się na schodach prowadzących do spiżarni położonej w głębi wydrążonych w skale piwnic. W myślach modliła się, by skręcił kark. Po chwili pojęła, że sytuacja jest wyjątkowo korzystna. Pijany rycerz z pewnością nie wróci zbyt szybko, więc Hohenwiesen został na jakiś czas sam.

Zebrawszy całą odwagę, oderwała się od framugi i weszła do kuchni. Na początku oslepił ją blask migoczącego w palenisku ognia, jednak jej oczy przyzwyczyały się szybko do światła. Zorientowała się, że na pomoc ze strony Lamperta i Uty nie ma co liczyć. Zakrwawiony, nieprzytomny pacholek leżał w jednym kącie pomieszczenia, zaś w drugim siedziała w kucki skulona dziewczyna, szlochając i drżąc na całym ciele. Mimo to nie miała zamiaru bezczynnie poddać się dręczycielom.

Hohenwiesen patrzył na nią, szczerząc zęby. Był bowiem pewien, że zamknięcie w ciemnej komorze złamało jej wolę. Zamierzała to wykorzystać.

— Chodź tu — rozkazał, wyciągając rękę.

Trudi posłusznie podeszła i nie cofnęła się nawet w chwili, gdy dotknął jej twarzy i niezbyt delikatnie ją pogłaskał. Następnie jego palce powędrowały szybko w dół i zatrzymały się na piersiach.

— Podobasz mi się, mała. Chodź, rozbieraj się. A może mam cię kijem nauczyć posłuszeństwa?

Trudi uniosła błagalnie ręce.

— Błagam, oszczędźcie mnie, panie! Sprawicie mi wielki ból.

— Bzdura! Od tego nikt jeszcze nie umarł. — Hohenwiesen chwycił silniej i szarpnął jej ubranie.

— Ostrożnie, jeszcze porwiecie! — zawołała dziewczyna.

Rycerz szerzej wyszczerzył zęby. *Baby są wszystkie jednakie* — pomyślał. — *Chodzi im tylko o szaty i błyskotki. Honor niewiele dla nich znaczy.* Poluzował uchwyt i objął Trudi roziskrzonym spojrzeniem.

— Pospiesz się z rozbieraniem!

Trudi zorientowała się, że do powrotu Stammberga z piwnicy pozostało jej już niewiele czasu i omiotła wzrokiem sztylet wiszący u boku rycerza. Raz już udało jej się zaskoczyć w ten sposób mężczyznę, dzięki czemu uniknęła gwałtu. Dlaczego teraz miałyby się nie powieść?

Lecz tym razem nie miała do czynienia z lekkomyślnym młodzianem, ale z mężczyzną doświadczonym w wielu walkach i bitkach. Hohenwiesen pojął zamiary dziewczyny i szyderczo wykrzywił twarz. Począł, aż Trudi zdejmie odzież, wyciągnął sztylet i przystawił ostrze do jej gardła.

— Żeby mnie przechytryć, musiałabyś dużo wcześniej wstać albo poszukać sobie mniej gadatliwej służącej. Opowiedziała nam, jak sobie poradziłaś z owym rycerzem w winnicy.

Brutalnym pociągnięciem zmusił ją, by położyła się na plecach.

— A teraz grzecznie rozłóż nogi!

Zdesperowana Trudi miała nadzieję, że uda jej się go przechytryć w chwili, gdy będzie rozpinał spodnie, niemniej rabuś posiadał doświadczenie również w tej kwestii. Uklęknął na udach dziewczyny, lewą ręką przyciskając ostrze do jej krtani, aż pokazała się czerwona kropla, zaś prawą rozsupłał zapięcie spodni.

Odwróciła głowę, by uniknąć widoku tej paskudnej rzeczy, która się z nich wyłoniła. Hohenwiesen był znacznie hojniej obdarzony od Gressingena, a tamtego dnia, mimo upojenia, czuła ból. Teraz będzie pewnie o wiele gorzej. Pomyślała o nieludzkich wrzaskach Uty i poprzysięgła sobie, iż swemu gwałcielowi nie da tej satysfakcji. Jednocześnie pomyślała o tym, co kiedyś opowiadała jej koźlarka. Kobieta, której czynią przemoc, musi być jak woda, zupełnie miękka i uległa. Jeśli będzie się kulić i ścisnąć czy może nawet bronić, zostanie zraniona i poczuje wielki ból.

Uta na pewno się spięła, i dlatego tak okropnie ją bolało. Z nią nie może tak być, jeśli tylko chce mieć cień nadziei na ucieczkę tym draniom. Spróbowała sobie przypomnieć, jak to było z Gressingenem. Wówczas wino sprawiło, iż jej ciało stało się całkowicie uległe, teraz musi to zrobić siłą swojej woli.

Hohenwiesen poczuł słabnący opór swej ofiary i zaśmiał się drwiąco.

— Chyba sama masz ochotę, co? Chcesz wiedzieć, jak to jest, gdy dosiądzie cię prawdziwy mężczyzna? Zaraz się przekonasz! — wysapał, chwycił Trudi za prawą rękę, przyciskając ją do ziemi, następnie cofnął ostrze, złapał ją za drugą rękę i oparł się nań. Jednocześnie trzymał broń w palcach tak, że nie była w stanie się uwolnić, by po nią sięgnąć.

— Gdyby jeszcze raz cię podkorciło, obedrę ze skóry — zagroził, cały ciężar swego ciała oparłszy na Trudi, która ledwo mogła poruszyć nogami, po czym spróbował wdrzeć się w nią. Jako że nie miał wolnej ręki, którą mógłby sobie pomóc, przeto nie od razu mu się udało.

Pomimo tego poczuła, jak coś mocno napiera na jej najwrażliwsze miejsce, a następnie niepowstrzymanie wciska się do środka. Na moment zeszywniała i spróbowała się przeciwstawić, lecz wnet pojęła, że w ten sposób może sobie sama zaszkodzić, po czym dała spokój.

Parę chwil trwało, zanim członek mężczyzny całkowicie w nią wszedł, uderzając, jakby miał rozłupać ją na dwie części. Dziwnym trafem

nie poczuła bólu, właściwie nic nie czuła. Było tak, jakby jej podbrzusze należało do innej kobiety, a nie do niej.

Walczyła tylko o to, by zaczerpnąć wystarczającą ilość powietrza i nie przegapić okazji, która mogłaby jej przynieść ratunek.

Hohenwiesen zaczął poruszać miednicą w tę i z powrotem. Jego stękanie stawało się coraz głośniejsze, pchnięcia szybsze i mocniejsze, a ręce ścisnęły palce Trudi z taką siłą, jakby miał zamiar je połamać.

Zrozumiała, że będzie musiała znieść łotra do samego końca i postanowiła zamknąć oczy, by nie widzieć jego odrażającej, czerwonej i wykrzywionej z pożądania twarzy. Naraz za jego plecami zauważyła nieznaczny ruch. Początkowo myślała, że wrócił Stammberg, który odczekawszy, aż jego kompan skończy, zaraz się za nią zabierze. Tymczasem postać była naga i miała dwie naznaczone sińcami piersi. Jej ciało gęsto pokrywały czerwone pręgi, zaś w oczach widać było odrazę, strach i nienawiść.

Na widok gwałtu Uta z trudem dźwignęła się na nogi. Dreszcz przeszył jej ciało, wyciągnęła rękę i złapała żelazny pogrzebacz leżący na ławie obok pieca. Zbliżyła się i powoli, jakby z wahaniem, uniosła go do góry.

Bij, uderz wreszcie! — po cichu zaklinała Trudi swą dziewczkę służebną.

— Zaraz skończę — wystękał Hohenwiesen. Jednak zanim doszedł do spełnienia, pogrzebacz wylądował ze świstem na jego potylicy. Rycerz szeroko otworzył oczy, rozdziawił usta i w tej pozycji znieruchomiał jak kłoda na Trudi, która nie miała dość siły, by się spod niego wydostać.

— Musisz mi pomóc — poprosiła znieruchomiałą, wpatrzoną w pogrzebacz Utę.

W wyobraźni dziewczyna tysiąc razy już zadawała ciosy swym dręczycielom, lecz nigdy nie zdobyła się na odwagę, by zrobić to w rzeczywistości. Dopiero gdy Hohenwiesen rzucił się na jej panią, udało jej się na kilka chwil przezwyciężyć strach. Teraz jednak ogarnęła ją panika.

— Zabiją mnie za to — wyjąkała.

— Jeśli tu zostaniemy, wówczas wszystkich nas zabiją. Chodź, pomóż zdjąć ze mnie tego drania — poleciła i jeszcze raz spróbowała odsunąć mężczyznę.

Ostre słowa Trudi nie odpędziły co prawda strachu, ale spowodowały, że przywykła do wypełniania rozkazów służebna złapała Hohenwiesena za ramię i ściągnęła jego bezwładne ciało ze swej pani.

Trudi wstała i wymierzyła łotrowi kopniaka. Rycerz nawet się nie poruszył. Przez chwilę miała nadzieję, że Uta rozbiła mu czaszkę, jednakże nie miała czasu, by to stwierdzić. Złapała ubrania i mimo obrzydzenia, jakim napełniał ją brudny materiał, w gorączkowym pośpiechu zaczęła się ubierać.

Szturchnęła Utę, która nadal stała, trzymając w ręku pogrzebacz.

— Szybko, wskakuj w ubranie! Nie, czekaj. Najpierw zablokujemy stołem drzwi do piwnicy. Przy odrobieniu szczęścia zatrzymają Stammberga tak długo, byśmy zdążyli stąd umknąć.

— Umknąć? — spytała dziewczka i można było mieć wrażenie, że słowo to obudziło w niej chęć do życia. Gulusienka zapała się o ciężki stół, który razem z Trudi dosunęły do drzwi. Nasłuchując, zamarty w oczekiwaniu wściekłego ryku, tymczasem nic nie przerwało zapadłej naraz ciszy.

— Pewnie ten pies żłopie wino prosto z beczki i obmyśla sobie, co

mógłby mi jeszcze zrobić — wysyczała Uta.

— Strasznie mi przykro! Wierz mi, nigdy nie pomyślałam, że mogłoby ci się przytrafić coś tak okropnego. — Trudi wyciągnęła rękę, by pocieszyć służkę.

Ta zaś uchyliła się gwałtownie.

— Kazaliście mi się ubrać i uciekać z wami. A co z Lampertem? Gdy go zostawimy, wówczas te łotry zamęczą go na śmierć. A nas razem z nim, jeśli nie uda nam się przed nimi uciec!

Dziewka drżąc i potykając się, ze zwiniętym ubraniem w rękę ruszyła ku drzwiom, jakby nago chciała wybiec na mróz. Trudi zatrzymała służebną w ostatniej chwili i potrząsnęła nią, chcąc przywołać ją do rozsądku.

— Ubieraj się, powiedziałam! Później pomożesz mi wynieść Lamperta. Uta posłusznie wdziała koszulę i suknię, po czym zakryła dłońmi twarz.

— Nie uda nam się uciec!

— Z pewnością nie, jeśli zaraz się nie pospieszymy — odparła Trudi i podeszła do Lamperta. Pachołek leżał całkiem bez przytomności i ani potworna bladeść jego twarzy, ani płytki oddech nie dawały nadziei na to, że prędko wróci do siebie.

Razem z Utą będą musiały go nieść, a wraz z nim także ciężką żelazną kulę, którą sama ledwo mogła podźwignąć. Przebiegło jej przez głowę, że to niemożliwe, i zrozpaczona zaczęła rozglądać się wokół. Jej wzrok zatrzymał się na umazanym krwią pogrzebaczu. Podniosła go z ziemi i wsunęła jego czubek w ogniwo łańcucha położone najbliżej okowy okalającej nogę chłopaka, po czym spróbowała je rozgiąć.

Żelazna okowa wpiła się głęboko w jego kostkę, przecinając skórę. Poleciała krew, zaś nieprzytomny Lampert poruszył się, jakby chcąc uchylić się przed bólem.

Trudi miała już zamiar dać za wygraną, gdy nagle poczuła, że ogniwo się rozwiera, więc jeszcze bardziej wyteżyła swe siły. Chwilę później udało jej się rozgiąć ogniwo na tyle, by móc odłączyć je od kajdanów. O te ostatnie zatroszczy się już kowal.

Trudi opatrzyła rozkrwawioną nogę Lamperta szmatką, którą wsunęła pod żelazną obręcz, po czym dała znak Ucie, by do niej podeszła.

— Nie stój tak! Pomóż mi zawinąć Lamperta w koc i wynieść go na zewnątrz. Sama go nie uniosę.

Uta wzniosła do góry rękę.

— Z Lampertem na plecach daleko nie ujdziemy. Może powinniśmy go na razie zostawić?

Jednakże mimo protestów razem ze swą panią złapała chłopaka. Wspólnie zawinęły go w koc i wyniosły do kuchni. Zrobiły to w samą porę — za zabarykadowanymi drzwiami dały się słyszeć kroki wchodzącego po schodach Stammberga.

Wspomnienie o nim sprawiło, że w kobiety wstąpiła nadludzka moc. Uta pojękiwała wprawdzie z bólu, lecz mimo zbitego ciała okazała siłę, która zadziwiła Trudi.

Najszybciej, jak tylko mogły, minęły frontową część zamku i wpadły do stajni.

— Potrzebujemy naszych koni — rzuciła Trudi i kazała Ucie ułożyć Lamperta na słomie. Sięgając po siodło, uświadomiła sobie, że nie mają dość czasu. W związku z tym swojej klaczy i koniowi Lamperta wsunęła tylko

uzdę do pyska, a i Uta ze swoim wierzchowcem postąpiła podobnie.

— Musimy wciągnąć Lamperta na konia. — Trudi zagryzła wargi i poleciała Ucie, by jej pomogła. Nie chcąc dopuścić do zsunięcia się chłopaka na ziemię, rzemieniem związały jego ręce i nogi pod brzuchem konia, zaś drugim rzemieniem obwiązały pierś zwierzęcia. Następnie Trudi wyprowadziła Lampertowego wałacha i swoją klacz na zewnątrz.

Ostry wiatr zmiatał śnieg w górę urwiska, sypiąc maleńkimi, ostrymi kryształkami, zdzierającymi jej z twarzy skórę. Z żalem wspomniała siodło i czystą odzież na zmianę, leżącą gdzieś w zamku. Nie odważyła się tracić czasu na poszukiwania.

Musi być tak, jak jest, pomyślała, stawiając czoło wichurze. W tych okolicznościach nie miała możliwości rozejrzenia się za Utą. Miała nadzieję, że dziewczka zdołała wydostać się z zamku i podąży za nią w poszukiwaniu ratunku. Złudnego ratunku, przyznała sama przed sobą, bo ogarnęły ją wątpliwości, czy w tę pogodę uda im się przeżyć.

Pokonanie stromej trasy z dwoma końmi prowadzonymi za uzdę, przy jednoczesnym baczeniu na Lamperta, który nie powinien się zsunąć, wydawało się niemal niemożliwe. Śnieg sięgał koniom po zady, a rozdeptywany przez nie, ogromnymi płatami spadał ku dolinie, zabierając ze sobą jakby część każdej z umordowanych kobiet. Zwierzęta zapadały się, upadały na kolana i w każdej chwili mogły się przewrócić. W chwili gdy Trudi pomagała koniowi Lamperta odzyskać równowagę, trafiła nogą na oblodzone podłoże i ześliznąwszy się, wpadła w zlodowaciały śnieg. Podnosząc się, poczuła na skroni ciepłą strużkę. Dotknęła głowy dłonią i zobaczyła zabarwione na czerwono kryształki.

Rozcięcie nie było głębokie, mimo to lodowaty wiatr wciskał się w ranę i Trudi czuła, jak drętwieje jej mózg. Oślepiąca łzami przedzierała się dalej. Dopiero w dolinie obejrzała się za siebie, wypatrując Uty.

Po służącej nie było śladu. Poczula, jak strach ściska jej krtań. Może Stammbergowi udało się pokonać barykadę i pojmał dziewczynę? Bezwiednie zrobiła krok w kierunku zamku, lecz rozsądek sprawił, że się zatrzymała. W starciu z tym dzikusiem nie miała szans, toteż musiała podjąć próbę ucieczki z samym Lampertem.

Ledwo zdążyła podjąć to postanowienie, gdy nagle z bram zamku wybiegły klusem dwa wałachy i najwidoczniej wbrew swej woli zaczęły zbiegać w dół stromej drogi.

Rozpoznała wierzchowce rycerzy rabusiów. Następnie w bramie ukazała się Uta na swym własnym koniu. Dziewka trzymała w ręku bat, którym smagała chabety porywaczy. Czyniła to z takim zapałem, iż ostatni odcinek stromizny zwierzęta pokonały galopem, po czym z żalonym rżeniem wylądowały w śnieżnej zaspie.

— Będzie dla nas lepiej, jeśli łotry będą musieli najpierw odnaleźć swe szkapy— roześmiała się Uta, pokonując ból, wyraźnie dumna ze swego pomysłu. Mimo okropieństw, które przeszła w skalnej twierdzy, była bardzo odważna.

Trudi pomyślała, że po powrocie do domu sownie Ucie wszystko wynagrodzi.

Gdyby nie dziewczyna i pogrzebacz, nadal siedziałyby zamknięta w zamku, zaś teraz zabrały się do niej również Stammberg.

2 .

Peter von Eichenloh liczył się z zimą, ale nie z takimi

przeciwnościami. Zdawałoby się, że jakaś diabelska siła dodatkowo utrudnia mu marsz. Przed ostrym wiatrem, dmącym od szczytów, nie chroniły płaszcze ani derki. Wichura niosła kryształki lodu, wdzierające się w każdą szczelinę i raniące skórę. Najgorsze były oczy, które łzawiły, odbierając niemal całą widoczność. By ulżyć koniom, Eichenloh kazał przewiązać ich głowy sukniem. Chętnie poleciłby okryć również ich nozdrza, lecz w ten sposób pozbawiłby je możliwości oddychania.

— Do diabła z tym, kto w tę psią pogodę każe nam prowadzić wojnę w tej paskudnej okolicy! Coś takiego może przyjść do głowy tylko komuś, kto o tej porze siedzi sobie przy kominku, jak u Pana Boga za piecem, i popija grzane wino! A nam nawet nie pozwolono uczcić Bożego Narodzenia.

Quirin, zastępca junkra Eichenloha, zatrzymał konia obok wierzchowca swego dowódcy i otrzepał się jak zmokły pies. Następnie zatoczył ręką okrąg, wskazując na zaśnieżone góry i drzewa pokryte grubą, białą pierzyną.

— Czy możesz mi powiedzieć, jak mamy znaleźć swój cel? Dla mnie wszystko wygląda tak samo. Wydaje się, że nasz podobno świetnie obeznany przewodnik też nie ma pojęcia, gdzie się znajdujemy!

— Myślę, że jesteśmy na dobrej drodze. Przewodnik cały czas idzie w kierunku Teiflachu. Poznaję po szczytach. Poprosiłem króla, by dokładnie mi opisał, jak wyglądają góry, które musimy przebyć.

— To bardzo mądre posunięcie! — Hardwin von Steinsfeld, jadący zaraz za Peterem Eichenlohem, nie ukrywał podziwu dla dowódcy.

Quirin rozglądał się uważnie.

— Według mnie te góry są do siebie podobne, jak ziarnka fasoli. Wszystkie są diabelnie wysokie i pokryte śniegiem, który, jak słyszałem, od czasu do czasu spada, grzebiąc pod sobą wszystko, co po drodze napotka. Tutejsi ludzie nazywają to lawiną. Mam tylko nadzieję, że nie trafimy po drodze na nic takiego. Najlepiej byśmy byli cicho i unikali niepotrzebnych hałasów, albowiem żyją tu jakoby duchy, które spuszczaają śnieżne lawiny na podróżnych zakłócających im spokój.

— W takim razie zacznij dawać przykład, bo twój gromki głos rozbrzmiewa w okolicy jak róg myśliwego — poradził ze śmiechem Eichenloh.

Hardwin zachichotał po cichu. Tubalny bas Quirina był zwykle tak donośny, że umarłego by zbudził. Jednakże teraz jego szeroka postać jakby lekko się skuliła.

Zamilkł i jak mała wystraszona dziewczynka począł spoglądać w górę, ku stromym, ostro wznoszącym się ku niebu skalnym ścianom. Widok stropionego Quirina był tym bardziej osobliwy, iż cieszył się on sławą dzielnego wojownika, któremu nigdy nie zdarzyło się zbiec z pola bitwy. Aliści czym innym było stawienie czoła wrogiemu wojsku w poczuciu własnej siły, niż zdanie, na pastwę nieznanego żywiołu.

Eichenloh również wolałby wszystko inne od podróży w cieniu tych kamiennych olbrzymów, lecz chcąc zyskać przychylność króla Fryderyka, musiał uwieńczyć wyprawę sukcesem. Ogarnął wzrokiem swych podwładnych, których prowadził do niejednego już boju. Na ich zaczerwienionych od mrozu twarzach malowała się obawa przed górami i straszącymi w nich upiorami. Nikt nie rozmawiał, każdy jechał w skupieniu, wpatrując się w zad jadącego przed nim konia. I akie tutejsi piesi knechtowie, maszerujący za rycerzami, wydawali się przerażeni. Co chwila czynili znak krzyża i drgali pod wpływem każdego odgłosu.

Eichenloh zamierzał już okazać dezaprobatę, lecz nagle usłyszał coś, co sprawiło, że włosy na karku stały mu dęba. Najpierw usłyszał narastający szmer, który stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie przeszedł w huczący łośkot. Ziemia zadrżała. Konie wpadły w panikę. Kawałki skał i lodowe płyty odrywały się od ścian i z dudnieniem wpadały w śnieżne bałwany, pędząc z impetem w kierunku dna doliny. Na szczęście żaden odłamek nie trafił w grupę mężczyzn, którzy zatrzymali się i znieruchomieli z osłupienia.

— To była lawina! Nasz Zbawiciel w swej łaskawości odsunął ją od nas.

Podziękujmy mu za to! — Tymi słowy mężczyzna zaintonował modlitwę, do której zaraz przyłączyli się pozostali.

Eichenloh również powtarzał pobożne słowa, zadając sobie jednocześnie w myślach pytanie, czy nie jest na najlepszej drodze, by stać się babą. Przez kilka chwil czuł panikę i miał ochotę zawracać.

— Dalej! — rozkazał po odmówieniu modlitwy i wysunął się na czoło pochodu.

Miejscowy przewodnik, idący pieszo jak knecht, pospieszył do niego.

— W ciągu najbliższej godziny musimy znaleźć bezpieczne schronienie. Dziś w nocy będzie nawałnica śnieżna, której nie przeżyjemy na dworze.

— A gdzie moglibyśmy tu znaleźć bezpieczne miejsce? — zapytał chmurnie Eichenloh, wskazując na otulone śnieżnobiałym płaszczem grzbiety górskie, otaczające ich niczym kamienny wał.

— Kawałek dalej w dolinie jest wąski przesmyk, prowadzący do starego zamku zbudowanego w skalnej grocie. Dawniej jego mury zamieszkiwali rycerze rabusie, lecz od kilku lat stoi opuszczony. Znajdziemy tam schronienie, którego szukamy.

Eichenloh skinął.

— To chyba najlepsze rozwiązanie. Dość mam już wiatru gwizdającego koło uszu. O tej porze roku raczej nie chciałbym przeżyć tu burzy.

— W takim razie naprzód! Zostało nam niewiele czasu — powiedział zafrasowany przewodnik i popatrzył na wschodnią stronę gór. Wiejący stamtąd wiatr stawał się coraz chłodniejszy. Następnie otulił się szczelnie płaszczem i ruszył przed siebie.

Eichenloh nie chciał, by człowiek za wcześnie opadł z sił, toteż jednemu ze swych ludzi polecił odstąpić mu konia.

— Lepiej będzie ci się szło ze świadomością, że niedługo będziemy mieli dach nad głową — zawołał do żołnierza i popędził parsającego na znak protestu konia.

Miejskami śnieg sięgał końskich zadów, zaś jego powierzchnia była zmrożona, zatem by konie się nie poraniły, otulili ich nogi derkami. Zwierzęta rozdeptywały śnieg, czasem też rozgarniały go niczym pługi, torując drogę idącym za nimi pieszym wojownikom. W ten sposób dość sprawnie posuwali się do przodu.

Mimo to bez przewodnika nie miałoby szans odnaleźć właściwej drogi.

To stwierdzenie poprawiło humor junkrowi Eichenlohowi. Przy tej pogodzie ludzie austriackiego księcia Albrechta na pewno nie spodziewali się ataku.

Przez jakiś czas pochód posuwał się w całkowitej ciszy. Od czasu do

czasu słycać było tylko parskanie koni, które wkrótce zagłuszyło wycie nadciągającej wichury.

Padający gęstymi płatami śnieg tworzył coraz to nowe zaspę w i tak już wąskim przesmyku, ograniczając przy tym widoczność do nie więcej niż dziesięciu kroków.

Zafrasowany Eichenloh zastanawiał się, czy przewodnik czasem nie zgubił drogi.

Obawiał się, że mogli przegapić odnogę prowadzącą do zamku, lecz naraz mężczyzna dał znak, że trzeba skrócić w lewo.

Ścieżka stała się teraz bardziej stroma i Eichenloh postanowił zsiąść z konia, by ułatwić zwierzęciu wspinaczkę. Niespodziewanie wyrosło przed nim kilka cieni i zanim się obejrzał, poczuł na sobie siłę zderzenia z innym, galopującym z góry jeźdźcem. Z trudem udało mu się utrzymać w siodle, zaś pędząca z góry postać, straciwszy równowagę, runęła prosto w śnieg.

Na widok sukni i długich, jasnych włosów Eichenloh skonstatował, iż pędząca na oślep istota była rodzaju żeńskiego.

Bez zastanowienia zeskoczył z konia, pochylił się nad leżącą, przyglądając się jej z konsternacją. To, co zobaczył, wydało mu się niewiarygodne. A może mamił go duch gór, by zwątpił w rozsądek, a wreszcie postradał rozum? W poszukiwaniu pomocy odwrócił się do Quirina i zobaczył stojącego za nim kawalera Hardwina, którego wzrok zdawał się potwierdzać to, co sam widział.

— Na Boga, toż to Trudi Adler! Skąd ona się tu wzięła?

— Też chciałbym wiedzieć! — odparł zgryźliwie Eichenloh.

Jednocześnie poczuł się osobliwie bezradny. Gdy ostatnim razem stał naprzeciw niej, była pewna, że ma przed sobą mordercę swego ojca.

Obrzuciła go wtedy obelgami. Zauważył, iż jest o wiele za cienko ubrana, a podczas upadku straciła przytomność.

— Szybko, dajcie koc, zanim zamarznie — mruknął do Quirina.

Jego zastępca przekazał rozkaz dalej, a następnie wskazał na dwie inne postacie, uwieszone na zmierzających w ich kierunku szkapach.

— Wygląda na to, że z nimi jest jeszcze gorzej!

Eichenloh dopiero teraz spostrzegł Utę i Lamperta. Dziewka pojękiwała, a jej policzki pokrywały perelki zlodowaciałych łez. Bez oporu pozwoliła zdjąć się z konia i okryć derkami. Następnie kilku żołnierzy odwiązało Lamperta, który w międzyczasie zdążył już odzyskać świadomość, lecz nadal bezsilnie zwisał z konia.

Ściągnawszy go na ziemię, owinęli w owcze skóry i derki.

Quirin pochylił się nad Trudi, która właśnie otworzyła oczy, lecz drżąc z zimna, nie mogła wykrztusić ani słowa. Dopiero gdy przyłożył do jej warg piersiówkę z winiakiem i wlał do ust kilka kropel mocnego trunku, zdała się dojść do siebie.

— Dziękuję wam, dobrzy ludzie. Wybawiliście nas ze śmiertelnej opresji. Nie wierzyłam już, że uda nam się znaleźć ratunek.

— Trudi, skąd się tu wzięłaś?

Hardwin przecisnął się obok Quirina i uklęknął przy dziewczynie.

— Hardwin?

Na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie, zdumienie, a wreszcie ulga.

Ku swemu własnemu zdziwieniu Petera Eichenloha zirytowała radość okazana młodzieńcowi przez pannę Adler. By nie pozostawić wątpliwości, komu dziewczyna zawdzięcza życie, odsunął na bok Hardwina

i szeroko rozstawiwszy nogi, stanął przed Trudi.

— Szczęść Boże, panienko. Przyjemną pogodę wybraliście sobie na podróż — zakpił.

Ironia zawarta w jego głosie, sprawiła, że twarz dziewczyny przybladła. Zacisnęła zęby, by powstrzymać się przed powiedzeniem czegoś niestosownego.

— Jeśli wy możecie podróżować o tej porze roku, dlaczegoż mnie nie miałyby być wolno?

Z riposty wynikało, że nadal uważa go za wroga. Chciał po prostu wzruszyć ramionami, lecz niechęć Trudi sprawiła mu większą przykrość, niżby się spodziewał. Wszak czas powinien był złagodzić ból dziewczyny. Ponadto, gdyby tylko głębiej się zastanowiła, pojęłaby przecie, że będąc mordercą jej ojca, nie stanąłby raczej po stronie Ottona von Henneberga.

— Jadę z misją od króla. W tym przypadku pogoda ani pora roku nie mają znaczenia— wyjaśnił szorstko.

— Zaś ja podążam właśnie do króla, by błagać go o sprawiedliwość. Możecie zawieźć mnie do niego?

Świadomość faktu, że właśnie tego człowieka zmuszona jest prosić o pomoc, sprawiała jej niemal fizyczne cierpienie. Jednakże to on dowodził oddziałem i będzie musiała się go trzymać.

— Szukacie króla? Czegoż chcecie od Fryderyka III?

Eichenloh ze zdumieniem przyglądał się Trudi. Jeżeli młodziutka panna decyduje się na tak długą i niebezpieczną drogę, do tego jeszcze zimową porą, to z pewnością musi to być kwestia życia i śmierci.

Trudi zamierzała już odrzec, że to nie jego sprawa, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Była przecież zdana na łaskę i niełaskę tego człowieka, lotcz zdobyła się na bardziej uprzejmą odpowiedź.

— Chcę prosić Jego Królewską Mość o ochronę dla Kibitzsteinu, na który nastają poplecznicy biskupa z Würzburga.

Zdumiony Eichenloh pokręcił głową. Gdy opuszczał okolice Würzburga, Kibitzstein był całkowicie bezpieczny. Trudi wyjaśniła, że po śmierci ojca sąsiedzi zażądali od jej matki zwrotu zastawionych dóbr, zaś biskup würzburski wyciągał rękę po wszystkie ich posiadłości.

Wbrew swej woli Eichenloh poczuł szacunek dla tej pannicy o ciętym języku. Rzecz jasna bzdurą było wybieranie się w tak daleką drogę wyłącznie w towarzystwie służącej i jednego pachołka. Ale wygrać mógł przecie tylko ten, kto ryzykował.

Hardwin zerknął na klacz Trudi, stojącą z nisko opuszczonym łbem i drżącą nie mniej od swej pani.

— Trzeba ci było sprzedać siodła, żeby zdobyć pieniądze?

Trudi szczerzej owinęła się kocem, bo z zimna i emocji zaczęła szczerkać zębami.

— Podczas ucieczki nie było czasu, by je zabrać, inaczej ci przekłęci rabusie znów by nas pojмали.

— Ucieczka? Rabusie? To wygląda na dłuższą historię.

Eichenloh najchętniej z miejsca zaspokoiłby swą ciekawość, ale przewodnik pociągnął go za rękaw, pokazując niebo.

— Musimy ruszać! Nawałnica, która się tu zbiera, obedrze nas do kości! Quirin zaklął.

— A to, co gwizdże nam za uszami, to może lekki zefirek?

— Różnicę na pewno poczujesz. Chodźcie wreszcie! Jeśli wkrótce nie dotrzemy do zamku, wówczas będziecie mogli polecieć swe dusze Panu

albo diabłu, jeśli taka wasza wola.

Po tych słowach mężczyzna, nie oglądając się na innych, popędził konia i ruszył do przodu.

Eichenloh chciał wsadzić Trudi na klacz, ale pomyślał, że będzie jej za zimno i posadził ją w siodle przed sobą. Zarzucił nań połę swej peleryny i przycisnął do siebie, by ogrzać ją ciepłem swego ciała.

Trudi na moment zeszywniała, lecz poczuła, jak lodowate zimno odpływa z jej przemarzniętych kości. Odetchnęła i nieco się rozluźniła. Nawet jeśli uważała junkra Eichenloh za łotra i chciała ujrzyć jego ściętą głowę, teraz zawdzięczała mu życie własne i swych towarzyszy. To przemawiało na jego korzyść.

Naraz do jej świadomości dotarło znaczenie słów przewodnika. Spojrzała na Petera.

— Zmierzacie do zamku? My właśnie stamtąd jedziemy. Rycerz zmierzył ją osłupiałym spojrzeniem.

— Co robiliście w zamku?

— Dwóch drani uwięziło mnie tam razem z Utą i Lampertem.

Przedtem porwali nas i obrabowali. Później zamierzali zażądać od mej matki okupu. Na szczęście udało nam się zbiec — odpowiedziała Trudi, przekrzykując huk wiatru.

Okryta derką Uta siedziała na własnym koniu. Słyszac słowa swej pani, podjechała do junkra Eichenloh.

— To okrutne łotry, szlachetny panie! Cały czas zadawali mi gwałt i potwornie mnie bili. Spójrzcie!

Mimo lodowatego wiatru Uta podciągnęła do góry suknię, obnażając udo pokryte podbiegłymi krwią pręgami.

Eichenloh zazgrzytał zębami, gdy Uta relacjonowała mu przebieg ostatnich godzin spędzonych w skalnej twierdzy. Z chaotycznej wypowiedzi służącej Eichenloh dowiedział się, że dziewczce udało się uderzyć pogrzebaczem i unieszkodliwić jednego z łotrów, gdy ten dopuszczał się karygodnych czynów wobec Trudi. Słyszac to, mimowolnie zacisnął pięści.

Trudi rzuciła dziewczce pełne wdzięczności spojrzenie. Uta była może zbyt gadatliwa i z pewnością nie była służącą, jakiej każda pani by sobie życzyła, lecz straszne przeżycia połączyły obie kobiety siostrzaną więzią.

— Ten mężczyzna chciał was zhańbić! Udało mu się to? — spytał Eichenloh, sam nie wiedząc, dlaczego zadaje to pytanie.

Trudi z sykiem wypuściła powietrze.

— Rzucił mnie na ziemię i zaczął zadawać mi gwałt. Ale dzięki pomocy Ihy nie udało mu się dokończyć dzieła.

— Przed Hennebergiem skuteczniej się broniliście.

— Gdybym tylko miała możliwość, zatopiłabym ostrze w jego trzewiach! Ale ten człowiek przystawił mi sztylet do gardła.

Trudi poczuła się zraniona tymi słowami i odwróciła głowę.

Eichenloh wyczuł jej wzburzenie i nazwał się w myślach głupcem. Choć Trudi miała dużo odwagi, to przecież była tylko dziewczyną, stojącą na straconej pozycji w starciu ze zdecydowanym na wszystko mężczyzną. Jednocześnie narastał w nim gniew na dręczycieli. Gdy Trudi ponownie nań zerknęła, ujrzała surową, jakby wykutą w kamieniu twarz, zaś w jego oczach płonął ogień, którego się przelekła.

Odsunęła od siebie myśl o tym, że obejmują ją ramiona mężczyzny, którego powinna nienawidzić, i rozkoszowała się ciepłem promieniującym z jego ciała.

Wkrótce poczuła się tak bezsilna, że zamarzyła, by zasnąć i obudzić się dopiero w chwili, gdy na świecie wszystko już będzie w porządku. Ukołysana tą myślą mimo niewygodnej pozycji zapadła w słodką drzemkę.

— Gdyby tylko udało nam się odnaleźć ślady panienki i jej ludzi! Zdesperowany okrzyk przewodnika zdradził Peterowi, że tamten stracił orientację. Powietrze przepełnione było płatkami śniegu, wirującymi w podmuchach porywistego wiatru, który szybko zacierał wszystkie ślady, zatem szukanie odcisków pozostawionych przez konie Trudi nie miało najmniejszego sensu.

Eichenloh spróbował ogarnąć spojrzeniem swych ludzi, lecz w panujących warunkach słabo było ich widać. Szare oblicza mężczyzn jadących niż za nim zdradzały, jak bardzo byli wyczerpani. Zauważył też, że piesi zostają coraz dalej w tyle. Najwidoczniej przewodnik miał rację, mówiąc, że bez schronienia przed nawałnicą oddziałowi nie uda się ująć z życiem. Wyglądało na to, że wilki również o tym wiedzą, bo ich skowoty zagłuszały momentami nawet wycie wiatru.

Drapieżnikom wystarczyło kudłate futro jako ochrona przed przeciwnościami aury, a gdy wiatr stawał się zbyt mocny, wtedy zbijały się całym stadem w jeden wielki kłęb, czekając, aż burza ustąpi. Eichenloh przyłapał się na tym, że zazdrości zwierzętom. Jeśli nagle nie zdarzy się cud, wówczas jeszcze tej nocy wilki znajdą w lesie suto zastawiony stół.

— Tam trzeba nam iść!

Okrzyk Uty sprawił, że rycerz podskoczył w siodle.

— Co powiedziałaś?

— Skalny zamek leży w tym kierunku — oświadczyła dziewczka z naciskiem.

Miejscowy przewodnik uczynił pogardliwy gest.

— Skąd możesz wiedzieć? Tylko raz szłaś tą drogą, a do tego niewiele mogłaś zobaczyć.

— Przypominam sobie ten krzew, tam. Przechodziliśmy obok niego — stwierdziła z uporem Uta, pokazując widoczny dalej kształt, który równie dobrze mógłby być pokrytą śniegiem skałą, gdyby nie to, że wystawał z niego kawałek pojedynczej gałązki.

Przewodnik machnął z lekceważeniem ręką i chciał ruszyć dalej, lecz Eichenloh zawrócił konia, by przyjrzeć się wskazanemu przez Utę miejscu.

— Niewiasta ma rację. Za krzewem, w osłoniętym od wiatru miejscu widać jeszcze pozostałości końskich śladów.

Teraz i przewodnik zawrócił, rzucił okiem na ślady i niezdecydowanie popatrzył na dowódcę.

— Jeśli rozkażecie, pójdziemy w tym kierunku.

Z tonu jego głosu wynikało wprawdzie, iż nie uważa, by był to dobry pomysł, lecz Eichenloh poprowadził swego konia ku wskazanemu przez Utę jarowi. Wkrótce musiał zsiąść i wziął Trudi na ręce jak dziecko, albowiem w wąskim gardle wąwozu wicher dał z takim impetem, że ziemia była całkowicie wymieciona i diabelsko śliska.

Przez chwilę myślał, że służąca się omyliła i poprowadziła ich w ślepej uliczce, albowiem skały poczęły się coraz bardziej do siebie przybliżać. Naraz droga stała się bardzo stroma. W najwyższym jej punkcie ujrzał w dole coś na kształt wydrążonego, skalnego kotła. Wpadający doń wiatr kręcił młynka, pędząc w kółko tumany śniegu. Na białym tle widać było dwie ciemne, poruszające się w ślimaczym tempie plamki. Gdy Eichenloh, który zdążył znów dosiąść konia, podjechał bliżej, ujrzał przed

sobą dwóch jeźdźców. Ich konie wyglądały tak, jakby zaraz miały się pod jeźdźcami załamać. Burza rozszalała się na dobre. Dokazywanie wściekłego żywiołu onieśmiało nawet dzikie zwierzęta, zatem mężczyźni nie zauważyli zbliżającego się do nich powoli oddziału Petera von Eichenloh.

— To tych dwóch łotrów! — zawołała Uta do junkra. Musiała krzyknąć, by udało mu się zrozumieć jej słowa.

Najwidoczniej Stammbergowi i Hohenwiesenowi udało się schwytać konie i wyruszyli w pogoń za zbiegami. Lecz wiatr uniemożliwił dalsze poszukiwania.

Teraz próbowali wrócić do zamku. Ogłuszeni hukiem zwariowanego żywiołu obcych wojowników zauważyli dopiero wtedy, gdy ogier Petera wcisnął się pomiędzy ich własne konie.

Dłoń Stammberga powędrowała ku rękojeści miecza, ale za chwilę z drugiej strony pojawił się Quirin z obnażonym ostrzem swej broni. Hardwin von Steinsfeld zajął się Hohenwiesenem.

— Co to ma znaczyć? — ryknął oburzony rabuś, zaraz jednak spostrzegł Utę i jej przepelnioną nienawiścią, a zarazem triumfującą minę. Podczas gdy Stammberga dziwiła jeszcze wrogość mężczyzn, którzy się przed nimi tak nagle pojawili, Hohenwiesen zdążył pojąć, że ich jeńcy, uciekając, trafili na grupę rycerzy, a ci posłużyli im wsparciem.

— Czort was tu chyba zesłał! — zaklął, zaraz jednak przypomniał sobie rynek, przy którym natknęli się na Trudi i jej towarzyszy. To było w Altötting, miejscu, gdzie Najświętsza Panienka cieszy się szczególnym uwielbieniem. W obliczu matki Jezusa oszukali tę młodą szlachciankę, wywiedli ją w pole i przywlekli aż tutaj.

Wszystko, co nastąpiło później, też nie spodobałoby się Matce Boskiej.

Hohenwiesen poczuł chłód wokół serca, a obróciwszy się, w oczach dowódcy oddziału wyczytał swą śmierć.

3 .

Ledwie dotarli do zamku, gdy wiatr rozhulał się tak wściekle, jakby chciał zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko, co po drodze napotka. Eichenloh nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przeżył taką nawałnicę. Nawet konie /dawały się rozumieć niebezpieczeństwo, bo w panice przedzierały się przez wrota, bez pomocy trafiając do stajni. W środku było za mało miejsca dla tak dużej ilości ludzi i zwierząt, lecz wszyscy odetchnęli z ulgą i zaczęli czyścić ze śniegu płaszczy i czapki. Niektórzy mrucze przy tym po cichu krótką modlitwę, dziękując swemu osobistemu patronowi za ratunek.

Trudi nie przebudziła się nawet wtedy, gdy Eichenloh zdjął ją z konia, a że nie chciał kłaść jej na brudnej słomie pomiędzy kopytami zwierząt, zwrócił się do Uty.

— Jest tu jakieś pomieszczenie, w którym mógłbym ułożyć twą panią?

— Tak, w kuchni. Powinien się tam jeszcze palić ogień.

Uta poszła przodem, a jej ostrożne stąpanie zdradzały, że ciągle jeszcze cierpi.

Quirin popędził Stammberga za junkrem Eichenloh, zaś Steinsfeld, nie chcąc pozostać w tyle, popchnął za nimi Hohenwiesena, który w przeciwieństwie do swego przyjaciela, dawno już się poddał. Stammberg uśmiechnął się do Petera.

— Wszak poznaliśmy się w Altötting, panie rycerzu. Siądźmy, proszę, wypijmy łyk wina i porozmawiajmy jak rozsądni ludzie.

Dotychczas dzięki swej elokwencji zawsze udawało mu się wywinąć z niebezpiecznych sytuacji. Tym razem jednak zdawało mu się, jakoby trafił na granit.

Eichenloh nie bacząc na niego, wniósł Trudi do kuchni i położył ją na wiązce słomy, na której spała Uta. Następnie przeciągnął się i uważnie rozejrzał.

— Są tu jakieś zapasy, którymi możemy się pożywić? W przeciwnym wypadku musielibyśmy sięgnąć po własne rezerwy, a te potrzebne nam będą w dalszej podróży. W każdym razie mam nadzieję, że burza nie uziemi nas tutaj do czasu, aż poumieramy z głodu.

— W piwnicy jest jeszcze kilka beczek z mąką i peklowanym mięsem. Dla takiej ilości ludzi wystarczą co prawda jedynie na parę dni, ale to lepsze niż nic — wtrącił Lampert, któremu tymczasem udało się stanąć na nogach. Otworzył drzwi piwnicy, obok których ciągle jeszcze stał przysunięty stół, i chciał zejść na dół. Quirin wyciągnął rękę i powstrzymał go.

— Zostaw, chłopcze, to może zrobić ktoś inny. Wyglądasz, jakbyś w każdej chwili miał się złamać wpół.

Rozkazał kilku ludziom odszukać piwnicę i przynieść zapasy, by można było ugotować dla wszystkich pożywienie.

— Jak znajdziecie wino, też przynieście je na górę! — zawołał za nimi.

— Na dole jest jeszcze prawie pełna beczka wina — poinformował Lampert.

— Nie mam nic przeciwko łykowi wina. Ale jeśli któryś myśli, że może się upić, wygonię go na śnieg!

Eichenloh znał swych żołnierzy i wiedział, że tylko żelazną ręką utrzyma należyty porządek. Ten czy ów i tak zapewne wypije więcej, niż powinien, później wszak będzie żałował, że nie był dość ostrożny.

Eichenloh odwrócił się teraz do więźniów, stojących w eskorcie czterech ludzi.

Stammborg zachowywał się tak, jakby wciąż jeszcze był panem sytuacji, i rozpoczął służalcze powitanie.

— Witam was, panie, w moim zamku. Zjawiliście się wprawdzie dość nieoczekiwanie, lecz rozumiem doskonale, że chcieliście znaleźć schronienie przed nadciągającą burzą. Wraz z przyjacielem również przerwaliśmy polowanie, by zawrócić do domu. Bądźcie moim gościem, jak długo chcecie.

Na taką bezczelność Peterowi napęczniały żyły na skroniach. Przystąpił do rycerza rabusia tak blisko, że prawie zetknęli się nosami.

— Nędzny psie! Zapłacisz za to, coś uczynił!

W pierwszym momencie Stammborg skulił się w sobie, za chwilę jednak uśmiechnął się porozumiewawczo. Pogardliwym gestem wskazał na Utę i Trudi.

— Nie wiercie w to, co gadają te kobiety. To tylko dwie wieśniaczki, które wspólnie z tym oto parobkiem uciekły swym państwu.

Te słowa wywołały z kolei gniew Hardwina. Złapał Stammborga za kołnierz.

— Wieśniaczki? Parszywy kłamco! Niechaj ci język w gębie zgnije. Dobrze znam tę młodą damę. To Trudi Adler, córka Michała Adlera z Kibitzsteinu, który w Czechach uratował życie cesarzowi Sigismundowi!

Stammberg przeklął przypadek, przez który uciekinierzy trafili akurat na kogoś, kto ich znał, zaś jego kompan wydawał się utwierdzony w przekonaniu, że to sprawka sił niebieskich, które rozgniewali, porywając Trudi z tak świętego miejsca jak Altötting. Padł na kolana i zaczął bezładnie się modlić.

Stammberg wyszczerzył zęby jak szczur zapędzony w pułapkę.

— Do diaska! Czego od nas chcecie? Zamku? Możecie go sobie wziąć. To wszystko, co posiadam.

— Chcemy sprawiedliwości.

Eichenloh wskazał dopiero co przebudzoną Trudi, która wydawała się nie pamiętać o tym, że została wyratowana. Wyczerpana śniła, że jest Utą, którą ci łajdacy nadal dręczą i biją. Mimowolnie pomacała się po głowie, lecz nie poczuła bólu ani pręg po uderzeniu kija. Podbrzusze też jej już nie bolało, choć po zgwałceniu przez Hohenwiesena paliło jak ogień.

Wstała i rozejrzała się za swym sztyletem, który mężczyźni odebrali jej po wzięciu ich do niewoli, następnie stanęła bezpośrednio przed nimi.

— Tak, chcemy sprawiedliwości. Okrutnie znęcaliście się nad moimi towarzyszami i rzucaliście się na Utę jak zwierzęta. Mnie też byście nie oszczędzili, gdyby dzięki łasce nieba nie udało nam się umknąć. Niechaj Bóg przeklnie was za to i odda na wieki księciu piekieł!

— Nie, nie szatanowi!

Hohenwiesen padł przed nią na kolana.

— Łaski, pani, nie oddawajcie mej duszy diabłu! Wiem, że nagrzeszyłem, i zasłużyłem na surową karę. Lecz nie wzbraniajcie mi nadziei na zbawienie w dniu ostatecznym, gdy nasz Zbawiciel oddzieli dobrych od złych i zaprowadzi tych pierwszych do raju, zaś drudzy na wieki będą się smażyć w otchłaniach piekielnych.

Minęło kilka sekund, zanim Trudi i Eichenloh zrozumieli, że Hohenwiesen postradał rozum i wziął dziewczynę za wcielenie Królowej Niebieskiej. Zaklinał Trudi, by oszczędziła jego duszę, a w końcu wybuchnął płaczem.

— Niedojda! — zamruczał Stammberg, nie tracąc nadziei na wywnięcie się z tej nieprzyjemnej sytuacji. Opinię miał nie najlepszą, także w kraju, ale niektórzy w okolicy byli mu coś winni i na pewno wstawiliby się za nim.

Eichenloh nie miał zamiaru dłużej zajmować się tą hołotą. Począł, aż jego ludzie z kosztami wypełnionymi peklowanym mięsem i mąką oraz kilkoma dzbanami wina wrócą z piwnicy, a następnie wszystkich, którzy przyszli z nim z Frankonii, zwołał do głównej sali.

Pomieszczenie było w połowie murowane, zaś jego pozostała część wykuta była w skale. Tak mroczne, że nawet pochodnie nie mogły dobrze go oświetlić. Jako że drewniane okiennice mocno się już zużyły, wiatr nawiewał do środka śnieg, piętząc się teraz na powycieranej posadzce.

Jeden z mężczyzn zamierzał opuścić wiszący pośrodku sali żelazny świecznik, by umocować w nim pochodnie, lecz Eichenloh powstrzymał go uniesioną dłonią.

— Zostaw, niedługo tu zabawimy. Przez ten czas możecie potrzymać pochodnie.

Miejscowy przewodnik precyzyjnie się między żołnierzami i stanął przed dowódcą.

— Co macie zamiar zrobić, panie?

— Odbyć sąd! — odparł krótko rycerz.

Mężczyzna uniósł ręce, jakby wzbraniając się przed czymś.

— Nie wolno wam tego czynić. Musicie oddać ich tutejszemu urzędnikowi.

— Znajdujemy się na wyprawie wojennej, którą trzeba utrzymać w tajemnicy. Toteż nie możemy jechać do miasteczka i rozpytywać o wójta. Ze sobą też nie chcę ich brać, więc osądzimy ich na miejscu.

Eichenloh odwrócił się plecami do przewodnika i zatoczył ręką gest obejmujący zebranych.

— Ci dwaj rycerze więzili i dręczyli pannę ze szlchetnego domu. Do tego zadawali gwałt dwójce jej służących. Rozdziel się, kobieto!

Ostatnie słowa skierowane były do Uty, która rzuciwszy mu zdumione spojrzenie, z wahaniem zaczęła zdejmować odzież. Krwawe sińce wokół jej oczu i szramy na twarzy wcześniej już zdradziły im, jak mocno była bita. Gdy stanęła przed nimi w samej koszuli, na jej ramionach i nogach zobaczyli ślady ciężkiego znęcania się i tortur.

— Zdejmij koszulę! — nakazał Eichenloh.

Uta rzuciła mu błagalne spojrzenie. Czyż tak trudno mu było zrozumieć, że po doświadczeniach ze Stammbergiem, nie miała ochoty pokazywać się bez ubrania całej hordzie mężczyzn?

Eichenloh przeklinał po cichu obu łotrów, lecz nie mógł oszczędzić Ucie tego ostatniego upokorzenia.

— Pospiesz się, inaczej jeszcze tu zamarzniesz!

Uta rzeczywiście drżała z chłodu i ze strachu. Łzy płynęły jej po policzkach, gdy unosiła koszulę. Zamknęła oczy, by nie oglądać zgromadzonych w sali mężczyzn.

W końcu stanęła, trzymając przed sobą zdjęty z siebie materiał.

Gdy oczom zgromadzonych ukazały się wszystkie świeże pręgi, a także ślady dawniejszych razów, pokrywające ciało dziewczki jak regularny tkacki wzór, rozległy się przekleństwa i obelgi pod adresem rabusiów. Nawet Eichenloh, który sądził, że dość już w życiu widział, poczuł słabość w żołądku.

Trudi jak lunaticzka poszła za żołnierzami do sali. Teraz całkowicie otrzeźwiała.

Uniosła sztylet, który wciąż jeszcze ścisnęła w dłoni i rzuciła się w stronę porywaczy. Eichenloh w ostatniej chwili zdążył ją złapać i odebrał jej nóż, by omyłkowo samemu nie zostać trafionym.

— Zabiję te świnię! — wrzasnęła Trudi, próbując uwolnić się z uchwytu.

— Zamilknijcie wreszcie, niewiasto! Kara z pewnością ich nie minie. Naprawdę chcecie pokalać sobie nimi ręce?

Eichenloh przekazał ją Quirinowi, a że Trudi go nie lubiła, rzuciła się z paznokciami do jego twarzy. Na szczęście wkroczył Hardwin. Złapał ręce Trudi i poprosił ją, by się uspokoiła. Widok błagalnej miny towarzysza z dzieciństwa sprawił, że dziewczyna głęboko odetchnęła i stanęła obok niego.

— Do diaska, ależ z niej dzika kotka! — narzekał Quirin, po czym zwrócił się do dowódcy. — Ci dranie w rzeczy samej zasłużyli na śmierć!

— Z całą pewnością — potwierdził Steinsfeld.

Eichenloh rozejrzał się wśród zebranych i zobaczył, że wszyscy mężczyźni potakują. Tylko przewodnik kręcił głową, ale nie odważył się wstawić za więźniami.

Podczas gdy Hohenwiesen coraz bardziej przeraźliwym głosem odmawiał modlitwy, a wreszcie zaczął błagać o księdza, który odebrałby

spowiedź, jego rozwścieczony kompan ryczał na całe gardło.

— Nie macie prawa mnie sądzić! Urzędnik zamknie was za to i każe powiesić jak pospolitych złodziei. Natychmiast mnie uwolnijcie, inaczej...

— Inaczej co? — przerwał mu Eichenloh i nie zwracając więcej na niego uwagi, wskazał na mechanizm, przy pomocy którego opuszczano żelazny świecznik.

— Wygląda na to, że łańcuch jest dość solidny, by wytrzymał ciężar obu łotrów. Do roboty, wieszając ich!

Mężczyźni nie dali sobie tego dwa razy powtarzać. W sali było zimno, dlatego ciągnęło ich do ciepłej kuchni, gdzie na piecu stało już jedzenie i czekało na nich wino. W trakcie gdy kilku ludzi opuszczało kandelabr, Stammberg wykrzykiwał bluźniercze przekleństwa. Mężczyźni zawiązali dwa stryczki i nałożyli je na szyje Stammberga i Hohenwiesena.

— Podciągać! — rozkazał Quirin.

Czterech silnych żołnierzy złapało za łańcuch i uwiesiło się na nim całym swym ciężarem. Obu drani dosłownie poderwało z ziemi.

— Maryjo, dopomóż! — zdążył wykrztusić Hohenwiesen, a dalszy ciąg uwiązał mu w gardle. Jego kompan, rzucając się desperacko, jeszcze mocniej zaciskał pętlę, aż wreszcie jego członki zwiotczały, a z ust wysunął się zsiniały język.

Trudi poczuła, że robi jej się niedobrze, i odwróciła wzrok.

Wprawdzie ze wszystkich sił chciała kary dla tych łotrów, lecz bezlitosny sposób, w jaki Eichenloh ich powiesił, nappełnił ją przerażeniem. Zapragnęła zostać sama i płakać.

4.

Eichenloh rozkazał swym ludziom uprzątnąć izbę, w której rabusie więzili Trudi, i przydzielił ją jako kwatery dla niej i Uty. Jeden z żołnierzy był synem cyrulika i znał się trochę na sztuce opatrywania ran, toteż zajął się te raz dziewczką i Lampertem. Wyglądało na to, że obrażenia nie zagoją się zbyt prędko.

Trudi była także ogromnie wycieńczona niewolą oraz wydarzeniami ostatnich godzin i marzyła już tylko o śnie.

Eichenloh, Quirin i Hardwin martwili się o nią. Siedząc w kącie kuchennej izby, ściskali w dłoniach czarki z grzonym winem i milczeli. Wreszcie Hardwin uniósł głowę i popatrzył na dowódcę.

— Co zamierzasz zrobić z Trudi? Nie możemy wziąć jej ze sobą.

— Nie mam dość ludzi, by przydzielić jej eskortę w drodze do króla. Poza tym tylko jeden człowiek zna okolicę i jest nam potrzebny, a bez doświadczonego przewodnika panienka i jej towarzysze zabłądziliby w górach. Zginęliby wszyscy.

Widać było, że Eichenloh najchętniej wysłałby panienkę i jej służących tam, gdzie pieprz rośnie. Dopił wino, rzucił puchar jednemu ze swych podwładnych i rozkazał znów go napełnić. A że nie była to pierwsza czara tego wieczoru, Quirin zaczął mu się przyglądać z troską. Inaczej niż zwykle junkier Peter zdawał się lekceważyć granice umiaru, których zazwyczaj starannie przestrzegał.

— Do diaska, dlaczego musieliśmy natrafić na tę piekielną niewiastę? — wybuchnął. — Mamy zadanie i bez względu na wszystko musimy je wypełnić.

— Jeśli stoją ci na przeszkodzie, każ całą trójkę powiesić obok tych dwóch szubrawców, będziemy mieć ich z głowy.

Żartobliwa uwaga Quirina rozwścieczyła junkra Petera.

— Oszalałeś? Już i tak tyle wycierpieli. To cud, że w ogóle przeżyli. Hardwin uśmiechnął się w zamyśleniu.

— Trudi to twarda sztuka, da sobie radę. Znam ją od dziecka i już wtedy ją podziwiałem! — powiedział, choć z większym upodobaniem wspominał Bonę, wokół której krążyły teraz jego myśli. Jednocześnie czuł wgryzający się w jego serce ból, którego nie łagodził czas ani dzieląca ich odległość. Wszak ta, którą kochał, należała do innego mężczyzny, a on musiał przezwyciężyć tęsknotę.

— Gdy będzie już po wszystkim i wrócę do domu, zapytam Trudi, czy zechce za mnie wyjść. Lepszej kasztelanki nie znajdę nigdzie! — dodał Hardwin, wydając przy tym tak głębokie westchnienie, jakby małżeństwo z Trudi miało być dlań karą, nawet gdy rozum podsuwał je jako najlepsze rozwiązanie.

Dziwnym trafem ewentualność ta zupełnie nie przypadła do gustu junkrowi Peterowi, który, rozzłoszczony, pożałował, że zabrał go ze sobą. Hardwin znacznie zmęźniał w czasie, jaki spędził pod jego skrzydłami. Odkąd wyrwał się spod kurateli matki, zyskał wiele pewności siebie i wyzbył się licznych infantylnych przyzwyczajęń. Zasadniczo wpasował się w zastęp wojskowy tak samo dobrze, jak swego czasu zrobił to Otto von Henneberg. Do tej pory Eichenloh gotów był uznać go za członka oddziału. Teraz jednak najchętniej zaproponowałby temu przemądrzałemu młodzianowi, że może zaraz opuścić zastęp i przyłączyć się do Trudi i jej ludzi. Odpowiedzialność za tę krnąbrną istotę spoczywała jednak na jego barkach i za swój obowiązek poczytywał sobie doprowadzenie jej przed oblicze Fryderyka. Wcześniej jednak musiał przejąć władzę w Teiflachu, a do tego potrzebny mu był każdy zdolny do walki człowiek.

— Zostawmy na razie tę pannicę o ciętym języku i rozważmy, jak rozgryźć orzech, który mamy odebrać na rozkaz Fryderyka III. Po nawałnicy śnieg przed bramami Teiflachu sięga zapewne piersi. W tej sytuacji atak ma tak samo małe szanse powodzenia, jak dłuższe oblężenie.

— W takim razie musimy uciec się do podstępu. Jednakże wątpię, by ludzie, broniący zamku w imieniu księcia Albrechta Austriackiego dali się nabrać — odparł Quirin, nie ukrywając, że wyprawę uważa za pozbawioną szans powodzenia i bierze w niej udział wyłącznie z uwagi na wierność swemu dowódcy.

Peter von Eichenloh splunął w ogień paleniska.

— Nie zawrócę do króla Fryderyka jak pies z podkulonym ogonem i nie powiem mu, że nie jestem tak dobry, jak mniemał!

— Jeśli przy pomocy ruchomych, drewnianych tarcz odgarniemy śnieg, powinniśmy bez poważnych strat dotrzeć aż do murów zamku i przystawić drabiny szturmowe— zaproponował Hardwin.

Początkowo Eichenloh miał taki sam plan, jednak nie docenił pogody. Ponadto w oddaleniu od celu musieliby zaopatrzyć się w drewno i nieść je ze sobą spory kawał drogi. Tak więc pokręcił głową.

— Za długo by to trwało. Zresztą nie mamy ze sobą nawet dość namiotów dla wszystkich. Zaś nocleg pod gołym niebem przy tej pogodzie oznaczałby niechybną śmierć. Przeto musimy działać błyskawicznie i, jak powiedział Quirin, użyć podstępu.

— Jak to sobie wyobrażasz? — spytał zastępcę.

Eichenloh uśmiechnął się szeroko i wskazał na drzwi, za którymi spały niewiasty.

— Zobaczycie. Kto wie, może spotkanie z córką Michała Adlera obróci się na naszą korzyść.

5.

Po trzech dniach śnieżycy ucichła i oddział wyruszył w dalszą drogę. Szczęśliwym trafem Trudi i Uta zdążyły już odzyskać siły na ryle, by dosiąść koni, lecz Lamperta zawinięto w derki i ułożono na tragach, zawieszonych między dwoma końmi.

Obydwu rabusiów Eichenloh chciał dla przykładu zostawić wiszących na kandelabrze, jednak przez wzgląd na krewnych i przyjaciół Stammberga, którzy gest ten mogliby odebrać jako zniewagę, kazał pogrzebać ich pod kamieniami w tylnej części groty. Przewodnik przygotował nawet dwa krzyże i poprosił jednego z żołnierzy, który umiał czytać i pisać, by rozżarzonym nożem wypalił na nich imiona zmarłych.

Ostatecznie zostawili za sobą zamek i wisielców, zaś Eichenloh przestał zaprzętać sobie nimi głowę. Jego spojrzenie spoczęło na Trudi, jadącej u jego boku. Na swój własny płaszcz dodatkowo zarzuciła pelerynę, a ręce okrywały jej rękawice z jednym palcem, należące wcześniej do Stammberga. Mimo to ze swym morzem długich, jasnych włosów, wysmykujących się niesfornie spod czapki, a także dystyngowanym stylem jazdy, sprawiała bardzo kobiece wrażenie. Junkrowi wydała się nawet zbyt piękna, jak na zadanie, które jej przeznaczył. Tymczasem stała się atutem, na który liczył w tej grze.

Zapowiadało się dobrze. Wiatr niemal całkowicie ustał, a na błękitnym jak w lecie niebie pojawiło się słońce. Śnieg odbijał światło z taką jaskrawością, iż mężczyźni musieli odwracać wzrok, by nie oślepnąć, zaś z pokrytych białymi czapami drzew co chwila spadały na nich śnieżne okruchy.

Eichenloh roześmiał się na widok Trudi, która trafiona białą pacyną, czyniła energiczne ruchy, sięgając za kołnierz.

— Stójcie! W ten sposób strzepiecie sobie śnieg tylko głębiej na kark. Nachylcie się do mnie.

Zagryzając wargi, Trudi wykonała polecenie, albowiem nie potrafiła sama wyciągnąć lodowatych grudek.

— Powinnaś była okazać się mądrzejsza i nie zdejmować czapki — zamruczała, podczas gdy Eichenloh sięgnął pod jej płaszcz, wyciągając kilka bryłek lodu. Jednocześnie ręka jego zsunęła się aż do jej talii, na której z całą pewnością nie było żadnego śniegu.

— Nie szukacie zbyt głęboko, panie żołnierzu? — spytała opryskliwie.

Junkier usunął resztę śniegu i delikatnie potarł jej plecy. Zesztywniała pod dotykiem jego dłoni. Eichenloh nazwał się w myślach błaznem. Ta dziewczyna miała charakter jak oset i z całą pewnością nie była kobietą, która mogłaby mu się spodobać. Ponadto przeszła już przez inne ręce. A do tego w Fuchsheimie dzieliła łóżę z margrabią von Ansbachem i przyznała, że została zgwałcona przez co najmniej jednego ze swych porywaczy.

Spróbował unieść się pychą, lecz pomyślał o Steinsfeldzie, który mimo to chciał ożenić się z Trudi. Doszedł do wniosku, że młodzieniec w żaden sposób by nie sprostował jej wymaganiom. Jeszcze przed ślubem owinęłaby go sobie wokół palca i do końca życia nie miałby nic do powiedzenia. Co prawda Hardwinowi potrzebna była żona, która umiałaby

nim pokierować, ale powinno się to wiązać z pewną przychylnością i wyczuciem, zaś w spojrzeniach, którymi Trudi obdarzała przyjaciela z dzieciństwa, nie było raczej miłości. Patrzyła na Hardwina raczej jak na istotę podobną niezdatnemu szczeniuciu, na które trzeba mieć baczenie, by nie zrobiło kałuży w miejscu, gdzie siadają ludzie.

Ta konstatacja przywołała uśmiech na twarz Petera i bardzo poprawiła mu humor.

Zorientował się, że wciąż jeszcze wodzi palcami po plecach Trudi i szybko cofnął rękę.

— Myślę, że już cały śnieg usunięty.

— Jeśli się nie stopił i nie spłynął po plecach... Dziękuję wam, żeście z taką troską ogrzali mi kark i ramiona.

Mówiła poważnie, czy też miało to być kolejne wysunięte w jego stronę żądło? Ale zerknąwszy na Trudi, zobaczył, że twarz jej się wygładziła, zaś nieprzenikniony wzrok zdawał się wpatrywać w jakąś odległą przestrzeń. Ciekaw był, czy myśli o nim, o infantylnym Steinsfeldzie, czy też o jakimś innym, nieznanym mu mężczyźnie. Gdyby o to spytał, zamiast odpowiedzi dostałby zapewne prztyczka w nos, a był to najmniej odpowiedni moment na denerwowanie dziewczyny.

W tej sytuacji postanowił podtrzymać kulejącą konwersację.

— Cieszę się, że zechcieliście wspomóc jego królewską mość w dochodzeniu należnych mu praw i przyczynić się do wydarcia Teiflac

Właściwie ciągle jeszcze zaskoczony był błyskawiczną decyzją paniąki, która od razu zgodziła się odegrać rolę przynęty dla obsady zamku. Nie zdołał jeszcze dojść przyczyny, dla której to uczyniła. A ponieważ stwierdzenie jego pozostało bez odzewu, zapytał o to wprost.

Trudi odwróciła do niego twarz i obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem.

— A mówi się, że mężczyźni są rozumni i winni wszystko wiedzieć. Tymczasem albo teza ta jest nieprawdziwa, albo znacząco się różnicie od innych istot waszej płci.

— To wam się udało!

Junkier Peter postanowił nie dać się sprowokować i powtórzył pytanie.

— W takim razie możecie mi zdradzić, dlaczego mi pomagacie.

— Nie wam pomagam, tylko jego królewskiej mości. Później zechce mnie może z większą łaskawością wysłuchać i udzieli mi wsparcia.

Trudi pomyślała, że w imię ratowania rodziny gotowa jest jechać nawet z junkrem Eichenloh, chociażby miała przyczynić się do pomnożenia jego niezасłużonej sławy. Stawką był Kibitzstein, dla którego poniesie każdą ofiarę. Przez chwilę pomyślała o Georgu von Gressingenie i poczuła, jak serce ściska jej się z bólu. O ileż chętniej jechałaby teraz ze swym ukochanym do Teiflachu!

Eichenloh wymyślał sobie po cichu od durni, bo powinien się przecież sam tego domyślić. Wszak dziewczyna powiedziała mu, że jedzie do Fryderyka, prosić o pomoc dla swej znajdującej się w trudnym położeniu matki. Niestety, będzie musiała przeżyć gorzkie rozczarowanie. Niemiecki król elekt i książę Austrii sam ledwo dawał sobie radę, nie mówiąc już o udzieleniu wsparcia innym. Maria Adler będzie musiała sama sobie poradzić lub też oddać Kibitzstein i swe pozostałe posiadłości księciu biskupowi z Würzburga, co wydawało się zresztą bardziej prawdopodobne.

— Jeśli zdobędę dla króla Teiflach, wówczas Fryderyk III uratuje

Kibitzstein! — powtórzyła Trudi z naciskiem.

— Z pewnością to uczyni — odparł bez przekonania i poczuł się tak nieswojo, jakby właśnie oszukał najlepszego przyjaciela.

W pierwszej chwili junkier Peter miał zamiar zaproponować dziewczynie, że odwiezie ją do ojczyzny i spróbuje wskórać coś dla jej matki. Jednakże z dwoma tuzinami wojowników nie wystraszyłby zbyt wiele Gotfryda Schenka zu Eimpurg. W związku z tym Eichenloh postanowił nie wybiegać myślami w tak odległą przyszłość i skoncentrować się na stojącym przed nim zadaniu.

— Daleko jeszcze? — zawołał do przewodnika, który nie chciał iść dalej pieszo i stanowczo zażądał konia.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie, zamek leży zaraz za tamtym wzniesieniem. Dotrzemy tam dwie godziny przed zapadnięciem nocy.

— W takim razie powinniśmy zrobić postój i poczynić przygotowania. Jesteście gotowi, panienko Trudi?

Obcy nazywali ją zwykle panienką Hiltrudą. Tylko przyjaciele i znajomi używali zdrobnienia Trudi. Pierwszy raz usłyszała odpowiadający jej stanowi zwrot „panienko” w połączeniu ze skróconym imieniem i spodobało jej się to. Dlatego skinęła głową bardziej przyjaźnie, niż początkowo zamierzała. Mimo to nie mogła odmówić sobie małej szpileczki.

— Gotowam, panie żołnierzu.

— Właściwe miano brzmi „kapitanie”. Powinniście się już zmiarkować. — Mówiąc to, junkier Peter roześmiał się wesoło i przywołał do siebie czterech swoich ludzi o nieco mizerniejszej posturze od pozostałych. Ku rozbawieniu całej kompanii, nieszczędzającej im kąśliwych uwag, Eichenloh polecił im wdziać niewieście suknie, znalezione w skalnym zamku. Ubrania czuć było stęchłą. Ponadto nosiły dość liczne ślady moli i myszy. Mimo to w słabym świetle zapadającego zmroku przebrani mężczyźni spokojnie mogli uchodzić za kobiety, zwłaszcza że była zima i mogli dodatkowo okutać się grubymi płaszczami. Jako że Uta ciągle jeszcze odczuwała ból po zadanych jej cierpieniach, Eichenloh kazał jej zostać z oddziałem.

Trudi oprócz przebranych za kobiety mężczyzn towarzyszyć miało czterech uzbrojonych wojowników, stanowiących orszak godny jej pozycji.

Zadowolony z przebiegu przygotowań Peter lustrował mężczyzn, klepiąc każdego po ramieniu.

— Powodzenia, ludzie! Spróbujcie utrzymać bramę. Dojedziemy do was tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Przez chwilę rozważał, czy sam nie powinien pojechać z Trudi, lecz zdecydował, że lepiej będzie, jeśli się wstrzyma. Ludzie księcia Albrechta mogli się już dowiedzieć, że wstąpił w służbę króla, a wśród świty tego pierwszego było dość osób znających jego twarz. Quirin również odpadał, ponieważ marszałek towarzyszący w podróży damie szlacheckiego pochodzenia powinien poprawnie się wysławiać.

Z tych względów wybór padł na Hardwina von Steinsfelda. Chłopak sprawiał wprawdzie wrażenie podenerwowanego jak panna młoda przed nocą poślubną, lecz junkier Peter wierzył, że nie straci niezbędnej orientacji. Chwycił i przytrzymał chwilę dłoń młodzieńca.

— Wiecie, co macie czynić?

Wargi Hardwina miały bladą kolor. Chłopak przytaknął.

— W takim razie wszystko w porządku. Poczekamy, aż słońce

zacznie kryć się na zachodzie. Wtedy wyruszyście. Nieważne, co się stanie, cały czas pamiętajcie, że jedziemy za wami i w razie czego wam pomożemy.

Eichenloh miał nadzieję, że nie zajdzie taka potrzeba. Od przewodnika dowiedział się, że w zamku zostało nie więcej niż dziesięciu do dwunastu ludzi. Kilku z nich to niewyćwiczeni w walce pachołkowie. Poza tym znał swoich ludzi i wierzył, że nawet przy liczniejszej obsadzie udaloby im się utrzymać bramę wystarczająco długo. Nie wolno natomiast wystawić na niebezpieczeństwo Trudi. Dlatego po raz kolejny przykazał jej, by zawróciła swą klacz natychmiast, gdy tylko przy bramach rozpocznie się walka.

— Zważcie przy tym, byście nie wjechali nam prosto pod nogi! Musimy działać błyskawicznie, jeśli chcemy przyjść w odsiecz naszym przyjaciołom. — napomniął dziewczynę, gładząc przy tym rękojeść miecza.

Jego ręce były spocone i czuł taki niepokój jak nigdy dotąd. Z niechętnym mruknięciem ściągnął rękawice, chwytając w dłonie ostre, szczypiące powietrze.

Gdy tylko słońce dotknęło zachodnich szczytów, skinął na Steinsfelda.

— Możecie ruszać. Pamiętajcie, by mieć baczenie na panienkę. Zdobędziemy sobie kiepską sławę, jeśli odbijemy zamek z jej uszczerbkiem.

— Mówicie tak, jakbym nie potrafiła sama na siebie uważać. Ale tu się mylicie! — Trudi zmierzyła go druzgocącym spojrzeniem, a przynajmniej taki miała zamiar, następnie zaś dała znak swym towarzyszom, by ruszali za nią.

Eichenloh z trudem oparł się pragnieniu, by ją zawrócić, przełożył przez kolano i natrzeć śniegiem gołe siedzenie.

— Jeśli coś sknoci, zamorduję! — zamruczał pod nosem i odwrócił głowę, jakby chciał zlustrować resztę oddziału. Jednakże kilka minut później znów zerknął w kierunku jej z wolna zmniejszającej się w oddali postaci.

Stojący obok niego Quirin pokręcił głową.

— Gdyby w czasie naszego pierwszego spotkania z tą panną ktoś mi powiedział, że kiedyś razem z nami wyruszy i zmyli naszych przeciwników, uznałbym, że postradał rozum.

— Zamilcz! — ofuknął go Eichenloh.

Quirin przechylił głowę i zaczął się zastanawiać, co też mogło wstąpić w jego dowódcę. Później zauważył spojrzenie junkra wlepione w stronę oddalającej się Trudi i musiał powstrzymać eksplodujący w nim wybuch śmiechu. Najwidoczniej zainteresowanie kapitana tą pannicą było głębsze, niż sam to sobie uświadamiał. Trudi Adler była wprawdzie straszną złością, ale również nadzwyczaj urodziwą dziewczyną. Poza tym, zdaniem Quirina, do junkra Petera nie pasowałaby żadna łagodna i ustepliwa niewiasta, która znudziłaby go po zaledwie kilku dniach. Potrzebna mu była kobieta potrafiąca od czasu do czasu odparować cios.

Quirin prychnął i zganił się za swoje kombinacje.

— Cóż za bzdury! Ta mała uważa go przecież za mordercę ojca, a pomaga nam tylko dlatego, że chce zdobyć sobie zasługi u króla.

— Co powiedziałaś? — chciał wiedzieć Eichenloh, do którego dotarło mruknięcie jego zastępcy, ale nie udało mu się zrozumieć, o co chodzi.

Quirin spłonął jak pruderyjna panienka słyszająca sprośny żart.

— Ech, sam sobie złorzeczyłem. Nie podoba mi się, że jesteśmy zależni od małej dziewczynki. Jeśli Trudi Adler popełni błąd, nie będziemy

mieli po co wracać do króla.

— Zastrzeżenia trzeba było zgłaszać, jak był na to czas. Teraz już na to za późno!

Chodź! Grupa dotarła do wzniesienia i niebawem stanie u bram zamku. Nie możemy pozwolić naszym ludziom czekać. Nie wiadomo, jak gorąca rozgorzeje tam dyskusja.

6.

Za pierwszym wzniesieniem wyrosło następne, jeszcze wyższe. Z trzech stron jego stoki były tak strome, że nawet przy lepszej pogodzie pokonanie ich nie byłoby raczej możliwe. Tylko czwarte zbocze pozwalało na dojście do twierdzy chronionej przez potężny mur obronny. Za nim znajdowało się najpewniej wąskie międzymurze, później zaś, położony jeszcze wyżej właściwy zamek.

Jednakże to nie warowność i niedostępność grodziska stanowiły o znaczeniu Teiflachu, lecz samo położenie zamku, który królował ponad dwoma schodzącymi się u jego stóp szlakami handlowymi. Ten, kto posiadał twierdzę, mógł zablokować drogi. Dlatego też Trudi nie dziwiła się, dlaczego król Fryderyk nie chce zostawić Teiflachu w rękach wroga. Zadawała sobie raczej pytanie, z jakiej przyczyny powierzył odbicie twierdzy takiemu prostemu dowódcy jak Eichenloh, nie zaś któremuś ze swych szlachetnie urodzonych sprzymierzeńców. Również ilość wojowników, którymi dysponował, była o wiele za szczupła do tego przedsięwzięcia.

To właśnie stanowiło przypuszczalny powód, dla którego Eichenloh zdecydował się skorzystać z podstępu. Mimo iż z przyjemnością zostałyby świadkiem jego gorzkiej porażki, teraz modliła się o sukces. Jeśli uda się z jej pomocą odbić Teiflach, dla króla Fryderyka kwestią honoru stanie się spełnienie jej prośby o pomoc dla Kibitzsteinu.

Z tą myślą skierowała swą klacz na drogę prowadzącą ku zamkowi. Między drzewami rosnącymi u podnóża stoku ujrzała coraz bardziej zbliżające się do nich szare mury. Przez kilka pełnych trwogi minut pokonywali pozbawione jakiegokolwiek osłony pole ostrzału leżące tuż przed zamkiem. Wreszcie stanęli przed bramą, której od czasu nawałnicy nikt jeszcze nie otwierał. W pierwszej chwili Trudi miała wrażenie, że twierdza jest niezamieszkała. Za chwilę jednak odkryła wąską strużkę dymu, unoszącą się zapewne nad zamkową kuchnią, i dopiero ten widok uświadomił jej, że przybyła tu w wielce niebezpiecznej misji. Obrońcom zamku musiała wiarygodnie przedstawić się jako nieporadna, złąkniona podróżna, która zbłądziła w górach.

Hardwin zrównał się z nią i zaczął się tak intensywnie rozglądać, iż Trudi miała ochotę przywołać go do porządku. Tego typu zachowanie mogło wzbudzić w zamku podejrzenia.

— Halo, jest tam kto? — zawołał.

Jako że w takich warunkach pogodowych zewnętrzne bramy zamków nie były zbyt czujnie chronione, swe przybycie trzeba było zwykle głośno oznajmiać, a później długo czekać na jakąkolwiek reakcję.

Tym razem odpowiedź przyszła natychmiast.

— Kto wy?

Nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie — pomyślała Trudi i ustawiła klacz obok konia Steinsfelda.

— Łaskawy człowieku, czy mógłbyś być tak dobry i oznajmić

swemu panu, że ja, Hiltruda Adler z Kibitzsteinu, proszę o schronienie na tę noc.

Właściwie zaanonsowanie jej było zadaniem Hardwina, lecz Trudi obawiała się, iż w zdenerwowaniu może się on pomylić i obudzić w strażniku podejrzenie, że goście pragnący dostać się do środka nie byli żadnymi nieszkodliwymi podróżnymi.

Dwaj wartownicy przez wąskie okienko popatrzyli na grupę jeźdźców, a następnie spojrzeli na siebie.

— Skąd oni jadą? Powiadomię pana von Gressingena — powiedział jeden z nich.

Jego kolega skrzywił się.

— Von Gressingen już pewno śpi albo leży pijany w jakimś kącie. Chcesz pozwolić, żeby ta szlachetna dama tak długo czekała na mrozie?

Drugi z wartowników był nieślubnym synem pewnego rycerza i uważał się za lepszego niż reszta pieszych knechtów. Swego czasu miał nawet nadzieję, że księżę Albrecht ustanowi go kapitanem twierdzy Teiflach. Był to również powód, dla którego irytowała go obecność obu rycerzy i zarówno Gressingenowi, którego nienawidził z powodu jego pychy, jak też Hennebergowi starał się schodzić z drogi.

Pierwszy powściągnął cisnący się na jego twarz szyderczy uśmiech. W jego oczach Pan Bóg każdemu człowiekowi przydzielił należne mu miejsce i nie powinno się tego zmieniać. Dlatego czuł wzdarcie dla ambicji swego kolegi. Taki już był zwyczaj, że rycerz rozkazywał wieśniakom, hrabia rycerzom, zaś księżę hrabiom.

Wyżej od księcia stał jeszcze król i właśnie ten fakt przyprawiał mężczyznę o ból zębów. Zgodnie z prawem bożym księżę Albrecht Austriacki jako młodszy brat Fryderyka III winien mu posłuszeństwo. Zamiast tego podniósł na niego rękę.

Mężczyzna pilnował się jednak, by nie wypowiedzieć tych słów na głos, jako że stał w służbie księcia Albrechta i musiał wypełniać jego wolę.

— Otwieram bramę! — oznajmił nieślubny potomek rycerza, kierując się ku wyjściu z wartowni, lecz towarzysz powstrzymał go.

— Za dużo sobie pozwalasz! Tylko pan Gressingen może zdecydować, czy ludzie ci zostaną wpuszczeni do zamku, czy też nie. Poinformuję go o ich przybyciu.

Pchnąwszy kolegę na ławę, wyszedł z izby. Wspinając się do głównego zamku kiepsko oczyszczoną ze śniegu ścieżką, słyszał rozkapryszony głos kobiety, skarżącej się, że tak długo każą jej czekać na zimnie przed bramą.

Rycerski bękart, oburzony do granic impertynencją swego kolegi, który próbował wydawać mu polecenia, również opuścił wartownię i rzuciwszy okiem na plecy oddalającego się w pośpiechu żołnierza, odblokował belkę ryglującą bramę.

Następnie z całej siły naparł na skrzydło, które niczym wmurowane uwięzło w otulających je śnieżnych zaspach.

— Ludzie, będziecie musieli mi pomóc! Sam nie dam rady bramie! — zawołał na tyle głośno, by tylko goście mogli go usłyszeć.

Czterech ludzi udających trabantów Trudi zsiadło z koni i przy pomocy rąk oraz mieczy zaczęło odgarniać śnieg. Ich przebrani za niewiasty kompani, siedząc na koniach, spoglądali na nich z góry i radośnie się uśmiechali. Ich zdaniem praca ta stanowiła właściwą nauzkę za drwiny, których się nasłuchali w związku ze swym przebraniem.

Wkrótce jedno skrzydło dało się uchylić na tyle, by jeźdźcy mogli pojedynczo wjechać do środka. Właściwie Trudi powinna teraz zawrócić i odjechać w bezpieczne miejsce. Zamiast tego wyjechała na czoło grupy. Pełne wyrzutu spojrzenie Hardwina skwitowała niemym ostrzeżeniem i pokierowała klacz do bramy.

— Szczęść Boże, szlachetna damo! — pozdrowił ją wartownik i wlepił wzrok w czubek miecza, który Steinsfeld przystawił mu do gardła. Trochę przedwcześnie, bowiem w tej samej chwili drugi z wartowników, doszedłszy właśnie do górnej bramy, jeszcze raz obejrzał się za siebie.

Na widok połyskującego ostrza, począł wszczynać alarm.

— Atakuj! Do broni! — krzyczał, starając się zamknąć bramę w górnym pierścieniu okalających zamek murów. Jednakże od wielu dni nikt jej nie poruszał i teraz tkwiła zastygła w śniegu. Żołnierz kilka razy próbował poluzować skrzydła, zrozumiał jednak, że były to daremne wysiłki, pobiegł zatem w kierunku mechanizmu opuszczającego kratę.

Trudi zmiarkowała, że chce odciąć im drogę, i popędziła ostrogami swą klacz.

— Naprzód, moja droga! Jeśli ten człowiek nas uprzedzi, wówczas połamiemy sobie na tej twierdzy zęby!

Zwierzę pogalopowało wzdłuż stromej ścieżki, zaś Trudi z zadowoleniem pomyślała o hacelach zamocowanych do podków przez człowieka z oddziału junkra Eichenloh. Widząc zbliżającą się bramę, uprzytomniła sobie, że ma przy sobie jedynie sztylet.

Wartownik wyciągnął miecz, niezdecydowany, czy powinien na nią zaczekać, czy też zaraz odciąć sznur blokujący mechanizm opuszczanej kraty. Jednak myśl o pojmaniu zakładniczki, przy pomocy której jego dowódcy mogliby zaszantażować najeźdźców, była zbyt kusząca. Postąpił krok do przodu i szczerząc zęby w uśmiechu, popatrzył na Trudi.

Dziewczyna pochyliła się nisko nad końskim karkiem, by nie zawadzić o górną krawędź bramy i przez chwilę nie docierało do niej nic poza stuka niem kopyt po pokrytym rzeczonym żwirem dziedzińcu. Naraz mężczyzna pojawił się tuż przed nią i zagroził jej wzniesionym mieczem.

— Stójcie i zsiądźcie z konia, panienko! Jesteście moim jeńcem.

— Tak ci się tylko wydaje! — Trudi ukłuła Nawałnicę tak silnie ostrogami, że klacz zarżawszy z bólu, z pełnym impetem staranowała wartownika. Mężczyzna wypuścił broń, upadł plecami w zaspę i zanim zdążył się pozbierać, otoczony był przez intruzów.

— Postradałaś zmysły! Przecież mógł być cię zabić! — krzyknął Hardwin. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Po twoim błazeństwie z sięgnięciem po miecz, mimo iż nie było takiej potrzeby, nie pozostało mi nic innego. Gdyby udało mu się opuścić kratę, stracilibyśmy możliwość zdobycia zamku, zaś Eichenloh żywcem odarłby cię ze skóry.

Trudi miała rację i Hardwin ściszył głos.

— Cieszę się, że ci się udało, ale to było naprawdę niebezpieczne.

— Tym wyżej powinna zostać oceniona przysługa, którą wyświadczyłaś jego królewskiej mości. — Wypowiedziawszy te słowa, Trudi zsiadła z konia i zaczęła oglądać klacz. Odetchnęła z ulgą, widząc, że Nawałnica nie doznała uszczerbku.

— Gdyby coś jej się stało, stłukłabym cię na kwaśne jabłko! — oświadczyła, zaś sporo od niej wyższy Hardwin skulił głowę w ramionach.

Mężczyzna przebrany za pokojówkę z uśmiechem mrugnął do swych

towarzyszy.

— Ta mała to diabelski pomiot. Nie chciałbym się z nią posprzeczać.

— Ja też nie. Podobno Eichenloh oberwał od niej świńskim łbem.

Szkoda, że nie mogłem wtedy zobaczyć miny naszego kapitana!

— Ha, ha! To musiało być zabawne. Jednak nie chciałbym później tkwić w skórze tej panny. Pewnie nieźle złoił jej tyłek — odparł trzeci.

W międzyczasie Hardwin próbował zdobyć rozeznanie i wskazał na wieżę.

— Postarajcie się odnaleźć wejście! W przeciwnym razie będziemy zmuszeni wziąć ich głodem.

Jeden z mężczyzn dał do zrozumienia, że się nie zgadza.

— To nie byłoby takie trudne. Bądź co bądź moglibyśmy zająć stajnie i budynki gospodarcze, w których można jakiś czas przetrzymać.

— Eichenloh powiedziała ci co innego. A teraz za mną! Po cichu. Może ci na górze jeszcze się nie zorientowali.

Hardwin machnął rozkazująco mieczem, szybko rozejrzał się po dziedzińcu, a następnie wślizgnął się na schody wieży.

Zmierzch powoli przechodził w noc, sprawiając, że widać było tylko cienie męskich sylwetek. Trudi zobaczyła na niebie rozbłyskującą gwiazdę wieczorną i uznała to za dobrą wróżbę. Obserwowała, jak ośmiu jej towarzyszy wspina się zewnętrznymi schodami na wieżę. Później ustawili się z lewej strony wejścia do głównego budynku. W środku panował spokój i wyglądało na to, że faktycznie niczego nie zauważono. Jeden z mężczyzn przystąpił do drzwi, próbując je otworzyć, jednakże były zaryglowane od wewnątrz.

Żołnierz zakolałał, udając jednego ze strażników, i za chwilę dało się słyszeć przekręcany w zamku klucz. Otwierający nie zadał sobie nawet trudu, by wcześniej sprawdzić, czy na zewnątrz rzeczywiście stoi wartownik. Zamiast tego szeroko rozwarł skrzydło drzwi. Nie zdążył się jeszcze zorientować w sytuacji, gdy zadany rękojeścią miecza cios zmusił go do milczenia.

7.

Gdy Eichenloh ze swym oddziałem dotarł do zamku, wszystko było już pod kontrolą i niewiele pozostało do zrobienia. Jednak gdy dowiedział się, w jaki sposób zdobyto twierdzę, uśmiech zadowolenia znikł z jego twarzy. Przez chwilę mogło się wydawać, że ma zamiar zamordować Hardwina. Opanował się wszakże i podszedłszy do Trudi, popatrzył na nią karcąco.

— Czy zawsze musicie tak nierozsądnie postępować? Wydałem ścisły rozkaz, że nie wolno wam wchodzić za bramy zamku. Mielście bezzwłocznie wycofać się w bezpieczne miejsce.

— Prawdę mówiąc, nie miałam ochoty spędzać nocy na dworze! Gdybym nie udaremniła zamiaru wartownika, który chciał właśnie opuścić kratę, niewątpliwie tak właśnie by się stało — odparowała Trudi, rzucając mu butne spojrzenie, po czym przywoławszy do siebie Utę, rozkazała jej poszukać dogodnej komnaty do spania.

Jeden z mężczyzn, który wraz z Trudi brał udział w ataku na zamek, zastąpił dziewczynie drogę.

— Wybaczcie, panienko, lecz w komnatach zamknęliśmy dowódcę straży i kilka innych osób. Mogłoby się zdarzyć, że przez przeoczenie otworzylibyście jedną z nich.

— W takim razie zbierzcie obsadę zamku i zamknijcie ich w piwnicach. Kto tam dowodzi? Mam nadzieję, że to ten sam zdrajca, który oddał zamek ludziom księcia Albrechta.

Junkier Peter potrzebował kogoś, na kim mógłby wyładować złość, a człowiek ten bardzo dobrze nadawał się do tego celu. Jego podwładny pokręcił przecząco głową.

— Wygląda na to, że udało mu się wcześniej uciec. W skład obsady wchodzi sześciu najemnych żołnierzy. Trzech z nich ujęliśmy na samym początku, natomiast pozostałych trzech zamknęliśmy w izbach, które zajmowali. Tak samo, jak obydwu dowodzących nimi rycerzy. Pozostali to służba, kilku niegroźnych pachołków.

— Nie byłbym taki pewny.

Kierowany nawykłym do niebezpieczeństwa instynktem, Eichenloh dobył miecza i skinął na kilku mężczyzn, by poszli za nim. Wchodząc na schody, usłyszeli dochodzące z góry skrobanie. Przyspieszyli. Dotarli w samą porę, bo właśnie jeden z pachołków odciągał zasuwę w drzwiach, za którymi uwięzieni byli Gressingen i Henneberg. Rycerze z mieczami w dłoniach wypadli z pomieszczenia.

— Co tu się dzieje? — Eichenloh usłyszał głos Gressingena i sam udzielił odpowiedzi.

— Przejęliśmy warownię. A poza tym, szczęście Boże, Gressingen. Nie miałem pojęcia, że przeszłicie na stronę księcia Albrechta Austriackiego. A teraz byłbym wam wdzięczny, gdybyście zechcieli oddać mi miecz. Od tej chwili zamek znów należy do króla Fryderyka.

— Eichenloh? Czarł was tu chyba przysłał!

— To nie było zbyt przyjazne powitanie starego przyjaciela, ale wybaczę wam. W każdym razie uważajcie się za więźniów jego wysokości, króla Fryderyka.

— Nic z tych rzeczy, póki miecz trzymam w ręku!

Gressingen już chciał zaatakować junkra Petera, gdy na schodach pojawili się żołnierze, toteż został na swoim miejscu, tocząc wewnętrzną walkę. Duma pchała go do boju, lecz rozum podpowiadał, że pojedynkując się z rycerzem Eichenloh, nic nie wygra. Mówiono, że junkra Petera nikomu jeszcze nie udało się pokonać, ponadto był on odziany w solidną zbroję.

Rozwścieczony Gressingen rzucił broń.

— Wygraliście, Eichenloh. Musieliście skumać się z diabłem, inaczej nigdy nie udałoby się wam zdobyć twierdzy. A może któryś z moich ludzi was wpuścił? Jeżeli tak, to głupiec z niego, bo na podziękowanie Fryderyka długo będzie czekał.

— Poglówkujcie sobie nad tą zagadką! Czy dacie teraz słowo honoru, że zgadzacie się być moim więźniem i nie uczynicie nic przeciwko mnie ani królowi Fryderykowi, dopóki wasz pan nie wykupi was z niewoli albo nie wymieni na kogoś z ludzi Fryderyka?

— Macie moje słowo!

Ledwo to powiedział, zrobiło mu się gorąco, bo nagle dotarło doń, że w ten sposób nie będzie miał możliwości wypełnienia zadania, powierzonego mu przez księcia Albrechta. Gdyby teraz zabił króla, złamałby przysięgę, co oznaczałoby dlań najkrótszą drogę do piekła, jako że dla krzywoprzysięzców bramy nieba zamykały się na wieki. W tej chwili przypomniała mu się inna przysięga, choć nie tak ważka, której także nie dotrzymał. Wtedy przysiągł Trudi Adler, że bezzwłocznie poprosi Michała Adlera o jej rękę. Z tej przysięgi zwolnił go później prałat Cyprian

Pratzendorfer. W takim razie będzie musiał to ponownie uczynić. Obiecana przez księcia Albrechta nagroda warta była ryzyka.

Po tym przemyśleniu Gressingen zrobił krok w kierunku junkra Petera i z ironicznym uśmiechem pochylił przed nim głowę.

— Zaręczam honorem i oddaję się w wasze ręce.

Przy tych słowach Eichenloh poczuł na karku mrowienie, którego przyczyny w żaden sposób nie mógł się dopatrzeć. Poza tym nie miał czasu na zastanawianie się nad tym, bo właśnie podszedł doń drugi z pojmanych rycerzy i chwycił go w objęcia.

— Peter, diabelski synu! Chyba tylko tobie mógł się udać taki figiel!

— Otto von Henneberg! — Głos Petera daleki był od entuzjazmu brzmiącego w głosie dawnego towarzysza wojennych wypraw. Ciągłe jeszcze miał młodemu hrabiemu za złe, że bez pożegnania znikł nagle z Fuchsheimu, choć Eichenloh wcześniej tak gorąco się za nim wstawiał. W końcu bez jego pomocy Otto zostałby uznany za mordercę Michała Adlera, zaś znając wdowę po nim, no i przede wszystkim Trudi, obie niewiasty nie spoczęłyby, póki nie dostałyby jego głowy.

Prawdopodobnie Magnus von Henneberg zaliczał się obecnie do grona nastających na matkę Trudi osób. Przecież nie ukrywał pogardy dla mieszkańców Kibitzsteinu.

Z drugiej strony Otto nie był winien głupocie swego brata. Ponadto przez półtora roku był jego niezawodnym towarzyszem. To wspomnienie nastroiło Petera przychylniej do młodszego z Hennebergów i sprawiło, że powitał go przyjaźniej, niż początkowo zamierzał. Następnie wskazał brodą Gressingena.

— Wstąpiłeś może do jego służby? Mogłeś przecież wrócić do mnie.

— Gdyby to ode mnie zależało, z pewnością bym to uczynił. Ale brat za radą Pratzendorfera wysłał mnie do Austrii, by...

Gressingen uznał, że nadszedł czas, by wkroczyć, ponieważ Henneberg był w jego mniemaniu tak głupi, że mógłby zdradzić junkrowi Eichenloh plan zamachu na króla Fryderyka. Dlatego wymierzywszy mu porządnego kuksańca pod żebra, odsunął młodzieńca na bok.

— Sam byłem zdumiony, gdy zobaczyłem, że hrabia Otto pojawił się w okolicy.

Księżę Albrecht Austriacki pozwolił nam spędzić w Teiflachu zimę. Nie zdecydowaliśmy jeszcze, komu będziemy służyć od przyszłej wiosny.

Otto von Henneberg zawstydzony skulił głowę w ramiona. Mimo że zadanie, które brat króla Fryderyka powierzył jemu i Gressingenowi wydawało mu się niewłaściwe, to honor nakazywał mu milczeć. Poza tym Gressingen złożył przed chwilą przysięgę, że odtąd nie uczyni nic przeciwko królowi. Otto również był gotów złożyć tę przysięgę.

Eichenloh zdążył się już pogodzić z tym, że okpił i pojmał dwóch starych znajomych. Postanowił zastosować w stosunku do nich tylko lekki areszt. Pozwolił im nawet zatrzymać miecze i swobodnie poruszać się po zamku.

— Ale tylko do wewnętrznych bram. Nie będziecie podchodzić do międzymurza ani do murów obronnych — zadysponował.

Zarówno Otto von Henneberg, jak i Georg von Gressingen zgodzili się na to. Hrabia Otto potraktował z powagą złożoną obietnicę, podczas gdy ten drugi miał nadzieję na ucieczkę.

Po złożeniu przysięgi obaj rycerze z więźniów stali się praktycznie gośćmi. Gdy prości żołnierze i pachołkowie z obsady zamku musieli

zadowolili się lodowatymi lochami, Eichenloh wprowadził Gressingena i hrabiego Ottona do sali, gdzie w kominku rozpalono już solidny, trzaskający ogień.

W komnacie siedziała Trudi, wlepiając wzrok w swe poplamione trzewiki. *Zaraz po wyschnięciu skóry trzeba będzie natrzeć świńskim tłuszczem, by zabezpieczyć ją przed śniegiem i wodą* — pomyślała, nie spojrzawszy nawet na Petera von Eichenloh i wchodzących z nim więźniów.

Za to Hardwin osłupiałym wzrokiem zerknął na towarzyszących mu mężczyzn.

— Na Boga, hrabia Otto i junkier Georg! Co sprowadza was w te strony?

— Panowie są teraz naszymi gośćmi — wyjaśnił mrukliwie Eichenloh. Sam nie wiedział, skąd się wzięło jego rozdrażnienie. Przecież powinien się ucieszyć, że z taką łatwością udało mu się przejąć Teiflach. Coś mu się jednak nie zgadzało. Dlaczego książę Albrecht zdecydował się powierzyć pieczę nad zamkiem dwóm obcym rycerzom?

Z zamyślenia wyrwał go zduszony okrzyk Trudi. Zerwała się i podbiegła do Gressingena.

— Panie Georgu, jakże to możliwe?

Myśli w głowie Trudi wirowały niczym kolorowe liście w jesiennym wietrze. Tak długo tęskniła za widokiem swego ukochanego, zaś teraz stanął przed nią jako jeniec. W tej chwili nienawidziła Petera von Eichenloh, a także króla, który wysłał tego żołdaka do Teiflachu. Jednocześnie poczuła spływającą na nią falę szczęścia, ponieważ wreszcie dowiedziała się, co stało się z jej ukochanym. Jego pojmanie musiało być pomyłką. Z całą pewnością nie był wrogiem króla, po prostu w dobrej wierze zatrzymał się na tutejszym zamku. Jeśli do tej pory dumna była z pomocy, jaką udzieliła junkrowi Eichenloh, to teraz najchętniej rzuciłaby się ze wstydu Gressingenowi do nóg, błagając o wybaczenie.

W przeciwieństwie do hrabiego Ottona, który od razu rozpoznał Trudi, Georg von Gressingen potrzebował kilku chwil, by zrozumieć, kto przed nim stoi. Zaskoczenie nieoczekiwanym spotkaniem przywołało na jego twarz wyraz ledwo zauważalnej obawy. Jeśli Trudi oskarżyłaby go przed królem o niedotrzymanie przyrzeczenia małżeństwa, wówczas nawet odpust Pratzendorfera na niewiele by się zdał. Z jednej strony nie było na to dowodów, z drugiej jednak słowa tej małej lafiryndy mogłyby wzbudzić podejrzenia króla co do wiarygodności jego honoru. W takim przypadku zimę spędziłby w zimnym lochu jakiegoś odległego zamku, nie mając najmniejszej możliwości, by choćby zbliżyć się do króla Fryderyka. Jeśli nie chciał utracić szansy na powodzenie przedsięwzięcia, musiał wyprowadzić w pole tę głupią gęś i udawać, że całym sercem pragnie okazać się jej godzien.

Gressingen pośpiesznie zwiesił głowę i przyjął pozę człowieka niesprawiedliwie doświadczonego przez los. W ten sposób spotęgował jeszcze jej nienawiść do junkra Petera, który zmusił ją do zmylenia zamkowych wartowników. Tylko świadomość, że jest skazana na jego pomoc, powstrzymała ją przed skoczeniem mu do oczu, niczym rozdrażniona kotka.

Obaj mężczyźni zorientowali się, jakie uczucia targają dziewczyną. Gressingen pogratulował sobie w myślach, zaś Eichenloh miał szczerą ochotę ją udusić.

Georg postarał się przywołać na twarz wyraz przyjaznego zdumienia, rozchylił ramiona i postąpił do Trudi, potknąwszy się przy tym nieznacznie.

— Panienko Hiltrudo! Jakże się cieszę, mogąc was widzieć! Co robicie w towarzystwie tego człowieka? — powiedział z nutką udanej zazdrości.

Trudi spłonęła rumieńcem.

— Pan Eichenloh ofiarował się zawieźć mnie do jego wysokości, króla Fryderyka.

Tak więc miałem rację. Ta mała lafirynda jedzie do Grazu — przeleciało przez głowę Gressingenowi, który postanowił zrobić wszystko, by wykorzystać jej niedającą się ukryć miłość. Udając zasmucenie, skłonił się przed nią, głęboko przy tym westchnąwszy.

— Niechaj wasza droga okaże się szczęśliwszą od mojej, która zaprowadziła mnie do tego oto zamku. Teraz zaś znalazłem się w niewoli obcych ludzi.

Trudi najchętniej objęłaby go i pocieszyła, tymczasem musiała zadowolić się podarowanym mu uśmiechem.

— Pan von Eichenloh z pewnością was nie uwięzi.

Prośba kryjąca się w tych słowach sprawiła, iż Eichenloh z przyjemnością kazałby skuć Gressingena i zamknąć w najodleglejszym lochu Teiflachu, a Trudi razem z nim.

Kilka chwil potrzebował na wzięcie się w garść.

— Muszę was rozczarować, panienko. Puszczanie Gressingena wolno nie leży w mej mocy. Jest więźniem króla i tylko Fryderyk III może zdecydować o jego dalszym losie.

Eichenloh pożałował swych słów, zanim zdążył je do końca wypowiedzieć, bo dziewczyna wyglądała tak, jakby u króla zamierzała więcej uwagi poświęcić uwolnieniu Gressingena, niż własnej prośbie.

Gressingen śmiał się w duszy. Mimo porażki sytuacja zdawała rozwijać się z korzyścią dla niego. Gdyby udało mu się owinąć Trudi wokół palca do tego stopnia, że zaczęłyby jeść mu z ręki, mógłby uczynić ją swą współniczką. W tym celu nadał swemu głosowi szczególne brzmienie.

— A cóż tak straszno się stało, że w środku zimy postanowiliście odwiedzić króla?

Trudi spojrzała nań wzrokiem sarny czującej w ciele strzałę myśliwego.

— Chodzi o Kibitzstein. Biskup z Würzburga nastaje na mą matkę, by poddała mu swe dobra. Tymczasem cesarz Sigismund nadał nam je, nie nakładając na nas żadnych zobowiązań wobec tego samozwańczego księcia Frankonii. Dlatego chcę prosić króla Fryderyka o ochronę.

Gressingen roześmiał się sam do siebie. Wiedział, że Fryderyk nie był w stanie obronić nawet lichej wieśniaczej chałupy w najbliższej okolicy, nie mówiąc o wolnym zamku nad dalekim Menem. Na głos zaczął natomiast gorliwie przytakiwać, nie szczędząc przy tym słów, co zachęciło Trudi do bardziej szczegółowej relacji. Szybko dowiedział się, że Kibitzstein został opuszczony przez wszystkich przyjaciół i sprzymierzeńców, którzy przyłączyli się do wüzburgskiego biskupa.

Eichenloh przez chwilę przysłuchiwał się rozmowie, później zaś zwrócił się do Quirina.

— Zamek zabezpieczony?

— Tak jest. Lecz nie będziemy mogli długo tu zostać. Zapasy nie wystarczą do wiosny dla obsady, którą zostawimy w twierdzy.

— Jutro rano ruszamy! Wybierz dziesięciu pewnych ludzi, którym możemy powierzyć warownię. Będą musieli sami gotować, bo nie

zamierzam wpuszczać tu żadnego z tutejszych pacholków. Ostatnio mieliśmy okazję się przekonać, jak szybko może zmienić się władza w Teiflachu.

8.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym Trudi mogła stanąć przed królem. Przycisnęła obie dłonie do rozszalałego z emocji serca. Miała teraz podwójną misję. Zadaniem jej było nie tylko przekonanie Fryderyka III do udzielenia wsparcia jej rodzinie, ale zamierzała się również wstawić za Georgiem von Gressingenem, którego ten zazdrosny dureń Eichenloh przedstawiał jako królewskiego wroga. Chętnie wykrzyczałaby temu przywódcy żołądków w twarz, co o nim myśli, lecz powstrzymała się, nie chcąc, by w rezydencji królewskiej wzięto ją za kłótniwe babsko. Przygotowała sobie słowa, którymi chciała łaskawie nastawić króla, by ten nie tylko wypuścił Gressingena na wolność, lecz najlepiej przyjął go jeszcze do służby. Gdy junkier Georg zostanie u króla i otrzyma lenno, nie będzie zdany na jej posag, co uratuje jego dumę.

Idący obok niej Eichenloh wyglądał na rozgniewanego, jakby poniosł potężną klęskę. Gdy zbliżali się do portalu sali audiencyjnej, odchrząknął, by obudzić Trudi z zamyślenia. Powitał ich jeden z podkomorzych Fryderyka o przyklejonym do ust, pełnym dostojnego samozadowolenia uśmiechu. O Peterze von Eichenloh wiedział tylko, że był on przywódcą najemników, niepotwierzonego szlacheckiego pochodzenia, zaś o Trudi nie wiedział nic. W związku z tym bardzo nieznacznie skinął głową i trwał dalej w milczeniu.

— To panna Trudi Adler z Kibitzsteinu. Tylko dzięki niej udało nam się zdobyć Teiflach, nie ponosząc przy tym żadnych strat.

Eichenloh zamierzał dopiero przed królem przedstawić jej zasługi, lecz diabelną przyjemność sprawiło mu zrobienie tego w obecności Gressingena i hrabiego Ottona, kroczących tuż za nimi w otoczeniu trzech pilnujących ich żołnierzy.

Dziewczyna zaczerwieniła się, tłumiąc w sobie nagłą chęć odwrócenia się do ukochanego i przeproszenia go za swój uczynek.

— Witam was w imieniu jego wysokości, króla Fryderyka III.

Ukłon, który podkomorzy wykonał przed Trudi, był teraz znacznie bardziej uniżony niż ten, którym obdarzył junkra Petera. Następnie spojrzał pytająco na dowódcę żołnierzy i wskazał brodą Henneberga i Gressingena.

— Hrabia Otto von Henneberg z linii meńsko - frankońskiej — przedstawił Eichenloh swego dawnego towarzysza wypraw, później zaś wskazał na drugiego z więźniów.

— Junkier Georg von Gressingen, mianowany przez księcia Albrechta dowódcą Teiflachu.

Do Gressingena i hrabiego w mgnieniu oka przystąpiło dwóch strażników.

— Wasze miecze, panowie!

Skrzywiony Gressingen odpiął pas i oddał wartownikom broń.

— Uważajcie na niego. To dobry miecz, przysłużył mi się już w niejednej bitwie.

— Nie wiedziałem, że braliście udział w tak wielu walkach!

Kpina junkra Petera zirytowała Trudi, która zastanawiała się, dlaczego Eichenloh zachowuje się w stosunku do jej ukochanego tak, jakby ten był jego śmiertelnym wrogiem. Miała ochotę wejść mu w słowo, lecz lokaj właśnie otworzył portal, a podkomorzy zapraszającym gestem

skierował ich do środka.

Eichenloh nie jest wart, by zaprzętać sobie nim głowę — pomyślała sobie Trudi i pierwsza skierowała się do drzwi.

Sala wydawała się o wiele za duża, jak na jeden jedyny znajdujący się tam mebel.

Był nim fotel, w którym zajął miejsce król. Jego sylwetka była otulona w suty, brokatowy płaszcz, oblamowany gronostajami. Na głowie miał koronę pokrytą czerwonym sukniem. Lewą dłoń oparł na wysadzanej drogimi kamieniami rękojeści miecza, który Fryderyk III ustawił przed sobą na podłodze, w prawej zaś trzymał berło, swą długością przewyższające jego ramię. Wzrok skierował w przestrzeń przed sobą, a z jego miny można było wnioskować, że nie zauważył, iż podkomorzy wprowadził gości.

Fryderyk III wydał się Trudi tak dostojny i nieobecny, że nie miała wprost odwagi oddychać. Złożyła głęboki ukłon, zawstydzona szelestem swej sukni. Towarzyszący jej mężczyźni skłonili się tak nisko, jakby chcieli ucałować ziemię przed stopami króla.

Na znak dany przez podkomorzego, herold trzy razy uderzył laską w podłogę.

— Jego dostojność, hrabia Otto von Henneberg, panna Hiltruda Adler z Kibitzsteinu, junkier Georg von Gressingen, pan Hardwin von Steinsfeld, pan Peter von Eichenloh. — Podkomorzy obwieścił przybycie gości w kolejności zgodnej z nadaną im przezeń rangą.

Król uniósł głowę i przyglądając się czterem mężczyznom i dziewczynie, rzekł: — Najważniejszego wymieniliście na końcu, choć wszyscy są miłymi gośćmi.

Eichenloh, udało się zdobyć zamek?

Peter ponownie się skłonił.

— Z prawdziwą radością chciałbym poinformować waszą królewską mość, że nad wieżami Teiflachu znów powiewa wasza chorągiew.

— Wspaniale, wiedziałem, że dacie sobie radę.

W oczach Trudi rozbłysł gniewny ogień. W końcu to tylko jej zasługa, że wszystko udało się tak gładko przeprowadzić. Chciała zrobić krok w stronę króla, by mu wszystko wyjaśnić, lecz w tym momencie Eichenloh złapał ją za suknię, chwytając przy tym materiał tak mocno, że jego palce wbiły jej się w pośladki.

Była to jedyna możliwość, by powstrzymać ją bez zwrócenia uwagi króla.

Eichenloh znał Fryderyka III i wiedział, jaką wagę król przykłada do zachowania zasad etykiety. Dziewczyna, która zwróciłaby się doń niezapytana, z miejsca straciłaby jego przychylność. Podczas gdy Trudi zastanawiała się, czy w obecności króla powinna spoliczkować junkra Petera, czy tylko słowa mi przywołać go do porządku, ten odciągnął ją kawałek do tyłu i jeszcze raz głęboko się ukłonił.

— Mówcie — rzekł król, spojrzawszy na junkra.

— Zamek został zdobyty dzięki sprytowi i odwadze, wasza wysokość, jednakże nie siebie chcę za to chwalić, lecz tę oto młodą damę, która nam w tym pomogła. Udało jej się zmylić wartowników i otworzyć nam drogę do zamku.

Zanim Peterowi udało się dojść do szczegółowego opisu, król uniósł dłoń.

— Dziś, podczas wieczornego posiłku będziecie mieli okazję zdać mi szczegółowo sprawę z okoliczności waszego zwycięstwa. Teraz chcę się

jeszcze dowiedzieć, kim są ci dwaj panowie, których jeszcze nie znam.

Hennebergowie mają przecież swe dobra w północnej części Frankonii.

— Moja gałąź rodu mieszka nad Menem. Nasi przodkowie mają tam swą siedzibę od czasów cesarza Konrada X! — Hrabia Otto mówił to z dumą człowieka, którego ród dorównywał niegdyś Habsburgom, choć obecnie tych drugich los obdarzył koroną niemiecką.

— Nad Menem? Ach tak! — Ton głosu króla świadczył o tym, że okolica ta niezbyt go teraz interesuje. Następnie spojrzął na Gressingena, który, pozbawiony miecza, był najwidoczniej drugim więźniem.

— Georg von Gressingen był dowódcą ludzi pozostawionych przez księcia Albrechta w Teiflachu — poinformował Eichenloh z pewną złośliwością.

— Tak więc poplecznik mego brata.

Usta króla zwały się, a jego wzrok sposepniał.

Gressingen miał ochotę udusić junkra Eichenloh. Po tym, jak ten niemyty żołdak go przedstawił, nigdy nie uda mu się podejść do króla bez obecności jego straży przybocznej. Teraz także za tronem Fryderyka stało dwóch potężnych mężczyzn z obnażonymi mieczami, bacznie obserwujących wszystko, co działo się wokół, by w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa stanąć w obronie swego władcy. Mimo to Gressingen nie uważał swego przedsięwzięcia za niemożliwe.

Jego spojrzenie padło na Trudi, miotaną uczuciami: głębokim szacunkiem dla króla i złością za lekceważenie, jakie jej okazał. Nie wiedziała, kiedy znów uda jej się znaleźć przed obliczem monarchy, toteż jeszcze raz spróbowała się do niego zbliżyć. Eichenloh ponownie ją powstrzymał.

— Poczekajcie, aż będziecie mieli okazję prywatnie porozmawiać z królem— wyszeptał, lecz Fryderyk go usłyszał.

— Wygląda na to, że młoda dama ma do mnie sprawę. Wysłucham jej dziś wieczorem.

Ton głosu i gesty króla świadczyły o tym, że audiencję uważa za zakończoną.

Natychmiast zjawił się podkomorzy i wskazał drzwi, które właśnie zostały otwarte przez dwóch lokai.

Targana uczuciami Trudi niemal zapomniała o dygnięciu. Lecz Peter, chyląc w ukłonie głowę i plecy, prawą ręką pociągnął za sobą dziewczynę. Prawie udało jej się wykonać ukłon pełen szacunku, a już Eichenloh złapał ją za ramię i pociągnął za sobą.

Ledwo zamknęły się za nimi drzwi sali audiencyjnej, Trudi z rumieńcami gniewu rzuciła się w kierunku junkra.

— Ty bezrozumny głupcze! Myślisz, że pozwolę ci się ośmieszać przed królem?

Zobaczysz...

Eichenloh złapał jej uniesioną do uderzenia rękę i spojrzął nań wściekłym wzrokiem.

— Zrobiłem tylko to, co należało. Chcecie, by król odesłał was do domu z kwitkiem? Fryderyk III nigdy nie wybaczyłby wam zakłócenia przepisowego porządku audiencji. Powinniście być mi wdzięczni, że zwróciłem na was uwagę króla, który teraz porozmawia z wami, gdy nadarzy się stosowna okazja. Do tego czasu powinniście poćwiczyć ukłony. Wygląda na to, że nie nauczono was w domu dobrych manier. — Mówiąc to, odepchnął ją od siebie i odszedł wydłużając krok.

Trudi patrząc za nim, poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Mimo, że bardziej niż kiedykolwiek nienawidziła tego człowieka, to jednak zaczęła rozumieć, że miał rację. W końcu chodziło o życie jej rodziny, więc nie wolno jej było rozszłościć króla. Z drugiej strony oczekiwała, że Fryderyk będzie bardziej wyrozumiały i okaże więcej zainteresowania jej problemem. Do tego złościło ją, że król tak wrogo potraktował Georga von Gressingena. Pozostało jej tylko mieć nadzieję, że przy kolacji król okaże się bardziej otwarty. Jeśli zaś chodzi o junkra Eichenloh, to nie powinna zapominać, że zawdzięcza mu życie. Gdzieś w głębi serca wiedziała również, że to nie on był mordercą jej ojca. To prawda, że był szorstkim człowiekiem, ale uczciwym i prawym, toteż nie wierzyła, by mógł dopuścić się skrytobójczego mordu.

Szybko jednak wypędziła z myśli dowódcę oddziału i zaczęła marzyć o kolejnym spotkaniu z Gressingenem. W drodze do Grazu nie mieli możliwości swobodnie porozmawiać. A przecież miała mu tyle do opowiedzenia. Ponadto koniecznie chciała dowiedzieć się, co robił w ciągu ostatnich miesięcy.

Wtedy na pewno zrozumie, dlaczego nie zjawił się w Kibitzsteinie, mimo iż przyrzekł jej wierność na zawsze.

9.

Król Fryderyk, który ogromną wagę przywiązywał do ceremonii oficjalnych wystąpień, zasiadłszy do wieczornego posiłku przy wspólnym stole, zachowywał się z dużą swobodą. Z widocznym zadowoleniem wysłuchiwał sprawozdania Petera Eichenloh ze zdobycia zamku Teiflach i łaskawie popatrzył na Trudi, której zasługi zostały należycie docenione. Nawet hrabia Otto, który przecież zawdzięczał jej ciągle jeszcze widoczną na jego twarzy bliznę, skinął z uznaniem, słysząc, jak dziewczyna poradziła sobie ze strażnikiem próbującym opuścić kratę.

— Ku własnemu ubolewaniu sam przekonałem się, że ta panna ma więcej odwagi od niejednego mężczyzny. Ale gdybym nie był pijany... — Henneberg nie wypowiedział do końca swej myśli.

Eichenloh machnął ręką.

— Wówczas nie byłbyś tak szalony, by ją zaatakować. Po prostu grzecznie byś się skłonił i poprosił, by udała się do domu.

— Zaś ja z pewnością bym to uczyniła! — Trudi próbowała zachować spokój.— Mieliliśmy potwierdzone na piśmie prawo zbierania wina w dobrach Hilgertshausen i nikt nam tego nie zabroni. Czyż sygnowane umowy służą tylko do rozpalania nimi ognia w kominie?

— Ta młoda dama ma słuszość — potwierdził król. — Gdyby panujący należycie przestrzegali przepisów prawa, więcej spokoju mielibyśmy w królestwie. Jednak wiele szlachty przy użyciu siły i fałszywych przysiąg chce przywłaszczyć sobie jak najwięcej ziem i powiększyć w ten sposób swą potęgę. Porządek boski nic już dla nich nie znaczy!

Eichenloh wiedział, że aluzja króla dotyczy nie tyle biskupa z Würzburga, co jego własnego brata, Albrechta Austriackiego, który jako młodszy powinien był się podporządkować jego władzy, zamiast samemu sięgać po potęgę i bogactwo.

Trudi natomiast odniosła wrażenie, jakby król chciał przywołać do porządku wroga jej matki, co na nowo napełniło jej serce nadzieją.

— Zaiste mądre są wasze słowa, wasza królewska mość. My sami, to

jest matka moja, rodzeństwo i ja, wbrew wszelkiemu prawu zagrożeni jesteśmy przez biskupa z Würzburga, który chce odebrać nam większą część naszych dóbr, zaś w odniesieniu do reszty żąda złożenia mu hołdu poddańczego. Tymczasem Kibitzstein stanowi wolne, dziedziczne lenno, nadane memu ojcu przez cesarza Sigismunda. Cesarz za zasługi zamierzał nadać memu ojcu jeszcze tytuł barona, jednakże śmierć pokrzyżowała mu plan. Musicie nam pomóc, dostojny panie! Sami nie damy oporu Würzburgowi. Gdy Kibitzstein padnie, wówczas biskup przywłaszczy sobie również inne niezależne władztwa, odbierając je wam, monarsze sprawującemu pieczę nad królestwem. Spójrzcie tylko na pana Georga von Gressingena. Biskup wypędził go z jego prawowitych dóbr tylko dlatego, że chciał bronić swych rodowych praw.

Próba Trudi, która przy okazji starała się wstawić za ukochanym, wydała się Peterowi błazeństwem. Dla Fryderyka Gressingen był jedną z kreatur jego brata, księcia Albrechta, a tym samym wrogiem, toteż wystąpienie w obronie tego człowieka odbierało moc jej własnej prośbie o wsparcie.

Na twarzy króla pojawił się wyraz niechęci.

— Pomyślę o tym.

Na Trudi słowa te podziały jak zimny prysznic. Niemniej nie chciała dać wiary, że król odrzucił jej prośbę.

— Wasza wysokość, tu nie ma nad czym się zastanawiać. Musicie pokazać biskupowi, gdzie jest jego miejsce, inaczej w swym nienasyceniu wszystkich waszych wiernych rycerzy z Frankonii uczyni wüzburgskimi pachołkami.

W rozpaczy Trudi zapomniała, że królowi nie należy zaprzeczać. Z roziskrzonymi oczyma zacisnęła pięści, jakby z tej odległości postanowiła powalić Gotfryda Schenka zu Limpurg.

— Powiedziałem, że pomyślę o tym! — W głosie Fryderyka zabrzmiało nieskrywane ostrzeżenie, by nie naprzykrzać mu się więcej z tą sprawą.

Trudi walczyła z napływającymi jej do oczu łzami, zaś Eichenloh ku własnemu zdziwieniu zauważył, że jej współczuje. Wyruszyła do Grazu z ogromną nadzieją, a przeżyła po drodze wiele niemiłych przygód. Tymczasem równie dobrze mogła zostać w domu, bo Fryderyk III nie był w stanie wysłać do Frankonii nawet jednego uzbrojonego człowieka. Musiał nie tylko opędzać się przed żądaniem swego brata, który bynajmniej nie przebierał w środkach, lecz również stawić czoło naciskom ze strony Czech i Węgier. Pierwsi żądali od niego wydania swego następcy tronu, Ladisława, natomiast Władysław Jagiełło, jako nowy król Węgier, nie zamierzał okazać mu akceptacji. Tylko sułtanowi osmańskiemu, Muradowi, zagrażającemu węgierskim granicom, zawdzięczał fakt, że Jagiellończyk nie skierował swych wojsk na Austrię.

Fryderyk III miał dość trosk związanych z utrzymaniem własnej pozycji. Toteż książęta mogli wyczyniać, co im się żywnie podobało, zaś ofiarami ich chciwego dążenia do władzy padały niewielkie, niepodległe państewka. Nawet jakaś Trudi Adler nie mogła tego zmienić. Wreszcie Eichenloh rozżościł się sam na siebie z to, że tak wiele o dziewczynie rozmyśla. Trudi była małą jędrą o ostrym języku, pozostawiającą wiele do życzenia, jeśli chodzi o należyne szacunek i maniery, która, jak zdążył dowiedzieć się od jej służącej Uty, bez zgody matki wyruszyła w pełną czyhających niebezpieczeństw drogę.

Nie chcąc pozwolić, by Trudi nadal nalegała, złoścąc przy tym króla, Eichenloh pochylił się ku Fryderykowi, próbując zwrócić na siebie jego uwagę.

Król chętnie odwrócił się w jego stronę.

— Wygląda na to, że coś leży wam na sercu, Eichenloh. Peter uśmiechnął się i skinął głową. Zaraz jednak spowaźniał.

— Wasza królewska mość, chodzi mi o obecną tu damę. Bez niej odbicie Teiflachu mogłoby się nie powieść, toteż zasłużyła na nagrodę.

Król zamyślił się na moment.

— Z całą pewnością, lecz wcześniej chciałbym pomyśleć, co jej się należy.

— Proponowałbym zaaranżować dla niej odpowiednie małżeństwo. Z pewnością macie wśród swych zaufanych ludzi kogoś, kto by się nadał. Powinien być trochę starszy, by z opanowaniem potraktować kipiący temperament tej młodej damy. A może opieka nad kilkorgiem pasierbiąt utemperowałaby nieco jej nadzwyczaj żywotny charakter. Przydałaby się też mocna głowa, bo czasem zdarzają się latające przedmioty, zaś z własnego doświadczenia wiem, iż owa dama niezwykle wprawnie trafia do celu.

Steinsfeld i Henneberg, którzy w Fuchsheim na własne oczy widzieli rzut świńskim łbem, musieli teraz mocno się powstrzymać, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Natomiast uczucia Gressingena krążyły na zmianę wokół nadziei i obawy. Gdyby król oddał Trudi za żonę innemu mężczyźnie, on zostałby zwolniony ze wszystkich zobowiązań i mógłby nawet obłudnie udać smutek i urazę. Ale małżeństwo nie może zostać zawarte za wcześnie, ponieważ w dalszych planach pomoc Trudi była mu niezbędnie potrzebna.

Król nie myślał od razu znaleźć odpowiedniego kandydata i wołać kapłana, lecz zafrasowany zmarszczył czoło.

— Wezmę to pod rozwagę. Wasza propozycja wydaje mi się dobra, albowiem nie mogę długo trzymać tej młodej damy na dworze. Byłoby to możliwe tylko wówczas, gdybym miał małżonkę, która by się nią zaopiekowała. Wszak na uwadze należy mieć również mój własny ożenek.

Trudi z coraz większym rozdrażnieniem przysłuchiwała się rozmowie między królem a junkrem Peterem, aż wreszcie nie wytrzymała.

— Wasza wysokość, jeśli zamierzacie aranżować jakieś małżeństwo, to najlepiej dla tego pana. Jemu potrzebne ono pilniej niżli mnie, bowiem niezbędna jest mu niewiasta, która zajmie się jego odzieniem.

Wprawdzie dla króla Eichenloh przyodziął się staranniej niż zwykle, mimo to Trudi ze skrywanym zadowoleniem zauważyła, że jego ubranie nie było specjalnie czyste.

W przeciwieństwie do pozostałych panów, połyskujących mieniącymi się brokatami, w swym jednobarwnym, zielonym kaftanie, popielatych spodniach i wygodnych trzewikach, niespecjalnie odpowiadających wymogom mody, wyglądał raczej niepozornie.

Trudi poprawiła się w myślach. Ubranie junkra mogło być niepozorne, on sam jednak w żadnym razie taki nie był. Mimo iż Otto von Henneberg i Hardwin von Steinsfeld byli od niego wyżsi, miało się wrażenie, że to on nad nimi górował. Było w nim coś, czego nie dało się określić przy pomocy miary łokcia. W poszukiwaniu przyczyny tego wrażenia przyjrzała mu się uważniej niż zwykle i uznała, że wcale nie jest tak odpychający, jak początkowo jej się wydawało. Oczywiście nie był piękny i nie mógł się równać z Georgiem von Gressingenem. Ale biła od

niego taka pewność siebie, jakiej życzyłaby również swemu ukochanemu. Przeleciała jej przez głowę myśl, że temu mężczyźnie Gotfryd von Schenk zu Limpurg nie odebrałby tak łatwo rodzinnego zamku.

Tymczasem król z chytrym uśmiechem zwrócił się do Petera.

— Co myślicie o propozycji tej młodej damy? To niezła myśl, by przez małżeństwo upewnić się o waszej wierności.

Eichenloh pojął, że wiatr zaczyna wiać mu w oczy. Dla Fryderyka III Trudi była tylko młodą dziewczyną, nieprzedstawiającą sobą żadnej większej wartości.

Natomiast on właśnie udowodnił swą przydatność i król mógł dojść do wniosku, że ożenkiem zwiąże go mocniej ze sobą.

— Wasza wysokość, powinniście wziąć pod uwagę, że nie jestem stworzony do małżeństwa. Już dziś ubolewam nad panną, którą zechcielibyście skarać moją osobą. Widywałyby mnie rzadko, a jeszcze rzadziej czułaby moje uściski. — Przy tych słowach zmierzył Trudi morderczym spojrzeniem.

Ona jednak śmiała się zadowolona, zaś Gressingen skorzystał z okazji, by mu się odplacić.

— Gust wasz zwraca się raczej ku chłopcom, nieprawdaż? Aczkolwiek nie powinno to zasadniczo stanowić przeszkody do zawarcia małżeństwa, jako że i tak większość czasu spędzacie poza domem.

Podczas gdy Trudi próbowała zrozumieć, co jej ukochany chciał przez to powiedzieć, Hardwin poczuł się urażony słowami Gressingena.

— Jeśli słowo chłopiec miało się odnosić do mnie, to z przyjemnością gotów jestem na placu turniejowym wybić wam z głowy te brudne myśli. Kilka miesięcy temu w lesie posiadłości Fuchsheim pokazaliście, co z was za jeden.

Trudi i Gressingen pojęli w lot, do czego pił Steinsfeld. Dziewczyna zagryzła wargi, by nie powiedzieć nic, czego by później żałowała, zaś Gressingen głośno zazgrzytał zębami.

— Gębą całkiem dobrze walczyacie, chociaż z lancą i mieczem poszłoby gorzej.

Chętnie zostanę waszym nauczycielem. Ale nie skarżcie się potem, bo moje lekcje są surowe!

— Gdy zima się skończy, będziecie mogli w turnieju dowieść swej sprawności, Gressingen. Natomiast teraz macie zachowywać się spokojnie!

— Mina króla Fryderyka mocniej niż wypowiedziane przez niego słowa wskazywała na to, jak nisko ceni tego rycerza będącego poplecznikiem jego brata.

Gressingen przełknął gniewną odpowiedź i zerknął na Trudi. Ona również wyglądała na zirytowaną wypowiedzią, a przede wszystkim tonem głosu Fryderyka.

Postanowił to wykorzystać.

Rozmowa zesłała na inne tematy, a Trudi żałowała długiej drogi do Grazu, bo po tym niezdecydowanym człowieku, zważymy się królem, nie można było spodziewać się pomocy. Przedzierając się wraz ze służącymi przez jesienny deszcz i zimowe burze, podążała za tworem własnej wyobraźni. Gdyby została w domu, nie musiałaby cierpieć pod takim łotrem, jak Melchior von Hohenwiesen. Na myśl o rycerzu rabusiu poczuła ucisk w żołądku i jeszcze raz odczuła bezradność, z jaką zdana była na jego łaskę. Następnie pomyślała o Ucie, wciąż jeszcze noszącej na sobie ślady razów, oraz o udreće Lamperta. Wspomnienie to wycisnęło łzy na jej policzki.

Widząc to, Fryderyk pomyślał, że opłakuje swą znajdującą się w niebezpieczeństwie ojczyznę, i począł rozmyślać, jak mógłby jej pomóc. Dla dziewczyny był królem, którego słowo miało posłuch w każdym zakątku królestwa.

Lecz rzeczywistość wyglądała zgoła inaczej, co wszak nie zwalniało go z odpowiedzialności w stosunku do wielu małych, niezależnych państewek i miast królestwa, drżących pod naporem silniejszych, żądnych władzy sąsiadów.

Zerknął na Trudi, a jego uśmiech był przychylniejszy niż dotychczas. Nie powiedział jednak nic, co mogłoby ją pocieszyć, bowiem decyzję w jej sprawie przesunął do chwili, w której wpadnie mu do głowy odpowiednie rozwiązanie. Nie widział palącego niebezpieczeństwa dla Kibitzsteinu, ponieważ zimą książe biskup z Würzburga nie podejmie żadnych działań skierowanych przeciwko zamkowi. A gdyby to jednak uczynił, to zawsze byłby jeszcze czas, by wstawić się za wdową po Michale Adlerze i jej dziećmi.

Trudi nie знаła myśli króla i poczuła się dotknięta do żywego tym pozornym brakiem zainteresowania z jego strony. Gdy Eichenloh, zdając relację z ich spotkania, opowiedział, jak kazał powiesić obu porywaczy w zamkowej sali, nie pojęła, że Peter starał się zjednać dlań króla. Zamiast tego myśli jej były zajęte junkrem Georgiem. W urojeniu, że król mógłby obronić jej rodzinę, pomogła wrogom ukochanego mężczyzny, którzy wzięli go do niewoli i sprawili, iż stracił twarz przed swym nowym panem, księciem Albrechtem. Teraz spędzi zimą w areszcie, zaś wiosną znów wyruszy w drogę szukać pana, u którego będzie mógł wstąpić w służbę. W tych okolicznościach nie było co myśleć o ślubie, choć związek z nim wydawał się Trudi pilniejszym niż kiedykolwiek wcześniej, bowiem uwagi Petera von Eichenloh, a także króla nie pozostawiały wątpliwości, co do planów w stosunku do jej osoby. W żadnym wypadku nie życzyła sobie zostać poślubioną mężczyźnie innemu niż junkier Georg. Postanowiła, że zrobi wszystko, co przybliży ją do celu.

10.

Magnus von Henneberg odstawił na stół puchar i z zadowoloną miną skinął gospodarzowi. — Przednie wino. Wątpię, czy jego wysokość, książe biskup, ma w piwnicach lepszy trunek.

Markus, najstarszy syn rycerza Moryca z Mertelsbachu, uśmiechnął się mile polechtany.

— Z przyjemnością odstąpię kilka beczek tego wina Gotfrydowi Schenkowi zu Limpurg. Wam oczywiście też, wasza dostojność.

— Książe biskup z pewnością doceni ten podarunek, mnie też będzie bardzo miło.

Była to prawda, bowiem na stokach Mertelsbachu dojrzewały grona mogące się równać z würzburskimi. Jednakowoż Hennebergowi nie tyle chodziło o beczkę czy dwie tego przedniego napoju, lecz o zdobycie w osobie Markusa von Mertelsbacha kolejnego wpływowego sprzymierzeńca dla swej sprawy. Widoki były obiecujące, ponieważ jego ojciec, który kilka miesięcy temu poślubił młodziutką Bonę von Fuchsheim, leżał obecnie złożony ciężką chorobą i wedle słów lekarza, przekupionego przez hrabiego Magnusa przy pomocy kilku złotych monet, nie rokował nadziei na wyzdrowienie.

Dlatego też Markus von Mertelsbach musiał jak najszybciej

zabezpieczyć dla siebie majątek ojca, zanim wdowa po nim w imieniu swego nienarodzonego dziecka zacznie sobie rościć doń prawa. Na wspomnienie Bony, która właśnie przeszła przez salę, twarz junkra Markusa zastygła, zaś spojrzenie, którym ją obrzucił, było pełne nienawiści.

Elgarda von Rendisheim, która od czasu choroby pana powróciła do Mertelsbachu, by, jak to ciągle podkreślała, fachowo zaopiekować się krewniakiem, podzielała niechęć Markusa. Jej zdaniem to ona byłaby najlepszą małżonką dla starzejącego się rycerza, nie zaś ta niedojrzała podfruwajka. Trąciła hrabiego Magnusa i wskazała na młodą kobietę.

— Widzieliście kiedyś, żeby po tak krótkim okresie małżeństwa niewiasta chodziła z takim brzuchem? Powiem wam, że rycerz z Fuchsheimu tylko dlatego tak szybko wydał córkę za mego biednego krewniaka, by zatuszować wybryki dziewczki.

— Nie pozwolę, by bękart miał tu jakieś prawa. Ani jego matka! — dodał ponuro junkier Markus.

Czuł, że niedługo dopnie swego, albowiem trzech jego bracia, którzy podobnie jak on urodzili się jako dzieci z prawego łoża, byli jeszcze zbyt młodzi, by stawiać żądania.

Poza tym nie mieli dość władzy, by go do czegokolwiek zmusić. Bona miała za sobą ojca i cały ród Fuchsheimów. Gdyby zwrócili się przeciwko niemu i próbowali pomóc w zdobyciu zamku jego ojca bękartowi Bony jako pośmiertnie narodzonemu synowi Moryca von Mertelsbacha, byłoby z nim krucho. Dlatego też ze wszystkich sił musiał postarać się sprzymierzyć z najpotężniejszym księciem w okolicy, a takim właśnie był Gotfryd Schenk zu Limpurg, głowa würzburskiej kapituły.

— Jeśli dziecko urodzi się przed upływem dziewięciu miesięcy od ślubu, a tak z pewnością się stanie, będzie to oznaczać, że nie jest potomkiem mojego krewniaka!

— dodała pani Elgarda obolałym głosem.

Hrabia Magnus przejrzał oboje, lecz postanowił ich wspierać tak długo, jak ich zamiary będą dla niego korzystne. Miał własny plan, do którego potrzebował rycerza von Mertelsbacha. Między innymi dlatego wdzięczny był losowi, że wkrótce zechce go uwolnić od przekornego ojca swego gospodarza. Junkier Markus był jak wosk w jego dłoniach, zaś co do Bony, to istniało pięćdziesiąt procent szans na to, że urodzi dziewczynkę. Gdyby stało się inaczej, wówczas powinno wystarczyć, gdy książe biskup w dowód życzliwości przekona jej ojca, by ten zamknął córkę w klasztorze, zaś jej syna przeznaczył życiu duchownemu.

— Zatem stoicie po mojej stronie — stwierdził. Młody Mertelsbach gorliwie przytaknął.

— Ma się rozumieć! Zarozumiałej hołocie z Kibitzsteinu trzeba pokazać, gdzie jej miejsce. Mimo że pochodzą z najgorszego bagna, z najniższego ludu, uważają się za lepszych od nas starych, szlachejnych rodzin, i upokarzają nas, jak tylko mogą.

Trzeba wreszcie położyć temu kres.

Magnus von Henneberg skinął przytakująco i skierował rozmowę prościutko do interesującego go celu.

— Ilu żołnierzy możecie wystawić?

Jego rozmówca rozejrzał się, zanim udzielił odpowiedzi.

— Mógłbym wam dać piętnastu wojowników, a do tego trzydziestu knechtów. Lecz dopóty, dopóki mogę obawiać się napaści Fuchsheima, potrzebuję tych ludzi na miejscu.

— Mogę podjąć się negocjacji między Fuchsheimem a wami. Przed swą śmiercią Michał Adler odebrał Ludolfowi von Fuchsheimowi kilka wsi, które ten chciałby teraz odzyskać. Jeśli obiecacie mu zwrócić wiano córki, wówczas z pewnością zdecyduje się na zawarcie z wami przymierza. W razie potrzeby poproszę prałata Pratzendorfera, by z nim porozmawiał.

Na wzmiankę o tak wpływowym wstawiennictwie Markus von Mertelsbach odetchnął z ulgą.

— W tej sytuacji chętnie się do was przyłączę, hrabio Magnusie. Co prawda nie wiem, jak zareaguje mój ojciec. Mimo że leży powalony ciężką chorobą, to wciąż próbuje jeszcze sprawować rządy.

— Kto wie, czy uda mu się przeżyć kilka kolejnych dni — odparł bez namysłu Henneberg.

Hrabia Magnus nie miał zamiaru ponownie utracić zdobytej przewagi. W razie potrzeby będzie musiał pomachać przed doktorem złotem, by ten skrócił cierpienia starego rycerza. Najważniejsze było, by do wiosny zakończyć przygotowania i móc rozpocząć oblężenie Kibitzsteinu. Należało zrobić to prędko, by Maria Adler nie zdążyła poprosić o pomoc margrabiego z Brandenbura-Ansbachu.

11.

Podczas gdy w Mertelsbachu zastawiano na Marię sidła, ona sama oczekiwała od kilku dni powrotu Michiego. Nie starczało jej już odwagi na odwiedzin w koziarni bez wiadomości, którą by mogła przekazać od niego Hiltrud. Dręczyła ją obawa, że siepacze księcia biskupa mogli pojmać i uwięzić Michiego i nie opuszczał jej strach, że w każdej chwili pojawić się może posłaniec z Würzburga z żądaniem przekazania Kibitzsteinu w zamian za życie chłopaka. Choćby przez wzgląd na Hiltrud nie pozostanie jej wtedy nic innego, jak spełnić życzenie pana Gotfryda i mieć nadzieję, że ów pozwoli jej zatrzymać przynajmniej zamek i folwark Habichten.

Jej rozpacz udzieliła się Lisie i Hildegardzie, w których zamarł wojowniczy duch.

Większość czasu spędzały teraz w zamkowej kaplicy, modląc się o szczęśliwy powrót Michiego. Nie były w stanie udzielić matce żadnej rady, ale za jej przykładem starały się ukryć swe uczucia przed służbą.

Tego ranka dziewczęta nie mogły już znieść przygnębiającej atmosfery panującej na zamku. Wdziały na siebie peleryny z owczej skóry i przebrane za służące wyszły za bramy, pokonując zbocze tak prędko, jak tylko pozwalał im na to śnieg i lód.

Pobiegły do wioski odwiedzić Alikę. Dotarwszy do domku Murzynki, ujrzały Alikę i Teresę stojące przed szopą, w której dwóch zamkowych pachołków przygotowywało duży, kryty wóz.

— Co oni robią? — spytała zaciekawiona Hildegarda.

Alika, rzuciwszy im ganiące spojrzenie za samowolne opuszczenie zamku, przyłożyła palec do ust w geście nakazującym milczenie.

Uśmiechnęła się smutno.

— Na pewno macie ochotę na coś rozgrzewającego. Chodźcie do domu.

Dziewczynki wypity co prawda niedawno po dużym kubku porannego piwa, jednak poszły za Murzynką w nadziei, że ta wytłumaczy im, co się dzieje.

W kuchni Alika napełniła trzy kubki gorącym wywarem ziołowej mieszanki, który rano wołała pić zamiast piwa, a następnie usiadła na

krześle. Poczekala aż obie panienki również zajmą miejsca, podniosła kubek i piła tak wolno, jakby w ten sposób chciała odwlec niełatwą rozmowę.

— Właściwie nie powinnyście wiedzieć, co tu się dzieje. Wraz z Teresą opuszczamy Habichten.

— Chcecie odejść? — Lisa zrobiła taką minę, jakby kobiety dopuszczały się najobrzydliwszej zdrady.

— To niezupełnie tak. Wasza matka poprosiła nas o to. Gołębie ćwierkają już na dachach, że Magnus von Henneberg zbiera oddziały do ataku na Kibitzstein.

Podobno szuka zemsty za brata, któremu Trudi rozplatała twarz. W rzeczywistości jednak za całym przedsięwzięciem stoi książę biskup. Pan Gotfryd chce dla przykładu rozprawić się z Kibitzsteinem, by pokazać innym okolicznym kasztelanom, że nie powinni mu się sprzeciwiać.

— Ale co to ma wspólnego z wami? — przerwała Hildegarda. Alika spróbowała się uśmiechnąć, ale wyszczerzyła tylko zęby.

— Wasza matka zdaje sobie sprawę, że długo nie oprze się potędze księcia biskupa.

Jeśli nie otrzyma wsparcia margrabiego z Ansbachu, a na to się na razie nie zanoszą, wówczas straci Kibitzstein. Z tego też powodu razem z Teresą kazałyśmy przygotować wóz. Pacholki dorobią drugie dno i wbudują skrytkę, w której wywieziemy pieniądze, kosztowności i inne drogocenne przedmioty, które wasza matka chce uratować przed wrogiem. Gdyby zdarzyło się najgorsze, nie zostaniecie przynajmniej z niczym, jak żebracy.

Lisa zasłoniła dłońmi twarz.

— Ale dokąd chcecie wyruszyć? W samym środku zimy nie uda wam się daleko zajechać!

— To oczywiście tajemnica. Niemniej jednak sądzę, że wasza matka nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli wam ją powierzę. Podejdźcie bliżej!

Alika przywołała dziewczęta, objęła ramionami i przycisnęła do siebie.

— Razem z Teresą pojedziemy do Kessnachu. Tej posiadłości książę biskup nie może wam odebrać, bo to lenno Palatynatu. Tam poczekamy i zobaczymy, co się będzie działo. Gdyby się zdarzyło, że rozdzieliłybyście się z matką, wtedy za wszelką cenę starajcie się dotrzeć do Kessnachu.

— Tak zrobimy! — Lisa obdarzyła Murzynkę pełnym wdzięczności spojrzeniem. Była rozgniewana na matkę, która nie widziała potrzeby wtajemniczenia ich w swój plan.

Jednocześnie wstydziała się swych myśli. Matka miała tyle obowiązków, że z pewnością nie pomyślała o tym.

— Dziękujemy, Alika. — Lisa z ulgą pocałowała Murzynkę w policzek, wymieniając z siostrą wymowne spojrzenie.

— Przynajmniej będziemy miały znów dom, a Falko spuściznę, jeśli okaże się, że nas stąd przepędzą — powiedziała tak szczerze, jakby nigdy nie było mowy o tym, że posiadłość Kessnach ma jej zostać przeznaczona w wianie.

Wzruszona Alika pogłaskała ją po włosach i pomyślała, że z oseska, wywiezionego niegdyś wraz z nią i Marią przez handlarzy niewolników, wyrosła teraz naprawdę wspaniała panna. W Lisie nie płynęła wprawdzie ta sama krew, co w Trudi i Hildegardzie, mimo to była taką samą nieodrodną córką Marii jak obie pozostałe.

— Nie wolno wam z nikim o tym rozmawiać, nawet z matką. Ktoś mógłby was podsłuchać i zdradzić plan naszym wrogom. — Słowa Aliko zabrzmiały jak zaklęcie i obie dziewczynki od razu potakująco skinęły.

— Nasze usta milczą jak grób! — zapewniła Lisa.

Hildegarda szybko przytaknęła, a następnie podniosła się z krzesła.

— Powinnyśmy wrócić do domu i pomóc mamie!

— Na pewno się ucieszy.

Alika jeszcze raz przytuliła do siebie dziewczęta i chciała właśnie wyjść z nimi na zewnątrz, gdy nagle dobiegł je głośny okrzyk.

— Michi wrócił!

Teraz całej trójki nic nie mogłoby zatrzymać. Wszystkie rzuciły się do drzwi i z wielką ulgą przyglądały się wozowi mozolnie wspinającemu się po zamkowym zboczu.

— Michi ma działo! Jazda. Przyprawdźcie kilku wieśniaków z wołami. Zwierzęta Michiego nie dadzą same rady.

Alika, dawszy każdej z dziewcząt leciutkiego kuksańca, popędziła w kierunku zamku, by przekazać Marii nowinę.

12.

Dziewczęta potrzebowały trochę czasu na zebranie odpowiedniej ilości wołów do zaprzęgu i dotarły do wozu Michiego prawie w tym samym czasie, co ich matka.

Biegąc w dół drogi, czuły, że stało się coś niedobrego, bowiem chłopak smagał zaprzęg batem tak, jakby chciał, by zwierzęta same wciągnęły pod górę ciężki wóz.

Podszedłszy bliżej, przelękły się na widok jego nieszczęśliwej miny.

— Michi, co się stało? — spytała złękionym głosem Maria.

Syn Hiltrud wypuścił ze świstem powietrze z płuc i rzucił lejce jednemu z podążających w jego kierunku pachołków. Następnie zmęczony stanął na ziemi i podłożył klin hamulcowy pod tylne koło, by pojazd nie stoczył się po stromej drodze.

— Mam działo. Poszło o wiele łatwiej, niż oczekiwałem — odparł, wskazując kciukiem prawej ręki ładunek.

— To dlaczego tak długo cię nie było? — chciała wiedzieć Maria.

— Tak gwałtownego nadejścia zimy jeszcze nie mieliśmy.

Michi przetarł oczy rękawem, jakby chciał otrzeć łzy, i spuścił głowę.

— Zdarzyło się coś, o co musiałem rozpytać. Najchętniej byłbym powierzył zaprzęg pachołkom Tesslera, by jak najprędzej przekazać wam tę okropną wiadomość. A teraz nie wiem, od czego zacząć.

— No, mówże, o co chodzi! — naciskała Maria niecierpliwie.

— Trudi zniknęła. Kilka dni była u mojej siostry w Schweinfurcie, ale później opuściła miasto. Marieli i jej mężowi wyjaśniła, że ma od was pozwolenie na pielgrzymkę z modlitwą o spokój duszy swego ojca. Ta koza, moja siostra, pozwoliła jej odjechać, zamiast wysłać do was posłańca z zapytaniem o waszą zgodę. Mój szwagier dał jej nawet na drogę eskortę dwóch żołnierzy. Ci jednak wrócili sami zaraz po Bożym Narodzeniu. Trudi odłączyła się od nich gdzieś w Bawarii, z zamiarem odwiedzenia kolejnych kościołów i miejsc świętych.

Sam rozmawiałem z tymi ludźmi i wierzę im, że tłumaczyli Trudi, jak choremu zwierzęciu, jakie to niebezpieczne. Powiedzieli, że panienka stanowczo odmówiła wspólnego powrotu do Schweinfurtu. Później odłączyli

się od niej, lecz przez pierwsze dni jechali tak wolno, by mogła ich dogonić. Byli przekonani, że Trudi obleci strach i pójdzie w ich ślady. Jednak nie zobaczyli jej już więcej. Pokazali mi nawet list od Trudi. Proszę — mówiąc to, Michi wyciągnął kawałek papieru i podał go Marii.

Ta, przebiegłszy wzrokiem linijki tekstu, gwałtownym ruchem zgniotła kartkę.

— Trudi kompletnie zwariowała! Pisz, że jedzie dalej z Utą i Lampertem. Przecież żadne z nich zupełnie nie zna okolicy. Kto wie, co im się mogło do tej pory przydarzyć...

Michi rozczapierzył palce, jakby nie chciał, by do końca wypowiedziała swą myśl.

— Najchętniej wziąłbym od szwagra wierzchowca i natychmiast wyruszył na poszukiwania. Ale nie mogłem zostawić działa, na które trzeba mi było mieć baczenie, poza tym nie chciałem, byście od obcych dowiedzieli się o tym. Wszak teraz nic mnie już nie powstrzyma, by za nią wyruszyć.

Michi, wyrzucając w myślach nieostrożność siostrze, która powinna była lepiej uważać na dziewczynę, wyjaśniał Marii, od czego zamierza rozpocząć poszukiwania. Planował długą drogę i miał nadzieję, że ludzie w zajazdach przypomną sobie Trudi i powiedzą mu, w jakim kierunku pojechała.

Maria stała początkowo jak osłupiała, później rozłożyła zgnieciony list i jeszcze raz odczytała nazwę miejscowości, którą jej córka wymieniła jako kolejny cel swej podróży.

— Wiesz, gdzie leży Ałtötting? — spytała. Michi pokręcił głową.

— Niestety, nie wiem. To musi być gdzieś daleko, bo żołnierze zostawili ją już za Freisingiem. A to, jak opowiadali, jest już w głębi bawarskiego kraju. Postaram się tam jak najszybciej dotrzeć i odnaleźć ślad Trudi. Gdybym tylko wiedział, jakie były jej prawdziwe zamiary! Pielgrzymka jakoś zupełnie mi do niej nie pasuje.

Lisa i Hildegarda zerknęły na siebie znacząco. Młodsza otwierała właśnie usta, lecz zanim zdążyła się odezwać, siostra położyła jej dłoń na ramieniu. Gest ten umknął Marii, ale Alika zdążyła go dostrzec i podeszła do dziewcząt.

— Mam wrażenie, że coś ukrywacie. Mówcie, ale już! A może wolicie, żebyśmy się jeszcze bardziej martwili?

Maria i Michi obrócili się do pańienek, których miny zdradzały dręczące je wyrzuty sumienia.

— Mówcie, inaczej będzie z wami źle! — rozkazała ostro Maria. — Trudi chciała pojechać do króla, by prosić go o pomoc dla Kibitzsteinu — odezwała się Hildegarda, nie potrafiąc sprzeciwić się autorytetowi matki.

Maria popatrzyła najpierw na nią, później na Lisę i pokręciła głową.

— Od samego początku wiedziałyście, co Trudi zamierza?

— Powiedziała nam o tym, zanim wyruszyła do Schweinfurtu i poprosiła nas o pieniądze na podróż. Dałyśmy jej wszystko, cośmy miały, nawet biżuterię! — powiedziała Lista takim tonem, jakby spodziewała się wdzięczności.

Maria miała ochotę złapać pierwszą lepszą różgę i sprawić dziewczynkom lanie.

Rozum podpowiedział jej wszak, że najstarsza córka była siłą napędową całego przedsięwzięcia. Dlatego wyciągnęła ramiona i przytuliła do siebie dziewczęta.

— Wiem, że chciałyście dobrze. Ale powinnyście były mi

powiedzieć. Teraz Trudi błąka się gdzieś na obczyźnie, ma na pewno o wiele za mało pieniędzy, a przecież nie wie nawet, gdzie znajduje się Austria. Jak ona chce znaleźć króla?

— Trudi jest bystra i nie da sobie w kaszę dmuchać. Poza tym po drodze spotka wielu ludzi, którzy jej z pewnością pomogą — powiedział Michi, chcąc uspokoić Marię. On też miał nadzieję, że tej zwariowanej dziewczynie uda się szczęśliwie przebyć długą podróż, której się podjęła. — W każdym razie wiem, gdzie rozpocząć poszukiwania — powiedział z nieco nieporadnym uśmiechem.

Maria energicznie pokręciła głową.

— Nie, tu jesteś mi bardziej potrzebny! Ogromnie martwię się o Trudi, ale nie wolno mi zapomnieć o grożącym nam wszystkim niebezpieczeństwie. Jeśli opuściłbyś Kibitzstein, nie mielibyśmy nikogo, kto pokierowałby ludźmi i dodał im odwagi.

Teraz, gdy wiemy, dokąd się udała, mogę wysłać za nią Gereona i dać mu od razu wiadomość dla króla. Wprawdzie o Fryderyku nie mówią zbyt wiele dobrego, ale może zdarzy się cud. Teraz muszę rozwiązać inny problem.

Maria przywołała Alikę.

— Wyruszycie z Teresą jak najszybciej i zabierzecie ze sobą dziewczynki. Chcę, żeby Hildegarda i Lisa były bezpieczne.

— Ależ mamo, nie możesz tego zrobić! — sprzeciwiła się Lisa. Ale z miny matki wyczytały, że żadne protesty nie mają sensu.

CZĘŚĆ SIÓDMA

Zamach

1.

Georg von Gressingen odgrywał przed Trudi rolę kompletnie przybitego okrutnym i niesprawiedliwym losem, który go spotkał.

— To Eichenloh jest wszystkiemu winien! — skarżył się, rzucając tęskne spojrzenie w kierunku wąskiego okna. — Gdyby nie oczernił mnie przed królem, wówczas nigdy nie zamknięto by mnie w tej izbie, którą wolno mi opuszczać tylko na mszę i posiłki.

Zgodnie z jego zamiarem, słowa te sprawiły dziewczynie jeszcze większe cierpienie. Gdyby nie przyczyniła się do zdobycia Teiflachu, wówczas jej ukochany nie znalazłby się w tej sytuacji bez wyjścia. W końcu, jak ją zapewnił, wstąpienie do służby u księcia Albrechta nie było przecież przestępstwem. Wszak uczynił to wyłącznie po to, by zdobyć pozycję i zapewnić jej dostatnie życie. Ponadto książę, posiadając odpowiednią władzę w królestwie, z pewnością wstawiłby się za jej rodziną.

Trudi ciężko było spojrzeć mu w oczy, tak bardzo się wstydziła.

— Gdybym tylko mogła coś dla was zrobić — wyszeptwała, ujmując jego dłoni.

— Dość mi już pomagacie, panienko Hiltrudo. Bez was czułbym się jak sokół uwięziony w klatce. Dzięki wam mam przynajmniej z kim porozmawiać, aczkolwiek wolałbym, by nam w tym nie przeszkadzano — odparł, obrzucając przy tym pełnym wyrzutu spojrzeniem siedzącą w rogu izby Utę, pochłoniętą reperowaniem rozdartego obrąbku sukni.

Dziewka czuła się już dobrze, jednak we śnie bezustannie powracały do niej koszmary związane z przeżyciami w skalnym zamku. Zajęta szyciem, prawie nie spuszczała wzroku ze swej pani i rycerza. Jej obowiązkiem było czuwać, by oboje nie przekroczyli zasad dobrego obyczaju, a ponadto

ciekawa była tematów rozmowy panienki z Gressingenem, który coraz bardziej przestawał jej się podobać.

Trudi starała się uspokoić junkra Georga.

— Uta jest mi całkowicie oddana i nawet na torturach nie zdradzi ani słowa.

Tymczasem Gressingenowi chodziło nie tyle o słowa, co o inne rzeczy, które mógłby zrobić z Trudi, gdyby zostali sami. Nudził się w ciasnej izbie, a w przeciwieństwie do pozostałych gości, nie mógł powetować sobie tego rozrywką z jakąś ochoczą dziewczką. Poza tym Trudi ciągle jeszcze go nęciła. Jedyne jako ewentualna kochanka, bowiem w obecnej chwili całkowicie odsunął od siebie myśl o poślubieniu jej. Nie była już nawet godną zachodu dziedziczką, albowiem wszystko wskazywało na to, iż jej matka przegra spór z biskupem würzburskim i straci cały po kramarsku zbity majątek.

Gressingen ponownie pomyślał o propozycji stryja, który ofiarował się dopomóc mu w znalezieniu odpowiedniej partii. Wróci jeszcze do tego. Lecz najpierw musi odzyskać wolność i wypełnić zadanie. W tym celu należało wykorzystać miłość tej głupiej gąski. Mając to na uwadze, począł się dalej użalać.

— Zginę tu niebawem! Gdybym choć miał nadzieję, że wkrótce odzyskam wolność.

Aliści jak znam junkra Eichenloh, będzie on zapewne naciskał, by prędzej czy później wtrącono mnie do więzienia.

Gressingenowi udało się sprawić jednocześnie wrażenie rozpaczony i wojowniczości.

Namiętnym gestem położył ręce na ramionach Trudi i przyciągnął ją do siebie.

— Jakże brakowało mi cię w czasie ostatnich miesięcy! Ciągle o tobie myślałem i poprzysiągłem sobie, że stworzę dla ciebie dom, kiedy tylko będę mógł. Dlatego też wstąpiłem w służbę księcia Albrechta. Miałem nadzieję, że otrzymam odeń godną ciebie zapłatę. Tymczasem pókim zamknięty tu, jak wół w oborze, nasza miłość pozostanie niespełniona.

Na Trudi spłynęło uczucie takiego szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie doznała.

Równocześnie zżerała ją troska o los ukochanego.

— Musicie wierzyć w swą dobrą gwiazdę — zaklinała. Gressingen z wściekłością potrząsnął głową.

— Moja gwiazda dawno już zgasła! Jeśli nikt mi nie pomoże, to nigdy więcej nie wzejdzie.

— Ja wam pomogę — zapewniła, patrząc nań z takim zachwytem, że musiał powstrzymać ciskający mu się na usta drwiący uśmiech. Cóż za szczęście, że ta dziewczyna była tak naiwna. Już same jej opowieści o wszystkim, co działo się w pałacu, stanowiły dlań bezcenną wskazówkę.

— Po oszczerstwach rozpowszechnianych na mój temat przez Petera von Eichenloh król nigdy mnie nie wypuści. Ten żołdacki parobek to podła kreatura siejąca niepokój wszędzie, gdzie tylko się pojawi — uskarżał się.

— Z pewnością macie rację — powiedziała Trudi, usiłując nie myśleć o tym, że Eichenloh uratował jej życie. Oceniała go po jego kpiących uwagach, które czynił na jej temat w obecności króla. Poza tym drażniło ją, że po przybyciu do Grazu junkier Peter coraz częściej szukał jej towarzystwa i przeszkadzał jej w odwiedzaniu ukochanego, gdy tylko miała na to ochotę. Zaczynała śnić już o nim nocami. Najczęściej pojawiał się z mieczem w

ręku, stojący pomiędzy nią a junkrem Georgiem. Albo też próbował wydać ją za starego, cherlawego mężczyznę, z rysów twarzy przypominającego małżonka Bony, Moryca von Mertelsbacha.

Trudi nie miała zamiaru podzielić losu swej przyjaciółki. Przepelnionym miłością wzrokiem spojrzała na Gressingena. Czula się teraz podwójnie z nim związana.

Podobnie jak on, sama również była uwięziona, mimo iż wolno jej było poruszać się swobodnie w obrębie murów. Fryderyk unikał kontaktu z nią. W czasie posiłków prowadzono ją do krzesła tak bardzo od niego oddalonego, że nie miała możliwości go zagadnąć, zaś na mszę musiała wchodzić do kaplicy przed przyjściem króla i opuszczać ją dopiero po jego odejściu.

Gressingen zauważył, że Trudi się zamyśliła. W pewnej chwili zaniepokoił się, że dziewczynie nie starczy odwagi na zrobienie tego, czego od niej zażąda. Nie zważając na ostrzegawcze chrząknięcia Uty, wziął nagle Trudi w ramiona i przyciskając mocno do siebie, namiętnie ją pocałował.

— Potrzebny mi miecz i koń, a będę mógł wydostać się z tego więzienia — wyszeptał jej do ucha tak cicho, że Uta nie zrozumiała ani słowa. Nie lubił służącej, która wydawała mu się gadatliwa i zbyt przekorna, by móc zawierzyć jej ważną tajemnicę.

Trudi poddała się przez kilka chwil doświadczonym ramionom ukochanego i pozwoliłaby mu na więcej, gdyby nie czujna jak pies Uta, która zaraz do nich podeszła.

— Panie rycerzu, doprawdy nie uchodzi napadać tak na moją panią! Groźny wzrok Gressingena zawstydziłby nawet Gorgonę, lecz Uta pozostała niewzruszona.

— Jeśli nie przestaniecie skłaniać panienki do takich rzeczy, będę musiała o tym donieść! — ostrzegła surowo.

W pierwszej chwili Gressingen przeląkł się, że Uta dosłyszała skierowaną do Trudi prośbę, lecz wnet pojął, że ma na myśli jego uściski i pocałunki. Chciał się roześmiać. Czujność Uty jeszcze silniej popychała Trudi w jego ramiona. Niemniej udał skruszonego i wypuścił dziewczynę z objęć.

— Wybaczcie, że nie potrafiłem utrzymać w ryzach swej namiętności.

— Nie ma co wybaczać — odrzekła Trudi, gładząc dłonią jego twarz i myśląc, że najchętniej posłałaby Utę tam, gdzie pieprz rośnie. Byłoby tak pięknie, gdyby mogła zostać sam na sam z ukochanym i rozmawiać z nim o sprawach ważnych dla nich obojga! Ostudziła ją nieco myśl o tym, że mógłby od niej wówczas zażądać tego samego, co niegdyś w lesie posiadłości Fuchsheim. W małżeństwie to normalne, jednakowoż przed ślubem skromna panienka nie powinna nawet myśleć o czymś takim. Trudi z westchnieniem skinęła służącej.

— Już dobrze, Uta. Możesz dalej szyć.

— Jeżeli zamierzacie częściej tu przychodzić, będę musiała poprosić o nowe rzeczy do cerowania. Wasze suknie są już zreperowane.

— Pan Gressingen z pewnością się ucieszy, jeśli swą sprawną dłonią pozszywasz także jego stroje.

Propozycja Trudi wywołała tylko pogardliwe prychnięcie służącej. Nim przesyje choćby najdrobniejszy ścieg na szatach tego rycerza, poprosi wprawdzie o całą górę wymagającej pilnej reperacji bielizny. Nie darzyła sympatią junkra Georga, choć jej pani całkiem straciła dla niego

głowę. A jeszcze kilka miesięcy temu marzyła, by wraz z panią przenieść się na zamek Gressingena, na którym zostałyby gospodynią. Jednakże teraz tamte chwile wydały jej się tak odległe, jak księżyc na niebie.

W Grazu miała okazję przyjrzeć się temu człowiekowi i odkryła w nim jakiś fałsz.

Próbowała powiedzieć o tym Trudi, lecz jej pani była tak zadurzona w tym niefrasobliwym rycerzu, iż zdawała się postradać ostatnią iskierkę rozumu. Właśnie dlatego postanowiła mieć oczy szeroko otwarte i nie dopuścić, by panienka zrobiła jakieś głupstwo, którego by później żałowała.

Uta wróciła na swoje miejsce w rogu izby i wzięła do ręki suknię, starając się okiełznać pozostałą część niesfornego obrąbka. Jednocześnie nie spuszczała oczu z Trudi i Gressingena.

Tymczasem junkier zrozumiał, że należy się mieć na baczności przed służącą i znów przybliżył usta do ucha Trudi.

— Musisz zdobyć dla mnie broń i szybkiego wierzchowca. Inaczej za dziesięć lat wciąż będę jeszcze siedział w areszcie Fryderyka.

— Gdybym tylko wiedziała jak!

Trudi była zdecydowana pomóc Gressingenowi, nie widziała jednak możliwości dotarcia do broni i konia.

— Z pewnością ci się uda, najdroższa! Nie chcesz chyba, żebym umarł w tych murach? — wyszeptał, chwytając dłonie dziewczyny, lecz w obliczu podejrzliwej strażniczki nie ważył się już jej objąć.

— Błagam, zdobądź dla mnie to, o co proszę, a wszystko będzie dobrze. Ponadto muszę znać rozkład dnia króla, bym jemu i krążącej wokół niego czeredzie nie wszedł w drogę. Wyobraź sobie, żem zmuszony do ucieczki i trzeba mi się będzie gdzieś schronić. Przez nieuwagę wejść do kaplicy w czasie, gdy Fryderyk właśnie będzie się modlił. A co, jeśli skryję się w jego sypialnej komnacie? — tłumaczył Gressingen, roztapiając się w uśmiechu, w którym jakiś uważniejszy obserwator rozpoznałby obłudę.

Lecz dziewczyna, widząc jedynie wpatzone w nią rozmiłowane spojrzenie ukochanego, opowiedziała po cichutku wszystko, czego zdążyła się dotychczas dowiedzieć o królewskich przyzwyczajeniach. Gressingen uważnie się przysłuchiwał.

Niechybnie postąpię najsprytniej, jeśli w noc, w którą ta idiotka pomoże mi się uwolnić, zakradnę się do komnaty Fryderyka i tam go zamorduję — pomyślał.

W tej samej chwili Trudi powiedziała mu, iż przed drzwiami Fryderykowej komnaty sypialnej stoi zawsze kilku uzbrojonych ludzi i dwóch lokai strzegących swego pana, toteż porzucił swój pierwotny plan.

Jeżeli chce wrócić w chwale do księcia Albrechta Austriackiego, będzie musiał znaleźć inny sposób, by zabić króla. Teraz Gressingen modlił się, by ciałątko ściskające jego dłonie z takim uczuciem, jakby stanowiły ratunek dla jej życia, okazało się na tyle bystre, by zdobyć dlań więcej informacji, a jednocześnie dość naiwne i zaślepione, by nie przejrzeć jego zamiarów.

2.

Peter von Eichenloh w całym swym dotychczasowym życiu nigdy się tak jeszcze nie wynudził jak tej zimy w Grazu. Nawykły na polu walki do podejmowania błyskawicznych decyzji wkrótce serdecznie dość miał już rozmów z królem Fryderykiem i jego zaufanymi dworzanami, w których każde za i przeciw omawiane było w nieskończoność.

Fryderyk kłopotał się wieloma sprawami, a najbardziej swym bratem, Albrechtem, któremu jednego dnia obiecywał zemstę, następnego zaś mówił już o nim pojednawczym tonem. Jednocześnie martwiła go sytuacja w Czechach, których bogactwa nieustannie wymykały mu się z rąk. Obecnie złoto i wszelkie dobra, jakie mógłby czerpać z tego kraju, były dlań tak samo nieosiągalne, jak gwiazdy na niebie. Pozostała mu jedynie nadzieja, iż Georg von Podiebrad w imieniu stanów czeskich nie wypowie mu otwartej wojny za odmowę wydania im nieletniego Ladislausa. Fryderyk sam chciał wychować krewniaka i nie zamierzał przekazywać go obcym ludziom.

Rozważania króla dotyczyły również sytuacji na Węgrzech, która z tygodnia na tydzień stawała się coraz bardziej krytyczna. Szukał rady, jak postąpić z konfederatami, którzy przed niespełna stuleciem byli wiernymi poddanymi Habsburgów, teraz zaś kawałek po kawałku poszerzali swe tereny kosztem wcześniejszych władców.

Niechęć żywiona przez Fryderyka do konfederatów pozwalała Peterowi mieć nadzieję, iż król wyśle go ze swoimi ludźmi nad Jezioro Bodeńskie w celu zabezpieczenia jednego z zagrożonych zamków. Jednakże Fryderyk nie chciał o tym słyszeć. Eichenloh był miłym partnerem dysput, z którego w czasie długich, zimowych miesięcy nie zamierzał rezygnować. Ponadto mogło się zdarzyć, że dowódca będzie mu potrzebny na miejscu.

Eichenloh kilkakrotnie próbował skierować rozmowę na sprawę Trudi, lecz król unikał dyskusji na ten temat i poradził, by dziewczyna jak najwięcej czasu spędzała w położonej w pobliżu górnej bramy kaplicy świętego Marcina, prosząc świętą rodzinę o wsparcie.

Tego wieczoru Eichenloh, wróciwszy do swej komnaty, którą dzielił z Hardwinem von Steinsfeldem, z gniewnym mruknięciem rzucił na posłanie płaszcz, niezbędny w pełnych przeciągów korytarzach zamku.

— Król Fryderyk musi bardziej liczyć na własny rozum, niż na siły niebieskie.

Niewzłocznie powinien zebrać oddziały i utrzyć bratu nosa. Wówczas spotulnieliby również Węgrzy i Czesi — parsknął i napełnił winem kubek, który zaraz wychylił duszkiem.

Hardwin też sobie nalał, pił jednak o wiele mniej łąpczywie niż Peter.

— W królestwie mówi się, że Fryderykowi brak jest zdecydowania. Ludzie niewiele się po nim spodziewają. Krążą pogłoski, że elektorzy wybrali go tylko dlatego, że jego brat ma wielkie ambicje i będzie się starał ukrócić władcze zapędy nowego monarchy. Gdy ci dwaj zajmą się sobą, wielcy tego królestwa będą mogli robić, co im się żywnie podoba. Ale ja nie byłbym tego taki pewien. Owszem, Fryderyk rozważa wszystko bardzo skrupulatnie, lecz dzięki temu przygotowany jest na każdą ewentualność i dokładnie wie, co ma robić.

Eichenloh roześmiał się gorzko.

— Gdyby choć podjął jakiekolwiek działania! Ale tu, na dworze, rozkłada się tylko każdą sprawę na czynniki pierwsze.

— Inaczej byś na to patrzył, gdybyśmy mieli wiosnę, a ty mógłbyś wyruszyć na czele oddziału. Nasze krótkie przejażdżki ci nie leżą. Głównie dlatego, że Trudi Adler woli unikać naszego towarzystwa.

Peter poderwał się jak ukąszony przez tarantulę.

— Zupełnie zdumiałeś? Cóż mnie obchodzi ta niewdzięczna, złośliwa istota? Jeśli o mnie chodzi, to król Fryderyk mógłby sprzedać ją Turkom!

— A więc jednak coś dla ciebie znaczy! W przeciwnym razie nie

gadałbyś trzy po trzy — odciął się Hardwin.

Junkier Peter zacisnął pięści i przez chwilę można było sądzić, że ma zamiar rzucić się na przyjaciela. Zaraz jednak usiadł i machnąwszy pogardliwie ręką, nalał sobie kolejny kubek wina.

Hardwin popatrzył nań karcąco.

— Powinieneś mniej pić! Wino rozbudza w tobie zapalczywość, później boli cię czaszka, a w końcu jest ci niedobrze.

— Może z tobą tak jest, ja mam mocniejszą głowę!

Na poparcie swych słów opróżnił czarkę do dna i chciał odstawić ją na stół.

Przecenił się jednak. Naczynie postawione na brzegu blatu przechyliło się i spadło na ziemię.

— Ciesz się, że w tym stanie nie musisz trzymać miecza.

Zobaczyłbyś przed sobą dwa razy tyle wrogów, niżli by ich faktycznie było.

Mimo że w słowach Steinsfelda zabrzmiała drwina, to w rzeczywistości był on prawdziwie poruszony zachowaniem swego dowódcy, którego dotychczas znał jako niezwykle opanowanego człowieka.

Wymuszona bezczynność sprawiła, że Peter stał się drażliwy, a obecność Trudi Adler miała nań bardzo osobliwy wpływ.

Eichenloh zdawał się prawie nie dostrzegać panny. Gdy jednak myślał, że nikt nie zwraca nań uwagi, wpatrywał się w dziewczynę, jakby chciał pożreć ją wzrokiem.

Hardwin był świadkiem wydarzenia w Fuchsheimie. Słyszał też plotki, jakoby jakiś czas wcześniej w Dettelbachu również miało dojść do gwałtownego starcia między obojgiem. Zastanawiał się, co takiego działo się z junkrem Peterem. Wprawdzie sam bawił się myślą o poślubieniu Trudi, by mieć u boku energiczną małżonkę, która skutecznie zarządzałaby jego dobrami, lecz równie dobrze mógłby ją odstąpić junkrowi Eichenloh. Jednakże zachowanie obojga kazało mniemać, że prędzej by się wzajemnie poćwiartowali, niż nauczyli pokojowo żyć pod jednym dachem. Tak więc własny ożenek z Trudi wydawał mu się rozsądniejszym rozwiązaniem. I tak kilka dni temu, gdy król Fryderyk wszczął rozmowę o małżeństwie panny, Hardwin miał już prawie zamiar zaproponować własną kandydaturę na jej narzeczonego. Być może powinien był włożyć w ten zamiar więcej energii.

— Trudi Adler wciąż uważa cię za mordercę ojca. Pewnie dlatego jest dla ciebie taka szorstka.

Próba zyskania zrozumienia Petera dla dziewczyny wywołała tylko kolejny lekceważący gest ręki tego ostatniego.

— Rozum powinien jej odpowiedzieć, że nie mogę nim być. Czyż w przeciwnym razie próbowałbym pomóc Hennebergowi?

— Henneberg jest twoim przyjacielem. Trudi mogła pomyśleć, że nie chcesz, by poniósł karę za czyn, który ty sam popełniłeś.

Argument Hardwina miał sens, lecz Eichenloh był za bardzo rozgniewany i zbyt pijany, by się nad nim poważnie zastanowić.

— To wredna istota, której największą przyjemność sprawia obrażanie ludzi i dokuczanie im. Gdyby była moją córką, codziennie spuszczałbym jej takie lanie, że błagałaby o litość.

— Prędzej uschłaby ci ręka. Trudi to wyjątkowo twarda sztuka. Raczej odgryzłaby sobie język, zanim poprosiłaby o łaskę kogoś, kogo nie lubi.

Rozmowa coraz bardziej bawiła Hardwina. Sam znał zupełnie inną Trudi niż ta, o której mówił junkier Peter. Może nieco impulsywną, ale w

żadnym wypadku wredną czy kąśliwą. Wręcz przeciwnie — zawsze gotową przyjść z pomocą, a jeśli chciała, potrafiła być nawet bardzo miła. Rozważania o dziewczynie przypominały mu, że dawno już z nią nie rozmawiał.

— Jedno mnie dziwi. Ostatnio bardzo rzadko ją widzimy. Dziś ani razu nie zdarzyło mi się jej spotkać.

— Ha! Nic dziwnego. Najczęściej można ją znaleźć w izbie Gressingena! Król powinien był już dawno kazać przenieść go do innego zamku. To ciągle przesiadywanie u niego psuje dziewczynie opinię.

Ach, o to chodzi — przeleciało Hardwinowi przez głowę. Jego przyjaciel był zazdrosny o Gressingena.

— O opinię Trudi dba towarzysząca jej dziewczka. W obecności służącej Gressingen nie pozwoli sobie na nic niestosownego. Uta go nie lubi i gdyby junkier Georg źle się zachował, zgłosiłaby to majordomusowi. A możesz sobie wyobrazić, co król by na to powiedział.

— Fryderyk powinien wtrącić Gressingena do najędźniejszego lochu w jednym ze swych odległych zamków, zaś dziewczynę, dla oczyszczenia jej duszy, zamknąć w najbliższym klasztorze.

Słowa Petera zabrzmiały bardzo przekonująco, pomyślał Hardwin, przyłapując się na tym, że sam również życzyłby Gressingenowi ostrzejszego więzienia, mimo iż junkier Georg był niegdyś jego przyjacielem. Ale od tamtego popołudnia w lesie posiadłości Fuchsheim jego podziw i przyjazne uczucia do Gressingena zgasły jak płomyk świecy. Przy tej okazji wróciło do niego wspomnienie chwil spędzonych wspólnie z Boną, będącą obecnie małżonką starego Mertelsbacha. Myśl, że ta cudowna istota musi obecnie znosić uściski odrażającego starca, sprawiła, że poczuł się tak samo nędźnie jak jego przyjaciel.

— Chodź, napijmy się! Zapomnijmy o niewiastach — westchnął Hardwin, napełniając obie czarki.

3.

Brak królowej i jej świty utrudniał dziewczynie aklimatyzację na dworze. Fryderyk dobiegał wprawdzie trzydziestki, wciąż jednak nie był żonaty, w związku z tym dwór rzadko odwiedzały niewiasty. Pojawiające się tam niekiedy małżonki dostojników z zaciekawieniem przyglądały się przybyłej z Frankonii dziewczynie, lecz zostawały zbyt krótko, by mogła zawrzeć z nimi bliższą znajomość. Dlatego też brakowało jej przychylnego ucha, któremu mogłaby zawierzyć swą sprawę, i życzliwych ust, które przekazałyby jej prośbę królowi. Sama rzadko miała sposobność widzieć Fryderyka, zaś sztywna etykieta i królewscy dworacy nie pozwalali jej się do niego odezwać. Bywało, że dręczyło ją uczucie, iż król dawno o niej zapomniał albo odrzucił jej niewygodną prośbę. Później znów chwytła się nadziei, że Fryderyk wciąż jeszcze się zastanawia i w każdej chwili może podjąć decyzję korzystną dla niej i jej rodziny.

Podobnie jak Eichenloh, miała zbyt wiele czasu na rozmyślanie, lecz nie szukała pocieszenia w winie, ale w miłości do Gressingena. By mu się przypodobać, zbierała informacje o pałacu, jego mieszkańcach i o samym królu. Zdała sobie przy tym sprawę, że bez pomocy służącej i pacholka nie uda jej się przygotować ucieczki ukochanego. Oczywiście musiała postąpić bardzo zręcznie, szczególnie z Utą, która nabrawszy najmniejszego choćby podejrzenia, niechybnie by ją wydała. Z Lampertem sprawa była innego rodzaju.

Pachołek był jej bezgranicznie oddany i nie miał jej nawet za złe faktu, iż majordomus króla nie wpuścił go do pałacu i zakwaterował razem ze stajennymi.

Ten układ mógł okazać się teraz pomocny — pomyślała Trudi, kierując się w stronę celi Gressingena.

Postępująca za nią jak cień Uta nie miała zamiaru reperować garderoby junkra i poprosiła szafarkę o kilka prześcieradeł wymagających igły i wprawnej dłoni.

Mimo swej czujności, służąca nie mogła dosłyszeć nieustającej szeptaniny swej pani i junkra Georga. Gdy podchodziła bliżej, milkli lub zaczęli grzeczną, nic nieznaczącą rozmowę.

Trudi miała Utę na oku. W pewnej chwili zauważyła, że służąca odkryła paskudne pęknięcie w tkaninie i z lekko wysuniętym, ściśniętym wargami językiem próbowała tak poprowadzić igłę, by pozostawić jak najmniej widoczny ścieg.

Szybko pociągnęła ukochanego za rękę i oparła głowę na jego ramieniu.

— Myślę, że wiem, jak mogę dopomóc wam w ucieczce. Gressingen napiął się jak łuk.

— Im szybciej to nastąpi, tym lepiej!

Oczekiwał, że Trudi wysunie teraz swoje żądania i, by uzyskać jej pomoc, gotów był złożyć każdą przysięgę, jakiej od niego zażąda. Po pomyślnym wykonaniu zadania prałat Pratzendorfer uwolni go z wszelkich więzów, które — zmuszony okolicznościami — będzie musiał na siebie przyjąć.

— Lampert pracuje jako stajenny przy koniach. Dzięki temu będzie mógł osiodłać dla was wierzchowca i klacz dla mnie.

— Chcecie jechać ze mną? — wybąkał Gressingen, który nie przewidział takiego rozwoju sytuacji. Gdyby Trudi pojechała z nim do księcia Albrechta i oznajmiła, że pomogła mu się uwolnić, wówczas brat Fryderyka z samej tylko wdzięczności wydałby ją za niego.

Zamierzał powiedzieć, że nie może jej ze sobą zabrać, ale wyraz jej twarzy podziałał na niego jak ostrzeżenie. Była impulsywna i uparta, toteż nie mógł ryzykować niczego, przez co mogłaby odmówić mu swej pomocy. Poza tym pomyślał, że znajdzie inny sposób, by przeszkodzić jej we wspólnej ucieczce.

Udając rozradowanie, skinął potakująco głową.

— To dobry pomysł, ukochana moja! Książę Albrecht udzieli wam na pewno wsparcia, na które tutaj czekacie nadaremnie. A teraz opowiadajcie, jaki macie plan.

— Lampert postara się, aby o wyznaczonej porze konie były gotowe. Wcześniej zdobęde dla was miecz. Wiem już, gdzie znajduje się zamkowa zbrojownia. Nie wystawiają tam dodatkowej straży, co pozwoli mi niepostrzeżenie zakraść się i zabrać broń. Później trzeba nam tylko zmylić i obezwładnić wartownika przed waszymi drzwiami. Ale uważajcie, by go nie zabić. To bardzo poczciwy człowiek.

— Nic mu się nie stanie — powiedział Gressingen, kpiąc w duchu z naiwności dziewczyny. To jasne, że nie będzie ryzykował pozostawienia strażnika przy życiu.

Teraz musi jeszcze dopilnować, żeby ta mała lafirynda zrobiła wszystko o odpowiedniej porze.

— Powinniście przyjść do mnie zaraz, jak tylko król uda się do

kaplicy na modlitwę.

Będziemy mieli wtedy dość czasu, by wywieźć w pole ewentualną pogoń.

Trudi skinęła z zapalem głową.

— To dobry pomysł. Ponadto w ostatnich dniach podczas konnych przejażdżek dokładnie przyjrzałam się drogom wyjazdowym z Grazu i będę mogła was poprowadzić.

Informacja ta niemal przekonała Gressingena, że rzeczywiście powinien ją ze sobą zabrać. Jednakże Trudi nigdy nie dopuściłaby do zabicia króla, toteż mimo wszystko będzie musiał odjechać bez niej. Odetchnąwszy głęboko, pogładził ją po policzku.

— Dzielna z was dziewczyna. Nie zapomnę wam tego do końca życia.

— Kocham was — wyszeptała i zapragnęła, by chwila ta trwała wiecznie. Właśnie w tym momencie Uta uporała się z cerowaniem Inianego prześcieradła i głośno odchrząknęła.

— Panienko, zrobiło się późno. Jeśli nie chcecie jeszcze bardziej zszargać swej opinii, powinniśmy opuścić tę izbę.

Trudi zrobiła niezadowoloną minę, lecz nie zganiała Uty, bowiem rozumiała, iż służąca ma rację. Hardwin von Steinsfeld powiedział jej już kiedyś, że tak częste odwiedziny więźnia stawiają ją w złym świetle. A że tuż przed ucieczką nie chciała zwracać na siebie uwagi, toteż wstała ze stołka i z szelmowskim wyrazem twarzy dygnęła przed Gressingenem.

— Pozwólcie, panie, że jutro, a może i pojutrze, nie zjawię się u was, mam bowiem jeszcze inne obowiązki, które muszę wypełnić.

— Powinniście się postarać, by król udzielił wam wreszcie audiencji, inaczej matka wasza będzie stracona. Niedługo ksiązę biskup wyśle swoich żołnierzy — wtrąciła Uta.

To napomnienie było uzasadnione, lecz Trudi machnęła tylko ręką. Fryderyk III pokazał już, że nie ma ani zamiaru, ani środków, by się za nią wstawić. Był to jeden z powodów, dla których zamierzała przyłączyć się do Gressingena. Miała nadzieję, że ksiązę Albrecht łaskawiej potraktuje jej prośbę.

— Muszę pogodzić się z waszą wolą, mimo że czuję się tu jak ptak uwięziony w klatce — powiedział przygnębionym głosem Gressingen i mrugnął do Trudi uspokajająco. Będzie jej potrzebny czas na przygotowanie ucieczki. Miał nadzieję, że postąpi rozważnie i nie wzbudzi podejrzeń.

— Uważajcie na junkra Eichenloh. Ten człowiek może być niebezpieczny — wyszeptał jej jeszcze do ucha, a następnie skłoniwszy się, podszedł do okna. Odetchnąwszy z zadowoleniem, rozwarł okiennice i rzucił okiem na rozpościerające się w dole miasto. W myślach wielokrotnie już przebywał drogę, wiodącą ku wolności. Jeśli uda mu się opuścić zamek, zanim ktokolwiek zorientuje się, że Fryderyk nie żyje, wówczas nie będzie się musiał o nic martwić. Uważał się za wybornego jeźdźca, a podczas dysput przy stole i rozmów z Trudi posiadał dość wiedzy, by bez trudu zmylić przeciwnika.

4.

Trudi nie było łatwo czynić przygotowania do ucieczki, albowiem Eichenloh wydawał się mieć dar czytania z jej twarzy. Zmarszczyła czoło, gdy podczas kolacji gorliwy mistrz ceremonii wskazał jej znów miejsce u

boku Petera.

— Wyglądacie tak, jakbyście planowali jakiś podstęp!

— Jakież miłe powitanie bezbronnej sieroty! Azali to słowa godne wielkiego bohatera? — odrzekła, wspierając się kpiną, choć zaraz odezwało się jej sumienie, przypominając, że to właśnie Eichenloh ją uratował i przywiózł do króla. Szybko jednak odezwała się w niej przekora. Jeśli ucieczka z Gressingenem miała się udać, nie wolno było pozwolić w żaden sposób zbić się z tropu.

Eichenloh rozżościł się na siebie, bo po raz kolejny użył swych wpływów, by zapewnić jej miejsce w pobliżu króla. Z tej pozycji miała możliwość ponownie zagadnąć Fryderyka i przypomnieć mu o trudnej sytuacji swej rodziny. Tymczasem dziewczyna zdawała się nie zauważać możliwości, jaka się przed nią otworzyła.

Humor jeszcze bardziej mu się pogorszył, gdy zjawił się król i począł wylewnie witać gości. Przy odrobinie dobrej woli dygnięcie Trudi można było uznać za uprzejme. Na skierowane w jej stronę przywitanie króla pozostała milcząca jak kamień. Dlatego też Fryderyk zwrócił się do Petera.

— Dostałem wiadomość z Frankonii. Hrabia Markus von Henneberg prosi o uwolnienie swego brata. Gotów jest złożyć przysięgę, że ani on, ani hrabia Otto nigdy więcej nie podniosą na mnie miecza.

— Ależ młody Henneberg nie miał nawet możności podnieść na was broni, bowiem wraz z Gressingenem zostali zaskoczeni we śnie — odparł Eichenloh głosem zbyt szorstkim jak na zwykłą kpinę, lecz król zdawał się tego nie zauważyć.

— Prawdopodobnie zdecyduję się go wypuścić. Hennebergowie mają dobra we Frankonii, a hrabia Magnus pisze, że jego brat ma widoki na nowe posiadłości.

Słowa te poruszyły Trudi. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, lecz była pewna, że chodziło o Kibitzstein. Poczula gorycz w ustach. Jako że powoli przestawała wierzyć, iż Eichenloh zamordował jej ojca, potencjalnego mordercę widziała teraz w Hennebergu. W związku z tym zaczęła go unikać i szybko ucinała każdą jego próbę nawiązania rozmowy. Była tak wściekła, iż nie bacząc na obecność króla, chciała zażądać od niego wyjaśnień. Lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Fryderyk zaczął mówić dalej.

— Wypuszczę Henneberga, ale co do pana Gressingena mam pewne wątpliwości. To rycerz bez ziemi, który zaprzeda swój miecz każdemu, kto lepiej zapłaci.

— Jeśli miała to być aluzja w moją stronę, to trafiliście celnie! — Eichenloh niezbyt uprzejmie wpadł królowi w słowo, co mogło kosztować go utratę jego łask.

Król roześmiał się cicho.

— Z lubością pielęgnujecie wizerunek szorstkiego żołnierza, chociaż wiem, że co najmniej dwa razy odmówiliście walki po stronie ludzi, którzy wbrew prawu komuś grozili. W obu przypadkach stanęliście po przeciwnej stronie i mimo słabszego przygotowania udało wam się odnieść zwycięstwo.

Nie, Eichenloh, na waszym słowie kazałbym zbudować zamek, który nigdy by się nie zawalił. Natomiast o Gressingenie opowiadano mi rzeczy, które nie przypadły mi do gustu — odrzekł król, zaciskając pięść tak mocno, iż miało się wrażenie, że zaraz uderzy nią w stół. Jednakże zamiast tego spojrział w zamyśleniu na Petera.

— Obecnie pewien człowiek posiada duże wpływy w Würzburgu.

Byłoby lepiej, gdyby pan Gotfryd Schenk zu Limpurg się z nim rozstał. Mam wrażenie, że człowiek ów przyczynił się do tego, iż Otto von Henneberg i Georg von Gressingen wyruszyli w te strony.

Eichenloh potarł oczy.

— Macie na myśli Pratzendorfera. Też mam z nim do pomówienia. W Fuchsheimie usiłował za wszelką cenę przedstawić mnie jako mordercę Michała Adlera. A ja starałem się tylko poprzeć racje Ottona Henneberga. W stanie upojenia, w jakim się wówczas znajdował, nie był żadnym przeciwnikiem dla takiego człowieka, jak rycerz z Kibitzsteinu.

— W każdym razie prałat zrećnie podsycił tłące się tam zatargi, wykorzystując przy tym ambicje biskupa würzburskiego. Pratzendorfer jest niebezpieczny i z całą pewnością nie jest moim przyjacielem — powiedział Fryderyk tak obojętnym tonem, jakby mówił o pogodzie. Lecz jego twarz była zafasowana.

Frankonia leżała co prawda w sporej odległości od Grazu, lecz zmiany w tamtejszym układzie władzy dałyby się odczuć w całym królestwie i mogłyby stanowić wstęp do kolejnych miejscowych wojen. Jeśli Würzburg da zły przykład i odniesie sukces, wówczas również inni lokalni panowie podejmą próby podporządkowania sobie swych słabszych sąsiadów.

— Wydaje się, że Pratzendorfer stoi również za naciskami biskupa würzburskiego na Kibitzstein — dodał Eichenloh, chcąc w ten sposób przekazać pałeczkę Trudi. Lecz zamiast podjąć temat, dziewczyna zachowywała się tak, jakby rozmowa jej w ogóle nie dotyczyła.

Król skrzywił twarz w gorzkim uśmiechu.

— Pratzendorfer stwarza pozory, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego, ale jestem pewien, że stoi za poczynaniami Magnusa von Henneberga. Mówi się, że hrabia Magnus szuka zemsty na Kibitzsteinie za to, iż jego brat stracił tam nie tylko swój piękny wygląd, ale również swój dobry wizerunek. — Mówiąc to, król rzucił krótkie spojrzenie Trudi, ze spuszczoną głową wpatrzoną w blat stołu.

W tej chwili powinna się była już domyślić, że panujące w królestwie stosunki nie były królowi tak obojętne, jak mogło się wydawać. Ponadto był zaskakująco dobrze poinformowany. Ale jej myśli zajmowała planowana ucieczka i nadzieja na uzyskanie pomocy od strony przeciwnej. Nie miała już chęci liczyć na tę koronowaną, pełną wątpliwości i obaw głowę, jak junkier Georg nazywał Fryderyka.

Eichenloh również zwiędziony dotychczasową postawą Fryderyka, spojrzał nań z oburzeniem.

— Wiecie przecież, że Magnus von Henneberg nastaje na lenno królewskie, Kibitzstein. Pomimo tego chcecie uwolnić jego brata, który pomoże mu w realizacji tych zamiarów?

Głos junkra zabrzmiał tak, jakby dawnego przyjaciela chciał wtrącić teraz do najgłębszego lochu, jaki dałoby się znaleźć w królestwie Fryderyka.

Król spojrzał nań zdziwiony, następnie się roześmiał i pochwalił nadziewane przepiórki, które właśnie podano.

Eichenloh, wzgardziwszy przysmakiem, kontynuował swe zarzuty. Ganiące chrząknięcie mistrza ceremonii przywołało go do porządku i sprawiło, że zamilkł, zaniechawszy powiedzenia królowi prosto w oczy, co myśli o tej sprawie.

Fryderyk III zmienił temat i nie powrócił już do rozmowy o sytuacji panującej we Frankonii. Eichenloh raz po raz rzucał Trudi wściekle spojrzenia, zły, że nie wykorzystwała nadarzającej się okazji. Lecz dziewczyna

do końca posiłku traktowała go jak powietrze.

5.

Gressingen uczestniczył w posiłku, posadzono go jednak w najbardziej oddalonym końcu stołu. Tuż obok, nie spuszczać zeń wzroku, stał jeden z pilnujących go stale wartowników i gdy tylko król podniósł się z krzesła, strażnik natychmiast odprowadził go do celi. Słyszając szcęk ryglowanych drzwi, Georg uświadomił sobie z przerażeniem, jak bardzo był zależny od pomocy Trudi. W przeciwieństwie do Henneberga, nie miał nikogo, kto mógłby za niego zaręczyć. Książę Albrecht uzna go za niedołęgę, zaś książę biskup nie kiwnie nawet palcem w jego sprawie.

Przysiągł sobie na wszystkie świętości, iż jeśli Trudi nie zdoła zdobyć dla niego miecza, udusi ją niechybnie, nie bacząc na to, co się z nim później stanie. Im bardziej dzień chylił się ku zachodowi, tym więcej niespokojnych myśli kłębiło się w głowie Gressingena. Trudi była tylko dziewczyną i miała w głowie mniej rozumu, niż on w najmniejszym palcu w ręki. Dlatego nie wierzył, by mogło jej się udać. Narastająca w nim coraz większa wściekłość na tę oddaną mu bez granic córkę nierządnicę odbierała mu sen. Dlatego pół nocy przestał przy oknie, smagany wpadającymi do środka podmuchami i zimnego powietrza. W dole, niby czarne zwłoki padłego zwierzęcia, rozciągało się miasto, w którym od czasu do czasu rozbłyskała słaba iskierka życia, gdy jakiś nocny przechodzień śpieszył uliczkami, trzymając w ręku pochodnię lub lampę. Dałby wszystko, by móc zamienić swą celę na najgorszą nawet chałupę tam, w dole.

W niewoli tygodniami rozmyślał, w jaki sposób mógłby przechytrzyć wartownika.

Lecz nawet gdyby udało mu się go obezwładnić, zabrać jego broń i wykonałszy zadanie, wydostać się z zamku, to bez konia stanowiłby i tak łatwy łup dla swych prześladowców. Nawet z pomocą tej gęsi nie będzie mu łatwo. Musi bardzo dokładnie trafić w moment, gdy Fryderyk uda się do kaplicy, by w samotności się pomodlić.

Tylko tam miał możliwość go zabić, by zaraz potem opuścić zamek górną bramą.

Lecz do tego potrzebny mu jest osiodłany, gotowy do drogi wierzchowiec. Wraz z upływem czasu narastały w nim wątpliwości, czy ten zakochany głuptas nie popełni błędu. Wystarczy jedno jej potknięcie, by nic nie wyszło z zamachu ani z jego ucieczki.

Trudi też nie mogła zasnąć, po raz kolejny powtarzając w myślach każdy szczegół planu. Za wszelką cenę będzie musiała uniknąć spotkania z junkrem Eichenloh, który wciąż lustrował ją badawczym spojrzeniem. Hardwin też nie może nabrać podejrzeń, bo zaraz poinformowałby o nich junkra Petera.

Następnego ranka, gdy po szybkim, złożonym z owsianki i piwa, śniadaniu zmierzała do stajni w poszukiwaniu Lamperta, natknęła się akurat na Steinsfelda.

Hardwin z karcącą miną zastąpił jej drogę.

— Wczoraj podczas kolacji powinnaś była okazać więcej rozumu i porozmawiać z królem o waszych problemach.

— Spotkawszy kogoś, powinienes najpierw powiedzieć dzień dobry — odparowała z butą.

— Niech ci będzie. Życzę ci dobrego ranka. Mimo wszystko nie było to z twojej strony mądre. Eichenloh postarał się, by znów posadzono cię w

poobliżu króla, a tymczasem ty milczysz jak głaz. Twoja matka nie podziękowałaby ci za to z pewnością!

Hardwin darzył sympatią mieszkańców Kibitzsteinu i życzył im, by rodzina Adlerów mogła tam zostać jeszcze przez wiele pokoleń. Poza tym zdawał sobie sprawę, że po zdobyciu tego zamku książę biskup będzie dążył do podporządkowania kapitule również innych niewielkich wolnych państw z okolic Würzburga. W ten sposób dobra Steinsfeldu również znalazłyby się w niebezpieczeństwie.

— Phi, król nie kiwnie dla nas nawet palcem! — odparła i zręcznie prześlizgnęła się obok przyjaciela, podążając w kierunku prowadzących na dół schodów. Z ulgą stwierdziła, że nie poszedł za nią, lecz pomrukując, zaczął wspinać się na górę.

Dotarłszy do drzwi, Trudi wzięła głęboki oddech i wyszła na podwórzec. Powietrze było cieplejsze niż poprzedniego dnia i miała wrażenie, że czuje w nim pierwszy powiew wiosny. To już naprawdę najwyższy czas, przeleciało jej przez głowę. Nie wiedziała co prawda, jakie możliwości pomocy jej rodzinie posiadał książę Albrecht Austriacki, lecz była pewna, że może uczynić więcej niż król, który okazał bardzo nikłe zainteresowanie kłopotami Kibitzsteinu.

Uskrzydłona nadzieją popędziła do stajni. Pachołkowie właśnie wyrzucali gnój.

Lampert podszedł do niej z widłami w ręku.

— Czego panienka sobie życzy?

Trudi nie wtajemniczyła go dotychczas w swe plany. Nie wiedział nic poza tym, że wkrótce zamierzała wyruszyć dalej. Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że chwila ta właśnie nadeszła. Nie było mu żal odjeżdżać, albowiem tutejsi stajenni wciąż rzucali na niego najbardziej uciążliwe prace.

— Chodź, musimy porozmawiać, ale nikt nie może nas usłyszeć.

Wskazała na Nawałnicę, która, dostrzegłszy przybycie swej pani, wyciągnęła szyję w nadziei, że dostanie od niej kawałek brukwi lub innego smakołyku. Wraz ze zbliżającym się końcem zimy topniały zapasy paszy i główny koniuszy wydzieliał bardzo skąpe racje dla koni.

Trudi, dojrawszy tęskne spojrzenie klaczy, pożałowała, że nic ze sobą nie wzięła.

Lampert wcisnął jej do ręki kawałek brukwi, którym zamierzał sam nakarmić konia.

— Macie dla mnie rozkazy? — zapytał, jakby przy okazji.

Trudi zauważyła, że pozostali pachołkowie znajdują się w przeciwległej części stajni i są najwyraźniej całkowicie zaabsorbowani pracą, aby ją jak najszybciej ukończyć.

— Dziś wieczór, tuż po zachodzie słońca potrzebne mi będą dwa osiodłane konie.

Weź Nawałnicę, a jako drugiego wybierz najszybszego wierzchowca w stajni — odezwała się cicho.

— Chcecie zbiec z Gressingenem! — Pojął w mgnieniu oka Lampert.

— Nie tak głośno! Chcesz, żeby nas ktoś usłyszał i przeszkodził w ucieczce?

— Nie, ale...

Pachołek z westchnieniem wskazał brodą na mocne, brązowo umaszczone zwierzę.

— Za bardzo rzucaloby się w oczy, gdybym osiodłał wierzchowca

należącego do króla lub do któregoś z jego ludzi. Toteż będę musiał wziąć konia junkra Eichenloh.

Może nie jest najszybszy, ale z całą pewnością jest najwytrzymalszym bojowym rumakiem w całej stajni.

W pierwszej chwili Trudi chciała zaprotestować, by nie okazać się niewdzięczną w stosunku do swego wybawcy. Zaraz jednak przypomniała sobie, jak często się na niego złościła, i pomyślała, że taka nauczka mu się przyda. Roześmiała się na samą myśl o zaplanowanym figlu, zaraz jednak spoważniała i skinęła na Lamperta.

— Tak zrobisz. Uważaj wszak, by nikt nie zaczął podejrzewać, że nam pomogłeś.

Razem z Utą dojedziecie do nas. Znajdziecie nas w Linzu albo w Innsbrucku. Na pewno uda wam się tam dotrzeć. Weź, te pieniądze są dla was. Mam nadzieję, że wystarczą.

Trudi podała Lampertowi swą sakiewkę z resztą monet i uśmiechnęła się do niego, chcąc mu dodać otuchy.

— Nie martw się, wszystko się uda. Nie możesz mnie zawieść.

— Możecie na mnie liczyć, panienko.

Lampert prędeż dałby sobie uciąć rękę, niż rozczarowałby swą panią. Jego myśli pędziły w szalonym tempie. Naiwnością byłoby wierzyć, że nikt nie powiąże go z ucieczką Trudi i Gressingena. Eichenloh wyciągnie właściwe wnioski, każe go aresztować i przesłuchać. Lampert nie był tak zuchwały, by wierzyć, że potrafi oprzeć się torturom. Zaś po jego aresztowaniu, a może nawet straceniu, Ucie nie pozostanie nikt, kto zechce jej pomóc. Dziewka była może gadułą i często go złościła, ale nie zasłużyła na to, by zostawić ją samą na obczyźnie. Dlatego po skończonej pracy, gdy stajenni pójdą na posiłek, osiodła cztery konie. Dwa dla panienki i Gressingena oraz obydwie konie, na których on i Uta przybyli do pałacu.

Co prawda ich chabety nie dotrzyma ją kroku dwóm pozostałym wierzchowcom, ale jeśli postąpi dość zręcznie, wówczas on i Uta również ujdą pościgowi.

Lampert jeszcze raz skinął głową, jakby szukając potwierdzenia dla własnych myśli.

Trudi uznała, że wszystko zostało już powiedziane i poklepała pachołka po ramieniu. Następnie odwróciła się na pięcie i odeszła.

Pachołek, patrząc za nią, pokręcił głową. Ucieczka była tak samo zwariowanym pomysłem jak cała podróż do Grazu. Jednakże nie miał wyboru i musiał słuchać jej rozkazów, a w najgorszym wypadku pojechać za nią aż do bram piekła. Gdyby został, tolerowano by jego obecność w zamku, tak jak teraz i wiódłby takie pieskie życie, jak w ciągu ostatnich tygodni.

Jakby na potwierdzenie tych myśli, pokrzykując, podszedł do niego podwładny koniuszego.

— Do roboty! Wystarczy, że musimy za darmo karmić wasze szkapy! Nie potrzeba nam więcej bezużytecznych gąb do wyżywienia!

Ta zniewaga sprawiła, że Lampert nie mógł doczekać się wieczora. Ale do tego czasu miał jeszcze trochę roboty. Trudi nie wtajemniczyła w swój plan Uty. W związku z tym musiał odszukać dziewczkę i przygotować ją do uciezki.

Minęło jeszcze kilka godzin, zanim Lampert uporał się z pracą, albowiem miejscowi pachołkowie wykorzystywali go, jak tylko mogli, i ganiali z jednego końca stajni w drugi. Dlatego spóźnił się na posiłek. Ledwo zdążył zanurzyć łyżkę w zupie, gdy odezwał się do niego koniuszy.

— Nie grzeb się! Pięć koni jest dziś do podkucia. Trzeba zaprowadzić je do kowala!

Lampert skinął, w pośpiechu pochłaniając zawartość miski. Jednakże nie poszedł prosto do stajni, lecz wszedłszy do pałacu, odszukał komnatę Trudi. Z nadzieją, że o tej porze pani znajduje się w sali jadalnej, przestąpił próg izby. Pomieszczenie było ciasne i urządzone bez zbędnego luksusu. Oprócz wąskiego łóżka panienki znajdował się tam jeszcze ułożony w poprzek siennik dla Uty, stara skrzynia i stół, na którym ustawiono miskę i dzban z wodą. Daremnie rozglądając się za krzesłem, zrozumiał wnet, że takiemu stanowi rzeczy winna nie była zamkowa szafarka, lecz sama Trudi, która wszystkie siedziska kazała wynieść do izby Gressingena.

Uta, korzystając z nieobecności pani, ucięła sobie drzemkę i leżała, cichutko pochrapując. Lampert spojrział na nią w zamyśleniu. Mimo że jej usta lekko drgały i co jakiś czas bezgłośnie wzdychała, wyglądała tak uroczo, że najchętniej usiadłby obok i patrzył. Tymczasem potrzebna mu była w stanie pełnej świadomości, toteż pochyliwszy się nad nią, pociągnął ją za ramię. Uta wydała z siebie przerażony okrzyk i skuliła się w rogu. Za chwilę pojęła, że nie jest w skalnym zamku i to nie Frodewin von Stammberg obudził ją, by zadawać jej kolejne tortury.

— Ach, to ty. Czego chcesz?

Jej głos zabrzmiał mało przyjaźnie, ale widać było, że odczuła ulgę, obudziwszy się z koszmaru.

— Muszę ci coś powiedzieć. Przyjdź dziś po zmroku do stajni. A ubierz się ciepło, bo noc może być chłodna.

— A cóż miałabym robić u ciebie w nocy? A może chciałbyś się o mnie pocierać?

Dziękuję, tego mam już dosyć.

Lampert, patrząc na Utę, pomyślał, że zaiste nie miałby nic przeciwko kilku miłym chwilom spędzonym z dziewczką. Ale nie było teraz czasu, żeby o tym myśleć.

— Nie o to mi chodzi! — zachnął się z udaną irytacją. — Dziś wieczór muszę porozmawiać z tobą o naszej pani. To bardzo ważne, rozumiesz?

— Ale to będą porządne rzeczy? — zakpiła Uta wyzywająco, wyglądając przy tym suknię.

Lampert nie odpowiedział i opuścił izbę w nadziei, że ciekawość kaze jej przyjść punktualnie. Uczynił wszystko, co było w jego mocy, by uciezka się powiodła.

6.

W przeciwieństwie do Lamperta Trudi miała tysiąc wątpliwości. Nie wdawała się z nikim w rozmowę, bojąc się, by nie zdradziły jej gesty lub wyraz twarzy. Nie chciała spędzać całego czasu, siedząc samotnie w swej komnacie, toteż udawszy się do zamkowej kaplicy, uklękła w ciemnym kącie i poczęła się cichutko modlić. Błagała Najświętszą Panienkę, by ta zechciała w najbliższych dniach wesprzeć ją i Gressingena w ucieczce. Prosiła również o wstawiennictwo dla swej matki, rodzeństwa, wszystkich mieszkańców Kibitzsteinu i przynależnych doń wsi.

Gdy rozbrzmiały południowe dzwony, opuściła kaplicę i skierowała się do sali, w której podawano posiłki. Udając, iż nie dostrzega przywołującego gestu Hardwina, ku zdumieniu majordomusa przysiadła się do kilku zupełnie nieznanym jej gości przy przeciwległym krańcu stołu. W

tym dniu można było zaserwować jej wyprawioną skórę wołu albo szewski klej, a i tak nie zauważyłaby tego. Nerwy miała napięte do granic, a w myślach wciąż powtarzała sobie wszystkie kroki, jakie tego dnia musiała poczynić. Czuła, że czekające problemy znacznie ją przerastały, i nie wiedziała, jak sobie z nimi poradzi.

Na pytania odpowiadała pojedynczymi sylabami, toteż siedzący obok niej stołownicy dali jej wkrótce spokój i zajęli się rozmową z innymi gośćmi. Miała wrażenie, że upłynęła wieczność, zanim król dał wreszcie znak kończący posiłek.

Wstała i podążyła ku drzwiom, starając się zwolnić kroku, by jej podekscytowanie nie zwróciło niczyjej uwagi. Na korytarzu przyspieszyła. Zaczęła biec.

Po powrocie do komnaty poczuła, iż jej własny niepokój udzielił się służącej. Uta patrzyła na nią, dopytując się, czy może dla swej pani coś zrobić.

— Idź do szafarki i poproś o zadanie na dzisiejsze popołudnie. Nie chcemy przecież za darmo otrzymywać stawy i napojów — odparła Trudi, chcąc się jej pozbyć.

Zaraz dopadły ją wyrzuty sumienia, że zostawia Utę samą, bez wyjaśnienia jej czegokolwiek. Świadomość, że Lampert się o nią zatroszczy, nie stanowiła wielkiego pocieszenia.

Dziewka zrobiła kwaśną minę i demonstracyjnie pokazała swe pokłute palce. W ciągu ostatnich tygodni zreperowała więcej prześcieradeł i pościeli niż przez wszystkie lata w Kibitzsteinie. Szafarka pochwaliła ją nawet za solidnie wykonaną pracę. Na więcej nie miała już zbytnej ochoty. Ale widząc niewzruszoną minę pani, rozumiała, że opór nie ma sensu i może przynieść jej tylko kłopoty. Poczuli się wykorzystywana, albowiem to nie ona cieszyła się stawą, za którą musiała pracować. Z końcem zimy służba codziennie dostawała tylko zupę o mdłym smaku.

Najadali się tylko wybrańcy, którym dane było posilać się przy stole króla. Ale że Bóg urządził świat w ten sposób, że Trudi była jej panią, ona zaś tylko prostą służącą, z pewnym ociąganiem poczłapała do drzwi.

Przed wyjściem jeszcze raz się obejrzała.

— Na pewno nie będę wam już dziś potrzebna? To znaczy, że nie macie zamiaru odwiedzać Gressingena. To mądra decyzja. Ludzie zaczęli gadać. Mówią, że król nie pomaga wam dlatego, że zadajecie się z jego więźniem.

— Nie idę dziś do Gressingena — powiedziała Trudi, kładąc nacisk na słówko „dzisiaj”, jakby chcąc zganić Utę za jej uwagę, ale poczuła, jak jej policzki się rumienia. Nie nawykła do kłamstwa, ale teraz musiała się do niego uciec, by ratować ukochanego mężczyznę.

Mam nadzieję, że zapamięta, ile dla niego ryzykuję — przeleciało jej prze/ głowę.

Jednak natychmiast zawstydzila się, że podejrzewa junkra Georgi o złe zamiary. Chcąc zatuszować swe przejęcie, przycisnęła ręce do policzków i kazała Ucie zniknąć.

Ledwo służąca zamknęła za sobą drzwi, Trudi rzuciła się na łóżko i owinąwszy się prześcieradłem, rozplakała się. Napięcie było dla niej zbyt duże i zateśkniła za kimś takim jak jej chrestna matka Hiltrud lub Alika. Za kimś, z kim mogłaby porozmawiać o wszystkim, co leżało jej na sercu. Tu, na obczyźnie, czuła się tak samotnie jak nigdy dotąd i tylko junkrowi Georgowi zależało na jej pomyślności. Był mężczyzną, któremu ofiarowała

swą cnotę i pozostanie mu wierna do śmierci.

Trudi spróbowała sobie wyobrazić, jak bardzo szczęśliwa byłaby z Georgiem von Gressingenem, lecz w miejsce pięknych widoków weszły w niej wątpliwości. W fuchsheimskim lesie junkier przysiągł, że niezwłocznie poprosi o jej rękę. Ale nie uczynił tego. Miał oczywiście powody, które mu w tym przeszkodziły. Jednakowoż wolałaby szczerą rozmowę, niż wszystkie te spędzone w smutku i niepewności miesiące. Teraz też szybko składał obietnice i Trudi chciała mu uwierzyć.

Tymczasem blask nieskazitelnego bohatera, którego w nim cały czas postrzegała, prysł niczym mydlana bańka, a spod niego wyłonił się zupełnie zwyczajny człowiek.

Przeszło jej przez głowę, iż jej ojciec na miejscu junkra Georga, nie bacząc na wszelkie przeszkody, przyjechałby do niej i porozmawiał z jej rodzicami. Skuliła się, próbując odsunąć od siebie targające nią wątpliwości. Zamiast tego jakiś wewnętrzny głos podpowiedział jej, że Peter von Eichenloh też nie pozwoliłby czekać ukochanej dziewczynie. Nawet Hardwin by tego nie zrobił, mimo iż sąsiedzi uważali go za pozbawionego charakteru maminsynka.

W tym miejscu zmusiła swe myśli do zajęcia się planowaną ucieczką. Obiecała Georgowi von Gressingenowi, że pomoże mu się wydostać na wolność, i robi to.

Gwałtownym ruchem wyprostowała się, otarła prześcieradłem łzy i wciągnęła głęboko powietrze. Jeśli przedsięwzięcie miało się powieść, trzeba zacząć działać.

Drugi raz nie uda się Lampertowi niepostrzeżenie osiodłać koni.

Złapała pelerynę, którą Uta bardzo porządnie złożyła na skrzyni, zarzuciła ją przez ramię i zeszła w kierunku głównego portalu, jakby zamierzała zaczerpnąć świeżego powietrza. Następnie inną drogą wróciła do pałacu i zatrzymała się przed zabezpieczonym ciężkimi ryglami wejściem. Dodatkowo dostępu do pomieszczenia broniła żelazna kłódka, blokująca zasuwę, która na szczęście nie była zamknięta.

Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, Trudi zdjęła kłódkę, która okazała się tak ciężka, iż gdyby była zamknięta, to mimo tkwiącego w niej klucza dziewczynie nie udało by się jej otworzyć. Ciężki zamek zdawał się sprawiać kłopoty także ludziom z obsługi zbrojowni, inaczej zabezpieczyliby zapewne drzwi, jak należy.

To niedopatrzenie dało Trudi sposobność wślizgnięcia się do środka. Miała szczęście, bo dobrze nasmarowana zasuwę nie stawiała oporu i udało jej się odsunąć ją bez hałasu.

Przez chwilę nasłuchiwała, czy nikt nie pojawił się w korytarzu, później oparła się o ciężkie wrota i weszła do środka. Wiedziała, że nie zostało jej wiele czasu. W każdej chwili ktoś mógł wyjść zza rogu i dostrzec uchylone drzwi. Dlatego bez zbędnego szukania wyciągnęła ze stojaka pierwszy z brzegu miecz i schowała go pod peleryną. Szybciej niż mysz uciekająca przed miotłą kucharki wymknęła się z pomieszczenia, zasunęła rygiel i wsunęła weń ciężką kłódkę. Z wysiłku upuściła skrywany pod ubraniem miecz, a ten upadł z brzękiem na kamienną posadzkę.

Trudi zamarła z przerażenia, przekonana, że zostanie usłyszana. Lecz w zamku nadal panowała cisza, nie rozległy się alarmujące krzyki i nie było słyhać kroków ani żadnych innych zdradzieckich dźwięków. Trzęsącymi się rękoma poprawiła kłódkę, chwyciła broń i najszybciej jak mogła, popędziła z powrotem tą samą drogą, którą przysła.

Niezauważona weszła do swej komnaty i dopiero w środku odważyła się odetchnąć.

Natychmiast ukryła miecz pod materacem, następnie mimo przenikliwego chłodu panującego w izbie rozebrała się do koszuli i zabrała za szukanie bardziej praktycznej odzieży na drogę. Ubrawszy się, musiała teraz poczekać aż do zmroku.

Położyła się na łóżku i po samą brodę przykryła prześcieradłem.

Mimo zdenerwowania zdołała zasnąć. Gdy się obudziła, było już ciemno. W przerażeniu, że przegapiła umówioną godzinę, skoczyła na równe nogi i podbiegła do okna. Na dole zobaczyła pacholków spieszących do pomieszczenia, gdzie podawano służbie jedzenie. Przypomniała sobie, iż budząc się, słyszała wzywające na kolację dzwony, toteż uspokojona przeżegnała się z ulgą.

Obudziła się w samą porę, by zabrać się za dalszą część planu. O tej porze państwo zbierali się na wieczorny posiłek u króla, a i służba nienależąca do obsługi sali jadalnej dostawała swoje porcje. Uta też była teraz pewnie w kuchni. Trudi była zadowolona, albowiem wolała odjechać bez pożegnania z dziewczką. Nie chciała słuchać jej biadolenia, które by ją zapewne wzruszyło. Wyciągnęła spod materaca broń, wsunęła ją pod pelerynę i ostrożnie wyszła z izby, która przez większą część zimy była jej schronieniem.

Szczyście jej nie opuszczało i po drodze do celi junkra Georga nie spotkała żywej duszy. Ponieważ na posiłki wolno mu było opuszczać więzienie w eskorcie strażnika, zasuwby były odsunięte. Trudi weszła i przymknęła za sobą drzwi. W pomieszczeniu było tak ciemno, że nie widziała nawet swej wysuniętej dłoni. Przez chwilę miała wrażenie, jakby była w grobowcu. Szybko jednak odgoniła od siebie to niemiłe porównanie, po omacku dotarła do postawionego w kącie stołka i usiadła, oczekując powrotu ukochanego.

7.

Odgłos kroków na korytarzu sprawił, że prawie podskoczyła. Wcisnęła się do kąta za drzwiami, by ukryć się przed wzrokiem wartownika, który mógłby przypadkiem zajrzeć do środka. Ale ujrzała tylko Gressingena z łojuwką w ręku.

Odwrócił się do strażnika, zanim ten zdążył zamknąć za nim drzwi.

— Byłbym ci wdzięczny, gdybyś mógł mi jeszcze przynieść dzban wina.

— Nie wolno mi opuszczać warty — odparł mężczyzna. Gressingen roześmiał się na to.

— Na Boga, zamkniesz przecież obie zasuwby! Zresztą i tak za chwilę wrócisz.

Mężczyzna skinął i poczekał, aż Gressingen wycofa się do środka izby. Następnie zatrzasnął drzwi i zasunął obydwą rygle. Chwilę później Trudi usłyszała, jak jego kroki cichną w oddali.

— No i jak wyszło? Teraz poczekamy, aż strażnik wróci i będę mógł go obezwładnić.

Gressingen spojrzał na Trudi z oczekiwaniem.

— Teraz daj mi miecz! Konie gotowe?

— Czekają — odparła cicho i rozchyliła pelerynę, by mógł zobaczyć broń.

Gressingen pochwycił miecz, wyciągnął z pochwy i wypróbował,

przecinając kilka razy powietrze.

— Nareszcie! Nawet nie wiesz, jak mi tego brakowało. Teraz wreszcie znów mogę wziąć los w swoje ręce.

— Ja również bardzo się z tego cieszę. Ale teraz powinniście się ciepłej odziać, byśmy byli gotowi, jak tylko strażnik wróci.

— Mamy czas — powiedział Gressingen, chcąc uspokoić Trudi, nerwowo przechadzającą się w tę i z powrotem. W rzeczywistości z taką samą niecierpliwością jak ona, czekał na powrót wartownika. Już niedługo król wejdzie do kaplicy na modlitwę. Powinien znaleźć się tam przed Fryderykiem, inaczej nie uda mu się ominąć jego straży.

— Chyba go słyszę.

Gressingen dał znak Trudi, by ta odeszła od drzwi, a następnie uniósł miecz.

Wyglądał przy tym tak dziko, że dziewczyna niemal się go przestraszyła.

— Nie zabijajcie go, proszę!

Wartownicy byli zawsze przyjaźnie nastawieni do Trudi, dlatego nie chciała, by mężczyznę spotkało coś złego.

Ale Gressingen, nie zważając na nią, odczekał, aż strażnik zapuka.

— Przyniosłem wino.

— Wnieś je do środka. Jestem spragniony. — Głos Gressingena zabrzmiał chropawo. Zaschło mu w ustach i musiał zwilżyć język śliną, by się odezwać.

— Proszę się cofnąć!

Strażnik znalazł się na swym rzemiośle. Jednakże Gressingen nie chciał dać mu okazji do wyciągnięcia miecza. Poprosił Trudi, by cofnęła się kilka kroków w kierunku zewnętrznego muru, zaś sam ustawił się przy drzwiach.

Dziewczyna potrzebowała kilku chwil, by zrozumieć, czego od niej chciał. Później pewnym krokiem podeszła do okna i stanęła w oczekiwaniu dalszego rozwoju wypadków.

Strażnik myśląc, że Gressingen odsunął się od drzwi, odsunął zasuwę i wszedł do pomieszczenia. Zanim zdążył się zorientować, że junkier zaczął się na niego, broń tego drugiego spadła z impetem na jego głowę. Nie zdążył nawet krzyknąć, bowiem padając na ziemię, był już martwy.

Trudi wlepiła szeroko otwarte oczy w rozplataną czaszkę mężczyzny i wydało jej się, że ziemia zaczęła drżeć pod jej stopami.

— Na Boga, to nie było konieczne!

— Konieczne może nie, ale tak jest bezpieczniej.

Gressingen, odciągawszy ciało od drzwi, odwrócił się do dziewczyny, len problem też zaraz załatwi jednym, szybkim cięciem miecza.

Trudi zobaczyła nagle wycelowany w siebie, zakrwawiony miecz. Ujrawszy pogardliwy, a może nawet przepełniony odrazą wzrok, jakim mierzył ją Gressingen, pojęła jego zamiar. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. To na pewno jakiś senny koszmar! Niemożliwe, by człowiek, który przysiągł jej dożgonną miłość i jeszcze przed ślubem uczynił swą żoną, chciał ją teraz zabić. Nagle zrozumiała grę Gressingena.

Jej ręka automatycznie poruszyła się w poszukiwaniu sztyletu, który w porównaniu z mieczem stanowił dość mizerną broń.

— Co to ma znaczyć? Przecież cię kocham! Gressingen roześmiał się szyderczo.

— Twoja ślepa miłość była mi bardzo na rękę. A teraz mogę uczynić wreszcie to, do czego zostałem powołany. Na zlecenie księcia Albrechta

zabiję króla i otrzymam za to sówitą nagrodę. Ty mnie nigdy nie interesowałaś, głupia! Kiedyś nęcił mnie tylko twój posag. Ten głupiec, twój ojciec, próbował jeszcze zmusić mnie do małżeństwa z tobą, tylko dlatego, że oddałaś mi się w lesie w Fuchsheim, jak suka w rui.

Przyplącił to życiem! Tak, nie patrz tak głupio! To ja zabiłem Michała Adlera, a nie ci kretyni, których oskarżył Pratzendorfer.

Jego słowa smagały Trudi, jak razy batoga. On był mordercą jej ojca! To on wbił zimną stal w jego serce! Nie Eichenloh ani Otto von Henneberg, których prześladowała swą nienawiścią. To nie oni odebrali jej człowieka, który był dla niej najdroższy na świecie. Gressingen był winien jej nędzy i wszystkim kłopotom trapiącym jej matkę i rodzeństwo. Junkier Georg był nie tylko mordercą, ale zarazem kutym na cztery nogi krętaczem i obłudnikiem. Ze wstydem przypomniała sobie, jak ją usidlił i wykorzystał w fuchsheimskim lesie niczym ochoczą dziewczkę.

Jej matka, Lisa i wszyscy inni, którzy ostrzegali ją przed nim, mieli rację. Ale ona pozwoliła mu się złapać jak mucha w pajęczą sieć i broniła go przed wszystkimi.

Teraz otrzyma zapłatę za okazany przez siebie brak rozumu. Bezgłośnie prosiła o wybaczenie wszystkich, których tak bardzo zawiodła. Umrze i nie zrobiwszy nic dla Kibitzsteinu, przysporzy swym bliskim dodatkowych zmartwień.

Podczas gdy Gressingen rozkoszował się triumfem, Trudi ze zdziwieniem zastanawiała się, dlaczego wszystkie jej myśli poświęcone są rodzinie. Było to tak, jakby jakaś jej część od dawna przeczuwała, że Gressingen nie jest wart tej miłości. Nie był niczym więcej, jak tylko tchórzem, który zamiast dotrzymać danego słowa, skrytobójczo zamordował jej ojca. W sercu dziewczyny rozgorzała wściekła nienawiść. Wyprostowała się i poprzysięgła sobie, że będzie walczyć do ostatniego tchu.

8.

Peter von Eichenloh był tak rozdrażniony, że wściekłego byka można by przy nim uważać za łagodną owieczkę. Nawet Quirin, który o wiele dłużej niż Hardwin znał swego dowódcę, nie widział go jeszcze w takim stanie. Wyraz twarzy Petera budził strach. Rozgrywając ze Steinsfeldem partię szachów, z taką zaciętością ścisnął w dłoniach zrobione z kości słoniowej figury, jakby chciał rozetrzeć je w pył. W kolejnym ruchu powinien był zaszachować króla przeciwnika, zamiast tego cisnął damą o podłogę.

— Niech diabli porwą niewiasty!

— Wszystkie, czy też jakąś konkretną? — dociął mu Hardwin.

Peter von Eichenloh poderwał się od stołu z takim impetem, że wszystkie figury szachowe przeleciały przez pokój.

— Niech biorą wszystkie, a w szczególności jedną!

— Przecież dziś nie rzucała w ciebie świńskim łbem — drwił dalej Hardwin, lecz zaraz musiał uchylić się w tył, by uniknąć pięści Petera.

— Nie widziałem jej przy kolacji, zaś jej służąca trąjkoczne na dole z innymi dziewczkami. Nie było jej też w pokoju!

Oskarżenia junkra Petera były dość zagmatwane, lecz obaj przyjaciele zrozumieli, co miał na myśli.

— To znaczy, że byłeś w pokoju Trudi, by sprawdzić, co się z nią dzieje — stwierdził Hardwin.

Eichenloh przytaknął.

— Nie było jej i nie natknąłem się na nią w żadnym innym miejscu. Moim zdaniem, podczas posiłku wślizgnęła się do izby Gressingena, by spędzić z nim noc. Jutro, gdy Gressingena zaprowadzą na śniadanie, będzie mogła wyjść i jakby nigdy nic wróci do swej komnaty. Znam się na niewiastach!

W końcu jednej z nich zawdzięczam fakt, że biskup würzbuski chciałby mnie odziać we włosienicę i wtrącić do swego więzienia.

— Nie, nie, źle oceniasz Trudi! Bynajmniej nie jest panną lekkich obyczajów, lecz...

— Ha! — zawołał junkier Peter, otwierając z impetem drzwi, zatrzymał się jednak i przeszył Hardwina badawczym spojrzeniem. — Udowodnię ci, że się nie mylę!

Przyprowadzę tę gęś z izby Gressingena, żeby wszyscy zobaczyli jej hańbę.

Hardwin i Quirin słyszeli jego oddalające się w dół schodów kroki i popatrzyli na siebie z konsternacją.

— Panie na niebiesiech, Peter oszalał! — rzekł Hardwin i miał zamiar pobiec za dowódcą.

Quirin go zatrzymał.

— Daj mu spokój. W takim nastroju jest nieobliczalny. Jeśli dziewczyna jest u Gressingena, to i tak już jej nie pomożesz. Jeśli jej tam nie ma, wówczas Peter wyszaleje się pewno na dworze.

Przez kilka chwil Hardwin błądził niezdecydowanym wzrokiem między stojącym przed nim żołnierzem a drzwiami. Później kiwnął głową i zaczął zbierać rozsypane po pokoju figury szachowe.

W międzyczasie junkier Peter dotarł do korytarza, z którego wchodziło się do izby Gressingena. Zwolniwszy, posuwał się teraz niepostrzeżenie na palcach, by nie ostrzec kochanków. Dopiero w pobliżu drzwi zwrócił uwagę, że przed całą brakuje wartownika. To mogło być bez znaczenia, albowiem mężczyzna mógł się oddalić za potrzebą. Ale w takim przypadku zasuwy byłyby zaryglowane. Zza uchylonych drzwi doszedł go pełen szyderstwa głos Gressingena.

Fichenloh nie mógł wprawdzie zrozumieć, co mówił, lecz stał się czujny i sięgnął po miecz. Ale broń została w jego komnacie. W tej sytuacji odpiął sztylet i ostrożnie popchnął drzwi, by sprawdzić, co dzieje się w pomieszczeniu. Jego wzrok padł na martwego strażnika, później na trzymającego uniesiony miecz Gressingena, na końcu zaś na Trudi. Jej mina zdradzała, że dziewczyna gotuje się z wściekłości.

Jednocześnie zdawała się pogodzona ze śmiercią.

Ustawiony plecami do drzwi Gressingen groził dziewczynie uniesionym ostrzem i obrzucał ją obelgami. Następnie roześmiawszy się, wymierzył w nią miecz.

— Żegnaj, głupia!

W tej chwili usłyszał za sobą okrzyk. — Stój!

Gressingen rozejrzył się i zobaczył wycelowany w siebie sztylet Petera. Kątem oka dostrzegł, że Trudi również wyciągnęła sztylet, toteż postąpił tak, jak uczył go jego mistrz. Ostrze jego miecza zatoczyło łuk, zmuszając junkra Petera do wycofania się, a następnie skierowało się ku Trudi. Dziewczyna spróbowała zrobić unik, ale miecz z okropnym hałasem trafił w jej głowę. Z rany popłynęła krew, barwiąc jej włosy na czerwono.

Gressingen widząc, jak dziewczyna upada, zaatakował junkra Eichenloh. Trafił przeciwnika w ramię i wytrącił mu z ręki ostrze. Zanim

Eichenloh zdążył poń sięgnąć, Gressingen wbił miecz w jego ciało.

Dowódca upadł bezgłośnie na podłogę i nie poruszył się więcej.

Gressingen odetchnął, popatrzył na niego i na Trudi, leżącą z głową w kałuży krwi.

Sprawy potoczyły się lepiej, niż mógł przypuszczać. Za jednym zamachem pozbył się dziewczyny i dowódcy żołnierzy, który mógłby okazać się zawziętym prześladowcą. Jako że czas naglił, wytarł miecz o prześcieradło, wsunął do pochwy i pośpiesznie opuścił izbę. Na zewnątrz zasunął jeszcze rygle, aby nikt przedwcześnie nie nabrał podejrzeń.

Ponieważ wolno mu było uczestniczyć w nabożeństwach, znał najkrótszą drogę do kaplicy. Przemierzał ją teraz, biegnąc. Szczęście nie odwróciło się od niego i po drodze udało mu się nikogo nie spotkać. Dobiegłszy do świątyni, nie zauważył tam żadnej straży. Zamykając za sobą drzwi, usłyszał dobiegające z korytarza komendy i szczęk broni. W świetle jedynej świecy, palącej się nad ołtarzem, przebiegł pomieszczenie i ukrył się w zakrystii, ciemnej niczym bezgwiezdna noc. Zmęczony oparł się o ścianę za drzwiami. Gdyby ktoś chciał zajrzeć do środka, z pewnością nie będzie mógł go dostrzec.

Król nie spieszył się. Przystanął na korytarzu i rozmawiał z jednym z towarzyszących mu ludzi. Dzięki temu Gressingen miał czas przygotować sobie drogę ucieczki. Po omacku dotarł do zewnętrznych drzwi zakrystii i odsunął zasuwę.

Poruszyła się z trudem, wydając przy tym przeszywający go na wskroś, piskliwy szczęk. Zdrętwiał i zaczął nasłuchiwać, ale wydawało się, że nikt tego nie zauważył.

Spróbował nacisnąć klamkę i wrota uchyliły się bez problemu.

Zadowolony zamknął na powrót furtę i na palcach wrócił do wejścia prowadzącego do kaplicy. W tym samym momencie w środku pojawił się Fryderyk. Monarcha skierował się do miejsca, w którym zwykle klękał do modlitwy. Gressingen odczekał jeszcze parę minut, nie wiedząc, czy ktoś z królewskiej straży przybocznej nie zechce skontrolować pomieszczenia. Lecz król został sam.

Gdy modlitwa Fryderyka zagłuszyła wszelkie pozostałe odgłosy, morderca zakradł się na palcach i podniósł miecz, by zatopić go w karku króla.

9.

Uta była zła. Cały dzień musiała ciężko pracować, nie usłyszawszy za to słowa podziękowania, a gdy weszła do komnaty swej pani, ta właśnie gdzieś wyszła.

Dziewka sięgnęła po jeden z ułożonych w niszy kawałków łuczywa i wróciła do holu, by przypalić je od płonącej pochodni. Wróciwszy zauważyła, że w izbie nie było trzewików Trudi, jej ciepłego ubrania ani płaszcza. Jakby jej pani zamierzała wybrać się na spacer lub konną przejażdżkę. Uta zmarszczyła brwi, jako że o tej porze dnia było to dość dziwne.

Jednocześnie przypomniła sobie o Lampercie, który kazał jej ciepło się ubrać i mniej więcej o tej porze przyjść do stajni. Nie uważała się za najmądrzejszą, ale miała dość zdrowego rozumu, by skojarzyć fakty. Lamper nie miał zamiaru wyciągać jej po to, by wspólnie z nią oglądać rozbieżdżone niebo. Działał na rozkaz Trudi, a to mogło oznaczać tylko jedno: jej zwariowana pani zamierzała opuścić pałac.

Uta rozumiała tę decyzję. Wszak do tej pory król nawet nie wspomniał o pomocy dla Kibitzsteinu. Jednak zdaniem Uty, Trudi powinna była oficjalnie pożegnać się z Fryderykiem i wyjechać o ludzkiej porze.

Kolejna myśl, która przyszła jej do głowy, sprawiła, że Uta zamarła. Ta tajemniczość mogła świadczyć tylko o jednym: Trudi zdecydowała się uwolnić Georga von Gressingena i razem z nim uciec. Na myśl o tym, że przez tego niesympatycznego człowieka będzie musiała wyjechać w zimową noc, przeszły ją ciarki i zacisnęła pięści. Opuszczając komnatę, układała sobie w myślach słowa, którymi postara się odwołać do sumienia swej pani. Goniona złością i narastającym w niej niejasnym strachem biegła wzdłuż oświetlonych drgającym światłem pochodni korytarzy, aż stanęła przed izbą Gressingena.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało jak należy, albowiem rygle były zasunięte. Ucie nie spodobało się, że przed drzwiami brakowało strażnika. Przez chwilę wzdragła się przed odsunięciem zasuw i wejściem do środka, lecz dochodzące z izby jęki rozwiały wszystkie jej wątpliwości. Szybko otworzyła wrota i wsunęła głowę do komnaty. Najpierw zobaczyła zamordowanego wartownika. Krzyknęła, a wzrok jej padł na panienkę i junkra Eichenloh.

Trudi klęczała na podłodze chwiejąc się. Po twarzy dziewczyny ciągle jeszcze płynęła krew, zalewając jej oczy. Mimo to spróbowała podczołgać się do skulonego z bólu Petera Eichenloh, który obie dłonie przyciskał do krwawiącej rany.

— Panienko, co się stało?

Uta podbiegła do Trudi i złapała ją za ramiona.

— Gressingen chciał mnie zabić. Na Boga, powinno mu się było udać! Po policzkach Trudi niczym czerwone perły spływały łzy.

— Bzdura! — wyszeptał Eichenloh z ogromnym wysiłkiem.

— Pozwólcie się opatrzeć! — zawołała Trudi, przetarła oczy i spróbowała spojrzeć w jego kierunku.

— Muszę ostrzec króla.

Eichenloh chciał wstać, lecz z westchnieniem opadł z powrotem na ziemię.

— Nie dam rady. Możecie chodzić? Jeśli tak, to pośpieszcie się.

Gressingen zapowiedział, że zabije Fryderyka. Ostrzeżcie króla!

Po tych słowach jego głowa osunęła się na ziemię i więcej się nie poruszył. Trudi popatrzyła nań w osłupieniu i z wysiłkiem dźwignęła się na nogi.

— Opatrz ranę junkra Eichenloh! — rozkazała Ucie. — Ja muszę do króla!

— Może ja powinnam... — krzyknęła za nią Uta, urwała jednak w pół zdania. Jako prosta służąca nigdy w życiu nie została dopuszczona w pobliże króla, poza tym nikt by jej nie uwierzył. Prychnąwszy, zirytowana uporem swej pani i wszystkim, co zaszło, zajęła się rannym.

— Opatrzę wam ranę, panie. Lecz nie wińcie mnie, jeśli mimo to umrzecie— powiedziała do junkra, walcząc ze łzami. Nigdy nie zapomniała, że uratował ich od zamarznięcia.

10.

Trudi biegła tak szybko, jak pozwalało na to jej poranione ciało. Z każdym krokiem coraz bardziej odyskiwała jasność umysłu. Jednocześnie rosła w niej wzdarda dla samej siebie. Jeśli król zginie, będzie to kolejna

wina, która obciąży jej sumienie. Z tyloma grzechami pójdzie do piekła, bez nadziei na zbawienie duszy w dniu Sądu Ostatecznego.

Jej stopy stuknęły o posadzkę, a dźwięk odbijał się echem od ścian. Trudi nie zwracała uwagi na patrzących za nią ze zdziwieniem ludzi i prawie nic dosłyszała okrzyku kobiety, na którą wpadła z zakrwawioną twarzą. Zdawało jej się, że minęła całą wieczność, zanim dopadła do korytarza prowadzącego ku kaplicy. Stojący przed drzwiami strażnicy pochyliwszy do siebie głowy, rozmawiali szeptem, jakby nie chcąc zakłócić modlitwy swego pana.

Gdy Trudi dobiegła, odwrócili się do niej, chcąc ją zatrzymać. Tymczasem krew, którą nasączone były jej włosy i suknia, podarowała jej moment zaskoczenia. Dała nurka pod wyciągnięte w jej kierunku ramiona i przez uchylone drzwi wślizgnęła się do kaplicy.

Ujrzała klęczącego przed ołtarzem króla i stojącego za nim, gotowego do zadania ciosu Gressingena. Ostrzeżenie króla było teraz tak samo pozbawione sensu, jak wołanie straży. Nikomu nie udało się powstrzymać mordercy.

Ale Gressingen jeszcze jej nie spostrzegł. Wzrok Trudi padł na stojącą nieopodal figurę Madonny, długości ludzkiego ramienia. Przypomniała sobie, jak w skalnym zamku Uta obezwładniła tego łotra Hohenwiesena. Jeśli wartownicy nie wejdą zaraz i nie zwrócą na nią uwagi Gressingena, może jej się udać.

Gressingen nie usłyszał szmeru. Serce biło mu jak młotem. W pierwszym odruchu chciał odezwać się do króla, by zobaczyć wyraz jego twarzy w obliczu śmierci. Ale gdyby Fryderyk zawołał straż, wówczas natychmiast podjęliby za nim pogoń.

Wzrokiem poszukał miejsca, w którym miecz przecięłby nić królewskiego życia tak skutecznie, by ten nie zdążył wydać z siebie krzyku. Następnie spiął mięśnie do ciosu.

W tej sekundzie u jego boku wyrósł cień. Zdążył zauważyć umazane krwią, purpurowe oblicze o płonących dziko oczach i pokryte czerwonymi plamami ręce trzymające jakiś podłużny przedmiot.

Trudi uderzyła z całą mocą, jaką nappełniła ją kipiąca nienawiść i bezgraniczny gniew. W tej samej chwili król się odwrócił i zauważył za sobą mężczyznę wypuszczającego z omdlałej dłoni uniesiony miecz, a za nim zalaną krwią dziewczynę upuszczającą figurę Madonny.

Tymczasem królewscy wartownicy zmiarkowali, że niebezpieczeństwo nie nadchodzi z pałacu, jak pomyśleli na widok rannej niewiasty. Z obnażoną bronią wpadli do kaplicy. Fryderyk powitał ich z kamienną twarzą.

— W przyszłości zanim wejdę do kaplicy, sprawdzicie, czy nikt nie ukrył się w zakrystii!

Mężczyźni przytaknęli zawstydzeni. Jeden z nich przystąpił do Gressingena i pokręcił głową ze zdziwieniem.

— To przecież więzień. Jak udało mu się wydostać?

— Wszystkiego się pewnie dowiemy. Niech jeden z was przyprowadzi mojego lekarza, aby zajął się tą dzielną panną. Pozostali niech wyniosą tego człowieka.

— Czy lekarz ma się nim zająć? — spytał jeden ze strażników. Fryderyk podniósł figurę Madonny, ważył ją przez chwilę w dłoniach, a następnie odstawił na zwykłe miejsce.

— Może później. Jemu nikt już raczej nie pomoże. Ta statua została

odlana z brązu.

Panienska Trudi rozbiła mu nią czaszkę.

W głosie króla zabrzmiała ulga i lekka nuta związanego z zemstą ukontentowania, która nie znikła nawet wtedy, gdy Fryderyk ukląkł, dziękując Bogu, Chrystusowi i Świętej Panience, że nie opuścili go w tej trudnej godzinie.

Trzech strażników wytaszczyło Gressingena, ciągnąc go po ziemi jak martwego wieprza. Czwarty wartownik pobiegł, by przyprowadzić lekarza i opowiedzieć o wydarzeniu zaufanym ludziom króla.

11

Dwa dni później nikt nie opłakiwał Gressingena, którego pogrzebano w odległym kącie cmentarza. Oprócz dwóch pacholków, którzy wrzucili do grobu jego ciało, przysypując je ziemią, obecny był jeszcze prosty ksiądz. Zamiast modlić się za duszę zmarłego, żarliwie dziękował Bogu za uratowanie króla.

Przez wiele dni wyglądało na to, że również dla Trudi trzeba będzie przygotować miejsce ostatecznego spoczynku. Nieprzytomna, z wysoką gorączką, rzucała się dziko na posłaniu, jakby gnębiona przez jakieś nieznośne koszmary.

Inaczej było z Peterem, który dzięki swej silnej naturze szybko dochodził do siebie.

Walczył wprawdzie z pourazową gorączką, ale lekarz króla znał swe rzemiosło.

Dzięki jego zabiegom rany się zaogniały i lekarz obiecał mu, że znów będzie mógł władać mieczem.

Mimo wysiłków Uty, z poświęceniem pielęgnującej swą panią, stan Trudi się nie poprawiał. Eichenloh, który sam jeszcze nie zdążył wydobrzeć, kazał sobie zdawać regularne relacje dotyczące zdrowia dziewczyny. Pewnego dnia dostali ponurą wiadomość, że powinni się przygotować na śmierć panienski. Hardwin sięgnął po lutnię, by umilić trochę czas swemu przyjacielowi i dowódcy, ale junkier Peter wybuchnął złością i nazwał go potworem bez serca. Następnie walcząc z własną słabością, spróbował stanąć na nogi.

Hardwin chciał go zatrzymać.

— Lekarz kazał ci leżeć! Eichenloh pokręcił gniewnie głową.

— Ten łapiduch może mówić, co mu się żywnie podoba! Muszę zobaczyć, co dzieje się z dziewczyną.

— Poczekaj kilka dni, aż spadnie ci gorączka — prosił Steinsfeld.

— Sam powiedziałeś, że do tego czasu umrze!

Hardwin prychnął niechętnie. Nie chciał stracić przyjaciela. Wobec jego uporu był jednak bezsilny. Junkier Peter chwiejnym krokiem skierował się do drzwi, ale lewą ręką nie mógł ich otworzyć.

— Czekaj, pomogę ci.

Hardwin zerwawszy się na równe nogi, podtrzymał Petera, któremu słabe jeszcze ciało odmawiało posłuszeństwa. Zarzucił mu płaszcz na ramiona.

— Nie wiń mnie, jeśli później położysz się do grobu obok Gressingena! — powiedział zirytowany.

Wspierając przyjaciela, zaprowadził go do drzwi komnaty Trudi.

Mimo że Hardwin prawie niósł Petera, to krótki spacer zmęczył rannego tak, że ten zlany potem, z białą jak kreda twarzą opadł osłabiony na uprzągnięty

dla niego pośpiesznie przez Utę stołek. Hardwin, spodziewając się najgorszego, chciał pobiec po lekarza.

— Zostaw go! Przynies mi lepiej dzban wina — powstrzymał go junkier Peter zadziwiająco mocnym głosem.

Hardwin wymieniwszy szybkie spojrzenie z Utą, wyszedł z izby. Początkowo rozkazał piwnicznemu napełnić dzban do połowy, później jednak zdecydował się nalać wina do pełna i w drodze powrotnej poprosił służącą o przyniesienie dwóch kubków do pokoju Trudi.

Tymczasem Peter von Eichenloh patrzył na szczupłą, bladą sylwetkę, która skurczona, zwinięta w kłębek leżała na łóżku. Poczł wzbierają ca rozpacz. Nie powinien był wysyłać Trudi, by ostrzegła króla. Lecz Ucie nie udałoby się zapewne wyminąć straży, a nawet, gdyby jakimś cudem tego dokonała, wówczas nie miałyby dość zimnej krwi, by uratować życie Fryderyka.

Poczł, że oczy mu zwilgotniały, i niezręcznie spróbował je wytrzeć.

— Czy naprawdę nie ma najmniejszej poprawy? — zapytał służącą, która ze strapioną miną stała obok niego.

Uta, wydając ciężkie westchnienie, zacisnęła pięści.

— Nie. Leży dokładnie tak samo jak wczoraj i przedwczoraj, tak jakby dusza opuściła już jej ciało.

Zorientowawszy się, że junkier się chwieje, podtrzymała go lekko — Oprzyjcie się o skrzynię, bo jeszcze upadniecie i nie będę miała tyle siły, by was podnieść.

Eichenloh przycisnął lewą rękę do rany, która zakłuła go nagle okrutnie, i poprawił się na stołku.

Uta podała mu kubek ze zmieszonym z wodą winem.

— Napijcie się, wygląda na to, że potrzebujecie kilku łyków.

— Dziękuję. Biorąc od dziewczyny czarę, Peter poczuł ogromne pragnienie i wypił do połowy napój przeznaczony zapewne dla Trudi. Następnie, wskazując na chorą, oddał kubek. Uta zrozumiała jego niemą prośbę, uniosła głowę Trudi i przechyliła naczynie, wlewając napój kroplami do jej ust. Nieprzytomna dziewczyna zaczęła w istocie przełykać trunek.

— Gdyby przynajmniej otworzyła oczy! Cały czas leży bez ruchu albo miota się, jakby walczyła z demonem ciągnącym ją do piekła.

Uta sięgnęła po dłoń Trudi i przyłożyła ją do swych ust.

— Błagam, pani, obudźcie się.

— Czy rany są tak poważne?— spytał Eichenloh.

— Właściwie nie. Gressingen trafił ją płaską stroną ostrza. To tylko duża, stłuczona rana. Lekarz mówi, że miała bardzo mocne wstrząśnienie mózgu. Ale to przecież nie jest obrażenie, od którego się umiera. Obawiam się, że ona nie chce po prostu dłużej żyć. Proszę! Znow się zaczyna. Sami posłuchajcie.

Trudi z zamkniętymi oczami rzucała się po posłaniu, zaś jej ręce poruszały się tak, jakby się przed czymś broniła. Dźwięki, które przy tym wydawała, przypominały stłumione wołanie o pomoc. Następnie zaczęła mówić coś cieniutkim głosem.

— Odejdź! Odejdź! Tylko nie tam! Nie chce na dół. Och, Ojcie w niebie, zdradziłam wszystkich, których kochałam, i tyle win wzięłam na siebie. Przebac mi! Chcę umrzeć!

— Nie mówcie tak, pani — zaklinała Uta, patrząc z rozpaczą na junkra Eichenloh.

— Lekarz powinien dać jej syrop makowy na uspokojenie tych

ataków, lecz boi się, że wówczas zupełnie odeszłaby do innego świata. A tak jest w niej przynajmniej jeszcze trochę życia.

Junkier Peter był zdruzgotany. Spróbował spojrzeć na Utę.

— Wszystko będzie dobrze. Musisz mocno w to wierzyć. Służąca pokręciła z westchnieniem głową.

— Znam swoją panią. Jak wbije sobie coś do głowy, to zawsze tak zrobi. Myśli, że zawiodła, i czeka na koniec.

— To bzdura — przerwał zdenerwowany Peter von Eichenloh. — To najodważniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałem.

— Z całą pewnością. Gdy tylko sobie przypomnę, jak utarła nosa Hennebergowi...

Oczy Uty rozbłysły gniewnie, bo zdarzenie owo było jej zdaniem początkiem wszystkich nieszczęść. A że nie było nikogo innego, z kim mogłaby porozmawiać o Trudi, pogawędka z Peterem była jej bardzo na rękę. Zanim się obejrzał, dowiedział się wszystkiego, o czym służąca mogła mu opowiedzieć. Począwszy od dnia, w którym ludzie z Hilgertshausen napadli w winnicy na dziewczki. Wiele faktów sama знаła tylko ze słyszenia, jak na przykład wydarzenia związane z morderstwem Michała Adlera, lecz bardzo zręcznie potrafiła powiązać ze sobą wszystkie wątki.

Junkier Peter słuchał uważnie i wyciągał własne wnioski. Niemalą rolę odgrywał w nich Pratzendorfer. Na własnej skórze odczuł jego wpływy i pamiętał, z jakim zapałem tamten starał się zwalić na niego winę za śmierć Adlera.

Najprawdopodobniej również prątał uprządł pajęczą sieć, w której tkwiła teraz Trudi i jej krewni.

Powrót Hardwina nie przerwał opowieści Uty. W Peterze znalazła wdzięcznego słuchacza i gdy Hardwin spróbował upomnieć służącą, Eichenloh burkliwie poprosił przyjaciela, by ten się nie wtrącał. Chciał dowiedzieć się o Trudi wszystkiego, co Uta mogła mu powiedzieć. Jednocześnie zauważył, że dziewczka opowiada o swej pani z ogromną miłością.

Sama Uta też to pojęła. Dotychczas miała zwykle inne zdanie niż Trudi, której nie wybaczyła jeszcze długiej, uciążliwej podróży ani przeżyć, które stały się jej udziałem w skalnym zamku. Niemniej, ciągnąc swe szczegółowe opowiadanie, rozumiała, że Trudi uczyniła wszystko, co mogła, by dopomóc matce i zatrzymać w rodzinie Kibitzstein.

Po tym stwierdzeniu Uta zaczęła sobie wyrzucać, że nie była dla Trudi dość dobrą służącą i nie wspierała jej należycie.

Lecz Peter doszedł do wniosku, że przewinienia Uty są bardzo drobnej natury i wszedł jej w słowo.

— Zrobiłaś, co mogłaś. Czyń tak dalej i dbaj o swą panią jak o źrenicę własnego oka.

— Oczywiście, panie.

Chcąc pokazać, jak bardzo zależy jej na zdrowiu Trudi, wytarła jej z czoła krople potu, a następnie poprosiła obu mężczyzn, by zostawili je same, ponieważ musiała wytrzeć spocone ciało pani.

Junkier Peter chętnie zostałby dłużej, ale Hardwin spostrzegł, że jego przyjaciel nie ma już dość sił, by utrzymać się prosto, toteż poprosił go, by wrócił do łóżka. W pierwszej chwili Eichenloh się nastroszył, ale w końcu musiał pozwolić, by Hardwin wziął go na ręce i jak obłożnie chorego zaniósł do komnaty.

Junkier Peter nie wytrzymał długo w swej izbie. Zebrawszy siły, poprosił Hardwina, by z powrotem zaprowadził go do pokoju Trudi. Lekarz, który właśnie wszedł, by wymienić opatrunki, nie był zbyt zadowolony z eskapad swego pacjenta. Podając mu syrop makowy, zadbał o jego długi, głęboki sen. Po przebudzeniu Eichenloh był tak wzburzony samowolą lekarza, że gdy ten zajrzał do niego, Peter rzucił weń opróżnionym kubkiem.

Jego zły humor przepędził z komnaty również Hardwina von Steinsfelda, lecz w jego miejsce pojawił się zaraz Quirin. Peter sprawiał wrażenie, jakby zamierzał przegnać i jego, lecz odprężywszy się nieco, przywołał do siebie zastępcę.

— Mógłbyś mi pomóc wstać. Samemu mi jeszcze trudno.

— Zostań lepiej w łóżku. Jeszcze rany ci się otworzą.

Ale wzrok dowódcy przywołał go do porządku. Przytaknął z westchnieniem i pomógł junkrowi się podnieść, czyniąc to z taką wprawą, że Peter nie poczuł nawet większego bólu.

— Sam mogę już chodzić. Biegnij do kuchni i przynieś mi coś do jedzenia. Jestem głodny jak wilk.

Quirin uśmiechnął się promiennie.

— Dokąd mam zanieść jedzenie? Do komnaty panienki?

— Skąd wiesz, że idę do Trudi? — spytał zaskoczony Eichenloh.

— Znam cię przecież — odparł Quirin ze śmiechem i zniknął, nie ryzykując trafienia czarką.

Droga do komnaty Trudi nie była już tak męcząca, jak jeszcze dwa dni temu, lecz Eichenloh ucieszył się, gdy Uta podsunęła mu zaraz szybko uprzątnięty stółek, sama zaś usiadła na skrzyni.

— Nie ma żadnej poprawy — wyrzuciła z siebie, zanim junkier Peter zdążył zadać pytanie.

Zagryzł wargi i wziął głęboki oddech.

— To niedobrze. Był u niej lekarz? Uta przytaknęła.

— Był, ale powiedział, że nie potrafi jej pomóc. Została tylko modlitwa, którą odmawiamy za nią bez przerwy razem z Lampertem.

Peter dopiero teraz przypomniał sobie o pacholku.

— Co właściwie robi ten chłopak?

— Musi pracować w stajni.

— Co to ma znaczyć? Potrzebny jest tutaj, żeby ci pomóc. Niech natychmiast tu przyjdzie!

Eichenloh był zły, bo Uta wyglądała na przemęczoną, a pod jej oczami widać było głębokie sińce. To nedorzeczość, żeby sama musiała zajmować się chorą.

To jednak nie Lampert, ale Quirin wszedł za chwilę do izby. W jednym ręku trzymał miskę gorącego rosółu, w drugiej zaś kufel z korzennym piwem.

— Twoje śniadanie. Ale nie krzycz na mnie, tylko na lekarza, który nie pozwolił ci nic więcej zjeść.

Peter był tak wyголоdniały, że pochłonałby surowego wołu.

— Dawaj! — rozkazał, zabierając miskę.

Mając tylko jedną wolną rękę, postawił miskę na kolanach. Zaklął zaraz głośno, bo potrawa była gorąca.

— Nie możesz uważać? — skarcił Quirina, który zamienił z Utą porozumiewawcze spojrzenie.

Zbrojmistrz uśmiechnął się ironicznie.

— Mogę cię nakarmić jak małe dziecko!

— Nie dowcipkuj — ostrzegł Eichenloh.

Uta wyjęła mu z ręki łyżkę i istotnie zaczęła podawać mu jedzenie do ust.

Początkowo się opierał, zaraz jednak poczuł, że w ten sposób szybciej zaspokajał głód.

— Przynajmniej się nie poplamie — mruknął pomiędzy kolejną łyżką stawy i spojrzał ponagłajaco na Quirina.

— Idź do stajni i przyprowadź pachołka Trudi. Powinien czuwać przy swej pani, zamiast czyścić zgrzeblę konie.

— Już się robi! — odparł Quirin, nie ruszając się z miejsca. — A swoją drogą to ten Lampert w wieczór morderstwa osiodłał cztery konie, a wśród nich twojego ogiera i klacz Trudi. Mówi ci to coś?

— Tak, ten człowiek zna się na koniach. A teraz zjeżdżaj! Gdy Quirin wychodził z izby, Peter spojrzał pytająco na Utę.

— Panienska chciała uciekać. I to właśnie z Gressingenem.

— Nic takiego mi nie powiedziała — odparła, nie mając odwagi spojrzeć na junkra.

— Musiało tak być. Możesz mi powiedzieć, co widziała w tym lekkomyślnym człowieku?

Dziewka skuliła głowę w ramionach.

— Junkier Georg często przyjeżdżał do Kibitzsteinu i emablował panienkę. Później nagle przestał się pokazywać, a panienska całymi tygodniami chodziła zasmucona.

Ale z całą pewnością nie chciała, by zabił króla.

Ten skrót myślowy sprawił, że junkier Peter się roześmiał. Następnie jednak chwycił boleśnie powietrze, bo rana brzucha źle zniosła ten nieoczekiwany ruch.

— Oczywiście, że nie chciała tego, inaczej nie uderzyłaby go, zanim zdążył to zrobić.

To stwierdzenie sprawiło, że zrobiło mu się lżej na duszy. Pozwolił nakarmić się resztą bulionu i poprosił Utę, by podała mu kubek z pachnącym egzotycznymi korzeniami piwem.

— Jadłaś już dzisiaj? — zapytał, widząc wygłodniałe spojrzenie, którym omiotła pustą miskę.

Uta pokręciła przecząco głową.

— Nie, chciałam zostać przy pani. Jak dziewczki uporają się ze swą pracą, wówczas jedna z nich przyjdzie mnie zastąpić i będę mogła sobie przynieść coś do jedzenia.

— Do tej pory padniesz z głodu! Marsz do kuchni. Przez te kilka chwil sam mogę doglądać panienki.

Dziewka spojrzała na niego z powątpiewaniem, pojęła jednak, że lepiej będzie z nim nie dyskutować, toteż wymknęła się z izby.

Peter von Eichenloh przysunął swój stołek bliżej łóżka Trudi i zapatrzył się na nią.

Serce mu się krajało, gdy widział dziewczynę w tak kiepskim stanie. Uta postarała się, by ją porządnie umyć i usunęła z jej włosów skrzepy krwi. Założony przez lekarza opatrunek znów pokrył się czerwonymi plamami, jako że Trudi ciągle się rzucała i wymachiwała rękami.

Jej twarz zeszczipłała, kości policzkowe wysunęły się do przodu, a skóra była podobna do wosku. Leżała bez ruchu, lecz jej szczęki bezustannie się poruszały, jakby z kimś bezgłośnie rozmawiała, nie mogąc wydobyć z

siebie ani jednego dźwięku.

Naraz usiadła i podniosła powieki. Myślał, że wreszcie się obudziła i chciał się do niej odezwać. Lecz jej wzrok patrzył przez niego, jakby przez powietrze.

— Zdeptałam swą cnotę! — Głos Trudi zabrzmiał tak dziecinnie, że zdumiony Peter pokręcił głową.

Jeszcze bardziej osłupiał, gdy Trudi mocnym, dorosłym głosem sama sobie udzieliła odpowiedzi.

— Przecież tego nie chciałam! Ale on tak nalegał i upoił mnie winem. Ponadto przysiągł na wszystkie świętości, że jeszcze tego samego dnia porozmawia z moim ojcem!

— Powinnam była okazać się mądrzejsza i nie iść z nim — wtrącił dziecięcy głosik.

Dorośla Trudi wydała z siebie dźwięk przypominający śmiech i nie odezwała się.

Natomiast głos dziecka począł dalej narzekać.

— Byłam w nim zakochana. Skąd mogłam wiedzieć, że jest takim łotrem? Zabił ojca. To też moja wina. Tylko dlatego, że mu zaufałam, mama, Lisa i Hildegarda są też skazane na zagładę. Wszystkie umrą, tak samo, jak biedny Eichenloh!

— Jak na nieboszczyka, czuję się dość żwawo — zamruczał junkier. Trudi zamrugwała ze zdziwienia, zaraz jednak wróciła do swych oskarżeń.

I tak Peter dowiedział się, że matka ciągle przestrzegała ją przed Gressingenem, zaś jej siostry ofiarowały pieniądze i biżuterię, by mogła jechać do króla. Co chwila powtarzała, że wszystkich zawiodła i za swe grzechy musi iść do piekła. W gorączkowych urojeniach przeproszała Utę i Lamperta, by za moment poskarżyć się na króla, który nawet nie zechciał jej wysłuchać. Gotowa była nawet przyjąć na siebie wszystkie kary piekielne, jeśli uratowałyby to Kibitzstein.

Peter próbował ją uspokoić, lecz zdawała się go nie zauważać. Po chwili opadła na posłanie i leżała teraz z zamkniętymi oczami, jakby wraz ze słowami uszło z niej również życie. Eichenloh zrozumiał, że tylko bardzo cieniutka nić trzyma ją jeszcze na tym świecie i nie mając pojęcia, jak jej pomóc, chwycił jej rękę.

— Nawet jeśli król odmówi ci pomocy, twoja rodzina nie zginie, obiecuję ci! Zbiorę ludzi i bezzwłocznie wyruszę do Frankonii, by walczyć u boku twoich ludzi.

Obrońmy Kibitzstein i zwyciężymy, jak zawsze.

Wydawało się, że jego słowa dotarły do Trudi, albowiem jej oddech stał się nagle głębszy. Skurcz zniknął z jej twarzy, która przybrała teraz tak delikatny, urzekający wyraz, jakiego Peter nigdy jeszcze u niej nie widział.

— Będę walczył za twoją rodzinę, przysięgam — powtórzył.

W tym momencie zobaczył pochylający się nad nim cień. Myślał, że Uta wróciła z posiłku, jednak odwróciwszy się, ujrzał za sobą króla Fryderyka.

— Wasza królewska mość! — Peter usiłował wstać i skłonić się przed królem, lecz Fryderyk go powstrzymał.

— Dajcie spokój. A może chcecie, by wasze rany znów się otworzyły? — powiedział król. Stał obok niego i patrzył na Trudi.

— Lekarz powiedział, że nic nie może dla niej zrobić. Teraz wszystko w rękach Boga.

Modliłem się, by Bóg dał temu dzielnemu dziecku siłę i pozwolił mu

wrócić do życia.

— Jeśli modlitwa pomoże, podejmę każdą pielgrzymkę! —
wykrzyknął Peter.

Fryderyk III przyjrzał mu się bacznie i pokręcił głową.

— W waszym stanie, drogi Eichenloh, nie wyruszyście ani na
pielgrzymkę, ani też na żadną wyprawę wojenną.

Król zagryzł wargi i popatrzył w przestrzeń. Gdy się odezwał,
sprawiał wrażenie o wiele starszego i bardziej zmęczonego, niż można by
sądzić po jego niespełna trzydziestoletnim życiu.

— Ta dziewczyna przyjechała, by prosić mnie o pomoc. Uważała, że
jako władca królestwa potrafię oddać sprawiedliwość jej i jej rodzinie. Ale
jak mam to uczynić, Eichenloh? Brak mi siły, którą mógłbym zmusić
wielmożów królestwa do posłuszeństwa. Noszę koronę, która nie jest niczym
więcej jak tylko ozdobą. Długo broniłem się przed tym brzemieniem,
albowiem wiedziałem, że brak mi środków do spełnienia nadziei poddanych,
tęskniących za pokojem i sprawiedliwością. W końcu przyjąłem koronę
tylko dlatego, by została w rodzie Habsburgów. Pozostaje mi nadzieja, że
któryś z moich następców będzie kiedyś w stanie stać się królem, jakim ja
nigdy nie będę.

W słowach Fryderyka było tyle rezygnacji, że Peter spojrzał nań z
przerażeniem.

— Jesteście królem, panie. Kto ma rządzić w królestwie, jak nie wy?

— Cesarz Sigismund był królem Czech i Węgier, a ogromne obszary
królestwa uważał za swą własność. Ale nawet jemu nie udało się narzucić
swej woli książętom. Ja sam posiadam tylko jedną czwartą ziem
Habsburgów i nawet tej części zazdroszczą mi moi krewniacy. Zdażyliście
się o tym przekonać na własnej skórze.

— Myślicie, że za zamachem Gressingena stoi wasz brat? Król
pokiwał niezdecydowanie głową.

— Na pewno nie wzdragał się przed tym przedsięwzięciem. Ale sam
plan nie powstał zapewne w jego głowie. Prawdopodobnie stoi za tym
człowiek, który wysłał do niego Gressingena i Henneberga.

— Prałat Pratzendorfer?

— Postawiłbym na to moją koronę.

— Ale dlaczego?

— Władza. Wpływy. Protekcja mego brata, która może przysłużyć
mu się w Rzymie.

Król z westchnieniem wzruszył ramionami.

— Moja straż będzie w przyszłości musiała podwoić czujność. A
przy okazji, właśnie zwolniłem Henneberga z więzienia. — Teraz najkrótszą
drogą pośpieszy do swego brata i wraz z nim zaatakuje Kibitzstein. Jest o
wiele lepszym strategiem niż hrabia Magnus i może zdobyć zamek, zanim
zdążę przyjść z pomocą.

Zdenerwowany junkier Peter dźwignął się ze stołka, wyglądając przy
tym tak, jakby zamierzał wyruszyć natychmiast. Król uniósł uspokajająco
rękę.

— Na honor, nie mogłem postąpić inaczej. Jeśli chodzi o Kibitzstein,
to matka tej dziewczyny jest twardszym orzechem do zgryzienia, niż
mogłoby się wydawać. Jej zamek tak szybko nie upadnie.

Fryderyk uśmiechnął się w zadumie, jakby wiedział znacznie więcej i
był zadowolony ze swej wiedzy. Było to całkiem możliwe, albowiem król
zawsze był zdumiewająco dobrze poinformowany. Peter miał ochotę zapytać

go o to, lecz Fryderyk uniósł dłoń.

— Muszę odejść. Niech Bóg sprawi, że zagoją się rany wasze i tej dziewczyny.

Skinąwszy krótko junkrowi, król opuścił izbę. Za chwilę wróciła Uta, która widząc przed drzwiami straż, nie odważyła się wejść wcześniej. W rękę trzymała kawałek chleba i dzbanek piwa.

— Już jestem — powiedziała, zajmując miejsce na brzegu łóżka. Popatrzyła na Trudi i ściągnęła brwi.

— Albo się mylę, albo pani wygląda na silniejszą niż przed chwilą. Teraz Peter również to zauważył. Z twarzy Trudi ustąpiła już kredowa barwa, a jej powieki zaczęły się poruszać. Jej usta przybrały zdecydowany wyraz i wydały dźwięk podobny prychnięciu rozdrażnionej kotki.

— Nie mam, nie poddam się. Przysięgam — wymamrotała.

W następnej chwili otworzyła oczy i ze zdziwieniem rozejrzała się wokół.

Rozpoznawszy Utę, chwyciła ją za rękę, jakby chciała się przytrzymać, by nie zapaść na powrót w koszmary.

Później dostrzegła odstawiony przez Utę kubek i chleb i oblizała wargi.

— Dobrze się składa! Mam taką pustkę w żołądku, że mogłabym połknąć pół świni!

Dopiero teraz dostrzegła Petera. Popatrzyła na spowijające go opatrunki i przybandażowaną do ciała lewą rękę.

— Miałam straszliwy sen, w którym zostaliście zabici, a ja ranna. Prawą ręką sięgnęła do głowy, pomacała opatrunek i zapatrzyła się w pustkę przed sobą.

— A więc to nie był sen. Gressingen chciał zabić króla, a ja... Naprawdę uderzyłam go figurą Madonny?

— Tak było. Król jest ci za to bardzo wdzięczny.

Przy tych słowach Eichenloh poczuł w ustach gorycz, albowiem przed chwilą dowiedział się, że wdzięczność Fryderyka w dalszym ciągu ogranicza się jedynie do słów. Trudi nie mogła się po nim spodziewać czynów.

Dziewczyna dostrzegła zrezygnowany wyraz twarzy swego gościa.

— Mimo to nam nie pomoże, nieprawdaż?

Peter wzruszył ramionami i skrzywił się pod wpływem nagłej fali bólu.

— To nie ma znaczenia. Gdy leżałaś tu w kiepskim stanie, przysiągłem, że wraz ze swymi ludźmi będę walczył za ciebie i twoją rodzinę. Nie złamię słowa. Mamy wprawdzie tylko garstkę ludzi, ale dotychczas nie przegraliśmy jeszcze ani jednej bitwy.

— Tym razem też nie przegracie!

Okrzyk Trudi zabrzmiał jak żarliwa modlitwa. Następnie na jej twarzy pojawił się wyraz wstydu i zakłopotania.

— Czy możecie mi wybaczyć?

— Wybaczyć? Co?

— Uważałam was za mordercę mego ojca i obwiniałam was przed ludźmi. A to Gressingen go zabił, albowiem ojciec chciał go zmusić do małżeństwa ze mną. Tak więc ponoszę winę za śmierć ojca!

Przez chwilę wyglądało na to, że z powrotem zapadnie w samounicestwiający amok. Peter zastanawiał się nad słowami, które przyniosłyby jej ukojenie, zaś Uta, oderwawszy kawałek chleba, zamoczyła

go w piwie i wsunęła Trudi do ust.

— Jedzcie pani, w ostatnich dniach nie mieliście nic w ustach. Nie chcecie chyba zupełnie wychudnąć?

Po policzkach służebnej płynęły wprawdzie łzy, ale jej głos brzmiał już całkiem rezolutnie.

Peter von Eichenloh uśmiechnął się leciutko, bo większe emocje groziły ponowną falą bólu, zaś Trudi zajęła się delikatnym przetykaniem namoczonego w piwie chleba. Gdy zaspokoila głód, pierwszy raz od długiego czasu mogła się wreszcie uśmiechnąć. Spojrzała na junkra Petera z prośbą w oczach.

— Powiedzieliście, że nigdy jeszcze nie przegraliście bitwy. W takim razie musimy się postarać, by nic się nie zmieniło.

CZEŚĆ ÓSMA

Oblężenie

I.

Mimo, że Maria zakryła uszy dłońmi, co i tak docierał do niej targający nerwy, tępy huk działa wypluwającego na wroga kamienne pociski. Stojący obok niej Falko wydał triumfalny okrzyk.

— Jest!

Maria odwróciła głowę i ujrzała, jak wieża oblężnicza, mozolnie zbudowana przez ludzi Magnusa Henneberga, rozpada się na kawałki, jakby trafiona pięścią olbrzyma.

— Dobra robota!

Falko z uśmiechem skinął Michiemu, który własnoręcznie ustawił i odpalił działo.

Jego matka stała niemo obok nich, nic nie mówiąc i próbując opanować swe uczucia.

Udało jej się wprawdzie wyprawić obie młodsze córki, lecz zaraz pojawił się jej syn, który dotychczas przebywał w bezpiecznym Hettenheimie. Falko wyjechał stamtąd jeszcze tego samego dnia, w którym dotarła doń wiadomość o kłopotach z biskupem würzburskim i jego pomagierem Magnusem von Hennebergiem. Ponadto zabrał ze sobą przyjaciela, Hilbrechta von Hettenheima, najmłodszego syna swego wychowawcy, Heinricha von Hettenheima. Wydawało się, że walka o Kibitzstein, mimo przeważających sił oblężniczych, sprawia obu przyjaciółom wielką przyjemność. Brali udział we wszystkich wypadach, którymi Michi zamierzał skruszyć morale przeciwnika.

Rysa na hełmie Falka pochodziła od miecza wrogiego wojownika, a i jego zbroja nosiła już ślady niejednego uderzenia. Na szczęście obaj młodzieńcy przetrwali jak dotąd wszystkie walki bez większych zadrapań czy sińców. Mimo to Maria nie wyobrażała sobie tego na dłuższą metę. Falko i Hilbrecht byli tak niefrasobliwi, że musieli w końcu nadużyć cierpliwości swych świętych patronów.

Marii wydawało się, że los zrobił jej głupiego psikusa, sprawiając, że zdołała umieścić w bezpiecznym miejscu córkę Michała, Hildegardę, oraz swoją przybraną córkę, Lisę, zaś o swe rodzone dzieci musiała nieustannie drzeć. Od zeszłej jesieni nie miała ani jednej wiadomości o Trudi, a w chwilach posępnego zamyślenia, widywała ją w wyobraźni, jak leży gdzieś zamordowana i zagrzebana przy drodze. Teraz obawiała się, by jej syn nie stracił życia w Kibitzsteinie.

— Z tym Henneberg będzie miał trochę roboty — odezwał się Falko,

nie ukrywając swej pogardy dla dowódcy przeciwnika.

Ponieważ hrabia Magnus zakładał, że w obronie Kibitzsteinu wystąpi samotna, trzęsąca się ze strachu wdowa, toteż na początku rozłożył swój obóz w bezpośrednim sąsiedztwie zamkowych murów, zaś działa kazał rozstawić niemal w cieniu głównej bramy. W związku z tym podczas pewnego nocnego wypadu Michiemu, Falkowi, Hilbrechtowi oraz kilku pachołkom udało się wysadzić w powietrze wrogie działa wraz z całym zapasem zgromadzonego prochu. Od tej pory hrabiemu Magnusowi i jego ludziom nie pozostało nic poza tradycyjnym obleganiem Kibitzsteinu i próbami zdobycia go przy pomocy drabin i wież obłężniczych. Ale dotychczas żaden z wrogich żołnierzy nie zdołał jeszcze przekroczyć muru.

Powrót Falka miał również swoją dobrą stronę. U jego boku ludzie z Kibitzsteinu walczyli jak lwy. Maria wiedziała, że poszliby również za Michim, ale nigdy z tak uporczywą zaciętością, z jaką odparli właśnie trzeci atak coraz bardziej zniecierpliwionego przeciwnika.

Wchodząc na mury, Maria musiała zakładać zbroję i hełm. Towarzyszył jej zawsze jeden z pachołków osłaniający ją szeroką tarczą. Wrodzy wojownicy strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Ponadto hrabia Magnus wyznaczył specjalnie wyszkolonych łuczników mierzących do niej, Falka i Michiego. Jednakowoż rozwścieczeni poniesionymi dotychczas stratami ludzie Magnusa celowali także do wszystkich innych niewiast pojawiających się w obrębie murów.

— Myślę, że niedługo dadzą spokój — oświadczył z zadowoleniem Falko.

— Byłoby cudownie — westchnęła Maria, która wiedziała, że nawet koniec oblężenia nie rozwiąże zaistniałego konfliktu. Mimo to miała nadzieję, że Falko ma rację.

Wówczas osobiście mogłaby pojechać do Ansbachu, by prosić margrabiego Albrechta Achillesa o wsparcie. Dotychczas nie odpowiedział wprawdzie na jej listy, ale z pewnością analizował zaistniałą sytuację. Gdyby książę biskup z Würzburga rozszerzył swe wpływy kosztem małych frankońskich państw, wówczas i jego pozycja doznałaby uszczerbku. W jej mniemaniu, Albrecht Achilles powinien był już dawno wkroczyć. Rozważała, czy istniała możliwość przechwycenia jej listów do margrabiego przez kogoś, kto nie chciał dopuścić do wsparcia przez niego Kibitzsteinu. Jeśli tak było, to jej sytuacja wyglądałaby bardzo nieciekawie.

Odwróciwszy wzrok od wroga, spojrzała na syna, który przerósł ją już o pół głowy.

Był tak szczupły, że sprawiał wrażenie wyjątkowo chudego. Jego dziewczęce, delikatne rysy twarzy już nieraz wywoływały kpiny rówieśników. Większości z nich nie wyszło to na zdrowie, albowiem Falko walczył, jak mały diabeł i nigdy nie dawał za wygraną. Jego przyjaciel Hilbrecht, był od niego niższy, lecz miał nieco szersze ramiona, a pod nosem pierwsze oznaki pojawiającego się zarostu. Byli prawie w jednym wieku, lecz pomijając wzrost, syn Heinricha von Hettenheima wyglądał na sporo starszego od Falka. Za to usposobienie miał podobne dzieciakowi skłonnemu do wszelkich psikusów.

Michi podszedłszy do Marii, przerwał jej rozmyślania. Mimo odniesionego niedawno zwycięstwa, miał zafrasowaną minę. Wskazał na uzbrojony oddział wychodzący z Volkachu.

— Wygląda na to, że będziemy mieli kolejnych nieproszonych gości. Falko miał najlepszy wzrok ze wszystkich. Wskazał na niesioną przez

mężczyzn chorągiew.

— To ludzie Mertelsbacha. Wygląda na to, że stary Moryc przeniósł się na tamten świat, zaś jego syn nie ma nic pilniejszego do roboty niż wysługiwanie się księciu biskupowi.

— Gdyby mi ktoś powiedział, że będę kiedyś żałował śmierci rycerza Moryca, wyśmiałybym go. Był bardzo niemiłym człowiekiem. Wszak teraz wolałbym, aby dożył tylu lat co Matuzalem. Do ostatniej chwili sprzeciwiał się woli swego syna, gdy ten chciał nas atakować u boku Henneberga.

Maria zagryzła wargi, by nie wypowiedzieć głośno myśli, która przysła jej do głowy. Pan Bóg w niebie musi mieć dziwne poczucie humoru, w ten sposób postępując ze stworzonymi przez siebie istotami.

Michi pomyślał o przyjaciółce Trudi, która mu się też dosyć podobała, choć ze względu na swe niskie pochodzenie nie miał możliwości się o nią starać.

— Najbardziej żał mi Bony. Jej pasierb nigdy jej nie zaakceptował, a teraz będzie traktował ją pewnie jeszcze gorzej.

Falko machnął pogardliwie ręką.

— Wróci do ojca i poczeka, aż zabierze ją stamtąd nowy małżonek.

Nigdy nie wybaczył Bonie, że zawsze traktowała go jak małego chłopca i nigdy nie brała na serio. A że brak mu było doświadczenia z płcią przeciwną, przeto Bona odegrała niejedną rolę w jego fantazjach. Szybko otrząsnąwszy z siebie te wspomnienia, spróbował policzyć żołnierzy wysłanych przez Mertelsbacha.

— Z nimi też damy sobie jeszcze radę — skonstatował wreszcie.

Michi wskazał na chorągiew zatknietą obok namiotu dowódców Henneberga.

— Henneberg ma ze sobą pięćdziesięciu własnych ludzi i dwustu pieszych knechtów z Würzburga. Do tego dochodzą ludzie nabożnej damy von Hilgertshausen oraz tak samo pobożnego opata von Schöbacha. Wraz ze swoimi ludźmi pojawił się też Maksymilian von Albach i nasz drogi sąsiad z Dieboldsheimu. Ponadto pan Ludolf von Fuchsheim dał osobliwy wyraz wdzięczności za pomoc udzieloną mu przez was w związku z weselem jego córki. Dołączyły się do tego jeszcze zapowiedzi dwóch wasali würzburskiej kapituły, a teraz przyłączają się jeszcze Mertelsbachowie. Jutro w ich ślady może pójść Volkach, Geroldshofen czy Prichsenstadt.

— Tak, Falko, hrabia Magnus nie ustąpi, chyba że zdarzy się cud i po naszej stronie stanie wreszcie Brandenburg-Ansbach. Ale margrabia Albrecht Achilles odczeka, aż z nami skończą. Wtedy będzie miał pewność, że oburzenie i obawa panów innych niewielkich zamków jest dostatecznie duża, by przeciągnąć ich na swą stronę. Jego wyrachowanie równa się chciwości würzbuskiego biskupa, a może jest nawet większe. Dlatego też cierpliwie zaczeka, aż sam będzie mógł zebrać plon.

— W takim razie dlaczego nadal walczymy, skoro od samego początku wiadomo, że nie mamy szans? — wybuchnął Falko.

— Bo wierzymy w cud! Nieważne, czy nadejdzie ze strony margrabiego, czy z jakiegoś innego kierunku — odparła Maria, przywołując syna do porządku.

Zawstydzony Falko spuścił głowę.

— Wybacz, mamó.

— W porządku — odparła Maria, gładząc go po sięgających ramion włosach, które miały tę samą barwę, co w młodości jej własne.

— Wróg zadarł z Adlerami z Kibitzsteinu. Przekona się, że nasze

dzioby są ostre, a pazury potrafią solidnie poranić!

— To będzie potrzebne — wtrącił Michi, wskazując kolejny pochód zbliżający się z wolna do obozu wroga. Wprawdzie ludzi było o wiele mniej niż w oddziale Mertelsbacha, lecz prowadzili ze sobą zaprzężony w sześć wołów wóz, na którym przymocowana sznurami leżała połyskująca w promieniach słońca polerowana lufa działa.

— Magnus von Henneberg dostał rekompensatę za utracone działo oblężnicze. Ten kaliber może wyrządzić nam krzywdę.

— W takim razie powinniśmy spróbować je zniszczyć tak samo jak poprzednie — zaproponował Falko.

— Teraz będą się spodziewali ataku i zachowają ostrożność. Tak więc wybijcie to sobie z głowy.

Ostrzeżenie Michiego skierowane było do Falka i jego przyjaciela, który ze zmarszczonym czołem i wysuniętą dolną szczęką lustrował nowo przybyłych.

— Ci mężczyźni niosą godło biskupa. Tym samym Gotfryd von Schenk zu Limpurg oficjalnie przeszedł na stronę naszych wrogów — odezwał się oburzony Hilbrecht von Hettenheim.

— Ta informacja w niczym nam nie pomoże. Martwi mnie nie ich liczba, lecz kolubryna. Niewiele możemy zrobić, dopóki nie ustawią jej w zasięgu naszej własnej armaty.

Wydawało się, że Michiego opuściła odwaga.

Za jego plecami Falko i Hilbrecht wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Mieli już pewien plan.

2.

Bona z jękiem chwyciła się za brzuch. Ból był trudny do zniesienia. Tymczasem termin porodu wypadł dopiero za dwa miesiące i obawiała się, że urodzi przedwcześnie. Od innych kobiet słyszała, że dziecko może przeżyć od siódmego miesiąca, a ponieważ od jej ślubu minęło zaledwie pięć miesięcy, żywe dziecko stanowiłoby dla ludzi jawny dowód jej hańby.

Złorzeczyła losowi za swą lekkomyślność, która popchnęła ją do uwiedzenia Hardwina. Tylko dlatego, by to on, nie stary mąż, pozbawił ją dziewictwa. Teraz zastanawiała się, co takiego zobaczyła w tym maminsynku. Od dnia swojego ślubu nie miała o nim żadnej informacji. Mówiono, że matka bardzo się o niego martwi, albowiem towarzysz podróży, do którego się przyłączył, uważany był za mordercę Michała Adlera z Kibitzsteinu.

Na myśl o Peterze von Eichenloh Bonie pociemniało w oczach. Ten dowódca żołnierzy był nieokrzesanym awanturnikiem, który w całym kraju nie miał sobie równych. Myśl, że Hardwin mógłby wziąć przykład z tego człowieka i upodobnić się do niego, sprawiała jej niemal fizyczny ból. Ale kolejny spazm bólu sprawił, że przestała o nim myśleć. Skurczona, starała się zdławić krzyk.

— Mam nadzieję, że wkrótce stracisz tego bękarta!

Głos Elgardy von Rendisheim trafił w Bonę jak piorun. Obróciwszy się, zobaczyła toczącą się w jej stronę zwałistą postać krewnej swego małżonka. Kobieta wyglądała tak, jakby własnymi rękoma zamierzała zadbać o to, by dziecko przyszło na świat martwe. Nie po raz pierwszy Bona zadała sobie pytanie, co takiego zrobiła tej kobiecie. Lecz odpowiedzi mogła sobie udzielić sama.

Pani Elgarda łudziła się nadzieją, że to ją Moryc von Mertelsbach

sprowadzi pod swój dach jako małżonkę. Jednakowoż jej wiano wydało mu się zbyt skąpe, a ponadto w małżeńskim łożu wolał mieć kogoś młodszego i ładniejszego.

Bona dobrze rozumiała powód odmowy danej przez jej małżonka damie z Rendisheimu. Była nieczułą i niesympatyczną osobą, która po ślubie kuzyna sprzymierzyła się z jego najstarszym synem Markusem. Po tym, jak Markus w ogromnym pośpiechu pogrzebał ojca, wraz z oddziałem wyruszył, by przyłączyć się do Magnusa von Henneberga, oblegającego Kibitzstein. W tej sytuacji kobieta przejęła rządy na zamku i rozkazywała wszystkim zgodnie z własną wolą.

Wbrew swym wcześniejszym oczekiwaniom Bona odczuła stratę męża jako podwójne nieszczęście i szczerze go opłakiwała. Mimo szorstkiego wrażenia Moryc von Mertelsbach okazał się troskliwym, a nawet niemal czułym małżonkiem, i z chęcią spędziłaby z nim jeszcze wiele szczęśliwych lat. Ale niebo zadecydowało inaczej.

— Co to ma znaczyć? Idź wreszcie do zajęć! A może potrzebne ci baty? — wrzasnęła Elgarda von Rendisheim. Traktowała Bonę jak zwykłą dziewczkę, nie zaś wdowę po kasztelanie, dając przy tym zły przykład służbie, która również pozwalała sobie na szykany w stosunku do niej.

Bona spróbowała wstać, ale z okrzykiem bólu z powrotem upadła na łóżko.

— Nie dam rady! Te bóle są okropne. Oczy pani Elgardy płonęły niecierpliwością.

— Wygląda na to, że pozbędziesz się tego grzesznego bękarta! To i lepiej, bo tu, na Zamku w Mertelsbachu, nie miałby czego szukać!

Bona była zbyt słaba, by bronić jakoby prawego pochodzenia swego dziecka, toteż odwróciła się plecami do Elgardy, marząc, by ta wreszcie sobie poszła.

Ale Elgarda von Rendisheim rozkoszowała się cierpieniem dziewczyny.

Podczas wesela w Fuchsheimie poza potajemnym bryzganiem jadem nie mogła nic więcej zrobić. Później musiała przeprowadzić się do innych krewnych, albowiem pokłóciła się z rycerzem Morycem. Usłyszawszy o jego chorobie, udała pokojowe nastawienie i wróciła, by go pielęgnować. Ale musiała bardzo się pilnować, by małżonek Bony ponownie nie oddalił jej z zamku. Teraz miała wreszcie okazję odpłacić się tej młodej, nieprzyzwoicie pięknej kobiecie za wszystkie zmartwienia związane z odrzuceniem przez kuzyna.

— Ruszaj się, wstawaj! Leni nam tu nie potrzeba.

Słowom Elgardy towarzyszyły ostre smagnięcia różgi, a zaskoczona dziewczyna skoczyła z przerażenia. Spróbowała wyjść z łóżka, obrywając przy tym kilka kolejnych razów wymierzonych przez Elgardę z premedytacją w wystający brzuch Bony.

Dziewczyna chciała już tylko umrzeć. Ale jej organizm był młody i silny, toteż mimo noszonego w sobie ciężaru, powlokła się w kierunku drzwi i skierowała się schodami w dół. Idąca za nią Elgarda von Rendisheim podstawiła jej nogę, chcąc spowodować upadek. Bona zauważyła to w ostatniej chwili i zdążyła uchwycić się liny zastępującej poręcz. Jednocześnie spojrzała na starszą kobietę z wymuszoną drwiną.

— Nie boisz się, że jako morderczyni trafisz do piekła?

— Phi! Wielebny prałat Pratzendorfer odpuściłby mi ten grzech, jak to już zrobił w przypadku Georga von Gressingena, którego przysięga

złożona Trudi z Kibitzsteinu została unieważniona. Wszystkie wróble ćwierkają już o tym na dachach, że lekkomyślnie obiecał tej gęsi małżeństwo, ale najwielebniejszy prałat sprowadził go na właściwą drogę.

Bona zrozumiała dwie rzeczy. Przede wszystkim, że tak długo, jak Elgarda von Rendisheim mieszkała w tym domu, ona sama nie była bezpieczna. Po wtóre zaś, dowiedziała się, że junkier Georg haniebnie zdradził jej przyjaciółkę Trudi.

Zastanawiała się, czy ludzie wiedzieli o wszystkim, co zaszło w fuchsheimskim lesie. Jeśli tak, wówczas Elgarda von Rendisheim nie pozwoliłaby nawet po chrześcijańsku jej pochować, zaś jej nieochrzczone dziecko trafiłoby wprost do przedsionka piekła, z którego nie wydostałoby się nawet na Sądzie Ostatecznym.

Poczuła narastający gniew i odrazę, a jednocześnie nadszpiewaną chęć życia.

Wprawdzie dopuściła się grzechu, za który w duszy wciąż przepraszała swego zmarłego małżonka, lecz miała nadzieję, że pan Jezus i jego matka Maryja ulitują się nad nią i nad jej nienarodzonym jeszcze dzieciątkiem. Jeśli jednak będzie musiała pójść do piekła, to i tak nie będzie jej tam gorzej niż teraz w Mertelsbachu.

Nie obdarzając Elgardy von Rindesheim nawet jednym spojrzeniem, Bona poszła do kuchni, by zająć się nakazaną jej pracą. Zona kasztelana powinna wiedzieć, jak przyrządza się potrawy i czego do nich potrzeba. Jednakże nie godziło się żądać od niej służebnych posług, jak to miało miejsce po śmierci jej męża. Nie otrzymywała żadnego wsparcia ze strony kucharek ani ich podkuchennych. Mimo iż odkąd przybyła do Mertelsbachu, zawsze dobrze traktowała ludzi, to wszyscy oni i tak przeszli do obozu Elgardy i tańczyli tak, jak ta im zagrała. Wprawdzie byli i tacy, którzy nie do końca zgadzali się z jej rządami, lecz nie wazyli się przejść na stronę Bony, ani nawet okazać jej należnego szacunku.

Bona odebrała podaną przez kucharkę dzieżę i zabrała do mieszania zaczynu.

Wkrótce pot zaczął spływać z jej czoła i musiała uważać, by jego krople nie wymieszały się z ciastem. Podjudzona przez Elgardę kucharka nauczyła się za każdy najmniejszy popełniony przez Bonę błąd bić ją po rękach warząchwią, jak podkradającą potrawy, łakomą podkuchenną.

Elgarda von Rendisheim przysłała za dziewczyną, obrzucając ją kolejnymi obelgami. Po chwili jednak, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, odeszła i udała się do komnat należnych pani zamku, gdzie wprowadziła się po śmierci starego rycerza. Gdyby Markus von Mertelsbach się ożenił, musiałaby się stamtąd wynieść.

Lecz miała już na oku pannę dla niego, która nie oponowałaby przeciwko jej władzy.

Podczas gdy Elgarda von Rendisheim rozpływała się w marzeniach o wygodnej przyszłości, Bona z coraz większym zacięciem wyrabiała ciasto. Ku jej uldze bóle w dole brzucha ustały i czuła się lepiej niż podczas kilku ostatnich dni. Najwidoczniej jej prośby skierowane do Najświętszej Paniarki wzruszyły Bożą Matkę. By w oczach świętej nie okazać się samolubną istotą, ciągnęła swe ciche modlitwy, prosząc o łaskawość dla swej przyjaciółki, Trudi, która cztery miesiące temu zaginęła bez wieści.

Wspomnienie Trudi natchnęło ją otuchą. Przyjaciółka była zawsze tą dzielniejszą z nich obu i dokonywała czynów, o których ona sama nie odważyłaby się nawet pomyśleć. Poczuła, jakby Trudi, niewidoczna dla

innych, stanęła teraz obok, każąc jej wziąć los we własne ręce, zamiast poddawać się tyranii Elgardy.

Normalnie Bona by się poskarżyła, a przynajmniej broniła przed dyspozycjami starszej podkuchennej. Tego dnia siedziała jednak cichutko na stołku i wykonywała przydzielone jej prace. Na początku mieszała ciasto dopóty, dopóki kucharka nie była z niej zadowolona. Następnie stanęła przy kuchni i smażyła mięso przeznaczone na wieczorny posiłek Elgardy, nie przypalając go przy tym ze złości.

W końcu przyniosła dość drewna, by wystarczyło go do rozpalenia pieca następnego ranka. Po drodze zaobserwowała, jak jeden z pachółków odwiedzający pewną dziewczkę we wsi, wymykał się przez tylną furtę w murze, zostawiając ją tylko przytkniętą. Zarygluje ją zapewne dopiero po powrocie, co nie powinno nastąpić wcześniej, niż przed nadejściem nocy.

Wczoraj jeszcze Bona rozżłościłaby się niesolidnością pachółka, lecz teraz uznała to za znak dany jej przez niebo. Poszła dalej do złożonej przy murze sterty opałowego drewna i napelniła swój kosz. Był tak ciężki, że podnosząc go mocno się zasapała.

Postępując, przeciągnęła ciężar przez podwórzec, odprowadzana ironicznymi prześmiewkami kilku młodszych pachółków, którzy niegdyś gorąco zazdrościli swemu panu młodej małżonki. Teraz chcieli przypodobać się Elgardzie von Rendisheim. Bona, nie zważając na nich, weszła do kuchennej przybudówki i odstawiwszy kosz, głęboko odetchnęła.

— Możesz zaraz nanieść wody i napelnić kadź.

Kucharka przechodziła samą siebie w wyszukiwaniu dla niej jak najbardziej haniebnych i wymagających dużego wysiłku zadań.

Bona bez słowa złapała wiadro. Wielokrotnie musiała przemierzać drogę do cysterny i z powrotem, zanim udało jej się napelnić duży, kuchenny zbiornik. Gdy szła z ostatnim wiadrem, inni siedzieli już przy posiłku.

Kucharka z kwaśną miną podsunęła jej miskę owsianki. Wszystkie miejsca były już zajęte i nikt nie miał zamiaru jej ustąpić. Oparła się o ścianę, w jednej ręce trzymała miskę, drugą nabierała łyżką potrawę, która nie miała żadnego zapachu ani smaku.

Pomimo to zjadła wszystko. W ciągu najbliższych godzin będzie musiała zebrać wszystkie siły, jakie tylko zdoła. Nienarodzone maleństwo jakby zrozumiało, że jego matka podejmuje właśnie bardzo ważne decyzje, i zachowywało się nadzwyczaj spokojnie, od czasu do czasu dając o sobie znać delikatnym kopnięciem. Na ustach Bony igrał lekki uśmiech, gdy odkładała miskę. Zabrała się do zmywania. To był ostatni posiłek, który tu spożyła, poprzysięgła sobie, splukując naczynia i odbierając kolejne puste miski do zmywania. Nikt nie pomyślał nawet, żeby jej pomóc, ale było jej to bardzo na rękę.

Dziewki i pachółkowie opuszczali po kolei kuchnię. Na końcu wyszła kucharka, która stanąwszy w drzwiach, jeszcze raz się do niej odwróciła.

— Zostaniesz tu, dopóki nie wrócę. Uważaj, żeby ogień nie wygasł, na wypadek, gdyby pani jeszcze czegoś potrzebowała.

Mówiąc o pani, kucharka miała oczywiście na myśli Elgardę von Rendisheim, którą Bona nazwałaby raczej starą wiedźmą.

Dziewczyna wymruczała coś, co kucharka mogła uznać za potwierdzenie, a następnie odczekała, aż kobieta się oddali. Gdy jej kroki umilkły, rzuciła wszystkie miski, zarówno te umyte, jak i brudne, do kadzi z wodą. Szybkim spojrzeniem upewniła się, że droga jest wolna, wybiegła z

kuchni i przy tylnym wyjściu złapała jeszcze wiszącą w sieni pelerynę z owczej skóry. Nie minął jeszcze czas zimnych ogrodników, toteż noc mogła być chłodna. Niezauważona dobiegła do furty w murze i prześlizgnęła się przez nią na zewnątrz. Na zachodzie słońce chowało się właśnie za pagórkami, zaś wschód spowijał już nocny mrok. Bona korzystając z ostatnich promieni dziennego światła, starała się jak najszybciej oddalić od Mertelsbachu. Co prawda nie wyobrażała sobie, by Elgarda von Rendisheim miała zamiar wysłać za nią pogoń, lecz mimo to nie chciała ryzykować.

Zamek został z tyłu i dziewczyna dotarła na brzeg lasu, w którym mogła się skryć przed wzrokiem ustawionych na wieży strażników. Wówczas uprzytomniła sobie, że wybiegła właściwie bez celu. Nie mogła wrócić do ojca, który pozwolił Magnusowi von Hennebergowi i temu antypatycznemu prałatowi Pratzendorferowi przeciągnąć się na stronę Würzburga. Następnie zaś oświadczył jej, iż ma być we wszystkim posłuszna spadkobiercom swego małżonka. W swej chciwości pragnął otrzymać jak największą część z posiadłości Kibitzsteinu, zaś własnej córce żałował nawet wiana pozwalającego na wstąpienie do jakiegoś godnego klasztoru. W Kibitzsteinie powitano by ją zapewne z radością, lecz ze względu na obleżenie zamek był nieosiągalny.

Złęczniona dziewczyna zastanawiała się, kto mógłby się nad nią ulitować. Jej krok stał się nierówny i ogarnęła ją taka rozpacz, że miała ochotę położyć kres swemu życiu. Ale to mogła była zrobić już w Mertelsbachu.

Przez chwilę oddała się marzeniom, w których ujrzała siebie podającą zdrowe dzieciątko jego prawowitemu ojcu. Widziała jego płonące ze wzruszenia oczy.

Nagle zrozumiała, dokąd powinna się udać. Ruszyła energicznie przed siebie, później zaś skręciła w boczną drogę prowadzącą do Steinsfeldu. Co prawda Hardwina nie było w domu, ale to było jej nawet na rękę. Nie powinien widzieć jej w takim oplakanyim stanie. Sądziła, że może zaufać jego matce. Niestety nie mogła powiedzieć pani Hercie, że to jej wnuka nosi pod swym sercem. Musi pozostawić ją w przeświadczeniu, że jest tylko wdową, która została źle potraktowana przez swego pasierba i jego krewniaczkę. Matka Hardwina była osobą szorstką, ale sprawiedliwą, i z pewnością nie odmówi niezbędnej pomocy córce sąsiada.

3.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Bona podejmowała decyzję o wędrówce do Steinsfeldu, Falko i Hilbrecht w cieniu murów zakradli się do furtki i wyglądając przez wizjer, patrzyli na oblegających zamek żołnierzy. Miejsce, w którym ustawiono nowe działo, oświetlał płomień rozpalonych wokół ognisk. Przyjaciele naliczyli co najmniej tuzin wartowników trzymających straż przy armacie.

— Naprawdę myślisz, że nam się uda? — zapytał Hilbrecht z niezamierzoną obawą.

— Pewnie! W przeciwnym razie nie proponowałbym przecież, byśmy to zrobili— odparł ściśniętym głosem Falko, który nie był w istocie tak pewien swego, jak udawał przed przyjacielem. Ale jeśli chcieli dalej stawiać opór obleżeniu, musieli pozbyć się i tej kolubryny. Pociągnął Hilbrechta w swoją stronę, aż ich twarze niemal się ze sobą zetknęły.

— Nieprzyjaciel oczekuje takiego samego wypadu jak ten, w którym

zniszczyliśmy poprzednie armaty. Nie spodziewa się, że w środku nocy trzej ludzie podkradną się do składu prochu. Zobaczysz, wysadzenie go w powietrze to dziecinna igraszka.

Moja matka też kiedyś coś podobnego zrobiła. Razem z Anni i jeszcze jedną niewiastą, która później wyszła za mąż w Kitzingenie.

Hilbrecht nie cofnąłby się przecież przed czymś, z czym poradziłoby sobie kilka kobiet. Starał się sprawiać energiczne i nieustraszone wrażenie, nie bacząc, że w panujących wokół egipskich ciemnościach Falko i tak nie mógł go widzieć. Wygasili pochodnie oświetlające tę część zamkowego podwórca, by nie zwróciły na nich uwagi wroga, gdy będą otwierali furtkę.

— No, więc co robimy? — spytał Hilbrecht, starając się, by w jego głosie zabrzmiała odwaga.

— Zaczekamy jeszcze na Gisa.

— Już jestem.

Najmłodszy syn kozłarki zbliżył się do nich niepostrzeżenie i zachichotał radośnie, gdy obaj przyjaciele podskoczyli wystraszeni.

— Jeśli podejmiemy ich tak cicho, jak ja do was podszedłem, wówczas würgburchycy spostrzegą się dopiero wtedy, gdy będzie już za późno — ciągnął Giso, wyglądając przez wizjer na wroga.

— Rozpalili ogniska, ale najpóźniej za dwie godziny większość z nich się wypali.

Wtedy możemy uderzyć.

Giso był o kilka lat starszy od swych towarzyszy i chodził do szkoły, albowiem zamierzał wstąpić do stanu duchowego. Pomimo to niewiele miał wspólnego z biskupem z Würzburga. Dowiedziawszy się o problemach Kibitzsteinu, poprosił o urlop, by wesprzeć swą rodzinę. Jego matka i brat znajdowali się obecnie w zamku, ponieważ obawiali się napaści wrogich żołnierzy. A jako że nie chciał bezczynnie stać w szeregach obrońców, toteż przyłączył się do Falka i Hilbrechta i wspólnie z nimi uknuł figiel, który zamierzali spleść wrogowi.

— Tu są ubrania, które będą wam potrzebne. Musicie wyglądać jak pacholki, których ludzie Henneberga wyciągnęli z wiejskich zagród, by wykonywali za nich najgorsze prace. Wasze wytworne szatki szybko by was zdradziły — zadysponował, podając każdemu niewielkie zawiniątko. Falko od razu zaczął się przebierać.

Złożywszy bardzo starannie własne ubranie, ułożył je na gzymsie. Hilbrecht natomiast rzucił swe rzeczy wprost na ziemię. Za chwilę obaj mieli na sobie proste kitle z niebarwionej wełny, które na piersiach związane były sznurem. Na głowy zarzucili nieforemne kaptury.

— Udało wam się zdobyć butelkę? — spytał Giso. Falko roześmiał się po cichu.

— Oczywiście — odparł, unosząc dużą, glinianą butelę, zaczopowaną kawałkiem materiału, z której wystawał obtoczony w prochu i nasączony woskiem sznur.

— Nie zapomnieliście o ogniu? — sądował dalej Giso.

Zamiast odpowiedzi Falko otworzył niewielką podziurawioną puszkę z blachy, w której leżał kawałek rozżarzonej huby.

— Pomyślałem, że to będzie pewniejsze od krzemienia i żelaza. Byłoby słyhać, jak krzesze ogień.

— Racja, ale krzesiwo powinienes i tak mieć przy sobie. Co będzie, jeśli będziemy musieli po drodze wejść do strumienia i huba zgaśnie?

— Widzicie pana studenta! Myśli o wszystkim i to podwójnie —

zadrwił Hilbrecht, ale zaraz spoważniał. — Mam przy sobie krzesiwo. Zawinałem je w naoliwioną skórę.

Mogę z nim nawet pływać.

— Wymyślacie, jakbyście mieli zamiar przepłynąć wpraw przez Men. Nie ma takiej potrzeby.

Falko był rozdrażniony, bo przyjaciele za bardzo skupiali się na szczegółach. On zamierzał po prostu wyjść za mury, zniszczyć skład prochu wroga i wrócić do zamku.

— Ruszajmy — powiedział, by Giso nie zdążył odebrać mu dowodzenia. Hilbrecht wydawał się ciągle jeszcze zdezorientowany, bo pociągnął adepta na księdza za rękaw.

— Mamy iść?

Giso nie mniej niż Falko płonął z niecierpliwości.

— Oczywiście. Czeka nas daleka droga, musimy obejść obóz wroga, by od tyłu dojść do wozu z prochem. To plan Falka. Uważam, że jest dobry.

Między młodymi przyjaciółmi znów zapanowała harmonia. Falko uchylił furtkę i wymknął się na zewnątrz.

— Nikogo nie ma — wyszeptał do swych towarzyszy, którzy poszli w jego ślady, wpatrując się w jasny płomień ognisk, których migoczące światło dosięgało murów zamku.

— Schylcie się, inaczej mogą nas zauważyć — rozkazał ledwo dosłyszalnie Falko, klękając na ziemi. Choć od wroga dzieliło ich mocno ponad sto kroków, z ogromną ostrożnością wczołgał się do okalającej mury fosy.

Na szczęście w fosie nie było wody i mieli dobrą osłonę, nawet w miejscu, które było jasno oświetlone blaskiem wrogich ognisk. Doszli w pobliżu głównej bramy, skąd działo nieprzyjaciela było wyraźnie widoczne. Stało nakierowane na drewniane wrota i gdyby ich przedsięwzięcie miało się nie powieść, już jutro zaczęłoby miotać żelazne kule.

Zatrzymali się pod masywnym drewnianym mostem prowadzącym do bramy i dokładnie zbadali teren. Następnie cichutko, jak łasice, pomknęli dalej, znikając w ciemnościach.

Nieprzyjaciel otoczył zamek szerokim łukiem, lecz najwięcej żołnierzy zgromadziło się w miejscu głównego obozu. Pozostałe części pierścienia nie były tak gęsto obsadzone, a i rozpalone tam ogniska nie oświetlały wszystkiego. Dzięki temu trójce przyjaciół udało się niezauważenie przemknąć obok wartowników. Żołnierze zgromadzili się wokół ognia i gawędzili ze sobą, nie zwracając zbyt dużej uwagi na okolicę. Kłopotów spodziewali się raczej od frontu, gdzie znajdowało się nowe działo. Doszli do wniosku, że pilnowanie ich pozycji jest zbędne, albowiem Kibitzstein nie miało co liczyć na pomoc z zewnątrz, zaś w obliczu stromych, porośniętych winnicami stoków, wypady w ich kierunku wydawały im się pozbawione sensu. Oddział, który podjąłby próbę ucieczki w kierunku zamkowych zboczy, zostałby przez oblegających bardzo szybko zatrzymany.

Falko i jego przyjaciele dziękowali w duchu wartownikom za ich nieuważę, przemykając między winnymi krzewami, które w tę bezksiężycową noc nie tylko ich osłaniały, ale również pozwalały odnaleźć właściwą drogę. Kawałek dalej wydostali się z długich rzędów winogron i zatoczyli łuk, kierując się z powrotem do zamku. Drogę wskazywały im płonące ogniska.

Doszedłszy do wąskiego rowu, Falko zatrzymał się i zanurzył dłoń w

wilgotnym szlamie.

— Posmarujcie tym twarze i ręce, inaczej będziecie zbyt dobrze widoczni w blasku ognia.

— Mówisz, jakbyś co tydzień robił takie rzeczy — mruknął Hilbrecht, który nie miał ochoty się brudzić.

— Przypomnij sobie nauki swojego ojca! Był prawie tak samo wielkim wojownikiem jak mój.

— Tego „prawie” nie dosłyszałem — odparł Hilbrecht, zabierając się do maskowania twarzy warstwą błota.

Giso także poszedł za radą Falka. Jako osoba potrafiąca nie tylko bezbłędnie odmówić *Ojcie Nasz*, ale znająca również znaczenie łacińskich słów, traktował obu rycerskich potomków z pewną pobłażliwością. Mimo to był zadowolony, że młodzieńcy zachowują zimną krew, a Falko okazał się godnym przywódcą.

Wkrótce dotarli na skraj oświetlonego ogniskami terenu i poządlawie ogarnęli wzrokiem drewnianą podstawę, na której spoczywała armata. W tym miejscu było tak jasno, że nawet mysz by się nie prześlizgnęła. Oblegający, nauczeni niemiłym doświadczeniem, ustawili wóz z prochem w pewnej odległości od działa i zamkowych murów, zaś wokół niego, w bezpiecznym oddaleniu, rozpalili ogniska. Ich migoczące płomienie tworzyły swoistą grę światła i cienia, dając dzielnym młodzieńcom dobrą osłonę.

— We trzech nie damy rady. To zbyt niebezpieczne — odezwał się Falko, pocierając w zamyśleniu nos. Następnie schował pod kitlem glinianą, napełnioną prochem butelkę i odsłonił w uśmiechu zęby, które w blasku ognia zaśniły niczym perły.

— Ja to zrobię. Jeśli mi się uda, to dobrze. Jeśli jednak mnie złapią, wówczas musicie wziąć nogi za pas.

— Nie lepiej, żebym to ja poszedł? — wtrącił Giso. — Jeśli cię złapią, twoja matka będzie musiała poddać zamek, bo Henneberg zaszantażuje ją, grożąc, że umrzesz.

Mnie mogą najwyżej zabić.

— To nasz zamek i jeśli chcę go zatrzymać, muszę okazać się godzien. Jeżeli nie uda nam się wysadzić prochu, to prędzej czy później działo rozłupie bramę i wieżę.

Wtedy zaatakują i tylko niebiosą wiedzą, czy udałoby nam się przetrwać. Idę.

Nie czekając na odpowiedź przyjaciół, Falko poczołgał się przed siebie jak zwinna jaszczurka.

4.

Wykorzystując każdą nierówność terenu, Falko czołgał się w kierunku wozu z prochem. Całym sobą niecierpliwie pragnął mieć już wszystko za sobą, lecz nie tracił czujności i nie spuszczał oka ze strażników. Za każdym razem, gdy któryś z mężczyzn odwracał w jego kierunku głowę, przywierał w bezruchu do ziemi.

Zdawało się, że minęło już wiele godzin, a on prawie nie zbliżył się do pojazdu. W myśli podziękował Giso, który kazał mu wdziac prosty, chłopski kitel, dzięki któremu teraz barwą nie odróżniał się prawie od zdeptanej ziemi. Nawet gdy od czasu do czasu oświetlał go blask jakiegoś nagle podsyconego ognia, żaden ze strażników nie zwrócił na niego uwagi.

Falko odczekał, aż strażnicy, którzy mogli go jeszcze dostrzec, zajęli

się rozmową, następnie wyskoczył do przodu i ukrył się pod wozem. Pod osłoną wielkich kół, których szprychy dawały tyle cienia, że nawet sokole oko by go tam nie wypatrzyło, wyciągnął swoją małą, własnoręcznie zrobioną bombę i zaczął się zastanawiać, gdzie powinien ją umieścić, by uzyskać jak najlepszy efekt. Gdyby położył ją po prostu pod wozem i zapalił lont, wówczas narobiłaby tylko huk, bowiem bale, z których zrobiono dno pojazdu, były prawie tak mocne jak te z zamkowej bramy.

Musiał odważyć się na więcej. Wysunąwszy lekko język, Falko wyprostował się.

Gdy wartownicy odwrócili się do niego na chwilę plecami, podciągnął się, wślizgując się pod plandekę wozu. Pod ciężkim materiałem nie mógł nic zobaczyć, ale jego ręce wyczuły szczelinę między beczkami, w którą udało mu się wsunąć butelkę. Następnie rozwinął lont, który wydał mu się nagle przeraźliwie krótki, a później wyjął z kieszeni puszkę z żarem.

Ścisnęło go w żołądku. Jeśli huba zgasła, wówczas nie uda mu się podpalić lontu, ponieważ nie miał żadnej innej możliwości wykrzesania ognia. Co prawda Hilbrecht zabrał ze sobą krzesiwo, lecz dzielące go od przyjaciela pięćdziesiąt kroków stanowiło teraz taką samą odległość jak pięćdziesiąt mil.

Falko skierował do nieba gorącą modlitwę i otworzył puszkę. Kamień spadł mu z serca, gdy w jej wnętrzu ujrzął czerwony żar. Szybko go rozdmuchał i przyłożył do końcówki lontu. Chwilę czekał, aż skręcone z czarnym prochem pakuły się zajęły.

Gdy usłyszał syk, rzucił puszkę i zeskoczył na ziemię. Zamierzał się właśnie poderwać do biegu, gdy zorientował się, że w ten sposób zwróciłby na siebie uwagę wartowników. Gdyby któryś z mężczyzn zmiarkował, o co chodzi, mógłby zdążyć zajrzeć pod plandekę i ugasić sznur. Toteż nie mając innego wyjścia, ponownie przyjął pozycję jaszczurki i leżąc na brzuchu, począł się czołgać. Próbował odliczać czas do wybuchu. Jeśli nie odczołga się na bezpieczną odległość od wozu, wówczas wybuchający proch zabierze go ze sobą do królestwa niebieskiego. Sprężony w napięciu zaczął się po cichu modlić, następnie postanowił posuwać się nieco szybciej, na łokciach i kolanach.

Nie doczołgawszy się nawet do połowy drogi dzielącej go od ognisk warty, odniósł nagle wrażenie, że świat za nim się zapada. Zrobiło się jasno jak w dzień. Jakaś olbrzymia dłoń złapała go i wyrzuciła w gorejące żarem powietrze, opalając jego skórę i włosy. Wylądowawszy na twardej ziemi, usłyszał grzmot, a wszystko wokół przeraźliwie zadygotało. Później zapadła grobowa cisza.

Falko spróbował się podnieść. Później się otrząsnął i poczuł przenikliwy ból w karku, przeszywający całe jego plecy i pół czaszki. Z trudem się odwrócił i stłumił cisnący mu się na usta triumfalny okrzyk. To, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. W miejscu, w którym przed chwilą stał wóz z prochem, widniał teraz czarny lej, tak wielki, że zmieściłby się w nim całutki koń. Po większości okolicznych namiotów nie zostało nawet śladu, pozostałe zaś, w strzępach, płonęły jasnym ogniem. Najprawdopodobniej podmuch eksplozji rozproszył ogniska wartowników, od których zajęło się nasmołowane płótno. Ogień pochłaniał namioty, osłony i wozy z zapasami, rozświetlając powietrze upiornym blaskiem.

Dookoła, dziko gestykułując, biegali ludzie, którzy zupełnie potracili głowy.

Krzyczeli i nawoływali się wzajemnie, ale do Falka nie docierał

żaden dźwięk.

Zdumiony, zaczął się rozglądać. Tymczasem ktoś pociągnął go za rękaw.

Rozpoznawszy Hilbrechta, odetchnął z ulgą. Przyjaciel patrzył na niego i poruszał ustami, ale Falko nic nie rozumiał.

Wystraszony wskazał na swoje uszy.

— Nic nie słyszę!

Hilbrecht zaniepokoił się, ale wnet pojął, co przyjaciel ma na myśli. Złapał go za ramię.

— Uciekamy!

Chciał pociągnąć Falka za sobą, lecz ten wyrwawszy mu się, pokazał działą, spoczywające spokojnie na podstawie. Pilnujący je mężczyźni znikli.

Prawdopodobnie próbowali pomóc w ratowaniu zapasów.

— Zniszczmy armatę! — rozkazał i odniósł przy tym wrażenie, że usłyszał kilka wypowiedzianych przez siebie sylab. Ale to było teraz mało istotne.

Falko pobiegł w kierunku działą. Większość rozpalonych przy nim ognisk została zdmuchnięta przez impet wybuchu. Panującą tu ciemność przełamwały od czasu do czasu migoczące płomyki. Przyjaciele musieli uważać, by nie potknąć się o porozrzucane przedmioty, lub jak to się właśnie przytrafiło Gisowi, o trupy.

Doszedłszy do działą, Falko przystanął, bezwiednie podrapał się w głowę i westchnął, natrafiwszy dłonią na wypalone włosy. To niewielka cena za zwycięstwo, przemknęło mu przez głowę. Oddałby resztę włosów, gdyby udało mu się pozbyć jeszcze działą, które stanowiło dla zamku duże zagrożenie. Proch uda im się zdobyć szybciej niż nową armatę. Szybko ocenił pozycję kolubryny. Rura była solidnie obsadzona w stelażu i do jej podniesienia potrzeba byłoby trójnogu i liny.

Falko zamierzał dać za wygraną, choć wiedział, że zdobyli najwyżej dwa dodatkowe tygodnie. Tymczasem nagle natrafił na podtrzymujące lufę kliny. Ludzie Henneberga nie zdążyli jeszcze zabezpieczyć działą żelaznymi gwoździami, które wraz z solidnym bijakiem leżały sobie spokojnie obok w trawie. Falko odkrył je, potykając się o nie boleśnie.

Bez zbędnego zastanowienia, podniósł młot i wziął szeroki zamach. Dźwięk uderzenia popłynął w noc tęnym echem, zaś jego dwaj przyjaciele zerknęli przestraszeni w stronę wrogich żołnierzy. Lecz szczęście im sprzyjało. Ogień objął kilka wozów z zapasami, wgrzając się z trzaskiem przerywanym drobnymi eksplozjami w ładunek.

Falko uderzył ponownie, później jeszcze raz. Pierwszy klin wyskoczył i szerokim łukiem poleciał w trawę.

— To było dobre! — zagrzewał Hilbrecht kolegę. Giso krążył wokół działą w nadziei, że znajdzie gdzieś jeszcze jeden bijak. Lecz potknął się tylko o stojący z boku trójnog. Ułożone między grubymi balami długie żerdzie podsunęły mu pewien pomysł.

Przywoławszy do siebie Hilbrechta, wetknął mu do ręki żerdź.

— Chodź! Wspinamy się na górę. Jak tylko Falko wybije kliny, my wypchniemy lufę z łożyska.

Hilbrecht wydał radosny okrzyk, zaś Falko, do którego zaczęły już docierać pojedyncze słowa, podwoił swe wysiłki. Następny klin wyprysnął w powietrze, później znów kolejny.

— Pośpieszmy się. Wartownicy zauważyli, że coś się dzieje! — zawołał Hilbrecht do przyjaciela i zamierzał zaprzeć żerdź o lufę działą.

— Stój, idioto! Jak to żelastwo zacznie się teraz toczyć, zgniecie Falka na miazgę— wrzasnął Giso. Jemu również było trudno powstrzymać niecierpliwość, lecz w przeciwieństwie do Hilbrechta, dokładnie obserwował rozwój wypadków.

Tymczasem Falko pospieszył na przód armaty, by zająć się resztą umocowanych tam klinów.

— Stań z drugiej strony, inaczej lufa cię przygniecie! — zawołał Giso, napierając żerdzią na stalową kolubrynę.

Razem z Hilbrechtem wyteżyli wszystkie siły, lecz nawet po wybiciu przez Falka pozostałych klinów, nie mogli poruszyć żelaza. Rozzłoszczony Hilbrecht rzucał przekleństwa, Giso zaczął odmawiać łacińską modlitwę.

Falko odsapnął i złapał trzecią żerdź.

— Spróbujmy we trzech! Musi nam się udać.

Giso pozwolił wciągnąć się na łożysko i cmoknąwszy, przycisnął żerdź do boku lufy.

— Teraz wszyscy naraz!

Trzej przyjaciele całym ciężarem wparli się w żerdzie. Ale działa ani drgnęło.

Na rozkaz Falka ustawili ponownie tyczki, popychając nimi z całej siły lufę.

— Do diabła z tym piekielnym żelastwem! — zaklął Giso, widząc, jak ludzie na dole zaczynają się zbierać, by odeprzeć atak domniemanego napastnika z Kibitzsteinu.

W tym momencie działa drgnęło.

— Damy radę! — wykrzyknął rozradowany Hilbrecht.

Wstąpiły w nich nowe siły. Lufa znów się poruszyła. Falko rozkazał, by przyłożyli żerdzie z przodu. Gdy jeszcze raz nateżyli mięśnie, lufa poruszyła się już bez większego oporu, osunęła się za krawędź łożyska, potoczyła kilka sążni do przodu i zdawało się, że zaraz się zatrzyma, ale przechyliwszy się na nierówności, poleciała w dół zbocza.

Przyjaciele patrzyli, jak kolubryna błyskawicznie zapada się w ciemność nocy.

Słyszeli, jak uderza o głązy i rozwalcowuje krzewy winorośli. Tej jesieni będzie mniej winogron, ale była to znikoma cena za to ważne zwycięstwo.

Lufa toczyła się jeszcze ku dolinie, gdy z tyłu za chłopcami rozległy się ostre rozkazy. Odwróciwszy się, ujrzeni, że rozstawieni szerokim szpalerem wűrzbuczycy zaczynają szturmować w ich kierunku.

— Do zamku! — zawołał Falko.

Była to ostatnia chwila, bo zostali już prawie osaczeni. Biegając do zamku, zauważyli kolejny wrogi oddział, idący wprost na nich.

— Powinniśmy byli uciekać w przeciwnym kierunku — zawołał przerażony Hilbrecht, szukając ręką miecza. Ale broń została w Kibitzsteinie. Tak samo jak Falko chłopak miał przy sobie jedynie sztylet, zaś Giso posiadał tylko nóż, który służył mu zazwyczaj do posiłków.

— Pokażmy tym ludziom, co to jest odwaga! — krzyknął Hilbrecht głosem zdradzającym obawę.

Na widok bramy Kibitzsteinu, którą właśnie otwierano, Falko roześmiał się z ulgą.

Na zewnątrz wypadła załoga zamku z Michim na czele.

— Naprzód, ludzie, damy radę! — zawołał, biegnąc wprost na ludzi Henneberga, następnie zataczając łuk, spróbował ich okrążyć.

Hilbrecht popędził w przeciwnym kierunku, zaś Giso, który został trochę w tyle, wbiegł prosto w przerwę powstałą między grupami goniącymi jego dwóch przyjaciół.

Niemalże cudem całej trójce udało się utrzymać ludzi Henneberga na dystans tak długo, aż dotarł do nich Michi i wraz z oddziałem rzucił się z rykiem na wrogów.

Knechtowie, którzy nie zdążyli otrząsnąć się z przerażenia po wybuchu wozu z prochem, zdawali się nie dostrzegać nowego niebezpieczeństwa i wciąż jeszcze nie odpuszczali pogoni. Dopiero gdy zaczęły w nich trafiać lance i strzały obrońców, żołnierze Henneberga zabrali się do tworzenia frontu przeciwko kibitzsteinczykom.

Jednakowoż było już za późno i zostali odparci.

Falko i jego przyjaciele wślizgnęli się we własne szeregi i nie przestawali biec, dopóki nie znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Na środku zamkowego dziedzińca padli zziębnięci na ziemię, trzymając się za brzuchy ze śmiechu.

Za nimi pacholek, który ujrzał, jak wchodzili, zadał w róg, na co Michi dał rozkaz do odwrotu. Wraz ze swym oddziałem odłączył się od skołowanego nieprzyjaciela i schroniwszy za murem, zamknął za sobą wrota, by przy okazji nie wślizgnął się żaden z wrogich żołnierzy.

Gdy brama została już zaryglowana, Michi podszedł do trójki przyjaciół i zaczął ich besztać.

— Skończone błazny, coście sobie wyobrażali? Gdyby Henneberg dopadł choć jednego z was, musielibyśmy złożyć broń!

Falko ze śmiechu ledwo oddychał.

— Ale nas nie złapali. Za to nie mają już prochu, a ich ostatnia armata pływa sobie w Menie. Po naszej stronie doznały uszczerbku tylko winnice matki.

— Pani Maria na pewno ci to wybaczy. Idź i umyj się, zanim jej się pokażesz.

Wyglądasz okropnie. I niech Anni cię przedtem opatrzy.

Głos Michiego zdradzał, że wbrew pierwszemu wybuchowi, dumny był z chłopców.

Mrugnął nawet do Falka, a następnie wrócił na mury, by w przejrzystych promieniach wstającego świtu ocenić spustoszenia uczynione przez trzech przyjaciół.

5.

Ulga mieszkańców Kibitzsteinu po zniszczeniu kolubryny nie trwała długo.

Trzeciego dnia około południa ujrzeli kolejny oddział maszerujący w górę drogi od strony Volkachu. Nie mieli wprawdzie działa, za to nad ich głowami powiewała chorągiew księcia biskupa. Najwidoczniej pan Gotfryd Schenk zu Limpurg stracił cierpliwość do obrońców zamku.

Na szacie dowódcy grupy widniało godło meńsko-frankońskich Hennebergów, a że w owym czasie było tylko dwóch ludzi, którzy mieli do niego prawo, zatem mógł to być tylko hrabia Otto, dawny wójt dóbr Hilgertshausen. Towarzyszył mu jakiś nieznaną kleryk i prałat Pratzendorfer, znienawidzony przez Marię od czasu wesela w Fuchsheimie.

Otto von Henneberg, wróciwszy zaledwie kilka dni temu z austriackiego więzienia, dowiedział się w Würzburgu, iż jego brat oblega zamek Kibitzstein. Za radą Pratzendorfera biskup dał mu grupę żołnierzy i

wysłał ze wsparciem dla hrabiego Magnusa. Zamiast zsiąść z konia i przywitać się z bratem, Otto przystanął przed spowodowaną eksplozją wyrwą w ziemi, przyglądając się na przemian kraterowi i pustemu łożysku po dziale.

— Co tu się wydarzyło? — zapytał.

Magnusa von Henneberga złościło, że musiał zadzierać głowę, patrząc w górę na siedzącego w siodle brata.

— Przedwczoraj w nocy ludzie z zamku zrobili kolejny wypad i wyrządzili całą masę szkód.

Pratzendorfer skierował swego muła między ogiera Ottona i hrabiego Magnusa.

— Już na samym początku oblężenia daliście się podejść tej hołocie! Wasze stráže śpią?

Hrabia Magnus poczerwieniał ze złości, ale zaraz z trudem się opanował, albowiem prałat miał wielkie wpływy u księcia biskupa i każde nieopatrnie wypowiedziane słowo mogłoby mu zaszkodzić.

— Otrzymali pomoc z zewnątrz. To byli jacyś mężczyźni o czarnych twarzach.

Dopiero jak tamci odwrócili uwagę moich ludzi, szczury tej nierządniczy wypadły z zamku. Ale nic im to nie pomoże. Kibitzstein padnie, stawiam na to swój własny zamek. I jak tu stoję, przysięgam, że ten babsztyl opuści okolicę na bosaka, nie zabierając nic poza tym, co będzie miał na grzbiecie.

— Chwali wam się, że chcecie tej damie zostawić przynajmniej jej przydzwiek zaszydził Pratzendorfer i przestał zajmować się hrabią Magnusem. Zwrócił się do hrabiego Ottona.

— Myślicie, że dowodząc oddziałami, uda wam się zdobyć zamek? Otto von Henneberg przełknął ślinę. Te słowa stawiały go jako konkurenta brata, zaś Markus już teraz wyglądał tak, jakby miał pęknąć ze złości.

Ze względu na niego najchętniej by odmówił, lecz pozostawał w służbie biskupa z Würzburga i miał obowiązek wypełnić jego wolę.

— Bez działa będzie to niełatwe zadanie. Pomimo tego mamy dość ludzi, by podbić zamek.

Rękawica została rzucona — pomyślał ze smutkiem hrabia Otto. Jakkolwiek Magnus dopuścił się zbyt wielu błędów, by dalej dowodzić.

Pratzendorfer nie zostawił młodemu Hennebergowi czasu do namysłu.

— W takim razie natychmiast przejmujecie komendę nad oddziałami. Brat wasz może was zastępować — powiedział, a z tonu wynikało, że decyzję uważa za wielkie ustępstwo na rzecz hrabiego Magnusa.

— Zanim panowie przystąpią do ponownego ataku, musimy jeszcze coś załatwić! — wtrącił się nieznajomy kleryk.

Skinąwszy uprzejmie głową w stronę hrabiego Magnusa i jego brata, wydobyl z rękawa rolę pergaminu.

— Obaj hrabiowie Hennebergowie obiecali, że nigdy więcej nie dobędą miecza przeciwko jego wysokości królowi. Natomiast konieczna przysięga nie została jeszcze złożona. Dopóki to nie nastąpi, dopóty hrabia Otto wciąż pozostaje więźniem króla i bez jego zgody nie wolno mu ani wstąpić do służby innego pana, ani sięgać po broń w sporach.

Prałat spojrział na kleryka, jakby miał szczerą ochotę na oczach żołnierzy przepędzić go nago batogiem. Lecz hrabia Otto przytaknął skinieniem i spojrział pytająco na brata.

— W liście zaproponowałeś królowi tę przysięgę, a więc musisz ją złożyć!

Twarz hrabiego Magnusa wyglądała tak, jakby właśnie wgryzł się w cytrynę.

Przecież nie złożył obietnicy po to, by zaraz później stracić dowodzenie na rzecz swego brata.

Nieznajomego kleryka zniecierpliwilo zapadłe nagle milczenie.

— Jego królewska mość zwolnił hrabiego Ottona z aresztu w zamian za dane mu słowo honoru. Jeśli warunki nie zostaną dotrzymane, wówczas nie będę miał innego wyjścia, jak poprosić hrabiego, by zawrócił wraz ze mną do Grazu.

— Prosić możesz o wiele, ale nie wiadomo, czy twoje prośby zostaną wysłuchane— ofuknął go Pratzendorfer, który całą sprawę uważał za infantylną gierkę Styryjczyka.

— Jeśli nie wrócę, stracę honor! — powiedział hrabia Otto, patrząc z rozczarowaniem na mury oblężonego zamku. Korciło go, żeby w imieniu księcia biskupa zdobyć Kibitzstein i udowodnić bratu, że lepiej od niego posiadał sztukę wojenną.

Spojrzenie zafrasowanego Pratzendorfera wędrowało na przemian między obydwoma Hennebergami. Jeżeli starszy nie dotrzymałby obietnicy, hrabia Otto zrezygnowałby z dowodzenia i wróciłby do Fryderyka III, zaś on sam straciłby jedyne człowieka, który chciał i był w stanie zdobyć dla niego Kibitzstein.

Dlatego zaczął besztać hrabiego Magnusa.

— Złóżcie wreszcie tę przysięgę, żebyśmy mieli to już za sobą! A może chcecie całkiem stracić względy jego wysokości księcia biskupa? Pan Gotfryd jest wielce niekontent ze sposobu, w jaki do tej pory prowadziliście oblężenie.

Hrabia Magnus jeszcze przez chwilę walczył ze sobą i swą urażoną dumą, a następnie spuścił głowę.

— Jeśli trzeba...

Na ustach obcego kleryka zagościł osobliwy uśmiech. Skinął uprzejmie obu Hennebergom, natomiast rzymskiego prałata potraktował jak powietrze.

6.

Peter siedział w siodle pochylony niczym sędziwy starzec. Jeszcze tego samego ranka lekarz zabronił mu dosiadać konia, lecz dość miał już beczynnego przebywania w Grazu. Czas naglił. W przyrodzie od dawna panowała już wiosna i Kibitzstein mógł nie wytrzymać naporu wroga. Strata ojczyzny odebrałaby Trudi wszelką nadzieję. W ostatnich dniach przypominała mu raczej uwięzione dzikie zwierzątko, a nie dumną córkę rycerza. Obawiał się, by potajemnie nie wyruszyła w niebezpieczną podróż do domu, choć i tak w żaden sposób nie udałoby jej się tam nic zdziałać. Dlatego też poprosił Quirina i Flardwina, no i oczywiście Utę i Lamperia, by zwracali na nią baczną uwagę.

Wciąż zastanawiał się, czy byłby w stanie wpłynąć na losy Kibitzsteinu. Nawet on nie potrafił czynić cudów i obawiał się, że będzie to pierwsza wyprawa wojenna, w której poniesie porażkę. Mimo to poprzysiągł sobie, że uczyni wszystko, co w jego mocy. Z tym postanowieniem obrócił się w stronę Trudi i zaczął jej się przypatrywać.

Dziewczyna robiła wrażenie bardzo zdeterminowanej i gotowej do

walki, jakby już za kilka godzin miała stawić czoła żołnierzom biskupa z Würzburga. Ale na razie od Kibitzsteinu dzieliło ją jeszcze wiele mil drogi. Nawet gdyby pędzili bez wytchnienia, nie oszczędzając koni, potrzebowaliby najmniej dwudziestu dni, by dotrzeć do celu.

Przeniósł spojrzenie na żołnierzy, których w Grazu kazał na nowo wyposażać.

Oprócz niego samego wszyscy ludzie jechali teraz na nowych wierzchowcach, prowadząc swe dotychczasowe konie obok, na zmianę. Broń mieli również lepszą niż kiedykolwiek dotąd, a posiadane zapasy były wystarczające na długą podróż.

— Ruszajmy! — pospieszała Trudi. Jej głos zdradzał wielkie rozczarowanie, albowiem król nie dał im na drogę ani jednego żołnierza.

W ostatnich tygodniach nie widywali Fryderyka. Mówiono, że pojechał do swej drugiej rezydencji położonej bliżej Wiednia. Trudi pomyślała sobie, że w jakimś bardziej okazałym kościele modli się o pomoc, a od nieustannego klęczenia krwawią mu zapewne kolana. Tego króla miała już dość. Zaczynała powoli rozumieć, dlaczego elektorzy właśnie na jego skronie włożyli koronę. W obliczu jego beczynności księżęta, tacy jak wüzburgski biskup, mieli wolną rękę i mogli grabić mniejsze, znajdujące się w ich okolicy państwka.

Prawie zrobiło jej się żal króla, jednak szybko odsunęła od siebie to uczucie. Ani litość, ani wzdarda, jaką odczuwała dla tego bezsilnego władcy, nie pomogą jej rodzinie. W irytacji miała ochotę popędzić klacz, by jak najszybciej opuścić to miejsce, w którym jej nadzieje rozprysły się jak bańki mydlane. Nagle otwarto pałacowy portal i na dziedziniec wyszła grupa mężczyzn.

Ku swemu zdziwieniu Trudi rozpoznała Fryderyka III, który dopiero kilka godzin temu musiał powrócić do Grazu, albowiem poprzedniego wieczora przy kolacji jego miejsce było puste.

Monarcha miał na sobie długą pelerynę z szerokim futrzanym kołnierzem, który miał za zadanie nie tyle chronić króla przed zimnym wiatrem, wiejącym od strony gór, co podkreślić rangę jego osoby. Trudi wydało się to śmieszne, pochyliła jednak głowę. Nie miała zamiaru zsiadać z konia, by uklonić się z należytym dygnięciem.

Fryderyk III zdawał się też nie oczekiwać takich dowodów uprzejmości, bo Peterowi, który właśnie zamierzał zeskoczyć na ziemię, dał znak, by tego nie robił.

Uśmiechał się przy tym w bardzo osobliwy sposób, jakby coś go bawiło. Następnie przybrał majestatyczny wyraz twarzy i zwrócił się do junkra Eichenloh.

— Żałuję, że tak prędko nas opuszczacie, lecz nie chcę was odwozić od podróży.

Jako że będziecie przejeżdżać przez Würzburg, dam wam te listy, by bezpiecznie dotarły do adresata.

Jeden z towarzyszących władcy ludzi podał Peterowi skórzaną torbę, na której połyskiwało królewskie godło.

Wydawało się, że Fryderyk powstrzymuje cisnący mu się na usta uśmiech.

— Te listy przeznaczone są dla jego księżęcej mości biskupa Gotfryda Schenka zu Limpurg, oraz dla obu panów hrabiów Hennebergów. Przekażcie im ode mnie najlepsze życzenia!

Słyszając ostatnie zdanie, Trudi zagryzła wargi. Najchętniej

chwyciłaby skórzaną torbę i rzuciła ją Fryderykowi pod nogi.

Król zdawał się zauważyć jej poruszenie, bowiem odciągnawszy junkra Petera na stronę, począł doń po cichu mówić.

— Posłuchajcie uważnie, co wam powiem, Eichenloh. Stoicie na rozdrożu, na którym rozstrzygną się wasze dalsze losy. Potrzebuję takich ludzi, jak wy!

Jak zwykle, prowadząc poufną rozmowę, tak samo i teraz, Fryderyk zwracał się do rycerza Eichenloh bardziej osobiście, rezygnując przy tym z form „my” i „nas”, którymi zwykle podkreślał swą pozycję.

Król popatrzył w zamyśleniu w dal, zaś Eichenloh poczytał to jako oczekiwanie na odpowiedź, więc odchrząknął. Ale Fryderyk ciągnął dalej.

— Po sprzeczce z powodu waszej matki zostaliście przez ojca wydziedziczni, zaś po jego śmierci wasza macocha i jej synowie podzielili między siebie spuściznę po nim.

Nie macie tam już czego szukać.

— Jestem tego świadom, wasza królewska mość. Niech moi przyrodni bracia rozdrapują ochłapy po ojcu!

Głos Petera zabrzmiał ostro i tak głośno, że Trudi go usłyszała i popadła w zamyślenie. Nic o nim właściwie nie wiedziała, poza tym, że był dowódcą żołnierzy.

Postanowiła zapytać go o to podczas czekającej ich podróży.

Król pokiwał głową.

— Wasz ojciec ciężko skrzywdził waszą matkę, gdy z powodu rzekomej zdrady umieścił ją w klasztorze. Bądź co bądź płynęła w niej królewska krew.

— Już wcześniej była chora i po dwóch miesiącach zmarła. Ale człowiek ten, ogarnięty żądzą zawarcia nowego małżeństwa, nie pozwolił jej nawet godnie odejść!

— Zrzekając się jego nazwiska i tytułu, ciężko go rozgniewaliście — ciągnął Fryderyk, żadnym gestem nie zdradzając przy tym, czy stoi po stronie ojca, czy syna.

Junkier Peter wzruszył ramionami.

— Eichenloh to tak samo dobre nazwisko jak to, które noszą moi przyrodni bracia.

— Bez wątpienia, a w szczególności wtedy, gdy królewska pieczęć nada jego właścicielowi tytuł barona wraz z ziemią i dobrami. Po załatwieniu tej sprawy wróćcie do mnie, a otrzymacie swe lenno. Nie z ręki króla, lecz księcia Styrii.

Potrzebni mi w kraju wierni ludzie, na których mógłbym polegać. Na swego wuja nie macie już co liczyć. Zwiedziony kłamliwymi podszeptami podstępnych intrygantów, którzy po śmierci Michała Adlera oskarżyli cię o skrytobójstwo, zawarł z kapitułą katedralną w Moguncji umowę o dziedziczenie — a Kościół nie odda już tego, co raz wpadnie w jego ręce.

Peter zastanawiał się, czy król przedstawił mu tę propozycję dlatego, że był przekonany o niepowodzeniu planowanej wyprawy do Frankonii, czy może istotnie chciałby mieć go u swego boku. Właściwie nie miał wielkiej ochoty należeć do kręgu bezpośrednich podwładnych tego niezdecydowanego monarchy, lecz gdyby nie udało się ocalić Kibitzsteinu z rąk biskupa würzburskiego i rodzina Trudi straciłaby ojczyznę, wtedy w nowej okolicy mógłby stworzyć dla nich dom. To przemyślenie sprawiło, że jego odpowiedź zabrzmiała bardziej uniżenie, niżli miałyby to miejsce w innych okolicznościach.

— Dziękuję waszej królewskiej mości z całego serca i powrócę, jeśli tylko Bóg pozwoli mi przeżyć tę wyprawę.

— Mam nadzieję! Poślubcie tę pannę i przywieźcie ją ze sobą. A teraz z Bogiem!

Wypowiedziawszy te słowa, król cofnął się nieco i podniósł rękę w geście pożegnania.

Trudi skłoniwszy z powściągliwą uprzejmością głowę, ruszyła szybko w kierunku bramy. Ukłon Petera wyrażał o wiele więcej szacunku. Na zewnątrz wyglądał na pogodzonego ze światem i z sobą samym, jednak krążące w jego głowie myśli wywijają dzikie młynki.

Od dawna już zerwał z rodziną i nie przypuszczał, że minione przeżycia kiedykolwiek się jeszcze w nim odezwą. Rozmowa z królem sprawiła, że otworzyły się w nim zasklepione rany. Chciał odpędzić od siebie gorzkie wspomnienia i idąc za królewską radą, zaczął rozmyślać o poślubieniu Trudi Adler. Właściwie pomysł był absurdalny. Wszak do jego przodków oprócz Henryka VII należał też, choć w linii córki z nieprawego łoża, jeden z cesarzy. On zaś miałby teraz poślubić niewiastę, której ojciec omywał kiedyś kufle po piwie, a matka, jeśli wierzyć plotkom, była w młodości nierządnicą. Sama Trudi postąpiła też dość swawolnie, rzucając się Gressingenowi na szyję.

Tymczasem jego poczucie sprawiedliwości zaprzeczyło temu stwierdzeniu. Bądź co bądź słyszał przecież, że nie oddała mu się dobrowolnie, lecz została przezeń upojona winem. Właściwie uważał to za gwałt. Nienawidził mężczyzn, którzy wykorzystywali kobiety według swego uznania, nie zważając na ich uczucia, i śmierć Gressingena z ręki Trudi uważał za pewnego rodzaju sprawiedliwe wyrównanie krzywd. Oczywiście nigdy nie odważyłby się głośno tego powiedzieć.

By nie obciążać Trudi świadomością zabójstwa, na rozkaz króla ogłoszono oficjalnie, że dziewczyna ogłuszyła zamachowca. Jego śmierć przypisano strażnikom, którzy mieli go w gniewie zakatrupić. Zdaniem Petera, ukrycie prawdy nie było konieczne. Trudi była tak silna, iż czyn ten nie obciążałby jej sumienia.

Dobrze wiedziała, co zrobiła.

Podczas tych przemyśleń jego koń, który niechętnie przepuszczał przed siebie inne zwierzęta, mimo skróconych cugli zrównał się z kłaczą Trudi, próbując wyprzedzić ją choć o pół łba.

Zanim Peter zdążył się odezwać, dziewczyna spojrzała na niego wyczekująco.

— Co mówił król? Może z jego upoważnienia mamy biskupa z Würzburga pocałować jeszcze w d..., eh, rąbek jego szaty.

Peter uśmiechnął się.

— O tym nie było mowy. Król powiedział mi, że zmarł mój ojciec, zaś wuj sprezentował swe posiadłości biskupowi z Moguncji. W ten sposób całkowicie straciłem ojczyznę i jestem teraz wolny jak ptak.

— Jeśli uda nam się uratować Kibitzstein, moja matka zadba o to, byście zyskali nową.

Myślę o posiadłości Windach. Była kiedyś przeznaczona na mój posag, ale chętnie się jej zrzeknę na waszą korzyść.

— Ta oferta mogłaby sprawić, że z jeszcze większym zacięciem bym dla was walczył. Żołnierskie życie jest dobre do czasu i kiedyś człowiek zaczyna być nim zmęczony.

Wodzenie jej za nos sprawiało mu przyjemność, tym bardziej że, jak

stwierdził, że nosek był całkiem niczego sobie. Widywał już wprawdzie panny piękniejsze niż Trudi, lecz żadna z nich nie miała na tyle temperamentu by rzucić w mego świńskiego łbem. Na to wspomnienie nie udało mu się powstrzymać śmiechu i z ulgą zauważył, że powoli opuszcza go zgorzknienie, które spowodowała w nim rozmowa o rodzinie.

— W takim razie wzniesmy wiwat na cześć Kibitzsteinu!

Spróbujemy przepędzić na cztery wiatry ludzi Magnusa von Henneberga!

— Trzymam was za słowo — odparła Trudi, rzucając Peterowi wojownicze spojrzenie i robiąc taką minę, jakby wołała sama chwycić za miecz, niż przyglądać się, jak ginie jej ojczyzna. Toteż musiał bacznie uważać, by nie stała jej się krzywda.

7

Herta von Steinsfeld stanęła naprzeciw margrabiego Albrechta Achillesa jak kwoka, której piskłota znalazły się w niebezpieczeństwie. Prawą dłoń zacisnąwszy w pięść, lewą wskazywała w kierunku, w którym znajdował się jej dom.

— Jak możecie dopuścić do tego, by biskup würzburski ujarzmił rycerzy królestwa i podporządkowywał ich swej władzy? Kibitzstein to dopiero wierzchołek góry lodowej. Gdy zamek padnie, wówczas to drapieżne ptaszysko rzuci się na kolejną posiadłość!

Mówiąc to, matka junkra Hardwina miała na myśli siebie i swe własne dobra. Nie po to przez tyle lat utrzymywała dla swego syna zamek i posiadłości Steinsfeldu, by teraz bić pokłony Würzburgowi. Nie miała również ochoty nakładać większych danin na swych wieśniaków, by móc zapłacić podatki których domagałyby się od niej Gotfryd Schenk zu Limpurg.

Albrecht Achilles von Hohenzollern, margrabia Brandenburska-Ansbachu, nie musiał być jasnowidzem, by zrozumieć obawy stojącej przed nim wdowy.

Prawdopodobnie wołałaby zwrócić się o pomoc do samego diabła niżli do niego, albowiem nad swym zamkiem nie miała zamiaru wywieszać flagi z jego barwami w miejsce sztandaru Würzburga. Jednocześnie Albrecht Achilles przypominał sobie obietnicę, jaką po zamordowaniu Michała Adlera z Kibitzsteinu złożył jego małżonce. W duchu przyznał, iż uczynił był to przedwcześnie. Wprawdzie korciło go, by uszczuplić wpływy würzburskiego biskupa i wzmocnić swą władzę po tej stronie Menu, lecz taki atak należało starannie przygotować. Wszczęcie waśni z Gotfrydem Schenkem zu Limpurg nie przyniosłoby mu istotnych zysków, a pociągnęłoby za sobą koszty. Z drugiej strony nie mógł pozostawić würzburecykowi wolnej ręki.

— Dlaczego Maria Adler sama nie zwróciła się do mnie wcześniej o pomoc?

Mielibyśmy czas, by się uzbroić i skutecznie pospieszyć jej z pomocą! — spytał, chcąc zyskać chwilę na zastanowienie.

Herta von Steinsfeld ponownie się nastroszyła.

— Przeciwnie. Trzy razy wysyłała do was wiadomość.

— Nie dostałem nawet jednego listu ani żadnej innej informacji, że sprawy w Kibitzsteinie przyjęły tak dramatyczny obrót.

Na wyjątkowo gładkim zwykle czole margrabiego pojawiły się zmarszczki. Który z jego dworzan lub urzędników wziął od würzburecyka złoto za to, by przejmować listy od Marii Adler i bagatelizować w jego oczach wszystko, co miało z nią związek? Doniesiono mu wprawdzie o

ataku na Kibitzstein, jednak konflikt przedstawiono mu jako spór, w który Kibitzstein wszedł z jednym lub dwoma swymi sąsiadami. Takie starcia nie należały w tej okolicy do rzadkości. Najczęściej prowadzono je przy użyciu wielu słów i małej ilości prochu, następnie zaś dzięki mediacjom sąsiadów składano broń.

Zwiedziono go. Teraz zaś zebranie armii i wyprawienie jej na pomoc Marii Adler było prawie niemożliwe. Niektórzy jego sąsiedzi czekali tylko na to, by jego własne majątkości pozostały bez odpowiedniej ochrony.

— Możecie wysłać wiadomość do Kibitzsteinu? — zapytał niespodziewanie.

Herta von Steinsfeld pokręciła głową.

— Do niedawna było to jeszcze możliwe, lecz odkąd hrabia Otto von Henneberg przejął dowodzenie, Kibitzstein został odcięty od świata zewnętrznego. Mimo to spróbuję.

Na twarzy margrabiego pojawił się złośliwy uśmiech.

— Zróbcie to, dobra niewiasto. Każcie przekazać Marii Adler, żeby utrzymała zamek tak długo, jak będzie to możliwe. W tym czasie zwołam ludzi, by przyjść jej z pomocą.

Albrecht Achilles postanowił jak najszybciej rozpowszechnić tę wiadomość wśród swych dworzan. Co najmniej jeden z nich przekaze ją biskupowi do Würzburga.

Przy odrobinie szczęścia uda mu się odkryć, kto z nich zaprzedał się panu Gotfrydowi i będzie mógł go ukarać.

Albrecht Achilles mógł mieć tylko nadzieję, że Gotfryd Schenk zu Limpurg poważnie potraktuje informację i zawrze pokój z Kibitzsteinem. Lecz gdyby würzburgczyk odkrył podstęp i wypędził Marię Adler z jej posiadłości, wówczas owemu człowiekowi, który kazał się nazywać księciem Frankonii, byłby zmuszony w innym czasie wystawić rachunek za jego zachłanność.

Herta von Steinsfeld, wzięwszy słowa margrabiego za dobrą monetę, podziękowała mu wylewnie. Jednocześnie postanowiła ofiarować Matce Boskiej piękną świecę z prośbą, by Gotfryd Schenk zu Limpurg poszedł po rozum do głowy i zrezygnował z oblężenia Kibitzsteinu. Wojna między dwoma książętami królestwa, w którą mogła się właśnie sama uwikłać, nie leżała w jej interesie. Pozdrowiła na pożegnanie margrabiego, przeklinając jednocześnie syna, który zostawił ją w potrzebie, podążając za dowódcą żołnierzy, Peterem Eichenloh. Z drugiej strony bardzo by sobie życzyła, by Hardwin nauczył się od tego człowieka bronić wolności własnej ojczyzny.

8.

Odkąd Otto von Henneberg przejął dowodzenie, położenie mieszkańców Kibitzsteinu z dnia na dzień stawało się coraz trudniejsze. Tymczasem hrabia nie walczył wcale z zemsty za odniesioną ranę. Rozcięcie dobrze się już zagoiło, nadając jego twarzy śmiały wyraz sprawiający, iż wyglądał na bardziej od brata doświadczonego i starszego mężczyznę. Sprzymierzeńcy Magnusa też odnieśli takie wrażenie, albowiem nikt nie odważył się już powiedzieć, że jest zbyt młody, by powierzać mu tak odpowiedzialne funkcje.

Mimo to Ludolf von Fuchsheim, Ingobert von Dieboldsheim ani pozostali, towarzyszący im sąsiedzi nie byli ludźmi, których Otto życzyłby sobie na towarzyszy wyprawy wojennej. Ich oddziały złożone były w większości z wiejskich parobków, odzianych w skórzane kolety, na których

gdzieniegdzie przytwierdzono kawałki blaszanych osłon. Wieśniacy ledwo rozpoznawali, gdzie oszczep ma grot, a gdzie koniec, a ponadto nie wykazywali specjalnego zapachu. Jeźdźcy Petera Eichenloh z dziecinną łatwością by ich stratowali i rozpędzili na cztery wiatry. Do zdobycia Kibitzsteinu potrzebni mu byli wyszkoleni żołnierze, a takimi dysponował w tych okolicach wyłącznie biskup z Würzburga. Lecz ten dał im tylko kiepsko przyuczonych harcówników.

Następnego dnia hrabia Otto wysłał prałata Pratzendorfera do Würzburga po doświadczonych żołnierzy i nowe działo oblężnicze. Bez armaty zostaną pod zamkiem do jesieni, obgryzając z frustracji paznokcie. W ogniu dział Kibitzsteinu każde natarcie skończyłoby się krwawą rzezią i uszczupliłoby oddziały tak, iż nie byłyby zdolne do podjęcia jakichkolwiek dalszych akcji.

Tymczasem Kibitzstein był zaledwie pierwszym ogniwem z całego szeregu zamków, które Gotfryd Schenk zu Limpurg zamierzał podporządkować wüzburgskiej kapitule. Szybkie zwycięstwo nad tym dobrze umocnionym zamkiem skłoniłoby większość okolicznych kasztelanów do ugięcia kolan przed panem Gotfrydem, zanim ten wyśle pod ich mury żołnierzy. Lecz z każdym dniem oporu stawianego oblegającym przez gniazdo Adlerów, rósł też sprzeciw reszty niewielkich kasztelanów we Frankonii, których przodkowie od dawno zamordowanego króla otrzymali tytuł barona. W miastach wykupywano wszystkie działa, jakie tylko można było jeszcze dostać.

Hrabia Otto miał również świadomość, iż co najmniej jeden człowiek z oddziału nie życzy mu powodzenia. Był to jego rodzony brat. Magnus nie mógł mu wybaczyć, że mimo iż starszy, a do tego dziedzic rodowej siedziby, musi pozostać w cieniu brata. Otto uważał to za blażenadę, albowiem pan Gotfryd obu wynagrodzi równie sownie, nieważne, który z Hennebergów odniesie upragnione przezeń zwycięstwo.

— Pożałowałeś już, że obiecałeś panu biskupowi, iż zamek będzie łatwym łupem?— zapytał hrabia Magnus, przerywając rozmyślenia Ottona.

Ten odwróciwszy się do brata, pokręcił głową.

— Wprawdzie przejąłem dowodzenie, ale nie obiecałem panu Gotfrydowi Schenkowi zu Limpurg szybkiego zwycięstwa. Wypicie piwa, którego nawarzyłeś, nie będzie takie proste.

To bezpardonowe stwierdzenie zapiękło Magnusa do żywego.

— Ta wszetecznicza z Kibitzsteinu jest twardsza niż myślisz, braciszku. Ty też połamiesz sobie na niej wszystkie zęby.

— Mówiono mi, że obiecałeś biskupowi zdobyć zamek w pięć dni. Tymczasem żołnierze już szósty tydzień stoją pod murami, a tylko ci z Kibitzsteinu mają na swym koncie jakieś sukcesy — odparował Otto, którego zmęczyły już niekończące się przycinki brata. Zachowanie Magnusa irytowało go do tego stopnia, że przestał zważać na winny mu z racji starszeństwa szacunek.

— Byłoby lepiej, gdybyś wrócił do swej małżonki. Pani Elizabeth zapewne srogo marznie w swym samotnym łożu.

— Chcesz powiedzieć, że nie jest mi wierna? — wybuchnął Magnus. Otto zrozumiał, że swoją uwagę narobił sobie bigosu, lecz nie miał zamiaru odpuszczać.

— Sam wiesz najlepiej, czy twa małżonka jest ci wierna. W ostatnich latach widziałem ją zaledwie dwa razy, a i to tylko przez kilka dni.

I Bogu dzięki, dodał w duchu, bowiem uważał szwagierkę za osobę

jeszcze bardziej nadętą od brata. Z pewnością to ona stała za rozkazem Magnusa wzywającym go do opuszczenia szeregów oddziału Petera Eichenloh. To posunięcie nie przyniosło mu nic poza blizną na twarzy i masą kpin, że nawet z panną nie potrafił sobie poradzić.

W myślach porównał żonę Magnusa z panną Hiltrudą i stwierdził, że ta ostatnia pod każdym względem wypada lepiej. Co prawda w Grazu też nie miał okazji jej bliżej poznać, ale mógł stwierdzić, że w jej żyłach płynie gorąca, czerwona krew, nie zaś lodowata woda jak w przypadku jego szwagierki.

Nieporozumienia między braćmi zdawały się zaostrzać tak bardzo, że konieczne było rozstanie. Hrabia Magnus rozumiał to tak samo dobrze, jak Otto, lecz nie miał zamiaru opuszczać obozu, albowiem takie posunięcie okryłoby go kompromitującą sławą tchórza.

Tymczasem Otto von Henneberg nie zamierzał dłużej tolerować brata.

— W rzeczy samej, lepiej będzie, gdy nas opuścisz!

Atmosfera panująca w namiocie osiągnęła punkt wrzenia i żaden z braci Hennebergów nie wiedział, do czego mogłoby dojść, gdyby nie przerwało im nagłe wejście Maksymiliana von Albacha, z niecierpliwością wskazującego w kierunku Volkachu.

— Posiłki nadchodzą!

Jego głos zdradzał, kto według niego byłby najodpowiedniejszym przywódcą tej kampanii, a mianowicie on sam. Niemniej jako zwykły rycerz bez wielkich posiadłości musiał poddać się rozkazom obu hrabiowskich potomków, co niesłuchanie go irytowało.

Wszyscy trzej wyszli z namiotu, patrząc we wskazanym przez Albacha kierunku.

— Wygląda na to, że wielbny prałat się pospieszył! — odetchnął z ulgą Otto von Henneberg. Sądził, że wsparcie pozwoli przeważać szalę zwycięstwa na jego stronę.

Właśnie tego obawiał się jego brat, który wymruczał coś pod nosem. Nie miał odwagi nic więcej powiedzieć, bowiem zarówno jego brat, jak i Albach mogli przekazać jego lekceważące uwagi biskupowi. Poszedł za nimi w kierunku, z którego nadchodzili przybysze, przeklinając przy tym swój los. Gdyby biskup od razu dał mu do dyspozycji tylu dobrze uzbrojonych żołnierzy i wyposażenie, wówczas Kibitzstein dawno by już upadł.

Żołnierzy było prawie półtora raza tyle co w rozłożonym wokół zamku oddziale.

Dzięki temu hrabia Otto miał teraz możliwość otoczyć Kibitzstein ciasnym kordonem, przez którego szeregi nie przemknie się nawet mysz. Ale jeszcze bardziej cieszyły go trzy wozy, z których każdy ciągniony był przez sześć wołów.

Spoczywały na nich lśniące lufy dział pokaźnego kalibru.

Hrabia Otto oraz szlachcice i żołnierze, którzy do niego dołączyli, patrzyli głównie na nadciągające kolubryny. Toteż nie zwrócili uwagi na podążającą za wojskiem karetę. Dostrzegli ją dopiero, gdy prowadzący ją stangret strzelił z bata na konie.

— Kto to może być? — zapytał Fuchsheim, którego wzrok nie był już tak dobry.

— Sądząc po herbie, to wielbny pan biskup we własnej osobie — odpowiedział inny rycerz zaskoczonym głosem.

Hrabia Otto był tego samego zdania i skłonił głowę, gdy stangret

zatrzymał przed nimi karetę. W oknie ukazała się ręka unosząca zasłonkę chroniącą podróżnych przed przydrożnym kurzem, należąca, jak nietrudno się było zorientować, do Pratzendorfera. Za chwilę zaś zobaczyli odzianą w czerwony kapelusz z szerokim rondem wychylającą się głowę Gotfryda Schenka zu Limpurg.

— Jakie postępy w oblężeniu? — zapytał krótko biskup, nie przywitawszy się ani nie wyjaśniwszy okoliczności swego przybycia.

Hrabia Otto wskazał na mury Kibitzsteinu, na których nie było na razie ani jednej szczyrby.

— Otaczamy zamek, by nie dostały się doń posiłki ani zapasy żywności.

Bez dział nie da się nic więcej zrobić.

— Przywiozłem wam armaty. Pilnujcie ich baczniej, niż czynił to wasz brat!

Biskup, nie spoglądając nawet na hrabiego Magnusa, rozkazał stangretowi ruszać.

Obaj Hennebergowie i reszta szlachciców postępowali za nim jak skarceni uczniacy.

Kareta zatrzymała się przed namiotem Magnusa von Henneberga. Był tak ogromny, że pomieściłby w sobie trzy wieśniacze chałupy, a jego kunsztowne zdobienia połyskiwały w promieniach słońca. Biskup, wysiadając z powozu, poczekał, aż hrabia Otto poda mu ramię, a stanąwszy na ziemi, zrzucił swój długi czerwony płaszcz podróżny, zaskakując przy tym swych poddanych, albowiem pod spodem miał tylko prosty czerwony habit, a jedyną oznaką sprawowanej przezeń wysokiej godności, był widniejący na jego palcu pierścień biskupi.

W przeciwieństwie do pana Gotfryda Pratzendorfer sam, bez pomocy wysiadł z karety. Ten drobiazg, a także całe jego zachowanie zdradziło Ottonowi von Hennebergowi, jak bardzo był spięty.

Biskup również nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Przemył z kurzu twarz i ręce w wodzie podsuniętej mu w skórzanej misce przez jednego z pachołków. Przyjął też podaną mu przez innego sługę czarękę, lecz nie skosztowawszy napoju, skierował wzrok na Ottona von Henneberga.

— Kibitzstein musi upaść i to jak najprędzej. Hrabia Otto zacisnął wargi.

— Stanie się to dopiero wówczas, gdy rozbijemy mury.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale biskup przerwał mu lodowatym tonem.

— Powiedziałem, jak najszybciej!

— Popłynie wiele krwi — wtrącił Ludolf von Fuchsheim, który nie po to brał udział w oblężeniu, by pozwolić wybić swoich ludzi jak kaczki, lecz by odebrać wioski oddane w zastaw Michałowi Adlerowi.

Również pozostali kasztelani wyglądali na zatroskanych. Wszyscy mieli nadzieję, iż okazując pewne posłuszeństwo, unikną nienasyconej chciwości Würzburga. Ale księżę biskup nie traktował ich jak sprzymierzeńców, lecz jak zwykłych pachołków.

Pratzendorfer wyczuł budzące się w szlachcicach wzburzenie i spróbował załagodzić sytuację.

— Istnieje pilny powód, dla którego należy jak najszybciej zakończyć tę sprawę. Z Brandenburga-Ansbachu doszły wieści, że margrabia Albrecht Achilles zbiera armię do wsparcia Kibitzsteinu. Tak więc zamek musi paść, zanim przygotowuje oddziały do wymarszu. Hrabio Ottonie, czy

myślicie, że będziecie potrafili tego dokonać?

Otto von Henneberg wyjrzał z namiotu na nowo przybyłych żołnierzy i działa.

— Z tym wsparciem będziemy mogli to zrobić.

— W porządku — odpowiedział biskup i dopiero teraz podniósłszy do ust czarkę, upił łyk napoju. Jednocześnie postanowił, że do końca oblężenia pozostanie na miejscu, by dopilnować natarcia na zamek i zwiększyć gorliwość oblegających.

9.

Maria, Falko i Michi, stojąc na murach Kibitzsteinu, spoglądali w dół na żołnierzy przyprawionych przez księcia biskupa jako wsparcie dla oblegających zamek oddziałów. Nie licząc dział, na każdego z obrońców Kibitzsteinu przypadało teraz ponad dziesięciu nieprzyjaciół.

— Po raz trzeci nie uda nam się już zniszczyć dział.

Mimo gorzkiej miny głos Falka zdradzał, że i tak ma zamiar spróbować.

Michi oparł prawą rękę na jego ramieniu.

— W ten sposób tylko niepotrzebnie straciłbyś życie, a może nawet posłużył im za zakładnika. Sam widzisz, że hrabia Otto prowadzi atak z dużo większym wyczuciem niż jego brat. Nie pozwoli się zaskoczyć. Czarna rozpacz! Dopóki nie przybyły nowe zastępy, miałem jeszcze nadzieję, że uda nam się utrzymać. Ale teraz na dole mamy dobrze wyćwiczonych żołnierzy z Würzburga. Tylu, ilu tylko udało się zebrać księciu biskupowi. Niech diabli porwą pana Gotfryda!

Maria roześmiała się gorzko.

— Też mu tego życzyłam, ale ten człowiek ma niestety zbyt bliski kontakt z Panem Bogiem.

Popatrzyła pytającym wzrokiem na syna i na swego zarządcę.

— Czy stawianie oporu ma w tej sytuacji w ogóle jakiś sens? Czyż nie skazujemy w ten sposób zbyt wielu ludzi na bezsensowną śmierć?

— Pan Gotfryd dowiedział się zapewne, że margrabia z Brandenbura-Ansbachu ma przyjść nam z odsieczą i chce nas rzucić na kolana, zanim wkroczy wsparcie.

Toteż gdybyśmy teraz się poddali, zdradzilibyśmy Albrechta Achillesa.

Głos Falka zabrzmiał błagalnie, lecz Michi wciąż walczył z wątpliwościami. O zamiarach Brandenburczyka zostali powiadomieni wyłącznie przez posłańca od Herty von Steinsfeld, któremu udało się nocą przemknąć przez pierścień oblężenia.

Niedorzecznością wydało mu się, by margrabia Albrech i Achilles z powodu Kibitzsteinu wszczynał wojnę z Würzburgiem. A nawiązywałby przyszedł z odsieczą, to dla nich byłoby i tak już za późno.

Wydawało się, że książę biskup nie pozwoli swoim ludziom nawet na chwilę wytchnienia po długim marszu. Część zabrała się od razu do wypręgania wołów, pozostali zaś zaczęli przygotowywać łożyska dla nowych kolubryn. Za dzień, najpóźniej zaś za dwa dni, armaty zaczęły wypływać z siebie ciężkie kamienie, którym mury zamku nie będą mogły się oprzeć.

Działo przywiezione przez Michiego ze Schweinfurtu miało mniejszy kaliber i nie dałoby rady osiągnąć armat przeciwnika.

— Nie przeszkadzimy im w zwycięstwie. Nie możemy też pozwolić

sobie na kolejne wypadki, albowiem przeciwnik przewyższa nas pod każdym względem i natychmiast wzięły nas w obroty.

Michi czuł, że w jego głosie brzmi przygnębienie, toteż dla zatarcia tego wrażenia roześmiał się drwiąco.

— Nasze mury są mocne i jakiś czas wytrzymają ostrzał. Jeśli rozpoczną atak, wówczas zgotujemy im zaiste gorące powitanie.

— To znaczy, że walczymy? — spytała Maria z powątpiewaniem.

— Decyzja należy do was. Sami wiecie, co was czeka, jeśli się poddacie. Magnus von Henneberg kazał roztrąbić wszem i wobec, że będziecie musieli opuścić okolicę boso i w pokutnej włosiennicy. Falko skończyłby zapewne w jednym z więzień księcia biskupa, zaś pozostali jako pańszczyźniani parobkowie tego wielmoży!

Jeszcze zanim dokończył, zrozumiał, że woli umrzeć w walce niż wraz z matką i rodzeństwem na zawsze stracić wolność. Falko pogroził pięścią w stronę wroga.

— Będę walczył! Za swą rodzinę i za Kibitzstein!

Wziąwszy kilka głębokich wdechów, Maria również kiwnęła przytakująco.

— Nie poddamy się w tak haniebny sposób. Mimo to powinniśmy zapytać biskupa, czy gotów jest z nami negocjować. Bowiem w pomoc ze strony Brandenburczyka uwierzę dopiero wtedy, jeśli na drodze wiodącej z Prichsenstadt, ujrzymy jego chorągwie.

10.

Opuściwszy Graz Trudi, Peter von Eichenloh i jego ludzie podążali najpierw w górę rzeki Mur aż do Sankt Michael, później skręcili i jechali równoległe do rzeki Liesing, by następnie z nurtem Ennsy dotrzeć do Dunaju.

Ich pierwszy większy cel stanowił Linz, gdzie zatrzymali się tylko na jedną noc.

Następnego dnia wyruszyli o świcie wzdłuż Dunaju, kierując się do Passau, a stamtąd dalej do Regensburga i Norymbergi. Podróż była inna, niż ta do Grazu.

Wprawdzie Trudi nie posiadała już prawie żadnych pieniędzy, ale Fryderyk III tak sownie wynagrodził Petera za zdobycie Teiflach, że jego kiesa była pełna. Dzięki temu po drodze nie musieli cierpieć głodu ani zimna. Nie byli też zmuszeni do spędzania pod gołym niebem nocy, które były jeszcze dość chłodne.

Podróż mogła okazać się całkiem przyjemna, jednak chęć jak najszybszego dotarcia do Kibitzsteinu gnała ich naprzód, toteż nie poświęcali zbyt wiele uwagi mijanym miastom ani zamkom. Droga wyczerpywała ludzi i zwierzęta i Peter von Eichenloh zastanawiał się, co uda mu się zdziałać z wymęczonymi żołnierzami i zdrożonymi końmi.

Gdy jednak proponował, by zwolnili tempo, Trudi zaczynała się denerwować, wykrzykując, że chodzi o życie i los jej najbliższych.

Tego dnia również wysforowała się na czoło oddziału, nadając tempo, aż Quirin pokręcił głową.

— Może w ten sposób uda nam się dojechać na czas, ale to będzie wszystko.

Peter przytaknął z posepną miną.

— Obawiam się, że nic nie uda nam się zrobić. Myślisz, że ludzie biskupa pozwolą sobie przeszkodzić w podbiciu Kibitzsteinu?

— Co się z tobą dzieje? Takiego przygnębienia jeszcze u ciebie nie widziałem. Tacy zupełnie bezsilni i nieszkodliwi też w końcu nie jesteśmy. Przecież jesteśmy oddziałem Petera Eichenloh!

Postawa Petera obudziła w Quirinie przekorę i przez chwilę wydawało się, że sam zamierza rozbić w pył armię księcia biskupa.

Kilku jeźdźców dzikim mruknięciem potwierdziło jego słowa i junkier Peter stwierdził z zadowoleniem, że bojowego ducha nie złamała ani długa podróż, ani perspektywa spotkania z przeważającymi siłami wroga. Poszliby za nim na każdą bitwę, na jaką by ich poprowadził. I to właśnie wzbudzało jego obawy. Biskup nienawidził go i gdyby dowiedział się, kto idzie z odsieczą kasztelance, wówczas podwoiłby swą zapalczywość w stosunku do Kibitzsteinu.

Rozzłoszczony własną niewiarą, przeciął pięścią powietrze.

— Jeszcze pokażemy panu Gotfrydowi, gdzie raki zimują!

— Nie uda nam się to, jeśli dalej będziemy pełzać wolno jak ślimaki — wtrąciła kąśliwie Trudi.

— Jak ślimaki? — rozzłościł się Quirin. — Cały czas pędzimy w takim tern pie, że wiatr za nami nie nadaża, a to pisklę zarzuca nam, że jesteśmy ślimakami. Zaraz mu pokażemy, jak jeżdżą żołnierze junkra Eichenloh!

Quirin i pozostali jeszcze bardziej pognali swe konie, zaś Peterowi nie pozostało nic innego, jak tylko uczynić to samo.

— Wszyscy tu chyba powariowali — powiedział do Hardwina, który ze skrzywioną miną właśnie się z nim zrównał.

— Jeśli tak mówisz, to zapewne masz rację — odpowiedział młodzieniec, lecz jego myśli zajęte były nie tyle Trudi, co jej przyjaciółką Boną, o której wciąż nie przestawał rozmyślać. W Grazu były to tylko przypadkowe skojarzenia, ale teraz, gdy każdy krok pocziwego kasztanka coraz bardziej zbliżał go do jej domu, zaczęła niemal prześladować go w myślach prawie przyprawiających go o szaleństwo. W sennych koszmarach widział siebie zabijającego Moryca von Mertelsbacha tylko po to, by znów przez chwilę potrzymać ją w swych ramionach, jak niegdyś w fuchsheimskim lesie.

Obserwował Trudi, która znów odjechała spory kawałek do przodu. Od czasu wyjazdu z Grazu przyglądał jej się trochę, by się przekonać, czy w istocie byłaby odpowiednią kandydatką na jego żonę. Jesienią byłby bez dłuższego zastanowienia twierdząco odpowiedział na to pytanie, lecz teraz coś w jej charakterze zaczęło go odpychać. W domu nie było mu łatwo znosić ciągłe prowadzenie za rękę przez matkę. Wprawdzie sam wiedział, że potrzebna jest mu rozumna niewiasta, która będzie umiała wesprzeć go radą, a Trudi nie udzielałaby mu rad, lecz rozkazywała.

Żeby sobie z nią poradzić, potrzeba było o wiele więcej silnej woli, niż leżało to w jego naturze.

Hardwin od dawna przeczuwał, że jego dowódca darzy Trudi większym uczuciem, niż to okazuje. Ale miłości między nimi nie dało się zauważyć. Te uparte głowy ścierały się niemal codziennie, jak młode byczki pragnące spróbować swych sił.

Pomimo to wydało mu się, że najlepiej by było, gdyby się wreszcie pokochali. Zaraz jednak pokręcił głową. Trudi nie spojrzy nawet na junkra Eichenloh, jeśli temu nie uda się ocalić posiadłości jej rodziny. Już teraz szydziła z niego, jako królewskiego posłańca wiozącego listy do jej wrogów.

Hardwin z westchnieniem odsunął od siebie myśli krążące wokół

jego przywódcy i Trudi Adler. W końcu jechał na swą pierwszą bitwę i miał nadzieję, że uda mu się sprawdzić. Matka powinna być z niego dumna. Bona również. Z początku chciał odgonić od siebie tę myśl, lecz pomyślał, że jego miłość nie jest może aż tak niedosięgała, jak dotychczas przypuszczał. Jej małżonek był od niej o wiele starszy.

Był starszy nawet od jej ojca. Gdyby za kilka lat została wdową, wówczas w stosownym czasie mógłby zacząć starać się o jej rękę. Ale gdyby miał pecha, to Moryc von Mertelsbach mógłby dożyć bardzo sędziwego wieku. Rozdarty między sympatią do Bony a obowiązkiem, każącym mu w razie konieczności poślubić inną niewiastę, by linia Steinsfeldów nie wygasła, nie mógł doczekać się przybycia do Kibitzsteinu. Nawet jeśli miało się to wiązać ze stoczeniem zacieklej walki.

11.

Dwa dni jazdy konnej od Norymbergi uzyskali pierwsze informacje o zatargu, w którym mieli uczestniczyć. Zdawało się, że zamek się jeszcze trzyma. Gdy Trudi to usłyszała, wyglądała tak, jakby wielki głaz spadł z jej serca. Tego dnia po raz pierwszy miała wzgląd na swych towarzyszy, nie każąc im galopować aż do zmroku, lecz zgodziła się, by oddział zatrzymał się godzinę wcześniej w zajęździe pewnej miejscowości targowej, gdzie było dość miejsca dla wszystkich.

Karczmarz powitał gości taką miną, jakby miał nadzieję, że żołnierze pojedą dalej, nie roznosząc przy tym w pył jego gospody. Mimo to zrobił co mógł, by przygotować im ciepły posiłek. Tak samo pozostali goście, którzy wystraszeni początkowo przysunęli się do siebie, lecz widząc, że uzbrojeni ludzie się grzecznie zachowują, pozbyli się obawy i powrócili do swych przerwanych wejściem przybyszy rozmów.

Trudi została wciśnięta między Petera i Hardwina. Nie narzekała jednak, lecz rozkoszowała się winem przypominającym jej ojczyznę. Wina podawane w Austrii były dla niej zbyt słodkie i ciężkie. Później, jedząc zupę przyniesioną przez jedną ze służebnych dziewczek, przysłuchiwała się toczącej się przy sąsiednim stole rozmowie.

— Mówię wam, będzie wojna — oświadczył właśnie jakiś mężczyzna na leżący, sądząc po przyodziewku, do krawieckiego cechu.

— Phi, aleś wymyślił! — zaprzeczył jego towarzysz będący rzeźnikiem.

— Żebyś się nie zdziwił! Margrabia jest pełen ambicji i będzie chciał rozszerzyć wpływy. Gdzie miałby lepszą okazję niż w wojnie z Würzburgiem? — upierał się krawiec.

— Napadanie na ziemie duchownych nie wychodzi na zdrowie — wtrącił się mnich, który dotychczas siedząc w kącie, w milczeniu jadł swoją zupę. Teraz podszedł do stołu obu mistrzów cechu. — Margrabia na pewno dobrze się zastanowi, zanim podniesie rękę na dobra jego najwielebniejszej ekscelencji, księcia biskupa z Würzburga. Takim czynem ściągnąłby na siebie klątwę Kościoła, a może nawet więcej!

Mnich nie wyjaśnił, co miał na myśli, ale wszyscy obecni skulili się. Potrafili sobie wyobrazić, do jakich środków uciekłyby się Kościół, jeśli któryś z panów targnąłby się na jego własność. Już nie raz zdarzyło się, że papież wyklął jakąś okolicę, w której zabronił odprawiania jakichkolwiek kościelnych obrzędów. W dobrach należących do margrabiego żadne dziecko nic zostałyby ochrzczone, pary nie otrzymywałyby ślubu, a i pochówki odbywałyby się bez błogosławieństwa Kościoła. Ludzie nie

mogliby się wyspowiadać i stawaliby przed sędziami niebieskimi jako zatwardziali grzesznicy, po czym długie lata spędzaliby w ogniu piekielnym, a może nawet od razu musieliby iść do piekła.

Trudi rozzłościła się, że jedno zdanie mnicha wystarczyło, by ludzie w zajeździe spochmurnieli. Spojrzała na niego wyzywająco.

— Wasza wypowiedź jest niezwykle wymowna, pobożny bracie, ale powiedzcie mi, czy wysoki dostojnik Kościoła, jak na przykład biskup z Würzburga, ma prawo nastawać na wdowę po wolnym rycerzu królestwa, by wydrzeć jej lenno nadane przez cesarza?

Mnich obrzucił ją aroganckim spojrzeniem i roześmiał się.

— Pewnie macie na myśli kasztelanę z Kibitzsteinu? Cesarz Sigismund nie miał prawa przekazywać tego lenna jej małżonkowi, albowiem znajdowało się ono w zastawie kapituły wüzburgskiej. Gdyby była mniej uparta i ugięła kolana przed biskupem, nic złego by jej nie spotkało. A tak, musi ponieść zasłużoną karę za swą krnąbrną postawę.

Jeśli mnich oczekiwał, że jego słowa wywrą na Trudi wrażenie, to grubo się pomylił.

— Pewnie jeździecie po kraju na zlecenie wüzburgczyka, by w jego imieniu opowiadać ludziom te kłamstwa. Wiem bowiem dokładnie, że Kibitzstein zostało nadane przez cesarza wolne od jakichkolwiek obciążeń i zobowiązań. Poświadczył to własnoręcznie przewielebny pan Johann von Brunn, książę biskup wüzburgski, jeden z poprzedników obecnego biskupa. Powiedzcie przeto, po czyjej stronie leży racja?

Mnich pokraśniał ze złości, ale udało mu się w końcu opanować. Machnął pogardliwie ręką.

— Skąd możesz wiedzieć, niewiasto, czy Johann von Brunn podpisał taki dokument, czy też nie?

— Albowiem dziwnym trafem byłam przy tym obecna — odparła Trudi z taką uprzejmością, która każdego, kto ją choć trochę znał, skłoniłaby do natychmiastowej ucieczki.

W odpowiedzi mnich się roześmiał.

— Twierdzisz, że byłaś obecna przy tym, jak Michał Adler otrzymał swe lenno? W tamtym czasie byłaś małym dzieckiem.

— Tak, byłam dzieckiem, a dokładniej córką Michała Adlera! Odpowiedź Trudi zabrzmiała jak smagnięcie bata. Tak samo też trafiła mnicha. Otworzył usta, z których nie wydobył się żaden dźwięk, a następnie zaczął chwytać powietrze jak wyciągnięty z wody karp.

Peter von Eichenloh skinął dziewczynie z uznaniem i podniósł się z siedzenia.

— Byłoby chyba lepiej, gdybyście poszukali sobie innej kwatery na tę noc, pobożny bracie. Tu zrobiło się bardzo ciasno i może się zdarzyć, że rano obudzicie się z podsinionym okiem i obolałymi członkami.

— Grozicie mi? — wydusił z siebie mnich.

Tak jak kilku innych ludzi, jego również prałat Pratzendorfer wysłał, by w okolicach Brandenbura-Ansbachu podsycił złą atmosferę wokół margrabiego i tłumaczył działania biskupa z Würzburga jako jedyne sprawiedliwe rozwiązanie. Dotychczas odnosił sukcesy, lecz teraz skarżył się Bogu, że kazał mu trafić akurat na Hiltrudę Adler. A może to wcale nie była panna Adler? W końcu mówiono, że córka Michała Adlera pod koniec ubiegłego roku zaginęła bez śladu.

Jedno spojrzenie na grupę, w której siedziała dziewczyna, powstrzymało mnicha od dalszej docieklivosti. Pomrukując pod nosem,

spakował swój wędrowny tobołek i opuścił gospodę odprowadzany tłumionym śmiechem obecnych.

A jako że był to jedyny zajazd w wiosce, postanowił poszukać noclegu w którejś z wiejskich chałup, w przeciwnym razie czekałaby go noc pod gołym niebem.

Trudi patrzyła za mnichem, aż drzwi się za nim zamknęły, a następnie zwróciła się do junkra Eichenloh.

— Nienawidzę takich nadętych ludzi, którzy uważają, że nikt poza nimi nie ma prawa używać powietrza do oddychania.

Peter nie miał aż tak złego zdania na temat przedstawicieli kościoła, albowiem znał kilku, z którymi bardzo dobrze mu się rozmawiało. Jednakowoż mnich, którego przed chwilą przepędzili, wydał mu się tak samo niesympatyczny jak Cyprian Pratzendorfer. Prałat był ponadto jeszcze jego wrogiem, albowiem to on stał za próbą zamachu na króla. Wprawdzie wysoki kościelny urząd stanowił dlań osłonę przed świeckim wyrokiem sprawiedliwości, ale Peter zdawał sobie sprawę, że w taki czy inny sposób będzie musiał położyć kres jego niegodziwym praktykom.

Skrytobójcze morderstwo kościelnego dostojnika uważał za czyn niegodny, ale jeśli miałyby się to okazać jedynym rozwiązaniem problemu, wówczas poniesie karę, która zostanie na niego za to nałożona. Najważniejsze, że uwolniłby króla od podstępного i zdradzieckiego wroga.

12.

Gdy powietrze przeszył złowrogi huk, klacz Trudi stanęła dęba, wrywając się naprzód, a i jej pani rozejrzała się wkoło z przerażeniem.

— To działa obłąknicze! I jeszcze jedno — zawołał Quirin i drgnął, gdy powietrze przeszył łomot kolejnej detonacji. — Trzy działa! Dość duży kaliber, muszę przyznać.

Takim żaden mur na świecie długo się nie oprze.

Widząc, że wystraszył Trudi, postarał się ją uspokoić.

— Przynajmniej wiemy, że wasi ludzie się jeszcze bronią. Zaraz się tam zjawimy i zrobimy porządek z wrogiem — dodał z taką pewnością siebie, jakby wraz z pozostałymi jeźdźcami Petera von Eichenloh byli w stanie zmieść każdego przeciwnika.

Wydawało się, że w przeciwieństwie do niego, Eichenloh nagle się zafrasował.

— Za kilka godzin dotrzemy do Kibitzsteinu. Byłoby mi na rękę, panienko Trudi, gdybyśmy mogli wcześniej zostawić was w bezpiecznym miejscu u któregoś z waszych sąsiadów.

— Z tego, co słyszeliśmy w Prichsenstadt, większość z nich jest teraz w obozie przed naszym zamkiem, razem z armią biskupa, zaś ci, których tam nie ma, wydaliby mnie biskupowi, by mu się przypochebić. W tej sytuacji z wami i waszymi ludźmi czuję się o wiele bezpieczniej.

— Moja matka z pewnością by cię nie wydała — wtrącił Hardwin. Za chwilę jednak pokręcił z ubolewaniem głową. Wiele miesięcy minęło już od czasu, gdy opuścił swą ojczyznę, i nie wiedział, co w międzyczasie mogło się wydarzyć. Może była zmuszona poddać się biskupowi.

— Mam lepszy pomysł — odezwał się. — W Schweinfurcie masz przecież znajomych, którzy mogą cię przyjąć.

Na wspomnienie Marieli Trudi wtuliła głowę w ramiona. Znała najstarszą córkę swej chrzestnej matki i wiedziała, że ta najpierw porządnie zmyje jej głowę, później zaś zamknie w piwnicy i nie wypuści tak długo, aż

matka lub brat po nią nie przyjadą. Poza tym jej rodzina była w niebezpieczeństwie i chciała być na miejscu, by wiedzieć, co się dalej wydarzy.

— Jadę z wami! Jeśli ludzie biskupa spróbują się na mnie targnąć, ucieknę do zamku.

Nawałnica nie bez powodu nosi swoje imię. Prawda, moja droga? — powiedziała, głaszcząc klacz. Zwierzę zdążyło się już uspokoić i poznawszy znajomą okolicę, ruszyło w kierunku domu.

Peter wyciągnął rękę z zamiarem powstrzymania Trudi, ale Quirin ze śmiechem pokręcił głową.

— Daj spokój. Nawet ty nie dasz rady. Poza tym nim ludzie biskupa osiągną panienki, będą wprawdzie musieli z nami się uporać. A my przecież nie pozwolimy pojmać damy, która przejechała z nami taki szmat drogi!

— Racja!

Eichenloh przechylił się w siodle i poklepał swego zastępcę po ramieniu, a następnie pogonił swego ogiera, by dogonić Trudi. Tymczasem dotarł do nich trochę przytłumiony, lecz mimo to wyraźny łoskot kolejnego wystrzału. Trudi spięła ostrogami klacz, która zerwała się do galopu, a reszta oddziału przyspieszyła wraz z nią.

— Jeśli nie zwolnimy, to nasze chabety jeszcze przed dotarciem do Kibitzsteinu wywieszają języki do samej ziemi — krzyknął Peter za Trudi.

Chciała odpowiedzieć, że jego ogier i jej klacz na pewno dadzą sobie radę, lecz za moment pomyślała o pozostałych koniach, które były mniej wytrzymałe. Ściągnęła cugle.

Z najbliższego wzgórza mogli już zobaczyć widniejący w oddali zamek Kibitzstein.

Trudi знаła swą ojczyznę tylko z czasów pokoju, toteż serce jej się ścisnęło na widok wrogich namiotów i trzech dział, które właśnie ładowano. W Habichten, folwarku należącym do Kibitzsteinu, także widać było żołnierzy, wchodzących i wychodzących z chałup i chat wieśniaków, jakby stanowiły ich własność. Peter zauważył, iż pierścień okalający zamek był od niego dość oddalony, by wystrzały obrońców nie mogły go osiągnąć. Zniszczony sprzęt wojenny i porozrywane kosze szańcowe złożone poza kordonem zdradzały, że mieszkańcy Kibitzsteinu strzelali celnie nawet na duże odległości. To spostrzeżenie wzbudziło duży szacunek doświadczonego kapitana. Niemniej jednak w tej sytuacji odwaga i zręczność obrońców na niewiele mogły się zdać, zważywszy na ogromną siłę napastnika i kruszące mury kolubryny.

Zachowując pozory spokoju, Peter wysforował się na czoło pochodu i nakazał Trudi wycofać się na tyły, by nie została zaraz dostrzeżona. Na jego znak Quirin po raz pierwszy od długiego już czasu rozwinął chorągiew. Spojrzawszy na powiewający nad ich głowami sztandar, Eichenloh wstrzymał oddech. Oprócz dotychczasowych trzech złotych żółędzi, okolonych dębowymi liśćmi, zobaczył widniejącego na materiale jednogłowego, czarnego orła królestwa na złotej tarczy, który nadawany był wyłącznie wolnym miastom Rzeszy i państewkom podległym bezpośrednio królowi. Peter spojrział pytająco na Quirina, lecz ten tylko wzruszył ramionami.

— Jeden z podkomorzycy króla zaofiarował się oddać do zszycia naszą solidnie postrzępioną chorągiew i przyniósł ją z powrotem dopiero w dniu naszego odjazdu.

Przeto ja też nie miałem wcześniej okazji jej obejrzeć.

— W takim razie pozwólmę fruwać orłowi. Bądź co bądź stanowi on dowód, że jedziemy z misją od króla.

Peter nie miał ochoty zastanawiać się nad zaskakującą zmianą, jaka zaszła w jego herbie. Skinieniem rozkazał ludziom, by jechali za nim w dwuszeregu, po czym gestem nakazał im, by trzymali w pogotowiu broń.

Ku jego niezadowoleniu Trudi musiała jechać teraz obok Uty, której do tej pory udało się już dość dobrze wyćwiczyć w konnej jeździe. Dziewka sięgnęła do tyłu i odwiązała swą przytroczoną u siodła pelerynę, którą podała Trudi.

— Proszę, okryjcie się nią, pani. Nie chcecie chyba, żeby was natychmiast rozpoznano.

— Dziękuję.

Trudi skinęła służącej i pomyślała, że Uta bardzo się przez ostatni czas zmieniła.

Wprawdzie wciąż dużo mówiła, lecz istotne rzeczy potrafiła teraz zatrzymać dla siebie. Ponadto przestała biadolić z powodu każdego drobiazgu. Stała się rezolutna i odważna. Lampert też zmęźniał. By nadać mu wojowniczy wygląd, w Grazu odziano go w prostą zbroję i włożono na głowę hełm. Chyba mu się spodobało.

Trudi miała nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy pomysł przyłączenia się na stałe do żołnierzy. Pacholek tak wierny jak on był cenniejszy od złota.

Gdy zbliżyli się do obozu nieprzyjaciela i dostrzegli powiewającą nad najokazalszym namiotem chorągiew wüzburgskiego biskupa, Peter i Trudi poczuli ściskanie w żołądku.

Würzburgscy żołnierze przyglądali się nowo przybyłym z widocznym zainteresowaniem. A ponieważ oddział zdawał się zbyt szczupły, by stanowić zagrożenie dla ich armii, nikt nie starał się im przeszkodzić. Dopiero nieopodal namiotu biskupa wyszedł im naprzeciw jakiś szlachcic.

— Hej, wy! Kim jesteście i czego tu chcecie?

Był to Markus von Mertelsbach, na którego piersi dumnie prezentował się jego rodowy herb. Jego widok obudził w Hardwinie złość. Do tej pory razem z Quirinem jechał za plecami Petera, teraz jednak poprowadził konia do przodu, spoglądając z góry na junkra Markusa.

— Czy w ostatnich miesiącach wzrok twój stał się tak mętny, że nikogo już nie poznajesz?

Mertelsbach roześmiał się pogardliwie.

— Maminsynek von Steinsfeld! Udało ci się odnaleźć drogę do domu? Po tych szyderczych słowach ręka Hardwina powędrowała w kierunku rękojeści miecza.

— Uważaj na to, co mówisz, inaczej mój miecz nauczy cię grzeczności! Zanim Markus von Mertelsbach zdążył odpowiedzieć, odezwał się Eichenloh.

— Przekażcie jego wielbnej ekscelencji, księciu biskupowi z Würzburga, że przywieźliśmy dla niego listy. Aha, zawołajcie tu jeszcze hrabiów von Hennebergów. Dla nich również mam ważne wiadomości.

Junkrowi Markusowi nie przypadła do gustu rola posłańca. Jednakowoż jedno spojrzenie na twarz junkra Eichenloh wystarczyło, by bez zbędnej zwłoki odwrócił się na pięcie i poszedł wypełnić polecenie. A ponieważ jako jedyny z obecnych w obozie kasztelanów nie uczestniczył w fuchsheimskim weselu, toteż nie znał Petera von Eichenloh, czym ściągnął na siebie gniewną naganę biskupa. Pan Gotfryd chciał najpierw dowiedzieć

się, kim był nowo przybyły gość. Na to Markus von Henneberg nazwał młodego Mertelsbacha błaznem, który powinien był zapytać o nazwisko dowódcy grupy. Przerwał mu brat.

— Nie ma potrzeby się nad tym zastanawiać. To Eichenloh i jego ludzie.

Hrabia Otto miał przez chwilę nadzieję, że złość, jaką książe biskup żywił do Petera, ustała, i pan Gotfryd wezwał junkra Eichenloh jako wsparcie. On sam z przyjemnością poddałby się rozkazom swego przyjaciela i dawnego nauczyciela.

Tymczasem jedno spojrzenie na szyk przybrany przez ludzi junkra Eichenloh, wystarczyło, by się zorientować, iż nie przyjechali tu w przyjaznych zamiarach.

Wyglądało raczej na to, że ludzie przygotowani są w każdej chwili sięgnąć po miecze i przystąpić do ataku.

W przeciwieństwie do pozostałych, hrabia Otto nie musiał też główkować, by zgadnąć, kim są obie kobiety otoczone przez ludzi Petera. Trudi podróżowała z junkrem Eichenloh już wcześniej, podczas najazdu na Teiflach, a teraz, jak widać, ten eskortował ją do domu. Jedynie Eichenloh mógł się odważyć na taki figiel.

Ponieważ Peter nie zsiadał z konia, biskupowi nie pozostało nic innego, jak tylko wyjść z namiotu, by sprawdzić, co się dzieje. W przeciwieństwie do młodszego Henneberga potrzebował kilku sekund, by rozpoznać dowódcę żołnierzy.

Zorientowawszy się, o kogo chodzi, zmrużył oczy i zamierzał rozkazać, by ściągnięto go z konia i zakuto w łańcuchy.

Jednakże zanim zdążył to uczynić, Peter skłonił lekko głowę i wyciągnął doń pismo od króla.

— Z wyrazami szacunku od jego królewskiej mości, króla Fryderyka III!

Biskup skinął na stojącego za nim niczym lokaj Markusa von Mertelsbacha, by ten podał mu papier. Przekonawszy się, iż pieczęć jest prawdziwa, złamał ją i rozwinął rolę. Gdy zaczął czytać, na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki, a jego twarz zbladła jak kreda, po czym natychmiast oblała się głęboką purpurą.

— Jego wysokość, król Fryderyk III, pisze, iż uczynił was, barona Eichenloh, swym wysłannikiem i mediatorem w konflikcie o posiadłości Kibitzsteinu.

Peter starał się zachować niewzruszoną minę, zastanawiając się przy tym, co Fryderyk III mógł mieć na myśli. Ponieważ książe biskup żywił doń osobiście urazę i nienawiść, przeto każdy inny szlachcic okazałby się z pewnością bardziej trafionym wyborem.

— Jego królewska mość pisze ponadto, że macie przy sobie listy dla moich sług, hrabiów Magnusa i Ottona von Hennebergów!

Peter potwierdził, wyjął dwa zapieczętowane pisma i przekazał je junkrowi Markusowi, który sięgnąwszy śpiesznie po listy, z ociąganiem przekazał je Hennebergom. Hrabia Magnus natychmiast rozerwał przeznaczoną dla siebie rolę.

Otto patrzył na brata i czekał na jego reakcję.

Z każdą linijką czytanego tekstu twarz starszego Henneberga wydłużała się. W końcu zaklął szpetnie pod nosem i rzucił papier na ziemię.

Pratzendorfer, który niepostrzeżenie przyłączył się do grupy, szeptem polecił junkrowi Markusowi, by podał mu leżący na ziemi list. Zanim prałat

zdążył rzucić okiem na pismo, biskup wyjął mu je z ręki i pobieżnie przebiegł wzrokiem.

Następnie z tłumioną wściekłością odczytał treść listu na głos.

— My, Fryderyk III, z woli elektorów król Niemiec, ksiązę Austrii, Styrii, Karantanii oraz krain... et cetera, oznajmiamy i przekazujemy do wiadomości, iż Magnus, hrabia von Henneberg, w zamian za uwolnienie swego brata, hrabiego Ottona von Henneberga, który z wrogim zamiarem okupował jeden z naszych zamków, złożył świętą przysięgę na relikwie świętej Urszuli i świętego Kiliana, że nigdy nie podniesie miecza przeciwko nam ani królestwu. Przysięgę tę złamał, prowadząc wojsko na Kibitzstein, wolne władztwo Rzeszy i podejmując oblężenie należącego doń zamku. Jako król Rzeszy i protektor wolnego, tylko nam podległego władztwa Kibitzstein nakładamy na Magnusa von Henneberga banicję i pozbawiamy go wszelkich tytułów i godności!

Było to tylko kilka zapisanych ozdobnym pismem słów. Tymczasem na zebranych wywarły one wrażenie podobne eksplozji kolejnego wozu z prochem. Magnus von Henneberg sprawiał wrażenie, jakby chciał chwycić list i porwać go na strzepy.

Teraz z kolei jego brat zerknął na przeznaczony dla siebie papier.

— Chyba nie muszę już tego czytać — powiedział, chowając dokument pod mundurem. Następnie podszedł do biskupa. Gdy przemówił, w jego głosie było więcej ulgi niż przygnębienia.

— Bardzo żałuję, ale nie mogę dłużej służyć waszej ekscelencji jako dowódca.

Królewska sentencja sprawiła, że stało się to niemożliwe.

— To niedorzeczność! — wykrzyknął Pratzendorfer. — Ten świstek nie ma najmniejszej wartości. Król nie jest w stanie rozkazywać nawet wieśniakom we własnym kraju, nie mówiąc już o takim wielkim panu, jak wy!

— Zamilczcie! — zgromił go biskup, zapadłszy w ponurą medytację. Na banicję król skazał wprawdzie obydwu Hennebergów, ale Gotfryd Schenk zu Limpurg pojmował, kto był prawdziwym adresatem tego ostrzeżenia.

Gdyby dalej upierał się przy ujarzmieniu Kibitzsteinu, Fryderyk III nie zawahałby się i jego skazać na banicję. Król nie posiadał wprawdzie dostatecznej potęgi, by móc przeciw niemu wystąpić, lecz egzekucję w imieniu Rzeszy mógł powierzyć komuś innemu. Wielu sąsiadów Würzburga, z ambitnym margrabią z Brandenburga-Ansbachu na czele, nie zawahałoby się w imieniu Rzeszy poprowadzić z nim wojny. Podobnie kilka wolnych miast we Frankonii, jak Hall, które w odwecie za interwencje Würzburga sprzymierzyło się ze Szwabskim Związkiem Miast, z radością przyłączyłoby się do jego wrogów. Jego rodzina miała dobra w okolicach Hall a mieszkańcy miasta z pewnością wykorzystaliby tę sytuację, by ich kosztem powiększyć obszar swych wpływów.

Biskup odsapnął jak po męczącym marszu. Czy za ten jeden zamek powinien decydować się na podjęcie takiego ryzyka? W okolicy było dosyć posiadłości podległych niegdyś kapitule, które mógł bezpiecznie zagarnąć. Ostatnie spojrzenie na Kibitzstein rozstrzygnęło sprawę. Zamek nie miał strategicznej wartości ani żadnego wyjątkowego znaczenia. Ponadto dzięki umowie dziedziczenia Dettelbachu położył kres ekspansji władzy Adlerów.

Z zawziętością w sercu, lecz przekonany o braku innego rozwiązania, zwrócił się do Petera von Eichenloh.

— Zaniecham na razie obłączenia Kibitzsteinu i dowiodę przed sądami prawa zastawu, przysługującego Würzburgowi do dwóch wiosek tego władztwa.

— Tu nie ma nic do udowadniania! Kibitzstein został nam przekazany bez jakichkolwiek zobowiązań. Przewielebny biskup Johann von Brunn własnoręcznie to przypieczętował! — wtrąciła się Trudi, nie wytrzymując utrzymującego się napięcia.

Peter zaklął po cichu, albowiem bez potrzeby zdradziła swe pochodzenie, zaś mina prałata potwierdziła zamiar pojmania Trudi jako zakładniczki.

— Jeśli takowy dokument istnieje — odezwał się biskup — to Johann von Brunn zapomniał przekazać go do archiwum biskupstwa. Sprawdzimy, czy wasze oświadczenie jest prawdziwe.

— Oczywiście, że dokument istnieje! — zdenerwowała się Trudi. — Posiadamy odpis.

Druga kopia leży w królewskim archiwum, a...

Miejsce przechowywania trzeciego egzemplarza dziewczyna przemilczała, by biskup nie wpadł przypadkiem na pomysł wykradzenia, a następnie zniszczenia kopii.

— Jeśli to prawda, to wojna została wywołana fałszywymi powodami. Pani Maria Adler, która, jak sądzę, jest waszą matką, powinna była już dawno poinformować nas o istnieniu tego aktu.

Trudi powstrzymała się od powiedzenia biskupowi prosto w oczy, że jej matka przez cały czas powoływała się na ten dokument. Z ulgą, że Gotfryd Schenk zu Limpurg wreszcie się opamiętał, uczyniwszy gest pozdrowienia wycofała się trochę, by dokładnie widzieć dalszy przebieg sytuacji.

Biskup rozejrzał się, jakby szukając winnego za zakończoną niepowodzeniem akcją.

Na to wtrącił się wielce oburzony prałat.

— Wszystko to błaga! Świstek napisany przez księcia Styrii, zwącego się królem, nie ma żadnego znaczenia! Zamek padnie jeszcze przed upływem trzech dni. Wtedy będziecie mieli w rękę zastaw, którego nikt wam nie odbierze.

Pratzendorfer miał wielką chęć chwycić biskupa i tak długo nim potrząsać, aż ten zgodzi się z jego opinią. Jeśli pismo Fryderyka III okaże się skuteczne, wówczas fakt ten umocni władzę króla i osłabi wpływy jego mocodawcy. Dlatego też musiał zadbać o to, by treść tego pozbawionego wartości strzępka papieru nie odniosła skutku. Ponadto sprzymierzeńcom, których tu zwołał, winien był zapewnić przyobiecane łupy. Choćby tylko z tego ostatniego powodu musiał postarać się, by nałożenie banicji nie zostało potraktowane poważnie przez pana Gotfryda i pozostałych.

Otto von Henneberg otworzył wreszcie swój list i przebiegł oczami jego treść.

— By zdjąć z siebie karę banicji, musimy pojechać do Grazu, do króla Fryderyka i na kolanach prosić go o przebaczenie, następnie zaś wspólnie powtórzyć przysięgę przed świętymi relikwiami.

W przeciwieństwie do brata Otto zadowolony był z obrotu sprawy. W czasie rozmów uświadomił sobie, że podjął się niesprawiedliwej walki. Nie ufał Cyprianowi Pratzendorferowi, który wysłał go do Austrii i kazał mu dopuścić się skrytobójczego mordu. Uważał tego człowieka za rzeczywistego inicjatora tej wojny, co stanowiło kolejny powód do położenia

zatargowi kresu.

Hrabia Magnus wyglądał z kolei tak, jakby żywił jeszcze nadzieję.

— Jako że brat mój zrzeka się dowództwa, sam przejmę na nowo rozkazy.

Markus von Mertelsbach roześmiał się szyderczo.

— Po to, by Kibitzstein znów wysadził nasze działa, jak zrobili to już dwa razy? Nie, powiadam! Potrzeba nam innego dowódcy, mianowicie... — wypalił i w ostatnim momencie powstrzymał się przed dodaniem słówka „mnie” na końcu ostatniego zdania, albowiem oczy biskupa zaczęły naraz ciskać gromy.

— Żadne z dział nie zostanie już zniszczone! Jutro każę odwieźć armaty do Würzburga. Ponadto wycofam wszystkich swoich żołnierzy i ludzi z dóbr stanowiących würzburskie lenno — powiedział biskup, pomyślawszy, że w ten sposób spełni wolę króla, a w przyszłości będzie mógł zainteresować się kasztelami, które nie posiadały tak wysoko postawionych protektorów, Mertelsbach i pozostali szlachcice spojrzeli po sobie z zakłopotaniem, bowiem pojęli, że bez wsparcia nie dadzą rady zadać klęski mieszkańcom Kibitzstein.

Zdenerwowany prałat także to rozumiał i zwrócił się do biskupa.

— Jeśli się wycofacie, wówczas ludzie zaczną mówić, że przełękliście się Fryderyka i będą się z was śmiać. Wyznaczcie nowego dowódcę i każcie mu zdobyć zamek!

— Czynię to, co uważam za najlepsze dla kapituły — odparł chłodno pan Gotfryd.

Dobrze pamiętał, że zatarg rozpoczął się bez jego udziału, dopiero intrygi Pratzendorfera doprowadziły do eskalacji konfliktu. Ponadto prałat wyznaczył nieudolnego przywódcę, oddając rozkazy Magnusowi von Hennebergowi.

Prawdopodobnie to właśnie niedorzeczne groźby Henneberga skłoniły wdowę po Adlerze do stawienia tak niezłomnego oporu. On sam zadowoliliby się przysięgą wierności ze strony Marii Adler i jej syna. Następnie okazałby łaskę i mógłby pozostawić im większą część ich posiadłości.

Wbrew jego planom i bez jego zgody Pratzendorfer obiecał Kibitzstein i przynależne doń zastawy zebranych pod rozkazami Magnusa Henneberga kasztelanom. W ten sposób już na samym wstępie uniemożliwił wszelkie kompromisy. Jeśli on, Gotfryd Schenk zu Limpurg, straciłby teraz twarz, stałoby się to wyłącznie z winy Pratzendorfera.

Nie obdarzywszy prałata nawet jednym spojrzeniem, biskup odwrócił się i podszedł do Trudi.

— Panna Hiltruda Adler z Kibitzsteinu, jeśli się nie mylę.

Trudi, która słowa biskupa przyjęła z pewnym osłupieniem, ale i z ulgą, skinęła twierdząco głową.

— To ja, przewielebna ekscelencjo.

— Bądźcie tak dobrą i pojedźcie do zamku! Przekażcie matce, że chcemy negocjować.

— Z przyjemnością!

Trudi zawróciwszy Nawałnicę, popędziła otwartym przez żołnierzy szpalerem.

Ludzie nie wyglądali na zadowolonych, albowiem podobnie jak ich panowie, liczyli na zdobyczne łupy. Lecz długotrwałe oblężenie zdążyło ich nauczyć, że wzięcie szturmem zamku nie będzie dziecinną igraszką. Toteż

niektórzy z nich pocieszali się już myślą o kolejnej wyprawie. Biskup nie będzie zbyt długo zwlekał, nie chciał przecież, by świat uznał go za bezzębnego wilka.

13.

W Kibitzsteinie zdążono zauważyć, że w obozie przeciwnika zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Stojąc za osłoną jednego z zębów w blankowaniu wieńczącym forteczny mur, Maria, Falko, Michi i Hilbrecht wypatrywali w tamtym kierunku.

Później przyłączyła się do nich również Anni. Szafarka, zerknąwszy na nowo przybyłą grupę jeźdźców, z ożywieniem wskazała w jej stronę.

— Tam jest Uta! Tam, razem z obcymi. Maria spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Co ty mówisz?

Popatrzyła na pokazywaną przez Anni postać, lecz nie wypatrzyła nic więcej poza tym, iż była kobietą.

— Masz pewnie lepsze oczy od moich — mruknęła rozczarowana i zwróciła się do Falka i Michiego.

— Spróbujcie się przyjrzeć, czy to rzeczywiście Uta. Jej syn wzruszył niezdecydowanie ramionami.

— Za długo byłem nieobecny w Kibitzsteinie, by móc teraz coś powiedzieć.

— Takoż i ja. Znałem Utę jako dziecko — dodał Michi.

Anni zamrugła i jeszcze raz wyjrzała na dół, by dokładnie przyjrzeć się siedzącej na koniu niewieście. Nie była już taka pewna, jak na początku. Kobieta z dużą wprawą siedziała w siodle, zaś Uta wołała chodzić pieszo niż zbliżyć się do konia. Następnie wzrok jej padł na drugą, jednoznacznie damską sylwetkę. Nagle krzyknęła i zrobiła na piersiach znak krzyża.

— Królowo Niebieska, spraw, żebym się nie myliła!

— Co się dzieje? — spytała niecierpliwie Maria.

Zamiast odpowiedzi Anni uszczypnęła Falka w ramię i wskazała drugą jeźdźczynię.

— Spójrz na tę niewiastę!

W następnej chwili nieznana dama zawróciła konia i ostrym galopem ruszyła ku bramom Kibitzsteinu. Z głowy zsunął jej się kaptur i oczom zgromadzonych na murze obserwatorów ukazały się długie, jasne włosy, powiewające jak flaga na wietrze.

Nawet Maria, której oczy straciły dawną ostrość widzenia, natychmiast ją rozpoznała.

— To Trudi!

Przycisnęła ręce do piersi, w której niby młotem waliło jej rozszalałe serce. Do zejścia z murów potrzebowała pomocy Falka i Michiego.

Wartownicy usłyszawszy krzyki, zaczęli szeroko otwierać oba skrzydła bramy.

Michi miał zamiar ich zbesztać, albowiem wróg mógł poczytać ten gest za zaproszenie do niespodziewanego napadu. Jednakowoż wyjrzawszy na zewnątrz, zobaczył, że w obozie wroga nikt się nie poruszył.

Trudi wpadła na dziedziniec zamku, bez pomocy zeskoczyła z siodła i podbiegła do matki.

— Mamo!

Przywarła do Marii i zaczęła szlochać.

Maria objęła ją ramieniem lewej ręki, zaś prawą zaczęła ją głaskać.

— Dziecinko, nareszcie. Jestem taka szczęśliwa, że wreszcie mam cię przy sobie.

Trudi śmiała się i ocierała cieknące po jej policzkach łzy.

— Byłam u króla! Nie wiem, jakim sposobem, ale jednym jedynym listem udało mu się skłonić biskupa do odwrotu.

Była niezwykle szczęśliwa, że może przekazać im tę wiadomość, ale matka, nie zważając wcale na jej słowa, całowała ją i głaskała po twarzy, jakby nie mogąc dać wiary, że wreszcie trzyma w ramionach dawno zaginioną córkę. Falko również dał się ponieść radości. Po jego policzkach płynęły łzy, których nie starał się powstrzymać.

Michi w zamyśleniu poskrobał brodę.

— Co powiedziałaś? Biskup chce wycofać swe wojsko?

Wzrok Marii zdradzał, że wołałaby, by nie zakłócano jej radości z odnalezienia córki. Mimo to Michi koniecznie chciał wiedzieć, czy rzeczywiście istnieje szansa położenia kresu oblężeniu.

Trudi opanowała oszalałe myśli i przytaknęła.

— W rzeczy samej, taki ma zamiar. Król nałożył na hrabiów Magnusa i Ottona Hennebergów karę banicji, a biskup wystraszył się chyba, że może się spodziewać tego samego. Dlatego chce rozmawiać z mamą. Chodźmy. Wszystko będzie jeszcze dobrze!

— Nie powinniśmy wszyscy opuszczać zamku — wtrącił się Michi. Lecz Maria, Trudi i Falko byli już w drodze.

Hilbrecht zamierzał podążyć za nimi, lecz Michi go powstrzymał.

— Ty zostaniesz. Jeśli biskup planuje zdradę, wiesz, co masz robić. Broń zamku do ostatka, a na końcu wysadź beczki z prochem. Jeśli to podstęp, zapłacą za to!

Hilbrecht popatrzył nieszczęśliwym wzrokiem za oddalającymi się przyjaciółmi, po czym westchnąwszy, zawrócił do zamku i kazał pozamykać bramy. Michi pobiegł za Marią i jej dziećmi. Gdy ich dogonił, położył rękę na rękojeści miecza. Będzie czujny. Nierzadko zdarzało się już, że pod propozycją ugody czaił się zdradziecki podstęp mający na celu pojmanie wysokiej rangą osoby z przeciwnego obozu.

Tymczasem biskup, odzyskawszy wewnętrzną równowagę, przypomniał sobie o dostojności swej duchownej osoby i przyjął Marię oraz jej towarzyszy w swym namiocie, usadowiony na purpurowej poduszce, dzierżąc w dłoni wykonany ze złota krzyż.

Nawet gdy był jej wrogiem, Maria nie mogła odmówić okazania mu szacunku, jako biskupowi i duszpasterzowi, który miał pieczę nad całą okolicą. Toteż skłoniła się i przyjęła oburzoną minę.

Pan Gotfryd bez ogródek przeszedł do sedna sprawy.

— Wasza córka powiada, że Johann von Brunn w imieniu kapituły z Würzburga przypieczętował pismo, w którym zrzekł się wszelkich praw do Kibitzsteinu i przynależnych doń wiosek Habichten, Dohlenheim i Spatzenhausen.

Maria wyprostowała się.

— To prawda, wielbna ekscelencjo.

— Nie mieliśmy żadnej informacji na ten temat. Pozwólcie zobaczyć nam pismo, które nasz pisarz skopiuje, a my jeszcze raz je przypieczętujemy!

Maria nie była pewna, czy powinna przystać na tę propozycję. Gdyby biskup, odebrawszy jej dokument, kazał go spalić, miałby wolną rękę i mógłby zająć jej posiadłość. Wprawdzie w Kesenachu posiadała kopie, które

mogła przedłożyć sądowi Rzeszy, lecz minęłoby wiele lat, zanim zapadłby jakiś wyrok. Niepewnie spojrzała na syna. U Heinricha von Hettenheima oraz podczas odwiedzin w heidelberskiej rezydencji palatyna Falko nauczył się, że najistotniejszą rzeczą było niedopuszczenie do utraty twarzy przez tak wysokiego dostojnika jak pan Gotfryd.

Sklonił się przeto, by zwrócić na siebie uwagę księcia biskupa.

— Jeśli pozwolicie, ekscelencjo, przyniosę zaraz pismo!

— Uczynicie to!

Biskup skinąwszy krótko młodzieńcowi, rozkazał jednemu ze służących podać sobie puchar z winem. Poza nim nikt z ludzi, którzy znajdowali się w namiocie lub na zewnątrz, nic nie dostał. Nawet Pratzendorfer, który do tej pory mógł się zaliczać do najbardziej zaufanych przyjaciół biskupa.

14

Nie minęło wiele czasu, gdy Falko wrócił, trzymając pod pachą obitą metalem skrzyneczkę. Maria przeleżała się, albowiem w szkatule, oprócz najcenniejszych aktów posiadania, leżały również listy zastawne podpisane przez wielu z zebranych na miejscu wielmożów. A nie posiadała kopii dokumentów przypieczętowanych przez jej najbliższych sąsiadów.

Falko stanowczym gestem postawił skrzynkę na podnóżku przyniesionym biskupowi przez służącego, a następnie otwarłszy ją, tak długo w niej szperał, aż znalazł żądany dokument. Gotfryd Schenk zu Limpurg wziął od niego papier, przeczytał uważnie tekst, a następnie dokładnie zbadał pismo. Zarówno podpisy, jak i pieczęcie jego poprzednika, biskupa Johana von Brunn oraz jego świadków były prawdziwe.

Gestem pełnym wspaniałomyślności oddał rolę.

— Wygląda na to, że kierowałem się błędną radą. Droga damo, jesteście prawowitą właścicielką Kibitzsteinu! — powiedział z lekkim ukłonem w stronę Marii, zamierzając jak najszybciej położyć kres sprawie.

Pratzendorfer zrozumiał, że pan Gotfryd zamierzał przypisać jemu winę za niepowodzenie i począł się gorączkowo zastanawiać, jak wywinąć się z czekających go tarapatów. Księżę Albrecht Austriacki wysłał go do Würzburga w celu wsparcia księcia biskupa i przeciągnięcia go na własną stronę. Zamiast tego wystawił Gotfryda Schenka zu Limpurg na pośmiewisko, a tego człowiek zwący się również księciem Frankonii, nigdy mu nie daruje. Przypomniawszy sobie nienawiść biskupa prześladowaną Petera von Eichenloh. Chcąc w tej sytuacji osiągnąć sukces, powinien zasiać ziarno niezgody, by würzburska kapituła wdała się w wojnę z margrabią Albrechtem Achillesem z Brandenburska-Ansbachu i musiała zwrócić się z błaganiem o pomoc do księcia Albrechta Austriackiego.

Z tą myślą stanął pomiędzy biskupem a Falkiem i podniósł rozkazującą rękę.

— Ten strzępek pergaminu może mieć znaczenie dla zamku i wspomnianych w nim wiosek, ale nie w odniesieniu do wsi i posiadłości, których Michał Adler wraz z małżonką pozbawili tak szlachetnych panów, jak Ludolf von Fuchsheim, Ingobert von Dieboldsheim, czy pobożne niewiasty z Hilgertshausen!

Apel został przyjęty przez wymienionych szlachciców z gwałtowną aprobatą i biskup zrozumiał, że musi podjąć decyzję dotyczącą rekompensaty.

Maria była tak oburzona reakcją swych sąsiadów, że sięgnąwszy do

szkatuły, podała biskupowi gruby plik dokumentów zastawu i listów dłużnych.

— Jesteście sędzią we Frankonii! Stwierdźcie, czy papiery są zgodne z prawem! Wraz z mężem wyłożyliśmy dużo pieniędzy, a w przypadku Fuchsheimu, dostarczyliśmy całe fury wina i żywności. Nie żądaliśmy za to odsetek ani też nie dopuściliśmy się żadnej innej nieprzystojnej rzeczy!

Stojący najbliżej biskupa junkier Markus chciał wyrwać papiery, lecz Maria przytrzymała je mocno w swych dłoniach, aż Hardwin, który wciąż nie mógł zapomnieć Mertelsbachowi nazwania go maminsynkiem, pogardliwym ruchem odsunął na bok pasierba Bony.

— Za pozwoleniem — powiedział, podając akty panu Gotfrydowi. Biskup wziął podane dokumenty i sprawdził je z taką samą dokładnością, jak poprzednie. Po kilku minutach oddał je przez Hardwina Marii.

— Jeśli chodzi o posiadłości Windach, marchię Bernreuth i wasz udział w naszym rynku Ingersdorf, to będziecie musieli złożyć przysięgę wierności i opłacać daninę!

W pierwszej chwili Maria osłupiała. Tym polubownym wyrokiem Gotfryd Schenk zu Limpurg potwierdził jej prawo do tych posiadłości, a jednocześnie zajął stanowisko w opozycji do osób, które zamierzały odebrać jej ziemię i udziały.

Pratzendorfer zauważył, że sprzymierzeni z nim rycerze poczuli się teraz zawiedzeni i oszukani. Mężczyźni zgrzytali zębami, a Klara von Monheim, której oblicze przybrało barwę starego burgundzkiego wina, nie przestawała kręcić głową.

Ona również nie miała zamiaru pogodzić się z decyzją księcia biskupa. Prałat miał świadomość, że szlachcice uwierzyli w jego obietnice i będą mieli mu za złe, jeśli odejdą z pustymi rękami. W tej sytuacji mógł przegrać o wiele więcej niż tylko samą walkę o Kibitzstein.

Wskazał na Ingoberta von Dieboldsheima i pozostałych kasztelanów.

— Ci rycerze oraz czcigodna przeorysza von Hilgertshausen wypowiedzieli wojnę Kibitzsteinowi i zakończą ją dopiero wówczas, gdy zostaną spełnione ich sprawiedliwe żądania.

— Racja! — potwierdził Ludolf von Fuchsheim.

W związku z weselem córki musiał przepisać na Michała Adlera i jego żonę trzecią część swych posiadłości. Wiedział również, że nigdy nie uda mu się zebrać wystarczającej ilości pieniędzy, by wyrównać zaciągnięty dług. Tak samo Dieboldsheim oraz kilku krewniaków i przyjaciół, którzy się doń przyłączyli, na całe gardło domagali się tego, co nazwali swym słusznym prawem.

Do świadomości Marii dotarło, że ani Fuchsheim, ani pozostali nie mają zamiaru się poddać. Będą wprawdzie musieli przerwać oblężenie i wycofać żołnierzy, jednak nie powstrzymają się przed nieoczekiwanymi napadami i podpaleniami. Mimo iż czuła głęboką pogardę dla swych sąsiadów, rozważała teraz, czy w imię pokoju nie powinna zrezygnować z części własnych roszczeń.

Nim zdążyła podjąć decyzję, odezwał się jej syn, a jego głos zdradzał płonącego w nim gniew.

— Jeśli chcecie waśni, proszę bardzo! My, kibitzsteinczycy, nie jesteśmy osamotnieni. Po pięciokroć zapłacicie nam za każde winogrono i każde ziarno, które ukradniecie albo zniszczycie. Przysięgam wam!

— Jesteście gotowi ponieść całą odpowiedzialność za te słowa? — zapytał prałat z miną zdradzającą napięcie.

Falko przytaknął wyniosłym skinieniem głowy.

— Tak jest!

— W takim razie proponuję, by w pojedynku rozstrzygnąć tę niemiłą okoliczność.

Wy, młody panie z Kibitzsteinu, przeciwko jednemu z rycerzy, którzy przed wami stoją.

— To błazenada! — zdenerwowała się Maria. — Mój syn to jeszcze dziecko.

— Mówi, że chce stanąć w obronie swej sprawy. Oczywiście, może się wycofać i przyjąć żądania swych przeciwników!

Szydercze słowa Pratzendorfera sprawiły, że w Falku zawrzała krew. Zanim Maria zdążyła go powstrzymać, młodzieniec wyciągnął miecz i wbił go przed prałatem w ziemię.

— Wyznaczcie mi przeciwnika!

— Falko, tak nie można!

Maria chciała złapać syna i odciągnąć go na bok, lecz ten strząsnął jej rękę.

— Teraz chodzi również o mój honor! Maria wybuchnęła płaczem.

— Niech sobie zabierają swoje przeklęte wioski! Nie chcę cię stracić! Tymczasem Trudi podeszła do Petera von Eichenloh.

— Zróbcie coś! — odezwała się ponagłająco.

— Wasz brat przyjął wyzwanie i nie może się już wycofać. Ale poczekajcie, zaraz porządnie pomieszam szyki temu klesze w czarnej sukience.

Peter odsunawszy Trudi na bok, ustawił się obok Falka.

— Mamy do czynienia z żądaniami kilku panów i jednej damy. Nie można zadecydować o nich w jednym pojedynku!

Po tych słowach dosięgło go kilka jadowitych spojrzeń, lecz biskup potwierdził skinieniem.

— Wybierzemy trzy pary, które pogalopują na siebie z kopiami.

— Falko jest pierwszy, ja jestem drugi!

Eichenloh nie pozostawił żadnej wątpliwości, że wystąpi w obronie Marii i jej rodziny.

— Ja jestem trzeci. Nie jestem wprawdzie rycerzem, ale wprawiony w walce! — powiedział Michi, stając do szeregu, lecz po chwili znalazł konkurenta w osobie Hardwina, który również zażądał prawa do walki po stronie Marii.

— Biskup zmierzył Pratzendorfera kąpiącym spojrzeniem.

Takiego rozwoju wypadków prałat nie przewidział, ale mimo to nie dawał za wygraną.

— Dowódca z Kibitzsteinu, jak sam powiedział, nie jest rycerzem, zaś Hardwin von Steinsfeld jest dopiero giermkim, albowiem nie miał jeszcze pasowania. Tych dwóch nie może walczyć.

— Mój syn również nie został jeszcze pasowany na rycerza!

W Marii obudziła się ufność, że uda się jeszcze jakoś zapobiec nieszczęsnemu pojedynkowi. Ale Pratzendorfer zaraz zniweczył jej nadzieje.

— Jako główny zainteresowany, Falko Adler może poprosić wielmożnego pana biskupa, by pasował go na rycerza.

Nie rób tego — błagała Maria w myślach, lecz jej syn natychmiast uklęknął przed Gotfrydem Schenkiem zu Limpurg.

— Panie, proszę, byście zezwolili mi na tę walkę.

Biskup przyzwolił, ale na jego twarzy zagościł dwuznaczny uśmiech.

Jednemu ze swych dworzan rozkazał podać sobie miecz. Następnie wstał, wykonał gest, który w tej uroczystej minucie wydał się niemal niedbały, po czym ostrzem dotknął ramienia Falka.

— Wstańcie, rycerzu Adlera z Kibitzsteinu.

Pratzendorfer zacierał już ręce, lecz pan Gotfryd postąpił dalej, przywołał Hardwina i Michiego, kazał im uklęknąć i pasował obu na rycerzy. Wróciwszy na miejsce i oddawszy miecz, zwrócił się do prałata.

— Czterech rycerzy stoi w gotowości, by wstąpić w szranki w obronie Kibitzsteinu.

Teraz wybierzcie rycerzy przeciwnika.

Pratzendorfer zapędził się w ślepią uliczkę. Oboje duchowni biorący udział w zatargu, mianowicie opat Pankracjusz von Schöbach i przeorysza Klara von Monheim, wysłali prostych żołnierzy, z których żaden nie nadawał się, by mianować go rycerzem. Ludolf von Fuchsheim był już zbyt stary, by mieć szansę na zwycięstwo w pojedynku z młodszym wojownikiem. Markus von Mertelsbach także jeszcze nie został pasowany, zaś Ingobert von Dieboldsheim wyglądał tak, jakby na samą myśl o walce z kimś takim, jak Peter von Eichenloh miał zamiar dać drapakę.

Przez kilka pełnych udręki chwil prałat znalazł się w centrum skierowanych nań spojrzeń i odczuł złośliwą radość tych, którzy nie darzyli go sympatią. Ale nie miał zamiaru się poddać. Zdecydowanym ruchem odwrócił się w stronę obydwu Hennebergów.

— Hrabiowie Magnus i Otto rozpoczęli spór, po czym pociągnęli za sobą tych czcigodnych panów oraz czcigodną przeoryszę. Mają obowiązek stanąć do walki o ich prawa.

— Ależ nad nami ciąży kara banicji — wtrącił Otto.

— Chcecie uciec od odpowiedzialności za swe czyny i stać się tchórzami? — wysyczał jadowniczo prałat.

Mimo że w przeciwieństwie do swego brata Otto nie miał nic wspólnego z planami ataku na Kibitzstein, wystąpił naprzód.

— Nie jestem tchórzem. Będę walczył tak, jak każe mi honor! Osobliwy ton w głosie hrabiego Ottona kazał Peterowi się zastanowić.

Mina przyjaciela wyrażała rozbawienie, a gdy ich spojrzenia się spotkały, zobaczył jego porozumiewawcze mrugnięcie. Peter miał wrażenie, że zna Ottona dość dobrze i zrozumiał, że ten nie uczyni wprawdzie niczego, co mogłoby splamić jego honor, ale Pratzendorfer nie znajdzie w nim zbyt dużego wsparcia.

Magnus von Henneberg wyglądał na zadowolonego, że dostanie swoją ofiarę, na której będzie mógł wyładować wściekłość za niepowodzenie przedsięwzięcia.

— Jestem gotów! — oświadczył zimno.

— Jeśli panowie Hennebergowie zechcieli dla was walczyć, niech tak będzie. Mimo to po waszej stronie brakuje jeszcze dwóch rycerzy.

Ton głosu biskupa nie obiecywał im niczego miłego. Otto tylko się uśmiechnął, z kolei Magnus był zbyt zaślepiony wściekłością, by zwrócić na to uwagę.

Pratzendorfer podszedł do swych pozostałych sprzymierzeńców. Większość bezwiednie postąpiła do tyłu, a że nikt z nich się dobrowolnie nie zgłosił, prałatowi nie pozostało nic innego, jak tylko samemu wyznaczyć dwóch kandydatów.

— Po mojej stronie będzie walczył rycerz Ingobert von Dieboldsheim oraz Markus von Mertelsbach, który, podobnie do naszego

przeciwnika, ma prawo zostać pasowanym na rycerza. Bądź co bądź w przeciwieństwie do dowódcy z Kibitzsteinu, pochodzi on ze szlacheckiego rodu.

Uradowany Mertelsbach przecisnął się do przodu, by w oczekiwaniu pasowania uklęknąć przed biskupem. Za to Ingobert von Dieboldsheim rzucił prałatowi oburzone spojrzenie. Nie grzeszył szczególną odwagą i zastanawiał się, jak miałby sobie poradzić z tak wsławionym w walkach żołnierzem jak Eichenloh, czy też tym napakowanym muskułami wieśniackim chamem, któremu biskup nadał właśnie imię Michała von Ziegenheim. Falko był jeszcze na wpół dzieciakiem, zaś Hardwin von Steinsfeld, mimo niezasłużenie otrzymanego miana rycerza, to pozbawiony odwagi maminsynek. Zanim Dieboldsheim zdążył się zastanowić nad fortem pozwalającym mu stanąć w szranki z jednym z nich, biskup oświadczył, iż poszczególni wojownicy trzykrotnie staną do walki ze sobą, i rozkazał wylosować pary.

Kibitzsteinczycy wydali z siebie ciężkie westchnienie, gdy na samym początku Falkowi został przydzielony przeciwnik w osobie doświadczonego w walce Ottona von Henneberga. Maria załamała ręce z rozpacz, aż Peter von Eichenloh podszedłszy do niej, położył jej rękę na ramieniu.

— Daję wam słowo, że waszemu synowi nie stanie się krzywda! — wyszeptał do niej cicho, by nikt inny nie mógł go usłyszeć. Wprawdzie opierał się wyłącznie na znaku danym mu przez przyjaciela, lecz wierzył, że może zaufać Ottonowi.

Maria, która po raz pierwszy ujrzała go w Fuchsheim i nie uznała go tam za przyjaciela, popatrzyła nań teraz z zaskoczeniem.

— Hrabia Otto nienawidzi naszej rodziny. Wszakże moja córka okaleczyła mu twarz.

— Wygląda całkiem nieźle. Znam ludzi, którzy pozazdrościliby mu blizny. Ponadto owo wydarzenie pomogło mu wydorosnąć.

Maria nie zdążyła odpowiedzieć, gdy przy akompaniamencie oszalałych braw zgromadzonych kasztelanów wywołano następną dwójkę. Hardwin von Steinsfeld miał stoczyć pojedynek z Markusem von Mertelsbachem. Następny los ustawił w parę Petera von Eichenloh z Magnusem von Hennebergiem. Krótkie spojrzenie przekonało Petera, że Ottonowi nie będzie przykro, jeśli jego brat poniesie gorzką klęskę. Ostatniej dwójki nie trzeba było już losować, jako że po stronie Kibitzsteinu pozostał już tylko Michi, a ze strony oblegających Ingobert von Dieboldsheim.

Michi, nie zwracając uwagi na swego przeciwnika, popatrzył na Petera Eichenloh.

— Jeśli Falkowi coś się stanie, Henneberg będzie tego żałował!

Peter uświadomił sobie, że Michi byłby w takim przypadku gotów zabić Ottona von Henneberga nawet, gdyby miał po tym fakcie stracić wolność. Lecz miał nadzieję, że Otto nie zawiedzie nadziei, jaką w nim pokładał.

Biskup chciał mieć jak najszybciej za sobą tę sprawę, toteż ustalił, że pojedynki mają się odbyć bez zwłoki.

Falko i Michi popędzili do zamku po konie, zaś Markus von Mertelsbach zaczął szydzić.

— Dziś pewnie ich więcej nie zobaczymy!

Zatroskana o syna Maria spojrzała na niego z ogniem w oczach.

— Mój syn nie jest tchórzem! Stanie do walki z Hennebergiem i da sobie radę.

Przeciwnicy zaczęli się z niej naigrywać, lecz nim udało im się ją sprowokować, Trudi pociągnęła ją na stronę i zniżyła głos.

— Ufam junkrowi Peterowi, a on najlepiej zna hrabiego Ottona.

— Jak to się stało, że spotkałaś junkra Eichenloh? — chciała wiedzieć Maria. Mimo całego niepokoju przez twarz Trudi przemknął szelmowski uśmiech.

— Uratował nam życie. Mnie, Lampertowi i Ucie. Poza tym cały czas nieugięcie wstawiał się za nami u króla. Fryderyk III nie mógł nam wprawdzie wysłać żołnierzy, ale sama się przekonałaś, jaka siła tkwi w jego słowie.

Maria skinęła bezwiednie głową, zastanawiając się, czy Kibitzstein miałby dla niej jeszcze jakieś znaczenie, gdyby Falko nie przeżył tego dnia. Poza tym martwiła się o junkra Hardwina, który nie mógł równać się z takim zabijaką jak Markus von Mertelsbach.

Koźlarka, która również opuściła zamek i dołączyła do Marii, pochwyliła pełne zwątpienia spojrzenie przyjaciółki i sama zadała sobie pytanie, jak Falko i Hardwin mają zamiar oprzeć się przeciwnikom. Nie wątpiła, że jej własny syn da sobie radę z Ingobertem von Dieboldsheimem, jednakże w krótkiej modlitwie do Najświętszej Panienki Maryi poprosiła o wsparcie również dla niego. Dla Michiego i Falka poza modlitwą nie mogła nic zrobić. Później zwróciła się ku junkrowi Hardwinowi.

Wprawdzie sprawiał wrażenie doroślejszego niż kiedyś i wydawał się zdecydowany wygrać starcie na kopie, ale doszła do wniosku, że lepiej podgrzać jeszcze jego bojowego ducha.

Z ociąganiem przysunęła się do niego i pociągnęła go za rękaw.

— Byliście już w domu, junkrze Hardwinie? Młodzieniec pokręcił głową.

— Nie. Są złe nowiny?

— Nie, nie. Macie tylko gościa, którego wasza matka do siebie przygarnęła.

— Gościa? — Zmieszał się Hardwin, który chciał wszystkie myśli poświęcić czekającej go rozgrywce. Nie miał zamiaru rozmawiać na temat gości swej matki.

Zanim jednak udało mu się uwolnić od Hiltrud, kobieta zaczęła mówić dalej.

— Chodzi o panią Bonę, która po śmierci swego małżonka została prze/ pasierba, Markusa von Mertelsbacha, wygnana z zamku. Znalazłszy się w potrzebie, udała się do waszej matki w nadziei, że ta nie odmówi jej dachu nad głową. Za kilka tygodni będzie rodzić! Wiem, co wydarzyło się wtedy w fuchsheimskim lesie. Trudi mi się zwierzyła. Od tamtej pory do urodzenia dziecka Bony powinno minąć akurat dziewięć miesięcy.

To powiedziawszy, koźlarka puściła jego rękaw i wróciła do grupy mieszkańców Kibitzsteinu.

Hardwin patrzył za nią skonsternowany, a myśli w jego głowie podjęły dziki taniec.

Uświadomił sobie trzy rzeczy. Mąż Bony nie żył, ona była w ciąży z dzieckiem, którego ojcem mógł być tylko on sam, a Markus von Mertelsbach paskudnie z nią postąpił. Ostatnia konstatacja wywołała w nim taką wściekłość, że nie mógł się doczekać, by na oczach wszystkich zebranych zetrzeć tego człowieka w pył.

Jako że nie był to oficjalny turniej, w pośpiechu wyznaczono szranki i ustawiono prowizoryczne płoty. Kombatanci i widzowie musieli zrezygnować z trybun i tym podobnych dodatków. Nawet biskup zadowolili się krzesłem i usadowiwszy się w nim, dał znak do rozpoczęcia pierwszej potyczki.

Falko był tak zdenerwowany, że ledwie udało mu się prawidłowo uchwycić kopię.

Jego głowa była wymieciona z myśli i czuł się tak, jakby nigdy nie brał udziału w żadnej walce ćwiczebnej. Hilbrecht pomógł mu wdziać zbroję i patrzył na niego w napięciu. — Wiesz, co masz robić?

— Pewnie. W końcu twój ojciec był moim nauczycielem, a on zna sztukę walki.

Myśl o Heinrichu von Hettenheimie pomogła Falkowi odzyskać równowagę — Jego mistrz nie był już wprawdzie tak giętki jak niegdyś, dysponował za to ogromnym doświadczeniem, które starał się przekazać swemu uczniowi. Falko usiłował wprowadzić konia w szranki z takim spokojem, jakby udawał się na zwykłą przejażdżkę. Na przeciwległym krańcu zobaczył siedzącego na koniu hrabiego Ottona i zdziwił się, że przeciwnik wydał mu się tak nieduży. Energicznym ruchem lewej ręki opuścił przyłbicę i chwycił małą tarczę.

Widząc w szparze wizjera podrywającego się do kłusu wierzchowca Ottona, spiął konia ostrogami i ruszył.

Oba konie pędziły na siebie, przedzielone ustawionym między torami parkanem.

Rycerze opuścili kopie, celując ich ostrzami w tarczę przeciwnika. Przyjąwszy impet uderzenia, Falko zacisnął zęby. Jego ramię jakby samo z siebie wykonało zręczny obrót i lanca przeciwnika zsunęła się po jego tarczy. Tymczasem jego własna kopia uległa skruszeniu.

Bez przerwy ustawili się do kolejnej potyczki. Hilbrecht, który zaofiarował mu swą pomoc w roli giermka, podał mu nową lancę i Falko po raz drugi ruszył na spotkanie z hrabią Ottonem. Niepokój opuścił go teraz całkowicie i miał wrażenie, że słyszy w głowie głos swego mistrza. Tym razem nie miał wprawdzie możliwości uniknąć kopii rywala, lecz udało mu się zminimalizować impet uderzenia i utrzymać się w siodle. Zdziwiło go to, albowiem Otto von Henneberg ze swobodą mógłby go zrzucić z konia.

— Chłopak wspaniale się trzyma! — wykrzyknął z zachwytem Peter. Jego okrzyk spowodował, iż Maria, która do tej pory nie wytrzymując napięcia, stała ze wzrokiem wbitym w ziemię, spojrzała w górę. Otto von Henneberg poprosił właśnie o nową kopię i miał kłopot z okiełznaniem swego niecierpliwie bijącego kopytami wierzchowca.

Na znak dany przez biskupiego herolda obydwaj zawodnicy spięli konie ostrogami.

Falko, widząc zbliżającego się Henneberga, poczuł, że nie wytrzyma kolejnego mocnego uderzenia. Ku jego zdziwieniu tuż przez celem lanca przeciwnika zmieniła kierunek, mierząc obok. Nie miał czasu, by się nad tym zastanowić, bo doszło do bezpośredniego starcia. Kopia Falka złamała się, zaś broń Henneberga minęła młodzieńca o grubość włosa.

— Przekłeta chabeta! — zaklął hrabia Otto, a Peter dosłyszawszy wesołość w jego głosie, zerknął z uśmiechem na Marię.

— Powiedziałem wam, że Falkowi się nic nie stanie?

Maria zrozumiała, że jej syn uniknął niebezpieczeństwa i ukłękła, dziękując za ten cud Najświętszej Paniency oraz własnej patronce, Marii

Magdalenie.

Tymczasem hrabia Otton podjechał na swym koniu do biskupa, zdjął hełm i skłonił głowę.

— Wygląda na to, że nie doceniłem swego przeciwnika. Niemal udało mu się wyrzucić mnie z siodła. Na szczęście wstyd ten został mi oszczędzony.

— Powinniście byli ostrzej nacierać — grzmiał Pratzendorfer, który, podobnie jak biskup, zrozumiał, że młody Henneberg oszczędził swego konkurenta.

Falko też to pojął i jego zraniona duma poczęła się burzyć. Ale hrabia Otto podjechał do niego z wyciągniętą ręką.

— Mielście wyśmienitego nauczyciela, junkrze Falko. Z pewnością lepszego od tego, którego ja miałem w waszym wieku!

Falko nie mógł odrzucić pochwały skierowanej pod adresem nieobecnego Heinricha von Hettenheima. Ujął dłoń Ottona i popatrzył na niego z gorzkim uśmiechem.

— Byliście dla mnie doświadczoneym i wielkodusznym rywalem, lecz kolejnemu starciu z wami nie dałbym zapewne rady.

— Walczycie doskonale jak na swój wiek, Falko Adlerze. Za kilka lat niewielu rycerzy będzie w stanie się z wami zmierzyć.

Słowa te przywróciły na nowo pokój. Dwaj rycerze w przyjacielskiej komitywie odeszli razem na bok, by wspólnie obejrzeć dalszy przebieg turnieju.

Jeśli hrabia Otto utrzymywał, że nie docenił rywala, to Markus von Mertelsbach faktycznie popełnił ten błąd, albowiem pewny był zwycięstwa nad Hardwinem. W swej pysze przegapił spojrzenie, którym ten go przed walką zlustrował, zaś teraz oblicze młodego Steinsfelda osłaniały hełm i przyłbica.

Hardwin wyobraził sobie Bonę, która w zaawansowanej ciąży zmuszona była pokonać długą, kamienistą drogę do jego matki. Przywołał w pamięci wszystko, czego nauczył się od junkra Petera i Quirina. Gdy herold dał znak, spiął rumaka i wyskoczył w kierunku Mertelsbacha. Cios Markusa był dobrze wymierzony, lecz Hardwin przyjął go na tarczę. Kopia tego drugiego trafiła natomiast z potężnym impetem w napierśnik wroga i zanim się obejrzał, zobaczył, jak Markus von Mertelsbach, wyrwany z siodła, przelatuje przez koński zad i uderza o ziemię.

Wszyscy obecni spojrzeli po sobie zbaraniałym wzrokiem. Nikt nie przypuszczał, że Hardwin von Steinsfeld okaże się tak trudnym do pokonania wojownikiem.

Następnie wszystkie spojrzenia skierowały się na Mertelsbacha, który nie uczynił żadnego gestu, by się podnieść czy przynajmniej przywołać do siebie swych ludzi.

Pachołkowie, którzy podbiegłszy doń, zdjęli mu hełm, stwierdzili zszokowani, iż głowa odstaje od jego barków pod zupełnie nienaturalnym kątem. Jeden z nich podbiegł do księcia biskupa i upadł na kolana.

— Rycerz Mertelsbach nie żyje, wasza ekscelencjo, całkiem martwy! Kilku mieszkańców Kibitzsteinu wiwatowało, lecz Maria kazała im zamilknąć.

— Nie wolno cieszyć się z powodu śmierci drugiego człowieka. Wolałabym, żeby junkier Markus żył i stał się w przyszłości miłym sąsiadem dla nas.

Na to Hiltrud położyła jej dłoń na ramieniu.

— Tak będzie lepiej! On nie był dobrym człowiekiem. Jego młodszy bracia zostaną pod kuratelą biskupa i będą kiedyś lepszymi panami niż Markus.

— Chodźcie! Popatrzmy, jak junkier Peter upokorzy dumę nadętego Magnusa von Henneberga! — zawołała Trudi, ciągnąc matkę i chrzestną za rękaw.

Eichenloh zajmąwszy pozycję, zauważył, że trzy kobiety zwróciły na niego wzrok.

Uśmiechnął się butnie. Mimo iż rany dawały mu się jeszcze we znaki, czuł się wystarczająco silny, by pokonać każdego przeciwnika.

Z kolei hrabia Markus nie mógł oprzeć się myślom o licznych walkach zwycięsko stoczonych przez jego rywala, a także o Markusie von Mertelsbachu, którego zwłoki właśnie uprzątano. Wyobraźnia podsunęła mu obraz, na którym widział siebie samego leżącego bez życia na marach i pochylającą się nad nim małżonkę.

Pod wpływem tej imaginacji krople potu zrosiły mu skronie. W nadziei na szybkie rozstrzygnięcie potyczki na swoją korzyść, spał ostrogami konia, zmuszając go do szybkiego galopu. W dłoni ścisnął kopię z taką mocą, na jaką tylko mógł się wysilić.

Tymczasem w przypadku takiego przeciwnika jak Eichenloh, sama siła nie mogła wystarczyć do zwycięstwa. Peter zadyszał ciężko pod impetem trafiającej go lancy Henneberga, której trzon skruszył się, nie wytrzymując uderzenia. Broń Petera pozostała nienaruszona, a nawet udało mu się wysadzić nią rywala z siodła.

Magnus von Henneberg uderzył głucho o ziemię. Zdenerwowani pachołkowie niespokojnie pobiegli w jego stronę, ale dał im znak, by go zostawili. W tym starciu bolesną ranę odniosła jedynie jego duma.

W ostatniej parze stanęli naprzeciwko siebie Michi i Ingobert von Dieboldsheim.

Michi, czy też junkier Michał, jak odtąd go nazywano, odziedziczył wzrost i posturę swej matki. W zbroi wyglądał jak ikona idealnego rycerza. Ale wyraz jego twarzy był zimny jak bezgwiezdna styczniowa noc.

Gdy Ingobert von Dieboldsheim ujrzał przed sobą rywala, począł tak drżeć, że nie mógł utrzymać podanej mu lancy. Podniósłszy przyłbicę, zwrócił się do pana Gotfryda.

— Walka została już rozstrzygnięta na korzyść Kibitzsteinu i ta ostatnia potyczka nie jest już konieczna. Uznaję słuszność żądań pani Marii i junkra Falka i przysięgam, że w przyszłości zadbam o dobre z nimi sąsiedztwo.

Dieboldsheim wiedział, że od tej chwili wszyscy uznają go za tchórza, ale wolał żyć ze swym zajęczym sercem, niż podzielić los Markusa Mertelsbacha.

Michi miał zamiar kąśliwą uwagą zmusić go do walki, gdy nagle wyłonił się obok niego Peter i poklepał go w nagolennik.

— Daj spokój! Takie zakończenie jest lepsze, niż gdybyś miał go zabić lub ciężko ranić. Wam, kibitzsteinczykom, zostało we wszystkim zadośćuczynione. Powinno ci to wystarczyć.

Michi rzucił Marii pytające spojrzenie i zobaczył jej potwierdzający gest.

— A więc dobrze! Zrezygnuję, jeśli walka zostanie rozstrzygnięta na moją korzyść.

Tak, jakbym pokonał przeciwnika.

— Tak się stanie! — oświadczył biskup wielce zadowolony z takiego obrotu sytuacji.

Wprawdzie Kibitzstein i trzy przynależne doń wioski pozostawały nadal suwerennym lennem Rzeszy, ale w odniesieniu do wszystkich pozostałych wsi i posiadłości zdobytych przez ród Adlerów, wdowa po nieżyjącym Michale i jego syn złożą mu przysięgę wierności. W ten sposób zgodnie ze swym zamierzeniem, włączył je do władztwa Würzburga. Skinawszy Marii i jej ludziom, rozkazał rozpocząć przygotowania do wymarszu, który miał nastąpić następnego dnia z samego rana.

Przez chwilę skrzyżowały się spojrzenia biskupa i junkra Petera. Obaj wiedzieli, że wciąż stał między nimi dawny zatarg. Ale tego dnia żaden z nich nie miał ochoty wracać do tej historii. Gotfryd Schenk zu Limpurg musiałby przełknąć zbyt wiele gorzkich pigułek, by móc, ot tak, przebaczyć junkrowi, zaś Peter za bardzo cieszył się odniesionym sukcesem, by ryzykować zmańcenie radości jakimś niezręcznym czynem czy nieprzemyślanym słowem. Chcąc pokazać, że nie upiera się za wszelką cenę przy głowie Petera Eichenloh, biskup skinął mu nieznacznie, po czym wrócił do swego namiotu, przed którym zajęło pozycję dwóch wartowników.

Maria nie zwracając uwagi na to, co się wokół niej dzieje, ścisnęła syna, besztając go jednocześnie przez łzy za chwile grozy, które przez niego przeżyła. Następnie spojrzała wyczekująco na junkra Eichenloh. Peter zrozumiał niewypowiedziane pytanie i skłonił się przed nią z uśmiechem.

— Przysięgłem w Grazu waszej córce, że będę walczył po waszej stronie i jestem szczęśliwy, że przynajmniej w ten sposób mogłem dotrzymać słowa.

Teraz Maria przeniosła spojrzenie na Trudi, która nagle przycichła i posmutniała.

— Mamo, ja... my... uczyniliśmy panu von Eichenloh wielką niesprawiedliwość. Ani on ani hrabia Otto von Flenneberg nie zabili ojca. To Gressingen. Ojciec chciał...

We wzburzeniu Trudi o mały włos nie wyjawiałaby rzeczy, o których nie wiedziała nawet jej matka. By temu zapobiec, Eichenloh nastąpił jej na nogę i zanim jeszcze zdążyła poczuć ból, począł ją głęboko przepraszać.

— Wybaczcie mą niezdarność. Mam nadzieję, że nie sprawiłem wam bólu.

— Moja stopa jest jeszcze cała, ale mimo to moglibyście z niej zejść. Peter odskoczył z udanym przerażeniem i radośnie popatrzył na Marię.

— Możecie być dumni ze swej córki, pani. Uratowała królowi życie i przekonała go, by się za wami wstawił.

Koźlarka skinęła z uznaniem.

— To wreszcie dobra wiadomość, panie rycerzu!

Hiltrud odetchnęła z ulgą, albowiem zrozumiała, że junkier Peter odwiódł Trudi od wyjawienia zbyt wielu tajemnic. Żałoba Marii po zmarłym mężu była jeszcze zbyt świeża, a wiadomość, że Michał został zamordowany z powodu Trudi, mogłaby otworzyć głęboką przepaść między nią a jej córką. Później, gdy wszystko się uspokoi i zakończą się spory z najbliższymi sąsiadami, będzie jej to można jakoś powiedzieć, choć zdaniem Hiltrud lepiej byłoby na zawsze pogrzebać tę tajemnicę.

— Jesteście głodni, panie rycerzu? Rozciąłam dziś rano wyśmienitą szynkę. Z pewnością wam zasmakuje.

Koźlarka bezceremonialnie zagarnęła Petera, mając nadzieję, że przy dobrym posiłku uda jej się więcej o nim dowiedzieć. Znała ten rodzaj

spojrzeń, którymi niemal pochłaniał Trudi, gdy dziewczyna nie patrzyła w jego kierunku. W ten sposób zawsze patrzył na nią Thomas, jej zmarły mąż.

Peter był rzeczywiście głodny. Przez chwilę miał jednak zamiar odmówić, albowiem na placu pozostał jeszcze Pratzendorfer, którym powinien się zająć. Tak długo, jak prałat będzie knuł swe intrygi, misja Petera nie dobiegnie końca.

Ale żołądek dał stanowczo znać, że później też będzie czas na zajęcie się tą sprawą.

Toteż poszedł za wysoką, postawną wieśniaczką, z uśmiechem odpowiadając na jej pytania.

16

Przy turniejowych szrankach została tylko grupa szlachciców, którzy w konflikcie z Kibitzsteinem przyłączyli się do Magnusa von Henneberga i Cypriana Pratzendorfera. Przez jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu, jakby nie rozumiejąc, dlaczego los tak paskudnie się z nimi obszedł.

Naraz Ludolf von Fuchsheim kopnął sklecony naprędce płot oddzielający od siebie turniejowe tory, obniżając go przy tym o kilka sążni.

— Koniec i kropka! Wdowa po Adlerze zatrzymała wszystko, a my zostaliśmy z niczym!

Jego twarz poszarzała ze zgryzoty, albowiem w celu sfinansowania wyprawy wojennej zmuszony był zastawić pozostałą część swych posiadłości. Teraz szukał ofiary, na której mógłby wyładować swą złość. Jak kłusujący łańcuchowy pies dopadł do Magnusa von Henneberga.

— To wy jesteście wszystkiemu winni! Zmusiliście mnie do wzięcia udziału w tym beznadziejnym przedsięwzięciu. I co mi z tego przyszło? Nie należy do mnie już ani jeden kamień z zamku, którego imię noszę.

Hrabia Magnus spojrział na niego zaskoczony, po czym wybuchnął śmiechem.

— Ja mam ponosić winę? Robiłem tylko to, czego zażądał ode mnie ten klecha!

Wysłał mnie, bym jeździł po kraju i zdobył w was sprzymierzeńców. Każdemu z nas obiecał ogromne zyski. Ciekaw jestem, jak zechce nas teraz wynagrodzić!

Ingobert von Dieboldsheim stanął obok hrabiego i obiema rękami począł gestykulować przed prałatem.

— Tak, racja! Musiałem pozaciągać długi, by uzbroić ludzi, i oprócz wsi, którą muszę teraz oddać Kibitzsteinowi, nie chcę stracić jeszcze innych dóbr!

Wprawdzie stchórzył przed walką, ale wśród przyjaciół dzielących jego wściekłość na Pratzendorfera, czuł się wystarczająco mocny, by stawiać żądania.

Zrobił to również Pankracjusz, opat von Schöbach.

— Wielebny ojcze, powiedzcie proszę, jak wyobrażacie sobie odszkodowanie za poniesione przez nas straty. Pani Maria obiecała nam dużo pieniędzy na msze za duszę jej męża, które miały zostać odprawione w naszym klasztorze. Wyście skłonili mnie do odrzucenia tej oferty i przyłączenia się do was. W takim stanie rzeczy nie mogę wrócić do klasztoru. Moi bracia uznają mnie za niegodnego funkcji ich opata.

Pozostali kasztelani, którzy przyłączyli się do wyprawy wojennej, również zaczęli naciskać na prałata, obrzucając go gradem bezładnych obelg i żądań. Żaden ze szlachciców, którzy wystawili do walki swych żołnierzy

albo pachołków, nie chciał wracać do domu niczym wysmagany batem pies.

Jednakże Pratzendorfer nie miał nic, co mógłby między nich podzielić. Ani złota, ani posiadłości ziemskich, ani tytułów. Planowany zamach na króla Fryderyka nie powiódł się, toteż nie mógł liczyć nawet na dalsze wsparcie ze strony księcia Albrechta Austriackiego. Z goryczą stwierdził, że ostatnie niepowodzenia przyniosły ciężki uszczerbek jego karierze. Miał wybór. Mógł wrócić do Rzymu, by tam wśród świty papieża oczekiwać na jedną z rzadko zdarzających się szans awansu, albo poszukać nowego pana, w służbie którego udałoby mu się na nowo zdobyć władzę i wpływy. Lecz prawdę mówiąc, pozostało już niewiele władców, z którymi nie miał jeszcze do czynienia i byli oni dość kiepsko uposażeni.

Był zirytowany swym trudnym położeniem i jego odpowiedź wypadła ostrzej, niż powinna.

— Czego ode mnie chcecie? To przecież wasza wina, że wszystko się tak skończyło.

Nie włożyliście w sprawę całego serca, ociągaliście się i pozwoliliście wrogowi zniszczyć działa. Nie oczekujcie, że was za to pochwałę.

Pratzendorfer chciał się odwrócić i odejść, ale Magnus von Henneberg go zatrzymał.

— Nie damy się zbyć byle czym! Zostałem osądzony i w worku pokutnym muszę jechać do Grazu, by paść przed królem na kolana. Wam to zawdzięczam!

— Zawdzięczacie to wyłącznie własnej głupocie — odparł wściekły Pratzendorfer. — Na Boga, powinienem był wybrać zdaniejszego przywódcę, takiego jak Eichenloh.

On zgniótłby Kibitzstein jak zwykłą wesz!

Hrabia Magnus pochwyił prałata i potrząsnął nim.

— Tego już za wiele! Gdybyście byli rycerzem, wyzwałbym was na pojedynek. Ale jeśli sądzicie, że uratuje was sutanna, to się grubo mylicie.

— Zamierzacie podnieść rękę na członka Kościoła? — zaszydził Pratzendorfer.

Następnie dostrzegł groźne błyski w oczach hrabiego Magnusa i opadł go strach.

— Nie, za to na podłego zdrajcę!

Stojący do tej pory na uboczu hrabia Otto podszedł teraz do prałata i położył rękę na jego ramieniu.

— Czy mam opowiedzieć tym ludziom, z jaką misją wysłaliście mnie i Gressingena do Austrii?

— Co to ma znaczyć? — spytał Pratzendorfer, patrząc na niego speszonym wzrokiem.

W tej chwili do grupy przecisnął się młody chłopak, jeden z przebywających w obozie pachołków, i drżącym palcem pokazał na prałata.

— Ten człowiek zamordował Michała Adlera! Widziałem, jak pochylał się nad nieżyjącym.

— O czym ty mówisz, człowieku? — zapytał Ludolf von Fuchsheim, przytrzymując i potrząsając pachołką, który należał do jego służby. — Dlaczego milczałeś do tej pory?

— Bałem się, bo prałat był tak wielmożnym panem. Gdybym otworzył gębę, dostałbym baty albo nawet by mnie zabito!

— To niedorzeczność! Nie zabiłem Michała Adlera — wybuchnął prałat. Ale pachołek nie dał się więcej powstrzymać.

— Widziałem, jak rozmawialiście z rycerzem Gressingenem, a później przyglądaliście się zabitemu!

— Z Gressingenem?

Oczy hrabiego Ottona rozbłysły jak kawałki lodu, gdy dotarło do niego, w jak ohydną intrygę go wciągnięto.

— Gressingen był mordercą, prawda? Wy podpuściliście go do zabicia Michała Adlera, a następnie wysłaliście go do Austrii z zadaniem zabicia króla!

— Gressingen miał zostać królobójcą?

Hrabia Magnus pojął wreszcie przyczynę, dla której król był tak wrogo nastawiony do niego i do Ottona.

Wszyscy zgromadzeni szlachcice z przerażenia skulili ramiona, zaś opat Pankracjusz zdawał się spodziewać, że w każdej chwili może pochłonąć go piekło.

Wprawdzie Fryderyk III nie posiadał wielkich wpływów w okolicy, ale otaczała go aura korony, wynoszącej go wysoko ponad wszystkich innych książąt Rzeszy. Podniesienie na niego ręki dla większości zebranych stanowiło tak samo karygodny występki jak wyparcie się Boga.

— No jak, mam rację? — nie ustępował Otto von Henneberg.

Swego przyjaciela, Petera von Eichenloh, znał dość dobrze, by móc przypuszczać, iż jego dawny dowódca przyszedł z pomocą Kibitzsteinowi również po to, by rozwiązać problem z Pratzendorferem. Tak długo jak prałat żył, stanowił zagrożenie dla króla, a także dla osób, którym udało się odkryć jego prawdziwe oblicze.

Pratzendorfer nie odpowiadał, zaś hrabia Otto mówił dalej.

— Powinno się wydać was księciu biskupowi, żeby odprawił nad wami sąd!

— Jestem członkiem papieskiej rady dworu. Tylko jego świętobliwość w Rzymie ma prawo wydać na mnie wyrok — odparł triumfalnie prałat.

— Albo też kilku zacnych rycerzy z Frankonii, którzy są tego samego zdania!

Otto von Henneberg szybko omiół spojrzeniem zebranych.

Większość ludzi wróciła już do obozu albo do zamku, a inni właśnie tam podążali. Na turniejowym polu oprócz Pratzendorfera i fuchsheimskiego pachołka zostali już tylko szlachcice, którzy dali się nabrać na obietnice prałata.

Otto rzucił bratu pytające spojrzenie.

— Magnusie, ten człowiek kazał zamordować Michała Adlera, by móc wywołać wojnę o Kibitzstein. Ciebie i pozostałych zebranych tu szlachciców obietnicami i łgarstwem przekonał do wzięcia udziału w wyprawie, aż w końcu napytał nam wszystkim biedy. Zanim król nie zdejmie z ciebie kary, którą na ciebie nałożył, nie możesz wrócić do swej małżonki. Musiałbyś stanąć przed Elizabeth jako pozbawiony honoru uciekinier. Być może książę biskup będzie chciał odebrać ci jeszcze posiadłości, jak to uczynił w przypadku Gressingena.

Hrabia Magnus stał przed nim bezradny, nie wiedząc, co powinien powiedzieć albo uczynić. Tymczasem odezwał się Maksymilian von Albach.

— Strata poniesiona przez Gressingena była tylko fortelem dla zmylenia wrogów biskupa. To też wymyślił Pratzendorfer. Mój siostrzeniec otrzymałby na powrót zamek i jeszcze wiele więcej, gdyby udało mu się odnieść sukces.

Albach dopiero tego dnia dowiedział się, że jego siostrzeniec stracił życie w dalekim Grazu. Ten młody człowiek był lekkomyślny, ale nie musiał być skończyć w taki sposób. Z uczuciem goryczy przypomniał sobie, że wskutek podszeptów Pratzendorfera odwiódł Gressingena od starania się o rękę Trudi Adler.

I to tylko dlatego, że prałat wybrał sobie tego rzekomo pozbawionego wpływów Michała Adlera na pierwszą ofiarę, kosztem której zamierzał rozszerzyć zakres wpływów kapituły.

Widząc wystraszone twarze towarzyszy, Albacha także ogarnęły obawy o własne bezpieczeństwo. Gdyby Pratzendorfer odzyskał potęgę i władzę, potraktowałby go jako wroga i zacząłby mu szkodzić. Szukając pomocy, zatrzymał wzrok na hrabim Ottonie.

— Kłamstwami i pustymi obietnicami Pratzendorfer skłonił nas do niesłusznego ataku na Kibitzstein. Przez niego jesteśmy teraz w gorszej sytuacji, niż byliśmy na początku. Dlatego mamy prawo osądzić tego zdrajcę.

Opat Pankracjusz przeżegnał się.

— Pratzendorfer jest członkiem kościoła. Ale Bóg wybaczy nam, albowiem kazał szlachcicowi zamordować króla.

Ostłupiały prałat popatrzył na hrabiego Ottona, później zaś przeniósł wzrok na opata.

— Czyście wszyscy oszaleli?

— Nasze myśli są jaśniejsze niż kiedykolwiek. Z twojego powodu przystałem do hrabiego Markusa von Mertelsbacha i wyrzekłem się córki! Niech diabli cię porwą, klecho. I to jak najrychlej!

Ludolf von Fuchsheim stracił w wściekłości panowanie i sięgnął po broń, lecz hrabia Otto go powstrzymał.

— Jak powiedział wielebny opat von Schöbach, Pratzendorfer jest członkiem Kościoła. Dlatego nie wolno nam pozwolić, by znaleziono na nim rany!

— Ale jak... — zająknął się Fuchsheim.

Otto von Henneberg wskazał w stronę płynącego w dolinie Menu.

— Zróbmy sobie spacer. Magnus, Fuchsheim, Dieboldsheim, trzymajcie mocno prałata, aby nam nie uciekł, a wy Pankracjuszu, zatkajcie mu czymś głowę, inaczej jego wrzaski zwrócą na nas uwagę.

Aż do tej chwili Cyprian Pratzendorfer nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek mógł się odważyć podnieść na niego rękę. Wreszcie pojął, że gra toczyła się o jego życie.

Chciał się bronić, ale w obliczu tylu chwyających go dłoni nie miał najmniejszych szans. Gdy spróbował krzyknąć, opat Pankracjusz, który nie miał pod ręką odpowiedniego kawałka materiału, wsadził mu między zęby swoją czapkę.

Osaczony przez grupę zdecydowanych na wszystko mężczyzn prałat z grozą w oczach popatrzył na rzekę, ku której go ciągnięto. W milczeniu błagał niebo, by przyszło mu z pomocą w potrzebie.

Na brzegu Otto von Henneberg ściął mieczem cienkie drzewko i usunął zeń gałęzie.

W ręku pozostała mu rozwidlona na końcu żerdź długości półtora wzrostu człowieka. Na jego skinienie pozostali wrzucili Pratzendorfera do rzeki. Prałat zaczął płynąć i chciał salwować się ucieczką. Lecz Magnus von Henneberg wyrwał z ręki brata przygotowaną żerdź, którą przydusił Pratzendorfera, zatapiając go pod wodą. Nie odpuszczał, dopóty korpus

machającego desperacko rękami mężczyzny wreszcie nie zwiotczał. Chciał odepchnąć ciało, lecz Otto wyciągnął zmarłego z powrotem na brzeg, wyjął z jego ust czapkę opata i podał ją Schöbachowi. Następnie zepchnął zwłoki na głębię i razem z innymi patrzył, jak Pratzendorfer z twarzą zwróconą w dół oddala się, unoszony przez fale.

— Niech Bóg zmiłuje się nad biednymi duszami, które wywiódł na pokuszenie. Jego samego niech diabli sobie porwą!

Po tych słowach Otto wyrzucił żerdź do rzeki i przygotował się do odejścia. Teraz znów będzie mógł bez przeszkód spojrzeć w oczy swego przyjaciela Petera von Eichenloh.

17.

Zwłoki Cypriana Pratzendorfera woda wyrzuciła następnego dnia na brzeg w dole Menu. Wiadomość o tym przyniósł do Kibitzsteinu wójt z Volkachu. Śmierć prałata wzbudziła wprawdzie zainteresowanie, ale nikt mu nie współczuł. Ponieważ Pratzendorfer wyrządził szkodę wielu ludziom, nikt nie dopytywał się o szczegóły jego zatonięcia. Nawet biskup ograniczył swe zainteresowanie do odmówienia krótkiej modlitwy i polecił pogrzebać zmarłego w jednej z okolicznych wsi. Żadna z osób, które przyczyniły się do jego śmierci, nie poszła za trumną. Większość z nich rozmyślała nad pokutą, którą chcieli przyjąć na siebie za współudział w dokonanym zabójstwie. Najmniej kłopotu mieli Hennebergowie. Obaj w pokutnych workach i na bosaka mieli odbyć pielgrzymkę do Grazu, a po drodze we wszystkich świętych miejscach błagać o wybaczenie grzechów.

Ludolf von Fuchsheim, opat von Schöbach i Ingobert von Dieboldsheim nie mieli takiej okazji. Schöbach postanowił zrzec się funkcji i tytułu, by w świętej sutannie udać się na pielgrzymkę do Trieru i przy odrobinie szczęścia w którymś z mijanych po drodze klasztorów znaleźć dla siebie nowe zadanie. Ludolf von Fuchsheim, pozostawiając długi, wyruszył w drogę do Santiago de Compostela, by tam znaleźć odpuszczenie swych grzechów. Towarzyszył mu pacholek, który ujawnił współudział Pratzendorfera w morderstwie Michała. Później opowiadał, że jego pan szczęśliwie dotarł do celu, gdzie umarł, przyjąwszy przedtem ostatnie namaszczenie.

Tylko Dieboldsheim nie umiał poradzić sobie ani z winą, ani z długami. Nie mógł znieść presji małżonki, która bezustannie czyniła mu wyrzuty, iż przyłączył się do biskupa i zrezygnował z niezależności swych dóbr. Do tego dokuczali mu sąsiedzi, którzy zgodnie z jego przewidywaniami nazywali go tchórzem. Nie mogąc dłużej wytrzymać takiego życia, któreś nocy powiesił się w stajni. Następnie książe biskup wysłał oddział, który zajął jego zamek. Pani Wiburg, która daremnie jeździła do Würzburga i prosiła na kolanach pana Gotfryda, by oddał jej lenno dla najstarszego syna, musiała zostawić dzieci opiece księcia biskupa i wrócić do ojca.

Gdy winnice ponownie wypełniły winne grona i zbliżała się rocznica dnia, w którym Michał Adler spotkał się z przyjaciółmi w Fuchsheimie, zaś Trudi straciła niewinność, nic w okolicy nie wskazywało na panujące tu do niedawna waśnie, nienawiść i chciwość.

W Kibitzsreinie czas nie zatrzymał się w miejscu, ale i nie zasklepił pustki, pozostawionej po sobie przez zmarłego kasztelana. Maria, Trudi, Hildegarda i pozostali rozpaczliwie oplakiwali Michała, a jego miejsce przy stole i w kaplicy zostawiali na razie puste.

Falko, który mógł się teraz mienić panem Kibitzsteinu, wrócił z Hilbrechtem do jego ojca, by u rycerza Heinricha pobierać dalsze nauki dotyczące zarządzania i chronienia swego majątku. Peter von Eichenloh ze swymi żołnierzami również wyruszył w dalszą podróż. Wieść niesła, że gdzieś nad Renem walczył u boku przyrodnych braci, na których nastawiali zachłanni sąsiedzi.

Ku własnemu zaskoczeniu Trudi tęskniła za nim bardziej niż mogłaby przypuszczać. Nawet gdy starała się sama sobie wytłumaczyć, że był potomkiem niemieckiego króla, którego obecny król Fryderyk uczynił baronem i w hierarchii stoi o wiele wyżej niż ona, córka syna szynkarza, który nie tak dawno otrzymał tytuł szlachecki, wówczas chciała, by choć przyjechał, i spytał ją i jej matkę o zdrowie.

Pewnie po cichu gardzi dziewczyną, która lekkomyślnie poświęciła swą cześć dla kogoś takiego, jak Gressingen. Gdy ogłaszano przybycie gości, śpiesznie wybiegała na zamkowy ganek albo przynajmniej podchodziła do okna. Dokładnie tak samo jak w czasie, gdy wierzyła jeszcze w szczerze zamiary junkra Georga. Lecz poza kilkorgiem sąsiadów, którzy zachowali neutralność w czasie konfliktu z wüzburgskim wojskiem i chcieli odnowić kontakty z Kibitzsteinem, oraz urzędnikiem biskupim, który przywiózł Marii wstępne wyliczenia podatku za jej posiadłości podporządkowane wüzburgskiemu prawu, tylko nieliczni trafiali do zamku. Nie było też żadnej wiadomości od Petera von Eichenloh ani od Hardwina von Steinsfelda, który nie wrócił do domu, lecz wbrew oczekiwaniom pozostał w oddziale. Trudi miała wrażenie, jakby obaj pojawili się w pewnym okresie jej życia, by później zniknąć, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Gdy nie wytrzymała już napięcia, szła do domku we wsi, do którego wróciły już Alika i stara Teresa. Alika zwykle witała ją z uśmiechem i pytała o różne nieistotne rzeczy, jakby nie chciała wracać do minionych zdarzeń.

Któregoś wyjątkowo pięknego letniego dnia zaczęła jej się uważnie przypatrywać.

— Z dnia na dzień wyglądasz na coraz bardziej niezadowoloną! Trudi westchnęła i ścisnęła piąstki.

— Z czego miałabym się cieszyć, gdy nic nie układa się tak, jakbym chciała?

— Rzadko dzieje się tak, jak człowiek sobie tego życzy. Chodź, usiądź i zjedz razem z nami. A może masz chęć przejść się do koźlami?

Trudi pokręciła przecząco głową. Odkąd biskup z Würzburga pasował syna jej chrzestnej na rycerza, matka ciągle wspominała o jej ożenku z Michim. Wprawdzie stara Hiltrud była temu przeciwna, lecz w Kibitzsteinie było dość osób, które pochwalały ten związek, a nawet sobie go życzyły. Ale Alika nie należała do ich grona i dlatego stała się teraz najbliższą przyjaciółką Trudi.

Murzynka napełniała talerz przyprawioną w nieznany w okolicy sposób kaszą jaglaną i przechylając na bok głowę, patrzyła na Trudi. Nie minął jeszcze rok od dnia, w którym dziewczyna otworzyła przed nią serce i wyznała swą miłość do Gressingena. W tamtym czasie Trudi była pełna przekory. Teraz kąciki jej ust boleśnie drgały, zaś jej oczy wyglądały na pogrążone w żalu.

— To dziwne, jak szybko ludzie się zmieniają. W ciągu ostatniego roku doświadczyłaś więcej cierpienia niż niejeden człowiek przez całe życie.

Z dziecka stałaś się kobietą.

— Wzięłam na siebie wiele win. Gdybym nie była taka nierozsądna, ojciec jeszcze by żył.

Trudi spuściła głowę i wybuchnęła płaczem.

Alika otoczyła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

— Skąd możesz wiedzieć, czy Pratzendorfer nie kazałby go w inny sposób zabić?

— Myślisz, że ten potworny prałat za każdą cenę chciał jego śmierci?

— Jestem o tym przekonana!

Alika długo rozmawiała z Marią o tamtych wydarzeniach, a poza tym też nastawiała ucha, by dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczyło Kibitzsteinu i jego sąsiadów.

Ponadto zmarły w tajemniczych okolicznościach prałat i jego poczynania długo jeszcze stanowiły główny temat rozmów i plotek. Jej zdaniem Pratzendorfer fatalnie wmieszał się w politykę kapituły, zaś Michał Adler stał na drodze do realizacji jego planów. A nawet gdyby małżonek Marii został zamordowany przez Gressingena bez namowy prałata, to ten ostatni i tak postarał się wykorzystać jego śmierć.

Trudi otarła łzy i popatrzyła z wdzięcznością na Alikę.

— Nie pomyślałam o tym! Byłam przekonana, że śmierć ojca związana była wyłącznie ze mną.

— Większość ludzi za dużo rozmyśla. Twoja matka też do nich należy. Ale nie możesz mieć jej tego za złe.

— Ja zła na nią? O Boże, nie! To ona ma wiele powodów, by gniewać się na mnie.

Przysporzyłam jej wiele trosk i cierpienia.

— A także dużo radości i szczęścia. Nie zapominaj o tym. W życiu są różne uczucia, jeśli to ma być dobre życie.

Alika poklepała Trudi po ramieniu, chcąc w ten sposób dodać jej otuchy. Następnie podsunęła dziewczynie talerz.

— A może nie smakuje ci już moja kuchnia?

— Nie, jest świetna.

Dla potwierdzenia swych słów Trudi zanurzyła łyżkę w potrawie, lecz nim zdążyła podnieść ją do ust, usłyszała tętent koni i natychmiast zerwała się z miejsca.

— To na pewno junkier Peter! — wykrzyknęła radośnie, zapomniawszy o misce i o Alice, która z pobłażliwym uśmiechem patrzyła, jak Trudi rzuca się do drzwi, zapominając je za sobą zamknąć.

Alika wyjęła z talerza łyżkę Trudi, wytarła ją i schowała do kieszeni, by oddać ją później przyjaciółce. Panienska zupełnie straciła głowę i nie przypomniała sobie, gdzie ją zostawiła. Następnie podążyła za dziewczyną w kierunku zamku, myśląc, że Eichenloh nadjechał w samą porę. Trudi nie wytrzymałaby dłużej niepewności i Murzynka zaczęła się obawiać, że dziewczyna znów potajemnie się wymknie i wyruszy na poszukiwanie dowódcy. Teraz mogła mieć tylko nadzieję, że junkier Eichenloh był nią rzeczywiście zainteresowany. W przeciwnym razie Trudi musiałaby może mimo wszystko poślubić syna swej chrestnej matki, a nie byłby to związek zawarty pod szczęśliwą gwiazdą.

spojrzeniem podwórzec, mury forteczne i zabudowania, jakby chciał sprawdzić stan umocnień.

Wszystko było w najlepszym porządku i nic nie wskazywało na to, że jeszcze kilka miesięcy temu mieszkańcy musieli stawić opór ciężkiemu oblężeniu. W Kibitzsteinie panował taki spokój, jakby od lat nie wydarzyło się nic niezwykłego.

W miejsce uzbrojonych mężczyzn na dziedzińcu widać było teraz zacnych pachołków, którzy przyglądali się przybyłym z sympatią i ciekawością. Na kilku twarzach dostrzegł nawet radość ze swego przybycia, a młodsze córki kasztelanki, które wyszły na zamkowy ganek, machały do niego, wydając przy tym radosne okrzyki. Wyglądało na to, iż nie zapomniały, że to właśnie on przywiózł im wówczas zbawienne wieści.

Tymczasem osoby, dla której wrócił, nie mógł nigdzie dostrzec. Zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, opuszczając Kibitzstein zaraz po wycofaniu się wüzburgskiego wojska. Prawdopodobnie powinien już wtedy porozmawiać z Trudi i jej matką. Ale rozpamiętywanie tych spraw było tak samo bezsensowne jak żal za rozlaną czarą wina.

Maria wyszła przywitać gości. Nie wiedziała, co powinna myśleć o junkrze Eichenloh. Ostatnimi czasy sporo o nim słyszała i nie wszystko jej się spodobało.

Mimo to był cennym sprzymierzeńcem i choćby tylko z tego powodu nie wolno jej było go rozgniewać.

Ucisnęła go na powitanie i pocałowała w policzek, jak przystało na szacownego gościa.

— Witajcie, szlachetny panie.

Ponieważ król nadał mu tytuł barona, w hierarchii społecznej zajmował teraz niemal tak samo wysokie miejsce jak hrabia. Maria chciała odpowiednio go potraktować.

Peter spojrzał na nią z niepokojem. Uprzejmości zaiste nie żałowała, lecz wydało mu się, że jej oczy lustrowały go dość chłodno.

— Wybaczcie, że przyjeżdżam do was tak bez zapowiedzi — odezwał się.

— Jesteście tu zawsze mile widzianym gościem. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, ile wam zawdzięczamy. Ale nie widzę z wami junkra Hardwina. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało! Jego matka byłaby zrozpaczona.

...a także Bona — dodała w myśli. Dopiero kilka dni temu odwiedziła Hertę von Steinsfeld i spotkała u niej także młodą wdowę. Bona długo opowiadała jej, jak bardzo się martwiła o Hardwina, a kasztelanka jej wtórowała. Najwidoczniej obawa o Hardwina stała się teraz ogniwem, które mocno połączyło Bonę i jego matkę.

Minęła już połowa rocznego okresu żałoby, w którym Bona musiała opłakiwać zmarłego męża. Dlatego mogła już myśleć o nowym małżeństwie. Bez słowa skargi podporządkowała się pani Hercie, która widziała w niej idealną synową.

Maria odsunęła od siebie te myśli i spojrzała pytająco na junkra Petera.

— Co ze Steinsfeldem?

— Ma się dobrze. Posłałem go do domu, by mógł wreszcie odwiedzić matkę i obejrzeć tę młodą niewiastę, która podobno u niej mieszka.

— Ma na imię Bona i jest przyjaciółką mojej córki! — odparła

Maria, oddychając z ulgą i kierując swą całą uwagę na niespodziewanego gościa. — Chodźcie za mną do holu, czeka tam na was powitalna czarka wina. Zaraz każę wnieść jedzenie, byście mogli się posilić.

Peter roześmiał się.

— Nie mam nic przeciwko czarce wina i dobrej pieczeni. Ach, jeśli nie sprawiłoby to kłopotu, prosiłbym o dołożenie świńskiego łba.

Stojący za nim Quirin wywrócił oczami. W ciągu ostatnich tygodni Eichenloh często opowiadał, jak wówczas w Fuchsheimie Trudi rzuciła za nim świńskim łbem, trafiając przy tym celnie. Znając dość osobliwe poczucie humoru dowódcy, zaczął się obawiać jakiegoś incydentu, który mógłby zmącić przyjazne stosunki z gospodynią.

Nie zważając na strofującą minę Quirina, Eichenloh poszedł za Marią w kierunku wieży mieszkalnej. Przechodząc przez portal zauważył zdyszana Trudi, która nie dbając o godne damy zachowanie, pędem wpadła przez bramę i skierowała się wprost do głównego budynku. Quirin szybko zszedł na bok, inaczej mógłby zostać przez nią stratowany. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wyglądało na to, że dzień zapowiadał się interesująco, a może nawet burzliwie.

Zacierając ręce, Quirin pilnował pacholków zajmujących się końmi gości. Dziewka, w której dopiero po chwili rozpoznał Utę, podała mu kubek wina.

— Na zdrowie!

— Dziękuję, dziewczyno!

Quirin poklepał ją lekko po siedzeniu, zaś Lampert posłał mu za to druzgocące spojrzenie. Wzniósł kubek do pacholka i napiwszy się, wskazał na Utę.

— Piękna dziewczka, nie sądzisz? Powinieneś się pospieszyć, żeby nikt cię nie ubiegł.

— Wyjść za niego? Phi, znam ciekawsze rozrywki! — rzuciła Uta, unosząc wysoko głowę. Nie mogła się jednak powstrzymać, by nie zerknąć jeszcze raz na Lamperta, który cały czerwony stał w stajni.

Nie chciała rozstawać się z nim w niezgodzie, toteż podeszła do niego.

— Jeśli naprawdę chcesz się ze mną ożenić, powinieneś zapytać najpierw mnie, później zaś kasztelanę, czy zezwoli na nasz ślub!

— To znaczy „tak”, mój chłopcze. Teraz zbierz się na odwagę i porozmawiaj z panią Marią. A może wolisz żyć z Utą bez błogosławieństwa Kościoła?

Quirin lubił tę dwójkę i spodobała mu się rola swata. Dlatego jeszcze raz poklepał Utę po pośladku i popchnął ją w kierunku Lamperta.

— No, pocałuj go wreszcie, żeby nabrał odwagi! Jak znam waszą panią, to na pewno wam głów za to nie pourywa.

Z wesołym śmiechem Quirin wyszedł ze stajni i zamilkł nagle, albowiem jego oczom ukazało się stworzenie, jakiego nigdy nie spodziewałby się ujrzeć na bożej ziemi. Istota swym wyglądem przypominała wysoką, ładnie zbudowaną kobietę, ubraną w gładką, opadającą do kostek suknię, mieniającą się wszystkimi możliwymi kolorami. Ubiór był niespotykany i Quirin musiał się powtórnie przyjrzeć, by się upewnić, czy ciemna barwa skóry tego stworzenia była faktycznie prawdziwa.

Przypomniał mu się obraz, na którym widział kiedyś podobną istotę o ciemnych włosach. Mężczyzna, który mu go pokazał, nazwał stworzenie

Murzynką i opowiadał, że podobni ludzie żyją na dalekim południu, na samym skraju świata. Dotychczas nie słyszał jednak, by ktoś z nich zbłądził w te strony.

W czasie gdy poprzednim razem Quirin z junkrem Eichenloh byli na zamku, Alika przebywała w Odenwaldzie i nie miała okazji ich poznać. Przyzwyczaiła się, że ludzie jej się przypatrują, toteż minęła mężczyznę, nie zwracając uwagi na jego zdziwienie.

Quirin poszedł za nią, próbując zagadnąć.

— Hej, ty! Co tu robisz? Ja jestem Quirin, zastępca sławnego Petera Eichenloh.

Tą informacją obudził zainteresowanie Aliki. Zatrzymała się i popatrzyła na niego.

— Jesteś człowiekiem z oddziału junkra Eichenloh? Możesz mi o nim opowiedzieć?

Quirin omal nie usiadł na ziemi ze zdziwienia. Nie spodziewał się, że stworzenie potrafi mówić jak zwykły człowiek. Wymowę miało wprawdzie nieco dziwną, ale przyjemną dla ucha, zaś gdy roześmiało się z jego nagłego osłupienia, jego śmiech zabrzmiał tak samo jak śmiech każdej innej młodej kobiety o radosnym usposobieniu.

Twarz Quirina rozpozgodziła się.

— Chętnie opowiem ci o moim panu. Ale w pierw musisz mi powiedzieć, kim jesteś.

— Mam na imię Alika i mieszkam w tamtej wiosce.

— Alika? To nie jest chrześcijańskie imię.

— To jedyna rzecz, jaka oprócz koloru skóry została mi po mej ojczyźnie.

Po twarzy Aliki przemknął smutek. Szybko się jednak opanowała. Czasami dopadała ją tęsknota za wioską nad wielką rzeką, gdzie się wychowała. Myślała o ludziach, wyglądających tak samo jak ona i we śnie śpiewała razem z nimi piosenki.

Ale dawno już pogodziła się ze świadomością, że nigdy więcej tam nie wróci.

— Jeśli cię to uspokoi, to zostałam ochrzczona zgodnie z zasadami waszego kościoła i otrzymałam imię Maria. A że mamy tu dość kobiet o imieniu Marie i Maria, toteż wszyscy nazywają mnie nadal Aliką — wyjaśniła w obawie, że mężczyzna mógłby ją wziąć za wytwór diabła.

— Cieszę się! Jeśli chodzi o Petera Eichenloh...

Quirin ciągnął swoje opowiadanie, aż doszli do sali rycerskiej. Tu stwierdził, że Murzynka cieszy się dużym szacunkiem w Kibitzsteinie, albowiem jakby nigdy nic zajęła miejsce na jednym z krzeseł obok kasztelanki. Kolejne spojrzenie powiedziało mu, że Trudi jeszcze się nie pojawiła. Zastanawiał się, co się z nią stało.

19.

Trudi drżąc z niecierpliwości, wpadła do zamku, ale tuż przed wejściem do sali uzmysłowiła sobie, że nie może pokazać się Peterowi zziąjana biegiem, w starej, znoszonej sukni. Dlatego pobiegła schodami na górę i szybko znikła w swej komnacie. Uty nigdzie nie było widać, toteż poprosiła inną służącą o pomoc. Ta zaś o mało nie umarła ze strachu, że może coś źle zrobić. Z tego powodu wszystko trwało dłużej niż zazwyczaj. W końcu była gotowa, ale niezbyt zadowolona ze swego wyglądu. Opuszczając komnatę, układała sobie w myślach słowa, którymi złąja

pokojówkę, która akurat teraz musiała zniknąć. Weszła na schody prowadzące do holu i zaraz zapomniała o dziewczce, bo wraz z nią zjawili się właśnie kolejni goście.

Przyjechała Herta von Steinsfeld z Boną, a towarzyszył im Hardwin. Powitanie w zamku Steinsfeld wypadło chyba nie dość serdecznie, bo junkier miał zaciętą minę.

Matka wciąż mierzyła go strofującym spojrzeniem, zaś Bona zdawała się walczyć z łzami. Za nimi szła mamka, niosąca w ramionach urodzoną przed czterema miesiącami córkę Bony. Hardwin wydawał się świadomie nie dostrzegać dziecka, jakby miał mu za złe, że istnieje.

Maria jednym spojrzeniem ogarnęła nastrój nowych gości. Jednakże zachowywała się tak, jakby niczego nie zauważyła. Przywitała się przyjaźnie. Pani Herta należała do tych nielicznych sąsiadów, którzy podczas najazdu trzymali jej stronę i potajemnie ją wspierali. Dostała się nawet przed oblicze margrabiego Albrechta Achillesa i prosiła o pomoc dla nich. Wprawdzie Brandenburczyk niewiele zrobił, lecz ta odrobinka w połączeniu z listem od króla zmusiła biskupa z Würzburga do ustępstwa. Z tej przyczyny Herta była jej wyjątkowo bliskim gościem. Maria uścisnęła ją i poprosiła, by zajęła miejsce po jej lewej stronie.

Herta von Steinsfeld skinęła z kolei Bonie, by ta usiadła obok niej. Jej syn przeszedł na drugą stronę stołu i stanął koło krzesła Petera.

— No, jak tam było? — zapytał junkier. Twarz Hardwina się wydłużyła.

— Ledwo zdążyłem przyjechać, a już wszystko kręciło się wokół dziecka.

Podsuwali mi je pod nos, wciskali w ramiona i tylko o nim mówili. Miałem wrażenie, że jestem zupełnie niepotrzebny.

Peter uśmiechnął się niemal bezczelnie. Utyskiwania przypominały mu dawnego Hardwina, trzymającego się spódnicy mamusi, która ustawiła go na piedestale.

Prawdopodobnie pocziwina inaczej wyobrażał sobie powrót do domu i poczuł się odrzucony. Peter podniósł się sprężystym ruchem i podszedł do mamki, która usiadła w kącie i nie wiedziała, czy w obecności państwa może nakarmić maleństwo piersią, czy też powinna raczej pójść do kuchni. Peter wziął od niej dziecko, kołysał je przez chwilę w ramionach i wrócił z nim na swoje miejsce przy stole.

— Wspaniała dziewczynka, pani Bono! Jest do was bardzo podobna i kiedyś będzie tak samo piękna.

Słyszając ten komplement, Trudi parsknęła i rozzłościła się, bowiem Eichenloh zdawał się jej nie dostrzegać. Hardwin miał również zamiar powiedzieć coś pogardliwego, lecz twarz Bony i promienny uśmiech matki podpowiedziały mu, że przyjaciel wybrał właściwe słowa i podbił serca obu kobiet. Teraz również on uważniej przyjrzał się dziecku i zauważył, że nie jest wcale takie podobne do Bony.

Przed wszystkim już miało oczy tak samo głęboko osadzone jak on sam. Po tym stwierdzeniu z trudem przełknął ślinę. Wprawdzie już wcześniej dowiedział się, że może być ojcem małej, lecz dotychczas w żaden sposób to do niego nie dotarło.

Dostrzegłszy podobieństwo, poczuł się nagle zupełnie inaczej.

— Czy mogę ją potrzymać? — spytał Bonę.

Nie czekając na odpowiedź, Peter wsunął mu dziecko w ramiona, sam zaś wziął do ręki czarkę z winem.

— Za małą! Gdybym miał syna, od razu zacząłbym starać się dla niego o jej rękę.

— A może posiadacie synów, tylko wstydzicie się do nich przyznać, bo pochodzą jedynie od dziewczek i kobiet niższego stanu! — przycięła Trudi zirytowana faktem, że Peter do tej pory ją ignorował.

Junkier spojrział na nią, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność.

— Gdybym miał synów i miałbym pewność, że jestem ich ojcem, z pewnością bym się ich nie wyparł.

Hardwin zrozumiał to jako apel do własnej osoby, wzywający go do uznania córki.

Ale Bona, zorientowawszy się, przerwała mu po pierwszych, nic nie znaczących jeszcze słowach.

— Mój mąż byłby z pewnością bardzo szczęśliwy z powodu narodzin małej Marii.

Jeszcze raz dziękuję, pani Mario, że przytrzymałyście małą do chrztu. Rycerz Moryc był dobrym mężem i zasłużył na zaszczytną pamięć.

Hardwin zrozumiał upomnienie. Mała może być jego córką, ale formalnie ojcem jej pozostanie Moryc von Mertelsbach. Jednocześnie zdziwił go przyjazny ton, w jakim Bona wyrażała się o swym zmarłym małżonku i poczuł ukłucie zazdrości.

Bona zauważyła, co się z nim dzieje i obdarzyła go swym najśłodszym uśmiechem.

— Jak tylko będę w stanie, zbuduję kaplicę za zbawienie duszy mego zmarłego męża. Ale ku memu nieszczęściu wraz z córką zostałyśmy wypędzone z domu i szukamy ochrony i wstawiennictwa.

Peter zrozumiał, że powinien dać przyjacielowi szturchańca i obiema rękoma zaczął nań wskazywać.

— Jeśli szukacie bezpiecznego ramienia, pani Bono, znajdziecie je u Hardwina.

Wiem, że was kocha i przystał do moich żołnierzy tylko dlatego, iż myślał, że was na zawsze utracił. Teraz stanął solidnie na nogi i myślę, że nie pożałujecie, jeśli oddacie mu swą rękę.

Matka Hardwina popatrzyła na niego z uznaniem i lekko trąciła Bonę.

— Mój syn jest ci tak niemiły, że nie wydusisz z siebie ani słowa?

— Na Boga, nie, oczywiście, że nie! On jest... — urwała Bona, ocierając cisnące się do oczu łzy.

Peter pomyślał, że mogłaby być trochę mniej płaczliwa, ale Hardwin był w niej zakochany i zupełnie mu to nie przeszkadzało. Sam gustował w bardziej energicznych niewiastach. Podczas gdy Hardwin pośpieszył uściskać Bonę, junkier Peter zwrócił się do Marii, z zadowoleniem siedzącej na swoim miejscu. Widać było, że kiedyś musiała być bardzo piękna. Trudi była wprawdzie śliczna, lecz nie dorównywała urodą matce. Ale dla Petera nie miało to znaczenia. Najstarsza córka Marii była dokładnie taka, jaka powinna być. Bardzo mu się podobała. Wprawdzie teraz wyglądała tak, jakby miała ochotę rzucić w niego pierwszą lepszą rzeczą, jaką miała pod ręką, ale na razie poprzestawała na kąśliwych uwagach.

— Słyszałam, że ostatnio walczyliście u boku swej rodziny, choć poprzysięgliście na wszystkie świętości, że wasza noga nie postanie w ich zamku ani na ich ziemi.

Maria rzuciła córce ostrzegawcze spojrzenie. Nie wypadało gościowi, ot tak, zarzucać krzywoprzysięstwa. Ulżyło jej, gdy spostrzegła, że junkier

Peter nic sobie z tego nie robi, a na jego ustach pojawił się przyjazny uśmiech.

— Walczyłem po stronie swych przyrodnich braci, to prawda. Prawdą jest również to, że w złości rozstałem się z ojcem i złożyłem taką przysięgę. Ale przyrodnie rodzeństwo popadło w tarapaty i nim dobyłem miecza, poprosiłem najdostojniejszego elektora i arcybiskupa Moguncji, Dietricha von Erbacha, by zwolnił mnie z przyrzeczenia. Mimo to nie byłem w zamkach ani we wsiach moich braci. Ponadto odrzuciłem propozycję ponownego rozdziału spadku. Wprawdzie mógłbym się teraz swobodnie zwać hrabią Peterem, lecz rezygnuję z tego, podobnie jak z rodowego nazwiska mego ojca. Zmarł, nie przełamawszy swej zapiekłej złości.

To, com uczynił, zrobiłem nie dla niego, lecz dla braci, na prośbę arcybiskupa Moguncji. Pan Dietrich von Erbach postarał się również o to, by pan Gotfryd Schenk zu Limpurg mi wybaczył.

Peter wydał się przez chwilę nieobecny, albowiem przypomniał sobie, jak w pokutnej koszuli musiał stanąć przed würzburskim biskupem i przyjąć na siebie odpowiedzialność za zdarzenie, którego w istocie był ofiarą. Ale dzięki temu honor rodziny Schenków zu Limpurg i ich krewniaków został uratowany, a tym samym powrócił pokój w jego stosunkach z biskupem.

Peter odetchnął głęboko i zerknął na Trudi.

— Poza tym niedługo staniemy się sąsiadami. Otrzymałem od króla zadłużone dobra Fuchsheimu oraz posiadłość Gressingen, która była własnością księcia biskupa. Maksymilian von Albach tego zlorzeczył, gdy przejąłem posiadłość jego siostrzeńca, ale nic nie mógł zrobić.

— Gressingen należy do was? — zapytała Trudi, wypowiadając nazwę posiadłości niczym jakieś przekleństwo.

— Już nie — wyjaśnił uprzejmie Peter. — Odsprzedałem je, a za nadwyżkę kupiłem posiadłość w Mertelsbachu. Wasze wiano i wdowie uposażenie nie ucierpi na tym, pani Bono. Możecie znów dysponować swym majątkiem.

Na twarzy Herty von Steinsfeld ukazał się uśmiech zadowolenia. Dzięki temu Bona stała się nie tylko miłą, ale również posażną synową, która pomnożyłaby ich majątek.

Trudi popatrzyła na Petera z szyderstwem.

— Wy naszym sąsiadem? Mam nadzieję, że uda mi się to przeżyć! Maria doszła do wniosku, że miarka się przebrała. Głośno uderzyła ręką w stół, ale zanim zdążyła upomnieć córkę, Eichenloh wstał i z szelmowskim uśmiechem zbliżył się do Trudi. Zanim dziewczyna pojęła, co się z nią dzieje, Peter podniósł ją i nie zważając na protesty, przełożył przez kolano. Za chwilę dało się słyszeć kłaśnięcie jego prawej ręki spadającej na siedzenie Trudi. Mimo iż dziewczyna miała pod suknią jeszcze kilka halek, to uderzenia i tak ją zabolowały.

Spróbowała się wyzwolić. Nie dała rady, a Peter przytrzymując ją bez żadnego wysiłku, wymierzał kolejne klapsy.

Z początku zebrani przy stole biesiadnicy przyglądali się z przestraczem. Michi chciał się zerwać i pospieszyć Trudi z pomocą. Ale Maria wyciągnęła rękę w powstrzymującym geście.

— Zostaw go — powiedziała ostro, choć sama również nie wyglądała na uszczęśliwioną. Musiała porzucić nadzieje o wydaniu córki za syna Hiltrud. Lecz nie była całkiem niezadowolona z rozwoju wypadków. Trudi potrzebowała mężczyzny, który potrafiłby ją okiełznać, ale w zamian

oddałby jej całą swą miłość.

Peter von Eichenloh wydał jej się odpowiednim kandydatem. Jednocześnie wątpiła, czy ta szorstka adoracja przyniesie mu sukces.

Peter wymierzył Trudi piątego klapsa, a następnie ją puścił. Mimo że nie użył całej swej siły, dziewczyna miała obolałe siedzenie, a jej oczy miały furie. Junkier odwrócił się i obszedłszy stół, wziął do rąk świński łeb, który Maria kazała przygotować na jego prośbę.

Podał go Trudi i stanął naprzeciwko niej.

— Teraz możesz mi nim przyłożyć!

Trudi spojrzała na niego, później na trzymaną w rękach świńską głowę i westchnęła.

— Bóg mi świadkiem, że byłaby to sprawiedliwa kara dla ciebie. Ale jako dobrze wychowana młoda dama, nic takiego oczywiście nie zrobię.

Wśród tłumionego śmiechu osób znających ową historię, Trudi podniosła wysoko głowę, zadzierając nos w kierunku sufitu, po czym chciała z powrotem usiąść przy stole.

Jednakowoż Peter znów ją pochwycił i zamknawszy w ramionach, wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Następnie popatrzył na nią płomiennym wzrokiem.

— Jako że tak dobrze nam ze sobą, spytam, czy zechcesz zostać moją żoną?

— Na Boga, tak, choćby tylko po to, by móc zamienić twe życie w piekło! — wyrwało się Trudi, która dopiero słysząc oklaski zebranych, zrozumiała, że to nie był dowcip.

Nim zdążyła zaprotestować, Peter znów ją pocałował i puścił dopiero wtedy, gdy oboje niemal się już udusili.

Płacząc z radości Bona podbiegła do Trudi i rzuciła jej się na szyję.

— Tak się cieszę twoim szczęściem. Pan Eichenloh jest wielce szacownym człowiekiem. Hardwin mówił o nim same najlepsze rzeczy.

Zaraz pojawił się przed nią uśmiechnięty Michi.

— Życzę ci szczęścia, urwisku. Peter von Eichenloh będzie najlepszym mężem dla ciebie. Każdego innego owinęłabyś sobie wokół palca.

Wydawało się, że Michiemu kamień spadł z serca, bo niechętnie uległby naciskom Marii, która koniecznie chciała, by poślubił Trudi. Maria westchnęła i popatrzyła na niego z żalem.

— Przykro mi Michi, a właściwie rycerzu Michi.

— Jeśli już, to junkrze Michale. Zasłużył sobie na to w walce o Kibitzstein — wtrącił Peter, podając Michiemu rękę, drugą zaś poklepując go po ramieniu.

— Król Fryderyk prosił mnie, bym do niego wrócił, albowiem potrzebni mu wierni ludzie. Oferował mi posiadłość w Styrii. Może ją przekazać również tobie, jeśli do niego napiszę, z jaką zręcznością broniłeś Kibitzsteinu.

Michi popatrzył na niego zdziwiony.

— Zrobilibyście to dla mnie?

Wiedział, że mimo pasowania na rycerza przez würgburskiego biskupa, okoliczni kasztelani nie uznali go za równego sobie, choć podobnie, jak wiele starych rodów, on też wywodził się z wolnych zagrodników.

Michał Adler na przykład był synem zwykłego szynkarza. Jego pytające spojrzenie spoczęło na Marii, później skierowało się ku matce.

— Powinniście zabrać ze sobą kogoś, kto wam pomoże i zarządzi

zamkiem, który król odda wam w lenno — ciągnął Peter.

Michi bezwiednie spojrzął na Anni. Wprawdzie nie było między nimi bliższego kontaktu, lecz pod względem pracowitości i sumienności mało kto mógł się z nią równać. Poza tym bardzo ją lubił.

Jego spojrzenie nie umknęło uwadze Marii, która z uśmiechem popchnęła Anni w ramiona Michiego. Skonsternowana szafarka spojrziała na panią, później na Michiego, po czym energicznie uwolniła się z uścisku.

— Nie mam zamiaru odchodzić z Michim! Maria roześmiała się.

— Masz nie tylko z nim odejść, ale także zostać jego żoną. Pan von Eichenloh ma rację. W Styrii możecie zacząć nowe życie i nikt nie będzie wyrzucał wam waszej przeszłości.

Trudi skinęła gwałtownie.

— To proste! Michi może wykorzystać dla siebie drzewo genealogiczne Ansteinerów.

Bądź co bądź jest kuzynem obecnego rycerza królestwa z Anstein, zaś rycerz Grimald nie będzie miał nic przeciwko bliskim królowi kuzynom.

— Dobra myśl! Wiedziałem, dlaczego chcę cię za żonę — powiedział Peter, nie przestając się śmiać, nawet gdy Trudi pogroziła mu zaciśniętą pięścią.

— Jeszcze nie wyraziłam zgody na ślub z wami, mój panie.

— A jednak. Zrobiłaś to głośno i wyraźnie! Powiedziałaś, że zamierzasz zamienić moje życie w piekło. Nawet nie wiesz, jak się cieszę na ten nasz wspólny Ereb.

Tymi słowami Peterowi udało się zupełnie rozbroić Trudi. Dziewczyna zaczęła gorączkowo szukać w myślach odpowiedniej odpowiedzi, lecz Peter wskazał na Anni i Michiego.

— Nie chcemy przecież dawać tej parze złego przykładu. Zastanów się teraz, jak dla panny młodej znajdziemy drzewo genealogiczne, które zadowoli styryjskich rycerzy.

— Anni pochodzi z Czech — wtrąciła Maria.

— Jeszcze lepiej! Podczas wojny w tamtej okolicy wyginęło wiele rodów. Nikt nie zwróci uwagi, jeśli któryś z nich znajdzie swą kontynuację. Kilka słów spod waszej ręki i mój podpis jako świadka, powinno wystarczyć do uwiarygodnienia pochodzenia Anni.

Peter zamruczał z zadowolenia. Podobał mu się ten figiel. Trudi też dobrze się bawiła, robiąc z zanej Anni szlachciankę, lecz spojrziała na Petera karcąco.

— Mój panie, wyglądacie mi na niezłego gagatka!

Peter uniósł w zdumieniu brwi.

— Próbuję wam tylko sprostać, najmiłsza!

Trudi powstrzymując śmiech, zastanawiała się, co ma z nim zrobić. Inaczej niż kiedyś w przypadku Gressingen do Petera nie żywiła tak gwałtownego i porywającego uczucia. Mimo to musiała przyznać, że już przy pierwszym spotkaniu w Dettelbachu obudził jej zainteresowanie. Wydawało jej się, że go lubi, inaczej nie czułaby się tak podle, gdy po nieoczekiwanym zakończeniu oblężenia, odjechał w pośpiechu i nie miała od niego żadnej wiadomości.

— W takim razie weźmy ślub, żeby Anni nie miała wymówki. Ale tylko, jeśli mama pozwoli!

Trudi spojrziała niepewnie na matkę, ale ta skinęła przyzwalająco głową. Następnie zwróciła się do Anni, która wciąż stała sztywno z boku sali. Objęła Czeszkę.

— Bardzo się cieszę.

— Ale ja nie chce wychodzić za Michiego, ja... — zaczęła Anni, ale Maria weszła jej w słowo.

— Masz teraz tak samo mało do powiedzenia jak ja, gdy poślubiałam Michała.

Byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi. Tak samo będzie z tobą i twoim Michałem. A teraz pocałujcie się!

Ostatnie słowa Marii zabrzmiały ostro i przestrzegły Anni przed dalszym stawianiem oporu. Michi złapał dziewczynę za rękę i spojrzał na nią pytająco.

— Małżeństwo ze mną byłoby dla ciebie naprawdę tak okropne?

— To nie to, ale...

Nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bo Michi przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem.

Peter poszedł za jego przykładem, przywierając do warg swej wybranki.

Maria cofnąwszy się o kilka kroków, stanęła obok swej starej przyjaciółki Hiltrud.

— Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe? — zapytała niespokojnie, wskazując na Michiego, który sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

Koźlarka pokiwała w zamyśleniu głową.

— Wiesz, że lubię Anni. Jest bardzo pracowita i obowiązkowa. Ale nie wiem, czy potrafi pokochać mego syna tak, jakbym chciała.

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

— Wybacz Mario, wiem, że robisz to, bo chcesz pomóc Michiemu. Dziękuję ci za to.

Ale jest mi trochę smutno. Tak daleko się wyprowadzi! Nigdy nie zobaczę ani nie przytulę wnuków.

Na tę myśl łzy popłynęły po jej pomarszczonych policzkach. Jednocześnie było jej wstyd, albowiem wydała się sobie okrutnie niewdzięczna. Wszystko, co miała, co osiągnęła ona i jej dzieci, zawdzięczała przyjaciółce.

Maria przytuliła do siebie Hiltrud, aby ją pocieszyć.

— Anni pokocha Michiego, choćby z poczucia obowiązku, choć jestem przekonana, że na tym nie poprzestanie. Młodzi się lubią, a na obczyźnie zbliżą się do siebie. Tak samo było z Michałem i ze mną. Ponadto nie wierzę, że twój syn i jego żona o nas zapomną. Przyjadą pokazać ci swego pierwotnego albo pierwotną.

Zmęczona Hiltrud wytarła z oczu łzy.

— Jak zawsze masz rację. Cieszę się także z twojego powodu. Taki szwagier, jak Eichenloh, którego przodkowie pochodzą z królewskiego rodu, podniesie także znaczenie Falka i ułatwi mu panowanie w Kibitzsteinie.

Maria pomyślała o synu, który koniecznie powinien przyjechać, zanim Michi i Anni opuszczą Kibitzstein. Następnie spojrzała na obie pary, wyglądające na całkiem zadowolone. Nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją za suknię. Odwróciwszy się, zobaczyła przed sobą Utę i Lamperta. Dziewka zachowywała się bardzo energicznie, zaś Lampert miał chyba ochotę zapaść się pod ziemię.

Uta pomachała radośnie do Marii.

— Dziś połączyło się tyle par, że może nie będziecie mieli nic przeciwko temu, byśmy i my z Lampertem wstąpili w związek małżeński.

— Chcecie się pobrać?

Maria zmierzyła ich surowym spojrzeniem. Lampert wyglądał tak, jakby zbierał się do ucieczki, ale Maria nakazała mu pozostać na miejscu. Oboje towarzyszyli jej córce w podróży do Grazu i nigdy nie opuścili jej w potrzebie. Taka postawa była warta nagrody. Po ich powrocie Uta sprawiała lepsze wrażenie niż przedtem, zaś Lampert stał się bardziej pewny siebie. Ta para mogłaby służyć u Petera i Trudi, pełniąc funkcję szafarki i nadzorcy pacholków.

— Dobrze, nie mam nic przeciwko waszemu ślubowi — powiedziała, mając jednocześnie nadzieję, że kolejne pary nie wpadną zaraz na ten sam pomysł.

Jej wzrok powędrował ku Alice, która, z niespotykanym u niej ożywieniem, rozprawiała z zastępcą Petera Eichenloh, Quirinem.

Maria podeszła do swego przyszłego zięcia.

— A co z waszymi żołnierzami? Jako kasztelan nie będziecie potrzebowali tylu zbrojnych ludzi.

— Mój drogi Quirin wraz z kilkoma ludźmi zostanie ze mną. Resztę oddziału przejmie Otto von Henneberg, który zamierza stworzyć własną grupę i wyruszyć na poszukiwanie szczęścia. Chcę mieszkać w Fuchsheimie, dlatego każe wyremontować i rozbudować pałac. W miejscu dawnego ogródka warzywnego powstanie kaplica upamiętniająca waszego czcigodnego małżonka. Żałuję, że tak krótko go znałem. Był dobrym człowiekiem!

— Tak, to prawda.

Maria wzniosła do góry wzrok i miała wrażenie, że zamiast masywnych belek i desek zwieńczających sufit sali widzi niebo i uśmiechniętego Michała, machającego do niej ręką.

Udało mi się — powiedziała do niego w myślach. Utrzymałam dla Falka Kibitzstein wraz ze wszystkimi przyległymi dobrami, a w Peterze von Eichenloh znalazłam zięcia, który będzie kochał Trudi. Jego pozycja pomoże mi dobrze wydać za mąż obie młodsze córki. Myślę, że się cieszysz, Michale. Byłoby tak pięknie, gdybyś mógł przeżyć to wszystko razem z nami. Bardzo za tobą tęsknię!

Teraz także Maria musiała otrzeć łzy z oczu. Następnie ożywiła się i poprosiła gości, by usiedli z powrotem do stołu i spróbowali potraw.

Trudi i Peter stoczyli ze sobą słowny pojedynek o to, kto bardziej zasłużył na świński łeb. W końcu, jak przystało na zgodną parę narzeczeńską, zdecydowali, że się nim podzielą.

Tło historyczne

Gdy przed kilkoma laty szukaliśmy nowej ojczyzny dla naszej Marii i zainspirowani takimi nazwami miejscowości, jak Vbgelsburg i Schnepfenbach koło Vblkachu, czy Dettelbach, umieściliśmy Kibitzstein w tej okolicy. Siłą rzeczy zostaliśmy również skonfrontowani z historią kapituły katedralnej z Würzburga. Würzburgscy biskupi byli nie tylko kościelnymi dostojnikami, ale także książętami świeckiego władztwa sięgającego granicami poza obszar właściwego biskupstwa. Zainteresował nas też fakt, że cesarz Fryderyk Barbarossa przyznał w

Było to głównie miano honorowe, albowiem na większą część Frankonii składały się małe lub średnie wolne, świeckie i kościelne państewka, stanowiące ziemie królestwa. Jednakże podobnie jak w przypadku Szwabii i Turyngii niemieckim królom i cesarzom rzymskim nie

udało się utrzymać tam swej bezpośredniej władzy. W tej sytuacji biskupi z Würzburga walczyli o wpływy z innymi władcami terytorialnymi Frankonii, jak na przykład z księciem biskupem z Bambergu, biskupem elektorem z Moguncji, opatem z Fuldy i hrabiami z Hohenlohe, Castell, Hennebergu, Wertheimu, czy innymi rodami szlacheckimi, ponadto z wolnymi miastami Rzeszy, jak Norymberga i Rothenburg nad Tauberem oraz z książętami rodu Hohenzollernów z Brandenbura-Ansbachu i Brandenbura-Kulmbachu.

Nikt z nich nie był na dłuższą metę w stanie przeforsować własnego zdania, toteż aż do czasów napoleońskich Frankonia pozostała konglomeratem złożonym z maleńkich i średnich państweczek.

Wśród współczesnych Marii postaci z tego rejonu na szczególną uwagę zasługuje przede wszystkim Gotfryd Schenk zu Limpurg, książę biskup z Würzburga, oraz osoba jego przeciwnika, margrabiego Albrechta Achillesa z Brandenbura-Ansbachu, który w owym czasie nazywano jeszcze Onoldsbachem.

Dla większej jasności użyliśmy w powieści współcześnie stosowanej nazwy margrabstwa.

Gotfryd Schenk zu Limpurg został biskupem Würzburga i księciem kapituły katedralnej w czasie, gdy kapituła podupadała wskutek wielu marnotrawnych i nieudolnych posunięć. Nowy biskup zdecydowany osiągnąć zamierzony cel, energicznie zabrał się za rozszerzanie wpływów kapituły, starając się odebrać tereny i władztwa, które niegdyś należały do Würzburga. Jednocześnie postanowił nadać należne znaczenie otrzymanemu tytułowi księcia Frankonii.

Jego najzagorzalszym konkurentem o władzę we Frankonii był margrabia z Brandenbura-Ansbachu, Albrecht von Hohenzollern, któremu Enea Silvio Piccolomini, późniejszy papież Pius II, ze względu na jego waleczność nadał przydomek Achilles. W podziale spuścizny po ojcu Albrechtowi Achillesowi przypadła południowa część okolic Ansbachu. Obszar swą wielkością nie zaspokajał jego ambicji, toteż na różne sposoby próbował go powiększyć, popadając przy tym w konflikt z wolnym miastem Rzeszy, Norymbergą, a także z kapitułą katedralną w Würzburgu.

Większość jego sąsiadów odetchnęła zapewne z ulgą, gdy Albrecht Achilles, jako następca swego brata Fryderyka II, został księciem elektorem Brandenburgii i odtąd zaspokajał swe ambicje nad Hawelą i Sprewą, odwracając uwagę od terenów położonych nad Pegnitzą i Menem.

Kolejną postacią historyczną, którą się zainteresowaliśmy, był cesarz Fryderyk III.

Żaden inny niemiecki król ani cesarz rzymski nie rządził dłużej od tego monarchy, który pozostał na tronie przez ponad pięćdziesiąt lat. Żaden też nie był tak wzgardzony jak on. Już za życia otrzymał przydomek arcyszafmocy królestwa, albowiem niewiele obchodziły go sprawy Rzeszy. Musiał stawić czoła wielu wrogom, w tym również własnemu bratu Albrechtowi, polskiemu królowi Władysławowi, który kwestionował prawo jego podopiecznego Ladisława Postumusa do władzy w Czechach i na Węgrzech, później zaś Matthiasowi Corwinusowi Hunyadiemu, który w końcu został królem Węgier.

Życiorys Fryderyka pełen jest klęsk i niepowodzeń. Mimo to z biegiem lat udało mu się umocnić potęgę Habsburgów i uzyskać władzę nad wszystkimi dziedzicznymi posiadłościami habsburskimi. Wiedziony mottem, że cesarz może forsować swą wolę w Rzeszy dopiero wówczas, gdy ma wystarczającą władzę we własnym domu, rezygnował z każdej akcji, na

którą musiałby przeznaczyć siły i środki, pracując nieprzerwanie nad wzrostem potęgi domu Habsburgów. Swego syna Maksymiliana ożenił z Marią, spadkobierczynią księstwa Burgundii, zaś jego wnuka Filipa ożeniono później z Joanną z Kastylii i Aragonii. Ich synem był cesarz Karol V, w którego imperium „nigdy nie zachodziło słońce”.

Iny i Elmar Lorentz, 2008

Osoby

ADLEROWIE Z KIBITZSTEINU Michał Adler: rycerz królestwa
Maria: małżonka Michała Adlera Trudi (Hiltruda): najstarsza córka Marii i Michała Lisa: przybrana córka Marii i Michała Hildegarda: pasierbica Marii Falko: syn Marii i Michała

RODZINA KOŹLARKI Hiltrud: najstarsza przyjaciółka Marii Michi (Michał): najstarszy syn Hiltrud Mariela: najstarsza córka Hiltrud Anton Tessler: małżonek Marieli Mechthilda: druga córka Hiltrud Dietmar: średni syn Hiltrud Giso: najmłodszy syn Hiltrud

OSOBY W KIBITZSTEINIE Anni: szafarka w Kibitzsteinie Kareł: zarządca w Kibitzsteinie Gereon: zastępca Karela Lantpert: pacholek w Kibitzsteinie Uta: dziewczka służebna w Kibitzsteinie Alika: Murzynka, bliska przyjaciółka Marii Teresa: dawna markietanka Hilbrecht von Hettenheim: przyjaciel Falka Adlera

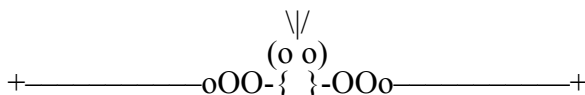
SĄSIEDZI KIBITZSTEINU Georg: rycerz z Gressingen Maksymilian: rycerz z Albach, stryj Georga Ludolf: rycerz z Fuchsheimu Bona: córka Ludolfa Herta: kasztelanka w Steinsfeldzie Hardwin: syn Herty Ingobert: rycerz z Dieboldsheimu Wiburga: małżonka Ingoberta Moryc: rycerz z Mertelsbachu Markus: najstarszy syn Moryca Elgarda von Rendisheim: krewna rycerza Moryca Pankracjusz: opat z Schöbach Klara von Monheim: przeorysza z Hilgertshausen

POZOSTAŁE OSOBY WE FRANKONII Peter von Eichenloh: dowódca żołnierzy Quirin: zastępca Petera von Eichenloh Magnus: hrabia von Henneberg Elżbieta: małżonka hrabiego Magnusa Otto: hrabia von Henneberg, brat Magnusa Cyprian Pratzendorfer: rzymski prałat Issacharben Schimon: żydowski lichwiarz ze Schweinfurtu

OSOBY Z PODRÓŻY TRUDI Frodewin von Stammberg: austriacki rycerz Melchior von Hohenwiesen: przyjaciel Frodewina

POSTACIE HISTORYCZNE: Gotfryd Schenk zu Limpurg: księżę biskup z Würzburga Albrecht Achilles: margrabia z Brandenbura-Ansbachu Fryderyk von Habsburg: król Niemiec Albrecht von Habsburg: księżę Austrii, młodszy brat Fryderyk

KONIEC



Zapraszam na TnTTorrent. Najlepsza darmowa strona !!!

Zarejestruj się poprzez ten link :

<http://tnttorrent.info/register.php?refferal=1036847>